



FIODOR

# DOSTOJEWSKI

## ZBRODNIA I KARA



FIODOR  
DOSTOJEWSKI  
ZBRODNIA I KARA

Przełożył:  
J.P. Zajączkowski



Tytuł oryginału: Преступлѣние и наказáние

Copyright © 2015, MG

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.**

ISBN: 978-83-7779-222-3

Projekt okładki: **Elżbieta Chojna**

Korekta: **Dorota Ring**

Skład: **Jacek Antoniuk**

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

[kontakt@wydawnictwomg.pl](mailto:kontakt@wydawnictwomg.pl)

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

# Część pierwsza

## I

Na początku lipca, w dzień nadzwyczajnie upalny, przed wieczorem wyszedł na miasto ze swego nędznego, sublokatorskiego pokoiku, odnajmowanego przy uliczce S-kiej, pewien młody człowiek i wolnym krokiem, jakby niezdecydowanie, skierował się w stronę mostu K-go.

Tym razem szczęśliwie uniknął spotkania na schodach ze swoją gospodynią. Pokoik jego, mieszczący się na samym poddaszu, przypominał raczej szafę aniżeli mieszkanie. Gospodyni, od której odnajmował swoją komórkę z usługą i obiadami, mieszkała o piętro niżej, zajmując oddzielne mieszkanie, wobec czego, wychodząc na ulicę, musiał każdorazowo przechodzić obok jej kuchni, zawsze otwartej na oścież. I każdorazowo, przechodząc obok kuchni, doznawał jakiegoś chorobliwego uczucia lęku, którego się wstydził i aż zżymał się cały. Był u gospodyni zadłużony po uszy i bał się spotkania z nią.

Nie dlatego, że był tchórzliwy czy zaszczuty, raczej przeciwnie; jednakże od pewnego czasu znajdował się w stanie silnego napięcia nerwowego i rozdrażnienia graniczącego z hipochondrią<sup>[1]</sup>.

Do tego stopnia zamknął się w sobie i odseparował od wszystkich, że bał się wszelkich spotkań, nie tylko z gospodynią. Nędza zupełnie go przytłoczyła, ale ostatnimi czasy nawet te przytłaczające warunki materialne przestały mu ciążyć. Swoimi codziennymi sprawami po prostu przestał, bo nie chciał się interesować. W gruncie rzeczy nie obawiał się gospodyni, cokolwiek knułaby przeciw niemu. Ale zatrzymywać się na schodach i wysłuchiwać jej paplaniny o drobiazgach dnia codziennego, które go nic a nic nie obchodziły, ciągłego napastowania go o komorne, skarg, gróźb, a przy tym samemu wykręcać się, przeproszać, kłamać – o nie, to już znacznie lepiej przekraść się jak kot po schodach i zmykać, by nikt go nie zauważył.

Zresztą tym razem strach wobec wierzycielki dopadł go jednak, gdy znalazł się już na ulicy.

„Na taki czyn chcę się poważić, a jednocześnie boję się takich błażostek! – pomyślał z dziwnym uśmiechem. – Hm... istotnie... właściwie wszystko jest w mocy człowieka, ale wszystko mu przechodzi koło nosa jedynie wskutek tchórzostwa... to aksjomat... Ciekawe też, czego ludzie boją się najbardziej. Jakiegoś nowego swojego czynu, nowego słowa czy też... Zresztą za dużo gadam. Właśnie dlatego nic nie robię, że gadam. A może raczej odwrotnie: dlatego właśnie gadam, że nic nie robię. Nauczyłem się tyle gadać w ciągu ostatniego miesiąca, kiedy całymi dniami leżałem w swojej norze i myślałem... o niebieskich migdałach. Właściwie po co teraz idę? Czy jestem zdolny do tego! Czy to można traktować poważnie? Bzdury. Głupia fantazja, dziecinada! Tak, tak, bodajże tylko dziecinada!”

Na dworze był okropny upał, przy tym panował nieznośny zaduch, tłok, na każdym kroku wapno, rusztowania, kurz i specyficzny smród tak dobrze



znany każdemu petersburżaninowi, który nie jest w stanie wynająć letniska – wszystko to razem działało deprymująco na nadszarpnięte już nerwy młodzieńca. A nieznośny odór, buchający z szynków, których w tej części miasta jest szczególnie dużo, i pijani, spotykani na każdym kroku, mimo że był to dzień powszedni, dopełniali ohydneho i ponurego obrazu. Na subtelnej twarzy młodego człowieka odbiło się uczucie najgłębszego wstrętu. Dodajmy, że był to młodzian wyjątkowej urody, miał piękne, ciemne oczy, wzrost powyżej średniego, sylwetkę wysmukłą i zgrabną. Po chwili jednak wpadł w głęboką zadumę, a raczej w stan jakiegoś zapomnienia i szedł dalej, nie spostrzegając już nic dookoła siebie, zresztą nie chciał już nic wiedzieć. Chwilami tylko coś mruczał pod nosem z przyzwyczajenia do monologów, do czego właśnie teraz sam sobie się przyznał. Zdawał też sobie sprawę z tego, że chwilami myśli mu się płaczą i że jest bardzo osłabiony; już drugi dzień prawie nic nie jadł.

Był tak nędznie ubrany, że ktoś inny na jego miejscu, nawet przyzwyczajony do tego, krępowałby się w biały dzień wychodzić na ulicę w takich łachmanach. Była to jednak taka dzielnica, że żadnym strojem nie można tu było nikogo zadziwić. Bliskość placu Siennego, mnogość pewnych przybytków oraz przeważająca tu ludność rzemieślnicza i cechowa, stłoczona na tych centralnych petersburskich ulicach i zaułkach, wzmagały pstrokaciznę ogólnej panoramy obecnością takich indywiduów, że dziwne wydawałoby się zwracanie uwagi na tego rodzaju postacie. Ale w sercu młodego człowieka zebrało się tyle okrutnej pogardy, że nie bacząc na całą właściwą mu, częstokroć bardzo młodzieńczą drażliwość, najmniej krępował się na ulicy swoich łachmanów. Inna sprawa spotkania z niektórymi znajomymi albo z dawnymi kolegami, z którymi w ogóle nie lubił się spotykać... Jednakże gdy pewien pijany jegomość, którego nie wiadomo po co i dokąd wieziono właśnie ogromną, pustą platformą, zaprzężoną w ogromnego pociągowego konia, krzyknął mu w przejeździe: „Hej, ty, szwabski kapelusiarzu!” i zarechotał na cały głos, wskazując na niego palcem, młodzieniec stanął jak wryty i schwycił się kurczowo za kapelusz. Był to kapelusz o wysokim denku, okrągły, zimmermanowski<sup>[2]</sup>, ale zupełnie zrudziały, dziurawy jak sito i poplamiony, bez ronda i jakoś obrzydliwie przekrzywiony. Ale bynajmniej nie wstyd, lecz zgoła inne uczucie, podobne raczej do strachu, opanowało go w tej chwili.

„Wiedziałem, że tak będzie! – mamrotał bezradnie. – Myślałem nawet o tym! To jest najgorsze! Właśnie taka pozornie nic nieznacząca błahostka, taki idiotyczny szczegół może zepsuć całe przedsięwzięcie! Istotnie, jest to zbyt rzucający się w oczy kapelusz... Komiczny, dlatego też rzuca się w oczy... Do moich łachmanów koniecznie potrzebna jest jakaś czapka, choćby całkiem znoszona, byle nie to straszdyło. Nikt nic podobnego nie nosi, o wiorstę<sup>[3]</sup> zauważą, poznają... a najważniejsze, że sobie zapamiętają i poszlaka gotowa. Tu trzeba jak najmniej rzucać się w oczy... Szczegóły, szczegóły to najważniejsza rzecz!... Właśnie szczegóły zdradzają zawsze wszystko...”.

Miał bardzo blisko, wiedział nawet, ile kroków jest od bramy jego domu: akurat siedemset trzydzieści. Raz nawet, kiedy wpadł w trans, przeliczył to dokładnie. Wówczas sam jeszcze nie wierzył w swoje urojenia i tylko podniecał się tą potworną, choć kuszącą czelnością. Teraz zaś, po upływie miesiąca, zaczął już zapatrywać się na to inaczej i nie bacząc na jątrzące monologi o własnej bezsilności i niezdecydowaniu, mimo woli przyzwyczyił się już traktować „potworne” urojenie jako przedsięwzięcie, aczkolwiek sam sobie jeszcze nie dowierzał. Nawet szedł teraz dla wypróbowania samego siebie, lecz z każdym krokiem niepokój jego coraz bardziej się wzmacniał.

Z zamierającym sercem i nerwowym drżeniem zbliżał się do olbrzymiego domu, który jedną ścianą wychodził na kanał, a drugą – na ...ską ulicę. Dom ten składał się z małych mieszkańek i zamieszkiwany był przez najróżnorodniejszych przedstawicieli rzemiosła – krawców, ślusarzy, kucharki, różnych Niemców, dziewczęta zarabiające własną osobą, drobnych urzędników itp. Aż roilo się od tej masy wchodzących i wychodzących z obydwu bram i podwórek. W domu tym było trzech albo czterech dozorców. Młodzieniec był bardzo zadowolony, że nie spotkał żadnego z nich, i niepostrzeżenie prześliznął się z bramy na prawe schody. Schody były ciemne i wąskie, „kuchenne”, ale on znał już to wszystko i dokładnie zbadał, warunki te podobały mu się: w takich ciemnościach nawet wścibskie oko nie było niebezpieczne. „Jeżeli teraz tak się boję, cóż by to było, gdyby rzeczywiście miało dojść do samego czynu?...” – pomyślał mimo woli, wchodząc na trzecie piętro. Tu zastąpili mu drogę starzy żołnierze, którzy wynosili meble z sąsiedniego mieszkania.

Przedtem już wiedział, że w tym mieszkaniu mieszkał pewien Niemiec z rodziną, urzędnik: „To znaczy, że Niemiec się wyprowadza, czyli że na trzecim piętrze na tych schodach przez pewien czas będzie zamieszkane tylko jedno mieszkanie, tej starej. To bardzo dobrze... na wszelki wypadek...” – pomyślał znowu i zadzwonił do mieszkania staruchy. Dzwonek słabo jakoś brzęknął, jak gdyby zrobiony był z blachy, a nie z miedzi. W małych mieszkaniach tego rodzaju domów prawie wszystkie dzwonki są takie. Wypadł mu już z pamięci dźwięk tego dzwonka i teraz osobliwy ten brzęk jakby mu coś przypomniiał i wyraźnie zarysował... Aż drgnął, do tego stopnia osłabione miał tym razem nerwy. Po chwili drzwi uchyliły się; właścicielka mieszkania oglądała przybysza przez wąską szparkę z widoczną nieufnością; widział tylko błyszczące w ciemności oczka. Lecz gdy zauważyła w sieni sporo osób, nabrała odwagi i całkiem otworzyła drzwi. Młodzieniec przestąpił próg do ciemnego przedpokoju, w którym za przegródką urządzono miniaturową kuchnię. Stara milczała, pytająco spoglądając na niego. Była to mała, zasuszona starucha w wieku lat sześćdziesięciu, o świdrujących, złych oczkach i małym, zadartym nosku. Wypłowiałe, jasne włosy były mocno wysmarowane tłuszczem. Dokoła cienkiej szyi, przypominającej kurzą nogę, miała okręcony jakiś flanelowy gałgan i ubrana była, mimo upału, w wystrzępiony i pożółkły futrzany serdak. Starucha co chwila kaszłała i stękała. Widocznie młodzieniec przez nieostrożność rzucił na nią jakimś osobliwym spojrzeniem, bo naraz oczy jej zaczęły znowu zdradzać

nieufność.

– To ja, Raskolnikow, student, byłem u pani jakiś miesiąc temu – pośpiesznie bąknął młodzieniec z lekkim ukłonem, przypomniawszy sobie, że musi być wobec niej możliwie najgrzeczniejszy.

– Pamiętam, dobrodzieju, dobrze pamiętam, że pan był u mnie – odpowiedziała dobitnie stara, wciąż nie spuszczać z niego pytającego wzroku.

– A więc... znowu jestem, w takiej samej sprawie... – dodał Raskolnikow, nieco stropiony i zdziwiony nieufnością staruchy.

„Zresztą może zawsze jest taka, ale poprzednim razem jakoś tego nie spostrzegłem” – pomyślał z irytacją.

Starucha przez chwilę milczała, jakby coś rozważając, wreszcie, wskazując na drzwi do pokoju, raczyła się odezwać, przepuszczając gościa przodem:

– Proszę wejść, dobrodzieju.

Niewielki pokój, do którego wszedł młody człowiek, z żółtą tapetą, z geranium i muślinowymi firaneczkami, oświetlony był w tej chwili jaskrawo zachodzącym słońcem. „A więc wtedy też tak będzie świecić słońce!...” – przemknęło błyskawicznie przez myśl Raskolnikowowi i nieznacznie obejrzał cały pokój, żeby wszystko dokładnie zbadać i zapamiętać rozkład. Ale w pokoju nie było nic osobliwego. Umeblowanie, bardzo stare, z jasnego drewna, składało się z kanapy z ogromnym, wygiętym drewnianym oparciem, owalnego stołu przed kanapą, toaletki między oknami, krzesel pod ścianami i dwóch czy trzech groszowych obrazków w żółtych ramkach, które przedstawiały młode Niemki z ptakami na ręku – i to wszystko. W rogu, przed niewielką ikoną, paliła się lampka oliwna. Wszystko było bardzo czyste; meble, podłogi były tak wyczyszczone, że aż błyszczały. „Ręka Lizawiey” – pomyślał młody człowiek. W całym mieszkaniu nie można było znaleźć ani odrobiny kurzu. „To u złych i starych wdów bywa taka czystość” – pomyślał Raskolnikow i z zaciekawieniem rzucił nieznacznie okiem na perkalikowe portiery na drzwiach prowadzących do drugiego, małego pokoiku, w którym stała komoda i łóżko starowiny i do którego ani razu jeszcze nie udało mu się zajrzeć. Całe mieszkanie składało się z tych dwóch pokoi.

– Czym mogę służyć? – oficjalnym tonem zapytała starucha, wchodząc za nim do pokoju i stając znowu twarzą w twarz, tak by mogła patrzeć mu prosto w oczy.

– Zastaw przyniosłem, proszę! – I wyjął z kieszeni stary, płaski srebrny zegarek. Na odwrocie koperty wygrawerowany był globus. Dewizka była stalowa.

– Ale już najwyższy czas na poprzedni zastaw. Onegdaj minął miesiąc.

– Zapłacę pani procenty za następny miesiąc. Niech pani zaczeka.

– A to już moja dobra wola, dobrodzieju, czekać czy też natychmiast sprzedać zastaw pański.

– Ile może pani dać za zegarek, Alono Iwanowno?

– E tam, znosisz, panie ładny, szmelc pewnie, bez żadnej wartości. Za pierścionelek wypłaciłam panu zeszłym razem dwa papierki, a nowy taki

można kupić u jubilera raptem za półtora rubla.

– Ze cztery ruble niech pani da, bo to pamiątka po ojcu. Wkrótce mam otrzymać pieniądze.

– Półtora rubla, jeżeli pan chce, i procent z góry.

– Półtora rubla! – jęknął młodzieniec.

– Jak pan chce. – I starucha podała mu z powrotem zegarek. Młody człowiek wziął go i tak się rozżłościł, że chciał już wyjść, lecz pohamował się, uprzytomniwszy sobie, że właściwie nie ma dokąd pójść i że przyszedł w innej jeszcze sprawie.

– Dawaj pani! – przystał niezbyt uprzejmie.

Stara wygrzebała z kieszeni klucze i poszła za portiery do drugiego pokoju. Pozostawszy sam w pokoju, młodzieniec pilnie nasłuchiwał i coś kalkulował. Słysząc było, jak starowina otwiera komodę. „Prawdopodobnie górna szuflada – zgadywał. – A klucze nosi, jak widać, w prawej kieszeni... Wszystkie w jednym pęku na stalowym kółku... Jeden klucz jest tam większy od innych, trzy razy większy, piórko ma zębate, to oczywiście nie od komody... Widocznie ma jeszcze jakąś szkatułę albo kuferek... To ciekawe. Wszystkie kufereki mają takie klucze... Zresztą jakie to wszystko podłe...”.

Stara wróciła.

– Proszę: jeżeli liczyć, jak zawsze, po dziesięć kopiejek miesięcznie od rubla, to za półtora rubla wypadnie piętnaście kopiejek za miesiąc z góry. A za dwa ruble poprzednie według tego samego rachunku należy się jeszcze od pana z góry dwadzieścia kopiejek. Razem wyniesie to trzydzieści pięć kopiejek. Wobec tego dostaje pan za swój zegarek ogółem rubel piętnaście kopiejek. Proszę!

– Jak to! Tylko rubel piętnaście?!

– Tak.

Młodzieniec nie próbował oponować i wziął pieniądze. Popatrzył na starą i zatrzymał się jeszcze, jak gdyby chciał coś powiedzieć czy zrobić, ale sam nie wiedział co...

– W tych dniach może przyniosę pani jeszcze jedną rzecz... srebrną... ładną... papierośnicę... jak tylko wrócę od przyjaciela... – Stropił się przy tym i zamilkł.

– No, to wtedy pomówimy o tym, dobrodzieju.

– Żegnaj panią... A pani ciągle siedzi w domu sama, siostry nie ma? – zapytał możliwie najbardziej nonszalancko, wychodząc do przedpokoju.

– A co ona pana obchodzi, dobrodzieju?

– Ależ nic... tak tylko zapytałem. A pani zaraz Bóg wie co... Do widzenia, Alono Iwanowno!

Raskolnikow wyszedł zupełnie zmieszany. Zmieszanie to potęgowało się z każdą chwilą. Schodząc ze schodów, przystawał nawet kilka razy, jakby czymś nagle porażony. Wreszcie, już na ulicy, skonstatował:

„O, Boże! Jakie to wszystko obrzydliwe! I czyżbym ja... czyżbym... nie, to bzdury, absurd! – dorzucił zdecydowanie. – Że też podobna potworność mogła mi przyjść na myśl! Do jakiej ohydy zdolne jest jednak moje serce! Ale grunt, że to wszystko brud, paskudztwo, ohyda, ohyda!... I ja to przez



cały miesiąc...”.

Lecz ani słowami, ani okrzykami nie był w stanie wyrazić swego wzburzenia. Uczucie bezgranicznej odrazy, które zaczęło go gnębić i ciążyć na sercu jeszcze wtedy, gdy szedł do starej, nabrało takiego napięcia i takiej wyrazistości, że z rozpaczy nie wiedział, gdzie się podziać. Szedł chodnikiem jak pijany, nie spostrzegając przechodniów i potracając ich, oprzytomniał dopiero na następnej ulicy. Rozejrzawszy się, zauważył, że stoi przed szynkiem, do którego schodziło się z chodnika po schodkach w dół, do sutereny. W tej chwili właśnie wychodziło stamtąd dwóch pijanych, którzy podtrzymując się i lżąc nawzajem, forsowali schody na ulicę. Niewiele myśląc, Raskolnikow zszedł na dół. Nigdy przedtem nie chodził do szynków, ale teraz kręciło mu się w głowie, przy tym męczyło go okropne pragnienie. Miał ochotę napić się zimnego piwa, tym bardziej że nagłe swoje osłabienie przypisywał między innymi temu, że był głodny. Zajął miejsce w ciemnym, brudnym kącie, przy lepkiem stoliku, zażądał piwa i łapczywie wypił pierwszy kufel. W głowie mu się nagle rozjaśniło, spadł kamień z serca, jakby ręką odjął. „To wszystko wierutne bzdury – pomyślał i nabrał otuchy – nie było czym się przejmować! Po prostu wyczerpanie fizyczne! Jeden marny kufel piwa, kawałek suchara – i w jednej chwili wzmacnia się umysł, rozjaśnia się myśl, krzepną zamiary! Tfu, jakie to wszystko nędzne!...”. Nie bacząc na to pogardliwe splunięcie, twarz mu się rozjaśniła, jak gdyby zrzucił z siebie nagle jakiś okropny ciężar, i przyjaznym już okiem spojrzął po obecnych w lokalu. Ale w tejże chwili jakby przez mgłę poczuł, że cała ta skłonność do poprawy nastroju też była chorobliwa.

W szynku o tej porze było bardzo mało gości. Oprócz tych dwóch pijanych, których spotkał na schodach, wyniosła się jeszcze cała banda, z pięć osób, z jakąś dziwką i z harmonią. Po ich wyjściu zrobiło się jakoś ciszej i przestronniej. Pozostali jeszcze: jeden z lekka wstawiony gość przy piwie, z wyglądu mieszczuch, i jego kolega, dryblas z siwą brodą, w kożuchu, zupełnie pijany, który spał na ławce i od czasu do czasu, jakby przez sen, ni stąd, ni zowąd podrywał się na ławce, rozkładał ręce, pstrykał palcami i usiłując przypomnieć sobie słowa, ciągnął przygłupią śpiewkę:

*Cały rok pieściłem żonę...*

*Ca-ały rok pie-eściłem żo-onę...*

Albo ocknąwszy się nagle, zaczynał:

*Przez Podiacką szedł ulicę,*

*Spotkał dawną swą kobitę...*

Ale nikt nie podzielał jego radości; nawet milczący kompan traktował wszystkie te jego popisy wrogo i nieufnie. Był tu jeszcze jeden osobnik wyglądający na emerytowanego urzędniczynę. Siedział sam przed swoją flaszką i od czasu do czasu popijał, rozglądając się dokoła. Zdawał się być trochę podenerwowany.

Raskolnikow był nieprzyzwyczajony do tłumu i jako się rzekło, unikał wszelkiego towarzystwa, szczególnie w ostatnich czasach. Ale w tej chwili coś go ciągnęło do ludzi. Jak gdyby budziło się w nim coś nowego i zarazem potrzeba towarzystwa ludzi. Do tego stopnia znużył go ten miesiąc samotności, rozterki i ponurej udręki, że zapragnął choćby przez chwilę odetchnąć w innym świecie, w jakimkolwiek, toteż nie bacząc na otaczający go brud, z przyjemnością siedział w szynku.

Właściciel zakładu był w innym gabinecie, ale często zaglądał do głównej sali, do której schodził skądś po schodkach, przy tym najpierw ukazywały się jego eleganckie, starannie wypastowane buty z czerwonymi wyłogami. Miał na sobie wyświechtaną kapotę i strasznie zaplamioną atłasową kamizelkę, był bez krawata, a twarz błyszczała mu jak naoliwiona żelazna kłódka. Za kontuarem stał czternastoletni chłopak, a drugi, młodszy, usługiwał. Na kontuarze stały pokrajane ogórki, czarne suchary i dzwonka ryby; wszystko to okropnie cuchnęło. Było tak nieznośnie duszno, że trudno było usiedzieć, a wszystko było do tego stopnia przesiąknięte zapachem wódki, że zdawało się, iż od samego tego zapachu można już było się upić.

Zdarzają się tego rodzaju spotkania, nawet z zupełnie nieznanymi ludźmi, którymi zaczynamy się interesować tak jakoś nagle, niespodzianie, zanim zamienimy choćby jedno słowo. Takie właśnie wrażenie sprawił na Raskolnikowie ów gość przypominający emerytowanego urzędnika. Potem niejednokrotnie przypominał sobie to wrażenie, przypisując je nawet przeczuciu. Ciągłe spoglądał na urzędnika między innymi dlatego, że i tamten uporczywie się w niego wpatrywał i widać było, że ma wielką ochotę wszcząć z nim rozmowę. Na resztę obecnych w szynku, nie wyłączając gospodarza, urzędnik spoglądał z wyrazem nudy, a zarazem z góry, z odcieniem lekceważenia, jak na ludzi niższej kategorii i poziomu umysłowego, z którymi nie ma właściwie o czym mówić. Był to mężczyzna po pięćdziesiątce, średniego wzrostu i dość silnej budowy, szpakowaty, z dużą łysiną, o obrzękłej od ciągłego opilstwa i żółtej, a nawet zielonkawej twarzy oraz podpuchniętych powiekach, spod których łyskały wąziutki, na kształt szparek, zaczerwienione, ale bystre oczy.

Było w nim coś dziwnego; spojrzenie jego miało wyraz uduchowiony, przebijał w nim rozum i mądrość, ale równocześnie jakby obłąd. Ubrany był w stary, doszczętnie zniszczony czarny frak bez guzików. Jeden guzik jakoś się jeszcze trzymał i na ten właśnie guzik się zapinał, chcąc widocznie zachować pozory przyzwoitości. Spod nankinowej<sup>[4]</sup> kamizelki sterczał biały gors, cały zmięty, brudny i poplamiony. Twarz miał wygoloną, jak przystało na urzędnika, ale już dawno temu, tak że zaczęła mu już gęsto przebijać niebieskawa szczecina. Nawet w ruchach miał coś z urzędniczej solidności. Ale był jakiś niespokojny, czochrął włosy i chwilami ze smutkiem opierał głowę na dłoniach, stawiając wytarte łokcie na zalanym, lepkiem stole. Wreszcie spojrzał wprost na Raskolnikowa i głośno, dobitnie powiedział:

– Czy mogę się ośmielić, szanowny panie, zwrócić się do pana dla przyzwoitej pogawędki? Bo choć wygląd ma pan nieszczególny, ale moje doświadczone oko widzi w panu człowieka wykształconego i z trunkami nieoswojonego. Zawsze miałem w poszanowaniu wykształcenie związane z szczerością serca i uczuć, a poza tym jestem radcą tytularnym<sup>[5]</sup>. Nazywam się Marmieładow, radca tytularny. Ośmielam się zapytać: pan jest urzędnikiem?

– Nie, jestem na studiach... – odparł młody człowiek, zdziwiony po części górnolotnym stylem mówiącego, po części tym, że zwrócono się do niego wprost, bez ogródek. Nie bacząc na niedawne pragnienie jakiegokolwiek ludzkiego towarzystwa, przy pierwszym, zwróconym bezpośrednio do niego słowie doznał swego zwykłego uczucia rozdrażnienia i wstrętu wobec każdego, kto usiłuje zahaczać go o sprawy osobiste.

– A więc student albo były student! – skonstatował urzędnik. – Tak też przypuszczałem! Doświadczenie, szanowny panie, doświadczenie! – I na znak domyślności przyłożył palec do czoła. – Był pan studentem, czyli zgłębiał pan niwę nauki! Pozwoli pan... – Wstał, zatoczył się, wziął swoją szklaneczkę i przysiadł się do stolika Raskolnikowa. Był niezupełnie trzeźwy, ale mówił płynnie i ze swadą, z lekka tylko płacząc się i gładząc. Z jakąś pazernością uczeplił się Raskolnikowa, jakby już z miesiąc z nikim nie rozmawiał.

– Łaskawy panie – zaczął prawie uroczystym tonem – ubóstwo jest występkiem, to święta prawda. Wiem też, że pijaństwo nie jest cnotą, z całą pewnością. Ale nędza, szanowny panie, nędza to straszna rzecz. W ubóstwie zachowuje się jeszcze szlachetność uczuć wrodzonych, ale w nędzy – nikt i nigdy na świecie. Za nędzę nie tylko kijem wypędzają, ale miotłą wymiatają z ludzkiego towarzystwa dla tym cięższej obelgi, i słusznie, bo w nędzy człek gotów jest sam siebie obrażać. Stąd też pijaństwo. Szanowny panie, miesiąc temu żonę moją pobił pan Lebieziatnikow, a moja żona to nie ja! Pan rozumie? Pozwoli pan, że jeszcze zapytam, z prostej ciekawości: raczył pan kiedy nocować na Newie, na barkach z sianem?

– Nie, nie zdarzało mi się – odparł Raskolnikow. – A co to znaczy?

– Widzi pan, a ja stamtąd właśnie idę, już piątą noc...

Nalał sobie szklaneczkę, wypił i zamyślił się. Na jego ubraniu, a nawet we włosach widniały resztki siana. Bardzo prawdopodobne było, że przez pięć dni nie rozbierał się ani nie mył. Szczególnie brudne miał ręce: zatłuszczone, czerwone, z czarnymi paznokciami.

Mowa jego zdawała się zwracać ogólną, choć ospałą uwagę. Chłopcy bufetowi parskali śmiechem. Zdaje się, że nawet sam gospodarz przyszedł z góry, żeby posłuchać „pajaca”, i usiadł opodal, ziewając leniwie, choć z powagą. Najwyraźniej Marmieładow był tu od dawna znany. Prawdopodobnie również skłonność do wyszukanego sposobu wystawiania się nabył wskutek częstych rozmów z przygodnymi gośćmi w szynkach. Przyzwyczajenie to przechodzi często w potrzebę, szczególnie u tych, którzy w domu są źle traktowani i pomiatani. Dlatego starają się pozyskać przy kieliszku wśród kompanów niejako usprawiedliwienie, a jeżeli się udaje, to

nawet szacunek.

– Te, pajac! – odezwał się na głos szynkarz. – A czemu nie pracujesz, czemu nie jesteś na służbie, skoro jesteś urzędnikiem?

– Dlaczego nie pracuję, panie szanowny – podchwycił Marmieładow, zwracając się wyłącznie do Raskolnikowa, jakby to on mu zadał pytanie – dlaczego nie pracuję? A czy mnie samego serce nie boli, że się tak wałęsam bez pożytku? Kiedy pan Lebieziatnikow miesiąc temu małżonkę moją pobił własnoręcznie, a ja leżałem pijaniusieńki, czyż wtenczas nie cierpiałem? Przepraszam szanownego pana, czy zdarzyło się panu... hm... no, powiedzmy, prosić o pożyczkę beznadziejnie?

– Owszem... ale jak to beznadziejnie?

– Ano zupełnie beznadziejnie, z góry wiedząc, że nic z tego nie będzie. Oto, na przykład, wie pan z góry i z całkowitą pewnością, że dany osobnik, najlojalniejszy i najpożyteczniejszy obywatel, za nic na świecie pieniędzy panu nie pożyczy, bo i proszę pana, z jakiej racji miałby pożyczyć? Przecież wie doskonale, że mu nie oddam. Z litości? Ale pan Lebieziatnikow, który śledzi za nowymi prądami myśli, tłumaczył niedawno, że litość w naszych czasach zabroniona jest nawet przez naukę i że tak już dzieje się w Anglii, gdzie jest ekonomia polityczna. Więc z jakiej racji, pytam ja się pana, miałby pożyczyć? I oto z góry wiedząc, że nie pożyczy, wybiera się pan w drogę...

– Po cóż się więc wybierać? – zapytał Raskolnikow.

– A jeżeli nie ma się do kogo zwrócić, jeżeli nie ma dokąd pójść?! Przecież musi być tak, żeby każdy człowiek miał dokąd pójść. Albowiem nadchodzi taki moment, kiedy człowiek za wszelką cenę musi dokądś pójść! Kiedy jedynaczka, córka moja, po raz pierwszy poszła z żółtą książką<sup>[6]</sup>, ja też wtedy poszedłem... Bo córka moja ma żółtą książkę... – wtrącił nawiasem, spoglądając z pewnym zaniepokojeniem na młodego człowieka. – To nic, panie dobrodzieju! – dodał pośpiesznie, chcąc się, widocznie, zdobyć na spokój, gdyż parsknęli śmiechem chłopcy bufetowi i uśmiechnął się sam właściciel. – To nic! Owo kiwanie głów mało mnie wzrusza, albowiem wszyscy już o wszystkim wiedzą i wszystkie tajemnice zostały ujawnione<sup>[7]</sup>; i nie z pogardą, a z pokorą odnoszę się do tego. Niech tam! Niech tam! *Ecce homo!*<sup>[8]</sup> Pozwoli pan, młody człowieku: czy pan może... Albo nie, powiem mocniej i dobitniej: nie czy pan może, ale czy pan się ośmieli, spoglądając w tej chwili na mnie, stwierdzić kategorycznie, że nie jestem świnią?

Młodzieniec nie odpowiedział.

– No więc – ciągnął dalej mówca, solidnie i tym razem z niejaką godnością, przeczekawszy chichot, który znowu rozległ się na sali. – Zgoda, niech ja będę świnią, ale ona jest damą! Ja jestem na podobieństwo bydlęcia, ale Katarzyna Iwanowna, małżonka moja, to osoba wykształcona, córka oficera sztabowego. Dobrze, niech ja będę szubrawcem, ona zaś ma serce wzniosłe i uczucia wyszlachetnione przez wychowanie. A jednak... o, gdyby chciała ulitować się nade mną! Panie szanowny, dobrodzieju, przecież każdy człowiek musi mieć choć jeden taki zakątek, gdzie by się i nad nim ulitowano! A Katarzyna Iwanowna to dama wspaniałomyślna, aliści

niesprawiedliwa... I chociaż sam dobrze rozumiem, że nawet gdy za włosy mnie targa, to targa jedynie ze szczerego współczucia, z bólem serca (bo bez wstydu wyznaję, rzeczywiście targa mnie za włosy, młody człowieku – potwierdził ze szczególną godnością, usłyszawszy znowu chichot), ale Boże święty, co by to było, gdyby tak choć jeden, jedyny raz... Ale nie! Nie! Wszystko to nadaremnie i nie ma o czym mówić! Nie ma o czym mówić!... albowiem nieraz już urzeczywistniało się życzenie moje, nieraz już przytulano mnie, ale... taka już jest moja natura, jestem urodzone bydlę!

– Otóż to! – wtrącił, ziewając, szynkarz.

– Taką już mam naturę! Czy pan wie, czy pan wierzy, dobrodzieju, że nawet jej pończochy przepięłem? Nie buciki, bo to można sobie wyobrazić, ale pończochy, jej pończochy przepięłem! Szal jej z koziej wełny też przepięłem, darowany, dawny, jej własny, nie mój, a mieszkamy kątem, w nieopalanym mieszkaniu, więc ubiegłej zimy przeziębła się i zaczęła kaszlać, od razu z krwią. Mamy przy tym troje małych dzieci, a Katarzyna Iwanowna haruje od rana do nocy, szoruje, czyści, dzieci myje, bo do czystości od kolebki jest przyzwyczajona, a piersi ma słabe, do suchot skłonne i ja to doskonale czuję. O, czuję to! I im więcej piję, tym głębiej odczuwam. Dlatego też piję, że w takowym stanie współczucia i miłości szukam... Piję, bo jeszcze większych pragnę cierpień! – I jakby z rozpaczyny opuścił głowę na stół.

– Młody człowieku – zaczął znowu, unosząc głowę – w twarzy pańskiej widzę jakby pewną boleść. Jak tylko pan wszedł, wyczytałem to i dlatego się do pana zwróciłem. Albowiem opowiadając panu dzieje mego żywota, nie na pośmiewisko chcę się wystawiać wobec tych nierobów, którzy i tak już wszystko to znają, ale uczuciowego, wykształconego człowieka szukam. Trzeba panu wiedzieć, że małżonka moja wychowywała się w arystokratycznym gubernialnym instytucie dla szlachetnie urodzonych panien i na zakończenie instytutu tańczyła z szalem w obecności gubernatora i innych osobistości, otrzymała za to złoty medal i pochwałę na piśmie. Medal... no, medal sprzedaliśmy... już dawno... hm... list pochwalny dotychczas ma w kuferku, niedawno pokazywała go gospodyni. I chociaż ma z gospodynią bezustanne kłótnie, ale zapragnęła wobec kogokolwiek pochwalić się i opowiedzieć o minionych dniach szczęścia. I nie ganię jej za to, nie ganię, albowiem pozostały jej tylko wspomnienia, a wszystko inne poszło na marne! Tak, tak, dama to porywcza, ambitna i niezłomna. Sama podłogę szoruje i o razowym chlebie żyje, ale na nieposzanowanie swojej osoby nie pozwoli. Dlatego też nie mogła darować panu Lebieziatnikowowi jego impertyncji, a jak Lebieziatnikow za to ją pobił, nie tyle z bólu, ile z obrazy zachorowała. Już jako z wdową się z nią ożeniłem, z trojgiem małych dzieci, jedno od drugiego mniejsze. Wyszła za mąż za pierwszego swojego męża, oficera piechoty, z miłości i z nim uciekła z domu rodzicielskiego. Męża kochała niewymownie, ale wdał się w karcieża, został oddany pod sąd i z tym do grobu poszedł. Bił ją pod koniec, a ona, choć mu dłużna nie zostawała, co jest mi na podstawie dokumentów dokładnie wiadome, jednak po dzień dzisiejszy wspomina go ze łzami w oczach i mnie go stawia za wzór, a ja rad jestem, bardzo rad, bo chociaż w wyobraźni widzi



się niegdyś szczęśliwą... I została po jego śmierci z trojgiem drobnych dzieci w dalekim, parszywym powiecie, gdzie i ja przebywałem, i znalazła się w tak beznadziejnej nędzy, że chociaż dużo widziałem najróżnorodniejszych przypadków, ale tego opisać nie jestem w stanie. Rodzina zaś jej się wyrzekła. A była ambitna, za bardzo ambitna... I wtedy to, szanowny panie, wtedy właśnie ja, również wdowiec, z czternastoletnią córką po pierwszej żonie, poprosiłem ją o rękę, bo patrzeć nie mogłem na takie cierpienia. Może pan choćby z tego wnosić, do czego dochodziła jej nędza, że ona, wykształcona, dobrze wychowana i z szanowanej rodziny, zgodziła się wyjść za mnie! Ale wyszła! Z płaczem, szlochaniem i załamywaniem rąk, ale wyszła! Albowiem nie miała dokąd pójść. Czy pan rozumie, czy jest pan w stanie pojąć, szanowny panie, co to znaczy, kiedy nie ma już dokąd pójść? O, nie! Tego pan jeszcze nie rozumie... I przez cały rok wypełniałem swoje obowiązki święcie i bogobożnie i tego nie dotykałem – wskazał palcem na butelkę – bo mam serce. Ale i tak nie mogłem jej dogodzić; a tu jeszcze posadę straciłem, nie z mojej winy, a wskutek redukcji etatów, i wtedy dopiero zacząłem do butelki zaglądać!... Półtora roku już minęło, jak po długiej wędrówce i niezliczonych nieszczęściach znaleźliśmy się w tej oto wspaniałej i zdobnej licznymi pomnikami stolicy. I tu otrzymałem posadę... Otrzymałem i znowu straciłem. Rozumie pan? Tu już straciłem z własnej winy, bo natura moja przemówiła... Mieszkamy teraz kątem, u gospodyni Amalii Lippewechsel, a z czego żyjemy i z czego płacimy, nie mam pojęcia. Mieszka tam wielu jeszcze oprócz nas... Sodoma najprawdziwsza... hm... tak... W tym czasie podrosła moja córka z pierwszego małżeństwa, a ile się nacierpiało moje dziecko, dorastając, od macochy swojej, to już wołę przemilczeć! Bo Katarzyna Iwanowna jest wprawdzie pełna wzniosłych uczuć, ale to dama porywcza i nerwowa, więc bywa, że... Ale nie mówmy o tym! Żadnego wychowania, rozumie pan chyba, Sonia nie otrzymała. Ze cztery lata temu próbowałem przerabiać z nią geografię i historię powszechną, że zaś sam nie za tęgi w przedmiotach onych jestem, a porządnych podręczników nie było, bo jeżeli nawet jakieś były, to... hm... słowem, już ich nie ma, tych książek niby, i na tym skończyła się cała nauka. Stanęliśmy na Cyrusie perskim<sup>[9]</sup>. Potem już, gdy dorosła, przeczytała kilka książek o treści romantycznej, a niedawno temu, za pośrednictwem pana Lebieziatnikowa, jeszcze jedną książkę, *Fizjologię* Lewesa<sup>[10]</sup> – zna pan to? – przeczytała z ogromnym zainteresowaniem i nawet niektóre urywki nam na głos czytała; oto cała jej edukacja. Teraz zwracam się do pana, mój szanowny panie, ze swej strony z osobistym, że tak powiem, pytaniem: czy, zdaniem pana, może dużo zarobić biedna, uczciwa panna uczciwą pracą?... Piętnastu kopiejek na dzień, proszę pana, nie zarobi, jeżeli jest uczciwa i nie posiada nadzwyczajnych talentów, i to pracując bez wytchnienia! A i tak radca Klopstock, Iwan Iwanowicz – słyszał pan o nim? – nie tylko nie zapłacił dotychczas za uszycie pół tuzina koszul holenderskich, ale jeszcze ją wypędził, tupiąc nogami i lżąc nieprzyzwoitym słowem pod pretekstem, że kołnierz koszuli uszyty jest nie według miary i krzywo. A tu głodne dzieci...

Katarzyna Iwanowna po pokoju biega, ręce załamuje, a na policzkach występują jej czerwone plamy – przy tej chorobie zawsze tak bywa: „Mieszkasz, powiada, u nas, darmożjadzie jeden, żresz, pijesz, w ciepłe sobie siedzisz”, a co tu żresz i pijesz, skoro nawet dzieci po trzy dni skórki od chleba na oczy nie widzą! Leżałem ci wtedy... e, co tam! leżałem zupełnie pijaniusieńki i słyszę, jak Sonia moja (bo to stworzenie łagodne i głosik ma taki pokorny... blondyneczka i twarzyczkę ma zawsze bladziuchną, chudziutką) mówi: „Katarzyno Iwanowno, mam więc zejść na taką drogę?”. A Daria Francewna, kobieta wredna i w policji niejednokrotnie notowana, już ze trzy razy dowiadywała się o nią przez gospodynię. „A tak – odpowiada, drwiąc, Katarzyna Iwanowna – bo co tu chować? Też mi skarb!”. Ale niech pan jej nie potępia, nie, proszę nie potępiać jej! To było powiedziane nie przy zdrowych zmysłach, ale w gniewie i rozpacz, w chorobie i wśród płaczu głodnych dzieci, a i to więcej dla obelgi niż w dosłownym znaczeniu, bo Katarzyna Iwanowna ma już taką naturę, że jak dzieci się rozplaczą, choćby nawet z głodu, zaraz zaczyna je tłuc. Patrząc, a tak koło godziny szóstej Sonia włożyła chusteczkę na głowę, zakiecił i wyszła z domu, a po ósmej już wróciła. Przyszła, idzie wprost do Katarzyny Iwanowny i wyklada jej na stół bez słowa całe trzydzieści rubli. Ani słówkiem nie odezwała się, nie spojrzała nawet na nikogo, wzięła tylko naszą dużą, zieloną chustkę kortową (mamy taką wspólną chustę rodzinną, kortową), okryła się z głową i położyła się na łóżku, twarzyczką do ściany i tylko widać było, jak drgają jej ramiona i cała się, biedactwo, trzęsie... A ja, jak i przedtem, leżałem w tym samym stanie... I potem widziałem, młody człowieku, widziałem na własne oczy, jak potem Katarzyna Iwanowna, też bez jednego słowa, podeszła do łóżka Soni i cały wieczór klęczała u jej nóg, nogi jej całowała, podnieść się nie chciała, aż obie zasnęły, objąwszy się... obie... obie... tak, tak... a ja... leżałem pijaniusieńki.

Marmieładow zamilkł, jak gdyby głos mu się urwał... Po chwili szybko nalał sobie wódki, wypił i odchrząknął.

– Od pewnego czasu, mój panie – ciągnął po chwili milczenia – na skutek pewnego przykrego przypadku i doniesienia niegodziwych ludzi – do czego głównie przyczyniła się Daria Francewna, podobno dlatego, że jej za mało szacunku okazywano – od owego czasu, powiadam, córka moja Sonia Siemionowna zmuszona była mieć żółtą książkę i z tego powodu nie mogła już razem z nami zamieszkiwać. Albowiem ani gospodyni, Amalia Lippewechsel, pozwolić na to nie chciała (a sama przecież przedtem Darii Francewnie pomagała), ani też pan Lebieziatnikow... hm... Właśnie całą tę awanturę z Katarzyną Iwanowną miał o Sonię. Przedtem sam napastował Sonię, a tu od razu ambicja przez niego przemówiła: „Jak to – powiada – ja, człowiek wykształcony, mam mieszkać z taką pod jednym dachem?”. A Katarzyna Iwanowna nie darowała mu tego, ujęła się za nią... i tak się to zaczęło... A Sonieczka zachodzi do nas teraz przeważnie o zmroku, pomaga, jak może, Katarzynie Iwanownie i pieniędzmi ją wspiera... Mieszka u krawca Kapernaumowa jako sublokatorka, a ten Kapernaumow jest kulawy i jąka się, cała jego bardzo liczna rodzina się jąka. I żona jego też się jąka... Gnieźdzą się w jednym pokoju, a Sonia ma oddzielny, z przepierzeniem...

Hm, tak... Nędzarze i jękały... tak... Jak tylko wstałem nazajutrz z rana, włożyłem swoje łachmany, uniosłem ręce ku niebu i udałem się do jego ekscelencji Iwana Afanasjewicza. Zna pan ekscelencję Iwana Afanasjewicza? ... Nie? O, to nie zna pan człowieka Bożego! To wosk... wosk, jako świeczka przed obrazem taje! Raczył mnie wysłuchać i nawet łzy miał w oczach. „No, Marmieładow, powiada, raz już mnie zawiodłeś... Przyjmuję cię jeszcze raz na moją osobistą odpowiedzialność!... – tak dosłownie powiedział. – Pamiętaj, a teraz idź już sobie!”. Całowałem ślady stóp jego, rozumie się, w myśli, bo naprawdę nie pozwoliłby, będąc wysokim dygnitarzem i człowiekiem nowego, naukowego kierunku; wróciłem do domu i Boże, co tam się działo, kiedy powiedziałem, że znowu zostałem przyjęty do pracy i będę otrzymywał pensję...

Marmieładow, silnie podekscytowany, znowu przerwał. W tej chwili wpadła z ulicy cała grupa pijaków, już dobrze mających w czubie, a przy wejściu rozległy się dźwięki najętej katarynki i ochrypli głosik siedmioletniego dziecka, które śpiewało *Chutorek*<sup>[11]</sup>. Zrobiło się gwarno. Gospodarz i służba zajęli się gośćmi. Marmieładow, nie zwracając najmniejszej uwagi na przybyłych, opowiadał dalej. Widać było, że bardzo osłabł. Im bardziej się upijał, tym bardziej robił się gadatliwy. Wspomnienia o niedawnym powodzeniu w urzędzie ożywiły go, nawet twarz mu się rozjaśniła. Raskolnikow słuchał uważnie.

– Było to więc, panie kochany, pięć tygodni temu. Tak... Jak tylko się obie o tym dowiedziały, niby Katarzyna Iwanowna i Sonia... Boże święty, jakbym trafił do raju! Dawniej traktowano mnie jak jakie bydło, leżałem, a dokoła wymyślania i nic więcej. A potem na paluszkach chodzą, dzieci uspokajają: „Ojciec zmęczył się w biurze, odpoczywa, cicho, sza!”. Kawunię mi z rana dają, śmietankę gotują! Prawdziwą śmietankę zaczęły kupować, słyszy pan! I zupełnie nie rozumiałem, skąd wzięły na moje nowe umundurowanie jedenaście rubli pięćdziesiąt kopiejek! Buty, gorsy sztywne – piękne, mundur galowy, wszystko zdobyły w cudowny sposób za jedenaście i pół rubla. Przychodzę pierwszego dnia z urzędu, patrzę, a Katarzyna Iwanowna podaje obiad z dwóch dań: zupę i boczek z chrzanem, o czym dotychczas nie mieliśmy wyobrażenia. Nie miała żadnych sukien... dosłownie nic a nic, a tu od razu wystroiła się, jakby się gdzieś z wizytą wybierała, i to nie byle jak; po prostu z niczego wszystko potrafi zrobić: uczesze się, kołnierzyk jakiś przyfastryguje, mankieciki i jakby nie ta sama osoba, odmłodziła, wypiękniła. Soniuchna, kochanie moje, tylko pieniędzmi pomagała, bo powiada, do czasu nie wypada jej często u nas bywać, chyba że o zmroku, żeby nikt nie zauważył. Posłuchaj pan, posłuchaj! Przyszedłem po obiedzie, chciałem się zdrzemnąć i co by pan myślał, Katarzyna Iwanowna nie wytrzymała: tydzień temu pokłóciła się przecież z gospodynią, Amalią Fiodorowną, od najostatniejszych jej nawymyślała, a teraz ją na kawę zaprosiła. Dwie godziny siedziały i cały czas szeptały: że niby Siemion Zacharycz pracuje teraz i pensję dostaje, osobiście zameldował się u jego ekscelencji, a jego ekscelencja sam wyszedł z gabinetu, wszystkim kazał czekać, a Siemiona Zacharycza przy wszystkich za rękę wziął i do gabinetu

zaprosił. Słyszysz pan, słyszysz pan? „Pamiętam, powiada, Siemionie Zacharyczu, pańskie zasługi i chociaż ma pan lekkomyślną słabostkę, ale jako że pan teraz obiecuje i że bez pana źle się u nas działo, niech pan słucha!, to wierzę, powiada, pańskiemu słowu honoru”; oczywiście, wszyściuteńko to co do joty, powiadam panu, zmyśliła sobie i nawet nie z lekkomyślności, nie dla przechwały tylko! Nie, ona sama we wszystko to wierzy, własną fantazją się pociesza, jak Boga Kocham! Nawet nie mam jej tego za złe, o nie! A kiedy sześć dni temu przyniosłem swoją pierwszą pensję – dwadzieścia trzy ruble czterdzieści kopiejek – i oddałem jej wszystko co do grosza, Misiaczką mnie nawet nazwała: „Misiaczku, powiada, ty mój Kochany!”. I to sam na sam, rozumie pan? Co ona może we mnie widzieć i co ze mnie za małżonek? A ona nic, uszczypnęła mnie nawet w policzek. „Misiaczku ty mój!” – powiada.

Marmieładow umilkł, chciał się nawet uśmiechnąć, ale nagle zaczęła mu dziwnie drgać dolna szczęka. Zresztą opanował się siłą woli. Cały ten szynk, wygląd wykolejeńca, pięć nocy na barkach z sianem i butelka – obok tej jakiejś chorobliwej miłości do żony i rodziny – zupełnie zbijały z tropu słuchacza. Raskolnikow słuchał w napięciu, ale z przykrością. Zły był na siebie, że tu przyszedł.

– Szanowny panie, szanowny panie! – zawołał Marmieładow, gdy się już opanował – o, mój szanowny panie, może pana to śmieszy, jak i wszystkich innych, że zawracam panu głowę tymi głupimi szczegółami z mojego codziennego życia rodzinnego, ale dla mnie to nie jest do śmiechu! Bo ja to wszystko czuję... W ciągu całego tego rajskiego dnia w moim życiu i całego tego wieczoru bujałem w obłokach i marzyłem: o tym, jak wszystko urządzę, dzieci odzieję, jej spokój zapewnię, córkę jedyną z pohańbienia na łono rodziny przywrócę... I wiele jeszcze, wiele... To mi chyba wolno było, panie. Aliści, mój panie – Marmieładow niespodziewanie jakoś drgnął, podniósł głowę i spojrzał przenikliwie wprost w oczy swemu rozmówcy – nazajutrz, bezpośrednio po tych wszystkich marzeniach (a było to równo pięć dni temu), pod wieczór, niepostrzeżenie, jak nocny złodziej, wykradłem Katarzynie Iwanownie klucz od jej kufra i po kryjomu wyjąłem wszystko, co pozostało z mojej pensji, nie pamiętam już, ile, i oto spójrzcie na mnie wszyscy! Piąty dzień, jak z domu uciekłem, a tam mnie szukają. I z pracą koniec, a mundur galowy leży już w szynku przy moście Egipskim, w zamian otrzymałem ten oto strój... koniec ze wszystkim!

Marmieładow huknął się pięścią w czoło, zacisnął zęby, zamknął oczy i oparł się mocno łokciami o stół. Ale po chwili twarz mu się w okamgnieniu zmieniła, z wyrazem udanej przebiegłości i bezczelności spojrzał na Raskolnikowa, roześmiał się i powiedział:

– A dzisiaj byłem u Soni, wyprosiłem na klina! Hi, hi!...

– Czyżby dała? – krzyknął ktoś z przybyłych gości i ryknął śmiechem na całe gardło.

– O ta właśnie butelczyna kupiona jest za jej pieniądze – odpowiedział Marmieładow, zwracając się wyłącznie do Raskolnikowa. – Trzydzieści kopiejek mi dała własnymi rączkami, wszystko, co miała, na własne oczy

widziałem... Ani słowa nie wyrzekła, tylko spojrzała na mnie w milczeniu... Tak nie tu, na ziemi, a tam... cierpią za ludzi, płaczą po nich, ale wyrzutów nie robią, nie robią wyrzutów!... I to tym boleśniej, że nie robią wyrzutów!... Trzydzieści kopiejek, tak. A przecież i jej są one teraz potrzebne, no nie? Jak pan myśli, szanowny panie? Przecież ona musi teraz dbać o czystość. A przecież ta czystość, wiadomo jaka, drogo kosztuje, rozumie pan? Czy pan to rozumie? I pomadkę do ust kupić trzeba, bez tego ani rusz, jakiś buciczek kokieteryjny, żeby można było sukienkę unieść, kiedy się przez kałużę przechodzi. Czy szanowny pan rozumie, co znaczy owa czystość?! A ja, ojciec rodzony, te ostatnie trzydzieści kopiejek wyciągnąłem na klina. I piję! I już przepiłem!... I któż by się nad takim jak ja litował, co?... Żal panu mnie teraz czy nie? Niech pan mówi, żal czy nie żal? Hi, hi, hi, hi!...

Chciał sobie nalać wódki, ale w butelce nic już nie było.

– A kto by tam cię żałował? – huknął gospodarz, który się znowu znalazł obok nich.

Rozległ się śmiech, a nawet wyzwiska. Śmiali się i klęli wszyscy, ci, co słuchali, i ci, co nie słuchali, patrząc po prostu na byłego urzędnika.

– Żałować! A po cóż mnie żałować! – krzyknął rozpaczliwie Marmieladow, wstając z wyciągniętą przed siebie ręką, w prawdziwym natchnieniu, jakby tylko czekał na te słowa. – Po co, powiadasz, żałować? Słusznie! Żałować mnie nie ma za co! Ukrzyżować mnie trzeba, do krzyża przybić, a nie żałować! Lecz ukrzyżuj, sędzio, ukrzyżuj, a ukrzyżowawszy, ulituj się nad nim! Wówczas sam przyjdę do ciebie na mękę ukrzyżowania, albowiem pragnę nie uciech, lecz bólu i łez! Myślisz może, szynkarzu, że ta twoja butelka na dobre mi poszła? Boleści, boleści szukałem na jej dnie, boleści i łez, i znalazłem je, doświadczyłem; a ulituje się nad nami Ten, który ulitował się nad wszystkimi, który wszystko i wszystkich rozumiał, On jeden jedyny, On też jest sędzią. W dniu tym przyjdzie i zapyta: „Gdzie jest ta córa, co dla złej macochy, suchotami toczonej, dla cudzych dzieci nieletnich siebie w ofierze złożyła? Gdzie jest ta córa, co nad swoim ziemskim ojcem, pijanicą szkodliwym, nie brzydząc się opuszczenia jego, ulitowała się?”. I powie: „Przybądź do mnie! Opuściłem ci raz już winy twoje... Opuściłem już raz... I teraz odpuszczone ci są liczne grzechy twoje, jako że ty wiele umiłowiałaś...”<sup>[12]</sup>.

I daruje winy Soni mojej, jestem święcie przekonany, że daruje... Sercem to poczułem, kiedy ostatnio do niej przyszedłem i spojrzałem na nią!... I wszystkim sprawiedliwość uczyni, dobrym i złym, wyniosłym i pokornym... I gdy już ukończy sąd nad wszystkimi, wtedy i nas wezwie. „Przyjdźcie – powie – i wy! Przyjdźcie, opoje, przyjdźcie, słabi, przyjdźcie, pohańbieni!”. I staniemy wszyscy przed obliczem Jego, wstydu zapomniawszy. I usłyszymy głos Jego: „Świnie jesteście! Na obraz i podobieństwo bestii, aliści przyjdźcie i wy!”. I rzekną mędracy, rzekną szlachetni: „Boże! łaski swej im udzielasz?”. I tak Pan im odrzeczce: „Dlatego łaski swej im udzielam, o mędracy, że ani jeden z nich nigdy nie pomyślał nawet, że godny jest jej dostąpić...”. I wyciągnie ku nam ręce swoje, a my przypadniemy, przez łzy przejrzymy... i wszystko zrozumiemy! O, wtenczas wszystko zrozumiemy!... Wszyscy



przejrzają... nawet Katarzyna Iwanowna... i ona zrozumie... Panie, przyjdź królestwo Twoje.

I opadł wyczerpany na ławę, nie patrząc na nikogo, jak gdyby zapomniał o całym otoczeniu i pogrążył się w głęboką zadumę. Słowa jego wywarły pewne wrażenie, na chwilę zapanowała cisza, wkrótce jednak znowu rozległ się śmiech i wyzwiska.

– Rozgrzeszył!

– Natrajlował!

– Urzędniczyna!

I tak dalej, i tak dalej.

– Chodźmy stąd, mój panie – odezwał się naraz Marmieładow, podnosząc głowę i zwracając się do Raskolnikowa – niech pan mnie odprowadzi... Dom Kozela, w podwórzu. Czas już... do Katarzyny Iwanowny...

Raskolnikow już dawno miał ochotę wyjść i sam myślał o tym, żeby mu pomóc. Jak się okazało, Marmieładow był znacznie mocniejszy w mowie aniżeli w nogach, wobec czego oparł się mocno o Raskolnikowa. Mieli do przejścia dwieście, może trzysta kroków. W miarę zbliżania się do domu niepokój i strach coraz bardziej opanowywały pijaka.

– Nie Katarzyny Iwanowny boję się teraz i nie tego, że mnie zaczniesz targać za włosy – bełkotał nerwowo. – Co tam włosy! Włosy to głupstwo! Mówię panu! To może nawet i lepiej, że zaczniesz targać, ale nie tego się boję... a... jej oczu się boję... tak... oczu... Czerwonych plam na policzkach też się boję... i jeszcze jej oddechu... Widziałeś kiedy, jak przy tej chorobie oddycha się w stanie zdenerwowania? Płaczu dzieci też się boję... Bo jeżeli Sonia nie nakarmiła, to pojęcia nie mam, co się tam dzieje! Pojęcia nie mam! A bicia się nie boję!... Wiedz, dobrodzieju, że takie bicie nie tylko nie sprawia mi bólu, a nawet pewną rozkosz... Bo bez tego już się nie mogę obejść... Lepiej tak. Niech bije, ulży sobie na sercu... tak lepiej... O, tu mój dom. Dom Kozela. Ślusarza, Niemca, bogatego... prowadź!

Weszli od podwórza na trzecie piętro. Im wyżej, tym ciemniej było na schodach. Było już około jedenastej wieczór i chociaż w tym czasie w Petersburgu nie ma właściwie nocy, na schodach trzeciego piętra było zupełnie ciemno.

Niziutkie, zakopcone drzwi tuż przy schodach były otwarte. Dopalająca się świeczka oświetlała nędzny pokoik o długości niespełna dziesięciu kroków; całe wnętrze widać było z sieni. Wszystko było porozrzucane, w nieładzie, głównie różne fatałaszkę dziecięce. Kąt w głębi pokoju zawieszony był dziurawym prześcieradłem. Prawdopodobnie stało tam łóżko. W pokoju było wszystkiego dwa krzesła i ceratowa, strasznie obszarpana kanapa, przy której stał niemalowany i niczym nie nakryty sosnowy kuchenny stół. Na brzegu stołu stała w żelaznym lichtarzyku dogasająca świeczka. Jak się okazało, Marmieładow mieszkał nie kątem, lecz w oddzielnym pokoju, za to pokój był przechodni. Drzwi do dalszych pokoi, a raczej klitek, na jakie podzielone było mieszkanie Amalii Lippewechsel, były uchylone. Słysząc było stamtąd krzyki, hałasy i głośny śmiech. Zdaje się, że grano tam w karty i pito herbatę. Od czasu do czasu padały słowa zupełnie niecenzuralne.

Raskolnikow natychmiast rozpoznał Katarzynę Iwanowną. Była to strasznie wychudzona kobieta, wysmukła, dość wysoka i przystojna, z pięknymi jeszcze ciemnoblond włosami i istotnie, z czerwonymi wypiekami na policzkach. Chodziła z kąta w kąt po swoim niewielkim pokoiku, z zaciśniętymi na piersiach rękami, ze spieczonymi wargami i miała nierówny, przyśpieszony oddech. Oczy błyszczały jej jak w gorączce, ale spojrzenie miała ostre, nieruchome. Ta suchotnicza twarz sprawiała okropne wrażenie przy dogasającym, migotliwym płomyku świeczki. Wyglądała na lat trzydzieści i Raskolnikow pomyślał sobie, że rzeczywiście nie pasuje do Marmieładowa... Nie zauważyła nawet wchodzących; zdawała się być w stanie jakiegoś zapomnienia, nie słyszała i nie widziała nic. W pokoju było bardzo duszno, jednakże okna nie otwierała; z klatki schodowej okropnie cuchnęło, drzwi jednak nie zamknęła; z dalszych pokoi waliły przez uchylone drzwi kłęby dymu z papierosów, ona okropnie kaszlała, a jednak drzwi nie przymykała. Najmłodsza dziewczynka, może sześćioletnia, spała na podłodze w jakiejś dziwnej, siedzącej pozie, z głową wtuloną w kanapę. Chłopiec, o rok starszy od niej, drżał w kącie na całym ciele i płakał. Wyglądało na to, że przed chwilą go wygrzmocono. Starsza dziewczynka, w wieku lat dziewięciu, wysoka i cienka jak zapałka, w nędznej, podartej koszulinie i w narzuconym na ramionka kortowym paltociku, sprawionym jej prawdopodobnie ze dwa lata temu, bo nie sięgał teraz nawet do kolan, stała w kącie obok młodszego braciszka, obejmując go długą, chudą jak patyk ręką. Zdawała się go uspokajać, coś mu szeptała, różnymi sposobami usiłowała powstrzymać go, żeby się znów nie rozbeczał, równocześnie zaś ze strachem śledziła za matką swymi wielkimi, ciemnymi oczyma, które wydawały się w jej wychudłej i wystraszonej twarzyczce jeszcze większe, niż były w rzeczywistości.

Marmieładow, nie wchodząc do pokoju, uklęknął na progu, ale Raskolnikow pchnął go do wnętrza. Kobieta, spostrzegłszy nieznanomego, stanęła jakby w roztargnieniu przed nim i ocknąwszy się na chwilę, jakby siliła się odgadnąć, po co tu wszedł. Ale najprawdopodobniej pomyślała sobie, że idzie do dalszych pokoi, bo jej pokój był przechodni. W tym przekonaniu przestała na niego zwracać uwagę, skierowała się do drzwi od sieni, żeby je przymknąć, i nagle krzyknęła z przestachu, zauważywszy klęczącego na progu męża.

– A-a!... – wrzasnęła, wpadając w szal – wróciłeś! Kajdaniarzu! Bydlaku!... A gdzie pieniądze? Co masz w kieszeni, pokaż mi tu! I w innym ubraniu! Gdzie masz ubranie? Gdzie pieniądze? Gadaj!...

Rzuciła się do niego i zaczęła go rewidować. Marmieładow natychmiast jak najszerzej rozłożył ręce, żeby nie utrudniać jej rewizji w kieszeniach. Nie znalazła ani kopiejki.

– Gdzie są pieniądze?! – wrzasnęła. – Boże święty, wszystko przepił! Przecież dwanaście rubli było w kufrze...

I naraz z wściekłością złapała go za włosy i wciągnęła do pokoju. Marmieładow robił wszystko, żeby jej nie przeszkadzać, pełznąć za nią pokornie nakłęczkach.

– I to sprawia mi rozkosz! Nie ból, a roz-kosz, sza-now-ny pa-nie! – pokrzykiwał, trzęsąc się od targania go za włosy i raz nawet stuknął głową o podłogę.

Dzieciak, który spał na podłodze, obudził się i zaczął płakać. Chłopak, jakby dostał szału, zerwał się z kąta i rzucił się ku siostrze w okropnym strachu. Starsza dziewczynka drżała jak liść.

– Przepił! Wszystko, wszystko przepił! – krzyczała zrozpaczona biedna kobieta – i ubranie ma inne! Głodne, głodne! – I załamując ręce, wskazywała na dzieci. – O, życie trzykroć przekłęte! A panu, panu nie wstyd – rzuciła się nagle na Raskolnikowa – z szynku! Z nim chlałeś? Ty też z nim piłeś! Wynoś mi się stąd!

Młodzieniec wyniósł się natychmiast bez słowa. Zwłaszcza że otworzono na oścież drzwi z sąsiedniego pokoju i ukazały się zaciekawione twarze paru osób. Były obleśnie roześmiane, z papierosami w zębach, fajeczkami, w jarmułkach. Niektórzy byli w rozpiętych szlafrokach, inni znowu w nieprzyzwoicie skąpych letnich ubiorach, z kartami w rękę. Szczególnie bawili się wtedy, gdy Marmieładow, targany za włosy, krzyczał, że sprawia mu to rozkosz. Zaczęli nawet wchodzić do pokoju; wtem rozległ się groźny, przeraźliwy pisk: wkraczała do pokoju we własnej osobie Amalia Lippewechsel, żeby po swoim się tu rozprawić i po raz setny nastraszyć biedną kobietę urągliwym rozkazem natychmiastowego wyniesienia się z mieszkania. Wychodząc, Raskolnikow zdążył wsunąć rękę do kieszeni, wyjąć, ile się dało, miedziaków, które mu pozostały z rozmienionego w szynku rubla, i położyć niepostrzeżenie na oknie. Gdy już był na schodach, rozmyślił się i chciał nawet wrócić.

„Ale głupstwo zrobiłem – pomyślał sobie – oni mają Sonię, a przecież mnie samemu potrzeba”. Uznał jednak, że zabranie pieniędzy jest niemożliwe, zresztą i tak nie zrobiłby tego, machnął ręką i skierował się do domu. „Soni są przecież potrzebne pomadki – rozumował dalej, idąc ulicą i złośliwie się uśmiechając – ta czystość drogo kosztuje... Hm! A przecież sama Sonia też może zostać na lodzie, bo jest tu pewne ryzyko, może się nie udać polowanie na zwierza... poszukiwanie złota... no i jutro wszyscy zostaną na lodzie bez moich pieniędzy... Zuch Sonia! Taką studnię sobie wykopali! I korzystają z niej! Przecież korzystają! Przyzwyczaili się. Popłakali i przyzwyczaili się. Człowiek jest podły i do wszystkiego się przyzwyczaja”.

Zamyślił się.

„A co, jeżeli zełgałem – jęknął nagle mimo woli – jeżeli człowiek wcale *nie jest podły* sam przez się, to jest jako cały rodzaj ludzki, wówczas oznaczałoby to, że wszelkie skrupuły to tylko przesady wymyślone dla postrachu, że żadne granice nie istnieją, i tak powinno być...”.

Nazajutrz obudził się późno, miał bardzo niespokojny sen, który go bynajmniej nie pokrzepił. Obudził się bardzo zły, poirytowany, zgryźliwy i z nienawiścią oglądał swoją klitkę. Była to ciasna komórka o długości sześciu kroków i miała strasznie nędzny wygląd ze swoją pożółkłą, zakurzoną, odstającą wszędzie tapetą, a człowiekowi nawet niezbyt słusznego wzrostu wydawać się musiało, że lada chwila uderzy głową w sufit. Meble dostosowane były do wyglądu mieszkania: stały tu trzy stare, sfatygowane krzesła, w kącie malowany stół, na którym porzrucane były książki i kajety; z tego choćby, że strasznie były zakurzone, widać było, że ludzka ręka dawno ich nie dotykała; wreszcie, stała tu wielka, koślawa kanapa, która zajmowała pół pokoju. Kanapa ta niegdyś była obita materiałem, a teraz – obszarpana i dziurawa – służyła Raskolnikowowi za łóżko. Nieraz spał na niej w ubraniu, bez prześcieradła, pod swoim starym, znoszonym studenckim płaszczem, na jednym jaśku pod głową, pod który podkładał całą swoją bieliznę, czystą i brudną, żeby mu było nieco wyżej. Przy kanapie stał mały stolik.

Trudno było o większe opuszczenie i niechlujstwo niż to, w jakie wpadł Raskolnikow, ale czuł się w tym nawet dobrze przy obecnym stanie ducha. Zdecydowanie unikał ludzi, zasklepił się jak żółw w skorupie i nawet na widok służącej, która mu usługiwała, dostawał czegoś w rodzaju drgawek konwulsyjnych. Zdarza się to maniakom, którzy skupiają się na jakiejś jednej rzeczy. Gospodyni już od dwóch tygodni przestała go stołować, a jemu nawet przez myśl nie przeszło, żeby z nią pomówić, mimo że siedział bez obiadu. Nastazja, kucharka i jedyna służąca gospodyni, zadowolona była poniekąd z tego stanu sublokatora i zupełnie przestała mu sprzątać, zaledwie raz na tydzień brała miotłę do ręki. Właśnie tego rana obudziła go.

– Wstawaj, dosyć tego wylegiwania się! – wrzasnęła mu nad samym uchem – już dziesiąta. Herbatę ci przyniosłam; no, napijesz się? Zupełnie z ciała opadłeś.

Sublokator otworzył oczy, drgnął i poznał Nastazję.

– Gospodyni herbatę przysyła? – zapytał, podnosząc się ociężale.

– Jaka tam gospodyni!

Postawiła przed nim własny, wyszczerbiony imbryk z cienką herbatą i położyła dwie kostki żółtego cukru.

– Masz, Nastazjo, weź to – powiedział i grzebiąc w kieszeni (spął w ubraniu), wyjął kilka miedziaków – zejdź i kup mi bułkę. Kup też w masarni kawałek kiełbasy, byle tańszej.

– Bułkę ci zaraz przyniosę, a czy zamiast kiełbasy nie chciałbyś trochę gorącego barszczu? Fajny barszcz, wczorajszy. Wczoraj ci zostawiłam, ale wróciłeś późno. Dobry barszcz.

Gdy przyniosła barszcz i Raskolnikow zaczął jeść, Nastazja usiadła przy nim i zaczęła paplać. Była to wiejska baba i dlatego bardzo gadatliwa.

– A Praskowia Pawłowna już chce się na ciebie poskarżyć do policji – zaczęła.

Raskolnikow się skrzywił.

– Do policji? A czego ona chce?

– Pieniędzy nie płacisz i z mieszkania się nie wynosisz. Wiadomo.

– Do diabła, tego mi jeszcze brakowało – mruknął, zgrzytając zębami. – Bardzo mi to teraz... nie na rękę... Idiotka – dodał już głośno. – Dzisiaj do niej zajdę, pomówię z nią.

– Taka ona idiotka, jak i ja, a ty co, mądralo, tylko leżysz jak kłoda i żadnego pożytku z ciebie nie ma. Dawniej mówiłeś, że na lekcje do dzieci chodzisz, a teraz czemu nic nie robisz?

– Robię, robię... – niechętnie i ze złością odpowiedział Raskolnikow.

– Co robisz?

– Pracuję...

– Co to za robota?

– Myślę – poważnie odpowiedział po chwili milczenia.

Nastazja parsknęła śmiechem. W ogóle była śmieszka, a gdy ją rozśmieszono, pękała bezdźwięcznie ze śmiechu, kołysząc się i trzęsąc całą, aż mdłości ją brały.

– A dużo pieniędzy sobie wymyśliłeś? – wymówiła wreszcie.

– Bez butów trudno jest dzieci uczyć. Zresztą gwizdź na to.

– Gwizdź, gwizdź, to i na ciebie gwizdną!

– Za dzieci grosze płacą. Co za taki pieniądz można zrobić? – mówił dalej bardzo niechętnie, raczej odpowiadając własnym myślom.

– A ty chciałbyś od razu duży kapitał?

Spojrzał na nią dziwnie.

– Właśnie, duży kapitał – odpowiedział z naciskiem po chwili milczenia.

– Wolnego, wolnego, nie tak od razu, bo ażem się złąkła. No to co, lecieć po bułkę czy nie?

– Jak chcesz.

– Ach, zapomniałam! Wczoraj list przyszedł.

– List! Do mnie! Od kogo?

– Nie wiem od kogo. Własne trzy kopiejki zapłaciłam listonoszowi. Oddasz mi?

– Na rany boskie, dawaj go tu! – zawołał podniecony Raskolnikow. – Boże święty!

Po chwili już trzymał list. Tak, zgadł: był to list od matki z r-skiej guberni. Aż zbladł, biorąc list do ręki. Od dłuższego czasu nie otrzymywał już listów, ale też całkiem coś innego ścisnęło go nagle za serce.

– Nastazjo, błagam cię, wyjdź; masz tu swoje trzy kopiejki, tylko, na miły Bóg, wynoś się!

List drżał mu w ręku; nie chciał go przy niej otwierać: pragnął zostać z tym listem *sam na sam*. Po wyjściu Nastazji szybkim ruchem podniósł list do ust i pocałował; potem długo jeszcze wpatrywał się w charakter pisma, w znane mu i tak kochane, pochyłe literki wypisane ręką matki, która niegdyś uczyła go czytać i pisać. Nie miał odwagi odpieczętować listu, jak gdyby bał się czegoś. Wreszcie zdobył się na odwagę: był to wielki, ciężki list, ważący ze dwa łuty<sup>[13]</sup>; dwa arkusze papieru dużego formatu były szczelnie



wypełnione drobnym pismem.

*Kochany mój Rodia – pisała matka – oto już minęły dwa długie miesiące, jak nie gawędziłam z Tobą na piśmie, sama przez to cierpiałam i spędziłam niejedną noc bezsenną, myśląc o tym. Ale nie będziesz mi chyba miał za złe tego przymusowego mojego milczenia. Wiesz przecież, jak bardzo Cię kocham. Ja i Dunia mamy Ciebie jednego, Tyś dla nas wszystkim, całą nadzieją i oparciem. Trudno sobie wyobrazić, co działo się ze mną, kiedy się dowiedziałam, że już od kilku miesięcy porzuciłeś uniwersytet z braku środków do życia i że lekcje i inne źródła również Cię zawiodły! Czym Ci mogłam być pomocna, mając sto dwadzieścia rubli rocznej emerytury? Piętnaście rubli, które Ci przesłałam cztery miesiące temu, pożyczyłam, jak wiesz, na poczet tejże emerytury od tutejszego naszego kupca Wasyla Iwanowicza Wachruszyna. To jest dobry człowiek i był przyjacielem jeszcze Twojego ojca. I dając mu prawo podejmowania za mnie emerytury, musiałam czekać, aż zostanie spłacony dług, co właśnie dopiero teraz nastąpiło, tak że przez ten cały czas nie mogłam Ci nic więcej wysłać. Ale teraz, dzięki Bogu, mogę Ci znowu coś przesłać, zresztą teraz w ogóle mogę się pochwalić bogactwem, o czym właśnie chcę Ci zakomunikować. Po pierwsze, czy zgadłeś już, kochany Rodia, że siostra Twoja już od półtora miesiąca mieszka razem ze mną i już więcej się nie rozłączymy. Skończyły się już, dzięki Bogu, jej udręki, zresztą... opowiem Ci wszystko po porządku, żebyś się dowiedział, cośmy przeżyły, a co ukrywałyśmy dotychczas przed Tobą. Pamiętasz, jak ze dwa miesiące temu pisałeś, że słyszałeś od kogoś, jakoby Dunia była narażona na bardzo przykre rzeczy w domu państwa Swidrygajłowów, i żądałeś ode mnie szczegółowych wiadomości? Cóż mogłam Ci wtenczas odpisać? Gdybym Ci była napisała całą prawdę, to na pewno rzuciłbyś wszystko i choćby na piechotę przyszedłbyś do nas, bo przecież znam Twój charakter i serce, i nie pozwoliłbyś krzywdzić swojej siostry. Sama byłam w rozpacz, ale co mogłam na to poradzić? Nawet ja całej prawdy wtedy nie znałam. A najgorsze było to, że Dunia, idąc w zeszłym roku do nich za guwernantkę, wzięła z góry całe sto rubli pod warunkiem, że będą jej strącać z miesięcznej pensji, a więc nie mogła, niestety, porzucić posady przed spłaceniem długu. A prawdę powiedziawszy (teraz Ci mogę już wszystko powiedzieć, Mój Najdroższy Chłopcze), pieniądze te wzięła właściwie dlatego, żeby móc Tobie wysłać sześćdziesiąt rubli, które były Ci tak bardzo potrzebne i które otrzymałeś od nas w zeszłym roku. Obie Cię wtedy oszukałyśmy, pisząc, że są to pieniądze zaoszczędzone dawniej przez Dunię, ale tak nie było, a teraz donoszę Ci całą prawdę, bo nagle z woli Pana Boga wszystko odmieniło się na lepsze. O, gdybyś mógł wiedzieć, jak Dunia Cię kocha i co to za złote serce! Rzeczywiście, pan Swidrygajłow początkowo obchodził się z nią wielce ordynarnie, prawil jej przy stole różne impertynencje i robił docinki... Ale nie chcę się wdawać w te wszystkie bolesne szczegóły, żeby Ciebie niepotrzebnie nie denerwować, zwłaszcza że to wszystko już się skończyło. Krótko mówiąc, mimo dobroci i szlachetności Marfy Pietrowny, małżonki p. Swidrygajłowa, oraz wszystkich domowników Duni było bardzo ciężko, szczególnie gdy p. Swidrygajłow był starym, pułkowym zwyczajem*

pod wpływem Bachusa<sup>[14]</sup>. Ale co się potem okazało? Wyobraź sobie, że ten wariat już od dawna zapalał do Duni afektem i uczucia swoje ukrywał pod pozorem gburowatości i szyderstwa. Możliwe, że sam się tego wstydził i bał, wiedząc przecież, że jest już w podeszłym wieku i ma rodzinę, wobec czego rozumiał też może, że płonne są jego nadzieje, i dlatego właśnie był mimo woli zły na Dunię. A możliwe, że przez to ordynarne traktowanie i kpiny chciał tylko ukryć istotny stan rzeczy wobec innych. Ale po pewnym czasie nie wytrzymał i ośmielił się zrobić Duni jawnie bezecną propozycję, obiecując jej złote góry, a ponadto chciał porzucić wszystko i wyjechać z nią do innej wsi albo nawet i za granicę. Możesz sobie wyobrazić jej cierpienia. Natychmiast porzucić posady nie mogła nie tylko z powodu długu, ale i oszczędzając Marfę Pietrownę, która mogłaby powziąć jakieś podejrzenie, a to rozstroiłoby życie rodzinne. Poza tym byłby to również skandal dla Duni, bo tak gładko to przejść nie mogło. Był jeszcze szereg innych powodów, tak że przed upływem sześciu tygodni Dunia w żadnym razie nie mogła liczyć na wyrwanie się z tego koszmarnego domu. Oczywiście znasz dobrze Dunię, wiesz, jaka jest mądra i jaki ma mocny charakter. Dunia potrafi bardzo dużo znieść i nawet w najgorszej sytuacji znajdzie w sobie tyle siły, żeby się nie poddać rozpacz. Nawet mi wszystkiego nie napisała, żeby mnie zbytnio nie martwić, a przecież często korespondowałyśmy ze sobą. Ale rozwiązanie nastąpiło szybko i niespodziewanie. Marfa Pietrowna przypadkowo podsłuchiwała swojego męża, jak nagabywał Dunię w ogrodzie, zrozumiała to na opak i ją o wszystko oskarżyła w przekonaniu, że to ona jest wszystkiemu winna. Od razu na miejscu, w ogrodzie, urządziła jej straszną scenę: Marfa Pietrowna nawet uderzyła Dunię, nie chciała nic słuchać, a sama wrzeszczała całą godzinę, wreszcie kazała natychmiast odwieźć Dunię do mnie do miasta na zwyczajnej chłopskiej furze, na którą zwalili, jak popadło, wszystkie jej rzeczy, bieliznę, sukienki, niepopakowane i niezwiązane. A tu jak na złość spadł ulewny deszcz i Dunia, dotknięta do żywego i zhańbiona, musiała przejechać z chłopem całe siedemnaście wiorst otwartą furą. Pomyśl więc, co mogłam Ci napisać o tym wszystkim w odpowiedzi na Twój list sprzed dwóch miesięcy? Byłam sama w rozpacz; nie miałam odwagi napisać prawdy, bo Ty sam byłeś wtedy nieszczęśliwy, zdenerwowany i zrozpaczony, zresztą, co Ty byś na to mógł poradzić? A znowu wypisywać różne głupstwa, kiedy ma się na sercu taki ciężar – tego me mogłam. Przez cały miesiąc utrzymywały się w naszym mieście o tej historii niesłychane plotki, doszło do tego, że nie mogłyśmy z Dunią już nawet chodzić do cerkwi, żeby nie widzieć tych wszystkich pogardliwych spojrzeń i nie słyszeć szeptów, a nawet głośnych rozmów przy nas prowadzonych. Wszyscy znajomi odsunęli się od nas, przestali się nawet kłaniać, a potem dowiedziałam się z pewnego źródła, że subiekci sklepowi i niektórzy kanceliści zamierzali nas publicznie napiętnować przez wysmarowanie bramy naszego domu dziegciem, tak że gospodarze zaczęli się domagać, byśmy się wyprowadziły. Wszystkiemu winna była Marfa Pietrowna, która zdążyła już oczernić i zhańbić Dunię we wszystkich domach. Wszyscy ją tu znają i akurat tego miesiąca co rusz przyjeżdżała do miasta, a że jest gadatliwa i lubi rozpowiadać o swoich sprawach rodzinnych,

szczególnie skarżyć się na swojego męża każdemu napotkanemu, choć to jest bardzo nieładnie, to rozniosła całą tę historię w bardzo krótkim czasie nie tylko po mieście, ale nawet w powiecie. Ja zachorowałam, Dunia okazała się silniejsza ode mnie. Gdybyś mógł widzieć, jak ona to dzielnie znosiła i jeszcze mnie pocieszała i podtrzymywała na duchu! To anioł! Ale z łaski Opatrzności męki nasze się skończyły; pan Swidrygajłow zreflektował się, żałując tego, co zrobił, i prawdopodobnie litując się nad Dunią, przedstawił Marfie Pietrownie wystarczające i oczywiste dowody niewinności Duni, a mianowicie: list, który Dunia jeszcze przedtem, zanim Marfa Pietrowna zastała ich w ogrodzie, zmuszona była napisać i wręczyć mu, żeby uniknąć osobistych rozmów i potajemnych spotkań, których on się domagał. List ten po wyjeździe Duni został u p. Swidrygajłowa. W liście tym z całym temperamentem swoim i najwyższym oburzeniem wyrzucała mu właśnie całą nieszlachetność jego zachowania się względem Marfy Pietrowny, przypominała mu, że jest ojcem rodziny i wreszcie, że to podłe z jego strony jest męczyć i unieszczęśliwiać i tak już nieszczęśliwą, bezbronną pannę. Słowem, Kochany Rodia, list ten był tak szlachetnie i rozczulająco napisany, że rzewnie płakałam, czytając go, i dotychczas nie mogę go czytać bez łez. Oprócz tego na dowód niewinności Duni przemówiła wreszcie służba, która jak zwykle bywa, widziała i wiedziała znacznie więcej, niż mógł przypuszczać p. Swidrygajłow. Marfa Pietrowna była niesłychanie zdumiona i „znów zrozpaczona”, jak sama się przyznała, ale za to ostatecznie przekonana o niewinności Duni i zaraz nazajutrz, w niedzielę, przyjechała wprost do soboru i tam na klęczkach, ze łzami w oczach upraszała Najświętszą Panią, by pozwoliła jej znieść to nowe doświadczenie i wypełnić swoją powinność. Potem, wprost z soboru, nie wstępując do nikogo, przyjechała do nas, opowiedziała nam wszystko, rzewnie płakała i z wielką skruchą obejmowała Dunie, błagając ją o przebaczenie. Tego samego rana, nie zwlekając ani chwili, wprost od nas objechała wszystkich swoich znajomych w mieście i w słowach pełnych pochwały dla Duni, ze łzami w oczach dowodziła niewinności Duni, szlachetności jej uczuć oraz zachowania. Więcej nawet, wszystkim pokazywała i czytała na głos własnoręczny list Duni do pana Swidrygajłowa i nawet pozwalała robić odpisy tego listu (co, zdaje się, było już zupełnie zbyteczne). W ten sposób musiała przez kilka dni odwiedzać wszystkich w mieście, bo niektórzy poczuli się dotknięci, że innym okazała pierwszeństwo, tak że została ustanowiona kolejność wizyt i w każdym domu naprzód już wiedzieli, że takiego a takiego dnia Marfa Pietrowna będzie odczytywać ten list, a na każde takie czytanie zbierali się nawet ci, którzy go już słyszeli kilkakrotnie, u siebie i u innych znajomych. Mnie się wydaje, że bynajmniej nie wszystko to było potrzebne, ale Marfa Pietrowna ma już takie usposobienie. W każdym razie Marfa Pietrowna całkowicie zrehabilitowała Dunie i cała ohyda tej sprawy odbiła się niezatartym piętnem na jej mężu jako głównym winowajcy, tak że nawet żal mi go teraz. To już było zbyt okrutne wobec tego wariata. Duni od razu zaczęto proponować korepetycje w niektórych domach, ale kategorycznie odmówiła. W ogóle wszyscy zaczęli się do niej odnosić ze szczególną atencją. Wszystko to razem, między

innymi, było przyczyną faktu, dzięki któremu, śmiało rzecz można, gruntownie odmienia się nasz los. Dowiedz się tedy, Kochany Rodia, że Duni oświadczył się kawaler i że ona zdążyła już wyrazić swoją zgodę, o czym właśnie śpieszę Cię jak najprędzej zawiadomić. Chociaż stało się to wszystko bez Twojej rady, ale chyba nie będziesz miał do nas urazy, bo sam się przekonasz, że sprawy wzięły taki obrót, iż odkładanie decyzji do otrzymania od Ciebie odpowiedzi było dla nas rzeczą niemożliwą. Zresztą, nie mógłbyś nawet ocenić dokładnie wszystkiego zaocznie. A stało się to wszystko tak. On jest już radcą dworu<sup>[15]</sup>, nazywa się Piotr Pietrowicz Łużyn i jest dalekim krewnym Marfy Pietrowny, która w znacznej mierze do tego się przyczyniła. Zaczął od tego, że przez nią wyraził chęć poznania nas, został przyjęty, jak się patrzy, na kawce, a już nazajutrz nadesłał list, w którym w bardzo uprzejmej formie oświadczył się i prosił o szybką i definitywną odpowiedź. Jest to człowiek bardzo zajęty, pracowity, właśnie teraz śpieszy się do Petersburga, tak że nie ma ani chwili do stracenia. Rozumiesz chyba, że w pierwszej chwili byliśmy niezmiernie zdumione, bo to wszystko stało się tak szybko i niespodziewanie. Rozmyślałyśmy i zastanawiałyśmy się nad tym obie przez cały dzień. Jest to człowiek, który ma przyszłość zabezpieczoną, solidny, ma aż dwie posady i zebrał już własny kapitał. Co prawda, ma już 45 lat, jednakże jest zupełnie miły i może się jeszcze podobać kobietom, słowem, jest to w ogóle człowiek bardzo przyzwoity i solidny, może tylko trochę ponury i jakby wyniosły. Możliwe jednak, że robi tylko takie wrażenie na pierwszy rzut oka. Chcę Cię uprzedzić, kochany Rodia, że jak się z nim zobaczysz w Petersburgu, co nastąpi w najbliższym czasie, nie wydawaj o nim sądu zbyt pochopnie i prędko, jak to zwykle u Ciebie bywa, nawet gdyby na pierwszy rzut oka coś miałoby Ci się w nim nie podobać. Mówię Ci to na wszelki wypadek, choć przekonana jestem, że sprawi na Tobie jak najlepsze wrażenie. W ogóle uważam, że aby kogoś poznać, należy badać go ostrożnie i delikatnie, żeby się pośpiesznie nie uprzedzić do niego, bo to potem bardzo trudno jest wykorzenić. A Piotr Pietrowicz, przynajmniej wszelkie pozory za tym przemawiają, jest człowiekiem całkowicie godnym szacunku. W czasie pierwszej swojej wizyty oświadczył nam, że jest człowiekiem solidnym, lecz pod wieloma względami podziela, jak sam się wyraził, „poglądy naszego nowego pokolenia” i jest wrogiem wszelkich przesądów. Dużo jeszcze powiedział, bo jest jakby trochę chełpliwy i lubi bardzo, żeby go słuchano, ale to przecież nie jest taką znowu wadą. Oczywiście, mało z tego zrozumiałam, ale Duni wytłumaczyła mi, że choć wykształcenie ma niewielkie, jest człowiekiem rozsądnym i zdaje się być dobry. Znasz przecież charakter swojej siostry. Jest to dziewczyna o twardym charakterze, rozsądna, cierpliwa i szlachetna, chociaż o zbyt zapalczywym sercu, które znam doskonale. Przyznać należy, że ani z jej, ani z jego strony nie ma tu nadzwyczajnej miłości, ale wiesz przecież, że Duni to mądre dziecko, poza tym niesłychanie szlachetna istota, słowem istny anioł, i będzie uważała za swój obowiązek dać szczęście mężowi, który ze swej strony będzie dbał o jej szczęście, a co do tego ostatniego nie mamy na razie specjalnych powodów, by wątpić, jakkolwiek bardzo prędko się to



wszystko skleciło. Trzeba zauważyć, że on jest jednak człowiekiem roztropnym i naturalnie sam się przekona, że jego własne szczęście małżeńskie będzie tym bardziej zapewnione, im szczęśliwsza będzie z nim Dunia. A że są tam jakieś braki charakteru, może jakieś dawne przyzwyczajenia i pewna niezgodność poglądów (czego nie można uniknąć w najszczęśliwszych małżeństwach), to pod tym względem sama Dunia mi powiedziała, że ona liczy tylko na siebie, że nie ma co się tu niepokoić i że potrafi bardzo dużo znieść pod warunkiem, że przyszłe stosunki będą uczciwe i sprawiedliwe. A wygląd zewnętrzny człowieka bywa bardzo złudny. Na przykład, on wydawał mi się w pierwszej chwili jakby trochę obcesowy, ale może to właśnie stąd wynika, iż jest to człowiek otwarty, myślę, że nawet na pewno taki jest. W czasie drugiej wizyty, już po otrzymaniu zgody, wyznał w rozmowie, że przedtem jeszcze, zanim poznał Dunię, postanowił pobrać się z dziewczyną uczciwą, ale bez posagu i obowiązkowo taką, która już zaznała biedy, bo jak się wyraził, mąż nie powinien niczego zawdzięczać żonie, ale jest bardzo dobrze, gdy żona uważa swego męża za dobrodzieja. Dodać muszę, że on to wszystko powiedział nieco grzeczniej i serdeczniej, niż ja Ci to piszę, ale zapomniałam, jak się dokładnie wyraził, pamiętam tylko sens, a zresztą nie powiedział tego bynajmniej z premedytacją, lecz najwidoczniej po prostu wygadał się w toku rozmowy, tak że potem starał się nawet osłabić wrażenie; mimo wszystko wydało mi się to jakby zbyt obcesowe i podzieliłam się potem swoim wrażeniem z Dunią. Ale Dunia nawet z pewną urazą odpowiedziała mi, że „słowa to jeszcze nie czyny”, i oczywiście ma słuszość. Zanim wyraziła ostateczną zgodę, Dunia nie spała całuchną noc, a przypuszczając, że ja już śpię, wstała z łóżka i całą noc chodziła z kąta w kąt, wreszcie uklękła przed obrazem świętym i długo żarliwie się modliła, a nazajutrz z rana oświadczyła, że gotowa jest go przyjąć.

Wspomniałam Ci już, że Piotr Pietrowicz wybiera się właśnie do Petersburga. Ma tam bardzo poważne sprawy, chce bowiem założyć w Petersburgu kancelarię adwokacką. On od dawna już zajmuje się różnymi sprawami sądowymi, w tych dniach wygrał nawet wielki proces. Do Petersburga dlatego jeszcze musi jechać, że ma tam poważną sprawę w senacie<sup>[16]</sup>. W takim razie, Kochany Rodia, i Tobie się bardzo przyda, będzie Ci mógł być pomocny we wszystkim, a myśmy razem z Dunią już zdecydowały, że mógłbyś choćby od teraz rozpocząć swoją przyszłą karierę i możesz uważać swój los za zupełnie określony. Och, gdyby się to spełniło! Byłoby to tak wspaniałe, że musielibyśmy uznać to za szczególną łaskę Opatrzności. Dunia marzy tylko o tym. Odważyłyśmy się nawet napomknąć coś niecoś o tym Piotrowi Pietrowiczowi. Odpowiedział dość oględnie, że oczywiście bez sekretarza obejść się nie może i rzecz jasna woli płacić pensję krewnemu niż obcemu, jeżeli tylko okaże się zdolny na tym stanowisku (Ty miałbyś się nie okazać zdolnym!), ale zaraz wyraził też wątpliwość, czy twoje zajęcia uniwersyteckie pozwolą Ci poświęcić czas jego kancelarii. Tym razem rozmowa na tym się skończyła, ale Dunia o niczym więcej nie myśli, jak tylko o tym. Od kilku dni chodzi jak w gorączce i ma już cały projekt, jak to w przyszłości możesz zostać współpracownikiem, a nawet współnikiem Piotra Pietrowicza w jego

sprawach sądowych, zwłaszcza że jesteś przecież na wydziale prawnym. Zgadza się z nią najzupełniej, Mój Kochany, i podzielam wszystkie jej plany i nadzieje, bo urzeczywistnienie ich jest całkiem prawdopodobne; nie bacząc na obecną, zupełnie zrozumiałą rezerwę Piotra Pietrowicza (bo przecież zupełnie Cię nie zna), Dunia jest przekonana, że wszystko przeprowadzi swoim dobrym wpływem na przyszłego męża i święcie w to wierzy. Rozumie się, że broń Boże, nie zdradziłyśmy się wobec Piotra Pietrowicza ani jednym słówkiem o naszych marzeniach na przyszłość, a zwłaszcza o tym, że ty jesteś jego przyszłym współnikiem. Jest to człowiek praktyczny i na pewno przyjąłby to bardzo oschle, bo wydawałoby mu się to wszystko bujaniem w obłokach. Również ani ja, ani Dunia nawet jednym słówkiem nie wspomniałyśmy mu o tym, że głęboko wierzymy w to, iż on dopomoże nam w utrzymaniu Ciebie w Petersburgu, dopóki jesteś na uniwersytecie; a dlatego nie mówiłyśmy o tym, że po pierwsze, w przyszłości samo się to ułoży, a on z pewnością sam Ci to zaproponuje (niemożliwe, żeby miał tego odmówić Duni), tym bardziej że na pewno zostaniesz w kancelarii jego prawą ręką, a pomoc nie będzie miała charakteru dobrodziejstwa, bo będzie to zapracowana przez Ciebie pensja. To chce przeprowadzić Dunia, a ja się z nią zgadzam w zupełności. Po drugie, dlatego jeszcze nie mówiłyśmy mu o tym, że miałam ogromną chęć przy najbliższym spotkaniu waszym postawić Cię na równi z nim. Kiedy Dunia opowiadała mu o Tobie z zachwytem, powiedział, że każdego człowieka należy poznać osobiście i z bliska, żeby móc o nim wydawać sąd, i że on chce sobie wyrobić pojęcie o Tobie po osobistym zapoznaniu się z Tobą. Wiesz co, Najdroższy Mój Synu, z pewnego względu wydaje mi się (bynajmniej nie ma to nic wspólnego z Piotrem Pietrowiczem, a wynika z pewnych moich, może babskich czy starczych kaprysów), że może lepiej zrobić, jeżeli po ich ślubie będę mieszkać oddzielnie, jak teraz sobie mieszkam, a nie razem z nimi. Przekonana jestem, że on będzie na tyle szlachetny i delikatny, że sam mnie zaprosi i zaproponuje mi, żebym nie rozstawała się więcej z córką, a jeśli jeszcze nie wspominał mi o tym, to oczywiście dlatego tylko, że rozumie się to samo przez się, ale ja propozycji tej nie przyjmę. Nieraz w życiu przekonywałam się, że teściowe nie bardzo przypadają do gustu zięciom, a ja nie tylko dla nikogo na świecie nie chcę być najmniejszym choćby ciężarem, ale sama chcę być zupełnie swobodną, dopóki mam jeszcze jakie takie własne okruchy i takie dzieci, jak ty i Dunia. Jeżeli to będzie możliwe, zamieszkać, Synu, przy was obojgu, bo widzisz, najprzyjemniejszą nowinę zachowałam na ostatek: dowiedźże się, Kochany, że może w bardzo krótkim czasie spotkamy się znowu we troje i uścśniemy się po prawie trzyletniej rozłące! Ostatecznie jest już postanowione, że ja i Dunia wyjeżdżamy do Petersburga, nie wiem jeszcze kiedy, ale już bardzo prędko, może nawet za tydzień. Wszystko zależy od dyspozycji Piotra Pietrowicza, który natychmiast po przyjeździe do Petersburga rozejrzy się tam i da nam znać. Z pewnych względów pragnie on możliwie przyśpieszyć ceremonię ślubu i nawet w miarę możliwości wyprawić wesele już teraz, w mięsopuście, a jeżeli się to nie uda ze względu na krótki czas, to zaraz po Wniebowzięciu. O, jakże uszczęśliwiona uściskam Cię, Kochanie! Dunia aż



drży z radości na samą myśl zobaczenia się z Tobą i raz nawet jakby żartem powiedziała, że choćby dla tego samego wyszłaby za mąż za Piotra Pietrowicza. To istny anioł! Ona nie dopisuje się teraz do listu, ale kazała Ci napisać, że ma tyle z Tobą do pomówienia, tak bardzo dużo, że nie wiedziałaby, od czego zacząć, bo w kilku wierszach niczego nie napisze, a tylko się zdenerwuje; kazała Cię bardzo serdecznie uścisnąć i przesłać Ci milion całusów. Pomimo tego, że może zobaczymy się już wkrótce, postaram się wysłać Ci w tych dniach pieniądze, możliwie najwięcej. Teraz, kiedy się dowiedziano, że Dunia wychodzi za mąż za Piotra Pietrowicza, mój kredyt od razu się powiększył i jestem przekonana, że Afanasij Iwanowicz zawierzy mi na poczet emerytury nawet do siedemdziesięciu pięciu rubli, tak że chyba będę mogła Ci wysłać jakieś dwadzieścia pięć rubli, a może nawet i trzydzieści. Wysłałabym Ci więcej, ale obawiam się, że może nam nie wystarczyć na koszt podróży. Chociaż Piotr Pietrowicz był tak łaskawy, że wziął na siebie część kosztów naszego wyjazdu do stolicy, mianowicie podjął się na własny koszt dostarczyć nasze bagaże i wielki kufer (ma to zrobić przez swoich znajomych), mimo to jednak musimy brać w rachubę przyjazd do Petersburga, gdzie nie można pokazać się bez grosza, chociażby na ten pierwszy czas. Zresztą wszystko już z Dunią ściśle obliczyliśmy i okazało się, że droga pochłonie niewiele pieniędzy. Do kolei mamy wszystkiego dziewięćdziesiąt wiorst i na wszelki wypadek zgodziłyśmy już pewnego znajomego furmana, a dalej możemy spokojnie jechać trzecią klasą. Możliwe więc, że uda mi się wysłać Ci nie dwadzieścia pięć rubli, a prawie na pewno trzydzieści. Ale dosyć już tego: zapisałam całe dwa arkusze, tak że już więcej miejsca nie mam. To wszystkie nasze dzieje. A sporo się przez ten czas zebrało! A teraz, Najukochańszy Mój Synu, ściskam Cię serdecznie i błogosławię macierzyńskim błogosławieństwem. Kochaj Dunię, siostrę swoją, Rodia, kochaj ją tak, jak ona Ciebie kocha, wiedz o tym, że ona kocha Cię bezgranicznie, więcej niż samą siebie. Dunia to anioł, a ty, Rodia, jesteś dla nas wszystkim – całą naszą nadzieją i oparciem. Bądź tylko szczęśliwy, to i my będziemy szczęśliwe.

Czy modlisz się jeszcze do Boga, Rodia, tak jak dawniej, czy wierzysz w dobroć i wszechmoc Stwórcy i Zbawcy naszego? Drzę na myśl o tym, że i Ciebie mogła nawiedzić modna dzisiaj niewiara. Jeśli tak jest, to ja będę się modlić za Ciebie. Przypomnij sobie, Kochany, jak to w dzieciństwie, jeszcze za życia Twego ojca, szczebiotałeś modlitwy na moich kolanach i jacy byliśmy wówczas wszyscy szczęśliwi! Żegnaj, a raczej do zobaczenia! Najserdeczniejsze uściski i milion całusów.

Twoja do grobowej deski

Pulcheria Raskolnikowa

Przez cały czas czytania listu, od początku do końca, Raskolnikow miał twarz mokrą od łez, lecz gdy skończył, twarz mu zbladła i konwulsyjnie drgała, a sarkastyczny, zły uśmieszek wykrzywiał wargi. Oparł głowę o swój nędzny jasiek i zamyślił się. Serce waliło mu jak młotem, a myśli kotłowały się w głowie. Po pewnym czasie zrobiło mu się duszno i ciasno w tej żółtej komórce, podobnej do szafy albo do kufra. Oczy i myśli domagały się

powietrza, przestrzeni. Chwycił więc kapelusz i wyszedł, nie bojąc się już tym razem jakiegokolwiek spotkania na schodach: po prostu zapomniał o tym. Skierował się zaś ku Wyspie Wasiljewskiej i ruszył prospektem W-  
kim, jak gdyby spieszył się dokądś w ważnej sprawie; swoim zwyczajem szedł, nie widząc drogi, szepcząc coś do siebie, a chwilami nawet mówił coś na głos, co niepomiernie dziwiło przechodniów. Wielu z nich brało go za pijanego.

List matki strasznie go przygnębił. Ale co do najważniejszego, kapitalnego punktu nie miał wątpliwości ani przez chwilę, nawet podczas czytania listu. Już zdecydował, i to ostatecznie: „Póki życia mego tego ślubu nie będzie, niech szlag trafi pana Łużyna!”.

„Przecież to jest sprawa oczywista – mruzczał sam do siebie, uśmiechając się boleśnie i złośliwie triumfując na myśl o swojej decyzji. – O nie, mateczko, nie, Duniu, nie nabierzecie mnie!... A jeszcze przepraszają, że nie zasięgnęły mojej rady i beze mnie powzięły decyzję! Dobre sobie! Myślą, że teraz już nie można zerwać. Zobaczmy, można czy nie! Jaka kapitalna wymówka: to taki niby solidny człowiek ten Piotr Pietrowicz, taki zajęty, że nawet ożenić się nie może inaczej, jak tylko galopem, omal nie w wagonie. Nie, Duniu, wszystko widzę i wiem, o czym to ze mną masz tak wiele do pomówienia; wiem również, o czym dumiałaś całą noc, chodząc z kąta w kąt po pokoju, i dlaczego tak żarliwie modliłaś się przed obrazem Matki Boskiej Kazańskiej, który wisi w maminej sypialni. Ciężko iść na Golgotę. Hm... A więc sprawa już ostatecznie zdecydowana: raczy pani wychodzić za mąż, Awdotio Romanowno, za solidnego i rzeczowego człowieka, który posiada swój kapitalik (już posiada swój kapitalik – to brzmi solidniej i bardziej imponująco), ma dwie posady, podziela poglądy naszego nowego pokolenia (jak pisze mateczka) i *zdaje się* być dobry, jak zauważyła Dunia. To *zdaje się* jest najkapitalniejsze! I ta sama Dunia wychodzi za mąż za to *zdaje się*!... Paradne! Paradne!...

Ciekawe jednak, dlaczego matka pisze mi o tym «nowym pokoleniu»? Czy po prostu dla scharakteryzowania osoby, czy też w jakimś ukrytym celu: żeby mnie przychylnie usposobić do pana Łużyna? O, przebiegłe są! Pragnąłbym wyjaśnić jeszcze jedną okoliczność: do jakiego stopnia były szczere ze sobą owego dnia, owej nocy i cały czas potem? Czy *wszystko* zostało wyraźnie i otwarcie powiedziane, czy też obie zrozumiały, że jedna i druga ma jednakowy ciężar na sercu, jednakowo rozumują, więc nie ma co wypowiadać się na głos i niepotrzebnie się zdradzać. Prawdopodobnie tak właśnie po części było, to z listu widać: mateczce wydał się *nieco* zbyt obcesowy i naiwna mateczka od razu wyrwała się do Duni ze swoimi uwagami. A ona, oczywiście, rozżłościła się i odpowiedziała «nawet z pewną urazą». Dobre sobie! Kogóż by to nie rozwścieczyło, kiedy sprawa jest jasna bez naiwnych pytań i kiedy już zostało zdecydowane, że nie ma o czym mówić. I jak mi tu jeszcze pisze: «Kochaj Dunię, Rodia, bo ona kocha Cię więcej niż samą siebie»; czy to nie wyrzuty sumienia męczą ją w głębi duszy za to, że zgodziła się poświęcić córkę dla syna? «Tyś naszą nadzieją, tyś dla nas wszystkim!» O, mateczko!...”.

Złość coraz bardziej w nim wzbierała i zdawało mu się, że gdyby teraz spotkał pana Łużyna, zabiłby go na miejscu!

„Hm, co prawda, to prawda – szedł dalej śladem płaczących mu się w głowie myśli – żeby poznać człowieka, trzeba istotnie «badać go ostrożnie i delikatnie»; ale pana Łużyna widzę jak na dłoni. Najważniejsze, że jest to

«człowiek solidny i *zdaje się* być dobry»: ho, ho, to nie żarty, wziął na siebie przewóz rzeczy, wielki kufer przewozi na swój koszt! No to jakże mógłby nie być dobry? A one, *narzeczona* i matka, zgodziły już chłopca z furą nakrytą rogożą (jeździłem tak przecież!). Głupstwo! «Wszystkiego dziewięćdziesiąt wiorst», a dalej «mogą spokojnie jechać trzecią klasą», z tysiąc wiorst. I słusznie: poznać pana po cholewach; a pan co, panie Łużyn? Przecież to pańska narzeczona... i nie mógł pan przecież nie wiedzieć, że matka pożyczka pieniądze na drogę pod zastaw emerytury? Rozumiem, w pańskim pojęciu jest to układ handlowy, przedsiębiorstwo oparte na obustronnych korzyściach i równych udziałach, czyli że wydatki też pół na pół, wedle przysłowia: kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi. Ale ten solidny człowiek trochę je tu orznął: bagaż kosztuje przecież mniej niż przejazd, a może będzie bez żadnej opłaty. Cóż to, żadna z nich nie widzi tego czy też nie chce widzieć? Bo przecież są zadowolone, bardzo zadowolone! I pomyśleć tylko, że to dopiero kwiatki, owoce zaś czekają je jeszcze! A najważniejsze, że nie chodzi tu o skąpstwo, nie chodzi o sknerstwo, lecz o ton w całej tej sprawie. Przecież to jest zapowiedź tego, co będzie po ślubie... I czegoż to mateczka tak się rozhulała? Z czym przyjedzie do Petersburga? Z trzema rublami albo z dwoma «papierkami», jak mawia tamta... starucha... Z czego myśli żyć w Petersburgu potem? Przecież już się z jakichś powodów domyśliła, że *nie będzie mogła* mieszkać razem z Dunią po ślubie, nawet w tym pierwszym okresie. Ten sympatyczny człowiek z pewnością wygadał się jakoś, dał to do zrozumienia, choć mateczka rękami i nogami się zapiera: «Propozycji tej, powiada, nie przyjmę». Co to znaczy, na co ona liczy: na te sto dwadzieścia rubli emerytury i to jeszcze ze spłatą długu u Afanasija Iwanowicza? Wiem, wiem, dzierga chustki zimowe, haftuje mankieciki do sukien, psuje swoje stare oczy. Ale chustki te dodają wszystkiego dwadzieścia rubli rocznie do tych stu dwudziestu, wiem przecież dobrze o tym. Wynika z tego, że mimo wszystko polegają na szlachetności serca pana Łużyna: «Sam niby proponuje, zaprosi». Czekaj, tatko, latka! Szykuj kiesę! Zawsze tak bywa u tych schillerowskich<sup>[17]</sup> szlachetnych marzycieli: do ostatniej chwili stroją człowieka w pawie pióra, do ostatniej chwili liczą na dobro, a nie zło i chociaż wyczuwają odwrotną stronę medalu, za żadne skarby nie powiedzą sobie gorzkiej prawdy: ciarki je przechodzą na samą myśl o tym; rękami i nogami bronią się przed prawdą, dopóki ten admirowany człowiek własnoręcznie nie przytrze im nosa. Ciekawe też, czy szanowny pan Łużyn ma order; gotów jestem się założyć, że ma jakąś Annę w klapie<sup>[18]</sup> i że wkłada ją na przyjęcia u dostawców i kupców. Z pewnością włoży ją również na swój ślub! Zresztą, pal go diabli!...

...Że mateczka tak rozumuje, Bóg z nią, już się nie zmieni, ale Dunia, co Dunia? Duniu, droga moja, przecież ja cię znam! Przecież miałaś już dwudziesty rok, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni: dobrze poznałem twój charakter. Matka pisze właśnie, że «Dunia potrafi bardzo dużo znieść». Sam o tym wiedziałem. Wiedziałem o tym już dwa i pół roku temu i właśnie przez dwa i pół roku zastanawiałem się nad tym, że «Dunia potrafi bardzo dużo

znieść». Skoro mogła znieść pana Swidrygajłowa ze wszystkimi płynącymi stąd konsekwencjami, to istotnie bardzo wiele potrafi znieść. A teraz razem z mateczką wyobraziłaś sobie, panno, że potrafisz znieść i pana Łużyna, który rozwija teorię, że lepsze są żony wyrwane z nędzy i traktujące przeto męża jako swego dobroczyńcę. A najlepsze jest to, że wygłasza tę swoją teorięomalże na pierwszej wizycie. Przypuśćmy nawet, że się przypadkowo «wygadał», mimo że jest człowiekiem rzeczowym (a może wcale się nie wygadał, a właśnie pośpieszył z wyjaśnieniem sytuacji), ale Dunia, co na to Dunia? Przecież dla niej człowiek ten jest przejrzysty, a będzie z nim musiała żyć. Ale ona będzie jadała chleb razowy i popijała wodą, a duszy swej w żadnym razie nie zaprzeda, nie odda wolności moralnej za komfort, za cały Szlezwig-Holsztyn<sup>[19]</sup> nie odda, a tym bardziej za jakiegoś pana Łużyna. O nie, nie taka była Dunia, o ile ją pamiętam, i... na pewno się nie zmieniła!... Wykluczone! Co tu dużo mówić! Ciężko jest ze Swidrygajłowami! Ciężko jest za dwieście rubli przez całe życie tłuc się po różnych guberniach jako guwernantka, a jednak przekonany jestem, że moja siostra prędzej zgodzi się harować jak Murzyn u plantatora<sup>[20]</sup> albo Łotyszka u Prusaka<sup>[21]</sup>, niżby miała spodlić swą duszę i zasady moralne związkami z człowiekiem, którego nie szanuje i z którym nie ma nic wspólnego, spodlić na całe życie wyłącznie dla osobistej korzyści! I niechby sobie pan Łużyn był z najszlachetniejszego złota albo z brylantów utkany, to i wówczas nie zgodzi się zostać legalną nałożnicą pana Łużyna! Dlaczego jednak teraz się zgadza? W czym tkwi tajemnica? O co chodzi?

Rozumiem już: dla siebie samej, dla własnego komfortu, nawet dla uratowania się od niechybnej śmierci nie zaprzeda się, ale dla innego właśnie się zaprzeda! Zaprzeda się dla kochanego, ubóstwianego człowieka! Oto gdzie tkwi rozwiązanie zagadki: zaprzeda się dla brata, dla matki! Wszystko zaprzeda! O, przy takiej okazji potrafimy stłumić nasze poczucie moralne; wolność, spokój, a nawet sumienie, wszystko, wszyściuteńko zaniesiemy na targowisko. Niechaj przepada życie! Byle tylko szczęśliwe były ukochane przez nas istoty. Co więcej, wymyślimy własną kazuistykę, od jezuitów zaczerpniemy rozumowanie, ba, na pewien czas samych siebie uspokoimy, będziemy się przekonywać, że istotnie tak trzeba dla szlachetnego celu. Tacy jesteśmy i wszystko jest jasne jak słońce. Rozumie się, że to nikt inny, tylko Rodion Romanowicz Raskolnikow stoi na pierwszym planie. Tamten może go uszczęśliwić, utrzymać na uniwersytecie, zrobić z niego współnika kancelarii, zabezpieczyć go na całe życie; w przyszłości może nawet zostanie milionerem, powszechnie szanowanym, a może zakończy życie jako sławna osoba! A matka? Przecież tu chodzi o Rodię, nieocenionego Rodię, jedynaka! Czyż można dla takiego jedynaka nie poświęcić nawet takiej córki! O, drogie i niesprawiedliwe serca! Co tu dużo mówić: tu nas nawet los Sonieczki nie odstraszy! Sonieczka, Sonieczka Marmieładowa, wieczna Sonieczka, jak świat światem! A czyście ogrom ofiary, tej ofiary zmierzyły? No więc? Czy podołacie jej? Czy będzie z niej pożytek? Czy to ma sens? Czy wiesz, moja panno Duniu, że los Sonieczki

niczym nie jest gorszy od życia z panem Łużynem? «Nie ma tu nadzwyczajnej miłości», pisze matka. A co, jeśli poza miłością nie ma tu nawet mowy o szacunku, a przeciwnie, jest już wstręt, pogarda, odraza, cóż wtedy? Okaże się, że i w tym wypadku przyjdzie dbać o tę «osobliwą czystość» Sonieczki. Mam rację czy nie? Czy wy rozumiecie, czy jesteście w stanie pojąć, czym jest owa czystość? Czy rozumiecie, że czystość z Łużynem niczym się nie różni od czystości Sonieczki, a może nawet jest znacznie gorsza, ohydniejsza, podlejsza, bo twój komfort, panno Duniu, jest wyrachowany, a tam najzwyczajniej w świecie o umknięcie śmierci głodowej chodziło: O, drogo, bardzo drogo, moja Duniu, kosztuje owa czystość! A co, jeżeli w przyszłości sił zabraknie i zaczniesz żałować? Ileż to będzie smutku, cierpienia, przekleństw i łez przed wszystkimi skrywanymi, bo nie jesteś przecież Marfą Pietrowną? A z matką co się wówczas stanie? Już teraz zdradza ona niepokój, męczy się; cóż będzie wówczas, gdy zrozumie wszystko? A co ze mną?... Cóż, u licha, myślałyście o mnie? Nie chcę twojej ofiary, panno Duniu, nie chcę, mateczko! To się nie stanie, nigdy w życiu, za nic na świecie póki mego życia! Nie przyjmuję!».

Naraz jakby się opamiętał i stanął.

„Nie stanie się? A cóż ty takiego przedsięweźmiesz, żeby to się nie mogło stać? Zabronisz? A jakie masz po temu prawo? Co ty możesz im w zamian obiecać, żeby osiąść takie prawo? Obiecasz poświęcić im swoje życie, całą swoją przyszłość, *gdy ukończysz uniwersytet i otrzymasz posadę!* Słyszeliśmy już o tym, ale to są obietniczki cacanki, a teraz co? Przecież tu trzeba teraz coś przedsięwziąć, czy ty to rozumiesz? A ty co teraz robisz? Okradasz je właśnie. Przecież pieniądze dostają pod zastaw sturublowej emerytury i u państwa Swidrygajłowów! A w jaki sposób uchronisz je przed Swidrygajłowami albo przed Afanasijem Iwanowiczem Wachruszynie ty, milionerze przyszły, Zeusie rozporządzający ich losem? Za lat dziesięć? W ciągu tych dziesięciu lat matka zdąży oślepnąć od wyszywania albo od łez przelanych, zmarnieje z głodu, a siostra? No, pomyśl tylko, co może się stać z siostrą za dziesięć lat albo i w ciągu tych lat dziesięciu? Domyśliłeś się?».

Tak oto podniecał się i dręczył tymi pytaniami, a robił to nawet z pewną lubością. Zresztą nie były to pytania nowe, powstałe nagle, lecz dawne, bardzo dawne, ale wciąż bolesne. Już od dawna zaczęły go dręczyć i ciążyły na sercu. Już od bardzo dawna zrodził się w nim ból obecny, wzbierał, potężniał, a ostatnimi czasy dojrzał i skoncentrował się, przyjmując formę okropnego, koszmarnego i obsesyjnego pytania, które jątrzyło mu umysł i serce, nieodwołalnie domagając się rozwiązania. A teraz list matki spadł na niego jak piorun z jasnego nieba. Oczywiście w tej sytuacji nie wolno było poddawać się smutkowi i biernie cierpieć, poprzestając na stwierdzeniu, iż są to kwestie nierozwiązalne, a trzeba było za wszelką cenę coś robić, i to już, natychmiast. Trzeba się było za wszelką cenę na coś zdecydować, na cokolwiek, albo...

„Albo zgoła wyrzec się życia! – zawołał nagle w jakimś zapamiętaniu – przyjmując pokornie taki los, jaki jest, raz na zawsze, i stłumić w sobie wszystko, wyrzekając się wszelkiego prawa do czynu, życia i miłości!».



„Czy rozumie pan, czy jest pan w stanie pojąć, szanowny panie, co to znaczy, kiedy nie ma już dokąd pójść? – przypomniało mu się naraz wczorajsze pytanie Marmieładowa. – Przecież musi tak być, żeby każdy człowiek miał dokąd pójść!...”.

Nagle drgnął: błysnęła mu w głowie pewna, również wczorajsza myśl. Właściwie drgnął nie dlatego, że pojawiła się ta myśl. Wiedział przecież, *przeczuwał*, że ona musi „się pojawić” i czekał na nią; zresztą była to myśl wcale nie wczorajsza. Różnica jednak polegała na tym, że miesiąc temu, ba, nawet wczoraj jeszcze była tylko abstrakcją, a teraz... teraz zjawiała się nie jako abstrakcja, a w jakiejś nowej, groźniejszej i zupełnie mu nieznannej postaci i nagle zdał sobie z tego sprawę... Zahuczało mu w głowie, pociemniało w oczach.

Obejrzał się raptownie, czegoś szukał. Chciał usiąść i szukał ławki; przechodził właśnie K-skim bulwarem. Dostrzegł ławkę o sto kroków przed sobą. Skierował się tam, jak mógł najszybciej, ale po drodze miał małą przygodę, która na kilka minut przykuła jego uwagę.

Upatrując sobie ławkę, zauważył o dwadzieścia kroków przed sobą jakąś kobietę, lecz na razie nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, jak i w ogóle na otaczające go przedmioty. Nieraz mu się już zdarzało, że na przykład szedł do domu i nie pamiętał drogi, jaką przeszedł; do takiego chodzenia już się przyzwyczał. Ale przechodząca kobieta miała w sobie coś tak dziwnego i tak rzucającego się w oczy, że stopniowo zaczęła przykuwać jego uwagę – na razie robił to niechętnie i nawet z pewną złością, potem jednak zaczęło go to coraz bardziej absorbować. Zapragnął naraz odgadnąć, co właściwie tkwiło w tej kobiecie. Po pierwsze, była to widocznie młodzianka dziewczyna, bo szła przy takim upale z gołą głową, bez parasolki i rękawiczek, jakoś komicznie wymachując rękami. Miała na sobie lekką, jedwabną sukienkę, ale również jakoś dziwnie na niej leżącą, ledwie pozapinaną, a z tyłu w talii, tam, gdzie się zaczyna spódnica, rozerwaną; oderwany był cały kawałek materiału, który zwisał i dyndał. Na obnażoną szyję miała narzuconą małą chusteczkę, która również jakoś krzywo sterczała na bok. Na dobytek dziewczyna szła niepewnym krokiem, potykając się co chwila i chwiejąc się na wszystkie strony. Spotkanie to pochłonęło bez reszty całą uwagę Raskolnikowa. Zetknęli się oboje akurat przy samej ławce, ale doszedłszy do ławki, dziewczyna opadła na nią całym ciałem, przechyliła głowę przez poręcz i przymknęła oczy, widocznie z nadmiernego zmęczenia. Wpatrując się w nią, natychmiast domyślił się, że była zupełnie pijana. Dziwny i niesamowity był to widok. Pomyślał sobie nawet, czy aby się nie pomylił, miał bowiem przed sobą zupełnie młodą twarzyczkę dziewczynki w wieku lat szesnastu, może nawet piętnastu – drobnej, ładniutkiej, jasnowłosej. Dziewczyna była cała rozogniona i twarz miała jakby nieco obrzękłą. Była prawie nieprzytomna; założyła nogę na nogę i widać było, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że jest na ulicy.

Raskolnikow nie usiadł, ale nie chciał odejść i stał przy niej zdumiony. Bulwar ten zawsze jest pusty, teraz zaś, o godzinie drugiej, w tak straszny upał nie było tam żywej duszy. Ale jakieś piętnaście kroków od ławki,

z boku, zatrzymał się jakiś pan, który miał widocznie ogromną ochotę podejść do dziewczyny w określonym zamiarze. Prawdopodobnie dostrzegł ją również z daleka i dopędził, ale przeszkodził mu w tym Raskolnikow. Rzucił więc na niego wściekłe spojrzenia, ale tak, by ten ich nie zauważył, i niecierpliwie czekał, aż odejdzie natarczywy oberwaniec. Sprawa prosta. Był to jegomość koło trzydziestki, tłusty, dobrze zbudowany, krew z mlekiem, o różowych ustach, z małym wąsikiem i bardzo modnie ubrany. Raskolnikowa ogarnęła szewska pasja; miał ochotę w jakiś sposób obrazić tego opasłego elegancika. Zostawił więc na chwilę dziewczynę i podszedł do niego.

– Hej tam, panie Swidrygajłow<sup>[22]</sup>? Czego pan tu sterczy? – zawołał, zaciskając pięści i śmiejąc się zapienionymi z wściekłości wargami.

– A bo co? – surowym tonem zapytał elegant, marszcząc brwi i mierząc wyniośle Raskolnikowa.

– Precz stąd i basta!

– Jak śmiesz, ty kanalio!...

I zamachnął się szpicrutą. Raskolnikow rzucił się na niego z pięściami, nie zdając sobie sprawy z tego, że silne panisko dałoby sobie radę z dwoma takimi jak on. W tej chwili jednak ktoś mocną ręką chwycił go z tyłu: między nimi stanął policjant.

– Hola, panowie, proszę bez bijatyki w miejscu publicznym. Czego pan sobie życzy? Kim pan jest? – zwrócił się ostrym tonem do Raskolnikowa, spoglądając na jego łachmany.

Raskolnikow spojrział na niego uważnie. Była to dzielna twarz wiarusa, z siwymi wąsami i baczkami, o niegłupim wyrazie.

– Właśnie pan mi jest potrzebny – zawołał, chwytając go za rękaw. – Jestem byłym studentem, nazywam się Raskolnikow... Przy okazji o tym niech się i pan dowie – zwrócił się do eleganta. – A pan niech pójdzie za mną, coś panu pokażę...

I schwyciwszy policjanta za rękę, zaprowadził go do ławki.

– O, proszę, niech pan spojrzy, jest całkiem pijana, szła właśnie bulwarem: kto ją wie, co to za jedna, ale nie widzi mi się, żeby była zawodowa... Prawdopodobnie gdzieś ją spoili i uwiedli... po raz pierwszy... rozumie pan? I tak ją puścili na ulicę. Niech pan spojrzy, jak podartą ma suknię i jak jest włożona: przecież ją ubierano, a nie ona sama się ubierała i widać, że ubierały ją nieumiejętne ręce, męskie. To widać. A teraz niech pan spojrzy tutaj: na tego elegancika, z którym przed chwilą chciałem się zmierzyć, zupełnie go nie znam, po raz pierwszy go widzę, ale on też ją przyuważył, taką pijaną i nieprzytomną, no i miał ogromną ochotę podejść i zwabić ją, bo jest w takim właśnie stanie, i gdzieś ją uprowadzić... Na pewno tak jest; niech mi pan wierzy, że się nie mylę. Na własne oczy widziałem, jak ją obserwował i śledził, tylko mu przeszkodziłem i teraz czeka, aż odejdę. Widzi pan, odszedł tylko o kilka kroków i stoi, niby skręca papierosa... Jak by mu tu przeszkodzić? Może moglibyśmy ją jakoś odprowadzić do domu, niech pan coś poradzi!

Policjant w jednej chwili zrozumiał wszystko i domyślił się, o co chodzi.

Z grubym elegantem sprawa była jasna, pozostawała jeszcze dziewczyna. Policjant nachylił się, żeby się jej dokładniej przyjrzeć, i na twarzy jego odmalowało się szczególne współczucie.

– Och, biedaczka! – odezwał się, kiwając głową – toż to jeszcze prawie dziecko. Uwiedli ją, nic innego. Panienko, panienko – zawołał na nią – gdzie panienka mieszka?

Dziewczyna otworzyła zmęczone i oswiałe oczy, nieprzytomnie spojrzała na indagujących ją mężczyzn i machnęła tylko ręką.

– Proszę – powiedział Raskolnikow (wyciągnął przy tym z kieszeni 20 kopiejek; na szczęście znalazło się). – Niech pan weźmie te pieniądze, zawoła dorożkarza i każe odwieźć ją do domu. Tylko musimy dowiedzieć się od niej adresu.

– Panienko, panienko! – znowu indagował policjant, zainkasowawszy pieniądze. – Zaraz wezmę dorożkę i sam panią odwiozę. Dokąd pani każe? Co? Gdzie pani mieszka?

– Jazda stąd!... czego się czepiacie!... – warknęła dziewczyna i znów machnęła ręką.

– O, to nieładnie, bardzo nieładnie! Wstydziłaby się panienka. – Znowu pokiwał głową, zawstydzając ją, współczując i oburzając się na przemian. – To ci kłopot! – zwrócił się do Raskolnikowa, mierząc go znowu od stóp do głów. Widocznie i jemu wydał się dziwny, bo taki obdartus, a szasta groszem.

– Gdzie ją pan znalazł? – zapytał go.

– Mówię przecież panu: szła przede mną, chwiejąc się, tym samym bulwarem. Ledwie zdołała dojść do ławki i zwała się na nią.

– O, co to za bezwstydnny świat zrobił się teraz! Boże Święty! Ledwie od ziemi odrosła i już pijana! Uprawdzili ją, jak amen w pacierzu! O, i suknię ma rozerwaną... Co za rozpusta zapanowała na świecie!... A widać, że jest z dobrej rodziny, pewnie z jakiej biednej... Dziś dużo jest takich. Z wyglądu jest taka delikatna, jak prawdziwa panienka. – I znowu nad nią się nachylił.

Może i on miał dorastające córki – „prawdziwe panienki, bardzo delikatne”, z pretensjami do dobrego wychowania, ale zerkające na dzisiejszą modę...

– Najważniejsze – troskał się Raskolnikow – żeby temu szubrawcowi przeszkodzić! Jeszcze on będzie się nad nią znęcać! Od razu widać, czego taki chce; widzicie go, drania, ani się ruszy z miejsca!

Raskolnikow mówił głośno i niedwuznacznie wskazywał na eleganta palcem. Ten usłyszał to i chciał już dać wyraz swojej wściekłości, ale się pohamował, ograniczając się do pogardliwego spojrzenia. Po chwili odszedł jeszcze z dziesięć kroków i znowu się zatrzymał.

– Jemu przeszkodzić to niby można – powiedział stary kapral w zamyśleniu. – Byleby ta panna powiedziała, dokąd ją odwieźć, bo inaczej... Panienko, panienko! – Nachylił się znowu.

Naraz dziewczyna szeroko rozwarła oczy, rozejrzała się uważnie, jakby już coś rozumiała, podniosła się z ławki i poszła z powrotem w tym kierunku, skąd przyszła.

– Tfu, bezwstydnicy, zaczepiają! – ofuknęła ich. Odeszła szybkim krokiem, chwiejąc się, jak i przedtem. Elegant ruszył za nią równoległą aleją, nie

spuszczając z niej oczu.

– Niech się pan nie obawia, nie pozwolę – kategorycznie oświadczył wąsal i poszedł za nimi.

– Och, ileż to teraz rozpusty rozplenilo się na świecie! – powtórzył na głos i westchnął.

W tej chwili jakby coś ugryzło Raskolnikowa, jakby coś go wewnątrz szarpnęło.

– Hej, panie posterunkowy! – krzyknął w ślad za wąsalem. Ten odwrócił się.

– Daj pan spokój! Co panu do tego? Zostaw pan ją! Niech się zabawi. – Wskazał na eleganta. – Po co ma się pan fatygować?

Policjant nic nie rozumiał i spoglądał rozwartymi ze zdumienia oczyma. Raskolnikow roześmiał się.

– Et! – mruknął stary kapral, machnął ręką i poszedł w ślad za elegantem i dziewczyną, najwyraźniej biorąc Raskolnikowa za obłąkanego albo za coś jeszcze gorszego.

„A moje dwadzieścia kopiejek zabrał – z wściekłością powiedział Raskolnikow, gdy został już sam. – No, trudno, od tego też weźmie i puści z nim dziewczynę, na pewno tak się skończy... I po co się tu pchałem, z moją pomocą! Ja mam pomagać? Czy ja mam prawo pomagać? A niechby się żywcem nawet pozżerali, co mi do tego? Jak śmiałem oddać te dwadzieścia kopiejek! Czyż one były moje?”

Były to dziwne słowa, a jemu zrobiło się bardzo ciężko. Opadł na wolną ławkę. Nie mógł zebrać myśli... I w ogóle trudno mu było w tej chwili o cokolwiek myśleć. Pragnął zapomnieć się zupełnie, o wszystkim zapomnieć, potem przebudzić się i zacząć wszystko od początku...

„Biedna dziewczyna – powiedział, spojrzawszy na opuszczone przez nią miejsce na ławce. – Ocknie się, popłacze, potem matka się dowie... Prawdopodobnie zbije ją, boleśnie i haniebnie, a może nawet wypędzi... A jeśli nawet nie wypędzi, to i tak różne Darie Francewiny przewąchają i zaczną się dziewczę puszczać na wszystkie strony... Potem do szpitala (zawsze tak bywa z tymi, które żyją przy uczciwych matkach i po cichu się zabawiają), no a dalej... jeszcze raz szpital... wódka... knajpy... znowu szpital... po dwóch, trzech latach kompletna kaleka, a ma taka dziewiętnaście wiosen albo i osiemnaście... Czyż nie widziałem takich? A jak schodziły na taką drogę? Właśnie tak... Tfu! Niech je tam! Wszystko, jak powiadają, w porządku. Taki a taki procent, powiadają, musi odpadać rokrocznie... Odpływa gdzieś... do diabła chyba, żeby resztę uzdrawiać i nie przeszkadzać<sup>[23]</sup>. Procent! Zaiste, cudowne słówko wymyślili: takie to uspokajające, naukowe. Powiedziano: procent, a więc nie ma się co niepokoić. Gdyby jakieś inne słówko, o wtedy... wtedy może byłoby mniej spokojnie... A co, jeśli Dunia w ten procent trafi!... Nie w ten, to w jakiś inny!

Dokąd właściwie idę? – pomyślał naraz. – Dziwne. Właściwie po coś szedłem. Jak tylko przeczytałem list, zerwałem się i wyszedłem... Na Wyspę Wasiljewską do Razumichina się wybrałem, o tak, teraz pamiętam. Ale właściwie w jakim celu? I dlaczego przyszło mi w tej chwili na myśl, żeby pójść do Razumichina? To kapitalne”.

Zdziwił się samemu sobie. Razumichin był jednym z jego dawnych kolegów uniwersyteckich. Ciekawe, że Raskolnikow, będąc na uniwersytecie, prawie wcale nie miał kolegów, stronił od wszystkich, do nikogo nie chodził, a u siebie przyjmował bardzo niechętnie. Wkrótce wszyscy się od niego odwrócili. Ani w zebraniach, ani w rozmowach, ani w zabawach, słowem, w niczym jakoś nie brał udziału. Uczył się bardzo intensywnie, nie szczędząc zdrowia, i za to wszyscy go szanowali, ale nikt go nie lubił. Był bardzo biedny, jakoś nienaturalnie wyniosły i nietowarzyski; jak gdyby ukrywał coś bardzo ważnego.

Niektórym jego kolegom wydawało się, że patrzy na nich jak na dzieci, jak gdyby górował nad wszystkimi umysłem, wiedzą i poglądami, a ich poglądy i zainteresowania traktował jako coś niższego.

Jednakże z Razumichinem jakoś bardziej się zbliżył, a raczej nie zbliżył się, a po prostu więcej z nim obcował, był z nim bardziej szczery. Zresztą z Razumichinem nie można było być w innych stosunkach. Był to niezwykle wesoły i towarzyski młodzieniec, bezgranicznie dobry i prosty. Przez tę prostotę przebijała jednak głębia i poczucie godności. Lepszy jego koledzy rozumieli to i wszyscy go lubili. Był niegłupi, choć czasami istotnie zanadto prostacki. Miał wyrazistą powierzchowność – wysoki, chudy, zawsze źle ogolony, czarnowłosy. Czasami wszczywał awantury i uchodził za osiłka. Pewnego razu w nocy, w towarzystwie, jednym uderzeniem pięści zwałił z nóg potężnie zbudowanego stróża porządku. Pić wódkę potrafił bez miary, ale mógł się również obejść bez niej; czasami aż nieprzyzwoicie rozrabiał, ale potrafił też wcale nie rozrabiać. Razumichin odznaczał się jeszcze tym, że żadne niepowodzenie nie mogło go zbić z tropu i nawet najgorsze okoliczności nie były w stanie go zgnębić. Mieszkać mógł nawet na dachu, znosił piekielny głód i niezwykły chłód. Był bardzo biedny i sam się utrzymywał, zarabiając na życie jakimiś pracami. Znał niezliczoną ilość źródeł, z których mógł czerpać pieniądze, rozumie się, zarobione. Pewnego razu przez całą zimę nie opalał swego pokoju i twierdził, że nawet jest to bardzo przyjemne, bo w zimnie lepiej się sypia. Obecnie również był zmuszony opuścić uniwersytet, ale tylko na krótki czas, i z całych sił starał się naprawić swą sytuację materialną, by móc kontynuować studia. Raskolnikow nie był u niego już ze cztery miesiące, a Razumichin nie znał nawet jego adresu. Pewnego razu, ze dwa miesiące temu, spotkali się przypadkowo na ulicy, ale Raskolnikow odwrócił się i przeszedł na drugą stronę, żeby kolega go nie zauważył. Razumichin zauważył go, poszedł jednak dalej, by nie niepokoić przyjaciela.

„Racja, przecież niedawno jeszcze zamierzałem odwiedzić Razumichina i poprosić go, by postarał mi się o lekcje lub jakąkolwiek inną pracę... – myślał Raskolnikow – ale jak może mi teraz pomóc? Dajmy na to, że załatwi mi lekcje, przypuśćmy nawet, że podzieli się ostatnim groszem, jeżeli sam ma ten grosz, tak że można będzie nawet kupić buty i doprowadzić do porządku ubranie, żeby móc chodzić na lekcje... hm... A co dalej? Co ja za te grosze zrobię? Czy to jest mi teraz potrzebne? Doprawdy śmieszne, żebym zwracał się do Razumichina”.

Kwestia, dlaczego udał się teraz do Razumichina, zaniepokoiła go bardziej, aniżeli sam mógł przypuszczać; ze szczególną trwogą doszukiwał się jakiegoś złowrogiego dla siebie sensu w tym, wydawałoby się, nic nieznaczącym fakcie.

„Jak to, czyżbym chciał naprawić całą sytuację wizytą u Razumichina i w nim znalazł wyjście?” – pytał sam siebie ze zdziwieniem.

Długo myślał, tarł sobie czoło i rzecz dziwna, niespodziewanie, wbrew jego woli przyszła mu do głowy po długim zastanawianiu się dziwaczna myśl.

„Hm... do Razumichina – powiedział naraz całkiem spokojnie, jakby powziął ostateczną decyzję – do Razumichina, oczywiście, pójdę... ale nie teraz... Pójdę do niego... nazajutrz po *tamtym*, kiedy *tamto* już się stanie i wszystko się odmieni...”.

W tym momencie opamiętał się.

„Po *tamtym*! – krzyknął, zrywając się z ławki. – A czy *tamto* w ogóle się stanie? Czyżby rzeczywiście miało się stać?”.

Wstał z ławki i poszedł, raczej pobiegł; zamierzał właściwie wrócić do domu, ale naraz opanowało go niesłychane obrzydzenie do własnego mieszkania: właśnie tam, w tej dziurze, w tej ohydnej szafie *tamto* dojrzewało z górą miesiąc, i poszedł, gdzie go oczy poniosły.

Nerwowo dreszcz przeszedł w jakieś dziwne drżenie, jakby zaczęła go trząść febra; mimo upału zrobiło mu się zimno. Z dużym wysiłkiem, na pół świadomie, instynktownie zaczął się uporczywie wpatrywać we wszystkie napotymane przedmioty, jak gdyby szukał możliwości rozerwania się, ale to mu się nie udawało, bo ciągle wpadał w zadumę. Gdy zaś, drżąc ciągle, podnosił głowę i rozglądał się dookoła, natychmiast zapominał, o czym przed chwilą myślał, a nawet którądy przechodził. Przeszedł tak całą Wyspę Wasiljewską aż do Małej Newy, przeszedł przez most, po czym zawrócił na Wyspy<sup>[24]</sup>. Zieleń i świeże powietrze w pierwszej chwili przypadły do gustu jego zmęczonym oczom, przywykłym do wielkomiejskiego kurzu, wapna i ogromnych, stłoczonych i ponurych kamienic. Nie było tu ani zaduchu, ani cuchnących wyziewów, ani szynków. Ale po chwili i te nowe, miłe wrażenia ustąpiły chorobliwemu rozdrażnieniu. Chwilami zatrzymywał się przed jakąś tonącą w zieleni willą, oglądał żywopłoty, widział z daleka, na balkonach i werandach, wystrojone panie i biegające po ogrodzie dzieci. Szczególnie podobały mu się kwiaty, najdłużej im się przypatrywał. Spotykał eleganckie



powozy, panów i panie na koniach, odprowadzał ich wzrokiem, ale zapominał o nich wcześniej, aniżeli znikali mu z oczu. Raz zatrzymał się i przeliczył swoje pieniądze; doliczył się około trzydziestu kopiejek. „Dwadzieścia – policjantowi, trzy – Nastazji za list, czyli że Marmieładowom zostawiłem wczoraj czterdzieści siedem albo pięćdziesiąt kopiejek” – pomyślał, licząc pieniądze, ale w tejże chwili zapomniał, w jakim celu wyjął pieniądze z kieszeni. Uprzytomnił to sobie dopiero wtedy, gdy przechodził obok jakiejś garkuchni, bo poczuł głód. Wszedł do garkuchni, wypił kieliszek wódki i zamówił jakiś nadziewany pieróg. Dokończył jeść na ulicy. Bardzo dawno nie pił już wódki, wskutek czego natychmiast podziałała na niego, mimo że wypił tylko jeden kieliszek. W okamgnieniu ociężały mu nogi i zaczęło go okropnie kłonić do snu. Poszedł więc do domu. Doszedłszy jednak do Wyspy Pietrowskiej, stanął kompletnie wyczerpany, skręcił na bok, w krzaki, wyciągnął się na trawie i w jednej chwili zasnął.

W stanie chorobliwym sny częstokroć odznaczają się nadzwyczajną wyrazistością, jaskrawością i dziwnym podobieństwem do rzeczywistości. Jako całość wysniony obraz bywa niesamowity, ale okoliczności i sam proces tworzenia się całości są do tego stopnia prawdopodobne i mają tak subtelne i piękne szczegóły, artystycznie komponujące się z całością obrazu, że tenże osobnik nigdy nie wymyśliłby tego na jawie, choćby był artystą równie wielkim, jak Puszkina albo Turgieniew. Takie sny, sny chorobliwe, na długo pozostają w pamięci i wywierają bardzo silny wpływ na rozstrojony już i podniecony organizm ludzki.

Raskolnikowowi przyśnił się okropny sen. Przyśniło mu się dzieciństwo i rodzinne miasteczko. Jako siedmioletni chłopiec w dzień świąteczny, przed wieczorem, spaceruje ze swoim ojcem za miastem. Już zaczynała się szarówka i było duszno; miejscowość była całkowicie podobna do tej, jaka została mu w pamięci. Miasteczko widać jak na dłoni, bo nie ma tu żadnych drzew, tylko gdzieś daleko, hen, na skraju nieba, czernieje las. O kilka kroków od ostatniego miejskiego ogrodu jest szynk, wielki szynk, który zawsze napawał chłopca odrazą, a nawet wywoływał jakiś strach, gdy spacerując z ojcem, przechodził obok. Zbierał się tam zawsze ogromny tłum, wszyscy darli się okropnie, chichotali, złorzeczyli, obrzydliwie i ochryple śpiewali, często wszczynali bójkę. Dokoła szynku wałęsały się zawsze pijane i okropne typy... Na ich widok chłopiec tulił się do ojca i drżał cały. Obok szynku biegła polna droga, stale zakurzona, a kurz ten był dziwnie czarny. Droga ta jest kręta i jakieś trzysta kroków od szynku zakręca w prawo, okalając miejski cmentarz. Pośrodku cmentarza stoi murowana cerkiew z zieloną kopułą, dwa razy do roku bywał tam z rodzicami na mszy żałobnej za babkę, która zmarła już bardzo dawno i której nigdy nie widział. Zabierali zawsze ze sobą kutię<sup>[25]</sup> z ryżu, miodu i rodzynek na białym półmisku owiniętym serwetką; rodzynki wciśnięte były w ryż na kształt krzyża. Bardzo lubił tę cerkiew z jej starymi obrazami świętych, przeważnie bez ram, lubił też starego popa z drżącą głową. Obok grobu babki, na którym położona była kamienna płyta, był mały grób młodszego braciszka, który umarł w szóstym miesiącu życia i którego również nie znał, bo nie mógł pamiętać, ale

opowiadano mu, że miał młodszego brata i dlatego zawsze, gdy odwiedzał cmentarz, nabożnie i z szacunkiem żegnał się nad grobem, bił pokłony i całował ziemię.

I oto śni mu się: idą z ojcem drogą na cmentarz i przechodzą obok szynku; trzyma ojca za rękę i ze strachem patrzy na szynk. Pewna osobliwa okoliczność przykuwa jego uwagę: tym razem jest tu jakaś zabawa, kręci się cały tłum wystrojonych mieszczek, bab wiejskich i ich mężów oraz wszelkiego rodzaju hołota. Wszyscy są pijani, wszyscy śpiewają jakieś piosenki, a przed gankiem szynku stoi fura, ale jakaś dziwna fura. Jest to jeden z furgonów, do których zaprzęga się wielkie konie pociągowe i które służą do przewozu towarów i beczek okowity. Jako chłopiec zawsze z przyjemnością przyglądał się tym ogromnym koniom o długich grzywach i grubych nogach, kroczącym spokojnie, miarowo i ciągnącym całe góry ładunku, nic a nic się nie nadwężając, jakby im z tymi wozami było lżej niż bez wozów. Ale teraz, rzecz dziwna, do tego wielkiego furgonu wprzężona była mała, chuda bułanka chłopska, jedna z takich, które jak to często obserwował, wyłazą ze skóry, żeby ciągnąć wóz naładowany drwami albo sianem, zwłaszcza gdy wóz ugrzęźnie w błocie albo utknie w koleinie, a chłopci tak boleśnie, tak strasznie boleśnie walą je batami, nieraz nawet po pysku i po oczach; jemu ich żal, tak bardzo żal, że patrzeć nie może i omal nie płacze, a mama odrywa go od okna. Naraz zakotłowało się w tłumie: z szynku wychodzą z krzykami, z pieśniami, z bałajkami całkiem pijane, wielkie chłopiska w czerwonych i niebieskich koszulach, w narzuconych na ramiona armiakach<sup>[26]</sup>. „Wsiadać, wszyscy wsiadać! – wrzeszczy jeden z nich, młody jeszcze, o dziwnie grubej szyi i mięsistej, czerwonej jak marchew twarzy – wszystkich powiozę, wsiadać!”. W odpowiedzi na to rozlega się ogólny śmiech i okrzyki:

- Taka klacz alboż to powiezie!
- Czyś ty, Mikołka, na głowę upadł: taką kobylinę do takiego wielgachnego furgonu zaprzęgać!
- Aleć ta bułanka ze dwadzieścia років będzie miała!
- Wsiadajta, wszystkich powiozę! – znowu krzyczy Mikołka, skacząc pierwszy do furgonu, bierze lejce i staje wyprostowany na przodku. – Gniady wczoraj z Matwiejem poszedł – krzyczy z fury – a ta chabeta, chłopcy, ino mi krew psuje: widzi mi się, że ją kiedy zabiję, tylko obrok darmo żre. Mówię wam wsiadać, to wsiadać! Galopem psiakrew puszczę! Pójdzie galopem! – Bierze bat do ręki i z rozkoszą szykuje się do katowania bułanki.
- Jak wsiadać, to wsiadać! – śmieją się w tłumie. – Słyszycie, galopem pójdzie!
- Żeby cię nie poniosła!
- Nie żałować, chłopcy, bierzta, kto żyw, baty i jazda!
- Juści! Wal ją!

Wszyscy wążą na furgon ze śmiechem i dowcipami. Wlazło ze sześciu chłopca i jeszcze jest miejsce. Zabierają jedną babę, grubą i rumianą. Ubrana jest w czerwoną spódnicę, ma jaskrawą chustkę na głowie, paciorki na szyi, krótkie buty, gryzie orzechy i uśmiecha się filuternie. Wszyscy dookoła się

śmieją, bo i jakże się tu nie śmiać: taka szkapina ma ciągnąć taki ciężar i to jeszcze galopem! Dwóch chłopców bierze do rąk po bacie, żeby pomagać Mikołce. Rozlega się: „wio!”. Klacz szarpie z całych sił, ale nie tylko galopem, lecz stępa ledwie się wlecze, przebiera nogami, stęka i aż przysiada pod gradem razów trzech batów, które sypią się na nią jak groch. Rechot na furze i w tłumie wzmagają się jeszcze, Mikołka złości się i z wściekłości jeszcze bardziej wali kobyłę, jakby rzeczywiście wierzył, że pójdzie galopem.

– Weźcie i mnie chłopcy! – krzyczy rozochocony parobek z tłumu.

– Wsiadać! Wszyscy wsiadać! – wrzeszczy Mikołka – wszystkich powiezie. Zakatuję ścierwo! – I wali ją, bezustannie wali, a rozjuszony sam już nie wie, czym ją bić.

– Tatusiu, tatusiu – krzyczy chłopiec do ojca – tatusiu, co oni robią? Tatusiu, biednego konika biją!

– Chodźmy stąd! – uspokaja go ojciec. – Pijani są, awanturują się durnie; chodź, nie patrz na to! – I chce go zabrać, ale on się wyrwa ojcu z rąk i jak oszalały biegnie do konia. Ale z biedną klaczą jest już bardzo źle. Ledwie dyszy, co chwila staje, znowu się zrywa, omal nie pada.

– Walta ją, niech zdycha! – drze się Mikołka. – Zakatrupię!

– Boga w sercu nie masz, diable jeden! – krzyczy jakiś starzec z tłumu.

– Gdzie by taka szkapina taki ciężar uciągnąć poradziła? – dodaje inny.

– Zadręczysz! – krzyczy trzeci.

– A co? Moja chudoba! Robię, co mi się podoba. Wsiadajta jeszcze, wszystkie wsiadajta! Musi, ścierwo, iść galopem!...

Nagle wszystkie te wrzaski zagłuszyła salwa śmiechu: szkapina nie wytrzymała tego katowania i zaczęła desperacko wierzgać. Nawet starzec nie mógł się powstrzymać i się uśmiechnął. Bo i prawda: taki zdechłak, a jeszcze wierzga!

Dwóch parobczaków z tłumu chwyta za bity i zaczyna okładać szkapinę po bokach. Jeden wali z jednej, drugi z drugiej strony.

– Po pysku ją, po ślepiach ścierwo! – wrzeszczy.

– Zaśpiewamy! – krzyczy ktoś z fury, a cała reszta intonuje sprośną piosenkę, przeplataną gwizdami i dudnieniem bębna. Baba na furze gryzie orzechy i śmieje się.

Chłopiec biegnie obok konika, to znów wybiega naprzód, widzi, jak go walą po oczach, po samych oczach! Płacze. Serce mu się ściska z bólu, łzami się oblewa. Jeden z katujących konia smagnął go po twarzy; nie czuje nawet tego, załamuje ręce, krzyczy, rzuca się do siwobrodego starca, który z wyrzutem kręci głową. Jakaś baba bierze go za rękę i chce stąd zabrać, ale wyrwa się jej i znowu biegnie do konia. Szkapina zbiera już resztki sił i znowu wierzga.

– A niechże cię, psiajucho! – wrzeszczy rozjuszony Mikołka. Potem rzuca bat, nachyla się i wyciąga ze spodu furgonu długą i grubą hołoblę, chwyta oburącz za koniec i z trudem unosi nad bułanką.

– Zakatrupi! – wołają dookoła.

– Uśmierci!

– Mój koń! – krzyczy Mikołka i z całej siły wali hołoblą. Słysząc odgłos

ciosu.

– Wal, wal! Na co czekacie? – wołają z tłumu.

Mikołka zamierzył się drugi raz i po raz drugi rąbnął kobyłę po grzbiecie. Szkapą aż przysiadła, ale jeszcze się zrywa, szarpie resztkami sił w różne strony, usiłując ciągnąć wóz, ale ze wszystkich stron sypią się na nią razy sześciu batów, a hołobla znowu się unosi i po raz trzeci spada na grzbiet, potem po raz czwarty z całego rozmachu. Mikołka się pieni, że nie może jej zabić jednym ciosem.

– Żywotne, ścierwo! – wołają dookoła.

– Chłopy, teraz to już pewnikiem padnie, to już koniec! – krzyczy ktoś z tłumu.

– Siekierą ją! Od razu zaszlachtować! – krzyczy inny.

– Do cholery! Na bok! – nieprzytomnie wrzeszczy Mikołka, rzuca hołobłą, znowu się nachyla i wyciąga żelazny łom.

– Uwaga! – woła i z całej siły wali biednego konia. Cios był straszny; szkapina zachwiała się, przysiadła, próbuje jeszcze szarpnąć wóz, ale łom znowu spada jej całym ciężarem na grzbiet; szkapą pada, jakby podcięto jej wszystkie cztery nogi.

– Dobijaj! – wrzeszczy Mikołka i jak szalony zrywa się z fury. Kilku chłopów, równie czerwonych i pijanych, chwyta, co kto może – baty, kije, hołobłą i podbiega do dogorywającego konia. Mikołka staje z boku i zaczyna go okładać łomem. Klacz wyciąga mordę, ciężko wzdycha i umiera.

– Dobił! – krzyczą z tłumu.

– A galopem przecie nie poszła!

– Mój koń! – krzyczy Mikołka, stojąc z łomem w ręku i z nalanymi krwią oczami, jakby żałował, że nie ma już kogo bić.

– Dycь prawda, Boga w sercu nie ma – słychać coraz liczniejsze głosy z tłumu.

Biedny chłopiec, już całkiem siebie niepomny, z krzykiem przedziera się przez tłum do bułanki, obejmuje ją martwą za okrwawiony pysk i całuje w oczy, wargi... Potem nagle się zrywa i z pasją rzuca się z piąstkami na Mikołkę. W tej chwili ojciec, który od dłuższego już czasu uganiał się za nim, łapie go wreszcie i wynosi z tłumu.

– Chodźmy stąd, chodźmy! – uspokaja go ojciec. – Pójdziemy do domu.

– Tatusiu! Za co oni... zabili... biednego konika! – mówi przez łzy, ale dech mu zapiera i słowa jak strzępy krzyku wrywają mu się ze zbolącej piersi.

– Pijani są, awanturują się, to nie nasza rzecz, chodźmy! – mówi ojciec.

Chłopiec obejmuje ojca za szyję, ale coś mu przygniata pierś, coraz bardziej, dotkliwiej. Chce złapać tchu, krzyknąć i budzi się.

Obudził się zlany potem, z mokrymi od potu włosami, zdyszany i przerażony.

„Dzięki Bogu, to tylko sen! – powiedział, siadając pod drzewem i oddychając głęboko. – Ale co to znaczy? Czy nie zaczyna się maligna? Taki obrzydliwy sen!”

Był cały jakby rozbity; ciężko mu było na sercu i smutno. Oparł łokcie o kolana, a głowę wsparł na dłoniach.

„Boże! – zawołał – czyżbym był w stanie, czy mógłbym naprawdę wziąć siekierę, walić ją po głowie, rozplatać jej czaszkę... będę się tarzać w lepkiej, ciepłej krwi, wyłamywać zamek, kraść i drzeć, skradać się cały zalany... z siekierą... Boże, czy to możliwe?”

Mówiąc to, drżał jak liść.

„Co się ze mną dzieje! – ciągnął dalej, unosząc głowę. – Wiedziałem przecież, że nie wytrzymam tego, po cóż więc męczyłem się dotychczas. Przecież jeszcze wczoraj, kiedy poszedłem robić... tę próbę, już wczoraj zrozumiałem, że tego nie wytrzymam... Więc czego teraz chcę?... Dlaczego miałem dotychczas wątpliwości? Przecież wczoraj jeszcze, schodząc ze schodów, sam powiedziałem, że to jest podłe, ohydne, niskie, niskie... przecież na samą myśl o tym na jawie zrobiło mi się niedobrze i przerażenie mnie ogarnęło...

O nie, nie zniosę tego, nie wytrzymam! Niechby nawet moje obliczenia nie ulegały najmniejszej wątpliwości, niechby nawet wszystko, co postanowiłem w ciągu tego miesiąca, było jasne jak słońce, dokładne jak arytmetyka... Boże! Przecież i tak się nie odważę!... Dlaczego więc, dlaczego wciąż jeszcze...”

Zerwał się na równe nogi, ze zdumieniem rozejrzał się dookoła, dziwiąc się, że zaszedł aż tutaj, i ruszył ku mostowi T-mu. Był blady, oczy mu się gorączkowo świeciły, czuł straszne zmęczenie, mimo to zaczął nagle jakoś swobodniej oddychać. Czuł, że zrzucił z siebie straszny ciężar, który gnębił go tak długo, zrobiło mu się dziwnie lekko na sercu. „Boże – błagał – wskaż mi moją drogę, a wyrzekam się tego przeklętego mojego... marzenia!”

Przechodząc mostem, z całym spokojem patrzył na Newę, na barwny zachód purpurowego słońca. Mimo osłabienia nawet nie czuł zmęczenia. Jak gdyby pękł wreszcie wrzód, który mu wzbierał od miesiąca w zbolałym sercu. Wolność, wolność!

Wolny jest teraz od tych wszystkich czarów, omamów, urzeczenia, od opętania!

Później, gdy wspominał ten okres i wszystko, co się z nim działo w tym czasie, chwilę po chwili, krok za krokiem, każde drgnienie duszy, z zabobonnym zdumieniem zastanawiał się nad pewną okolicznością, co prawda, nic szczególnego w gruncie rzeczy nieznaczącą, która jednak wydawała mu się później jakby wyznacznikiem jego losu. Mianowicie: nie mógł w żaden sposób zrozumieć i wytłumaczyć sobie, dlaczego, gdy najwygodniej było mu wrócić do domu najkrótszą, prostą drogą, będąc zmęczonym, wrócił przez plac Sienny, na którym nic nie miał do roboty. Zrobił niewielkie, to fakt, ale zupełnie niepotrzebne koło. Wprawdzie dziesiątki razy wracał do domu, nie pamiętając ulic, jakimi chodził, ale dlaczego, zastanawiał się, dlaczego właśnie takie ważne, takie decydujące dla niego, a równocześnie najzupełniej przypadkowe spotkanie na placu Siennym (którym nie miał najmniejszej potrzeby przechodzić) wypadło mu właśnie teraz, w takim czasie, w takiej chwili jego życia, w takim właśnie nastroju i w takich okolicznościach, w których jedynie to spotkanie mogło decydująco i ostatecznie wpłynąć na jego los i całą przyszłość? Jak gdyby

w tym miejscu właśnie czyhało na niego!

Było koło godziny dziewiątej, gdy przechodził przez plac Sienny. Wszyscy właściciele budek, straganów, sklepów, sklepików kończyli już handel, uprząтали towary i rozchodzili się do domów, tak jak i ich klientela. Przed garkuchniami, mieszczącymi się w suterrenach brudnych, cuchnących domów placu Siennego, szczególnie zaś przed szynkami tłoczyli się najróżnorodniejszego autoramentu handlarze i męty. Raskolnikow upodobał sobie szczególnie te punkty, jak również pobliskie zaułki, gdy wychodził na ulicę bez określonego celu. Tu właśnie jego łachmany nie zwracały niczyjej pogardliwej uwagi i można było tam chodzić w jakimkolwiek stroju, nie rażąc nikogo. Na rogu K-go zaułka pewien handlarz i baba, jego żona, prowadzili na dwóch oddzielnych straganach handel: nici, wstążki, chustki perkalowe itp. Oni również zbierali się do domu, ale zatrzymała ich rozmowa z jakąś znajomą. Była to Lizawieta Iwanowna albo jak ją po prostu nazywano, Lizawieta, młodsza siostra tej właśnie staruchy, Alony Iwanowny, wdowy po zmarłym referendarzu, lichwiarki, którą odwiedził wczoraj Raskolnikow, aby zastawić swój zegarek i zrobić *próbę*... Od dawna już wszystko dokładnie wiedział o tej Lizawiecie i ona go nawet trochę znała. Była to wysoka, niezgrabna, bojaźliwa i pokorna kobieta, omalże idiotka, w wieku lat trzydziestu pięciu, która była kompletną niewolnicą swojej siostry, harowała u niej dzień i noc, drżała przed nią i niejednokrotnie była nawet przez nią bita. Stała zamyślona z handlarzem i babą i uważnie ich słuchała. A oni przekonywali ją o czymś zawzięcie. Gdy Raskolnikow ją spostrzegł, opanowało go dziwne uczucie, jakby najwyższe zdumienie, aczkolwiek nic dziwnego w tym spotkaniu nie było.

– Moglibyśta, Lizawieto Iwanowno, sami postanowić – mówił głośno handlarz. – Zajrzyjta jutro, koło siódmej. Będą i oni.

– Jutro? – przeciągle i z namysłem, jakby wahając się, powiedziała Lizawieta.

– Ale wam strachu napuściła Alona Iwanowna! – trajkotała jednym tchem handlarka, babsko rezolutne. – Patrzą ja na was i wiary nie dają, jak jakie małe dzidzi. I to nawet nie rodzona siostra, ale przyrodnia i tak was za łeb trzyma.

– Nie potraza nawet dzisiaj o tym mówić Alonie Iwanownie – przerwał mąż – moja rada, przyjsć samej jutro i basta. To dobry interes. A później to i siostra się zmiarkuje.

– A może to i prawda?

– O siódmej godzinie, to i z tamtych któryś przyjdzie; bez niczyjej pomocy się postanowi.

– I samowar nastawimy – wtrąciła żona.

– Dobrze, przyjdę – odpowiedziała zafrasowana Lizawieta, ruszając powoli z miejsca.

Raskolnikow minął już ich i nie słyszał dalszej rozmowy. Przechodził obok nich po cichu, niepostrzeżenie, starając się nie przepuścić ani słówka z toczącej się rozmowy. Jego pierwotne zdumienie przeszło w uczucie przerażenia, aż wstrząsnął nim zimny dreszcz. Dowiedział się bowiem, nagle



się dowiedział, że jutro, punktualnie o godzinie siódmej, siostry staruchy, Lizawiey, jedynej jej współlokatorce, nie będzie w domu i że w takim razie starucha punktualnie o godzinie siódmej wieczór *będzie w domu sama*.

Do domu miał już zaledwie kilka kroków. Wszedł do mieszkania jak skazaniec. O niczym nie myślał, nie mógł o niczym myśleć, ale całym swoim jestestwem zrozumiał, odczuł raczej, że zniknęła naraz swoboda umysłu i woli i że wszystko zostało nagle, w jednej chwili zdecydowane ostatecznie.

Rzecz jasna, że gdyby nawet lata całe miał czekać na okazję, mając swój plan, to z pewnością nie mógłby liczyć na lepsze warunki wykonania tego planu, niż wobec których teraz niespodziewanie stanął. W każdym razie byłoby bardzo trudno dowiedzieć się w przeddzień dokładnie, z większą ścisłością i mniejszym ryzykiem, bez wszelkich wywiadów i pytań, że jutro o takiej a takiej godzinie, taka a taka starucha, na którą szykuje się zamach, będzie w domu sama, samiuteńka.

Później Raskolnikow przypadkowo się dowiedział, w jakim celu właściwie handlarz i baba zapraszali Lizawietę. Była to sprawa błaha, nic szczególnego. Jakaś przyjezdna, zbiedniała rodzina sprzedawała rzeczy, ubrania itp., wyłącznie kobiece. Wobec tego, że sprzedawanie na rynku było niekorzystne, poszukiwano zwykle pośredniczki, a Lizawieta właśnie tym się trudniła: brała rzeczy w komis, pośredniczyła w transakcjach i miała ogromną praktykę, bo była niesłychanie uczciwa i zawsze wymieniała ostateczną cenę: powie cenę i ani grosza nie ustąpi. Mówiła zaś w ogóle mało i jak już zaznaczono, była taka uległa i bojaźliwa...

Lecz Raskolnikow ostatnimi czasy zaczął być przesądny. Ślady przesądności pozostały w nim bardzo długo. I w całej tej sprawie gotów był później zawsze dopatrywać się dziwnych rzeczy, zagadkowych, tajemniczych sił i zbiegów okoliczności. Jeszcze zimą pewien znajomy student, Pokoriow, wyjeżdżając do Charkowa, podał mu przy okazji adres starej, Alony Iwanowny, na wypadek, gdyby chciał coś zastawić. Przez dłuższy czas nie korzystał z tego, bo miał lekcje i jako tako wiązał koniec z końcem. Półtora miesiąca temu przypomniał sobie jednak dany mu adres; miał dwa przedmioty nadające się do zastawienia – stary srebrny zegarek ojca i mały złoty pierścionek z trzema jakimiś czerwonymi kamyczkami, który przy pożegnaniu podarowała mu na pamiątkę siostra. Postanowił zastawić pierścionek; gdy poszedł do starej, nic szczególnego jeszcze o niej nie wiedząc, na pierwszy rzut oka poczuł jakiś nieprzewyciężony wstręt do niej, wziął jednak dwa „papierki” i po drodze wstąpił do jakiegoś nędznego szynku. Zażądał herbaty, usiadł w kącie i zamyślił się. Niesamowita myśl legła się w jego głowie, wykluwała się jak kurczę z jajka i bardzo, ale to bardzo go pochłonęła.

Obok niego, przy sąsiednim stoliku siedział student, którego widział po raz pierwszy, i młody oficer. Po rozegranej partii bilardu zasiedli do herbaty. Naraz usłyszał, że student opowiada oficerowi o lichwiarce, Alonie Iwanownie, wdowie po referendarzu, i podaje mu jej adres. Już taki szczegół wydał się Raskolnikowowi nieco dziwny: właśnie stamtąd wraca, a tu o wilku mowa. Oczywiście, że jest to tylko zbieg okoliczności, ale on nie może się teraz opędzić od pewnej niezwyklej myśli, a tu ktoś jakby umyślnie dolewa oliwy do ognia: student zaczyna opowiadać swemu współtowarzyszowi różne ciekawe szczególiki o Alonie Iwanownie.

– Zaczne babsko – mówi student – u niej zawsze można dostać pieniądze. Bogata jest jak Żyd, może od razu pięć tysięcy dać, ale nie pogardzi nawet rublowym zastawem. Wielu z nas do niej chodzi. Tylko że ścierwo z niej okropne...

I dalej opowiadał o tym, jaka to jędza, jaka kapryśna, wystarczy o jeden dzień opóźnić termin wpłaty, żeby przepadł zastaw. Daje czwartą część wartości przedmiotu, a bierze pięć, a nawet do siedmiu procent miesięcznie itd. Student rozgadał się na dobre, opowiadał też, że starucha ma siostrę, Lizawietę, którą ta słaba, plugawiuotka osóбка co chwila bije i trzyma w całkowitej niewoli, jak małe dziecko, podczas gdy Lizawieta ma co

najmniej osiem werszków<sup>[27]</sup> wzrostu...

– To istny fenomen! – stwierdził student i roześmiał się na całe gardło.

Zaczęli mówić o Lizawiecie. Student jakoś osobliwie lubował się opowiadaniem o niej i ciągle się śmiał, a oficer słuchał go z ogromnym zaciekawieniem i poprosił studenta o przysłanie mu Lizawiecy do cerowania bielizny. Raskolnikow nie uronił ani słówka z tej rozmowy i dowiedział się o wszystkim. Lizawiecy była młodszą, przyrodnią siostrą starej (z różnych matek) i miała już trzydzieści pięć lat. Pracowała na swoją siostrę po całych dniach i nocach, była w domu kucharką i praczką, poza tym szyła na obstalunek, najmowała się nawet do szorowania podłóg, i wszystko oddawała siostrze. Żadnego obstalunku, żadnej pracy nie ważyła się przyjąć bez zezwolenia starej. Stara ma już spisany testament, o czym nawet wie Lizawiecy, która według testamentu – poza ruchomością, krzesłami i innymi drobiazgami – nie otrzymuje ani grosza; pieniądze przeznaczyła stara na pewien klasztor w n-skiej guberni, za pokój jej duszy. Lizawiecy była mieszczką, ale nie miała męża urzędnika, była panną, strasznie niezgrabną, okropnie wysoką, o długich, jakby powykręcanych nogach, w znoszonych butach z kozłej skóry, nosiła się jednak bardzo czysto. A najważniejsze, co szczególnie dziwiło i śmieszyło studenta, było to, że co rusz bywała w ciąży...

– Przecież powiadasz, że to potwór – zauważył oficer.

– Jest taka smagła, że wygląda jak przebrany dragon, ale nie jak potwór, imaginuj sobie. Ma jakiś dziwnie dobry wyraz twarzy i oczu. Bardzo dobry. Najlepszy dowód, że niejednemu się podobała. Spokojna, łagodna, potulna, zgodna, na wszystko przystaje. I ma też wcale miły uśmiech.

– Ho, ho! Widzę, że tobie też się podoba! – roześmiał się oficer.

– To takie moje dziwactwo. A wiesz, co ci powiem: to przeklęte stare pudło zamordowałbym i ograbił, i zapewniam cię, bez najmniejszego wyrzutu sumienia – dodał podniecony student.

Oficer roześmiał się serdecznie, a Raskolnikow drgnął. Jakie to było dziwne.

– Pozwól, że zadam ci jedno poważne pytanie – gorączkował się student. – Oczywiście, zażartowałem, ale zważ: z jednej strony – głupi, bezmyślny, nędzny, zły i chory babsztyl, nikomu na świecie niepotrzebny, raczej przeciwnie, bo przynosi wszystkim szkodę, kreatura, która sama nie wie, po co żyje, a jutro i tak wyzionie ducha. Rozumiesz? Czy ty to rozumiesz?

– No, rozumiem – odpowiedział oficer, wpatrując się uważnie w zaperzonego współtowarzysza.

– Słuchaj dalej. Z drugiej strony zaś – młode, świeże siły, ginące z braku pomocy i to tysiącami, wszędzie! Sto, tysiąc pięknych spraw i poczynań można by zrealizować, wesprzeć i naprawić za pieniądze tej staruchy, utopione w klasztorze! Setki, a może i tysiące istnień skierowanych na właściwą drogę, dziesiątki rodzin uratowanych od nędzy, od rozkładu moralnego, od zguby, rozpusty i szpitali wenerycznych – i to wszystko za jej pieniądze. Należałoby zamordować ją i zabrać jej pieniądze po to, by potem poświęcić się całej ludzkości, dla dobra powszechnego; jak ci się zdaje, czy jedno drobne przestępstwo nie zostałoby odkupione tysiącami dobrych uczynków? Za jedno życie – tysiąc istnień uratowanych od rozkładu

i zgnicia. Jedna śmierć w zamian za sto istnień – to przecież prosty rachunek! Bo cóż znaczy na wadze ogólnej życie tej suchotniczej, głupiej i złej staruchy? Nie więcej aniżeli życie wszy, karalucha, zresztą i tego nie jest warta, bo ona tylko szkodę przynosi. Niszczy bowiem życie innych: w tych dniach z wściekłości omal nie odgryzła Lizawiecie palca; mało brakowało, a musieliby go amputować!

– Rozumie się, że babsztyl nie zasługuje na życie – zauważył oficer – ale tu przyroda działa.

– Ejże, bracie, przecież przyrodę koryguje się, naprawia, bo inaczej utonęlibyśmy w zabobonach. W przeciwnym razie nie byłoby ani jednego wielkiego człowieka. Powiadają: „obowiązek, sumienie”, nic nie mam przeciwko obowiązkowi i sumieniu, ale jak my to rozumiemy? Pozwól, zadam ci jeszcze jedno pytanie. Posłuchaj!

– Nie, teraz ty posłuchaj, ja ci zadam pytanie.

– No!

– Gadasz tu, perorujesz, a powiedz mi: zabiłbyś osobiście tę staruchę czy nie?

– Rozumie się, że nie! Ja tylko z poczucia sprawiedliwości... Nie o mnie tu chodzi...

– A moim zdaniem, jeżeli ty sam się nie decydujesz, to nie może tu być mowy o sprawiedliwości! Chodźmy, zagramy jeszcze partyjkę!

Raskolnikow był ogromnie poruszony. Była to, oczywiście, najzwyczajniejsza rozmowa i wymiana myśli między młodymi ludźmi, które nieraz już słyszał, w innej może formie i na inne tematy. Ale dlaczego właśnie teraz wypadło mu słuchać takiej rozmowy i takiego właśnie rozumowania, kiedy w jego własnej głowie powstały... *take same myśli!* I dlaczego właśnie teraz, kiedy dopiero co załazek tej myśli wyniósł od staruchy, musiał trafić na rozmowę o niej?... Ten zbieg okoliczności zawsze wydawał mu się bardzo dziwny. Ta nic nieznacząca rozmowa w szynku miała nadzwyczajny wpływ na niego i na dalszy rozwój wypadków, jak gdyby istotnie działało tu jakieś fatum...

Po powrocie z placu Siennego rzucił się na kanapę i przesiedział całą godzinę bez ruchu. W tym czasie ściemniło się; świecy nie miał, zresztą przez myśl mu nawet nie przyszło, żeby zapalić świecę. Nigdy potem nie mógł sobie przypomnieć, czy wówczas w ogóle o czymkolwiek myślał. Wreszcie poczuł nawrót gorączki, dreszcze i z rozkoszą uprzytomnił sobie, że przecież na kanapie można się położyć. Natychmiast spadł na niego, jakby go przydusił, ciężki, ołowiany sen.

Spał bardzo długo i bez żadnych snów. Nastazja, która weszła do niego nazajutrz o dziesiątej rano, ledwie go dobudziła. Przyniosła mu herbatę i chleb. Herbata znowu była cienka, z drugiego parzenia i znowu w jej własnym imbryku.

– Ale ma sen! – zawołała oburzona. – I tylko by spał!

Podniósł się z dużym wysiłkiem. Głowa go bolała. Stanął, obrócił się w swojej komórcie i znowu opadł na kanapę.

– Znowu spać! – głośno zdumiała się Nastazja. – Jesteś chory czy co?

Nic nie odpowiedział.

– Herbaty chcesz?

– Potem – powiedział z wysiłkiem, przymykając oczy i odwracając się do ściany.

Nastazja stała chwilę przy nim.

– A może i naprawdę chory – rzekła, odwróciła się i wyszła.

O godzinie drugiej znowu przyszła, z talerzem zupy. A on leżał jak przedtem. Herbata stała nietknięta. Nastazja poczuła się nawet urażona i ze złością szturchnęła go.

– Czego gnijesz w łóżku! – zawołała, patrząc na niego z obrzydzeniem.

Raskolnikow podźwignął się i usiadł, ale nie odezwał się do niej, patrząc w ziemię.

– Chory czy jak? – zapytała Nastazja i znowu nie otrzymała odpowiedzi.

– Wyszedłbyś na świat Boży – powiedziała po chwili milczenia – trochę powietrza łyknąć. Jeść będziesz, nie?

– Potem – odpowiedział wreszcie słabym głosem – idź sobie – i machnął ręką.

Nastazja stała jeszcze chwilę, spojrzała na niego ze współczuciem i wyszła.

Po kilku minutach podniósł oczy i długo spoglądał na herbatę i na zupę. Potem wziął chleb, łyżkę i zabrał się do jedzenia.

Zjadł niewiele, bez apetytu, może trzy czy cztery łyżki, i jakby machinalnie. Ból głowy ustępował. Po zjedzeniu obiadu wyciągnął się znowu na kanapie, ale zasnąć już nie mógł, tylko leżał bez ruchu, plackiem, twarzą wtulony w poduszkę. Miał dziwną wizję: zdawało mu się, że jest gdzieś w Afryce czy w Egipcie, w jakiejś oazie. Karawana odpoczywa, spokojnie leżą wielbłądy; dookoła rosną palmy; wszyscy jedzą obiad. On zaś ciągle pije wodę bezpośrednio ze strumienia, który płynie, szemrząc, tuż pod bokiem. I jest tak przyjemnie, chłodno, precudna, błękitna woda płynie po różnobarwnych kamieniach i po takim czystym, lśniącym, złotym piasku... Naraz wyraźnie usłyszał bicie zegara. Drgnął, ocknął się, podniósł głowę, wyjrzał przez okno, uprzytomnił sobie godzinę i jak oparzony zerwał się na równe nogi. Podszedł na palcach do drzwi, po cichu je uchylił i zaczął się przysłuchiwać. Strasznie łomotało mu serce. Ale na schodach było tak cicho, jakby wszyscy spali... Wydawało mu się rzeczą niesłychanie dziwną i bezsensowną, że mógł w takim otumanieniu spać od wczoraj i nic jeszcze nie zrobił, niczego nie przygotował... A tymczasem wybiła szósta... i nagle zamiast ociążałej senności owładnął nim jakiś niepojęty, gorączkowy niepokój. Przygotowania były zresztą nieskomplikowane. Zebrał wszystkie siły, żeby wszystko dokładnie obliczyć i o niczym nie zapomnieć; a serce ciągle mu łomotało, waliło tak, że aż brakło mu tchu. Po pierwsze, trzeba było zrobić pętlę i przyszyć ją do płaszcza, ale to jedna chwila. Sięgnął pod poduszkę i wśród upchanej pod nią bielizny odnalazł jakąś starą, zupełnie postrzępioną, nie praną koszulę. Oddarł pasek szerokości jednego i długości ośmiu werszków. Pasek ten złożył we dwoje, zdjął szeroki, mocny, z grubego bawełnianego materiału płaszcz (jedyne jego okrycie zwierzchnie) i zaczął wszywać oba końce paska pod lewą pachę od wewnątrz. Ręce mu się trzęsły

w czasie szycia, ale wreszcie dokonał tego dzieła, tak że gdy znowu włożył płaszcz, na zewnątrz nic nie było znać. Igłę i nici miał już dawno przygotowane i leżały na stoliku, zawinięte w papierek. Co do pętli zaś, to był to bardzo sprytny, jego własny pomysł: pętla przeznaczona była na siekiere. Nie można było przecież nieść siekiery w rękach na ulicy. A jeżeli ją schować pod płaszcz, to i tak trzeba by ją przytrzymywać ręką, co rzucałoby się w oczy. A teraz, z taką pętlą, będzie wygodniej, bo wystarczy zawiesić ostrze siekiery i całą drogę będzie sobie spokojnie wisieć pod pachą, od wewnętrznej strony. Włożywszy rękę do bocznej kieszeni płaszcza, mógł podtrzymać koniec trzonka, a że płaszcz miał szeroki jak worek, z zewnątrz nie można było zauważyć, że coś podtrzymuje przez kieszeń. Tę pętlę wymyślił już dwa tygodnie temu.

Uporawszy się z tą sprawą, wsunął palce do wąskiej szpary między kanapą a podłogą i z lewego rogu wyciągnął od dawna przygotowany i schowany tam zastaw.

Nie był to zresztą wcale zastaw, a po prostu drewniana, gładko wyheblowana deseczka wielkości i grubości nie większej od srebrnej papierośnicy. Deseczkę tę znalazł przypadkowo w czasie jednej ze swoich przechadzek na pewnym podwórzu, gdzie w oficynie mieścił się jakiś warsztat. Potem dodał do niej jeszcze gładką i cienką żelazną płytkę – prawdopodobnie część jakiegoś przedmiotu żelaznego – którą w tym samym czasie również znalazł na ulicy. Złożywszy obie płytki, z których żelazna była nieco mniejsza od drewnianej, związał je mocno razem nitką na krzyż; potem skrupulatnie i elegancko owinął w czysty, biały papier i tak zawiązał, żeby jak najtrudniej było rozwiązać. A to w tym celu, żeby na jakiś czas odwrócić uwagę starej, gdy będzie rozplątywać paczkę, i w ten sposób uzyskać dogodny moment. Żelazna płytka dodana była dla wagi, żeby stara przynajmniej w pierwszej chwili nie domyśliła się, że „zastaw” był drewniany. Wszystko to do czasu przechowywał pod kanapą. Gdy wyjął zastaw, na podwórku ktoś krzyknął:

– Dawno już minęła siódma!

– Dawno! Boże drogi!

Rzucił się ku drzwiom, chwilę nasłuchiwał, potem złapał kapelusz i zaczął schodzić na dół, po swoich trzynastu stopniach, ostrożnie i cicho jak kot. A teraz miał najważniejsze zadanie – ukraść z kuchni siekiere. Że czynu tego dokonać musi siekiere, zdecydował już dawno. Miał jeszcze składany ogrodniczy nóż. Ale nie mógł polegać na nożu i na swoich siłach, wobec czego ostatecznie wybrał siekiere. Przy tej sposobności należy zwrócić uwagę na pewną osobliwą cechę wszystkich ostatecznych jego postanowień w tej całej sprawie. Im bardziej decydował się na nie, tym okropniejsze i bezsensowne mu się wydawały. Nie bacząc na niesłychanie męczącą wewnętrzną walkę, nigdy, ani przez chwilę nie mógł uwierzyć w wykonalność swoich planów.

I gdyby zdarzyło się kiedyś tak, że wszystko do najdrobniejszego szczegółu byłoby przez niego przemyślane i ostatecznie postanowione, i nie pozostawiałoby najmniejszych wątpliwości, to wtedy właśnie, jak się zdaje,



wyrzekłby się wszystkiego jako rzeczy bezsensownej, potwornej i niewykonalnej. Ale niejasnych punktów i wątpliwości miał jeszcze bez liku. Co do tego, jak zdobyć siekiere, to ta drobnostka ani trochę go nie niepokoiła, bo nie było nic łatwiejszego. Mianowicie Nastazja, szczególnie wieczorami, co chwila wychodziła z domu: albo pobiegnie do sąsiadów, albo do sklepiku, a drzwi zawsze zostawia na oścież otwarte. Gospodyni ciągle jej za to wymyślała. A więc wystarczyło w odpowiednim momencie wejść po cichu do kuchni i wziąć siekiere, a potem, po upływie godziny (kiedy będzie już po wszystkim), wejść i z powrotem ją położyć. Powstawały jednakże pewne wątpliwości: przypuśćmy, że przyjdzie za godzinę, żeby ją z powrotem położyć, a Nastazja, jak na złość, wróci. Oczywiście trzeba wtedy pójść dalej i czekać, aż znowu wyjdzie. A jeżeli w tym czasie przypadkowo sięgnie po siekiere, zacznie szukać i wrzeszczeć, to gotowe podejrzenie albo co najmniej podstawa do podejrzenia.

Ale to były drobnostki, o których nie chciało mu się nawet myśleć, zresztą nie miał na to czasu. Myślał o rzeczy najważniejszej, a drobiazgi odkładał do czasu, kiedy sam przekona siebie o wszystkim. To właśnie wydawało się niewykonalne. Tak przynajmniej mu się zdawało. Nie mógł sobie żadną miarą wyobrazić, że kiedykolwiek przestanie myśleć, wstanie i... pójdzie tam... Przecież niedawno swoją *próbę* (ową wizytę w celu ostatecznego obejrzenia mieszkania) też tylko *próbował* urzeczywistnić, ale bynajmniej nie poważnie, tylko tak sobie: „Trzeba pójść, rozejrzeć się, a nie ciągle bujać w obłokach”. Ale nie wytrzymał, splunął i uciekł, wściekły na samego siebie. Jednakże cała analiza w sensie moralnym była już zakończona, jego kazuistyka wyostrzona była jak brzytwa i już sam w sobie nie znajdował świadomego sprzeciwu. Ale w tym wypadku po prostu nie wierzył sobie i uparczywie, niewolniczo szukał kontrargumentów na boku, po omacku, jak gdyby ktoś go do tego zmuszał i ciągnął w tym kierunku. Wczorajszy dzień, który przebiegł tak zaskakująco i przesądził o wszystkim, oddziałął na niego omalże mechanicznie: jakby go ktoś wziął za rękę i ciągnął za sobą, nieodparcie, na ślepo, z nadprzyrodzoną siłą, bez szansy na opór. Jak gdyby skraj jego ubrania dostał się w tryby maszyny i stopniowo go tam wciągało.

W swoim czasie – było to zresztą dawno temu – interesowała go między innymi kwestia: dlaczego z taką łatwością wykrywane są zbrodnie i jak wyraźne są ślady wszystkich zbrodniarzy? Powoli doszedł do różnorodnych i bardzo ciekawych wniosków. Otóż jego zdaniem główna przyczyna tkwi nie tyle w materialnej niemożliwości ukrycia zbrodni, ile w samym zbrodniarzu; prawie każdy zbrodniarz w chwili popełniania zbrodni ulega jakiemuś dziwnemu upadkowi woli i osłabieniu rozsądku, które zastępuje fenomenalnie dziecinna lekkomyślność, i to właśnie w chwili, w której najbardziej potrzebna jest rozwaga i ostrożność. To osłabienie rozsądku i upadek woli opanowują człowieka na podobieństwo choroby, rozwijają się stopniowo, dochodząc do kulminacyjnego punktu przed momentem popełnienia zbrodni; stan ten trwa również w chwili popełniania zbrodni i jeszcze jakiś czas po jej dokonaniu, zależnie od indywidualności przestępcy; potem mija, mija jak każda inna choroba. Ale teraz powstaje

kwestia: czy choroba rodzi przestępstwo, czy też samo przestępstwo, z racji osobliwej swojej natury, idzie zawsze w parze z czymś w rodzaju choroby? Na razie nie czuł się jeszcze na siłach, aby rozstrzygnąć tę kwestię.

Doszedłszy do takich wniosków, zdecydował, że on osobiście, w tej jego sprawie, nie będzie ulegał żadnym chorobliwym perturbacjom, a jego rozsądek i wola nie opuszczą go na pewno w ciągu całego czasu wykonania planu, dlatego że jego czyn „nie jest zbrodnią”... Pomińmy cały ten proces myślowy, w wyniku którego doszedł do takiej konkluzji, i tak już uprzedziliśmy wypadki... dodajmy tylko, że rzeczowe, ściśle materialne trudności tej sprawy grały w jego umyśle zupełnie podrzędną rolę. „Należy tylko zachować panowanie nad wolą i rozsądkiem, a trudności te zostaną we właściwym czasie pokonane, gdy przyjdzie do zaznajomienia się z najdrobniejszymi szczegółami sprawy...”. Ale sama sprawa nie zaczynała się. Ostatecznym decyzjom swoim w dalszym ciągu w najmniejszym stopniu nie dowierzał, a gdy wybiła godzina, wszystko wyszło inaczej, tak jakoś mimo woli, omalże niespodziewanie.

Pewna drobna okoliczność zupełnie go zaskoczyła, zanim jeszcze zdążył zejść ze schodów. Gdy zrównał się już z kuchnią, jak zawsze na oścież otwartą, i zajrzał tam ukradkiem, żeby przekonać się, czy nie ma tam czasem pod nieobecność Nastazji samej gospodyni, a jeśli jej nie ma, to czy drzwi do jej pokoju są szczelnie zamknięte, żeby niespodziewanie nie wyjrzała stamtąd w chwili, kiedy wejdzie po siekierę, nagle zobaczył, że tym razem Nastazja nie tylko jest w domu, w kuchni, ale najspokojniej pracuje: wyjmuje z kosza bieliznę i rozwiesza ją na sznurach! Spostrzegłszy go, przerwała pracę, odwróciła się do niego i cały czas nie spuszczała z niego oczu, gdy przechodził. Odwrócił głowę i przeszedł obok kuchni, jak gdyby nic nie widząc. Ale sprawa była skończona: siekiery nie ma! Okropnie go to przeraziło.

„Dlaczego ubrdałem sobie – myślał, schodząc już do bramy – że właśnie w tej chwili jej w żadnym razie nie będzie w domu. Dlaczego, dlaczego, dlaczego z taką pewnością tak sądziłem?”. Był zupełnie zdruzgotany i nawet poniekąd poniżony. Z wściekłości śmiać mu się chciało z samego siebie... Kipiała w nim jakaś tępa, zwierzęca złość.

Zatrzymał się w zamyśleniu w bramie. Na myśl, żeby wyjść na ulicę dla pozorów i pospacerować, ogarniał go wstręt, ale powrót do domu był czymś jeszcze obrzydliwszym. „I taką okazję na zawsze straciłem!” – mruknął sam do siebie, stojąc bez celu w bramie, naprzeciwko ciemnej stróżówki, również otwartej. Naraz aż drgnął cały. W komórce stróża, która była o dwa kroki od niego, pod ławką na prawo coś błyszczało... Rozejrzał się dookoła – nie było nikogo. Na palcach podszedł do stróżówki, zszedł dwa stopnie w dół i cichym głosem zawołał stróża. „Tak jest, nie ma go w domu. Ale musi być gdzieś tu, na podwórku, bo drzwi są otwarte”. Rzucił się jak jastrząb na siekierę (to właśnie była siekiera) i wyciągnął ją spod ławki, pod którą leżała wśród drew; na miejscu, nie wychodząc, zawiesił ją na pętli, wsunął obie ręce do kieszeni i wyszedł ze stróżówki; nikt nie zauważył! „Jak nie rozsądek, to diabeł!” – pomyślał, uśmiechając się dziwnie. Przypadek ten dodał mu

nadzwyczajnej otuchy.

Szedł ulicą spokojnie i *statecznie*, nie śpiesząc się, żeby nie wzbudzić czasem podejrzeń. Rzadko spoglądał na przechodniów, starał się nawet zupełnie nie patrzeć na twarze, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę. Tu przypomniał sobie kapelusz. „Boże drogi! I pieniądze onegdaj miałem, a nie mogłem go zmienić na czapkę!”. Zaklął siarczyście.

Przypadkowo zajrzał ukradkiem do sklepiku i zobaczył, że na ściennym zegarze jest już dziesięć minut po siódmej. Trzeba się było śpieszyć, zwłaszcza że musiał nadłożyć drogi, żeby podejść do domu naokoło, od drugiej strony...

Przedtem, gdy starał się objąć to wszystko wyobraźnią, chwilami myślał, że będzie bardzo się bał. Ale bał się nie za bardzo, a nawet wcale się nie bał. Przychodziły mu do głowy nawet jakieś uboczne myśli, ale wszystko to na bardzo krótko. Przechodząc obok ogrodu Jusupowa, pomyślał nawet o urządzeniu wysokich wodotrysków i o tym, jak odświeżałyby one powietrze na wszystkich placach. Stopniowo doszedł do przekonania, że gdyby rozszerzyć Ogród Letni na całe Pole Marsowe i połączyć go z pałacowym Ogrodem Michajłowskim, byłoby to piękne i niezwykle pożyteczne dla miasta. Przy tej sposobności zainteresowała go rzecz następująca: dlaczego we wszystkich wielkich miastach ludzie mają dziwną skłonność – i to nie zawsze z konieczności – do osiedlania się w takich właśnie dzielnicach, które nie mają ani ogrodów, ani fontann, w których panuje brud, smród i wszelakie paskudztwo. Przypomniał sobie w tej chwili własne przechadzki po placu Siennym i na chwilę jak gdyby się ocknął. „Co za bzdury – pomyślał sobie. – Lepiej już o niczym nie myśleć!”.

„Tak chyba czepiają się myślą napotykanym przedmiotów ci, którzy prowadzeni są na stracenie<sup>[28]</sup>” – przemknęła mu błyskawicznie myśl, lecz odpędził ją jak najprędzej... Ale już jest blisko, oto dom, oto brama. Gdzieś zegar uderzył jeden raz. „Co to, czyżby już było pół do ósmej? Niemożliwe, na pewno się śpieszy!”.

Na szczęście bramę znowu minął pomyślnie. Mało tego, jakby naumyślnie, tuż przed nim wjechał do bramy wielki wóz z sianem, który zasłaniał go całego w chwili, gdy przechodził przez bramę, a gdy wóz wjeżdżał z bramy na podwórze, prześliznął się niepostrzeżenie na prawo. Po drugiej stronie wozu słychać było krzyki i spór kilku głosów, ale jego nikt nie zauważył i nikogo po drodze nie spotkał. Dużo okien wychodzących na to ogromne, czworokątne podwórze było w tej chwili pootwieranych, ale nie podniósł głowy – nie miał na to siły. Klatka schodowa starej była na prawo, tuż obok bramy.

Odetchnął głęboko i przycisnąwszy ręką bijące serce, namacał raz jeszcze i poprawił siekierę, a potem wszedł na schody, ostrożnie, spokojnie, co chwila nasłuchując. Ale na schodach nie było nikogo; wszystkie drzwi były zamknięte; nikogo też nie spotkał. Na pierwszym piętrze jedno mieszkanie było puste, na oścież otwarte i pracowali tam malarze, ale ci nawet nie spojrzeli. Przystanął, pomyślał i poszedł dalej. „Oczywiście, byłoby lepiej, gdyby ich tu nie było, ale... nad nimi są jeszcze dwa piętra”.

A oto już trzecie piętro, drzwi i mieszkanie naprzeciwko – puste. Wszystko wskazywało na to, że mieszkanie na drugim piętrze, pod mieszkaniem starej, również stoi puste: bilet wizytowy, który był przybity do drzwi, został zdjęty – wyprowadzili się!... Dech mu zaparło. Na moment przemknęło mu przez myśl: „A może odejść?”. Ale nie odpowiedział na to pytanie i zaczął nasłuchiwać pod drzwiami mieszkania starej: martwa cisza. Potem nasłuchiwał od strony schodów, z dołu, przysłuchiwał się długo, pilnie... W końcu obejrzał się po raz ostatni, zebrał siły, otrząsnął się i raz jeszcze namacał siekierę w pętli. „Czy aby nie jestem... za bardzo blady? – pomyślał – za bardzo zdenerwowany? Ona jest podejrzliwa... Może poczekać... aż serce się uspokoi?”. Ale serce się nie uspokajało. Przeciwnie, jakby naumyślnie waliło coraz mocniej i mocniej... Nie wytrzymał, z wolna wyciągnął rękę do dzwonka i zadzwonił. Po upływie pół minuty zadzwonił jeszcze raz, głośniej.

Nie było odpowiedzi. Nie było co na darmo dzwonić, zresztą nie było mu to na rękę. Stara była, oczywiście, w domu, ale podejrzliwa i sama. Znał trochę jej zwyczaje... i teraz przyłożył ucho do samych drzwi. Czy słuch miał szczególnie wyostrzony (co trudno byłoby przypuszczać), czy rzeczywiście było bardzo dobrze słyhać, ale naraz usłyszał jakby szmer ręki przy klamce i jakby szelest sukni. Ktoś cichaczem stał przy samym zamku i zdaje się tak samo, jak on z zewnątrz, również przyłożył ucho do drzwi...

Wówczas umyślnie się poruszył i coś bąknął na głos, żeby nie przypuszczano, że się chowa; potem zadzwonił po raz trzeci, ale spokojnie, solidnie i bez śladu zniecierpliwienia. Wspominając o tym później, wyraźnie i dokładnie, bo chwila ta utkwiała mu w pamięci na całe życie, nie mógł w żaden sposób zrozumieć, skąd wzięło się w nim wówczas tyle przebiegłości, zwłaszcza że chwilami umysł mu się mącił, a ciało ogarniała słabość... Po chwili usłyszał otwieranie rygla.

Drzwi, jak i poprzednio, zostały uchylone na wąziutką szparkę i znowu dwoje ostrych, podejrzliwych oczu spojrzało na niego z ciemności. Tu Raskolnikow okropnie się zmieszał i popełnił poważny błąd.

Obawiając się, że stara złęknie się, jak zobaczy, że są sami, a nie mając nadziei, by na jego widok nabrała zaufania, pociągnął za klamkę drzwi ku sobie, żeby czasem nie przyszło jej na myśl znowu się zamknąć. Widząc, że nie zatrzasnęła drzwi z powrotem, ale też nie puściła z ręki klamki, omal nie wyciągnął jej razem z drzwiami do sieni. Widząc zaś, że zatarasowała sobą wejście i nie pozwala mu przejść, natarł wprost na nią. Stara aż odskoczyła z przestraszenia, chciała coś powiedzieć, ale nie powiedziała, tylko wlepiła w niego szeroko rozwarte oczy.

– Dobry wieczór, Alono Iwanowno – zaczął możliwie niewymuszonym tonem, ale głos odmówił mu posłuszeństwa, załamał się i drgnął – przyniosłem pani... zastaw... może lepiej wejdziemy... do światła... – I zostawiwszy ją w przedpokoju, nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju... Stara wbiegła za nim, rozkrzyczała się.

– Boże! Czego pan chce?... Kim pan jest? Co pan sobie życzy?

– Co też pani, Alono Iwanowno... pani mnie zna... Raskolnikow... o, zastaw przyniosłem, który zapowiedziałem... – I podał jej zastaw.

Stara spojrzała na zastaw, ale natychmiast wlepiła oczy w nieproszonego gościa. Wpatrywała się w niego bardzo uważnie, gniewnie i nieufnie. Minęła dobra chwila; wydawało mu się, że spogląda na niego drwiąco, jak gdyby wszystkiego się domyślała. Czuł, że traci równowagę, że ogarnia go lęk, tak okropny lęk, że jeśli jeszcze z pół minuty tak na niego popatrzy bez słowa, to chyba ucieknie od niej.

– Czemu pani tak patrzy na mnie, jakby mnie pani nie znała? – odezwał się naraz z wyraźną irytacją. – Jeżeli pani chce, niech pani weźmie, a jak nie, to pójdę do kogoś innego, bo nie mam czasu.

Nie miał nawet zamiaru mówić tego, ale tak jakoś samo mu się to powiedziało.

Stara opamiętała się; zdecydowany ton gościa dodał jej nieco otuchy.

– Czegóż to, dobrodzieju, zaraz aż tak... Co to jest? – zapytała, zerkając na zastaw.

– Srebrna papierośnica, mówiłem przecież o tym zeszłym razem.

Wyciągnęła rękę.

– A czegóż to pan taki strasznie blady? O, i ręce panu drżą! Kapał się pan za długo czy co?

– Febra – odpowiedział krótko. – Mimo woli człowiek zblednie... jeżeli nie ma co jeść – dodał, ledwie wymawiając słowa. Siły znowu zaczęły go opuszczać. Ale odpowiedź miała cechy prawdopodobieństwa, wobec czego stara wzięła zastaw.

– Co to jest? – zapytała raz jeszcze, uważnie patrząc na Raskolnikowa i ważąc zastaw w rękę.

– Zastaw... papierośnica... srebrna... niech pani obejrzy.

– Coś mi się wydaje, jakby nie była srebrna... Aleś pan tu namotał!

Usiłując rozplątać węzełek sznurka, odwróciła się do światła (wszystkie okna mimo zaduchu miała zamknięte) i na kilka sekund stanęła tyłem do niego. Raskolnikow rozpiął palto, zdjął siekiere z pętli, ale jeszcze jej nie wyjmował, tylko trzymał prawą rękę pod paltem. Ręce mu okropnie osłabły, czuł, że z każdą chwilą drętwieją i sztywnieją! Obawiał się, że wypuści siekiere z rąk... Nagle zakręciło mu się w głowie.

– Coś pan tu nasupłał! – zniecierpliwiła się stara i ruszyła w jego stronę.

Nie miał ani chwili do stracenia. Wyjął już siekiere i oburącz, z rozmachem, jakby poza własną świadomością, ale bez wysiłku, machinalnie, uderzył ją obuchem w głowę. Stało się to niejako bez udziału jego siły. Lecz gdy tylko raz ją uderzył, nie wiadomo skąd zjawily się siły.

Stara, jak zawsze, była z gołą głową. Jej jasne, przyprószone siwizną, rzadkie włosy były wysmarowane jakimś tłuszczem i z tyłu splecione w mysi ogonek podpięty odłamkiem rogowego grzebyka sterczącego we włosach. Krzyknęła, ale bardzo słabym głosem i nagle jakoś dziwnie przysiadła, chociaż zdążyła się jeszcze złapać rękoma za głowę. W jednym ręku trzymała wciąż „zastaw”. Wówczas Raskolnikow uderzył ją jeszcze kilka razy obuchem w tył głowy. Krew bluznęła jak z przewróconej szklanki i ciało zważyło się na wznak. Raskolnikow odstąpił o krok, pozwolił jej upaść, po czym nachylił się i zajrzał jej w twarz: już nie żyła. Oczy miała wybałuszone, jak gdyby miały wyskoczyć z orbit, a czoło i całą twarz zmarszczone, wykrzywione konwulsyjnym skurczem.

Położył siekiere na podłodze, obok trupa, i natychmiast sięgnął do kieszeni staruchy, starając się nie poplamić spływającą krwią – do tej samej kieszeni, z której zeszłym razem wyjmowała klucze. Był w pełni świadomości, nie miał żadnego zaćmienia myśli ani zawrotów głowy, drżały mu tylko jeszcze ręce. Później przypomniał sobie, że był nawet bardzo uważny, przeczny, starał się nie poplamić... Klucze wyjął w jednej chwili... Wszystkie, jak i wówczas, były w jednym pęczku na żelaznym kółeczku. Pobiegł z kluczami do sypialni. Był to mały pokój z dużą ilością świętych obrazów na ścianie. Przy drugiej ścianie stało szerokie łóżko, bardzo czyste, okryte zszytą ze skrawków jedwabiu, watowaną kołdrą. Przy trzeciej ścianie stała komoda. Rzecz zastanawiająca: gdy zaczął dobierać klucze do komody i usłyszał ich brzęk, jakiś dreszcz przeszedł mu po ciele. Znowu opanowała go chęć porzucenia wszystkiego i umknięcia. Ale była to tylko jedna chwilka; na ucieczkę było już za późno. Nawet uśmiechnął się z politowaniem nad samym sobą, gdy nagle opanowała go inna, niepokojąca myśl. Wydawało mu się, że stara jeszcze żyje i że może się ocknąć. Zostawiwszy klucze i komode, pobiegł z powrotem do ciała, złapał siekiere, uniósł ją i zamachnął się raz jeszcze nad starą, ale nie uderzył. Nie ulegało wątpliwości, że nie żyje. Nachyliwszy się i przyjrząwszy się jej z bliska, przekonał się naocznie, że miała rozplątana czaszkę i jak gdyby przekreconą nieco na bok. Chciał jej dotknąć palcem, ale prędko cofnął palec; i tak widać było wszystko. Tymczasem utworzyła się już cała kałuża krwi. Naraz zauważył na jej szyi sznureczek, szarpnął go, ale sznureczek był mocny i nie przerwał się; przy tym nasiąknął



krwią. Próbował wyciągnąć go z za pazuchy, ale coś przeszkadzało, trzymało. Z niecierpliwością znowu uniósł siekiere, żeby nią rąbnąć po sznurku na ciele, z góry, ale nie miał odwagi i z trudem, poplamivszy ręce i siekiere, po dwóch minutach szarpaniny w końcu rozciął sznurek, nie dotykając toporem ciała; nie omylił się – była tam sakiewka. Na sznureczku wisiały dwa krzyżyki, cyprysowy i miedziany, oprócz tego – emaliowany szkaplerzyk; tuż obok wisiała niewielka zamszowa, zatłuszczona sakiewka ze stalowym okuciem i kółeczkiem. Sakiewka była mocno wypchana; Raskolnikow, nie oglądając, wsunął ją do kieszeni, krzyżyki rzucił z powrotem starej na piersi i zabrawszy siekiere, znów wbiegł do sypialni.

Śpieszył się bardzo, złapał klucze i znowu zaczął nimi manipulować. Ale jakoś nie udawało mu się to; nie mógł dopasować kluczy. Nie dlatego, że mu tak bardzo drżały ręce, ale jakoś ciągle się mylił: widzi, na przykład, że to nie ten klucz, a pcha go do dziurki. Naraz przypomniał sobie i domyślił się, że ten duży klucz z zębatym piórem, który wisi razem z mniejszymi, musi być nie od komody (tak zeszytym razem mu się wydawało), a od jakiejś skrytki i że może w tej właśnie skrytce wszystko jest schowane. Zostawił więc w spokoju komodę i wlaż pod łóżko, bo wiedział, że wszelkiego rodzaju wartościowe skrzyneczki stare kobiety chowają pod łóżka. Tak też było: stał tam znacznych rozmiarów kufer o długości powyżej arszyna<sup>[29]</sup>, z wypukłym wiekiem, obity safianem i stalowymi ćwiekami. Zębaty klucz akurat się nadawał i otworzył kufer. Na wierzchu pod białym prześcieradłem leżało zajęcze futerko, z czerwonym pokryciem; pod nim – jedwabna suknia, szal, a dalej, w głębi, zdawało się, że leżą same łachy. Przede wszystkim zaczął wycierać o czerwone pokrycie futerka umazane we krwi ręce. „Czerwone, a na czerwonym nie będzie znać krwi – pomyślał i zaraz się zreflektował: – Boże! Zmysły tracę czy co?”.

Lecz gdy tylko ruszył łachy, spod futerka wyśliznął się złoty zegarek. Zaczął wszystko przerzucać. Rzeczywiście w gałganach ukryte było złoto – prawdopodobnie zastawy, wykupione i niewykupione – bransoletki, łańcuszki, kolczyki, szpilki itp. Niektóre były w futeralikach, inne zaś po prostu owinięte w papier gazetowy, ale porządnie i starannie, w podwójne arkusze, przewiązane wstążeczkami. Nie tracąc ani chwili, zaczął je pakować do kieszeni spodni i płaszcza, bez wyboru, nie rozpakowując paczuszek ani nie otwierając futeralików, ale dużo zabrać nie zdążył...

Nagle usłyszał, że w pokoju, w którym leżała stara, ktoś chodzi. Przerwał pakowanie i zamarł. Dookoła panowała cisza, a więc tylko mu się zdawało. Ale naraz usłyszał wyraźnie stłumiony okrzyk, jak gdyby ktoś słabo i krótko jęknął i zamilkł. Potem – znowu martwa cisza trwająca z minutę albo i dwie. Przykucnął przy kufrze i czekał, wstrzymując oddech, ale naraz zerwał się, chwycił siekiere i wybiegł z sypialni.

Na środku pokoju stała Lizawieta, z wielkim tobołkiem w ręku, i w osłupieniu patrzyła na zamordowaną siostrę, biała jak płótno i jakby za słaba, by krzyknąć. Na widok wpadającego Raskolnikowa zadrżała jak liść i twarz zaczęła jej kurczowo drgać. Podniosła rękę i otworzyła nawet usta, ale jednak nie krzyknęła i wolno, tyłem zaczęła się cofać w kąt, patrząc mu

uporczywie prosto w oczy, ale w milczeniu, jak gdyby nie miała się krzyknąć. Rzucił się do niej z siekierą. Wargi skrzywiła tak żałośnie, jak to bywa u małych dzieci, kiedy zaczynają się czegoś lękać, pilnie wpatrują się w przedmiot, który je strachem przejmuje, i zamierzają się rozplakać. Nieszczęsna Lizawieta była do tego stopnia prosta, zahukana i nastraszona, że nie podniosła nawet rąk, żeby zasłonić twarz, jakkolwiek w tej chwili byłby to odruch zupełnie naturalny, bo siekiere miała wzniesioną nad samą twarzą. Uniosła tylko wolną lewą rękę, nawet nie na wysokość twarzy, i powoli wyciągnęła ją w jego kierunku, jakby go odsuwała. Uderzył siekierą w czaszkę ostrzem, z rozmachu i przerąbał jej całą górną część czoła, wrzynając się prawie do ciemienia. Natychmiast runęła na ziemię. Raskolnikow zupełnie stracił panowanie nad sobą, schwycił jej tobołek, znowu go rzucił na ziemię i wybiegł do przedpokoju.

Coraz bardziej opanowywał go strach, zwłaszcza po tym drugim, zupełnie nieprzewidzianym morderstwie. Chciał jak najprędzej stąd uciec. I gdyby był w stanie w owej chwili dokładniej widzieć i rozumować, gdyby mógł uświadomić sobie wszystkie trudności swojej sytuacji, całą grozę, ohydę i bezsensowność oraz zrozumieć wreszcie, ile czeka go przeszkód, a może i przestępstw, żeby się stąd wyrwać i dostać do domu, to bardzo możliwe, że porzuciłby wszystko, poszedłby, gdzie należy, i sam na siebie zrobiłby doniesienie, nawet nie ze strachu o siebie, a z przerażenia i obrzydzenia do tego, co uczynił. Szczególne uczucie obrzydzenia potęgowało się w nim z minuty na minutę. Za nic na świecie nie wróciłby teraz do kufra ani nawet do pokoi.

Jednakże powoli zaczęło go opanowywać jakieś dziwne roztargnienie czy zaduma; chwilami zapominał się, a raczej zapominał o rzeczy najważniejszej, czepiając się równocześnie drobiazgów. Gdy zajrzał do kuchni i spostrzegł na ławce wiadro napełnione do połowy wodą, postanowił umyć ręce i siekiere. Ręce miał lepkie od krwi. Siekiere wrzucił ostrzem do wody, chwycił z okna leżący na wyszczerbionym spodku kawałek mydła i zaczął w wiadrze myć ręce. Potem wyjął siekiere, obmył żelazo i długo, ze trzy minuty, szorował drewniany trzonek, próbując zmyć krew mydłem. Po tej czynności wytarł wszystko bielizną, która się suszyła na sznurze przeciągniętym przez kuchnię, a potem długo, uważnie oglądał siekiere przy oknie. Żadnych śladów nie było, tylko trzonek był jeszcze mokry. Starannie znowu zawiesił siekiere na pętli pod płaszczem. Następnie, na ile pozwalało na to światło w ciemnej kuchni, obejrzał płaszcz, spodnie, buty. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku, jedynie buty były poplamione. Zwilżył więc jakiś gałgan i wytarł buty. Zdawał sobie przy tym sprawę z tego, że ogląda rzeczy niedokładnie, że może jest coś rzucającego się w oczy, czego na razie nie dostrzega. Stał w zamyśleniu na środku pokoju. Ponura, dręcząca myśl kołatała mu w głowie – myśl, że traci zmysły i że w tej chwili nie jest w stanie niczego rozsądnie obmyślić ani się ratować, że może należy robić coś zupełnie innego, aniżeli teraz robi... „Boże drogi! Trzeba uciekać, uciekać!” – wybełkotał sam do siebie i wybiegł do przedpokoju. Ale tutaj czekało go przerażenie, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył.

Stał, przyglądał się i nie wierzył własnym oczom: drzwi, zewnętrzne drzwi z przedpokoju na klatkę schodową, te same, do których przedtem dzwonił i przez które wszedł, były otwarte i uchylone na szerokość całej dłoni: przez cały czas, przez cały ten czas nie były zamknięte ani na klucz, ani na rygiel! Stara nie zamknęła za nim może przez ostrożność. Ale, Boże święty! Przecież widział potem Lizawietę! I jak mógł, jak mógł się nie domyślić, że przecież musiała jakoś wejść! Chyba nie przez ścianę!

Rzucił się do drzwi i założył rygiel!

„Ale nie, znowu nie to! Trzeba uciekać, uciekać...”.

Odsunął znowu rygiel, otworzył drzwi i zaczął nasłuchiwać na schodach.

Długo się wsłuchiwał. Gdzieś daleko, prawdopodobnie na dole, w bramie, głośno i piskliwie darty się jakieś dwa głosy, kłócono się i wymyślano sobie. „O co chodzi?...”. Czekał cierpliwie. Nagle wszystko ucichło, jak uciał; rozeszli się. Chciał już wyjść, ale naraz o piętro niżej z trzaskiem otworzono drzwi na schody i ktoś zaczął schodzić na dół, nucąc jakąś piosenkę. „Jak mogą tak ciągle hałasować!” – przemknęło mu przez myśl. Znowu przymknął drzwi i czekał. Wreszcie wszystko umilkło, nie dochodził żaden dźwięk. Już wyszedł na schody, gdy znów usłyszał czyjeś kroki.

Usłyszał te kroki z bardzo daleka, z samego dołu, ale bardzo dokładnie pamięta, że już od pierwszego odgłosu podejrzewał, iż ktoś idzie na pewno *tutaj*, na trzecie piętro, do starej. Dlaczego? Czy odgłos tych kroków był jakiś wyjątkowy, osobliwy? Były to kroki ciężkie, miarowe, powolne. Oto minął on już parter, idzie wyżej, jeszcze wyżej; coraz lepiej słychać! Słyszał już ciężkie sapanie idącego... Zaczęło się trzecie piętro... Tutaj! I naraz wydawało mu się, że zupełnie zdrętwiał, jak we śnie, kiedy śni się człowiekowi, że go chcą zamordować, dopędzają, a człowiek jak gdyby przykuty jest do miejsca i nawet ręką ruszyć nie może.

Wreszcie, gdy gość zaczął wchodzić na trzecie piętro, Raskolnikow oprzytomniał, zdążył jeszcze zgrabnie wśliznąć się z powrotem do mieszkania, przymykając za sobą drzwi. Potem chwycił rygiel i po cichu, bez najmniejszego szmeru wsunął go w skobel. Instynkt mu pomagał. Po dokonaniu tego przyczaił się z zapartym tchem tuż pod drzwiami. Nieproszony gość również stał pod drzwiami. Stali teraz naprzeciw siebie, jak przedtem on ze staruchą, kiedy to dzieliły ich drzwi, a on nasłuchiwał.

Gość kilkakrotnie głęboko odetchnął. „Chyba jest gruby i rośły” – pomyślał Raskolnikow, ściskając w ręku siekiere. Zupełnie jak we śnie. Gość szarpnął za rączkę dzwonka i głośno zadzwonił.

Gdy rozległ się blaszany dźwięk dzwonka, przywidziało mu się, że ktoś poruszył się w pokoju. Kilka sekund uważnie nasłuchiwał. Nieznajomy szarpnął jeszcze raz, znowu czekał i naraz zniecierpliwiony zaczął z całych sił tarmosić klamkę. Raskolnikow patrzył z przerażeniem, jak rygiel skacze w skoblu, i otępiały ze strachu czekał, że rygiel lada chwila wyskoczy. A było to zupełnie możliwe: tak mocno szarpano drzwi. Chciał przytrzymać rygiel ręką, ale pomyślał, że tamten może się domyślić. Zdawało mu się, że znowu dostaje zawrotów głowy. „Zaraz upadnę!” – przemknęło mu przez myśl, ale nieznajomy zaczął coś mówić, a Raskolnikow w lot oprzytomniał.

– Co one tam, śpią psiekrwie czy ktoś je pozarzyła? Niech was wszyscy diabli!... – ryknął gość jak z beczki. – Hej, Alono Iwanowno, stara wiedźmo! Lizawieto Iwanowno, śliczna panno! Otwórzcie! O psiekrwie, śpią czy co u licha? – I znowu, rozwścieczony, z dziesięć razy szarpnął z całej siły dzwonek. Musiał to być człowiek władczy i krótko trzymający domowników.

W tej samej chwili doleciał odgłos drobnych, pośpiesznych kroków. Ktoś jeszcze szedł tutaj. Raskolnikow nie dosłyszał rozmowy w pierwszej chwili.

– Czyżby nikogo nie było? – dźwięcznie i wesoło zapytał przybysz, zwracając się do pierwszego gościa, który nie przestawał szarpać dzwonka. – Moje uszanowanie, panie Koch!

„Sądząc po głosie, musi to być człowiek bardzo młody” – pomyślał Raskolnikow.

– Diabli wiedzą, już o mały drzwi nie rozwalilem – odpowiedział Koch. – A pan skąd raczy mnie znać?

– Masz tobie! A onegdaj kto panu w „Gambrynusie” wlepił trzy partie w bilard?

– A-a-a...

– Więc nie ma ich. To dziwne. Zresztą bardzo głupia sytuacja. Dokąd ta stara mogła pójść? Mam do niej interes.

– Ja też mam interes, mój panie!

– Co robić? Chyba przyjdzie zrezygnować. Och! A tak liczyłem na forszę! – jęknął młodzieniec.

– Na to wygląda, że nic z tego, ale po co, u licha, się umawiała? Sama przecież, wiedźma jedna, wyznaczyła godzinę. Mam nóż na gardle. I gdzie się, psiekrew, wałęsa, nie rozumiem! Cały rok gnije w domu, nogi ją boją, a tu, jak na złość, na spacer się wybrała!

– Może stróża zapytać?

– O co?

– Dokąd poszła i kiedy wróci?

– Hm... do diabła... zapytać... Ale przecież ona nigdzie nie chodzi... – I jeszcze raz szarpnął klamką. – Do cholery, nie ma co, nic z tego!

– Czekaj pan! – krzyknął nagle młodzieniec. – Spójrz pan: widzi pan, jak drzwi odstają, kiedy się je szarpie?

– No to co?

– To znaczy, że nie są zamknięte na klucz, tylko na rygiel, a raczej na haczyk! Słyszysz pan, jak brzęczy!

– No?

– Jeszcze pan nie rozumie? To znaczy, że ktoś jest w domu. Gdyby obie wyszły, to zamknęłyby z zewnątrz na klucz, a nie na rygiel od wewnątrz. A tu – słyszysz pan, jak brzęczy rygiel? Żeby się zamknąć od wewnątrz na rygiel, trzeba przecież być w domu, rozumie pan? Widocznie siedzą w domu i nie chcą otworzyć!

– Ba! Rzeczywiście! – skonstatował zdumiony Koch. – Więc co, u licha, sobie myślą! – I zaczął okropnie szarpać drzwi.

– Niech pan zaczeka! – zawołał znowu ten młody. – I niech pan nie szarpie! Tu coś jest nie w porządku... pan przecież dzwonił, szarpał, więc jeśli nie

otwierają, to znaczy, że albo pomdlały, albo...

– Co?

– Wie pan co: chodźmy po stróża, niech on je sam obudzi.

– Słusznie! – I obydwaj ruszyli na dół.

– Chwileczkę! Niech pan tu zostanie, a ja pobiegnę po stróża.

– A po co mam zostawać?

– A czy to można wiedzieć?

– Może i racja...

– Ja przecież szykuję się na sędziego śledczego! Tu najwidoczniej, najwidoczniej coś jest nie w porządku! – obstawał przy swoim młodzieniec i pobiegł prędko na dół.

Koch pozostał, raz jeszcze pociągnął, ale już spokojnie, za rączkę dzwonka, który brzęknął; powoli, jakby coś kombinując, zaczął poruszać klamką w jedną i w drugą stronę, żeby się raz jeszcze przekonać, że jest zamknięte tylko na rygiel. Potem, sapiąc, nachylił się i zajrzał przez dziurkę od klucza, ale tam tkwił od wewnątrz klucz, nie mógł więc nic zobaczyć.

Raskolnikow ścisnął w rękę siekiere. Był jak w malignie. Już się szykował do stoczenia z nimi walki, gdyby weszli. Kiedy pukali i zastanawiali się nad sytuacją, przychodziła mu kilka razy do głowy myśl, żeby wszystko od razu skończyć i krzyknąć do nich zza drzwi. Chwilami brała go ochota nawymyślać im i droczyć się z nimi, dopóki nie otworzą. „Byle tylko prędzej!” – przemknęło mu przez myśl.

– Gdzież on jest, do diabła...

Czas mijał, minuta, dwie, ale nikt nie przychodził. Koch zaczął się niecierpliwić.

– Do diabła!... – warknął i porzucając swój posterunek, ruszył na dół, śpiesząc się i tupiąc butami po schodach. Kroki ucichły.

„Boże, co robić?”

Raskolnikow odemknął drzwi, uchylił je, nic nie było słychać, i nagle, zupełnie nie zastanawiając się, zamknął je dokładnie za sobą i zaczął szybko schodzić na dół.

Zszedł już z trzech kondygnacji, gdy nagle zaczął się straszny harmider na dole. „Co robić? Ukryć się nie ma gdzie”. Pobiegł z powrotem, znów do mieszkania.

– Hej, psiakrew! Trzymać go!

Ktoś z wrzaskiem wyskoczył na dole z jakiegoś mieszkania i nie pobiegł, a po prostu sfrunął na dół po schodach, drąc się na całe gardło:

– Mitia! Mitia! Mitia! Mitia! Mitia! Draniu jeden!

Wrzeszczał jeszcze na dworze. Wreszcie wszystko ucichło. Ale w tej samej chwili kilka osób, głośno rozmawiając, zaczęło z hałasem wchodzić na schody. Było ich trzech albo czterech. Dobiegł go dźwięczny głos owego młodzieńca. „To oni!”

Zrozpaczony do ostateczności, ruszył im naprzeciw: niech się dzieje, co chce! Zatrzymają – wszystko przepadło, miną – też przepadło: zapamiętają. Już się zbliżali ku sobie, dzieliło ich tylko jedno piętro i nagle – ratunek! Kilka stopni niżej, na prawo, zauważył otwarte na oścież mieszkanie na

pierwszym piętrze, to samo mieszkanie, w którym pracowali malarze, a teraz jakby naumyślnie puste. To pewnie oni wyskoczyli z takim wrzaskiem. Podłogi były świeżo pomalowane, na środku pokoju stała bańka i miska z farbą i pędzlem. W okamgnieniu wśliznął się do mieszkania i przycisnął za drzwiami, jeszcze zdążył: wchodzący na górę akurat podchodzili do tych drzwi. Potem skręcili na górę i poszli dalej, na trzecie piętro, rozprawiając głośno. Przeczekał, wyszedł na palcach i zbiegł na dół.

Na schodach nie było nikogo! W bramie również. Szybkim krokiem minął bramę i skręcił na ulicy w lewo.

Wiedział bardzo dobrze, świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że w tej chwili oni są już w mieszkaniu, że się bardzo zdziwili, zobaczywszy, że drzwi są otwarte, podczas gdy przed chwilą były zamknięte, że już oglądają zwłoki i że nie dalej jak za minutę domyślą się, a raczej nabiorą niezbitego przekonania, że przed chwilą był tu morderca i zdążył się gdzieś ukryć, prześliznąć się obok nich, uciec; domyślą się prawdopodobnie i tego, że schował się w pustym mieszkaniu, gdy oni szli na górę. A jednak nie miał odwagi za bardzo przyśpieszyć kroku, jakkolwiek do pierwszej przecznicy pozostawało około stu kroków. „Czy nie skoczyć do jakiejś bramy i przeczekać gdzieś na schodach? Nie, jeszcze gorzej! A może wyrzucić siekiere? Może wziąć dorożkę? Rozpacz! Rozpacz!”

Nareszcie doszedł do rogu ulicy; skręcił w boczną uliczkę na pół żywy; tu już był prawie bezpieczny i rozumiał to: zawsze mniej podejrzeń będzie, przy tym było tu bardzo dużo ludzi, tak że stanowił w tym tłumie kroplę w morzu. Wszystkie te przejścia tak go piekielnie zmęczyły, że ledwie powłóczył nogami. Pot ciurkiem spływał mu po twarzy; całą szyję miał mokrą. „Patrzcie go, ale się strąbił!” – krzyknął mu jakiś przechodzień, gdy doszedł już do kanału.

Zaczynało mu się mącić w głowie; im dalej, tym gorzej. Zapamiętał sobie jednak, jak dochodząc do kanału, zląkł się, że jest tu mało ludzi i że tu rzuca się w oczy, wobec czego chciał zawrócić z powrotem do bocznej uliczki. Nie bacząc na to, że ledwie się trzymał na nogach, nadłożył jednakże sporo drogi i wrócił do domu od strony przeciwnej.

Na pół przytomny wszedł do bramy swojego domu i był już na schodach, kiedy przypomniał sobie o siekierze. A było to jedno z najważniejszych zadań: położyć ją z powrotem na miejsce tak, żeby nikt nie zauważył. Nie był już, oczywiście, w stanie uprzytomnić sobie, że może lepiej byłoby wcale nie kłaść siekiery na miejsce, a podrzucić ją, choćby później, gdzieś na cudze podwórze.

Ale i to przeszło pomyślnie: drzwi stróżówki były przymknięte, ale nie zamknięte na klucz, a więc prawdopodobnie stróż jest w domu. Raskolnikow już do tego stopnia był rozkojarzony, że podszedł wprost do stróżówki i otworzył ją. Gdyby go stróż zapytał: „Czego pan chce?”, najprawdopodobniej oddałby mu siekiere. Ale stróża nie było, wobec tego zdążył położyć siekiere na miejsce pod ławką; nawet zakrył ją drzwami, jak było przedtem. Nikogo, żywej duszy nie spotkał aż do swojego pokoju; drzwi mieszkania gospodyni były zamknięte. Wszedłszy do pokoju, rzucił się na



kanapę tak, jak stał. Nie spał, leżał w stanie jakiegoś zamroczenia; gdyby ktoś wszedł w tej chwili do pokoju, na pewno by się zerwał i krzyknął. Do głowy cisnęły mu się jakieś strzępy i urywki myśli, ale mimo wysiłku nie mógł uchwycić i zatrzymać żadnej...

## Część druga

### I

W takim stanie leżał bardzo długo. Chwilami jak gdyby się budził i widział, że dawno jest już noc, ale ani mu przez myśl nie przeszło, żeby wstać. Wreszcie zauważył, że jest widno jak w dzień. Leżał na kanapie na wznak, wciąż zdrętwiały po tym stanie zamroczenia. Z ulicy dochodziły przeraźliwe, okropne krzyki i jęki, które zresztą słyszał pod swoim oknem co noc o trzeciej nad ranem. Te właśnie jęki go obudziły. „Aha! już wychodzą z szynków pijacy – pomyślał sobie – to znaczy, że już jest trzecia”. I naraz zerwał się z kanapy jak oparzony: „Jak to! Już trzecia godzina!”. Usiadł na kanapie i wtedy dopiero przypomniał sobie wszystko! W okamgnieniu wszystko sobie przypomniał!

W pierwszej chwili przekonany był, że dostaje obłądu. Przeszedł go zimny dreszcz, ale dreszcz ten spowodowany był również gorączką, która zaczęła go trawić jeszcze we śnie. Teraz zaś tak nim rzucało, że ząb na ząb nie trafiał i wszystko w nim drżało. Otworzył drzwi i zaczął nasłuchiwać: w całym domu wszyscy spali. Ze zdumieniem oglądał siebie i wszystko dookoła w pokoju i żadną miarą nie potrafił zrozumieć, jak mógł wczoraj, wchodząc, nie zamknąć drzwi na haczyk i rzucić się na kanapę nie tylko w ubraniu, ale nawet w kapeluszu, który spadł i leżał tuż obok na podłodze. „Gdyby ktoś wszedł, co by sobie mógł pomyśleć? Że pijany jestem, ale...”. Podskoczył do okna. Było dość widno, więc zaczął się pośpiesznie oglądać od stóp do głów, całe swoje ubranie: czy czasem nie ma śladów? Ale tak obejrzeć się nie dało; drżąc jak liść, zaczął zdejmować z siebie wszystko i znowu dokładnie oglądać. Powywracał wszystko do ostatniej nitki, ale nie dowierzając sobie, powtórzył ten przegląd trzy razy. Jak się zdaje, nie było najmniejszych śladów; tylko w miejscu, gdzie dawniej były zakłady na nogawkach spodni, a teraz wisiały strzępy niczym frędzle, pozostały ślady zakrzepłej krwi. Chwycił pośpiesznie składany nóż i obciął frędzle. Innych śladów chyba nie było.

Naraz przypomniał sobie, że sakiewka i rzeczy, które wyciągnął z kufra starej – wszystko to ma jeszcze w kieszeniach. Dotąd nie pomyślał nawet o tym, żeby je wyjąć i schować! Nie pomyślał nawet o tym i teraz, kiedy oglądał ubranie! Co to znaczy? W jednej chwili zaczął je pośpiesznie wyjmować i wyrzucać na stół. Wyjąwszy wszystko, wyrzucił kieszenie, żeby się przekonać, czy czasem coś jeszcze nie zostało, i przeniósł całą tę kupę rzeczy do kąta. W kącie, na samym dole, odstawała w jednym miejscu tapeta: natychmiast powpychał wszystko do dziury za tapetą. „Zmieściło się! Wszystko wreszcie schowane, sakiewka również!” – pomyślał z zadowoleniem, podnosząc się i patrząc bezmyślnie w kąt, na jeszcze bardziej odstającą tapetę. Nagle aż drgnął cały z przerażenia: „Boże drogi – szeptał zrozpaczony – co się ze mną dzieje? Czy to jest schowane? Tak się chowa?”.

Co prawda nie liczył na te przedmioty, myślał, że będą tylko pieniądze, i dlatego nie przygotował przedtem właściwego miejsca. „Ale teraz, teraz, z czego jestem taki zadowolony? – myślał. – Tak się chowa? Rozum rzeczywiście odmawia mi już posłuszeństwa!”. Wycieńczony do ostatnich granic, usiadł na kanapie i znowu wróciły nieznośne dreszcze. Machinalnie wziął leżący obok na krześle stary, zimowy płaszcz studencki, ciepły, ale zupełnie podarty, okrył się nim i znowu zapadł w sen i malignę, tracąc poczucie rzeczywistości.

Po niespełna pięciu minutach zerwał się i jak szalony rzucił się do swego ubrania. „Jak mogłem znowu zasnąć, skoro jeszcze nic nie zostało załatwione! Oczywiście, oczywiście, dotąd jeszcze nie wyprułem pętli spod pachy! Zapomniałem o takiej ważnej sprawie, zapomniałem! Taki dowód rzeczowy!”. Oderwał pętlę i momentalnie podarł ją na drobne kawałki, wpychając je pod poduszkę, między bieliznę. „Strzępy płótna nie wzbudzają chyba najmniejszych podejrzeń; chyba nie, chyba nie!” – powtarzał, stojąc na środku pokoju, i z chorobliwie natężoną uwagą zaczął się rozglądać dookoła, po podłodze, po wszystkich zakamarkach, żeby się przekonać, czy czasem czegoś nie przeoczył. Świadomość, że wszystko, nawet pamięć, nawet zwykła zdolność rozumowania zaczyna go zawodzić, sprawiała mu nieznośny ból. „Boże, czyżby to już się zaczynało, czyżby już zaczynała się kara? O tak, tak jest!”. Istotnie, strzępy, które poobcinał od spodni, porzucane były po podłodze na środku pokoju tak, że każdy mógłby je zobaczyć. „Co się ze mną dzieje?” – pomyślał całkiem zgnębiony.

W tej chwili przyszła mu do głowy straszna myśl, że być może całe ubranie poplamione jest krwią, że może jest dużo śladów, ale on ich nie widzi, bo jest rozkojarzony, ma osłabiony umysł... Naraz przypomniał sobie, że przecież i na sakiewce była krew. „Ba! To znaczy, że i w kieszeni też musi być krew, bo wtedy mokrą jeszcze sakiewkę wsunąłem do kieszeni!”. W jednej chwili wyrócił kieszeń, patrzy – tak jest – na podszewce kieszeni są ślady, plamy! „A więc jeszcze niezupełnie straciłem rozum, a więc umysł i pamięć jeszcze działają, jeżeli się połapałem i domyśliłem się tego! – pomyślał z triumfem, westchnąwszy głęboko i radośnie pełną piersią. – To po prostu osłabienie z gorączki, chwilowa utrata przytomności” – i wyrwał całą lewą kieszeń spodni. W tej chwili promyk słońca padł na jego lewy, dziurawy but: wydało mu się, że na czubku buta ukazały się jakieś plamy. Natychmiast zdjął buty: „Istotnie, są plamy! Cały koniec skarpetki przesiąknięty jest krwią. Widocznie przez nieostrożność wdepnął wtedy w kałużę krwi... „Ale co teraz z tym zrobić? Gdzie podziać tę skarpetkę, strzępy, kieszeń?”.

Wziął to wszystko do ręki i stanął na środku pokoju. „Do pieca? Ależ przede wszystkim zaczną grzebać w piecu. Spalić? Spalić? Nawet zapalek nie ma. Nie, lepiej pójść gdzieś i wszystko wyrzucić. Tak! Lepiej wyrzucić! – mamrotał, siadając znowu na kanapie. – I to zaraz, natychmiast, ani chwili nie zwlekając!...”. Ale zamiast tego opadł znowu głową na poduszkę, znowu zmroziły go nieznośne dreszcze, znowu naciągnął na siebie płaszcz. I długo, przez kilka godzin jeszcze majaczył, że „trzeba by natychmiast, bez zwłoki

gdzieś pójść i wszystko wyrzucić, żeby się wreszcie tego wszystkiego pozbyć, byle prędzej, byle prędzej!”. Zrywał się z kanapy kilka razy, chciał wstać, ale nie był w stanie. W końcu obudziło go mocne pukanie do drzwi.

– Odmykaj, umarł czy co? Ciężkiem ino gnije! – krzyczała Nastazja, waląc pięścią w drzwi. – Po calusieńkich dniach się wyleguje jak pies! Jak pies! Odmykaj! Już po dziesiątej.

– A może nie ma go w domu? – odezwał się męski głos. „Ba! to głos stróża... Czego on tu chce?”. Zerwał się i usiadł na kanapie. Serce mu waliło tak, że poczuł fizyczny ból.

– A czegoś to na haczyk się zamykać? – dodała jeszcze Nastazja. – Widzicie go, zamykać się zaczął! Żeby samego nie ukradli czy co? Odmykaj, mądralo, obudź się!

„Czego oni chcą? Po co stróż? A więc wiedzą. Bronić się czy otworzyć? Wszystko jedno...”.

Podniósł się, nachylił i zdjął haczyk.

Cały jego pokój był tak mały, że można było zdjąć haczyk, nie wstając z łóżka.

Tak jest: stoi stróż i Nastazja.

Nastazja jakoś dziwnie spojrzała na niego. A on spojrzał na stróża wyzywająco i z determinacją. Stróż bez słowa podał mu szary, złożony we dwoje papier, zapieczętowany z zewnątrz marnym lakiem.

– Wezwanie z Kancelarii – odezwał się wreszcie stróż.

– Z jakiej kancelarii?...

– Niby na policję. Wiadomo, jaka kancelaria.

– Na policję!... Po co?

– A to nie moja sprawa. Wzywają, to trzeba iść. – Stróż uważnie spojrzał na niego, rozejrzał się jeszcze dookoła i chciał już wyjść.

– Na dobre się rozchorował – zauważyła Nastazja, nie spuszczać z niego oczu. Stróż też odwrócił głowę. – Od wczorajszego dnia ma gorączkę – dodała.

Raskolnikow nie odpowiedział, trzymając ciągle w ręku nie rozpieczętowane wezwanie.

– Nie wstawaj lepiej – poradziła współczująco Nastazja, widząc, że spuszcza nogi z kanapy. – Jak chory, to nie wychodź: nie pali się. A co tam trzymasz w rękach?

Raskolnikow spojrzał: w prawej ręce miał odcięte strzępy spodni, skarpetkę i kawałki wyrwanej kieszeni. Tak, z tym spał. Potem, zastanawiając się nad tym, przypomniał sobie, że budząc się, nawet w gorączce, mocno ścisnął w ręku te szmatki i znowu z nimi zasypiał.

– Widzisz go, jakichś gałganów nabrał i śpi z nimi, jak z jakim skarbem. – Nastazja roześmiała się swoim charakterystycznym, nerwowym śmiechem. Raskolnikow prędko wsunął wszystko pod płaszcz i wpił się w nią wzrokiem. Choć w owej chwili nie był w stanie dokładnie wszystkiego zrozumieć, czuł, że nie tak obchodzą się z człowiekiem, gdy przychodzą go aresztować. „Ale... policja?”.

– Napiłbyś się herbaty? Gadajże, chcesz? Przyniosę, zostało jeszcze...

- Nie... muszę iść, zaraz pójdę – mamrotał, zwlekając się z kanapy.
- Przecie ze schodów zleźć nie potrafisz!
- Pójdę...
- Rób, co chcesz.

Wyszła zaraz za stróżem. Raskolnikow w jednej chwili skoczył do okna, do światła i zaczął oglądać skarpetkę i gałgany. „Plamy są, ale nie bardzo znac; wszystko się pobrudziło, zatarło i wyblakło. Kto z góry o tym nie wie, niczego się nie domyśli. Najlepszy dowód, że Nastazja z daleka nic nie zauważyła, dzięki Bogu!”. Wreszcie drżącymi rękoma rozpieczętował wezwanie i zaczął czytać; czytał długo, bardzo długo, wreszcie zrozumiał, o co chodzi. Było to najzwyczajniejsze wezwanie policyjne do stawienia się w dniu dzisiejszym do komisarza dzielnicowego, o pół do dziesiątej rano.

„Nigdy tego nie było! Nigdy nic wspólnego nie miałem z policją! Dlaczego akurat dzisiaj? – dręczyło go pytanie. – Boże, żeby się to już prędzej skończyło!”.

Upadł na klęczki, żeby się pomodlić, ale aż sam się roześmiał – nie z modlitwy, ale z samego siebie. Zaczął się więc pośpiesznie ubierać. „Zginę to zginę, wszystko jedno! Włożę skarpetkę! – pomyślał – jeszcze więcej się zatrze w kurzu i wszelkie ślady znikną!”. Ale jak tylko naciągnął skarpetkę, natychmiast ją ściągnął z obrzydzeniem i przerażeniem. Zwinął ją, ale przypomniał sobie, że innej nie ma, znowu włożył i znów roześmiał się. „Wszystko jest względne, rozciągle, wszystko to tylko formy – rozumował jakimiś strzępami myśli, drżąc na całym ciele – przecież jednak włożyłem! Skończyło się tym, że włożyłem!”. Zaraz też śmiech ustąpił miejsca rozpacz. „Nie, nie dam rady...” – pomyślał. Nogi mu drżały. „To ze strachu” – mrucał sam do siebie. Miał zawroty i bóle głowy. „To podstęp! Chcą mnie tam podstępem zwabić i z miejsca zbić z tropu – myślał, schodząc ze schodów.

- Bardzo źle, że mam gorączkę... może mi się wyrwać coś od rzeczy...”.

Na schodach przypomniał sobie, że zostawił tamte rzeczy w dziurze za tapetą. „A oni mogą beze mnie zrobić rewizję” – uprzytomnił sobie i przystanął. Ale ogarnęła go taka rozpacz i taki, jeśli można się tak wyrazić, cynizm straceńczy, że machnął ręką i poszedł dalej.

„Byle prędzej!...”.

Na dworze znowu był upał nie do zniesienia, ani kropelki deszczu przez cały czas. Znowu kurz, cegły i wapno, znowu cuchnące wyziewy ze sklepików i szynków, znowu co krok pijani tragarze czuchońscy i obszarpane dorożki. Słońce chlusnęło mu żarem w oczy, tak że ból mu sprawiał patrzenie, i w głowie mocno się zakręciło – zwykły stan człowieka gorączkującego, który nagle znajdzie się na ulicy w upalny, słoneczny dzień.

Doszedłszy do rogu ulicy, którą szedł wczoraj, z trwogą zajrzał w nią, na tamten dom... i natychmiast odwrócił wzrok.

„Jeżeli mnie zapytają, to może i powiem” – pomyślał, dochodząc do cyrkułu.

Cyrkuł znajdował się jakieś ćwierć wiorsty od niego. Niedawno przeniósł się do tego lokalu, w nowym domu, na trzecim piętrze. Był już kiedyś w kancelarii cyrkułu, ale w starym lokalu i bardzo dawno temu. Wszedłszy

do bramy, zauważył na prawo schody, z których schodził jakiś chłop z księgą. „To pewnie stróż, czyli że tu jest kancelaria” – i poszedł na górę na chybił trafił. Nie chciał nikogo o nic pytać.

„Wejdę, padnę na kolana i wszystko wyznam”... – pomyślał, wchodząc na trzecie piętro.

Schody były wąziutkie, strome i całe zalane pomyjami. Drzwi ze wszystkich kuchni na wszystkich trzech piętrach wychodziły na klatkę schodową i były przez cały dzień otwarte. Dlatego panował tam straszny zaduch. Na górę i na dół wchodzili i schodzili stróże z księgami pod pachą, policjanci i różni interesanci płci obojga. Drzwi biura też były otwarte na oścież. Wszedł więc i zatrzymał się w poczekalni. Tu stali i widać długo czekali jacyś chłopci. W poczekalni również był potworny zaduch i mdlił zapach farby na jakimś stęchłym pokoście po niedawnym malowaniu pokoi. Odczekawszy chwilę, postanowił wejść dalej, do następnego pokoju. Były to miniaturowe, niziutkie pokoiki. Nieprzewyciężona niecierpliwość pchała go ciągle naprzód. Nikt nie zwracał na niego uwagi. W następnym pokoju siedziały i pisały jakieś gryzpiórki, ubrane chyba nie lepiej od niego, i w ogóle jacyś dziwni ludzie. Raskolnikow zwrócił się do jednego z nich.

– O co chodzi?

Pokazał wezwanie policyjne.

– Pan jest studentem? – zapytał pisarczyk, spojrzawszy na wezwanie.

– Tak, były student.

Pisarczyk obejrzał go bez najmniejszej ciekawości. Był to jakiś szczególnie rozczochrany typ o nieruchomym spojrzeniu.

„Od niego niczego się nie dowiem, bo jemu wszystko jest obojętne” – pomyślał Raskolnikow.

– Niech pan idzie tam, do sekretarza – powiedział pisarczyk, wskazując palcem w kierunku ostatniego pokoju.

Raskolnikow wszedł do pokoju (czwartego z rzędu), też ciasnego i nabitego interesantami, tyle że byli to ludzie nieco przyzwoiciej ubrani aniżeli w tamtych pokojach. Wśród interesantów były dwie panie. Jedna w żałobie, ubrana ubogo, siedziała przy stole sekretarza i coś pisała pod jego dyktando. Druga pani, bardzo gruba, z purpurowym rumieńcem, okazała, wystrojona zbyt jaskrawo, z broszką wielkości spodka na piersi, stała z boku i na coś czekała. Raskolnikow podał sekretarzowi swoje wezwanie. Sekretarz rzucił na nie okiem, powiedział: „Proszę poczekać” i zajął się z powrotem panią w żałobie.

Raskolnikow odetchnął swobodniej. „Na pewno nie w tej sprawie!”. Powoli nabierał otuchy, resztką sił starał się uspokoić i przekonywał samego siebie o konieczności zachowania równowagi i przytomności umysłu.

„Jakaś drobnostka, jeden najmniejszy nierozważny krok, a mogę się zdradzić. Hm... szkoda, że tu brak powietrza – stwierdził – i tak duszno... Stąd silniejsze zawroty głowy... umysłu też...”.

Czuł w sobie okropny nieład. Obawiał się, że nie zapanuje nad sobą. Usiłował chwycić się czegokolwiek, myśleć o czymś obojętnym, ale mu się to nie udawało. Zresztą jego uwagę absorbował sekretarz: bardzo pragnął coś



odgadnąć z jego twarzy, przeniknąć ją. Był to bardzo młody człowiek, miał nie więcej niż dwadzieścia dwa lata, o pociągłej, ruchliwej twarzy, która wydawała się znacznie starsza; ubrany był modnie i fircykowato, uczesany z przedziałkiem, przylizany i napomadowany, z mnóstwem pierścieni na białych, wymanikiurowanych palcach i ze złotą dewizką na kamizelce. Z pewnym obecnym tam cudzoziemcem zamienił nawet kilka słów po francusku, i to wcale poprawnie.

– Luizo Iwanowno, proszę usiąść – zwrócił się od niechcienia do purpurowej pani, która jakby nie miała odwagi sama usiąść, mimo że tuż obok stało krzesło.

– *Ich danke*<sup>[30]</sup> – odrzekła cicho i szeleszcząc jedwabiami, usiadła. Jej bladoniebieska suknia, obramowana białą, jedwabną koronką, wzdęta się dokoła krzesła jak balon, zajmując prawie pół pokoju. Rozszedł się zapach perfum... Ale panią krępowało widocznie to, że zajęła pół pokoju i że tak pachnie od niej perfumami, uśmiechała się więc tchórzliwie, choć bezczelnie.

Pani w żałobie została nareszcie załatwiona i zbierała się do wyjścia. Wtem z hałasem i zawadiacką miną wparował oficer, krygując się jakoś szczególnie, rzucił na stół czapkę z gwiazdką i rozsiadł się w fotelu. Wyfiokowana pani na jego widok aż poderwała się z krzesła i z wyrazem jakiegoś szczególnego zachwyty zaczęła składać ukłony, ale oficer nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi, ona zaś nie miała już odwagi w jego obecności usiąść z powrotem. Był to pomocnik komisarza, o poziomo sterczących, rudawych wąsach i niezwykle drobnych rysach twarzy, które zresztą nie wyrażały nic prócz specyficznej bezczelności. Spode łba, a nawet z pewnym oburzeniem spojrzął na Raskolnikowa, który mimo łachmanów i ogólnie nędznego wyglądu trzymał się godnie, przez nieostrożność też zbyt otwarcie i uporczywie patrzył na porucznika, tak że go to nawet dotknęło.

– A ty tu z czym? – krzyknął na niego, dziwiąc się zapewne, że taki obdartus ani myśli zmieszać się i skulić pod jego jowiszowym<sup>[31]</sup> spojrzeniem.

– Przyszedłem... na wezwanie... – odpowiedział z pewną nonszalancją Raskolnikow.

– To w sprawie egzekwowania pieniędzy od tego pana, od *studenta* – pośpiesznie wyjaśnił sekretarz, odrywając się od papierów. – Proszę! – Podsunął Raskolnikowowi księgę, wskazując mu odpowiednią rubrykę. – Proszę przeczytać!

„Pieniądzy? Jakich pieniędzy? – pomyślał Raskolnikow. – Ale... w każdym razie nie w tamtej sprawie!”. I aż drgnął z radości. Od razu poczuł niewymowną ulgę. Kamień spadł mu z serca.

– A na którą godzinę wezwano pana, szanowny panie? – wrzasnął porucznik, czując się, nie wiadomo dlaczego, coraz bardziej dotknięty. – Na dziewiątą, a teraz jest już po jedenastej!

– Wręczono mi wezwanie nie dalej jak piętnaście minut temu – głośno i jakby przez ramię rzucił Raskolnikow, który naraz też się rozzłościł, czego się sam nawet nie spodziewał, ale sprawiło mu to pewne zadowolenie. –

Dosyć chyba, że będąc chorym, z gorączką, przyszedłem.

– Proszę mi tu nie wrzeszczeć!

– Ja nie wrzeszczę, tylko mówię zupełnie spokojnie, to pan na mnie krzyczy; jestem studentem i nie pozwolę na siebie krzyczeć.

Porucznik zdenerwował się do tego stopnia, że w pierwszej chwili nie był w stanie słowa z siebie wydobyć i tylko parskął pianą. Wreszcie zerwał się z miejsca.

– Proszę mi tu mil-cześć! Jest pan w urzędzie! Tu nie miejsce na impertynencje.

– I pan jest w urzędzie! – podniósł głos również Raskolnikow. – A prócz tego, że pan krzyczy, to jeszcze pan pali papierosa, czyli że pan nam wszystkim uwłacza. – Rąbnąwszy taką oracją, Raskolnikow poczuł niewymowną rozkosz.

Sekretarz przyglądał im się z uśmiechem. Krewki porucznik był wyraźnie skonfundowany.

– To nie pańska sprawa! – odburknął wreszcie nienaturalnie głośno. – Proszę udzielić stosownych wyjaśnień w wiadomej sprawie. Niech mu pan pokaże, Aleksandrze Grigorjewiczu. Skarżą się na pana! Pieniądzy pan nie płaci! A tu taki tuz!

Ale Raskolnikow już go nie słuchał, pośpiesznie chwycił papier, szukając gorączkowo rozwiązania zagadki. Przeczytał go raz i drugi, ale nic nie zrozumiał.

– Co to znaczy? – zapytał sekretarza.

– Żądają wyegzekwowania od pana należności na podstawie weksla. Musi pan albo zapłacić, i to wraz z kosztami egzekucji, odsetkami za zwłokę itd., albo też złożyć oświadczenie na piśmie ze wskazaniem terminu zapłaty z równoczesnym zobowiązaniem się do nieopuszczania stolicy oraz niesprzedawania i nieukrywania posiadanego mienia. Wierzyciel zaś władny jest sprzedać pańskie mienie, a z panem postąpić wedle prawa.

– Ale... nie jestem nikomu nic winien!

– To już nie nasza rzecz. Do nas wpłynął nie wykupiony w terminie i urzędowo oprotestowany weksel na sto piętnaście rubli, wystawiony przez pana wdowie po asesorze kolegiąlnym<sup>[32]</sup> Zarnicynej równo dziewięć miesięcy temu, a wdowa Zarnicyna przekazała weksel radcy Czebarowowi; na skutek tego właśnie wzywamy pana do uiszczenia należności.

– To przecież moja gospodyni!

– To co z tego, że gospodyni?

Sekretarz spojrział na niego z pobłażliwym uśmiechem, z politowaniem, a zarazem z pewną wyższością, jak na nowicjusza, którego wprowadza się dopiero w świat: „No i co kotku, jak się teraz czujesz, dobrze ci?”. Ale cóż go teraz obchodziły jakieś weksle, egzekucje! Czyż mógł się z tego powodu niepokoić, ba, choćby nawet poświęcać temu uwagę! Czytał, słuchał, odpowiadał, zadawał nawet pytania, ale tylko machinalnie. Triumf samozachowawczy, uniknięcie wiszącego nad nim niebezpieczeństwa – oto co wypełniało całe jego jestestwo bez domniemań, bez analizowania, bez zastanawiania się i domysłów, bez wątpliwości i dociekań. Była to chwila

całkowitej, bezpośredniej, zwierzęcej radości. Ale w tej właśnie chwili przeszła przez pokój gwałtowna burza z piorunami. Porucznik, wzburzony do głębi nieposzanowaniem jego osoby i pragnący podbudować nadweryżoną ambicję, począł ciskać gromy na nieszczęsną „okazałą panią”, która od chwili jego przybycia patrzyła na niego z idiotycznym uśmiechem.

– Ach, ty, pieska twoja niebieska! – wrzasnął na cały głos (pani w żałobie już wyszła) – co się tam znowu w nocy u ciebie działo? He? Znowu burdy i pijaństwo. Za paką się stęskniłaś? Przecież mówiłem ci już, dziesięć razy cię uprzedzałem, że jedenasty nie daruję! A tobie mało, a ty znowu, pieska twoja!...

Raskolnikowowi aż papier z rąk wyleciał; z przerażeniem przyglądał się wystrojonej pani, którą tak bezceremonialnie sztorcowano, ale po chwili domyślił się, o kogo tu chodzi, i cały ten incydent zaczął mu się nawet podobać. Przysłuchiwał się tej scenie z przyjemnością, tak że miał nawet ochotę roześmiać się, śmiać się do rozpuku... Każdy nerw w nim drgał.

– Iljo Pietrowiczu! – odezwał się mitygująco sekretarz, ale urwał, wyczekując, aż przeminie szal porucznika, wiedział bowiem z doświadczenia, że w takich chwilach nie można go powstrzymać od wybuchu inaczej jak tylko dosłownie za rękę.

Co do okazałej pani, to w pierwszej chwili aż zadrżała od miotanych na nią gromów, ale rzecz dziwna: im dosadniej i siarczyściej jej wymyślano, tym uprzejmiejszy przybierała wyraz twarzy i tym bardziej czarująco uśmiechała się do groźnego porucznika. Przebierała nogami bezustannie, dygała, wyczekując cierpliwie, aż wreszcie i jej wolno będzie słówko wtrącić, i w końcu doczekała się.

– Żaden hałas ani afantur u mnie nie był, panie *capitaine*<sup>[33]</sup> – zaterkotała jak karabin maszynowy, z mocnym akcentem niemieckim, choć płynną ruszczyzną – żaden, nijaki skandal, a tylko on przyszedł pijany i ja wszystko pan *capitaine* opofiedzieć, a ja zupełnie niefinna... ja mieć pardzo porządny dom, panie *capitaine*, i pardzo dobrze obchodzić się z gośćmi, i sama nie chcę żadnych skandal. A on przyszedł zupełnie pijany i jeszcze trzy flaszki zażądał, a potem podniósł jedną noga i zaczynał krać na fortepiano, co bardzo neladnie w taki porządny dom, i on *ganz*<sup>[34]</sup> fortepiano połamać, a ja mu mówiła. A on wziął butelka i wszystkich z tyłu trzepał. Wtedy zawołałam stróż i jak Karl przyszedł, on wziął i pobił Karl oko i Henriette też pobił oko, a mnie pięć razy bil w twarz. To jest tak niedelikatnie w porządny dom i ja zaczęłam krzyczeć na głos. A on otworzył okno na kanał i zaczął przez okno kwiczeć jak mała świnka, panie *capitaine*, taki wstyd narobił. I jak to można przez okno na ulicę kwiczeć, jak mała świnka? Pfuj, pfuj, pfuj! I Karl ciągać go z tyłu za frak od okna i wtedy, co prafda, to prafda, panie *capitaine*, rozerfal mu *sein Rock*<sup>[35]</sup> i wtedy zaczynał krzyczeć, że *man muss*<sup>[36]</sup> jemu zaplatit piętnaście rubli za *Rock*. To taki niegrzeczny gość, panie *capitaine*, taki skandal robić! Ja, powiada, mogę na fas ułożyć duża satira i drukować we fszystkie gazety.

– To dziennikarz?

– Tak, panie *capitaine*, jaki to nieprzyzwoity gość, w taki porządny dom...

– No, no! Dość tego! Mówiłem ci już dawno, mówiłem, mówiłem...

– Iljo Pietrowiczu! – znowu znacząco wtrącił sekretarz.

Porucznik spojrział na niego, sekretarz nieznacznie kiwnął głową.

– ...A więc, szanowna Lawizo<sup>[37]</sup> Iwanowno, ostatnie moje słowo, ostatni

raz mówię – powtórzył porucznik. – Jeżeli w twoim „porządnym domu”

jeszcze jeden, jedyny raz będzie awantura, to ja ciebie samą na *Hunger*<sup>[38]</sup>

wzmę, jak to się mówi w wytwornym stylu. Słyszałaś? Więc literat, pismak

wziął po pięć rubli w „porządnym domu” za fałdę? Tacy to oni już są ci

inteligenci! – I tu rzucił pogardliwe spojrzenie na Raskolnikowa. – Onegdaj

też była taka historia w szynku: obiad taki zjadł i nie chce zapłacić. „Opiszę

was, powiada, za to w satyrze”. Inny znowu, w zeszłym tygodniu, zwymyślał

od ostatnich na statku szanowną rodzinę radcy stanu<sup>[39]</sup>, żonę i córkę.

A jeszcze innego znów niedawno na zbity łeb z cukierni wyrzucili. Macie ich,

pismaków, literatów, studentów, krzykaczy...tfu! A ty precz mi z oczu!

Przyjdę osobiście do ciebie, a wtedy... marna twoja sprawa! Zrozumiałaś?

Luiza Iwanowna ze wzmożoną uprzejmością wpadła znowu w trans

reweransowy i kłaniając się na wszystkie strony, tyłem cofała się ku

drzwiom, ale na samym progu wpadła na jakiegoś okazałego oficera

o sympatycznej, tryskającej zdrowiem twarzy, ze wspaniałymi, gęstymi,

jasnymi baczkami. Był to we własnej osobie Nikodem Fomicz, komisarz.

Luiza Iwanowna, dygając, przysiadła prawie do podłogi i drobnymi

kroczkami, dziwnie podskakując, jak strzała wyleciała z biura.

– Znowu huk, strzały, pioruny i błyskawice, grzmoty i huragan! – tonem

żartobliwym i przyjacielskim zwrócił się Nikodem Fomicz do Ilji Pietrowicza.

– Znowu się pan uniósł, znowu pan wybuchnął! Już na schodach słyszałem.

– Co tam! – z wystudiowaną niedbałością wycedził Ilja Pietrowicz (i nawet

nie „co tam”, a jakoś „ce-e te-em!”), przenosząc się z jakimiś papierami do

drugiego biurka i podrygując przy każdym kroku. – Otóż, jak pan raczy

wiedzieć, ten oto pan literat, raczej student, były student, pieniędzy nie

płaci, weksle powystawiał, z mieszkania się nie wyprowadza, ciągłe skargi na

niego wpływają, ale tutaj raczył zgłosić pretensję, że pozwoliłem sobie

w jego obecności zapalić papierosa! Sam robi ś-świństwa i niech pan spojrzy

na niego: oto stoi w całej swojej ponętnej okazałości!

– Ubóstwo nie hańbi, przyjacielu, no ale nic to! Rzecz wiadoma, wybuchnął

jak proch, nie mógł znieść obelgi. Pan prawdopodobnie też poczuł się

dotknięty i nie mógł się pohamować – ciągnął Nikodem Fomicz, zwracając się

uprzejmie do Raskolnikowa – ale to niesłusznie: powiadam panu, to jest naj-

szła-chet-niej-szy człowiek, ale wybuchowy jak proch! Syknie, zapali się,

rąbnie i basta! Wszystko mija! W sumie – złote serce! Nawet w pułku tak go

przezywali: „porucznik Proch”...

– A cóż to był za pułk! – westchnął Ilja Pietrowicz, mile połechtany, ale

ciągle jeszcze wzburzony.

Raskolnikow poczuł chęć powiedzenia im czegoś wyjątkowo miłego.

– Ależ, panie kapitanie – zaczął możliwie najbardziej niewymuszenie,

zwracając się naraz do Nikodema Fomicza – niech pan wejdzie w moje położenie... Gotów byłbym nawet przeprosić tego pana, jeżeli go dotknąłem. Jestem biednym, chorym studentem, zadręczonym nędzą (tak dosłownie to określił: „zadręczonym”). Jestem byłym studentem, bo obecnie nie jestem w stanie się utrzymać, ale pieniądze otrzymam. Mam matkę i siostrę w ..ej guberni. Po otrzymaniu zapłacę. Gospodyni moja jest to bardzo dobra kobieta, ale do tego stopnia rozzłościła się, gdy straciłem korepetycje, że mi nawet obiadów nie przysyła... i w ogóle nie rozumiem, co to za weksel! Teraz żąda ode mnie zapłacenia, a z czego ja jej zapłacę, niech pan sam pomyśli!...

– Ale to nie nasza rzecz... – znowu zauważył sekretarz.

– Przepraszam, przepraszam, najzupełniej się z panem zgadzam, ale niechże pan i mnie pozwoli wyjaśnić – przerwał Raskolnikow, zwracając się nie do sekretarza, ale nadal do Nikodema Fomicza, równocześnie dając wyraźnie do zrozumienia, że zwraca się również do Ilji Pietrowicza, aczkolwiek ten uparcie udawał, że jest zajęty korespondencją, i pogardliwie nie zwracał na niego uwagi – niechże pan pozwoli mi wyjaśnić, że mieszkam już u niej około trzech lat, od przyjazdu z prowincji, i przedtem... przedtem... zresztą dlaczegóż miałbym się nie przyznać do tego, że zaraz po przyjeździe obiecałem, iż ożenię się z jej córką, było to ustne przyrzeczenie, do niczego niezobowiązujące... Była to panna... zresztą nawet mi się poniekąd podobała... chociaż zakochany nie byłem... słowem, młodość, właściwie chcę powiedzieć, że gospodyni udzielała mi wtedy dużego kredytu, i dlatego może prowadziłem tryb życia nieco... słowem, byłem nieco lekkomyślny...

– Nikt od pana nie wymaga takich zwierzeń, szanowny panie, a ponadto nie mamy czasu – brutalnie i z niejakim triumfem przerwał mu Ilja Pietrowicz, ale Raskolnikow mówił z zapałem dalej, jakkolwiek czuł, że bardzo trudno będzie mu kontynuować rozmowę.

– Ale przepraszam, przepraszam, niechże mi pan pozwoli po części wyjaśnić... jak się to zaczęło i... ze swej strony... choć to może jest zbyteczne, zgadzam się z panem, ale rok temu panna ta umarła na tyfus, a ja zostałem sublokatorem, jak i przedtem; po przeprowadzeniu się do obecnego mieszkania gospodyni powiedziała mi... powiedziała po przyjacielsku... że jest mnie zupełnie pewna i tak dalej... ale czy nie zechciałbym złożyć jej tego oto weksla na sto piętnaście rubli, które uważała za mój dług. Powiedziała mi wtedy, że jak tylko złożę jej ten papier, znowu będzie mi kredytować, ile zechcę, i że nigdy, przenigdy – to są jej własne słowa – nie wykorzysta tego, dopóki sam nie zapłacę... I oto teraz, kiedy straciłem korepetycje i dosłownie nie mam co jeść, chce egzekwować... Co ja mam na to powiedzieć?

– Wszystkie te sentymentalne szczegóły nic nas, szanowny panie, nie obchodzą – bezczelnie uciał Ilja Pietrowicz. – Musi pan złożyć oświadczenie i zobowiązanie, a to, że pan raczył być zakochany, i wszystkie te tragiczne trele-morele nic a nic nas nie obchodzą.

– No, to już zbyt... bezwzględnie... – bąknął Nikodem Fomicz, siadając przy biurku i zabierając się również do podpisywania papierów. Przykro jakoś mu się zrobiło.

– Niechże pan pisze – odezwał się sekretarz.



– Co pisać? – zapytał Raskolnikow szczególnie obcesowym tonem.

– Ja panu podyktuję.

Raskolnikowowi zdawało się, że sekretarz po tej całej jego spowiedzi zaczął go traktować pogardliwie i z pewną nonszalancją, ale – rzecz dziwna – naraz stało mu się zupełnie obojętne, co kto o nim myśli, i zmiana ta zaszła w nim w okamgnieniu, błyskawicznie. Gdyby chciał się nad tym zastanowić, byłby szczerze zdumiony, że chwilę temu mógł z nimi w ten sposób rozmawiać, a nawet narzucać się ze swoimi zwierzeniami. I skąd się wziął u niego ten sentyment? A teraz przeciwnie, gdyby w pokoju tym zebrali się naraz nie policjanci, ale najserdeczniejsi jego przyjaciele, to i wtedy chyba nie znalazłby dla nich ani jednego słowa ludzkiego – do tego stopnia ochłodziło mu serce. W jednej chwili zagościło w jego sercu uczucie dręczącej, bezgranicznej samotności i niechęci do ludzi. I nie poniżająca go, szczerą spowiedź wobec Ilji Pietrowicza, nie niskość triumfu porucznika nad nim wywołały w jego sercu tę nagłą zmianę. O, nic go w tej chwili nie obchodzi własna podłość, wszystkie te ambicje, porucznicy, Niemki, kary, biura itp., itp.! Gdyby go w tej chwili skazano nawet na spalenie na stosie, nie ruszyłby się z miejsca i bodajże nie wysłuchałby nawet uważnie wyroku. Działo się w nim coś zupełnie mu nieznanego, nowego, coś, czego nigdy nie odczuwał. Nie tyle umysłem, ile intuicją, całą siłą uczucia pojął, że nie tylko z czułymi zwierzeniami, jak przedtem, ale z niczym w ogóle nie może się już więcej zwracać do tych ludzi, do kancelarii cyrkułu; niechby to byli nawet rodzeni jego bracia i siostry, a nie porucznicy dzielnicowi, również nie miałby po co zwracać się do nich ani teraz, ani w żadnym innym momencie życia; nigdy dotychczas nie doznawał jeszcze równie dziwnego i przerażającego uczucia. A najbardziej męczyło go to, że było to raczej wrażenie niż świadomość, bezpośrednie doznanie, najboleśniej ze wszystkich przeżytych przez niego dotąd wrażeń.

Sekretarz zaczął mu dyktować schemat zwykłego w takich wypadkach oświadczenia, a więc: zapłacić nie jestem w stanie, przysięgam zapłacić wtedy a wtedy (kiedykolwiek), z miasta nie wyjadę, posiadanego mienia ani nie sprzedam, ani nie podaruję itp.

– Ależ pan zupełnie nie może pisać, pióro panu z ręki wypada – zauważył sekretarz, wpatrując się z zaciekawieniem w Raskolnikowa. – Czy pan jest chory?

– Tak... mam zawroty głowy... niech pan mówi dalej!

– To już wszystko, proszę podpisać.

Sekretarz zabrał papier i zajął się innymi interesantami.

Raskolnikow oddał pióro, ale zamiast odejść, oparł się łokciami o stół i ścisnął skronie rękoma. Jakby mu gwóźdź wbijali w czoło. Szalona myśl przysłała mu do głowy: podejść w tej chwili do Nikodema Fomicza i opowiedzieć mu całą wczorajszą historię, z najdrobniejszymi szczegółami, potem zaprowadzić go do mieszkania i pokazać rzeczy, w kącie, w dziurze. Było to tak mocne pragnienie, że już się podniósł, by to wykonać. „Ale czy nie powinienem się nad tym zastanowić przez chwilę? – przemknęło mu przez myśl. – Nie, lepiej bez zastanawiania, prosto z mostu!”. Ale naraz



stanął jak wryty: Nikodem Fomicz z przejęciem coś opowiadał Ilji Pietrowiczowi, a oto co usłyszał:

– Wykluczone, obydwu zwolnią! Po pierwsze, wszystko temu przeczy. Pomyśl pan: po co wołaliby stróża, gdyby to była ich sprawka? Denuncjowanie samego siebie czy jak? Albo szczególna jakaś przebiegłość? Nie, to już zbyt mądre! Zresztą studenta Piestriakowa widzieli przy samej bramie obaj stróże i kobieta w chwili, gdy wchodził: szedł z trzema przyjaciółmi i rozstał się z nimi przed samą bramą, a o jej mieszkanie pytał stróżów w obecności swoich przyjaciół. Czy pytałby o mieszkanie, gdyby szedł z takim zamiarem? A Koch, zanim poszedł do stróża, siedział z pół godziny na dole u jubilera i punktualnie trzy kwadransy na ósmą poszedł na górę wprost od niego do starej. Teraz niech pan sobie to wszystko zestawi...

– Ale przepraszam, dlaczego w takim razie składają takie sprzeczne zeznania: sami twierdzą, że pukali i że drzwi były zamknięte, a gdy po trzech minutach przyszli ze stróżem, okazało się, że są otwarte?

– Właśnie na tym cała rzecz polega: morderca oczywiście siedział tam i zamknął się na rygiel, niewątpliwie nakryliby go tam, gdyby Koch nie popełnił głupstwa, schodząc również po stróża. W tym właśnie czasie tamten zdążył zbiec ze schodów i jakoś prześliznął się obok nich. Koch wciąż tylko Bogu dziękuje: „Gdybym ja tam został, powiada, to on wyskoczyłby i zabiłby mnie siekierą”. Na mszę świętą chce dać, cha, cha!...

– A mordercy nikt nie widział?

– Jak mogli go zobaczyć? Dom niczym arka Noego – zauważył sekretarz, który przysłuchiwał się rozmowie, siedząc za biurkiem.

– Sprawa jasna, zupełnie jasna! – powtarzał z przejęciem Nikodem Fomicz.

– Nie, to sprawa mocno niejasna – upierał się Ilja Pietrowicz.

Raskolnikow wziął swój kapelusz i skierował się do drzwi, ale do drzwi już nie doszedł...

Gdy odzyskał przytomność, zauważył, że siedzi na krześle i z prawej strony podtrzymuje go jakiś osobnik, a z lewej strony stoi jakiś inny jegomość ze szklanką napełnioną żółtym płynem, Nikodem Fomicz zaś stoi przed nim i uważnie wpatruje się w niego; podniósł się z krzesła.

– Cóż to, jest pan chory? – dość ostro zapytał Nikodem Fomicz.

– Już przy podpisywaniu się ledwo trzymał pióro – wtrącił sekretarz, siadając i zabierając się znowu do roboty.

– Czy od dawna jest pan chory? – krzyknął Ilja Pietrowicz od swojego biurka, również przeglądając papiery. I on, oczywiście, był przy chorym w czasie zemdlenia, ale natychmiast po ocuceniu odszedł od niego.

– Od wczorajszego... – wykrztusił w odpowiedzi Raskolnikow.

– A wychodził pan wczoraj z domu?

– Wychodziłem.

– Chory?

– Chory.

– O której godzinie?

– O ósmej wieczorem.

– A dokąd, jeśli wolno zapytać?

– Na miasto.

– Krótko i węzłowato.

Raskolnikow odpowiadał ostro, szorstko, blady jak prześcieradło i nie spuszczać czarnych, rozognionych oczu pod przenikliwym spojrzeniem Ilji Pietrowicza.

– Człowiek ledwie na nogach stoi, a ty... – zauważył Nikodem Fomicz.

– Nic mu nie będzie! – z jakimś szczególnym naciskiem odpowiedział Ilja Pietrowicz.

Nikodem Fomicz chciał jeszcze coś dodać, ale spojrzawszy na sekretarza, który też uporczywie wpatrywał się w niego, zamilkł. Zresztą wszyscy naraz zamilkli. Niemiła chwila.

– No, dobrze – zakonkludował Ilja Pietrowicz – nie zatrzymujemy pana.

Raskolnikow wyszedł. Usłyszał jeszcze, jak natychmiast po jego wyjściu rozpoczęła się bardzo ożywiona rozmowa, a najgłośniej brzmiał pytający głos Nikodema Fomicza... Na ulicy oprzytomniał ostatecznie.

„Rewizja, rewizja, natychmiast będzie rewizja! – powtarzał sobie, chcąc jak najszybciej dotrzeć do domu. – Łotry! Podejrzewają!”. Wrócił mu poprzedni strach, który ogarnął go całego, od stóp do głów.

„A jeśli rewizja się odbyła? Jeżeli akurat zastanę ich w domu?”

Ale oto i jego pokój. Wszystko w porządku, nikt nie zaglądał. Nawet Nastazja nic a nic nie ruszyła. „Ale, Boże drogi! Jak mógł przedtem zostawić te wszystkie rzeczy w tej dziurze?”

Dopał do kąta, wsunął rękę pod tapetę, zaczął wyciągać rzeczy i pakować je do kieszeni. Ogółem było tego osiem sztuk: dwa małe futeraliki z kolczykami czy też z czymś w tym rodzaju – dokładnie nie sprawdził; następnie cztery niewielkie safianowe futerały. Jedna dewizka zawinięta była po prostu w papier gazetowy. I coś jeszcze w gazetowym papierze, zdaje się, że order...

Wpakował wszystko do kieszeni płaszcza i pozostałej, prawej kieszeni spodni, starając się, żeby nie rzucało się to w oczy. Sakiewkę również zabrał. Potem wyszedł z pokoju, pozostawiając tym razem drzwi otwarte na oścież.

Szedł szybkim i pewnym krokiem i choć czuł, że jest załamany, zachowywał przytomność umysłu. Bał się pościgu, bał się, że może za pół godziny, za kwadrans wydane zostanie polecenie śledzenia go; a więc trzeba za wszelką cenę na czas zatrzeć ślady. Trzeba było wszystko załatwić, dopóki jeszcze nie opuściły go siły, dopóki jeszcze zachowywał przytomność umysłu... Ale dokąd pójść?

To już przedtem zdecydował: „Wyrzucić wszystko do kanału i – jak kamień w wodę, raz się to wszystko skończy”. Tak postanowił jeszcze w nocy, w gorączce, w chwilach – dobrze to pamiętał – kiedy zrywał się do wyjścia. „Prędzej, prędzej, byle wszystko wyrzucić”. Ale wyrzucić było bardzo trudno.

Łaził po brzegu Jekaterynowskiego Kanału z pół godziny albo i dłużej, kilkakrotnie zaglądał na schody prowadzące do kanału. Ale mowy być nie mogło o wykonaniu zamierzenia: albo praczki prały białinę przy samych schodach, albo łodzie do nich przybijały i wszędzie aż roiło się od ludzi; z nabrzeża z każdej strony widok jest otwarty i podejrzane musiałoby się wydać, że ktoś zszedł, stanął i wrzuca coś do wody. A jeżeli futerały nie pójdą na dno, ale wypłyną? Zresztą na pewno wypłyną. Wszyscy zobaczą. I tak już wszyscy napotykanii ludzie patrzą na niego, oglądają się, jak gdyby nic poza nim ich nie obchodziło. „Co by to miało znaczyć, a może mi się tylko tak zdaje?” – myślał.

Wreszcie przyszło mu na myśl, że najlepiej byłoby pójść nad Newę. I ludzi tam mniej, i nie będzie tak zwracać uwagi, a w każdym razie wygodniej, bo dalej od tej okolicy. Zdziwił się nawet: jakże to mógł całe pół godziny kręcić się w strachu i trwodze w takim niebezpiecznym miejscu i wcześniej o tym nie pomyśleć! Dlatego stracił pół godziny bez sensu, że tak postanowił we śnie, w gorączce! Stał się niesłuchanie roztargniony, tracił pamięć i wiedział o tym. Trzeba było bezwzględnie się śpieszyć!

Skierował się nad Newę W-kim prosektem. Ale w drodze przyszła mu inna myśl: „Dlaczego do Newy? Dlaczego do wody? Czy nie lepiej pójść gdzieś bardzo daleko, choćby znowu na Wyspy, i tam gdzieś na pustkowiu, w lesie, pod krzakiem wszystko zakopać i zaznaczyć sobie drzewo?”. I chociaż czuł,

że nie jest w stanie w tej chwili obmyślić wszystkiego logicznie, myśl ta jednak wydała mu się doskonała.

Ale i tego nie zrobił, stało się bowiem całkiem inaczej: wychodząc z W-skiego prospektu na plac, dostrzegł naraz po lewej stronie wejście na podwórze otoczone ślepyimi ścianami. Tuż za bramą, z prawej strony, w głąb podwórza ciągnęła się nieotynkowana, ślepa ściana sąsiedniego, trzypiętrowego domu. Po lewej stronie, również od bramy, równolegle do ściany ciągnął się drewniany płot, długi na jakieś dwadzieścia kroków, po czym skręcał na lewo. Było to opustoszałe, ogrodzone podwórze, gdzie leżały jakieś materiały. Nieco dalej wystawał zza płotu róg niskiej, murowanej szopy, która prawdopodobnie stanowiła część jakiegoś warsztatu. Był tu zapewne zakład ślusarski lub rymarski albo coś w tym rodzaju; wszędzie, od samej bramy rozsypany był miał węglowy. „O, tutaj trzeba by wszystko podrzucić i uciec!” – przyszło mu na myśl. Nie widząc nikogo na podwórzu, wszedł do bramy i zobaczył tuż przy niej przymocowany do płotu ściek rynsztokowy (jak to często bywa w domach, gdzie mieszka dużo robotników, rzemieślników, woźniców itp., a tuż obok na płocie zrobiony kredą znany, bo często w takich miejscach umieszczany, dowcipny napis: „Tu pszystawać nie wolno”. A więc dobre i to, bo samo wejście tu i wystawanie nie wzbudzi podejrzeń. „Tu właśnie należałoby wszystko ukryć i uciec!”.

Obejrzawszy się raz jeszcze, sięgnął już do kieszeni, gdy naraz pod zewnętrzną ścianą, między bramą a rynną, która to przestrzeń miała nie więcej niż arszyn szerokości, zauważył wielki, nieociosany kamień wagi z półtora puda<sup>[40]</sup>, oparty o murowaną ścianę wychodzącą na ulicę. Za ścianą tą była jezdnia, chodnik, słychać było kroki przechodniów, od których zawsze tu się roiło, ale zza bramy nikt go nie mógł widzieć, chyba żeby ktoś wszedł z ulicy, co zresztą mogło się zdarzyć, i dlatego właśnie trzeba się było śpieszyć.

Nachylił się, chwycił oburącz wielki głaz i natężywszy się, przewrócił go. Pod głazem utworzyło się niewielkie wgłębienie, do którego zaczął wrzucać zawartość kieszeni. Sakiewka leżała na samym wierzchu, ale było tam jeszcze sporo miejsca.

Raz jeszcze wyteżył siły, jednym mocnym ruchem odwrócił głaz tak, że znalazł się dokładnie na poprzednim miejscu i może tylko wydawał się odrobinę wyższy. Ale podgarnął trochę ziemi, udeptał ją i zatartł ślady.

Potem wyszedł i skierował się w stronę placu. Znowu, jak przedtem w cyrkule, opanowała go na chwilę rozsadzająca pierś radość. „Ślady zatarte! Czyż może komuś przyjść do głowy szukać pod tym głazem? Leży tu prawdopodobnie od zbudowania domu i tyleż czasu pewnie jeszcze przeleży. A choćby znaleźli: kto posądzi o to mnie? Wszystko skończone! Nie ma poszlak!” – pomyślał i roześmiał się. Tak, przypominał sobie potem, iż roześmiał się nerwowym, urywanym, ledwie dosłyszalnym śmiechem i śmiał się cały czas, gdy przechodził przez plac. Ale gdy wszedł na K-ski bulwar, na którym onegdaj spotkał ową dziewczynę, wesołość nagle go opuściła. Inne myśli zaprzątnęły mu głowę. Wydawało mu się, że z okropnym obrzydzeniem przechodzić będzie obok ławki, na której wtedy, po odejściu

dziewczyny, siedział i rozmyślał, i że bardzo ciężko mu będzie spotkać się znowu z wąsałem, któremu dał wówczas dwadzieścia kopiejek. „Zresztą, pal go diabli!”

Szedł roztargniony, rozglądając się ponuro. Myśli jego krążyły bezustannie wokół jednego, głównego punktu – przynajmniej jemu się zdawało, że jest to istotnie punkt najważniejszy i że teraz, właśnie teraz został sam na sam z tym głównym punktem, i to po raz pierwszy od tych dwóch miesięcy.

„A niech to wszyscy diabli wezmą! – pomyślał w nagłym przystępie niesłychanej złości. – Zaczęło się i jest całe to nowe życie, niech je diabli! Boże, jakież to idiotyczne!... A jak dzisiaj kłamałem, poniżałem się! Jak obmierzle łąsiłem się i płaszczyłem przed tym nędznym Ilją Pietrowiczem! Zresztą i to są bzdury! Gwiżdżę na nich wszystkich i nawet na to, że się łąsiłem i poniżałem! Nie o to chodzi! Zupełnie nie o to!...”

Naraz zatrzymał się; nowe, zupełnie niespodziewane i niezwykle proste pytanie zupełnie zbiło go z tropu i boleśnie zdumiało:

„Jeżeli to wszystko rzeczywiście zostało dokonane w pełni świadomości, a nie po głupiemu, jeżeli istotnie miałem określony cel i mocne postanowienie, to dlaczego dotychczas nawet nie zajrzałem do sakiewki i nie wiem, co stało się moim łupem, dlaczego poszedłem na taką mękę i z całą świadomością zdecydowałem się na taki podły, ohydny, niski czyn? Przecież przed chwilą chciałem wrzucić do wody tę sakiewkę i wszystkie rzeczy, których również nie oglądałem. Jakże to?”

Tak, taka jest rzeczywistość. Wiedział zresztą o tym i nie jest to bynajmniej dla niego nowa sprawa; gdy w nocy postanowił wrzucić wszystko do wody, powziął to postanowienie bez żadnych wahań i oporów, jak gdyby tak być powinno i inaczej być nie mogło... Tak, z tego wszystkiego zdawał sobie sprawę i dokładnie to wszystko pamiętał; bodajże wiedział o tym już wczoraj, w chwili, gdy pochylony nad kufrem wyciągnął z niego futerały... Dziwne, a jednak prawdziwe!...

„Wszystko to bierze się stąd, że jestem bardzo chory – zdecydował w rozpaczy – sam siebie zdręczyłem i teraz nie wiem, co robię... I wczoraj, i onegdaj, cały ten czas dręczyłem się niesłuchanie... Wyzdrowieję, to przestanę się dręczyć... A jeżeli wcale nie wyzdrowieję? Boże! Jak mi to wszystko obrzydło!...”. Szedł dalej, nie zatrzymując się ani na chwilę. Miał wielką chęć na jakąś rozrywkę, ale nie wiedział, co zrobić i jak to wykonać. Nowe, nieprzewidywane uczucie z każdą chwilą opanowywało go coraz bardziej: był to jakiś bezmierny, prawie fizyczny wstręt do wszystkiego, co napotykał i co go otaczało, wstręt przekorny, zły i nienawistny. Wstrętowi mu byli wszyscy przechodnie, wstrętowi mu były ich twarze, ruchy, kroki. Z rozkoszą plunąłby komuś w twarz i zda się, ugryzł każdego, kto spróbowałby rozpocząć z nim rozmowę...

Gdy się znalazł na nabrzeżu Małej Newy, na Wyspie Wasiljewskiej, naraz zatrzymał się w pobliżu mostu. „O, tutaj mieszka, w tym domu – pomyślał. – Cóż to, czyżbym przyszedł do Razumichina? Znowu ta sama historia... Ciekawe jednak, bardzo ciekawe: przyszedłem do niego czy też, idąc bez celu, znalazłem się tu przypadkowo? Wszystko jedno, onegdaj...”

powiedziałem przecież... że nazajutrz po *tamtym* zajdę do niego, no to zajdę! Cóż to, nie mogę już teraz zajść...".

Wszedł do Razumichina na czwarte piętro.

Razumichin był w domu, w swojej klitce, i w tej chwili pracował, pisał. Sam otworzył drzwi. Nie widzieli się już ze cztery miesiące. Razumichin siedział w domu w doszczętnie podartym szlafroku, w pantoflach na bosych nogach, rozczochrany, nieogolony i nieumyty. Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– A to co? – zawołał, oglądając od stóp do głów wchodzącego kolegę, i po chwili milczenia aż gwizdnął.

– Czyżby było aż tak źle? Ejże, bracie, toś ty nawet mnie prześcignął – dodał, przyglądając się łachmanom Raskolnikowa. – Siadajże, pewnie jesteś zmęczony. – Gdy Raskolnikow opadł bezsilnie na ceratową kanapę, która była jeszcze gorsza od jego własnej, Razumichin naraz spostrzegł, że jego gość jest chory.

– Ależ ty jesteś poważnie chory, dalibóg! – Wziął go za puls, ale Raskolnikow wyrwał rękę.

– Daj spokój – odezwał się – przyszedłem... słuchaj... nie mam korepetycji... wcale... chciałem właśnie... zresztą, nie potrzebuję żadnych korepetycji.

– A wiesz co? Bredzisz z gorączki! – zauważył pilnie go obserwujący Razumichin.

– Nie, nie bredzę... – Raskolnikow wstał z kanapy. Wchodząc do Razumichina, nie pomyślał nawet o tym, że przecież musi się z nim zetknąć twarzą w twarz. Teraz zaś, w jednej chwili, uświadomił sobie, już doświadczalnie, że bynajmniej nie jest usposobiony do stykania się twarzą w twarz z kimkolwiek na świecie. Cała żółć w nim wezbrała. Omal nie zachłysnął się z wściekłości na samego siebie, że w ogóle przestąpił próg Razumichina.

– Bywaj! – rzucił nagle i skierował się do drzwi.

– Stój, poczekaj, idioto!

– Daj spokój!... – powtórzył Raskolnikow, wrywając mu swoją rękę.

– Więc po kiego diabła przyszedłeś? Na głowę upadłeś czy co? Przecież to jest... nawet obraza. Ja cię tak nie wypuszczę.

– Posłuchaj więc: zaszedłem do ciebie, bo oprócz ciebie nie znam nikogo, kto pomógłby mi... rozpocząć... bo ty jesteś od nich wszystkich lepszy, raczej mądrzejszy i potrafisz zrozumieć... A teraz widzę, że niczego mi nie trzeba, słyszysz, niczego na świecie... niczyjej pomocy ani współczucia... Jestem sam... sam jeden... I basta! Zostawcie mnie w spokoju!

– Chwileczkę, ty fajo złamana! Chyba zwariowałeś ze szczętem! Mnie tam wszystko jedno. Otóż korepetycji nie mam, zresztą gwizdź na nie, za to na starym rynku jest pewien księgarz, nazywa się Cheruwimow, on sam w sobie stanowi coś w rodzaju korepetycji. Nie zamieniłbym go na pięć korepetycji w kupieckich domach. Ma takie różne wydawnictwa, wydaje też naukowo-przyrodnicze książeczki i gdybyś wiedział, jak się rozchodzą! A co za tytuły! Widzisz, zawsze twierdziłeś, że jestem głupi, ale jak Boga kocham, są, bracie, znacznie głupszi ode mnie! Ten księgarz wziął się za nowe prądy; sam



zielonego pojęcia o tych rzeczach nie ma, a ja go oczywiście namawiam do tego. O tu mam z górą dwa arkusze<sup>[41]</sup> niemieckiego tekstu, moim zdaniem, jest to arcyidiotyczna szarlataneria: krótko mówiąc, rozważa się tu kwestię, czy kobieta jest człowiekiem, czy też nie. Rozumie się, że dochodzi się uroczyście do wniosku, iż jednak jest człowiekiem. Cheruwimow uczepił się teraz kwestii kobiecej; ja to tłumaczę; te dwa arkusze rozciągnie się na sześć, wykombinujemy jeszcze jakiś bombowy tytuł, który zajmie z pół strony, i wypuścimy po pół rubla. I jakoś pójdzie! Za przekład płaci mi po sześć rubli od arkusza, czyli że za całość dostanę z piętnaście rubli, a sześć rubli wziętem już jako zaliczkę. Jak to skończymy, weźmiemy się za przekłady o jakichś wielorybach, następnie planujemy te arcynudne plotki z drugiej części *Confessions*<sup>[42]</sup>. Cheruwimowowi ktoś nagadał, że Rousseau to coś w rodzaju Radiszczewa<sup>[43]</sup>. Rozumie się, że mu nie przeczę, pał go diabli! No, chcesz drugi arkusz dzieła *Czy kobieta jest człowiekiem?* Będziesz przekładać? Jeżeli chcesz, bierz zaraz tekst, stalówki, papier – to wszystko od księgarza – bierz trzy ruble, bo wobec tego, że ja wziętem z góry za cały przekład, za pierwszy i drugi arkusz, więc na twoją część przypada równo trzy ruble. A jak skończysz, dostaniesz jeszcze trzy ruble. I proszę cię bardzo, nie uważaj tego za jakąś nadzwyczajną przysługę z mojej strony. Przeciwnie, kiedy cię tylko zobaczyłem, od razu sobie pomyślałem, że będziesz mi pomocny. Po pierwsze, kuleję trochę w ortografii, a po drugie, trochę *schwach*<sup>[44]</sup> jestem w niemczyźnie, tak że właściwie więcej sam tworzę, aniżeli tłumaczę, i pocieszam się tylko tym, że tak lepiej wypadnie. Zresztą kto wie, może nie lepiej, ale gorzej wypada... Bierzesz czy nie?

Raskolnikow wzięt bez słowa niemiecki tekst artykułu, wzięt trzy ruble i bez jednego słowa wyszedł. Razumichin ze zdziwieniem patrzył w ślad za nim. Ale doszedłszy do pierwszej przecznicy, Raskolnikow nagle zawrócił, znowu wszedł na górę do Razumichina i rzuciwszy na stół tekst niemiecki oraz trzy ruble, ruszył do wyjścia, również bez słowa.

– Ależ ty z gorączki całkiem rozum postradałeś czy co u diabła! – ryknął rozwścieczony Razumichin. – Po co całą tę komedię wyprawiasz! Nawet mnie skołowałeś!... Ale w takim razie po jaką cholere tu przyszedłeś?

– Nie trzeba mi... przekładów – bąknął Raskolnikow, schodząc już ze schodów.

– Więc czego do ciężkiej cholery potrzebujesz? – krzyknął z góry Razumichin.

Raskolnikow bez słowa schodził dalej.

– Hej, ty! A gdzie mieszkasz? – Odpowiedzi nie było.

– Niech cię szlag!...

Ale Raskolnikow wychodził już na ulicę. Na moście Nikołajewskim raz jeszcze wrócił do przytomności wskutek bardzo niemiłego wydarzenia. Mianowicie pewien stangret boleśnie smagnął go batem po plecach za to, że o mały włos nie dostał mu się pod koła powozu, mimo że stangret trzy albo i cztery razy krzyknął na niego. Uderzenie bata rozżłościło go do tego stopnia, że odskoczył aż do samej bariery (nie wiadomo dlaczego szedł

samym środkiem mostu, po jezdni, a nie chodnikiem), wściekle zgrzytnął i zaszczekał zębami. Dookoła, oczywiście, rozległ się śmiech.

– Dobrze mu tak!

– Cwaniak jakiś!

– Wiadomo, udaje taki pijanego, sam pod koła lezie, a ty, człeku, odpowiadaj za niego<sup>[45]</sup>.

– Tylko na to czekają, panie szanowny, tylko na to czekają...

Gdy stał przy barierze i ciągle jeszcze patrzył ponuro i bezmyślnie w ślad za oddalającym się powozem, pocierając ręką plecy, poczuł naraz, że ktoś mu wciska do ręki pieniądze. Spojrzał: była to niemłoda już kupcowa, w czepku i bucikach z kozłej skóry, z panienką, prawdopodobnie córką, w kapelusiku i z zieloną parasolką. „Macie, człowieku, niech wam Bóg dopomoże”. Wziął pieniądze, a one poszły dalej. Było to dwadzieścia kopiejek. Po ubraniu i z wyglądu mogły go w zupełności wziąć za żebraka żyjącego z jałmużny ulicznej, a aż całą dwudziestkę zawdzięczał, oczywiście, uderzeniu batem, które je rozczuliło.

Zacisnął pięść, w której trzymał monetę, uszedł z dziesięć kroków i stanął twarzą do Newy, w kierunku pałacu. Na niebie nie było ani jednej chmurki, woda była prawie błękitna, co rzadko zdarza się Newie. Kopuła soboru<sup>[46]</sup>, którego znikąd tak dobrze nie widać jak z tego właśnie punktu na moście, o dwadzieścia kroków od kapliczki, aż błyszczała, a dzięki przezroczystości powietrza można było rozróżnić wszystkie jej ornamenty. Ból od bata przeszedł i Raskolnikow zapomniał już o tym; całkowicie pochłonęła go natomiast pewna niepokojąca i mglista na razie myśl. Stał i długo, uporczywie patrzył w dal; okolice te znał bardzo dobrze. Kiedy jeszcze uczęszczał na uniwersytet, przystawał zwykle w tym miejscu – powtarzało się to na pewno ze sto razy, najczęściej, gdy wracał do domu – i wpatrywał się w tę naprawdę przepiękną panoramę, i każdorazowo doznawał dziwnego, niepojętego wrażenia. Cudowna panorama tchnęła jakimś niewytłumaczalnym chłodem; niemy i głuchy duch unosił się nad tym pięknym widokiem... Zdumiewało go za każdym razem to ponure i zagadkowe wrażenie, jednakże nie dowierzając sobie, wytłumaczenie tego zjawiska odkładał na później. W tej chwili przypomniał sobie naraz bardzo dokładnie te dawne zagadki i zdumiewające wrażenia i wydawało mu się, że przypomnienie sobie tego nie jest kwestią przypadku. Wydawał mu się dziwny i niezrozumiały już sam fakt, że zatrzymał się w tym samym miejscu, co i dawniej, jak gdyby dopuszczał, że naprawdę może obecnie myśleć dawnymi kategoriami oraz interesować się tymi samymi tematami i obrazami, jakimi interesował się... jeszcze nie tak dawno. Wydawało mu się to nawet śmieszne, choć ból ścisnął mu serce. Gdzieś w głębi, pod nogami, ledwie widoczna zdawała się tkwić jego przeszłość, dawne myśli i problemy, dawne tematy, wrażenia, cała ta panorama i on sam, i wszystko, wszystko dokoła... Jakby unosił się w przestworza i wszystko znikało mu z oczu. Gdy odruchowo poruszył ręką, poczuł zaciśniętą w pięści monetę. Rozwarł pięść, uważnie spojrzawszy na monetę i z rozmachem cisnął ją do wody; potem

odwrócił się i poszedł do domu. Miał wrażenie, jakby w tej chwili nożycami odciął sam siebie od wszystkich i wszystkiego.

Wrócił do domu już pod wieczór, chodził więc z sześć godzin. Jak i którądy szedł z powrotem, tego zupełnie nie pamiętał. Rozebrał się i drżąc jak zajeżdżony koń, położył się na kanapie, otulił się płaszczem i w jednej chwili zmorzył go sen...

Obudził go już dobrze o zmierzchu okropny krzyk. Boże, co to za wrzaski! Równie nienaturalnych dźwięków, podobnego wycia, jęków, zgrzytania, łez, razów i złorzeczeń w życiu jeszcze nie słyszał i nie widział. Nie mógł sobie wyobrazić podobnego rozbestwienia i szału. Z przerażeniem uniósł się na swoim legowisku, truchlejąc i zamierając co chwila. Ale razy, jęki i złorzeczenia stawały się coraz gwałtowniejsze. I oto, ku najwyższemu swemu zdumieniu, usłyszał głos swojej gospodyni. Gospodyni wyła, przeraźliwie piszczła i szlochała, wyrzucając z siebie słowa z taką szybkością, że nic nie można było zrozumieć, o coś błagała, rozumie się, o to, żeby ją przestano bić, bo bez litości katowano ją na schodach. Głos bijącego był do tego stopnia przeraźliwy z wściekłości i pasji, że już tylko chrypiał i równie szybko i niezrozumiale coś bełkotał, pieniąc się i zachłystując. W pewnej chwili Raskolnikow zadrżał całym ciałem: poznał ten głos, był to głos Ilji Pietrowicza. Ilja Pietrowicz jest tutaj i bije gospodynię! Kopie ją, wali jej głową o schody – bez wątpienia, bo słysząc to wyraźnie, słysząc jęki, katowanie! Co to znaczy, świat się do góry nogami przewraca? Słysząc było, jak na wszystkich piętrach, na całej klatce schodowej zbiera się tłum, słysząc głosy, okrzyki, wchodzą, tupią, trzaskają drzwiami i zbiegają się. „Ale za co to, za co... jak można!” – powtarzał w przekonaniu, że naprawdę zwariował. Ale nie, zbyt wyraźnie to słyszy!... W takim razie i do niego zaraz przyjdą, skoro tak, bo to wszystko... prawdopodobnie... z tego samego powodu... za wczorajsze... Boże! Chciał się zamknąć na haczyk, ale nie mógł unieść ręki... zresztą, byłoby to bezcelowe! Strach skuł mu serce, na kość zmroził, wprowadził w osłupienie... W końcu cały ten tumult, który trwał dobre dziesięć minut, zaczął stopniowo ucichać. Gospodyni jęczała i zawodziła, Ilja Pietrowicz ciągle jeszcze groził jej i wymyślał... Ale i on chyba uspokoił się w końcu, bo już go nie słysząc; „Boże, czyżby sobie poszedł?”. Tak jest, odchodzi też gospodyni, ciągle jeszcze płacząc i jęcząc... Oto drzwi zatrzasnęły się za nią... Tłum również rozchodzi się ze schodów do mieszkań – wzdychają, kłóć się, coś wykrzykują, to podnosząc głosy aż do wrzasku, to zniżając je do szeptu. Musiało ich być sporo, zbiegł się prawie cały dom. „Ale, Boże święty, czy to jest możliwe! I po co, po co on tutaj przychodzi?!”

Raskolnikow opadł bezsilnie na kanapę, ale nie był już w stanie zmrużyć oka; leżał pół godziny, przeżywając takie katusze i tak koszmarne uczucie przerażenia, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie doznawał.

Naraz zabłysło w pokoju jaskrawe światło: Nastazja weszła ze świecą i talerzem zupy. Spojrzawszy na niego uważnie i upewniwszy się, że nie śpi, postawiła świecę na stole i zaczęła ustawiać to, co przyniosła: chleb, sól, talerz, łyżkę.

– Pewnikiem nic od wczoraj w ustach nie miałeś. Cały dzień wałęsasz się, a frybra cię trzęsie.

– Nastazjo... za co bili gospodynię?

Nastazja spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Kto bił gospodynię?

– Dopiero co... pół godziny temu, Ilja Pietrowicz, pomocnik komisarza, na schodach... Za co on ją tak katował i... po co w ogóle przychodził?

Nastazja przyglądała mu się posepnie, w milczeniu i długo nie spuszczała z niego oka. Od tego jej spojrzenia zrobiło mu się nieswojo, a nawet poczuł strach.

– Nastazjo, czemu milczysz? – zapytał wreszcie nieśmiało, słabym głosem.

– To krew – odpowiedziała wreszcie cichym głosem, jak gdyby mówiła do siebie – krew.

– Krew!... jaka krew?... – wybełkotał, blednąc i odsuwając się do ściany. Nastazja w dalszym ciągu milczała, spoglądając na niego.

– Nikt gospodyni nie bił – odezwała się karcącym i zdecydowanym głosem.

Raskolnikow patrzył na nią z zapartym oddechem.

– Słyszałem na własne uszy... nie spałem... siedziałem – powiedział jeszcze bardziej nieśmiało. – Długo się przysłuchiwałem... Był tu pomocnik komisarza... Wszyscy zbiegli się na schody, ze wszystkich mieszkań...

– Nikt nie przychodził, to zła krew tak ci mąci w głowie. To zawsze tak, jak się krew zapieni, a jej się nie upuści. Chcesz jeść?

Nie odpowiadał. Nastazja ciągle stała przy nim, bacznie wpatrywała się w niego i nie odchodziła.

– Daj mi pić... Nastko.

Nastazja zeszła na dół i po chwili wróciła z wodą w białym fajansowym kubku, ale nie pamięta, co było dalej. Pamięta, że wypił jeden łyk zimnej wody i rozlał resztę na piersi. Potem stracił przytomność.

Nie była to jednak zupełna utrata przytomności na cały czas choroby: był to stan gorączkowy, z maligną i częściową utratą przytomności. Wiele rzeczy sobie przypominał potem. Raz zdawało mu się, że dokoła niego zbierają się liczne tłumy, chcą go wziąć i dokądś wywieźć, długo sprzecząją się i kłócą o jego osobę. Innym znów razem jest sam w pokoju, wszyscy odeszli, boją się go i tylko od czasu do czasu uchylają troszeczkę drzwi, żeby spojrzeć na niego, grożą mu, spiskują przeciwko niemu, śmieją się i drocą się z nim. Najczęściej pamiętał Nastazję koło siebie; rozróżniał jeszcze jednego człowieka, jakby znajomego, ale kto to był, w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, i męczyło go to, doprowadzając nawet do łez. To zdawało mu się, że leży miesiąc, to znów, że ciągle jest ten sam dzień, ale *o tamtym*, *o tamtym* zupełnie zapomniał, natomiast przypominał sobie co chwila, że zapomniał o czymś, czego zapomnieć nie wolno, i dręczył się, usiłując to sobie przypomnieć, jęczał, wpadał w szał albo ogarniał go straszny, nie do zniesienia lęk. W takich chwilach zrywał się z kanapy, chciał uciekać, ale zawsze ktoś powstrzymywał go siłą, po czym znowu opadał bezsilnie i tracił przytomność. Wreszcie całkowicie wróciła mu świadomość.

Stało się to z rana, o godzinie dziesiątej. O tej porze, w pogodne dni słońce przechodziło zwykle długim pasmem po prawej ścianie i oświetlało kąt przy drzwiach. Obok kanapy stała Nastazja i jeszcze jakiś człowiek, przyglądający mu się bacznie, ale zupełnie mu nieznany. Był to młody osobnik w kaftanie, z bródką, wyglądający na oficjalistę. Przez półotwarte drzwi zaglądała gospodyni. Raskolnikow podniósł głowę.

– Kto to jest, Nastazjo? – zapytał, wskazując na oficjalistę.

– Patrzta, ocknął się! – stwierdziła Nastazja.

– Pan się ocknęli – powtórzył oficjalista. Przekonawszy się, że odzyskał przytomność, gospodyni, zaglądnąca przez drzwi, natychmiast je przymknęła i schowała się. Zawsze była wstydliva i z trudem odbywała wszelkie rozmowy i spory; miała ze czterdzieści lat, była korpulentna i pulchna, czarnobrewa i czarnooka, dobra z lenistwa i otyłości; z wyglądu nawet niczego sobie, tylko wstydliva nad wszelką miarę.

– Kim pan... jest? – znowu zwrócił się do oficjalisty. Ale w tej chwili otworzyły się na oścież drzwi i nachylając się nieco, bo było nisko, wszedł Razumichin.

– Zupełnie jak okrętowa kajuta – zawołał, wchodząc – zawsze łbem uderzam i to nazywa się mieszkaniem! A ty, bracie, ocknąłeś się? Powiedziała mi w tej chwili Paszeńka.

– Dopiero co oprzytomniał – wtrąciła Nastazja.

– Pan dopiero co się ocknęli – powiedział oficjalista z uśmiechem.

– A z kim mam przyjemność? – zapytał Razumichin, zwracając się do niego. – Ja nazywam się Wrazumichin<sup>[47]</sup>; nie Razumichin, jak wszyscy mnie nazywają, a Wrazumichin, student, szlachcic. A pan?

– Jestem oficjalistą w naszym kantorze, tutaj za interesem od kupca, pana

Szełopajewa.

– Proszę, niech pan siada na tym krześle. – Razumichin usiadł na drugim, z drugiej strony stołu. – Dobrze zrobiłeś, że oprzytomniałeś – mówił dalej, zwracając się do Raskolnikowa. – Już czwarty dzień prawie nic nie jesz i nie pijesz. Słowo daję, herbatę wlewaliśmy ci łyżeczkami. Dwa razy sprowadzałem do ciebie Zosimowa. Pamiętasz Zosimowa? Dokładnie cię zbadał i od razu orzekł, że to drobnostka, coś ci nagle do głowy uderzyło, jakaś nerwowa historia, nic poważnego; źle się odżywiał – powiada – za mało piwa, chrzanu, stąd cała choroba, ale że to nic, przejdzie, minie. Zuch z tego Zosimowa! Doskonale zabrał się do leczenia ciebie. A więc nie śmiemy pana zatrzymywać – tu znów zwrócił się do oficjalisty. – Czy zechciałby pan wyjaśnić, jaki ma pan interes? Zauważ, Rodia, z tego kantoru przychodzą już po raz drugi; tylko że za pierwszym razem przychodził nie ten, a jakiś inny, i z tamtym rozmawiałem. Kto to za pierwszym razem tu był?

– Musi przedwczoraj. Tak jest, to był Aleksy Siemionowicz, tyż z naszego kantoru.

– Ale przecież tamten wyglądał na bardziej rzeczowego od pana, nie uważa pan?

– Tak jest, trochę jakby solidniejszy.

– To się chwali, a więc co dalej?

– Właśnie od Afanasja Iwanowicza Wachruszyna, o którym, jak sobie miarkuję, nieraz pewnie pan słyszał, na prośbę pańskiej mateczki przez nasz kantor przekaz przyszedł – zaczął oficjalista, zwracając się bezpośrednio do Raskolnikowa. – Tedy jeżeli pan już są w przytomności, trzydzieści pięć rubelków mam panu wręczyć, bo Siemion Siemionowicz na prośbę pańskiej mateczki, dawnym zwyczajem, dostał od Afanasja Iwanowicza zawiadomienie. Czy pan go znają?

– Tak... pamiętam... Wachruszyn... – odezwał się w zamyśleniu Raskolnikow.

– Słyszycie: zna kupca Wachruszyna! – zawołał Razumichin. – To jak ma nie być w przytomności. Zresztą teraz widzę, że i pan jest człowiekiem rzeczowym. A jakże! Aż miło pana posłuchać.

– To właśnie ten sam pan Wachruszyn Afanasij Iwanowicz na prośbę pańskiej mateczki, która raz już takim sposobem posyłała panu pieniądze, i teraz nie odmówił. Siemionowi Siemionowiczowi z ichnich stron zawiadomienie przysłałi, żeby panu wręczyć trzydzieści pięć rubelków, na razie, bo potem się zobaczy.

– O, to „na razie” najlepiej panu wyszło, nieźle też brzmiała ta „mateczka”. A no więc, jak pan myśli, jest już całkiem przytomny czy nie, co?

– A mnie co do tego? Byleby pokwitowanko było.

– Nagryzmoli! A co, pan ma księgę czy jak?

– Jest księga.

– Daj pan ją tutaj. No, Rodia, podnieś się. Ja cię podtrzymam; machnij mu Raskolnikowa, bierz pióro, bo pieniądze, bracie, potrzebne są nam teraz jak zdrowie.

– Nie trzeba – powiedział Raskolnikow, odsuwając pióro.

– Czego niby nie trzeba?



– Nie podpiszę.

– A niech cię diabli, jakże to bez pokwitowania?

– Nie trzeba... pieniędzy...

– Pieniądzy mu nie trzeba! Kpisz, bracie, świadkiem jestem! Niech pan się nie obawia, on tylko tak sobie... znowu buja w obłokach. Zresztą zdarza mu się to nawet na jawie... Pan jest przecież człowiekiem rozsądnym, będziemy go więc prowadzić, po prostu prowadzić za rękę, i podpisze. Bierz się pan do roboty!...

– Zresztą mogę zajść innym razem.

– Nie, nie, po co ma się pan fatygować, jest pan człowiekiem rozsądnym... No, Rodia, nie zatrzymuj gościa... widzisz, że czeka – i z całą powagą wziął za rękę Raskolnikowa.

– Daj spokój, ja sam... – odezwał się Raskolnikow, wziął pióro i podpisał się w księdze. Oficjalista odliczył pieniądze i wyszedł.

– Bravo! A teraz, bracie, będziesz jadł?

– Będę – odpowiedział Raskolnikow.

– Zupę masz?

– Wczorajszą – odpowiedziała Nastazja, która ciągle stała w pokoju.

– Z kartoflami czy z ryżem?

– Z kartoflami i z ryżem.

– Na pamięć już wiem. Dawaj teraz zupę i przynieś herbatę.

– Zara przyniosę.

Raskolnikow obserwował to wszystko z najgłębszym zdumieniem i jakimś tępy, niepojętym strachem. Postanowił milczeć i czekać, co będzie dalej. „Zdaje się, że już nie mam gorączki – myślał – zdaje się, że to naprawdę...”.

Po dwóch minutach Nastazja wróciła z zupą i oznajmiła, że herbata zaraz będzie. Do zupy przyniosła dwie łyżki, dwa talerze i wszystkie dodatki: sól, pieprz, musztardę do mięsa itd., czego od dawna już nie robiła; nawet obrus był czysty.

– Byłoby wcale dobrze, Nastko, gdyby Praskowia Pawłowna przydzieliła ze dwie butelki piwa. Napilibyśmy się.

– Ale z pana filut! – bąknęła Nastazja i poszła wykonać zlecenie.

Raskolnikow błędnym wzrokiem i z ogromnym wysiłkiem przyglądał się temu wszystkiemu. Tymczasem Razumichin przysiadł się do niego na kanapę i niezgrabnie, jak niedźwiedź, objął go lewą ręką za głowę, mimo że Raskolnikow mógłby sam się podnieść, i podał mu do ust łyżkę zupy, podmuchawszy przedtem na zupę kilka razy, żeby go nie sparzyć. Ale zupa była zaledwie letnia. Raskolnikow chciwie zjadł jedną łyżkę, potem drugą, trzecią, ale po kilku łyżkach Razumichin przerwał karmienie i oświadczył, że co do większej ilości, to trzeba najpierw poradzić się Zosimowa.

Weszła Nastazja, niosąc dwie butelki piwa.

– A herbaty chcesz?

– Chcę.

– Wal, Nastazjo, i to biegiem po herbatę, bo co do herbaty, to chyba można zaaplikować bez uczonych. Ale oto i piwko! – Przesiadł się na krzesło, przysunął talerz z zupą, pieczeń i zaczął wcinać z takim apetytem, jakby

trzy dni nic nie jadł.

– Czy wiesz, Rodia, że ja teraz jadam u was obiady codziennie – wykrztusił, o ile pozwalały mu na to napchane mięsem usta – i to wszystko Paszeńka, gospodyni twoja, daje, powiadam ci, z całego serca mnie raczy. Rozumie się, że ja nie żądam tego, ale i nie protestuję. A oto jest i Nastazja z herbatą. Niech żyje zgrabność! Nastusiu, chcesz piwka?

– A idźże, bałamucie!

– A herbatki?

– Herbatki to i owszem.

– Nalej sobie. Zresztą poczekaj, sam ci naleję; siadaj do stołu.

Zaczął się rządzić jak u siebie w domu, nalał jedną filiżankę, potem drugą, przerwał jedzenie i znowu przesiadł się na kanapę. Jak i przedtem, objął lewą ręką głowę chorego, uniósł go i zaczął pić herbatę, łyżeczka po łyżeczce, znowu dmuchając na herbatę, jakby głównie na samym procesie dmuchania polegać miało wyzdrowienie i ratunek. Raskolnikow milczał, zachowywał się biernie, mimo że czuł w sobie dosyć siły, żeby siedzieć na kanapie bez pomocy i nie tylko władać rękami na tyle, żeby utrzymać łyżkę czy filiżankę, ale prawdopodobnie nawet chodzić. Lecz jakaś dziwna, nieomalże zwierzęca przebiegłość kazała mu ukrywać do czasu swoje siły, przyczaić się, a nawet, jeśli to okaże się potrzebne, udawać, że nie bardzo jeszcze rozumie, co się dookoła dzieje, by w ten sposób wysłuchać i wy badać, co tu słychać. Jednakże nie mógł opanować swego wstrętu: przełknąwszy z dziesięć łyżeczek herbaty, uwolnił naraz głowę, kapryśnie odepchnął łyżkę i znowu opadł na poduszkę. Pod głową miał teraz prawdziwe poduszki, puchowe i czysto powleczone; zauważył to i dobrze sobie zanotował.

– Przydałoby się, żeby Paszeńka dziś jeszcze przysłała nam konfitur malinowych, to przyrządzimy mu napój – powiedział Razumichin, wracając na swoje miejsce i zabierając się znowu do zupy i do piwa.

– A skąd ci weźmie malin? – zapytała Nastazja, trzymając na rozcapierzonych pięciu palcach spodek i pociągając herbatę przez trzymaną w ustach kostkę cukru.

– Maliny, moja droga, dostaniesz w sklepiku. Muszę ci powiedzieć, Rodia, że miałem całą historię. Kiedy w taki łajdacki sposób uciekłeś ode mnie i nie podałeś mi nawet adresu, taka mnie złość wzięła, że postanowiłem odszukać cię i srodze ukarać. Tego samego dnia zabrałem się do sprawy. Chodziłem, łąziłem, wypytywałem! Właśnie o tym twoim mieszkaniu zupełnie zapomniałem; zresztą nigdy go nie pamiętałem, bo go, prawdę powiedziawszy, nie znałem. No, a co do poprzedniego mieszkania, pamiętałem tylko, że było w pobliżu Pięciu Rogów<sup>[48]</sup>, w domu Charłamowa, ale w końcu okazało się, że to wcale nie dom Charłamowa, ale Bucha, jak to człowiek czasem myli nazwiska! Wściekle mnie to rozzłościło. Ze złości poszedłem nazajutrz do biura adresowego i wyobraź sobie, że tam odnaleźli cię w dwie minuty. Jesteś tam zanotowany.

– Zanotowany?

– A pewnie. Za to generała Korbielowa w żaden sposób przy mnie odnaleźć

nie mogli. Zresztą nie chcę się długo rozwodzić. Krótko mówiąc, wpadłem tu jak bomba, w jednej chwili dowiedziałem się o wszystkich twoich interesach; o wszystkich, bracie, co do jednego, wszystko wiem; ona była świadkiem: i Nikodema Fomicza poznałem, i Ilję Pietrowicza, i stróża, i pana Aleksandra Grigorjewicza Zamietowa, sekretarza tutejszego cyrkułu, a wreszcie i Paszeńkę – to już był szczyt wszystkiego; ona była świadkiem...

– Ujeździł ją – mruknęła Nastazja, uśmiechając się chytrze.

– Niech pani włoży sobie cukier do herbaty, Nastazjo Nikiforowno.

– Achżeż ty, huncwocie jeden! – krzyknęła Nastazja i parsknęła śmiechem.

– Przecież ja jestem Pietrowna, a nie Nikiforowna – dodała, gdy się przestała śmiać.

– Bardzo mi przyjemnie. A więc, bracie, krótko mówiąc, początkowo chciałem wstrzyknąć im tu wszędzie świeży prąd, żeby od razu wypłenić wszystkie przesady, ale Paszeńka zwyciężyła. Nigdy bym się, bracie, nie spodziewał, że ona taka... *avenante*<sup>[49]</sup>... co? Jak myślisz?

Raskolnikow milczał, aczkolwiek ani na chwilę nie odrywał od niego swego trwożnego spojrzenia i teraz również uporczywie wpatrywał się w Razumichina.

– O, nawet bardzo – ciągnął dalej Razumichin, nie przejmując się zupełnie jego milczeniem i jak gdyby potwierdzając otrzymaną odpowiedź – i wszystko jest w najlepszym porządku, pod każdym względem.

– Ale bestia! – wtrąciła znowu Nastazja, której rozmowa ta najwidoczniej sprawiała niewymowną rozkosz.

– Źle, bracie, żeś się z samego początku nie umiał zabrać do rzeczy. Z nią trzeba było całkiem inaczej postępować. Przecież to jest, że tak powiem, wyjątkowy charakter! Zresztą o charakterze potem... Ale, na przykład, jak mogłeś dopuścić do tego, żeby śmiała ci nie przysyłać obiadu. Albo weźmy dla przykładu ten weksel! Na głowę upadłeś czy co, żeby weksle podpisywać? Albo, co gorsza, to niedoszłe małżeństwo, kiedy jeszcze żyła córka, Natalia Jegorowna... Wszystko wiem! Zresztą widzę, że to twoja czuła struna i że ze mnie osioł skończony; przepraszam cię bardzo. À propos głupoty: jak myślisz, przecież ta Praskowia Pawłowna wcale nie jest tak głupia, na jaką wygląda na pierwszy rzut oka, nie uważasz?

– Tak... – wycedził Raskolnikow, nie patrząc na niego, rozumiejąc jednak, że wygodniej jest podtrzymywać rozmowę.

– Prawda? – Razumichin był wyraźnie uradowany, że otrzymał odpowiedź.

– Ale mądra też nie jest, prawda? Zupełnie, ale to najzupełniej wyjątkowy charakter! Nawet ja, bracie, gubię się, zapewniam cię... Ma chyba nie mniej niż czterdzieści lat. Mówi, że ma trzydzieści sześć i ma do tego zupełne prawo. Zresztą przysięgam ci, że biorę ją raczej rozumowo, że tak powiem, metafizycznie; taki się, bracie, dylemat między nami wytworzył, niczym twoja algebra! Nic z tego nie rozumiem! Ale to wszystko głupstwo, widząc jednak, że już nie jesteś studentem, straciłeś lekcje i nawet porządne ubranie i że po śmierci panny nie ma co cię już trzymać na stopie rodzinnej, naraz się złąkła; a wobec tego, że i ty zaszyłeś się w kącie i nie podtrzymywałeś poprzednich stosunków, postanowiła wyrzucić cię

z mieszkania. Dawno już miała ten zamiar, ale szkoda jej było weksla. Zwłaszcza że zapewniałaś, iż mamusia zapłaci...

– To tylko z podłości tak mówiłem... Matka moja samaomalże nie żebrze... A ja kłamałem, byle tylko mnie z mieszkania nie wyrzucili i... dawali jeść – odpowiedział głośno i z naciskiem Raskolnikow.

– Tak, to dobrze. Cała bieda w tym, że tu jak na złość zjawił się pan Czebarow, radca dworu i człowiek interesu. Paszeńka nic by bez niego nie wymyśliła, taka jest wstydliva; no, a człowiek interesu nie bardzo się krępuje i w pierwszym rzędzie zadał oczywiście pytanie: czy jest nadzieja na zrealizowanie wekselka. Odpowiedź: jest, bo jest taka mamusia, co to ze stu dwudziestu pięciu rubli emerytury swojej, choćby sama miała nie jeść, ale Rodiunię z kłopotu wybawi, a i siostrzyczka taka jest, co to za braciszka bodaj do niewoli pójdzie. Na tym właśnie się oparł. Czego się kręcisz? Przejrzałem cię, bracie, na wskroś, wszystko co do joty wiem o tobie, nie darmo zwierzałaś się Paszeńce, kiedyś jeszcze był z nią na stopie familijnej, mówię ci to w najlepszej intencji... Tak zazwyczaj bywa: uczciwy i sentymentalny człowiek zwierza się w szczeroci ducha, a człowiek interesu słucha i je, aż zje do cna. Otóż dała ona weksel, jakoby w charakterze spłaty długu, owemu Czebarowowi, a ten wystąpił formalnie o należność, niczym się nie krępując. Początkowo, kiedy się tylko o tym dowiedziałem, chciałem mu porządnie kota popędzić, ale w tym czasie pokumałem się z Paszeńką, wobec tego kazałem sprawę przerwać w samym zarodku, poręczywszy za twoją wypłacalność. Poręczyłem za ciebie, słyszysz? Wezwano Czebarowa, zatkano mu pysk dziesięcioma rublami, a weksel wycofano, i oto mam zaszczyt zaprezentować go szanownemu panu – na słowo teraz panu wierzą – oto proszę, weź go pan sobie, nawet go naddarłem, jak w tych wypadkach należy.

Razumichin położył na stole weksel; Raskolnikow spojrział na weksel i nie rzekłszy ani słowa, odwrócił się do ściany. Razumichina to ubodło.

– Widzę, bracie – odezwał się po chwili – że znowu palnąłem głupstwo. Miałem zamiar rozerwać cię trochę pogawędką, a zdaje się, osiągnąłem wręcz odwrotny efekt.

– To ciebie nie poznałem w gorączce? – zapytał Raskolnikow po chwili milczenia, nie odwracając głowy.

– Tak, mnie, i raczył pan nawet wpadać w szał, zwłaszcza kiedy raz przyprowadziłem Zamietowa.

– Zamietowa?... Sekretarza?... Po co? – Raskolnikow szybko się odwrócił i wlepił oczy w Razumichina.

– Co z tobą... Czego się tak przestraszyłeś? Po prostu chciał cię poznać; z własnej inicjatywy, bo dużo z nim o tobie gadaliśmy... W przeciwnym razie od kogo dowiedziałbym się o tobie tylu szczegółów? To byczy chłop, doskonały kompan... oczywiście, w pewnym sensie. Teraz jesteśmy przyjaciółmi, widujemy się niemal codziennie. Przeniósłem się do tej dzielnicy. Nie wiesz jeszcze o tym? Niedawno się przeprowadziłem. Ze dwa razy byliśmy z nim u Lawizy. Pamiętasz Lawizę, Lawizę Iwanownę?

– Czy mówiłem coś w gorączce?

– I to ile jeszcze! Byłeś zupełnie nieprzytomny.

– A co mówiłem?

– Co mówiłeś? Wiadomo, co się plecie z gorączki... No, bracie, do dzieła, żeby nie tracić czasu.

Razumichin podniósł się z krzesła i złapał czapkę.

– Co mówiłem?

– Pop swoje, chłop swoje! Czy nie masz czasem na sumieniu jakiegoś sekretu? Nie obawiaj się: o hrabinie<sup>[50]</sup> nie było ani słowa. Mówiłeś o jakimś buldogu, o kolczykach jakichś, o dewizkach, o Wyspie Krestowskiej, o jakimś stróžu, oprócz tego o Nikodemie Fomiczu i o Ilji Pietrowiczu, tym zastępcy naczelnika cyrkułu, sporo naplotłeś. Poza tym raczył się pan bardzo interesować swoją skarpetką! Skarżył się pan szanowny: dajcie mi, krzyczałeś, skarpetkę i tak w kółko. Zamietow sam nawet szukał jej po wszystkich kątach i podał panu to świństwo własnymi uperfumowanymi rączkami zdobnymi w pierścienie. Wtedy dopiero raczył się pan uspokoić i całą dobę pieścił pan to świństwo; nie można jej było panu z rąk wyrwać. Prawdopodobnie masz ją jeszcze gdzieś pod kołdrą. Domagałeś się jeszcze jakiejś obszywki od spodni, jakże o nią zabiegałeś! Nie mogliśmy z ciebie w żaden sposób wydobyć, o jakie ci tam obszywki chodzi! W ogóle nic nie można było zrozumieć... A teraz do dzieła! Tu jest trzydzieści pięć rubli; zabieram z tego dziesięć rubli, a za jakieś dwie godzinki wyliczę się z nich.

Po drodze dam znać również Zosimowowi, chociaż dawno już powinien był tu być, bo jest już dwunasta. A ty, Nasteczko, zaglądam tu częściej, niech ma coś do picia i w ogóle, co mu będzie potrzebne... A Paszeńce osobiście powiem zaraz, co i jak. Do widzenia!

– Paszeńką ją nazywa! Ach, ty cwaniaku! – zawołała w ślad za nim Nastazja; potem otworzyła drzwi i zaczęła podsłuchiwać, ale nie wytrzymała i pobiegła na dół. Miała ogromną ochotę dowiedzieć się, o czym on tam mówi z gospodynią, i ze wszystkiego widać było, że była po prostu zachwycona Razumichinem.

Jak tylko zamknęły się za nią drzwi, chory zerwał z siebie kołdrę i jak wariat zeskoczył z kanapy. Z trudną do opanowania niecierpliwością czekał, aż wyjdą, żeby zostać sam i wziąć się do dzieła. Ale do czego, do jakiego dzieła? Jakby celowo naraz o tym zapomniał. „Boże! Racz mnie oświecić: czy oni wiedzą o wszystkim, czy jeszcze nie wiedzą? A co, jeżeli już wiedzą i tylko udają, drocą się, dopóki leżę, a potem nagle wejdą i powiedzą, że wszystko już dawno jest wiadome, a oni tylko tak sobie... Co teraz robić? Jak na złość zapomniałem, a przed chwilą przecież pamiętałem!...”

Stał na środku pokoju i z desperackim zdumieniem rozglądał się dookoła; podszedł do drzwi, uchylił je, zaczął nasłuchiwać; ale nie o to wcale chodziło. Podszedł do pieca, otworzył drzwiczki i zaczął grzebać w popiele: oderwane od spodni strzępy i kawałki podartej kieszeni leżały tak, jak je wówczas wrzucił, czyli że nikt tam nie zaglądał. Naraz, jakby sobie nagle coś przypomniał, skoczył do kąta, w którym była dziura w tapecie, zaczął ją oglądać, wsunął rękę do dziury, zaczął grzebać w niej, ale i to go nie zadowalało. W tej chwili przypomniał sobie o skarpetce. Gdzież jest ta

skarpetka, o której przed chwilą mówił Razumichin? Przecież leży tu, na kanapie, pod kołdrą, ale do tego stopnia zabrudziła się i wyswiechtała od tego czasu, że Zamietow, oczywiście, nic nie zauważył.

„Tak, Zamietow!... policja! A po co mnie wzywają do kancelarii policyjnej? Gdzie wezwanie? Ale, ale!... coś poplątałem: to wtedy wzywali! Wtedy również oglądałem skarpetkę, a potem... potem byłem przecież chory. Ale po co przychodził Zamietow? W jakim celu Razumichin go przyprowadził?... – bełkotał bezradnie Raskolnikow, siadając na kanapie. – Co to, znowu mam gorączkę czy co u licha? Zdaje się, że istotnie... No właśnie przypomniałem sobie: trzeba uciekać! Uciekać jak najprędzej, bezwarunkowo, natychmiast uciekać! Dobrze, ale... dokąd? A gdzie jest moje ubranie? Butów też nie mam! Sprzątnęli! Zabrali! Ukryli! Teraz rozumiem! A jednak płaszcz przeoczyli! O, i pieniądze leżą na stole! Weksel też... Wezmę pieniądze i pójdę sobie, wynajmę inne mieszkanie, nie znajdą mnie!... A biuro adresowe? Znajdą! Razumichin znajdzie. Lepiej uciec... gdzieś daleko... do Ameryki i gwizdać sobie na nich! Weksel też trzeba zabrać... Przyda się tam! Co by tu jeszcze zabrać? Myślą, że jestem chory! Wcale nie wiedzą, że umiem chodzić, hi-hi-hi! Po oczach poznałem, że o wszystkim wiedzą! Byle tylko zejść ze schodów! A co, jeżeli tam już stoją stróże, policjanci! Co to, herbata? A oto i butelka z piwem, połowa została, zimne piwo!”

Złapał butelkę, w której było jeszcze piwa na całą szklanekę, i z rozkoszą wypił jednym tchem, jakby gasił płomień w piersi. Po minucie piwo uderzyło mu do głowy, a po ciele przeszedł lekki i wcale przyjemny dreszczyk. Położył się z powrotem i przykrył się kołdrą. Myśli – i tak chaotyczne, chorobliwe, nieskoordynowane – zaczęły mu się coraz bardziej plątać w głowie, a wkrótce ogarnął go lekki i przyjemny sen. Z rozkoszą namacał głową wygodniejszy dołeczek w poduszce, otulił się dobrze miękką, watową kołdrą, którą miał teraz zamiast niedawnego podartego płaszcza, cicho westchnął i zapadł w mocny, głęboki, ożywczy sen.

Obudził się, usłyszawszy, że ktoś wszedł do pokoju; otworzył oczy i ujrzał Razumichina, który rozwarł na oścież drzwi i stał na progu, nie mogąc się zdecydować: wejść czy nie wejść?

Raskolnikow szybkim ruchem uniósł się na kanapie, jakby usiłując sobie coś przypomnieć.

– A, nie śpisz, oto i ja! Nastko, daj tu paczkę! – zawołał Razumichin na dół.  
– Zaraz ci złożę sprawozdanie.

– Która godzina? – zapytał Raskolnikow, rozglądając się z niepokojem.  
– No, bracie, fest się przespałeś: już ciemno na dworze, chyba szósta. Spałeś więc przeszło sześć godzin...

– Boże! Jakże to tak!...  
– A bo co? Na zdrowie! Dokąd się śpieszysz? Na randkę czy co? Teraz cały czas należy do nas. Czekam na ciebie już trzy godziny; dwa razy zaglądałem do ciebie, a ty ciągle spałeś. Do Zosimowa też zachodziłem dwa razy: wciąż nie ma go w domu. Ale to nic, przyjdzie!... Pewnie biega w swoich sprawach. A ja już się ostatecznie przeprowadziłem, przeprowadziłem się z wujkiem. Przecież mam teraz wuja... Ale mniejsza o to, do rzeczy!... Daj tu paczkę,



Nastko. Zaraz ją tego... A jak się czujesz, bracie?

- Zdrow jestem, wcale nie jestem chory... Razumichin, dawno tu jesteś?
- Przecież mówię, że trzy godziny czekam.
- Nie, ale przedtem?
- Co przedtem?
- Od kiedy zacząłeś tu bywać?
- Przecież ci niedawno wszystko opowiedziałem, czyżbyś nie pamiętał?

Raskolnikow zamyślił się. To wszystko majaczyło mu się jakby przez sen. Nie mógł sobie tego przypomnieć po kolei i pytająco spoglądał na Razumichina.

- Hm! Zapomniałeś! Właśnie i mnie się przedtem zdawało, że jeszcze niezupełnie jesteś w porządku... Teraz, po przespaniu się, trochę się poprawiłeś... Naprawdę znacznie lepiej wyglądasz. Zuch z ciebie! No, ale do rzeczy! Zaraz sobie przypomnisz. Popatrz na to, dobry człowieku.

Zaczął rozwiązywać paczkę, która najwyraźniej bardzo go interesowała.

- Nie uwierzysz, bracie, jak mi to leżało na sercu. Przecież trzeba z ciebie nareszcie zrobić człowieka. Zaczynamy od góry. Widzisz ten kaszkiet? - zaczął, wyjmując z paczki niebrzydka, choć zwyczajną i taniutką czapkę. - Pozwól, że ci go przymierzę.

- Potem, później - odpowiedział Raskolnikow z wyraźną niechęcią.

- Nie, mój bracie, nie opieraj się, potem będzie za późno; ja bym oka przez całą noc zmrużyć nie mógł, bo kupowałem bez miary, na oko. W sam raz! - zawołał z triumfem, przymierzywszy mu czapkę - jak ulał! Nakrycie głowy to, bracie, najważniejsza część stroju, swego rodzaju legitymacja. Przyjaciel mój, na przykład, Tołstikow, musi zawsze, wchodząc gdzieś, zdejmować z głowy swoją pokrywę, choć wszyscy inni stoją w kapeluszach i czapkach. Wszyscy myślą, że ma taką służalczą naturę, a on robi to po prostu dlatego, że wstydzi się swojego ptasiego gniazda; taki to już wstydlivy człowiek! Proszę, Nastko, oto dwa nakrycia głowy: ten oto palmerston<sup>[51]</sup> (wydostał gdzieś z kąta zmięty, okrągły kapelusz Raskolnikowa, który nie wiadomo czemu nazywał palmerstonem) albo to oto jubilerskie cacko? Jak ci się zdaje, Rodia, ile zapłaciłem? Nasteczko? - zwrócił się do niej wobec milczenia Raskolnikowa.

- Ze dwadzieścia kopiejek musiałeś dać - odpowiedziała Nastazja.

- Dwadzieścia, idiotka! - zawołał urażony. - Dziś za dwadzieścia kopiejek nawet ciebie się nie kupi, osiemdziesiąt kopiejek! I to tylko dlatego, że używana. Wprawdzie pod warunkiem: jak tę zniszczysz, to na drugi rok inną dostaniesz za darmo, jak Boga kocham! No, a teraz przystąpmy do Portoryko, jak to nazywano u nas w gimnazjum. Podkreślam, spodniami się szczyć! - I rozłożył przed Raskolnikowem szare, letnie spodnie z cienkiej wełny. - Żadnej dziureczki, najmniejszej plamki, zupełnie znośne, choć używane, taka sama jest kamizelka, do koloru, jak wymaga moda. A że używane, to, prawdę mówiąc, nawet lepiej: miększe, delikatniejsze... Widzisz, Rodia, żeby zrobić w wielkim świecie karierę, wystarczy, moim zdaniem, stosować się zawsze do sezonu; jeżeli nie zażadasz w styczniu szparagów, zaoszczędzisz kilka rubli; to samo dotyczy nabytku. Teraz mamy

sezon letni, wobec czego kupiłem rzeczy letnie, bo przecież na sezon jesienny i tak potrzebny będzie cieplejszy materiał, będziesz więc musiał to wyrzucić, zwłaszcza że... to wszystko do tego czasu i tak zdąży się rozlecieć, jeżeli nie z nadużywania zewnętrznego, to z powodu wewnętrznych perturbacji. No, oceń! Ile to warte? Dwa ruble dwadzieścia pięć kopiejek! I znowu pamiętaj, że pod tym samym warunkiem: te rzeczy zniszczysz, na drugi rok dostaniesz za darmo inne! W sklepie Fiedajewa inaczej nie handlują: raz zapłacisz i masz na całe życie dosyć, bo drugi raz tam nie pójdziesz. No, a teraz przystępujemy do butów. Jak ci się podobają? Chociaż widać, że używane, ale przecież na dwa miesiące wystarczą, bo to zagraniczna robota i towar zagraniczny: sekretarz ambasady angielskiej spuścił je na straganie w zeszłym tygodniu; raptem sześć dni je nosił, ale forsa była mu bardzo potrzebna. Cena – rubel pięćdziesiąt kopiejek. Drogo?

– A może nie pasują? – zauważyła Nastazja.

– Nie pasują! A to co? – I wyciągnął z kieszeni stary, podarty, cały oblepiony zeschniętym błotem, dziurawy but Raskolnikowa. – Poszedłem ze wzorem i według tego okazji znaleźli mi właściwy numer. Cała ta sprawa ubita była po przyjacielsku. A co do bielizny, to dogadałem się z gospodynią. Po pierwsze, masz tu trzy koszule z płótna, ale za to z modnym gorsem... A więc razem... osiemdziesiąt kopiejek czapka, dwa ruble dwadzieścia pięć reszta, ogółem trzy ruble i pięć kopiejek; rubel pięćdziesiąt buty, bo w bardzo dobrym gatunku – razem cztery ruble pięćdziesiąt pięć kopiejek, a pięć rubli cała bielizna, hurtem wytargowałem – ogółem akurat dziewięć rubli pięćdziesiąt pięć kopiejek. Czterdzieści pięć kopiejek reszty, proszę, bądź łaskaw, miedziakami; i w ten sposób, Rodia, odbudowany jesteś w całej okazałości, a co do płaszcza, to uważam, że twój nie tylko może ci jeszcze służyć, ale ma w sobie nawet coś imponująco szlachetnego: co to znaczy ubierać się u Charmeura<sup>[52]</sup>! Sprawę skarpetek i innych drobiazgów zostawiam tobie samemu; pieniędzy zostaje nam dwadzieścia pięć rubli, a o Paszeńkę i o komorne możesz się nie martwić, jak mówiłem: kredyt nieograniczony. A teraz, bracie, pozwól, że zmienimy ci bieliznę, bo dziś choroba twoja bodajże już tylko w koszuli siedzi...

– Daj spokój, nie chcę! – opędał się Raskolnikow, który z obrzydzeniem słuchał wymuszenie zabawnej relacji Razumichina o kupnie ubrania...

– Nie, bracie, to wykluczone; po co w takim razie buty zdzierałem! – upierał się Razumichin. – Nastusiu, nie wstydz się, pomóż nam, o tak! – I nie bacząc na opór Raskolnikowa, zmienił mu jednak bieliznę. Raskolnikow rzucił się potem na poduszkę i ze dwie minuty nie odezwał się ani słowem.

„Kiedy wreszcie się odczepią!” – pomyślał. – Za jakie pieniądze to wszystko kupione? – zapytał wreszcie, patrząc w ścianę.

– Pieniądze? Masz ci los! Za twoje własne. Przecież niedawno był tu oficjalista od Wachruszyna, matka ci przysłała; zapomniałeś czy co?

– Teraz pamiętam... – wyrzekł z trudem Raskolnikow po długim i ponurym milczeniu.

Zasnucony tym Razumichin spoglądał na niego z niepokojem.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł wysoki, barczysty

jegomość, którego Raskolnikow też jak gdyby już znał z widzenia.  
– Zosimow! Nareszcie! – zawołał uradowany Razumichin.

Zosimow był to wysoki i tęgi mężczyzna o obrzękłej, bezbarwnej, bladej, starannie wygolonej twarzy, o jasnych, szczeciniastych włosach, w okularach i z wielkim, złotym sygnetem na tłustym palcu. Miał około dwudziestu siedmiu lat. Ubrany był w szeroki i elegancki lekki płaszcz, jasne, letnie spodnie i w ogóle wszystko na sobie miał eleganckie, jak z igły; koszula bez zarzutu, dewizka od zegarka masywna. Ruchy miał powolne, jakby ociężałe, a jednak poruszał się z wystudiowaną swobodą; pretensjonalność, zresztą starannie ukrywana, przebijała w każdym calu. Wszyscy, którzy go dobrze znali, uważali go za niezbyt sympatycznego, ale jak mówiono, znał swój fach...

– Byłem u ciebie już dwa razy... Widzisz, ocknął się! – zawołał Razumichin.

– Widzę, widzę. No, jakże się teraz czujemy? – zwrócił się Zosimow do Raskolnikowa, wpatrując się w niego uważnie i usadawiając się wygodnie w nogach na kanapie.

– Ciągłe jeszcze kaprysi – odparł Razumichin – zmienialiśmy mu teraz bieliznę, a ten omal się nie rozplakał.

– Bo i po co, bieliznę można było zmienić potem, skoro sobie tego nie życzył... puls świetny. Głowa pewnie ciągle jeszcze boli, co?

– Jestem zdrowy, najzupełniej zdrowy! – z uporem i rozdrażnieniem oświadczył Raskolnikow, podnosząc się na posłaniu i miotając wściekłe spojrzenia, ale po chwili opadł na poduszkę i odwrócił się do ściany. Zosimow obserwował go bardzo uważnie.

– Bardzo dobrze... Wszystko w porządku – orzekł leniwie.

– Jadł coś?

Opowiedzieli mu wszystko dokładnie i zapytali, co można mu dawać.

– Właściwie wszystko... Zupę, herbatę... Grzybów i ogórków oczywiście dawać nie należy, mięsa raczej też nie... zresztą co tu dużo gadać!... – Zosimow spojrzał znacząco na Razumichina. – Żadne lekarstwa nie są potrzebne, nic nie potrzeba, a jutro zobaczymy... Można by właściwie i dzisiaj, ale...

– Jutro wieczorem wyprowadzę go na spacer! – zdecydował Razumichin – do ogrodu Jusupowa, a potem do „Palais de Cristal”<sup>[53]</sup>.

– Jutro nie ruszałbym go jeszcze, chociaż... trochę... zobaczymy.

– Wielka szkoda, akurat dzisiaj mam oblewanie mojego mieszkania, dwa kroki stąd; będzie nam go brak. Może by choć poleżał na kanapie w naszym towarzystwie! A ty będziesz? – zwrócił się Razumichin do Zosimowa. – Nie zapominaj, że obiecałeś przyjść.

– Owszem, ale trochę później. Co tam urządzasz?

– Nic szczególnego, herbata, wódka, śledź. Pieróg też będzie; sami swoi się zbiorą.

– Mianowicie kto?

– Sami tutejsi, sami nowi, doprawdy, chyba oprócz starego wuja, który właściwie też jest nowy: dopiero wczoraj przyjechał do Petersburga w jakichś

tam swoich interesach; widzimy się raz na pięć lat.

– Co to za jeden?

– Taki, co to wegetował całe życie na prowincji, kierownik powiatowego urzędu pocztowego... na emeryturze, sześćdziesiąt pięć lat, nie ma o czym mówić... Lubię go zresztą. Przyjdzie również Porfiry Siemionowicz, tutejszy sędzia śledczy... prawnik. Znasz go przecież...

– To też jakiś twój krewny?

– Bardzo daleki, co się znowu krzywisz? Raz żeście się pokłócili, to już gotów jesteś nie przyjść?

– Gwiżdżę na niego...

– To i lepiej. No, a reszta to studenci, nauczyciel, pewien urzędnik, muzyk, oficer, Zamietow...

– Powiedz mi, mój drogi, co możesz mieć wspólnego ty albo i on – Zosimow wskazał na Raskolnikowa – z jakimś tam Zamietowem?

– Och, znowu zrzędzisz! Zasady!... Cały jesteś zbudowany z zasad, z własnej woli nie śmiesz zrobić kroku; a moim zdaniem, byle człowiek był porządny – to cała zasada, i nic więcej mnie nie obchodzi. Zamietow to fantastyczny chłop.

– I ręce ma lepkie.

– No i niech ma, co mnie to obchodzi! – rozkrzyczał się naraz Razumichin jakimś nienaturalnie zirytowanym głosem. – Czy ja ci go za to wychwalałem, że ma lepkie ręce? Mówiłem ci tylko, że jest porządny w pewnym sensie! A jeżeli podejść do sprawy bezwzględnie, to czy zostanie dużo porządných ludzi? Przekonany jestem, że z tego punktu widzenia za mnie całego razem z bebechami i z tobą na dodatek dano by figę z makiem.

– To bardzo mało, dałbym za ciebie ze dwie...

– A ja za ciebie nie więcej niż jedną! Dowcipkuj jeszcze! Zamietow to jeszcze smarkacz, ja mu po prostu natrę uszu, bo jego trzeba przyciągać, a nie odpychać. Odpychaniem nie naprawi się człowieka, tym bardziej młodzika. Z takim młodzikiem trzeba być podwójnie delikatnym. To tylko wy, tępogłowi postępowcy, nic nie rozumiecie! Człowieka nie szanujecie, sami siebie przez to poniżacie... A jeżeli chcesz wiedzieć, to trafiła nam się pewna wspólna sprawa.

– Ciekawe.

– Ciągle chodzi o tego malarza, pokojowego malarza... Na pewno go wyciągniemy! Zresztą teraz już nie ma nieszczęścia. Sprawa jasna jak słońce! My ją tylko przyśpieszymy.

– Jaki znowu malarz?

– Jak to, nie opowiadałem ci jeszcze o nim! Niemożliwe. Ach, racja, zacząłem ci o tym opowiadać... Chodzi o zamordowanie tej staruchy, lichwiarki, wdowy po urzędniku... W to właśnie zamieszany jest malarz...

– Ach, o tym zabójstwie słyszałem wcześniej niż ty, sprawa ta nawet mnie interesuje... w pewnym stopniu... W związku z pewnym przypadkiem... nawet w gazetach czytałem o tym. Ale...

– Lizawietę też zabili! – rąbnęła nagle Nastazja, zwracając się do Raskolnikowa.

Przez cały czas była w pokoju i stojąc skromnie przy drzwiach, słuchała.

– Lizawietę? – mruknął Raskolnikow ledwie dosłyszalnym głosem.

– Tak, Lizawietę, tę handlarzkę, nie znasz jej? Przychodziła przecież tutaj.

Nawet ci cerowała koszulę.

Raskolnikow odwrócił się do ściany, na tapecie w białe kwiatki wybrał sobie jeden niezgrabny kwiatek z brązowymi kreskami i zaczął go oglądać: ile ma płatków, ile listków, jakie żyłki mają te listki, jakie punkciki... czuł, że sztywnieją mu ręce i nogi, jakby był sparaliżowany, i nawet nie próbował się poruszać, tylko uporczywie wpatrywał się w kwiatek.

– No więc co z tym malarzem? – Zosimow z wyraźnym zniecierpliwieniem przerwał paplaninę Nastazji. Nastazja westchnęła i umilkła.

– Jego też wrobili w morderstwo! – ciągnął zapalczywie Razumichin.

– Poszlaki są?

– Do diabła z poszlakami! Zresztą poszlaki mają, ale chodzi o to, żeby dowieść, że te poszlaki to żadne poszlaki! Zupełnie tak samo, jak początkowo aresztowali, podejrzewając o zabójstwo, tych, jakże ich... Kocha i Piestriakowa. Tfu! Jakie to wszystko idiotyczne, nawet człowieka postronnego przejmuje obrzydzeniem! Piestriakow prawdopodobnie wpadnie dzisiaj do mnie... *À propos*, Rodia, ty znasz tę sprawę, to było jeszcze przed twoją chorobą, w przeddzień twego zemdlenia w cyrkule właśnie w chwili, kiedy tam opowiadał o tym...

Zosimow spojrzał z zaciekawieniem na Raskolnikowa, ale ten nawet się nie poruszył.

– A wiesz co, Razumichin? Dziwię ci się, że z ciebie taki dobroczyńca – zauważył Zosimow.

– Niech tam, a jednak wyciągniemy go! – zaperzył się Razumichin i uderzył pięścią w stół. – Zrozum, najważniejsze w tym wypadku jest nie to, że kłamią: kłamstwo zawsze można przebaczyć; kłamstwo jest nawet bardzo miłe, bo prowadzi do prawdy. Więc nie o to chodzi, że kłamią, ale o to, że wierzą w swoje kłamstwo. Bardzo szanuję Porfirego, a jednak... Co ich, na przykład, przede wszystkim zbiło z tropu? Drzwi były zamknięte, a kiedy przyszli ze stróżem, były otwarte. Stąd wniosek prosty: Koch i Piestriakow zamordowali. Oto ich logika.

– Co się tak denerwujesz, po prostu zatrzymali ich; nie można inaczej... O ile sobie przypominam, to tego Kocha spotykałem; okazuje się, że skupował od tej starej zastawione rzeczy. Jak ci się to podoba?

– Wiem, to jakiś szubrawiec! Weksle też skupował. Bardzo pomysłowy. Kombinator! A mnie bardziej złości inna strona sprawy, rozumiesz mnie? Ich rutyna, zasklepienie myślowe, stetryczenie... o to mnie diabli biorą! A tu właśnie, w tej sprawie, można odkryć nowe drogi. Na podstawie samych danych psychologicznych można wykazać, w jaki sposób wpada się na właściwy trop. „Jak to? – powiadają. – Mamy przecież fakty”. Ale fakty to nie wszystko, co najmniej połowa sprawy polega na umiejętnym operowaniu faktami!

– A ty umiesz operować faktami?

– Mniejsza o to, ale nie wolno milczeć, gdy się czuje, gdy się czuje przez



skórę, że właśnie można by sprawie pomóc, gdyby tylko... Och! Czy znasz szczegóły tej sprawy?

– Właśnie czekam na szczegóły o malarzu.

– Ach, racja! Posłuchaj: na trzeci dzień po zabójstwie, rankiem, kiedy jeszcze bawili się z tym Kochem i z Piestriakowem, choć oni wytłumaczyli się z każdego swego kroku – i wszystko to było aż nadto oczywiste! – stanęli nagle wobec najmniej spodziewanego faktu. Niejaki Duszkin, chłop, właściciel piwiarni w domu naprzeciw, zjawia się w kancelarii policyjnej, przynosi futeralik jubilerski ze złotymi kolczykami i opowiada taką oto historię: „Przylatuje do mnie z wieczora, to jest przedwczoraj, tak jakoś po ósmej – dzień i godzina! Czy zdajesz sobie z tego sprawę? – niby robotnik, malarz, który i dawniej do mnie przychodził, Mikołaj, i przynosi mi to pudełko ze złotymi kolczykami, z kamykami, i prosi o dwa ruble pod zastaw, a na moje pytanie, skąd je ma, powiada, że znalazł na chodniku. Więcej o tym rozmowy nie było – mówi niby Duszkin – wyniosłem mu tylko paperek, czyli rubla, bo myślę sobie, jak nie zastawi u mnie, to zastawi u innego, i tak przepije, więc niech to już u mnie leży; z cudzego woza złaż choć wśród morza, cudzego nie chcę, jak się co wykryje albo między ludźmi gadanie jakie będzie, to sam przyjdę i oddam”. To oczywiście austriackie gadanie, łże jak pies, znam tego Duszkina, to paser, przechowuje kradzione rzeczy, a trzydziestorublową rzecz nie po to wziął, żeby oddać, ale po prostu wykiwał Mikołaja. Potem stchórzył i tyle. Zresztą pal go diabli; słuchaj dalej. Duszkin mówi: „A tego chłopca, Mikołaja Diementiewa, znam od małego, krajanie jesteśmy, z jednej guberni i powiatu, zarajskiego niby, spod Riazania. Mikołaj, choć nie jest pijakiem, ale wypić lubi, i wiedziałem niby, że pracuje w tym domu, razem z Mitrijem maluje, a obydwaj są z jednych miejsc. I jak tylko dostał paperek, zaraz go zmienił, wypił jeden po drugim dwa kielonki, wziął resztę i poszedł sobie, a Mitrija wtedy z nim nie widziałem. Na drugi dzień dopiero wywiedziałem się, że Alonę Iwanownę i siostrę, Lizawietę Iwanownę, siekierą zarabali, wtedy w niepewności byłem co do kolczyków, bo wiedziałem, że nieboszczka pod zastaw pieniądze pożyczła. Poszedłem do nich do domu i zacząłem się cichaczem wypytywać, a na sam początek zapytałem: czy jest tu Mikołaj? A Mitrij powiada mi, że Mikołaj hulał gdziesik, do domu przyszedł o świcie, pijany, w mieszkaniu był z dziesięć minut, chyba nie więcej, i znowu poszedł, a potem już go Mitrij nie widział i robotę sam wykańcza. A robotę mają na tych samych schodach, gdzie mieszkała nieboszczka, na pierwszym piętrze. Jakem się o tym dowiedział, nie wydałem się z tym nikomu – tak Duszkin mówi – a co do zabójstwa, to wywiedziałem się wszystkiego, co mogłem, i wróciłem do domu w takiej samej niepewności. A dzisiaj rankiem, o ósmej godzinie – to jest na trzeci dzień, rozumiesz? – widzę, wchodzi do mnie Mikołaj, urżnięty, ale nie żeby zupełnie pijany, bo rozumie, co się do niego mówi. Usiadł na ławce, milczy. A oprócz niego w interesie był tylko jeden obcy człowiek, no i drugi jeszcze spał na ławce, bo to po znajomości, i dwóch jeszcze moich chłopców do posługi. «Widziałeś, pytam go się, Mitrija?». «Już trzeci dzień, powiada, jak go nie ma». «A dzisiaj gdzie nocowałeś?». «Na Piaskach<sup>[54]</sup>, powiada,

u kołomieńskich krajanów». «A skąd, powiadam, wzięłeś wtedy te kolczyki?» «A na ulicy znalazłem, na trotuarze» – i mówi to tak jakoś, jakby się zaciął, i w oczy prosto nie patrzy. «A słyszałeś, powiadam, że tak i tak, w ten sam wieczór i o tej samej godzinie, na tamtych schodach, co się tam stało?». «Nie, powiada, nie słyszałem», a sam uważnie słucha, ślepią wybałuszył i naraz zbladł jak kreda. Ja mu o wszystkim opowiadam, patrzę, a on – czapkę w ręce i chodu. Chciałem go przyskrzynieć: «Poczekaj, Mikołaju, powiadam, napijesz się może?». Tymczasem mrugnąłem na chłopaka, żeby drzwi przytrzymał, i wychodzę z za lady. A on jak nie szurnie ode mnie na ulicę i co sił w zaułek – tyłem go widział. Wtedy pomyślałem, że to na pewno on, że to jego grzech, jakbym przy tym był...”.

– Rozumie się!... – zauważył Zosimow.

– Czekaj! Posłuchaj do końca! Oczywiście zaczęli gwałtownie szukać Mikołaja: Duszkina aresztowali i zrobili rewizję w jego mieszkaniu, Mitrija też; przetrzasnęli kolonię kołomieńską, dopiero na trzeci dzień sprowadzili Mikołaja: zatrzymali go w pobliżu ...skiej roгатki, w zajeździe. Przyszedł do tego zajazdu, zdjął z szyi srebrny krzyżyk i poprosił o szklanekę wódki za krzyżyk. Dostał. Po kilku minutach baba wchodzi do obory i widzi przez szparkę: obok w szopie przywiązał do belki pasek i zrobił pętlę; stanął na pieńku i chciał zarzucić pętlę na szyję; baba wrzasnęła wniebogłosy, zlecieli się ludzie: „A, toś ty taki!”. „Prowadźcie mnie, powiada, do takiego a takiego komisariatu, do wszystkiego się przyznam”. No więc zaprowadzili go z należnymi honorami do tego komisariatu, czyli do naszego. A tu jak zwykle, kto, co i jak, ile lat – „dwadzieścia dwa” – i tak dalej, i tak dalej. „Jak pracowaliście z Mitrijem, czy nie zauważyliście nikogo na schodach o takiej a takiej godzinie?”. Odpowiedź: „Wiadomo, może ta i jakie ludzie przechodzili, a mnie co?”. „A nie słyszeliście czasem czego, hałasu jakiego i tak dalej?”. „Nic nadzwyczajnego nie słyszałem”. „A czy wiesz, Mikołaju, że tego samego dnia taką a taką wdowę w dniu i o godzinie takiej a takiej wraz z jej siostrą zamordowano i ograbiono?”. „Nic nie wiem, pojęcia nie mam. Pierwszy raz dowiedziałem się od Afanasija Pawłyicza, na trzeci dzień w piwiarni». „A skąd miałeś kolczyki?”. „Na trotuarze znalazłem”. „Dlaczego nie przyszedłeś na drugi dzień do roboty?» „Bom się zapił”. „A gdzieżeś popijał?”. „A tam i tam”. „Dlaczegoś uciekł od Duszkina?”. „Bom się wtedy strasznie przelał”. „Czegoś się przelał?”. „A że mnie zasądzą”. „Jakżeś mógł bać się tego, jeżeli nie poczuwasz się do żadnej winy?...”. Jeżeli nie chcesz wierzyć, to nie wierz, ale pytania te były mu zadane dosłownie tak, jak ci to powtórzyłem, wiem o tym na pewno, bo mi zupełnie dokładnie opowiadali! Jak ci się to podoba? Co?

– Dobrze, ale poszlaki jednak są.

– Ja przecież mówię teraz nie o poszlakach, a o pytaniach, o tym, jak oni pojmują swoją rolę! Niech to diabli!... Słowem, przyparli go do muru, gnębili, gnębili, aż się do wszystkiego przyznał: „Nie na trotuarze, powiada, znalazłem, a w chałupie, w której malowaliśmy z Mitrijem”. „A to niby w jaki sposób?”. „A w taki sposób, że malowaliśmy z Mitrijem cały dzień, do ósmej godziny, już się zabierali do domu, Mitrij wziął pędzel, po mordzie mnie

trzebną i ucieka, a ja za nim. Pędzę tak za nim, wrzeszczę wniebogłosem, a na zakręcie ze schodów do bramy wpadłem z rozpędu na stróża i na panów, a ile panów z nim wtedy było, nie pamiętam, tylko że stróż mi za to nawymyślał, a drugi stróż też nawymyślał, stróżowa kobita też wyszła i też nam nawymyślała, i jeszcze jeden pan do bramy wchodził, z damą, i też nam nawymyślał, bośmy z Mit'ką w poprzek leżeli: to ja Mit'kę złapałem za kudły, przewróciłem i zacząłem go grzać, ale robiliśmy to nie ze złości, tylko tak, dla zabawy. Potem Mit'ka wyrwał mi się i zaczął wiać ulicą, to ja za nim, ale nie dopędziłem go i wróciłem do mieszkania sam, bo trzeba było uprzątnąć narzędzia. Zacząłem się zbierać i czekam na Mitrija, a nuż przyjdzie. No i przy drzwiach w sieni, pod ścianą, bliżej kąta, nastąpiłem właśnie na pudełko. Patrzę, leży zawinięte w papier. Papier rozwinąłem, patrzę, takie haczyki malusieńkie, haczyki te otworzyłem, a tu w pudełku kolczyki...".

– Za drzwiami? Za drzwiami leżało? – upewnił się naraz Raskolnikow, spoglądając mętnym, wystraszonego wzrokiem na Razumichina, i z wolna, opierając się ręką, uniósł się na kanapie.

– Tak... a co? Co się z tobą dzieje? Co ci jest? – Razumichin też wstał z krzesła.

– Nie, nic!... – ledwo dosłyszalnie odpowiedział Raskolnikow, opadając znowu na poduszkę i odwracając się do ściany. Wszyscy umilkli.

– Zdrzemnął się, to chyba przez sen – odezwał się wreszcie Razumichin, spoglądając pytająco na Zosimowa, który przecząco pokręcił głową.

– Mówże, co dalej – odezwał się Zosimow – no?

– Ach, co dalej? Jak tylko zobaczył kolczyki, oczywiście natychmiast zapomniał o mieszkaniu, o Mit'ce, złapał kapelusz i poleciał do Duszkina i jak już wiesz, dostał od niego rubla, a zełgał mu, że znalazł kolczyki na chodniku, i poszedł sobie popić. A o morderstwie mówi ciągle to samo: „Nic nie wiem, żadnego pojęcia nie mam, dopiero, na rany Boga, na trzeci dzień się dowiedziałem”. „A dlaczego zwałeś?”. „To ze strachu”. „A dlaczego chciałeś się powiesić?”. „To od własnych myśli”. „Od jakich tam znowu myśli?”. „A że mnie zasądzą”. Oto i cała historia. A teraz jak myślisz, co oni z tego wywnioskowali?

– Nad czym tu się zastanawiać, poszlaka jest, jaka by nie była, ale jest. Fakt. Nie mogli zwolnić tego twojego malarza!

– Ale bój się Boga, przecież mordercę z niego zrobili! Dla nich nie ulega to najmniejszej wątpliwości...

– Zagalopowałeś się, bracie, denerwujesz się... No dobrze, a kolczyki? Zrozumże, kolczyki z kufra starej znalazły się tego samego dnia, o tej samej godzinie u Mikołaja, zgodzisz się, że przecież musiały jakoś do niego trafić? To nie jest drobnostka w takiej sprawie.

– Jak to trafić? W jaki sposób trafiły? – podniósł głos Razumichin. – I ty, lekarz, człowiek, który przede wszystkim ma obowiązek badać naturę człowieka i ma ku temu okazję, jak rzadko kto ma, czyżbyś nie wiedział, mając te wszystkie dane, co to za typ ten Mikołaj? Czy naprawdę nie widzisz, już na pierwszy rzut oka, że wszystko, co zeznał na przesłuchaniu, jest najświętszą prawdą? Gotów jestem przysiąc, że było dokładnie tak, jak

mówi. Nastąpił na pudełko i podniósł je.

– Najświętsza prawda! A jednak sam się przyznał, że w pierwszej chwili zełgał...

– Posłuchaj tylko uważnie: stróż, Koch, Piestriakow, drugi stróż, żona pierwszego stróża, kupcowa, co wtedy była w stróżówce, i radca Kriukow, który właśnie wysiadł z dorożki i wchodził do bramy pod rękę z damulką, słowem, wszyscy, czyli ośmiu czy dziesięciu świadków stwierdza, że Mikołaj przewrócił Dymitra na ziemię, leżał na nim i grzmocił go, a ten mu się wczepił we włosy i też go grzmocił. Leżą więc w poprzek bramy i tarasują wejście; wymyślają im ze wszystkich stron, a oni „jako te małe dzieci” (dosłowne określenie świadków) leżą jeden na drugim, piszczą, biją się i ryczą ze śmiechu, jeden drugiego stara się przekrzywić i z rozbawionymi minami, goniąc się jak dzieci, wybiegają na ulicę. Rozumiesz? A teraz dobrze uważaj: tam, na górze, ciała są jeszcze ciepłe, rozumiesz, ciepłe, tak je właśnie zastano! Gdyby oni zamordowali albo powiedzmy, sam Mikołaj, i to w celu grabieży z włamaniem, albo gdyby choć w jakiegokolwiek mierze brali udział w ograbieniu kuferka, to pozwól, że zadam ci jedno pytanie: czy zgadza się podobny nastrój, podobny stan ducha, a mianowicie piski, rechot, dziecinna bójka w bramie, z siekierami, z krwią, z łotrowską przebiegłością, przezornością, grabieżą? Dopiero co zamordowali, jakieś pięć albo dziesięć minut temu – tak wypada, bo zwłoki jeszcze ciepłe – i ni w pięć, ni w dziewięć zostawili te ciała, otwarte mieszkanie i dobrze wiedząc, że przed chwilą ktoś tędy przeszedł, rzucają zdobycz i jak mali chłopcy tarzają się po ziemi, ryczą ze śmiechu, zwracają na siebie ogólną uwagę... i to zgodnie stwierdza dziesięciu świadków!

– Rozumiem, dziwne to, oczywiście!... Może to i niemożliwe, jednakże...

– Nie, bracie, żadne *jednakże*, bo jeżeli kolczyki, które znalazły się tegoż samego dnia, o tej samej godzinie w rękach Mikołaja, istotnie stanowią ważną poszlakę przeciwko niemu, to po jego wyjaśnieniach stają się sporną poszlaką, bo mimo wszystko musimy wziąć pod rozwagę oczywiste fakty świadczące na jego korzyść, zwłaszcza że są to fakty *niezbite*. A jak sądzisz, czy na podstawie naszej jurysdykcji przyjmą, a raczej czy są w stanie przyjąć fakt oparty jedynie na niemożliwości psychologicznej, stanie wewnętrznym podejrzanego za fakt niezbity i usuwający wszelkie obciążające poszlaki rzeczowe? Nie, nie przyjmą, w żadnym razie nie przyjmą, bo pudełko niby znaleźli i człowiek chciał się powiesić, „co nie mogłoby mieć miejsca, gdyby nie czuł się winny!”. Oto kardynalne zagadnienie, które mnie właśnie tak denerwuje! Musisz mnie zrozumieć!

– Widzę, że się denerwujesz. Poczekaj, zapomniałem zapytać: skąd wiadomo, że pudełko z kolczykami rzeczywiście pochodzi z kufru starej?

– To zostało ustalone – odpowiedział z niezadowolaniem i jakby niechętnie Razumichin. – Koch rozpoznał przedmiot i wskazał nawet tego, który go zastawił, a ten niezbitcie dowiódł, że przedmiot istotnie należy do niego.

– To złe. Teraz dalej: czy nikt nie widział Mikołaja w chwili, gdy Koch i Piestriakow wchodzili na górę, i czy nie można tego w jakikolwiek sposób dowieść?

– O to właśnie chodzi, że nikt nie widział – odpowiedział Razumichin z ubolewaniem – i to jest właśnie najgorsze; nawet Koch i Piestriakow nie zauważyli, wchodząc na górę, choć z drugiej strony ich świadectwo miałoby obecnie niewielkie znaczenie. „Widzieliśmy, powiadają, że mieszkanie jest otwarte, pewnie pracowali tam, ale przechodząc, nie zwróciliśmy uwagi i nie pamiętamy dobrze, czy byli tam wtedy robotnicy, czy nie”.

– Hm, a więc jedyną usprawiedliwiającą go okolicznością jest to, że jeden grzmocił drugiego i śmiali się. Dajmy na to, że jest to poważny dowód, ale... Pozwól: jak ty sam tłumaczysz cały ten fakt? Jak wytłumaczysz znalezienie kolczyków, jeżeli on je naprawdę znalazł, tak jak zeznaje?

– Jak wytłumaczę? Nie ma co tu tłumaczyć: sprawa jest jasna! Jasna jest droga, na którą należy sprawę skierować, jasna i dowiedziona, i właśnie pudełko wskazało ten kierunek. Prawdziwy morderca zgubił te kolczyki. Morderca był na górze, gdy Koch i Piestriakow dobijali się, i był zamknięty od wewnątrz. Koch palnął głupstwo, że zszedł na dół; w tym właśnie momencie morderca wyskoczył i też zbiegł na dół, bo nie miał innego wyjścia. Na schodach schował się przed Kochem, Piestriakowem i stróżem do pustego mieszkania w chwili, kiedy Dymitr i Mikołaj wylecieli stamtąd, przeczekał, aż ucichną ich kroki, i najspokojniej zszedł na dół właśnie w chwili, kiedy Dymitr i Mikołaj pognali na ulicę, a wszyscy inni również się rozeszli i nikogo nie było przed bramą. Może go widzieli, ale po prostu nie zauważyli: czy to mało ludzi przechodzi? A pudełko wypadło mu z kieszeni, gdy stał za drzwiami, i nie zauważył, że mu wypadło, bo nie miał wtedy do tego głowy. Pudełko natomiast z całą oczywistością dowodzi, że on tam właśnie stał. Oto cała historia!

– Sprytnie! Bardzo to, bracie, sprytnie. Paradne!

– Ale dlaczego, dlaczego?

– A dlatego, że wszystko to jakoś za bardzo się zgadza... i układa się... niczym w teatrze.

– No wiesz! – zaproponował Razumichin, ale w tej chwili otworzyły się drzwi i weszła nowa, nikomu z obecnych nieznana osoba.

Był to niemłody już pan, dobrze się trzymający, postawny, o wyniosłym wyrazie obrzękłej nieco twarzy, który zaczął od tego, że stanął na progu i oglądając się dokoła ze źle ukrywanym, nieomalże obraźliwym zdziwieniem, jak gdyby zadawał spojrzeniem pytanie: „Gdzie też ja właściwie trafiłem?”. Nieufnie, a nawet rozmyślnie podkreślając pewien przestrach czy nawet coś w rodzaju odrazy, oglądał ciasną i niską „kajutę” Raskolnikowa. Z tym samym zdziwieniem przeniósł spojrzenie na samego Raskolnikowa, rozebranego, rozczochranego, nieumytego, leżącego na swojej nędznej, brudnej kanapie, i równie nieruchomo go oglądającego. Następnie równie powolnie zaczął oglądać niechlujną, nieogoloną i nieuczesaną postać Razumichina, który ze swej strony bezczelnie i pytająco patrzył mu prosto w oczy, nie ruszając się z miejsca. Przykre milczenie trwało z minutę, po czym, jak należało się spodziewać, nastąpiła maleńka zmiana dekoracji. Zorientowawszy się widocznie na podstawie pewnych, niedwuznacznych zresztą danych, że przesadnie napuszoną postawą tutaj, w tej „kajucie”, nic a nic nie wskóra, przybysz nieco zmięknął i uprzejmie już, acz nie bez przygany w głosie, zwrócił się do Zosimowa, cedząc każdą sylabę swego pytania:

– Czy mam przyjemność z Rodionem Romanyszem Raskolnikowem, studentem albo byłym studentem?

Zosimow poruszył się leniwie i może by mu nawet odpowiedział, gdyby nie uprzedził go Razumichin, do którego wcale się nie zwracano:

– Właśnie leży na kanapie! Czego sobie pan życzy?

To poufałe: „czego sobie pan życzy” jak gdyby z miejsca podcięło pretensjonalnego pana; o mało co nie odwrócił się do Razumichina, zdążył się jednak pohamować i natychmiast zwrócił się twarzą znowu do Zosimowa.

– Oto Raskolnikow! – wyseplenił Zosimow, kiwnąwszy głową w stronę chorego, po czym ziewnął, rozwierając usta nieprawdopodobnie szeroko i trzymając je niezwykle długo w tej pozycji. Potem powoli sięgnął ręką do kieszonki kamizelki, wyjął ogromny, wypukły, kryty złoty zegarek, otworzył go, spojrzął i równie powolnym i leniwym ruchem włożył go z powrotem.

Raskolnikow leżał przez cały czas bez słowa, na wznak, i uporczywie, acz bezmyślnie wpatrywał się w przybysza. Odwróconą już od owego kwiatka na tapecie twarz miał niesłychanie bladą i nad wyraz cierpiącą, jakby przed chwilą przeżył ciężką operację albo jakieś tortury. Lecz przybysz stopniowo zaczął wzbudzać w nim coraz to większe zainteresowanie, potem zdumienie, wreszcie nieufność i nawet jakby lęk. Gdy zaś Zosimow, wskazując na niego, wyrzekł: „Oto Raskolnikow”, nagle szybko wstał, jakby się zerwał z miejsca, usiadł na swoim legowisku iomalże wyzywającym, chociaż urywanym i słabym głosem oświadczył:

– Tak! Jestem Raskolnikow! Czego pan sobie życzy?

Gość uważnie popatrzył na niego i bardzo dobitnie odpowiedział:

– Piotr Pietrowicz Łużyn. Mam niepłonną nadzieję, że nazwisko moje nie jest panu całkiem obce.



Lecz Raskolnikow, który spodziewał się czegoś zupełnie innego, spojrzawszy na niego bezmyślnie i nic nie odpowiedział, jakby nazwisko Piotra Pietrowicza rzeczywiście słyszał po raz pierwszy.

– Jak to? Czyżby pan dotychczas nie otrzymał żadnych wiadomości? – zapytał Piotr Pietrowicz, krzywiąc się nieznacznie.

W odpowiedzi Raskolnikow opadł z powrotem na poduszkę, położył ręce pod głowę i zaczął patrzeć w sufit. Łużynowi aż się przykro zrobiło. Zosimow i Razumichin zaczęli go oglądać z jeszcze większym zaciekawieniem, wskutek czego Łużyn w końcu nawet się zmieszał.

– Przepraszam, sądziłem – wybełkotał – że list wysłany już z górą dziesięć dni albo i dwa tygodnie temu...

– Proszę pana, czemu stoi pan cały czas przy drzwiach? – przerwał mu Razumichin. – Jeśli ma pan coś do powiedzenia, to proszę siadać, bo razem z Nastazją będzie wam tam za ciasno. Nasteczko, odsuń się trochę, daj panu przejść! Proszę tutaj, oto krzesło! No, włąź pan!

Razumichin odsunął swoje krzesło od stołu, zrobił małe przejście między stołem a swoimi kolanami i czekał w tej pozycji, by gość „przelazł” przez tę szparę. Wybrał taką chwilę, że jakoś nie można było nie wykonać tego, toteż gość przedostał się przez tę wąziutką przestrzeń, potykając się z pośpiechu. Doszedł do krzesła, usiadł i spojrzawszy podejrzliwie na Razumichina.

– Proszę, niech się pan nie krępuje – rzucił Razumichin. – Rodia jest już piąty dzień chory, trzy dni był w malignie, a teraz ocknął się i nawet jadł z apetytem. Tam siedzi jego lekarz, dopiero co go badał, a ja jestem kolegą Rodi, też byłem studentem i właśnie teraz go pielęgnuję: więc proszę nie zwracać na nas uwagi i nie krępować się, niech pan wali wprost, o co chodzi.

– Dziękuję panu. Czy jednak nie zmęczę chorego swoją obecnością i rozmową? – zwrócił się Piotr Pietrowicz do Zosimowa.

– Nie – burknął Zosimow – może go to nawet trochę rozerwie. – I znowu ziewnął.

– O, on już dawno odzyskał przytomność, od samego rana! – mówił dalej Razumichin, którego poufałość miała charakter takiej naturalnej prostoty, że Piotr Pietrowicz po namyśle nabrał kontenansu, po części może i dlatego, że ten obdartus znalazł przecie okazję, żeby się przedstawić jako student.

– Matka pańska... – zaczął Łużyn.

– Hm! – głośno chrząknął Razumichin. Łużyn spojrzawszy na niego pytająco.

– To nic, ja tak sobie, wal pan dalej...

Łużyn wzruszył ramionami.

– ...Matka pańska jeszcze w czasie mojej tam bytności zaczęła pisać do pana list. Po przyjeździe tutaj umyślnie czekałem kilka dni i nie przychodziłem do pana, żeby być zupełnie pewnym, że jest pan o wszystkim powiadomiony, ale teraz, ku zdziwieniu...

– Wiem, wiem! – przerwał mu naraz Raskolnikow, niecierpliwie i ze złością.

– To pan? Narzeczony? Wiem, wiem!... i basta!...

Piotr Pietrowicz poczuł się naprawdę obrażony, ale zmilczał. Usilnie starał się zrozumieć, co to wszystko ma znaczyć. Milczenie trwało dobrą chwilę.

Tymczasem Raskolnikow, który odpowiadając mu, zwrócił się do niego

twarzą, zaczął go uważnie oglądać z jakimś szczególnym zainteresowaniem, jak gdyby przed chwilą nie zdołał obejrzeć go całego albo też uderzyło go w nim coś nowego, nawet uniósł się nieco na posłaniu. Istotnie, w wyglądzie zewnętrznym Piotra Pietrowicza uderzyło go coś osobliwego, a mianowicie coś jak gdyby uzasadniającego nazwę „narzeczonego”, którą mu przed chwilą tak bezceremonialnie nadano. Po pierwsze, widać było, a nawet rzucało się to w oczy, że Piotr Pietrowicz skorzystał z kilkudniowego pobytu w stolicy, żeby się ogarnąć i wyelegantować na przyjazd narzeczonej, co zresztą było rzeczą zupełnie niewinną i zrozumiałą. Nawet ta świadomość zmiany na lepsze i zadowolenie z własnego wyglądu, choć nieco przesadne, były w tym wypadku również zrozumiałe, bo Piotr Pietrowicz istotnie był na stopie narzeczonego. Całe jego ubranie było prosto z igły i wcale ładne, może tylko zbyt nowe i zbyt wyraźnie zdradzało określony cel. Świadczył o tym nawet nowiuteńki, elegancki okrągły kapelusz: Piotr Pietrowicz obchodził się z nim z jakimś szczególnym poszanowaniem i zbyt ostrożnie trzymał go w ręku. Nawet śliczne rękawiczki lila, oryginalne, od Jouvina<sup>[55]</sup>, świadczyły o tym samym choćby przez to, że nie wkładał ich, ale trzymał w ręku od parady. W ubiorze Piotra Pietrowicza dominowały kolory jasne i młodzieńcze. Miał na sobie ładną, letnią marynarkę koloru jasnobrązowego, jasne, letnie spodnie, taką samą kamizelkę, dopiero co kupioną, cieniutką koszulę, leciutką batystową krawatę w różowe paseczki i co najciekawsze: we wszystkim tym było mu nawet do twarzy. Twarz jego, bardzo świeża i nawet ładna, nie zdradzała czterdziestu pięciu lat. Ciemne baczki, dość miłe dla oka, zwisały z obydwu stron twarzy, pęczniejąc niby dwa kotleciki ku dołowi, i uwydatniały się bardzo ładnie na tle dobrze wygolonego, błyszczącego podbródka. Nawet włosy, z lekka tylko przyprószone siwizną, ładnie uczesane i ukarbowane przez fryzjera, nie wyglądały śmiesznie ani głupio, co zawsze bywa, gdy karbuje się włosy, bo nieuchronnie upodabnia to człowieka do Niemca na ślubnym kobiercu. Jeżeli ta stosunkowo ładna twarz miała w sobie coś niemiłego i odpychającego, to składały się na to zgoła inne przyczyny. Obejrzawszy od stóp do głów pana Łużyna, Raskolnikow uśmiechnął się złośliwie, znowu opadł na poduszkę i wlepił wzrok w sufit.

Ale pan Łużyn zebrał się w sobie i zdaje się, postanowił nie widzieć do czasu tych dziwactw.

– Przykro mi, niewymownie mi przykro, że zastaję pana w takim stanie – zaczął znowu, przerywając z dużym wysiłkiem milczenie. – Gdybym wiedział o pańskiej niedyspozycji, zaszedłbym wcześniej. Ale, wie pan, interesy!... Na domiar złego mam bardzo ważną rozprawę w senacie. Nie mówię już o sprawach, których i pan się chyba domyśla... Pańskich krewnych, to znaczy mamusi i siostrzyczki, oczekuję z godziny na godzinę...

Raskolnikow poruszył się i chciał coś powiedzieć, twarz jego zdradzała niejaki zdenerwowanie. Piotr Pietrowicz odczekał chwilę, ale wobec tego, że Raskolnikow nic nie powiedział, ciągnął dalej:

- ...Z godziny na godzinę. Przygotowałem im na razie mieszkanie...
- Gdzie? – zapytał słabym głosem Raskolnikow.
- Bardzo blisko stąd, dom Bakalejewa...

– To na prospekcie Wozniesińskim – wtrącił Razumichin – tam dwa piętra oddane są na pokoje umeblowane, kupiec Juszyn je dzierżawi; byłem tam.

– Tak, umeblowane pokoje...

– Okropne paskudztwo: brud, smród, poza tym podejrzane miejsce; zdarzały się tam nie lada historie; diabli wiedzą, kto tam mieszka!... Sam nawet tam byłem raz z powodu pewnej awantury. Za to jest tam bardzo tanio.

– Oczywiście, ja takich ścisłych informacji mieć nie mogłem, bo jestem tu człowiekiem nowym – odpowiedział niemile dotknięty Piotr Pietrowicz – choć muszę zaznaczyć, że wziąłem dwa zupełnie czystutkie pokoiki, poza tym to na bardzo krótki czas... Znalazłem już właściwe, to znaczy nasze przyszłe mieszkanie – zwrócił się do Raskolnikowa – i teraz je właśnie odnawiają, a tymczasem sam się gnieźdźę w pokoju umeblowanym, o dwa kroki stąd, u pani Lippewechsel, w mieszkaniu pewnego mojego młodego przyjaciela, Andrzeja Siemionycza Lebieziatnikowa; on to właśnie wskazał mi dom Bakalejewa.

– Lebieziatnikow? – wycedził Raskolnikow, coś sobie jakby przypominając.

– Tak, Andrzej Siemionycz Lebieziatnikow, urzędnik ministerialny. Czy pan go zna?

– Tak... nie... – odpowiedział Raskolnikow.

– Przepraszam, wnioskowałem tak z pańskiego pytania. Byłem w swoim czasie jego opiekunem... bardzo miły młodzieniec i... postępowy... A ja bardzo cenię młodzież: to jedyny rzecznik nowych prądów. – Piotr Pietrowicz z pewną nadzieją spojrział na wszystkich obecnych.

– Niby w jakim sensie? – zapytał Razumichin.

– W najpoważniejszym, w najgłębszej, że tak powiem, ich istocie – podchwycił Piotr Pietrowicz, jakby się ucieszył, że udało mu się nawiązać rozmowę. – Otóż już dziesięć lat nie byłem w Petersburgu. Wszystkie te nasze innowacje, reformy, idee – wszystko to dochodziło do nas na prowincję, ale żeby widzieć wszystko i widzieć dokładniej, trzeba być w Petersburgu. Ja zaś jestem przekonany, że najwięcej można się dowiedzieć i zauważyć, obserwując nasze młode pokolenie. I muszę przyznać: mam satysfakcję...

– Właściwie z jakiego powodu?

– To jest rozległa kwestia. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że tu znajduję bardziej konkretny pogląd na rzeczy, głębszy, że tak powiem, krytycyzm, więcej rzeczowości...

– To prawda – bąknął Zosimow.

– Bzdury pleciesz, właśnie rzeczowości brak – zaproponował gorąco Razumichin. – Rzeczowość to cecha, którą niesłychanie trudno nabyć, z nieba ci nie spadnie. A jeżeli o nas chodzi, to już od dwustu lat<sup>[56]</sup> nic dorzecznego nie robimy... Różne idee może i kiełkują – zwrócił się do Piotra Pietrowicza – może nawet jest dążenie do dobra, choć dziecinne, bodaj i uczciwość się znajdzie, choć coraz więcej jest złodziei, ale rzeczowości właśnie brak! Rzeczowość chodzi po ziemi!

– Nie mogę się z panem zgodzić – z nieukrywaną przyjemnością

zaoponował Piotr Pietrowicz – zdarza się marzycielstwo, błędy, ale trzeba umieć być pobłażliwym; marzycielstwo świadczy o oddaniu sprawie i o nienormalności warunków zewnętrznych, w jakich sprawa się rozgrywa. Jeżeli zaś dotąd mało zrobiono, to i czasu było niewiele. Nie mówię już o środkach. Osobiście uważam, że jednak coś niecoś zrobiono: rozpowszechnione zostały nowe, pożyteczne myśli, niektóre nowe, pożyteczne utwory zamiast dawnych marzycielskich i romantycznych; literatura nabiera cech dojrzałości; wypleniono i wyśmiano masę szkodliwych przesądów... Słowem, zerwaliśmy bezpowrotnie z przeszłością, a to już jest, moim zdaniem, krok pozytywny.

– Wykuł na pamięć! Popisuje się! – rzucił nagle Raskolnikow.

– Proszę? – zapytał Piotr Pietrowicz, nie dosłyszawszy, ale nie otrzymał odpowiedzi.

– To wszystko słuszne – pośpiesznie wtrącił Zosimow.

– Prawda? – ciągnął dalej Piotr Pietrowicz, spojrzawszy z wdzięcznością na Zosimowa. – Zgodzi się pan – mówił dalej, zwracając się do Razumichina, ale już z odcieniem pewnego triumfu i wyższości i o mały włos nie dodał: „młodzieńcze” – że są osiągnięcia, czyli jak to powiadają, postęp, choćby w zakresie nauki i spraw ekonomicznych...

– Ogólniki!

– Nie, to nie są ogólniki, szanowny panie! Jeśli mi, na przykład, dotychczas mówiono: „Kochaj bliźniego”, a ja się do tego stosowałem, to co z tego wynikało? – ciągnął dalej Piotr Pietrowicz może ze zbytnim nieco pośpiechem. – A to, że rozrywałem koszulę na dwie części, dzieliłem się nią z bliźnim i obydwaj zostawaliśmy na pół nadzy, wedle przysłowia: „Kto dwie sroki za ogon łapie...”. Nauka zaś mówi: umiłoś przede wszystkim siebie samego, albowiem wszystko na świecie oparte jest na interesie osobistym. Oprzesz się na miłości samego siebie, to i interesy swoje obrobisz, jak należy, i koszula zostanie ci cała. Wiedza ekonomiczna dodaje jeszcze, że im więcej jest w społeczeństwie uporządkowanych spraw osobistych, prywatnych i że tak powiem, całych koszul, tym mocniejszą ma ono podstawę istnienia i tym lepiej postawiona zostaje sprawa ogólna. Z tego wynika, że zdobywając wszystko jedynie i wyłącznie dla siebie, tym samym niejako przysparzam dobra ogółowi i prowadzę do tego, żeby bliźni mógł otrzymać coś więcej ponad podartą koszulę, i to już nie dzięki hojności poszczególnych jednostek, a dzięki dobrobytowi ogółu. Myśl niby prosta, niestety jednak zbyt długo wstydliwie ukrywana, przesłonięta marzycielstwem, choć zdawałoby się, że niewiele trzeba dowcipu, żeby się domyślić...

– Pan wybaczy, ja też jestem niedowcipny – brutalnie przerwał Razumichin – i dlatego skończmy tę rozmowę. Przecież zupełnie celowo ją wszcząłem, bo to całe gadulstwo ku pokrzepieniu samego siebie, wszystkie te krzykliwe frazesy i ciągle w kółko to samo do tego stopnia już mi zbrzydły w ciągu trzech lat, że jak Boga kocham, rumienię się, gdy nawet inni – cóż dopiero ja sam – przy mnie o tym zaczynają rozprawiać. Pan, oczywiście, chciał zaprezentować swoją wiedzę, co jest do wybaczenia, i o to nie mam do pana

pretensji. Chciałem się tylko dowiedzieć, kim pan jest, bo, widzi pan, do spraw społecznych przyczepiło się ostatnio tylu różnych aferzystów i do tego stopnia spaczyli sens wszystkiego, czego się tknęli, dla własnego interesu, że absolutnie wszystko spaskudzili. I to wszystko!

– Szanowny panie – zaczął Łużyn, prężąc się z nadzwyczajną godnością – czy nie chciał pan przez to w tak bezceremonialny sposób powiedzieć, że i ja...

– Ależ skądże, skądże... Jakbym śmiał!... Ale dosyć tego – przerwał mu Razumichin i zwrócił się do Zosimowa, aby kontynuować rozpoczętą poprzednio rozmowę.

Piotr Pietrowicz okazał się na tyle roztropny, że w zupełności zadowolił się tym objaśnieniem. Postanowił zresztą odejść po paru minutach.

– Mam nadzieję, że znajomość nasza – zwrócił się do Raskolnikowa – po pańskim wyzdrowieniu, ze względu na znane panu okoliczności, okaże się trwała... Przede wszystkim życzę panu powrotu do zdrowia...

Raskolnikow nawet nie odwrócił głowy. Piotr Pietrowicz wstał, zbierając się do wyjścia.

– Bez wątpienia zabił ją jeden z klientów! – stwierdził Zosimow.

– To nie ulega żadnej wątpliwości! – podchwycił Razumichin. – Porfiry jak dotąd nie zdradza swych podejrzeń, jednakże przesłuchuje wszystkich klientów.

– Przesłuchuje klientów? – głośno zapytał Raskolnikow.

– Tak, a bo co?

– Nic.

– A jak on może ich znaleźć? – pytał Zosimow.

– Niektórych wskazał Koch, nazwiska innych zanotowane były na opakowaniu zastawów, no, a kilku po prostu się zgłosiło, jak się dowiedzieli...

– Ale musiała to być chytra i doświadczona bestia! Co za odwaga! Co za determinacja!

– A właśnie, że nie! – przerwał mu Razumichin. – To właśnie zbija wszystkich z tropu. A ja wam mówię, że był to ktoś niedoświadczony i niezręczny i pewien jestem, że był to jego pierwszy występ! Przypuśćmy, że była to, jak mówisz, chytra bestia, ale wtedy wszystko okaże się nieprawdopodobne. A gdy wyjdziemy z założenia, że był to nowicjusz, to się okaże, że uszedł cało jedynie dzięki przypadkowi, a czegoż nie może zrządzić przypadek? On chyba nie przewidywał nawet wszystkich przeszkód. A w jaki sposób działa? Bierze rzeczy warte dziesięć, dwadzieścia rubli, napycha kieszenie, grzebie w kuferku w rozmaitych szmatach, a w górnej szufladzie komody znajdują potem szkatułkę z półtora tysiącem rubli gotówką, nie licząc papierów wartościowych. Nawet obrabować nie potrafił, umiał jedynie zabić! To był pierwszy krok, mówię ci, pierwszy krok; stracił głowę. Nie zmyślny plan, lecz przypadek go wyratował.

– Mówi pan, zdaje mi się, o niedawnym zabójstwie tej starej lichwiarki – wmieszał się, zwracając się do Zosimowa, Piotr Pietrowicz, który stał, trzymając w ręku kapelusz i rękawiczki. Zabierał się już do odejścia, ale miał ochotę powiedzieć na pożegnanie jeszcze parę mądrych słów. Chciał

widocznie wyrzucić dobre wrażenie na nowych znajomych i chęć popisania się okazała się silniejsza od głosu zdrowego rozsądku.

– Tak. A pan też o tym słyszał?

– A jakże, przecież to po sąsiedzku.

– Czy zna pan może szczegóły?

– Tego nie twierdzą, ale interesuje mnie inny aspekt, że tak powiem, całość zagadnienia. Nie mówię już o tym, że w ostatnich pięciu latach liczba przestępstw w niższych warstwach ogromnie wzrosła; nie mówię już o ciągłych rabunkach i podpaleniach; dziwi mnie natomiast fakt, że rośnie liczba przestępstw popełnianych przez ludzi należących do klas wyższych, że tak powiem, w stosunku proporcjonalnym. Niedawno, na przykład, pewien były student obrabował pocztę na ludnym trakcie; gdzie indziej ludzie należący do klas przodujących ze względu na swą pozycję w społeczeństwie – zajmują się fałszowaniem banknotów; w Moskwie przyłapano całą bandę fałszerzy obligacji ostatniej pożyczki premiowej, a jednym z hersztów tej bandy był profesor historii; to znowu zamordowano sekretarza naszego poselstwa za granicą z jakichś tam niewiadomych i zagadkowych powodów... A teraz oto ktoś należący do klas wyższych (bo plebs nie zastawia złotych przedmiotów) zamordował starą lichwiarkę. Czymże można wytłumaczyć taki upadek obyczajów wykształconej części naszego społeczeństwa?

– Zaszło dużo zmian ekonomicznych... – odezwał się Zosimow.

– Czym można wytłumaczyć? – wtrącił się Razumichin. – A właśnie zakorzenionym wśród nas lenistwem, zupełnym zanikiem pracowitości.

– Co pan przez to rozumie?

– A co odpowiedział w Moskwie ten pański profesor na pytanie, dlaczego podrabiał obligacje? „Wszyscy się bogacą rozmaitymi sposobami, a więc i ja chciałem się wzbogacić jak najprędzej”. Słów dokładnie sobie nie przypominam, ale sens był ten, że chciało mu się wypłynąć tanim kosztem, byle prędzej, bez własnej pracy!... Przyzwyczajiliśmy się mieć wszystko gotowe i podane na stół, żyć cudzym kosztem. No, a gdy wybija odpowiednia godzina, ujawnia się, jakie kto ma zamiary...

– A moralność? I że tak powiem, zasady....

– Ale o co panu chodzi? – nagle wtrącił się Raskolnikow.

– Przecież wszystko się odbywa zgodnie z pana własną teorią!

– Jak to zgodnie z moją teorią?

– Niech pan wyciągnie wnioski z tych poglądów, które pan przed chwilą wyłożył, a wtedy okaże się, że właśnie można zabijać ludzi...

– Ależ skąd!... – zawołał Łużyn.

– Nie, tak nie jest – odezwał się Zosimow. Raskolnikow leżał blady, ciężko dysząc. Drgała mu górna warga.

– Wszystko ma swoje granice – wyniośle ciągnął Łużyn – idea ekonomiczna nie jest jeszcze podjudzaniem do mordowania i skoro tylko przypuścimy...

– A czy to prawda – nagle znowu przerwał mu Raskolnikow załamującym się z wściekłości głosem i z nietajonym zamiarem obrażenia gościa – czy to prawda, że powiedział pan swej narzeczonej... w tej samej chwili, kiedy przyjęła ona pańskie oświadczenia... że najwięcej cieszy pana to, że... jest ona



żebraczką... bo pańskim zdaniem najlepiej brać żonę zupełnie biedną... aby ją potem z tym większą łatwością ujarzmić... i wytykać jej, że wyświadczył jej pan wielkie dobrodziejstwo?

– Mój panie! – odparł Łużyn gniewnie, wyraźnie mocno podrażniony. Policzki mu płonęły i zmieszał się ogromnie. – Mój panie!... takie przekręcanie moich słów! Pan wybaczy, ale muszę zaznaczyć, iż plotki, które do pana doszły, a raczej zostały panu doniesione, nie mają żadnej podstawy i ja... podejrzewam, że... jednym słowem... ten cios... jednym słowem, pańska matka... Zawsze mimo wszystkich swych wyjątkowych zalet wydawała mi się osobą nieco egzaltowaną i zbyt romantycznie nastrojoną... Ale mimo wszystko daleki byłem od przypuszczenia, żeby mogła zrozumieć i przedstawić sprawę w takiej wypaczonej przez własną fantazję formie... A wreszcie... wreszcie...

– Wie pan co? – przerwał mu podniesionym głosem Raskolnikow, unosząc się na poduszce i wpatrując się w niego uparcie przeszywającym spojrzeniem błyszczących oczu.

– Wie pan co?

– No, co? – Łużyn czekał z obrażoną i wyzywającą miną. Milczenie trwało kilka sekund.

– To, że jeśli pan raz jeszcze... ośmieli się powiedzieć choć jedno słówko... o mojej matce... zrzucę pana na łeb ze schodów!

– Co ci jest? – krzyknął Razumichin.

– A, to tak się sprawa przedstawia! – Łużyn zbladł i zagryzł wargę. – Niech szanowny pan mnie wysłucha – zaczął urywanym i zdyszczanym głosem, opanowując się z wysiłkiem. – Ja od razu, od pierwszej chwili wyczułem pańską niechęć do mnie, lecz pozostałem tu specjalnie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Wiele mógłbym wybaczyć choremu i powinowatemu, ale teraz... panu... nigdy...

– Nie jestem chory! – wrzasnął Raskolnikow.

– Tym bardziej...

– Wynoś się pan do diabła!

Ale Łużyn i tak już wychodził, nie dokończywszy rozpoczętego zdania. Musiał się znów precyzyjnie między stołem a krzesłem. Razumichin i tym razem wstał, żeby go przepuścić. Nie patrząc na niego, nie skinąwszy nawet głową w stronę Zosimowa, który już od dawna dawał mu znaki, żeby dał choremu spokój, Łużyn wyszedł, trzymając dla ostrożności kapelusz na wysokości ramienia i schyliwszy się nieco, gdy przechodził przez niziutkie drzwi. Nawet jego zgarbione plecy zdawały się wskazywać wymownie, do jakiego stopnia został obrażony.

– Jak tak można, cóż to jest? – mówił stropiony Razumichin, potrząsając głową.

– Dajcie mi spokój i odczepcie się wszyscy ode mnie! – wrzasnął Raskolnikow, dygocąc z wściekłości. – Czy zostawicie mnie nareszcie w spokoju? Ja się was nie boję! Nikogo, nikogo się teraz nie boję! Precz stąd! Chcę pozostać sam, sam, sam!

– Chodźmy – powiedział Zosimow, skinąwszy na Razumichina.

– Co ty mówisz? Jak można zostawić go w takim stanie?

– Chodźmy! – powtórzył z naciskiem Zosimow i wyszedł. Razumichin chwilę pomyślał i popędził za nim.

– Gorzej by było, gdybyśmy go nie usłuchali – powiedział Zosimow na schodach. – Nie można go drażnić...

– Co mu się stało?

– Trzeba by jakiejś silnej pozytywnej podniety, żeby go wyrwać z tego stanu. Przecież czuł się już dobrze... Wiesz, on ma coś na sumieniu, coś strasznego, co go gnębi... Bardzo się tego boję, a jest to pewne.

– A może to właśnie ten jegomość, Piotr Pietrowicz, tak na niego podziałał? Sądząc z treści rozmowy, żeni się z jego siostrą, a Rodia otrzymał o tym wiadomość właśnie przed chorobą...

– Tak... diabli go tu teraz przynieśli; możliwe, że popsuł całą sprawę. A czy zauważyłeś, że on na wszystko jest obojętny, wszystko zbywa milczeniem, prócz jednej kwestii, która go wyprowadza z równowagi: morderstwa...

– Właśnie, właśnie – podchwycił Razumichin – też to zauważyłem! Interesuje się tym morderstwem, lęka się czegoś. W pierwszym dniu choroby nastraszone go widocznie w cyrkule, nawet zemdłał.

– Opowiesz mi o tym szczegółowo dziś wieczorem, a ja też coś ci powiem. On mnie interesuje, i to bardzo! Za pół godziny wpadnę do niego... Zapalenia na pewno nie będzie...

– Dzięki ci! A ja tymczasem zaczekam u Paszeńki i będę go doglądać przez Nastazję.

Gdy wyszli, Raskolnikow z wyraźnym zniecierpliwieniem spojrział na Nastazję; ta jednak wcale nie zabierała się do odejścia.

– Napijesz się teraz herbaty? – spytała.

– Potem! Chcę spać! Zostaw mnie...

Gwałtownie odwrócił się do ściany. Nastazja wyszła.

Ale za ledwie wyszła, Raskolnikow wstał, zamknął drzwi na haczyk, rozwiązał tobolek przyniesiony przez Razumichina i przez niego również zawiązany z powrotem i zaczął spieszenie się ubierać. Dziwna rzecz: wydawało mu się, że zupełnie się uspokoił. Na wpeł obłąkańcze majaki i paniczny strach, który niedawno odczuwał, znikły zupełnie. Była to pierwsza chwila jakiegoś dziwnego, niespodzianego spokoju. Jego ruchy, spokojne i pewne, wskazywały na jakieś niezłomne postanowienie. „Jeszcze dziś, jeszcze dziś...” – mamrotał. Rozumiał dobrze, że jest jeszcze bardzo osłabiony, lecz ogromny wysiłek, który mu przywrócił spokój, i chorobliwe postanowienie, które nim owaładnęło, dodawały mu siły i pewności siebie. Miał nadzieję, że nie upadnie na ulicy. Włożył nowe ubranie, spojrzął na pieniądze leżące na stole, zastanowił się i wsunął je do kieszeni. Było tego dwadzieścia pięć rubli. Zabrał również wszystkie pięciokopiejki – resztę z dziesięciu rubli wydanych na ubranie przez Razumichina. Po cichutku podniósł haczyk, wyszedł z pokoju, zszedł po schodach i zajrzał przez otwarte drzwi do kuchni. Nastazja stała odwrócona do niego tyłem i schylona rozdmuchiwała samowar gospodyni. Nie słyszała nic. Ale komu w ogóle przyszłoby do głowy, że on może opuścić mieszkanie? Za chwilę był na ulicy.

Dochodziła ósma, słońce chyliło się ku zachodowi. Duchota panowała jak dawniej, mimo to wchłaniał chciwie cuchnące, pełne kurzu i wyziewów miasta powietrze. Poczł lekki zawrót głowy; jakaś niesamowita energia błysnęła w jego oczach i na wychudłej, ziemistożółtej twarzy. Nie wiedział, dokąd pójść, ale nie myślał o tym; wiedział tylko jedno: „że *to wszystko* trzeba skończyć dzisiaj, za jednym zamachem, natychmiast, że inaczej do domu nie wróci, bo *nie chce dłużej tak żyć*”. Ale jak skończyć? Nie miał pojęcia i nie chciał nawet o tym myśleć. Odpędzał tę myśl, myśl jednak dręczyła go. Czł tylko i wiedział, że wszystko musi się zmienić, „tak czy owak”, jak powtarzał w swym beznadziejnym, lecz zdecydowanym uporze.

Kroczył tą samą drogą, którą zwykł był chodzić na plac Sienny. Zanim doszedł tam, napotkał młodego, ciemnowłosego kataryniarza, który stał na bruku przed małym sklepikiem i rzępolił jakiś bardzo sentymentalny romans. Akompaniował dziewczynce, która stała koło niego na chodniku. Miała może piętnaście lat i ubrana była z pańska, w krynolinę, mantylkę i kapelusik z piórem w ognistym kolorze, miała nawet rękawiczki, ale wszystko to było bardzo znoszone i wytarte. W oczekiwaniu na dwie kopiejki ze sklepiku śpiewała swą piosenkę krzykliwym i nieco drżącym, chociaż niepozobawionym uroku głosem. Raskolnikow przystanął obok dwóch czy trzech słuchaczy, posłuchał chwilę i wydobywszy z kieszeni pięć kopiejek, włożył je dziewczynce do ręki. Ta nagle, jak nożem uciał, urwała piosenkę na najwyższej nucie i krzyknęła ostro do kataryniarza: „dosyć”, po czym oboje podążyli z wolna do następnego sklepiku.

– Czy pan lubi śpiew uliczny? – zwrócił się nagle Raskolnikow do niemłodego już przechodnia, który przez cały czas stał koło kataryniarza i wyglądał na spacerowicza. Ten spojrzł na niego zaskoczony i osłupiały. –

Bo ja bardzo lubię – ciągnął dalej Raskolnikow, ale z taką miną, jak gdyby mówił wcale nie o ulicznym śpiewie – lubię, kiedy ktoś śpiewa przy dźwiękach katarynki w chłodny, ciemny i wilgotny jesienny wieczór... Tak, ale trzeba, żeby wieczór był wilgotny, kiedy wszyscy przechodnie mają bladozielone, chorobliwe twarze; albo jeszcze lepiej, gdy mokry śnieg pada zupełnie prostopadle na ziemię, bez wiatru, rozumie pan? a poprzez śnieg przebłyskują latarnie gazowe...

– Nie wiem... przepraszam... – bąknął zagadnięty mężczyzna, zdumiony pytaniem i dziwnym wyglądem Raskolnikowa, i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Raskolnikow poszedł prosto przed siebie i skierował się na plac Sienny, ku miejscu, gdzie stał kramik pary mieszczuchów, którzy rozmawiali z Lizawietą owego wieczoru; teraz jednak nie było ich. Rozpoznawszy miejsce, Raskolnikow przystanął, obejrzał się wokoło i zwrócił się do chłopaka w czerwonej koszuli, który stał, ziewając, u wejścia do składu z mąką.

– Czy jest tu gdzieś właściciel narożnego straganu?

– Tu jest dużo handlarzy – odparł ten, mierząc Raskolnikowa od stóp do głów.

– Jak on się nazywa?

– Na imię ma tak, jak go ochrzczono.

– A czy ty czasem nie jesteś z Zarajska? Z jakiej jesteś guberni?

Chłopak znów spojrzał na Raskolnikowa...

– U nas, proszę jaśnie pana, nie gubernia, ale powiat; mój brat wiele podróżował, to może i wie, jaka to gubernia, a ja stale siedziałem w domu, to skąd mogę o tym wiedzieć. Niech wasza ekscelencja z łaski swej wybaczy.

– A co tam jest na górze, może garkuchnia?

– Traktiernia, a w niej bilardy i księżniczki... że palce lizać!

Raskolnikow przeszedł przez plac. Na rogu stał zwarty tłum, sami chłopi. Raskolnikow wmieszał się w tłum, ciekawie przypatrując się twarzom. Coś go parło do nawiązania rozmowy z pierwszym lepszym przechodniem. Ale chłopi nie zwracali na niego uwagi i gwarzyli między sobą, zbierając się w grupki. Raskolnikow stał przez chwilę niezdecydowany, wreszcie namyślił się i poszedł chodnikiem na prawo, w kierunku W-go bulwaru. Minąwszy plac, znalazł się w bocznej uliczce.

Raskolnikow dawniej często chadzał tą króciutką uliczką, która w tym miejscu skręca w bok i prowadzi z placu na ulicę Sadową. Ostatnio coś go zmuszało do włączenia się po tych ulicach, zwłaszcza gdy robiło mu się ciężko na sercu; odczuwał wówczas pragnienie, „aby ten ciężar stał się jeszcze bardziej nieznośny”. Teraz jednak szedł, nie myśląc o niczym. Był tu duży dom, cały zajęty przez szynkownię i inne podobne zakłady; co chwilę wybiegały z nich kobiety ubrane tak, jak się zwykle chodzi do sąsiadów – z gołą głową i tylko w sukni. W kilku miejscach kobiety gromadziły się na chodniku, przeważnie przy schodach do suterenu, gdzie mieszczą się różne, nader wesołe przybytki. W jednym z tych lokali panował niezwykły hałas i gwar, tak że rozlegał się po całej ulicy; dolatywały dźwięki gitary, śpiewano pieśni, w ogóle bawiono się znakomicie. Grupa kobiet skupiła się u wejścia;

niektóre siedziały na schodkach, inne na chodniku, reszta stała i gwarzyła ze sobą. Na jezdni zataczał się, klnąc głośno, pijany żołnierz z papierosem w zębach; chciał widocznie gdzieś wstąpić, ale zapomniał, do którego z lokali. Jeden z oberwańców kłócił się z drugim; jakiś człowiek pijany do nieprzytomności leżał w poprzek ulicy. Raskolnikow zatrzymał się koło większej grupy kobiet. Rozmawiały ochryplymi głosami, ubrane były w perkalikowe suknie, na nogach miały liche buciki, wszystkie były z gołymi głowami. Niektóre miały na pewno po jakie czterdzieści lat, ale były i siedemnastolatki. Prawie wszystkie miały twarze posiniaczone i podbite oczy.

Nie wiadomo dlaczego, Raskolnikowa zainteresowały śpiewy i cały ten gwar i krzyk rozlegający się tam, na dole... Słysząc było, jak pośród wybuchów śmiechu i pisków kobiecych ktoś wywijał siarczyste hołubce, wybijając takt obcasami przy akompaniamencie gitary i jakiegoś okropnego falsetu wyjącego sprośną piosenkę. Raskolnikow słuchał uważnie, posępny i zadumany, i nachyliwszy się ku wejściu, z ciekawością zaglądał z chodnika do sieni.

*Policaju mój ty piękny,*

*Nie bij mnie bez winy...*

– rozlegał się cienki głos śpiewającego. Raskolnikowa nagle ogarnęła przemożną chęć usłyszenia całej tej piosenki, jak gdyby było to dla niego w tej chwili sprawą najważniejszą.

„A może wejść tam – pomyślał. – Ale rechoczą! Pijani są... A co, może i warto byłoby się upić?”

– Nie chcesz do nas wstąpić, kochasiu? – zapytała jedna z kobiet dźwięcznym, niezachrypniętym jeszcze głosem. Była młoda i nie odrażająca – jedyna z całej grupy.

– Patrzcie ją, jaka ślicznotka! – odpowiedział Raskolnikow, prostując się i spoglądając na nią.

Uśmiechnęła się, komplement wyraźnie przypadł jej do gustu.

– A co to pan taki chudy? – zauważyła druga prawie basem. – Ze szpitala pan wyszedł czy co?

– Niby córki generalskie, a nosy zadarte! – wtrącił się jakiś chłop w rozpiętym kaftanie, z chytrym uśmiechem na gębie, mocno urżnięty. – Ale zabawa!

– Właż, jakieś przylazł!

– A pewnie, słodziutka!

I zszedł na dół, potykając się.

Raskolnikow ruszył dalej.

– Słuchaj no, pan! – zawołała za nim dziewczka.

– Co?

Zmieszła się.

– Mój skarbie, zawsze chętnie się z tobą zabawię, ale teraz jakoś mi sumienie nie pozwala. Daj mi, skarbie, sześć kopiejek na wypitkę.

Raskolnikow wyjął z kieszeni kilka monet na chybił trafił: były to trzy pięciokopiejkówki.

– Ach, jaki hojny pan!

– Jak się nazywasz?

– Niech pan pyta o Duklidę.

– Nie, cóż to jest? – wtrąciła nagle jedna z kobiet, skinąwszy na Duklidę. – Nie rozumiem, jak można prosić w taki bezwstydnym sposobie! Mnie by za nic w świecie sumienie nie pozwoliło...

Raskolnikow z zaciekawieniem spojrział na mówiącą. Była to ospowata dziewczyna lat może trzydziestu, cała w sińcach, z opuchniętą górną wargą. Karciała koleżankę spokojnie i poważnie.

„Gdzie też ja to czytałem – myślał Raskolnikow, idąc dalej – gdzie czytałem o tym, jak pewien skazaniec na godzinę przed śmiercią mówi czy też myśli, że gdyby mógł żyć gdzieś na wierzchołku skały, na takim malutkim skrawku ziemi, że tylko dwie stopy można by umieścić – a dookoła otchłań, ocean, wieczny mrok, wieczna samotność i wieczna burza – i miałyby tak trwać na przestrzeni jednego łokcia<sup>[57]</sup> przez całe życie, przez tysiąc lat, całą wieczność, to jednak wolałby tak żyć, aniżeli natychmiast umrzeć. Byle tylko żyć, żyć, żyć! Jakiegokolwiek by to życie było, byle tylko żyć!... Oto prawda! Boże mój, ile jest w tym prawdy!... Jak podłym stworzeniem jest człowiek!... A jeszcze bardziej podły jest ten, kto go za to podłym nazywa” – dodał po chwili.

Znalazł się na jakiejś innej ulicy. „Ach! to przecież «Pałac Kryształowy». Razumichin coś tam opowiadał o tym pałacu. Ale czego ja właściwie tutaj chciałem? Prawda, chciałem przeczytać... Zosimow mówił, że czytał w gazetach...”

– Czy są gazety? – zapytał, wchodząc do przestronnej i nawet schludnej restauracji o kilku salach, dosyć pustych zresztą. Dwóch czy trzech gości popijało herbatę; w dalszej sali siedziało towarzystwo składające się z czterech osób, pili szampana. Raskolnikowowi wydało się, że wśród nich znajduje się również Zamietow. Ale nie mógł dojrzeć na taką odległość.

„A niech tam!” – pomyślał.

– Szanownemu panu podać wódeczkę? – zapytał kelner.

– Podaj herbatę. I przynieś gazety, stare, z jakichś pięciu dni. Dostaniesz na piwo.

– Tak jest. Oto dzisiejsze gazety. Wódeczkę też szanownemu panu podać?

Na stole pojawiły się stare gazety i herbata. Raskolnikow usadowił się wygodnie i zaczął szukać: „Izler<sup>[58]</sup> – Izler – Aztecy – Aztecy – Izler – Bartola – Maximo<sup>[59]</sup> – Aztecy – Izler.. a niech to diabli! no, nareszcie są wypadki: spadła ze schodów – mieszczanin zapił się na śmierć – pożar na Piaskach – pożar na Stronie Petersburskiej<sup>[60]</sup> – znów pożar na Petersburskiej – i jeszcze jeden pożar<sup>[61]</sup> na Petersburskiej – Izler – Maximo – Izler – Izler.. Nareszcie, jest...”

Znalazł to, czego szukał, i zaczął czytać; wiersze skakały mu przed oczyma, jednak przeczytał notatkę do końca i zaczął szukać dalszych doniesień w następnych numerach. Ręce mu drżały z niecierpliwości, gdy wertował duże arkusze. Nagle ktoś usiadł obok niego, przy jego stole.



Podniósł oczy – był to Zamietow, ten sam Zamietow, we własnej osobie, z pierścieniami, dewizką, z przedziałkiem w czarnych, kręcących się i napomadowanych włosach, w eleganckiej kamizelce, nieco wytartym surducie i niezbyt świeżej koszuli. Był wesoły, przynajmniej uśmiechał się wesoło i dobrodusznie. Jego śniada twarz promieniała po wypitym szampanie.

– Jak to? Pan tutaj? – zaczął ze zdumieniem i takim tonem, jakby znał Raskolnikowa od lat. – A Razumichin jeszcze wczoraj mówił mi, że wciąż pan leży chory, bez przytomności. Dziwne! A wie pan, że byłem u pana...

Raskolnikow wiedział, że Zamietow podejdzie do niego. Odłożył gazety i zwrócił się do Zamietowa z uśmiechem, ale przebijało w tym uśmiechu jakieś rozdrażnienie i zniecierpliwienie.

– Wiem, że pan był u mnie – odparł – słyszałem o tym. Skarpetki pan szukał... A wie pan, Razumichin po prostu przepada za panem; mówił, że byliście razem u Lawizy Iwanowny... tej, za którą próbował się pan wstawić, mrugał pan na porucznika Procha porozumiewawczo, ale tamten ani rusz nie mógł zrozumieć, pamięta pan? Zdawałoby się, że nie można było nie zrozumieć, tak jasna była sprawa... co?

– Zawadiaka z niego!

– Z kogo? Z Procha?

– Nie, z pańskiego przyjaciela Razumichina...

– Dobrze się panu powodzi, szanowny panie Zamietow; ma pan wolny wstęp do najprzyjemniejszych lokali... Któż to teraz tak pana napompuwał szampanem?

– A to my tak sobie... wypiliśmy trochę... A pan zaraz: „napompuwał”.

– Honorarium! Umie pan ze wszystkiego skorzystać! – zaśmiał się Raskolnikow. – Nie szkodzi, mój miły chłopcze, nie szkodzi! – dodał, klepiąc Zamietowa po ramieniu. – Przecież mówię to nie przez zawiść, a „tylko tak, dla zabawy”, jak mówił ten robotnik o swej bijatyce z Mit’ką, w związku ze sprawą lichwiarki.

– A pan skąd wie?

– Może wiem więcej niż pan!

– Pan taki jakiś dziwny... pewnie pan jeszcze chory. Nie trzeba było wychodzić z domu...

– Wydaję się panu dziwny?

– Tak. Co to, czyta pan gazety?

– Właśnie.

– Teraz dużo piszą o pożarach.

– Nie, ja nie czytam o pożarach. – Raskolnikow spojrzał na Zamietowa z zagadkową miną, szyderczy uśmiech wykrzywił mu wargi. – Nie, wcale nie czytałem o pożarach – ciągnął dalej, mrugając do Zamietowa. – No, niechże pan się przyzna, miły mój młodzieńcze, bardzo pan chciałby się dowiedzieć, o czym czytałem?

– Wcale mnie to nie interesuje, zapytałem ot tak sobie. Cóż to, zapytać nie wolno? Czemu pan wciąż...

– Niech pan posłucha, jest pan przecież człowiekiem wykształconym,

oczytanym, nieprawdą?

– Skończyłem sześć klas gimnazjum – odpowiedział Zamietow z godnością.  
– Sześć klas! A to ci ptaszek! A jaki śliczny przedziałek, co za pierścienie! Od razu widać, że człek zamożny! Ach, jaki miły z pana chłopaczek! – Raskolnikow parsknął nerwowym śmiechem prosto w twarz Zamietowa. Ten cofnął się, nie tyle obrażony, ile zdumiony...

– Jest pan jakiś dziwny – powtórzył Zamietow bardzo poważnie. – Zdaje mi się, że pan wciąż bredzi...

– Bredzę? Kłamiesz, mój wróbelku! A więc dziwny jestem? No, a czy jestem dla pana interesujący? No, jak?

– Tak, bardzo mnie pan interesuje.

– Na przykład, o czym czytałem, czego szukałem? Niech pan spojrzy, ile numerów kazałem sobie podać! Co, podejrzanę, prawda?

– No, niech pan sam powie.

– A pan już uszu nastawia?

– Czemu zaraz „nastawia”!

– Potem panu powiem o tym „nastawianiu”, a teraz, mój drogi, oświadczam panu... nie, lepiej: „przyznaję się”... nie, i to niedobrze. „Zeznaję, a pan mnie przesłuchuje” – tak będzie lepiej! A więc zeznaję, że czytałem, interesowałem się, szukałem... poszukiwałem – Raskolnikow przymrużył oczy i odczekał chwilę – szukałem, i po to tutaj przyszedłem, wiadomości o zamordowaniu tej starej lichwiarki – wypowiedział wreszcie prawie szeptem, przybliżając swą twarz niemal do samej twarzy Zamietowa. Zamietow patrzył w niego nieruchomo, nie odsuwając się. Najbardziej dziwne wydało się później Zamietowowi to, że milczenie trwało dobrą minutę i że przez całą tę minutę, ni mniej, ni więcej, patrzyli nieruchomo na siebie.

– No to co z tego, że pan czytał? – prawie krzyknął nagle Zamietow, zdumiony i podniecony. – Cóż mnie to obchodzi? Co w tym dziwnego?

– Jest to ta sama staruszka – ciągnął dalej Raskolnikow szeptem, jak i przedtem, nie zwracając najmniejszej uwagi na słowa Zamietowa – ta sama, o której zaczęto opowiadać w cyrkule, a ja, pamięta pan, zemdlałem wtedy. Co, zrozumiał pan teraz?

– Ale o co chodzi? Co to ma znaczyć... czy zrozumiałem? – odparł Zamietow mocno poruszony.

Nieruchoma, poważna twarz Raskolnikowa zmieniła się w jednej chwili i z miejsca wybuchnął takim samym nerwowym śmiechem jak przedtem, jakby nie był już w stanie zapanować nad sobą. W tej chwili jego pamięć odtworzyła jasno i dokładnie uczucie, którego doznał tak niedawno: oto stoi za drzwiami z siekierą w ręku, rygiel drga od uderzeń, tamci dwaj walą w drzwi pięściami i klną, a on odczuwa nieprzepartą chęć krzyknąć do nich przez drzwi, droczyć się z nimi, pokazać im język, droczyć się z nimi i śmiać się... zanosić się od śmiechu i śmiać się, śmiać się, śmiać się!

– Albo pan jest wariatem, albo... – Zamietow urwał nagle, jakby porażony myślą, która nagle przemknęła mu przez głowę.

– Albo? Albo co? No, co? No, niech pan powie!

– Nie! – warknął gniewnie Zamietow. – To jakieś bzdury!

Umilkli obaj. Po tym nagłym paroksyzmie śmiechu Raskolnikow znowu posmutniał i zadumał się. Oparł łokcie na stole, podtrzymując dłońmi głowę. Wyglądało to tak, jakby zupełnie zapomniał o obecności Zamietowa. Milczenie trwało dosyć długo.

– Dlaczego nie pije pan herbaty? Wystygnie – powiedział Zamietow.

– Co? Herbata? A tak... – Raskolnikow odpił ze szklanki, zakąsił kawałkiem chleba i spojrzał nagle na Zamietowa tak, jakby sobie coś przypomniał czy uprzytomnił; twarz jego przybrała dawny drwiący wyraz. Nadal popijał herbatę.

– Tyle namnożyło się teraz oszustów – zaczął znów Zamietow. – Niedawno czytałem w „Wiadomościach Moskiewskich”, że w Moskwie przyłapano szajkę fałszerzy. Zorganizowali całą sieć. Podrabiali obligacje pożyczki państwowej.

– O, to stara historia! Czytałem o tym miesiąc temu – odpowiedział spokojnie Raskolnikow. – Więc są to zdaniem pana oszuści? – dodał z uśmiechem.

– A nie?

– Tamci? To dzieciaki, żółtodzioby, a nie oszuści. Zbierze się pięćdziesięciu ludzi i łączą się w szajkę! Czy to nie śmieszne? Nawet trzech byłoby za dużo, i to pod warunkiem, że każdy z nich ufałby drugiemu bardziej niż sobie! Wystarczy, że jeden wygadał się po pijanemu, i już całą sprawę diabli wzięli. Partacze! Wynajęli pierwszych lepszych młokosów, aby ci rozmieniali im pieniądze w kantorach; taką sprawę powierzyli byle komu! No, niech i tak będzie; przypuśćmy, że udało się przeprowadzić akcję nawet przy pomocy młokosów; przypuśćmy, że każdy zarobił już po milionie, no, a co dalej? Jeden będzie zależny od drugiego przez całe życie! Wolałbym się powiesić! A ci nawet nie potrafili rozmienić pieniędzy: przyszedł taki do banku, otrzymał pięć tysięcy i już mu ręce drżały. Cztery tysiące przeliczył, a piątego nawet nie liczy, chowa do kieszeni, żeby zwać czym prędzej. Oczywiście od razu jest podejrzany. I cała sprawa wali się z powodu jednego durnia! Czyż można postępować w podobny sposób?

– Pan się dziwi, że ręce mu drżały? – podchwycił Zamietow. – Nie, to jest zupełnie naturalne. Jestem przekonany, że to naturalne. Nie zawsze można zapanować nad sobą...

– Tak?

– A co pan myśli, że pan by wytrzymał? Ja na pewno nie! Za sto rubli narażać się na takie niebezpieczeństwo! Pójść z fałszywą obligacją, i to gdzie? Do kantoru w banku, gdzie na tym zęby zjedli... Nie, ja bym się nigdy nie odważył! A czy pan by się odważył?

Raskolnikowa nagle znów ogarnęła nieprzeparta chęć, żeby pokazać mu język. Zimny dreszcz co chwilę przebiegał mu po plecach.

– Ja bym to zrobił inaczej – zaczął z wolna. – Przeliczyłbym pierwszy tysiąc ze cztery razy, każdy papierek obracałbym i oglądał skrupulatnie. Potem wziąłbym się za drugi tysiąc. Zacząłbym liczyć, doliczyłbym do połowy, a potem wyciągnąłbym jakąś tam pięćdziesięciurublowkę i zacząłbym ją oglądać ze wszystkich stron pod światło, czy aby przypadkiem nie jest fałszywa. „Obawiam się – tak bym powiedział do kasjera – bo moja krewna

straciła w ten sposób onegdaj dwadzieścia pięć rubli”, i opowiedziałbym mu całą historię. A kiedy doszedłbym do trzeciego tysiąca, znów powiedziałbym do kasjera: „Przepraszam pana, zdaje mi się, że w drugim tysiącu siódmą setkę źle policzyłem, mam wątpliwości”, zostawiłbym trzeci tysiąc i zabrałbym się znów do drugiego, i w taki sposób liczyłbym aż do piątego, ostatniego tysiąca. A po przeliczeniu znowu wyciągnąłbym z drugiego i z piątego tysiąca po papierku i znów pod światło, znów wątpliwość: „Może pan z łaski swojej zamieni na inne”. Kasjer tak by się przy mnie napocił, że myślałby tylko o tym, w jaki sposób się mnie pozbyć! A gdybym już naprawdę wszystko skończył, podszedłbym do drzwi, otworzyłbym je, a potem nagle: „Przepraszam najmocniej” i wróciłbym. Zapytałbym jeszcze o coś kasjera, poprosił o jakieś wyjaśnienie... O, w taki sposób ja bym to zrobił.

– Jakie okropne rzeczy pan opowiada – powiedział Zamietow, śmiejąc się. – Ale to tylko słowa, w praktyce na pewno by pan od razu się potknął. W takich wypadkach, mówię panu, nie tylko ja lub pan, ale nawet zawodowy złodziej, zdeklarowany przestępca nie może za siebie ręczyć. Ale po co szukać daleko, mamy najlepszy przykład: zamordowanie staruszki w naszej dzielnicy. Zdawałoby się, że naprawdę straszny przestępca, w biały dzień zaryzykował, uratował się tylko cudem, ale widać, ręce mu też drżały: nie potrafił obrabować do czysta, nie wytrzymał; z tego wynika...

Wyglądało na to, że słowa Zamietowa uraziły Raskolnikowa.

– Tak pan mówi? No, to złapcie go teraz, spróbujcie! – zareplikował szyderczo z widocznym zamiarem dokuczenia Zamietowowi.

– Wielka rzecz! Oczywiście, że go złapią...

– Kto? Może pan? Pan go złapie? Urobicie się! Dla pana zawsze najgłówniejsza rzecz, czy ktoś nie wydaje za dużo pieniędzy. Dawniej taki nie miał ani grosza, a teraz zaczyna szastać pieniędzmi – i tego już starczy, zdaniem pana, musi to być przestępca... Toć nawet dziecko potrafi pana oszukać, gdy tylko zechce!

– Właśnie cała rzecz w tym, że oni wszyscy tak postępują – odparł Zamietow. – Zabić potrafi, życie postawi na kartę, potem do knajpy, a tam już policja na niego czeka. Wpadają właśnie przez szastanie pieniędzmi. Nie każdy przecież jest taki zmyślny jak pan. Pan na pewno nie poszedłby do knajpy.

Raskolnikow ściągnął brwi i popatrzył uważnie na Zamietowa.

– Pan, zdaje się, nabiera apetytu? Chciałby się pan dowiedzieć, w jaki sposób ja bym postąpił w takim wypadku? – zapytał z niechęcią.

– Owszem, chciałbym – odparł tamten zdecydowanym i poważnym głosem. W ogóle ogromnie spoważniał pod koniec rozmowy.

– Czy bardzo panu na tym zależy?

– Bardzo!

– Dobrze! Ja postąpiłbym w taki sposób – zaczął Raskolnikow, znowu zbliżając swą twarz do twarzy Zamietowa. Patrzył mu prosto w oczy i mówił szeptem tak cichym, że tamten drgnął. – Ja zrobiłbym tak: zabrałbym biżuterię i pieniądze i natychmiast udałbym się w jakieś odludne miejsce,

gdzie nikogo nie ma, nikt nie mieszka, a są tylko płoty, jakiś ogród czy coś w tym rodzaju. Jeszcze przedtem upatrzyłbym tam sobie kamień, pud albo półtora puda ważący, który leży gdzieś w rogu, przy ogrodzeniu, już dawno, może od czasu, kiedy budowano okoliczne kamienice. Podniósłbym ten kamień – powinno tam zawsze być wgłębienie w ziemi – i do tego wgłębienia włożyłbym wszystkie rzeczy i pieniądze. Włożyłbym wszystko, a potem przycisnąłbym kamieniem, tak jak było, jeszcze bym przydeptał nogą i poszedłbym sobie. I nic a nic stamtąd nie brałbym przez cały rok albo dwa, a może i trzy. Szukajcie sobie teraz! Przepadło jak kamień w wodę!

– Pan zwariował! – wykrztusił Zamietow, też prawie szeptem, i odsunął się od Raskolnikowa. Temu nagle zabłyśły oczy, zbladł okropnie i górna warga zaczęła mu drgać. Przysunął się do Zamietowa jeszcze bliżej i poruszał wargami, nie wydając ani jednego dźwięku. Trwało to może z pół minuty. Raskolnikow zdawał sobie sprawę z tego, co robi, ale nie mógł się powstrzymać. Podobnie jak wtedy, gdy drgał rygiel przy drzwiach, tak teraz drgało i ważyło się na jego wargach okropne słowo gotowe wyrwać się w każdej chwili. A co będzie, jeżeli powie? A co, jak wypowie?

– A co by było, gdybym to ja zamordował tę starą i Lizawietę? – powiedział nagle i oprzytomniał.

Zamietow wpił się w niego dzikim wzrokiem i zbladł jak płótno. Twarz wykrzywiła mu się w uśmiechu.

– Czyż to możliwe? – wyszeptał ledwo dosłyszalnym głosem.

Raskolnikow spojrzał na niego szyderczo.

– Uwierzył mi pan jednak, niech się pan przyzna! – wyrzekł wreszcie zimnym, ironicznym tonem. – Co, nieprawda?

– Wcale nie! Teraz wierzę mniej niż kiedykolwiek! – powiedział Zamietow pośpiesznie.

– A, nareszcie pan wpadł! Mamy wróbelka! A więc wierzył pan przedtem, skoro teraz „wierzy pan mniej niż kiedykolwiek”.

– Wcale nie! – zawołał Zamietow, wyraźnie zmieszany. – To po to mnie pan tak nastraszył, żeby to ze mnie wydobyć?

– Więc nie wierzy pan? A o czym to panowie rozmawiali, gdy wyszedłem z cyrkułu? A po co porucznik Proch przesłuchiwał mnie po omdleniu? Rachunek proszę! – krzyknął na kelnera, wstając z krzesła i biorąc czapkę. – Ile płacę?

– Trzydzieści kopiejek razem – odpowiedział tamten, podbiegając do stolika.

– Masz tu jeszcze dwadzieścia dla ciebie. Widzi pan, ile mam pieniędzy – wyciągnął ku Zamietowowi drżącą rękę – widzi pan, trzyrublówki, pięćrublówki, razem dwadzieścia pięć rubli. Skąd tyle? A skąd się wzięło nowe ubranie? Przecież wie pan, że grosza nie miałem!... Gospodynię to pan już pewnie dobrze wypytał... No, dosyć tego... *Assez causé!*<sup>[62]</sup>. Do miłego zobaczenia...

Wyszedł, drżąc na całym ciele wskutek jakiegoś niesamowitego, historycznego podniecenia, w którym kryła się jednak spora doza niewysłowionej rozkoszy. Mimo to był posępny i czuł się strasznie zmęczony.

Twarz jego zastygła w grymasie, jak po ataku nerwowym. Uczucie zmęczenia potęgowało się z każdą chwilą. Ostatnio przy lada podnieceniu odczuwał gwałtowny przyptyw sił, który jednak trwał bardzo krótko i mijał w miarę, jak słabły uczucia, które go wywoływały.

Zamietow, pozostawszy sam, długo jeszcze siedział nieruchomo, zatopiony w rozmyślaniach. Raskolnikow narzucił mu nieodpartą konkluzję, która zmieniła zupełnie jego dotychczasowy pogląd na pewną sprawę.

„Ilja Pietrowicz jest idiotą!” – zdecydował ostatecznie.

Zaledwie Raskolnikow uchylił drzwi prowadzące na ulicę, stanął oko w oko z Razumichinem, który wchodził po schodach. Obaj nie zauważyli się, tak że nieomal zderzyli się głowami. Przez krótką chwilę stali, mierząc się wzrokiem. Razumichin był ogromnie zdziwiony, ale nagle gniew, prawdziwy, srogi gniew błysnął w jego oczach.

– Toś ty tutaj! – wrzasnął na całe gardło. – Z łóżka uciekłeś! A ja cię tam szukałem, nawet zaglądałem pod kanapę! Omal nie stłukłem przez ciebie Nastazji... A ten spaceruje sobie! Rodia! Co to ma znaczyć? Mów całą prawdę! Przyznaj się! Słyszysz?

– Znaczy to tylko tyle, żeście mi zbrzydli śmiertelnie i chcę być sam – spokojnie odparował Raskolnikow.

– Sam? Patrzcie go: ledwo łązi, twarz blada jak płótno, oddychać nie może... Idioto! Coś ty robił w „Kryształowym Pałacu”? Mów natychmiast!

– Puść mnie! – krzyknął Raskolnikow i chciał go wyminąć.

To już ostatecznie wyprowadziło Razumichina z równowagi; schwycił go mocno za ramię.

– Puścić? Jak śmiesz mówić, żeby cię puścić, po tym, co zrobiłeś? Czy wiesz, co z tobą teraz zrobię? Zwiążę cię, zaniosę do domu i zamknę na klucz!

– Słuchaj, Razumichin – zaczął Raskolnikow cichym i na pozór zupełnie spokojnym głosem – czy ty naprawdę nie widzisz, że nie chcę wcale twych dobrodziejstw? Co to za przyjemność wyświadczać przysługi ludziom, którzy plują na to? Ludziom, którzy naprawdę nie mogą tego znieść? Po co odszukałeś mnie, kiedy leżałem chory? A może wolałbym umrzeć? Czy nie okazałem ci dziś wyraźnie, że mnie męczysz, że mi... się znudziłeś! Jaką przyjemność sprawia ci dręczenie ludzi? Zapewniam cię, że to przeszkadza memu wyzdrowieniu, bo ciągle mnie denerwuje. Przecież Zosimow poszedł sobie wtedy, żeby mnie nie denerwować. Zaklinam cię na Boga, daj mi wreszcie spokój! Kto ci dał prawo zatrzymywać mnie przemocą? Czy ty naprawdę nie widzisz, że jestem już przy zdrowych zmysłach? Powiedz mi, jak, w jaki sposób mam cię ubłagać, żebyś dał mi wreszcie spokój i nie naprzykrzał się ze swoimi dobrodziejstwami? Nazwijcie mnie podłym niewdzięcznikiem, ale dajcie mi nareszcie święty spokój...

Raskolnikow z początku mówił spokojnie, ciesząc się z góry na myśl o przykrości, jaką chciał wyrządzić Razumichinowi, ale skończył w ogromnym podnieceniu, dusząc się z wściekłości, podobnie jak w rozmowie z Łużynem.

Razumichin stał przez chwilę niezdecydowany i zamyślony, potem puścił



rękę Raskolnikowa.

– W takim razie idź do diabła! – powiedział cichym, prawie melancholijnym głosem. – Stój! – ryknął nagle, gdy Raskolnikow chciał odejść. – Słuchaj! Oświadczam ci, że wszyscy wy jak jeden mąż jesteście straszne głądy i fanfarony<sup>[63]</sup>. Macie jakieś drobne zmartwienia, a cackacie się z nimi jak kura z jajkiem! I tu też wzorujecie się na obcych autorach! Nie ma w was nawet krzty samodzielnego życia. Jesteście zrobieni z wazeliny, a zamiast krwi macie serwatkę! Ani jednemu z was nie wierzę! Dla was najważniejszą rzeczą jest, żeby nigdy, w żadnych okolicznościach, nie być podobnym do człowieka! Stój, czekaj! – wrzasnął ze zdwojoną wściekłością, zauważywszy, że Raskolnikow znów zbiera się do odejścia. – Wysłuchaj do końca! Wiesz, mam dziś gości, będą oblewać moje nowe mieszkanie, może nawet już się zebrali, a ja tam zostawiłem wujka, żeby przyjmował gości. Więc właśnie, gdybyś nie był durniem, pospolitym durniem, skończonym idiotą, naśladowcą tłumaczonym z obcego języka... wiem, Rodia, rozumiem, że z ciebie mądry chłop, ale jesteś idiotą, niestety! Więc właśnie gdybyś nie był durniem, to lepiej przyszedłbyś dzisiaj do mnie spędzić wieczór, zamiast zdzierać buty na ulicy. Wszystko jedno, już wyszedłeś z domu. Posadzę cię na miękkim fotelu, gospodyni ma taki... Herbatka, towarzystwo... A jeśli nie chcesz, położę cię na kanapie, bądź co bądź będziesz wśród swoich... Zosimow też będzie. Przyjdziesz?

– Nie.

– Nie bredź! – krzyknął zniecierpliwiony Razumichin. – Skąd wiesz? Nie możesz ręczyć za siebie. Ja podobnie jak ty tysiąc razy kłóciłem się z ludźmi, a potem znowu do nich przychodziłem... Sumienie przemówi, więc idziesz z powrotem do człowieka... Zapamiętaj, dom Poczinkowa, drugie piętro...

– Widzę, szanowny panie Razumichin, że zgodziłby się pan, aby go tłukli, byle tylko mieć przyjemność opiekowania się kimś.

– Kogo tłuc? Mnie? Za sam pomysł nos ci urwę! Dom Poczinkowa, numer 47, u urzędnika Babuszkina...

– Nie przyjdę, panie Razumichin! – Raskolnikow odwrócił się i odszedł.

– Idę o zakład, że przyjdiesz! – krzyknął za nim Razumichin. – A jak nie... to słyszeć o tobie nie chcę! Poczekaj! Zamietow jest tam?

– Jest.

– Widziałeś go?

– Widziałem.

– Rozmawiałeś z nim?

– Rozmawiałem.

– O czym? A zresztą niech cię piorun trzaśnie, nie mów mi tego. Więc dom Poczinkowa, 47, u Babuszkina, pamiętaj!

Raskolnikow doszedł do ulicy Sadowej i zniknął za rogiem. Razumichin w zamyśleniu patrzył za nim. W końcu machnął ręką i wszedł do restauracji, ale nagle zatrzymał się na schodach.

„Niech to licho porwie – zastanawiał się prawie głośno – mówi niby rozsądnie, a jednak zdaje mi się... Ale i ze mnie też porządny dureń! A czy wariaci nie potrafią rozprawiać rozsądnie? Zdaje się, że Zosimow tego

właśnie się obawia!... – Puknął się w czoło. – A co będzie, jeżeli... jak ja mogłem zostawić go teraz samego? Przecież może się jeszcze utopić! Oj, palnąłem głupstwo! Nie wolno!”. – I Razumichin pobiegł z powrotem, aby dogonić Raskolnikowa, ale nie mógł go nigdzie dostrzec. Splunął ze złości i szybko powrócił do „Pałacu Kryształowego”, żeby czym prędzej wy badać Zamietowa.

Raskolnikow poszedł prosto na ...ski most, stanął pośrodku mostu i oparłszy się łokciami o balustradę, patrzył przed siebie. Po rozmowie z Razumichinem poczuł nagle takie osłabienie, że z trudem dowlókł się do mostu. Chciał gdzieś usiąść albo położyć się wprost na ulicy. Pochyliwszy się nad wodą, patrzył bezmyślnie na ostatni różowy odblask zachodzącego słońca, na rząd domów, które wydawały się ciemne na tle zapadającego zmierzchu, na odległe okno gdzieś na mansardzie, po lewej stronie kanału, które jakby płonęło w ostatnich promieniach słońca... Potem znów uporczywie wpatrywał się w ciemną wodę. Nagle mignęły mu w oczach jakieś czerwone koła, domy ruszyły z miejsca, przechodnie, brzegi rzeki, pojazdy – wszystko zawirowało w szalonym tańcu... Drgnął, od omdlenia uratowało go okrutne i bezsensowne wydarzenie. Poczuł, że ktoś stoi obok niego z prawej strony, tuż przy nim. Spojrzał: była to wysoka kobieta, w chustce na głowie, o żółtej, podłużnej, wychudłej twarzy i zaczerwienionych, zapadłych oczach. Patrzyła wprost na niego, lecz było jasne, że go nie widziała i niczego już nie rozróżniała dokoła. Nagle kobieta oparła się prawą ręką o balustradę, podniosła prawą nogę, przełożyła ją przez poręcz, potem lewą i skoczyła do kanału. Brudna woda zakryła ofiarę, ale po chwili wypchnęła ją na powierzchnię. Prąd ją unosił, głowa i nogi były zanurzone w wodzie, plecy wystawały nad powierzchnią, spódnicą wzdęła się nad wodą jak poduszka.

– Utopiła się! Utopiła się! – krzyczały dziesiątki głosów naraz. Ludzie zbiegali się; na brzegach kanału gromadzili się przechodnie; na moście koło Raskolnikowa zebrał się tłum widzów, który go popychał i przyciskał do poręczy.

– Święci pańscy, toć to nasza Afrosinjuszka – rozległ się w pobliżu płaczliwy krzyk kobiety. – Ratujcie, kto w Boga wierzy! Ludzie kochani, wyciągnijcie ją z wody!

– Łódkę, łódkę, prędzej! – krzyczano w tłumie.

Ale łódka była już niepotrzebna. Policjant szybko zbiegł po schodach prowadzących do wody, zrzucił płaszcz, buty i skoczył do kanału. Nie było to zadanie trudne, kobietę prąd znosił bardzo blisko schodów. Policjant schwycił ją prawą ręką za suknię, lewą zaś za drąg, który z brzegu podał mu kolega. Niedoszłą samobójczynię wyciągnięto na brzeg i ułożono na granitowych płytach chodnika. Niebawem przyszła do siebie, uniosła się trochę i usiadła, kichając, parszając i bezmyślnie wycierając ręce o suknię. Nie przemówiła ani słowa.

– Do białej gorączki się spiła, ludzie moi drodzy, do białej gorączki – wył ten sam kobiecy głos tuż obok Afrosinjuszki.

– Onegdaj chciała się powiesić, uratowano ją z pętli. A teraz poszłam tylko do sklepiku, zostawiłam przy niej dziewczynę, aby jej doglądała, a tu taki

grzech! To mieszczka, nasza sąsiadka, mieszka obok nas, drugi dom za rogiem, o tam!...

Tłum zaczął rzędnąć; policjanci krzętałi się jeszcze koło uratowanej kobiety, ktoś krzyknął, że warto by ją odstawić do cyrkułu... Raskolnikow patrzył na wszystko z dziwną obojętnością. Odczuwał wstręt. „Nie, to ohydne... woda... nie warto – mrucał pod nosem. – Nic już nie będzie – dodał po chwili – nie warto czekać. Co oni tam mówili o cyrkule?... A dlaczego Zamietowa nie ma w cyrkule? Przecież przed dziesiątą biuro powinno być jeszcze otwarte...”. Odwrócił się plecami do balustrady i rozejrzał się dokoła.

„No cóż? Niech będzie, co ma być!” – postanowił rezolutnie, zszedł z mostu i skierował się w stronę cyrkułu. W sercu odczuwał przerażającą pustkę. Nie chciał myśleć. Nawet niepokój, który go dręczył, gdzieś zniknął; nie było w nim ani śladu tej energii, którą odczuwał, wychodząc z domu z zamiarem „skończenia wszystkiego za jednym zamachem”. Uczucia te ustąpiły miejsca zupełnej apatii.

„No cóż, to też będzie wyjście – myślał, idąc leniwie i powoli brzegiem kanału. – A jednak skończę dlatego, że tak chcę... Ale czy to będzie wyjście? Wszystko mi jedno! Będę miał swój metr ziemi, he-he! Co za finał! I czy to ma być finał? Powiem im czy nie powiem? Do diabła! Jestem taki zmęczony, dobrze byłoby położyć się gdzieś albo choćby usiąść. Największy wstyd, że zbyt głupio to wszystko wygląda... Ale gwizdżę i na to! Tfu, co za głupstwa przychodzą mi do głowy...”

Do cyrkułu trzeba było iść prosto i na drugim rogu skrócić na lewo; kancelaria policji mieściła się o kilka kroków stamtąd. Ale Raskolnikow, gdy doszedł do pierwszej przecznicy, zatrzymał się, namyślał się przez chwilę, wreszcie skręcił w boczną uliczkę i poszedł okólną drogą – może nie mając żadnego celu na widoku, a może w zamiarze odroczenia ostatniej chwili i zyskania jeszcze choć jednej minuty. Wlókł się ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nagle wydało mu się, że ktoś szepcze mu coś do ucha. Podniósł głowę i spostrzegł, że stoi koło tego domu, przy samej bramie. Od *tamtego* wieczoru nie był tutaj i ani razu nie przechodził tędy.

Ogarnęło go nieprzeparate, niepojęte pragnienie. Wszedł do bramy, skręcił na pierwsze schody z prawej strony i zaczął wchodzić po tak dobrze znanych stopniach na trzecie piętro. Wąziutkie, strome schody były nieoświetlone. Zatrzymywał się na każdym piętrze, rozglądając się ciekawie. Z okna na parterze była wyjęta rama. „Tego wówczas nie było” – pomyślał. Doszedł do mieszkania na pierwszym piętrze, w którym pracowali Mikołaj i Mit’ka. „Zamknięte – pomyślał – i drzwi świeżo pomalowane; widocznie jest do wynajęcia”. Oto i trzecie piętro... „Tutaj!”. Ogarnęło go zdumienie: drzwi do tamtego mieszkania stały otwarte na oścież, byli tam ludzie, dochodziły głosy; tego się nie spodziewał. Zawahał się chwilę, potem przekroczył kilka ostatnich schodów i wszedł do mieszkania.

Znajdowało się tam dwóch robotników, którzy pracowali przy odnawianiu mieszkania, co go niezmiernie zaskoczyło. Wyobrażał sobie, nie wiadomo dlaczego, że znajdzie wszystko w tym samym stanie, w jakim zostawił

wówczas, może nawet trupy leżące na tych samych miejscach na podłodze. A tu gołe ściany, nie ma żadnych mebli, jakie to wszystko jest dziwne! Podszedł do okna i usiadł we framudze.

W pokoju było dwóch robotników, obydwaj młodzi, przy czym jeden był znacznie starszy od drugiego. Zdierali stare, żółte, wytarte i poplamione tapety, a na ich miejsce naklejali nowe, białe w liliowe kwiatki. Raskolnikowowi zrobiło się bardzo przykro, chociaż sam nie wiedział dlaczego; patrzył na nowe tapety wrogo, jakby go mocno dotknęły zmiany poczynione w mieszkaniu.

Robotnicy zabierali się już do odejścia i pośpiesznie zwijali rolki. Nie zwrócili wcale uwagi na zjawienie się Raskolnikowa. Rozmawiali o czymś. Raskolnikow przysłuchiwał się rozmowie, siedząc ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

– Przychodzi ona do mnie z rana – opowiadał starszy – wystrojona od stóp do głów! „Coś ty taka wyfiokowana, moja ty cytrynko, moja ty pomarańczko – pytam – i czego chcesz ode mnie?”. „Chcę – powiada – Tytusie Wasiljewiczu, spełnić wszystkie życzenia pańskie, co pan tylko każe”. A, myślę sobie, o to ci chodzi! Ale wystrojona, powiadam ci, jak obrazek z żurnalu!

– A co to jest żurnal? – zapytał młodszy tonem ucznia, który się zwraca do nauczyciela.

– Żurnal jest to – jak by ci to powiedzieć – gazeta z malowanymi obrazkami, co sobota przychodzi pocztą do naszych krawców z zagranicy. Są tam opisy, jak na przykład mężczyźni mają się ubierać, no i kobiety też. Więc obrazki takie... Płeć męska przeważnie w bekieszach<sup>[64]</sup>, no, a co do kobiet, to takie w tej branży widoki, że aż oczy na wierzch wyłażą z podziwu.

– Czegoj tylko w tym Petersburgu nie ma! – westchnął z podziwem młodszy. – Prócz ojca i matki wszystko tu znajdziesz!

– Tak, bracie, prócz tego wszystko tutaj jest – przytaknął starszy pouczającym tonem.

Raskolnikow podniósł się i wszedł do drugiego pokoju, gdzie dawniej stały kufer, łóżko i komoda; pokój bez mebli wydał mu się mały. Tapeta pozostała stara; w kącie na tapecie pozostał wyraźny ślad półki z obrazami świętych. Rozejrzawszy się, Raskolnikow wrócił na dawne miejsce. Starszy robotnik przyglądał mu się spode łba.

– Czego pan sobie życzy? – zapytał nagle, zwracając się do Raskolnikowa.

Ten zamiast odpowiedzi wyszedł do przedpokoju i pociągnął za sznurek dzwonka. Ten sam dzwonek, ten sam dźwięk, jak od uderzenia w blachę. Pociągnął jeszcze raz i jeszcze; wsłuchiwał się i coś sobie przypominał. Przeżywał po raz wtóry męczące i straszne chwile coraz to bardziej plastycznie, wyraźniej; wzdrygał się przy każdym uderzeniu dzwonka, choć zarazem doznawał uczucia jakiejś przedziwnej rozkoszy.

– Ale czego pan tutaj chce? Coś pan za jeden? – krzyknął robotnik, wchodząc do przedpokoju. Raskolnikow znowu wszedł do pokoju.

– Chcę wynająć mieszkanie – powiedział po chwili – chcę je obejrzeć.

– Po nocach nikt mieszkań nie wynajmuje; no i powinieneś pan przyjść ze stróżem.

– Podłoga jest wymyta. Będziecie ją malować? – ciągnął dalej Raskolnikow.

– Śladów krwi już nie widać...

– Jakiej krwi?

– Przecież tutaj zamordowano staruchę razem z jej siostrą. Cała kałuża krwi była na podłodze...

– Ale kim pan jesteś, do licha? – zaniepokoił się robotnik.

– Ja?

– Tak, pan.

– Takiś ciekaw? Pójdziemy do cyrkułu, tam ci powiem.

Robotnicy popatrzyli na niego ze zdumieniem.

– No, czas iść. Chodźmy, Aloszka. Trzeba zamknąć mieszkanie – powiedział starszy robotnik.

– No to chodźmy – zgodził się Raskolnikow obojętnie i ruszył przodem, powoli schodząc po schodach. – Hej, stróż! – zawołał, podchodząc do bramy.

Na ulicy przy bramie stała grupka ludzi, gapiąc się na przechodniów; byli tam obaj stróże, jakaś baba, mieszczanin w szlafroku i kilku innych. Raskolnikow skierował się prosto ku nim.

– Czego pan sobie życzy? – odezwał się jeden ze stróżów.

– Czy byłeś w biurze policji?

– Byłem przed chwilą. O co chodzi?

– Czy są tam jeszcze urzędnicy?

– Są.

– A zastępca komisarza jest?

– Był dopiero co. A po co pan pyta?

Raskolnikow nie odpowiedział i stał obok nich w zamyśleniu.

– Ten pan chciał obejrzyć mieszkanie – wtrącił się do rozmowy starszy z robotników.

– Jakie mieszkanie?

– To, w którym pracujemy. „Po co, powiada, zmyliście ślady krwi. Tutaj, powiada, popełniono morderstwo, a ja chcę mieszkanie wynająć”. I jak nie zacznie szarpać za dzwonek, mało go nie urwał. „Chodźmy, powiada, do cyrkułu, tam ci wszystko powiem”. Przyczepił się.

Stróż nachmurzył się i ze zdziwieniem popatrzył na Raskolnikowa.

– A pan co za jeden? – krzyknął groźnie.

– Jestem Rodion Romanowicz Raskolnikow, były student; mieszkam niedaleko stąd, w domu Szilla, mieszkanie numer czternaście. Zapytaj stróża, on mnie zna dobrze... – Raskolnikow mówił jakby myślą nieobecny, rozwlekle i leniwie, nie odwracając się do niego i uparcie wpatrując się w ulicę, którą coraz bardziej otulał mrok.

– Po co pan przychodził do mieszkania?

– Chciałem je obejrzyć.

– Co pan chciał obejrzyć?

– Najlepiej zaprowadzić go do cyrkułu – odezwał się mieszczanin w szlafroku i umilkł.

Raskolnikow spojrział na niego z ukosa, przez ramię, chwilę obserwował go uważnie i wreszcie powiedział cichym, zmęczonym głosem:

– No to chodźmy!

– A pewnie, odstawić go na policję – podchwycił mieszczanin, nabrawszy odwagi. – Dlaczego go to interesuje, co on ma na myśli, he?

– Może pijany, a zresztą Bóg wie – mruknął robotnik.

– Ale czego pan chce, u licha! – krzyknął stróż, rozjuszony na dobre. – Czego pan tu szuka?

– Stchórzyłeś już? Nie chcesz iść do cyrkułu? – ironicznie zapytał Raskolnikow.

– Ja stchórzyłem? Ja ci tu zaraz pokażę...

– Łobuz jakiś! – wrzasnęła baba.

– Co tu się z nim obcyndalać! – ryknął drugi stróż, drab w rozpiętym kaftanie i z pękiem kluczy za pasem. – Jazda! Pewnie, że jakiś łobuz... Wynocha...

Schwycił Raskolnikowa za ramię i pchnął go na ulicę. Ten potknął się, lecz nie upadł, wyprostował się, spojrział milcząco na wszystkich uczestników tej sceny i poszedł dalej.

– Dziwak jakiś – odezwał się robotnik.

– Dużo tera takich dziwaków – dodała baba.

– Moim zdaniem to trzeba było odprowadzić go na policję – mieszczanin upierał się przy swoim.

– Lepiej nie zaczynać – zdecydował stróż. – To łobuz jakiś. Niby sam się narzuca, chce na policję iść, ale jak z takim zacząć, to końca nie będzie... Znamy takich!

„A więc iść czy nie?” – rozważał Raskolnikow, zatrzymawszy się na jezdni na skrzyżowaniu i rozglądając się dookoła jakby w oczekiwaniu na czyjaś ostatnią, decydującą radę. Ale nikt i nic się nie odezwało; wszystko zdawało się zamierać w głuchym milczeniu; wszystko było martwe jak kamienie, po których stapał, ale martwe tylko dla niego, dla niego jednego... Wtem w oddali, przy samym końcu ulicy, paręset kroków od niego w zapadającym mroku Raskolnikow dojrzał tłum ludzi. Dolatywały krzyki i nawoływania... Wśród tłumu stał jakiś powóz... Migotało światło latarni... „Coś się stało” – pomyślał Raskolnikow. Skręcił na prawo i skierował się w stronę tłumu. Czepiał się wszystkiego jak tonący. Sam to spostrzegł i uśmiechnął się zimno do siebie: powziął niezłomny zamiar udać się na policję i wiedział, że niedługo wszystko się skończy.

Pośrodku ulicy stał wykwintny, elegancki powóz zaprzężony w parę rączych, szarych koni; w powozie nie było nikogo, stangret zlął z kozła i stał obok; konie trzymano za wędzidła. Dokoła cisnął się tłum ludzi; kilku policjantów stało na przodzie. Jeden z nich trzymał w ręku latarnię i nachyliwszy się, oświetlał coś, co leżało na jezdni tuż przy kołach powozu. Tłum nawoływał, krzyczał, wyrażał przerażenie i współczucie; stangret był zupełnie oszołomiony i wciąż powtarzał:

– Co za nieszczęście! Boże, jakie nieszczęście!

Raskolnikow przecisnął się przez tłum i ujrzał nareszcie to, co było przyczyną zbiegowiska. Na ziemi leżał człowiek, przed chwilą stratowany przez konie; był nieprzytomny, ubrany ubogo, cały we krwi. Krew ciekła mu po twarzy; cała głowa była pokaleczona. Prawdopodobnie doznał poważnych obrażeń pod kopytami koni.

– Ludzie, czy to ja winien? – lamentował stangret. – Jak tu upilnować? Jakbym jechał szybko albo nie wołał na niego, to insza rzecz, ale przecież jechałem zupełnie wolno. Wszyscy to widzieli, każdy może powiedzieć... Pijanemu morze po kolana, wiadomo... Patrzę, idzie przez ulicę, zatacza się, ledwo się trzyma na nogach, krzyknąłem więc raz, drugi i trzeci i zacząłem już ściągać konie, a on, diabli wiedzą w jaki sposób, wpadł wprost koniom pod nogi. Może nawet naumyślnie albo był już zanadto wstawiony... Konie młode, płochliwe, on krzyknął, szarpnęły się... takie nieszczęście!

– Tak, tak było, jak mówi – zaświadczył ktoś z tłumu.

– Krzyczał na niego... sam słyszałem, jak trzy razy krzyknął – odezwał się głos innego świadka.

– Wszyscy słyszeli, że trzy razy wołał – potwierdził trzeci.

Zresztą stangret nie był aż tak przestraszony i przygnębiony, jak to się wydawało na pierwszy rzut oka. Powóz należał widocznie do osoby bogatej i możnej i właściciel na pewno czekał na jego przybycie; okoliczność ta zaważyła na zachowaniu się policjantów, którzy starali się jak najprędzej zlikwidować całe zajście. Ofiarę wypadku należało zawieźć do najbliższego posterunku policji albo do szpitala. Nikt z obecnych nie znał nazwiska nieszczęśliwca.

Raskolnikow przecisnął się przez tłum i nachylił się nad ciałem leżącym na bruku. Wtem światło latarni padło prosto na twarz ofiary: Raskolnikow poznał go natychmiast.

– Znam go, znam! – zawołał, występując naprzód. – To urzędnik, dymisjonowany radca tytularny Marmieładow. Mieszka obok, w domu Kosela... Trzeba zawołać doktora! Ja zapłacę, dam pieniądze! – Wydobył z kieszeni zwitek banknotów i pokazał policjantowi. Znajdował się w stanie dziwnego podniecenia.

Policjanci byli zadowoleni, że dowiedzieli się wreszcie nazwiska ofiary. Raskolnikow wymienił swoje nazwisko i adres i zaklinał wszystkich, aby nieszczęśliwego Marmieładowa zanieśli czym prędzej do domu. Przejmował się tak, jakby tu chodziło o rodzzonego ojca.



– Tu niedaleko, obok – tłumaczył pośpiesznie – w domu Kosela, bogatego Niemca... Widocznie był pijany i wracał do domu... Ja go znam. To pijak nałogowy... Ma rodzinę, żonę, kilkoro dzieci i dorosłą córkę. Do szpitala daleko, a w domu na pewno znajdziemy lekarza. Ja zapłacę! Jak by nie było, w domu zaopiekuje się nim rodzina, a jeżeli go wieźć do szpitala, może umrzeć po drodze.

Zdołał nawet wcisnąć coś w łapę jednemu z policjantów. Zresztą sprawa była jasna i bez tego; w każdym razie Raskolnikow miał rację: o pomoc lekarską było tutaj łatwiej. Kilku ludzi podniosło ciało z ziemi; Raskolnikow szedł z tyłu, podtrzymując zwisającą głowę Marmieladowa i wskazując drogę. Do domu Kosela było ze trzydzieści kroków.

– Tędy, tędy! Na schodach trzeba nieść ostrożnie, głową naprzód... obróćcie go... tak, tak! Ja zapłacę, ja się odwdzięczę – bełkotał Raskolnikow.

Katarzyna Iwanowna, jak to było jej zwyczajem, gdy miała wolną chwilę, chodziła po swym małym pokoiku od okna do pieca i z powrotem, skrzyżowawszy ręce na piersiach, mrużąc coś do siebie i pokasłując. W ostatnim czasie coraz częściej prowadziła długie rozmowy ze swą starszą córeczką, dziesięcioletnią Poleńką. Dziewczynka nie mogła jeszcze zrozumieć wszystkiego, co mówiła matka, lecz to jedno rozumiała, że rozmowy z nią są dla matki koniecznością. Dlatego też Poleńka wodziła za matką swymi dużymi, mądrymi oczyma i udawała, że wszystko rozumie. Tego wieczoru Poleńka rozbierała młodszego braciszka, który był trochę niezdrów i powinien był wcześniej pójść do łóżka. Należało zmienić chłopcu koszulę, a brudną wyprać tej nocy. Chłopczyk siedział na krześle, milczący i nieruchomy, z poważną miną, wyciągnąwszy nóżki.

Przysłuchiwał się rozmowie mamusi z siostrzyczką i zachowywał się tak, jak powinno się zachowywać każde dziecko, które rozbierają do snu: słuchał, wydawszy wargi, wytrzeszczywszy oczki, skupiony i poważny. Młodsza siostrzyczka, ubrana w łachmany, stała za parawanikiem i czekała swej kolejki. Drzwi, prowadzące na schody, były otwarte na oścież; w ten sposób nieszczęsna suchotnica chciała pozbyć się kłębów tytoniowego dymu, które wdzierały się co chwila z innych pokoi i wywoływały u niej długie, męczące ataki kaszlu. Katarzyna Iwanowna w ciągu ostatniego tygodnia jeszcze bardziej schudła; czerwone wypieki na policzkach występowały wyraźniej niż przedtem.

– Nie uwierzysz mi, nawet wyobrazić sobie nie potrafisz, Poleńko – mówiła, szybko chodząc po pokoju – jakie wesołe i wspaniałe życie wiodłam w domu ojca; ten pijak zgubił mnie i was wszystkich unieszczęśliwił! Ojciec mój był w służbie cywilnej, ale miał rangę pułkownika, wkrótce miał zostać gubernatorem... Już był tak bliski awansu, że wszyscy przyjeżdżali do niego i mówili: „Iwanie Michajłowiczu, my wszyscy uważamy już pana za naszego gubernatora”. A kiedy ja... kche! gdy ja... kche! kche! kche! O, trzykroć przeklęte życie! – krzyknęła, plując i chwytając się ręką za pierś. – Kiedy ja... ach, gdy na ostatnim balu... u marszałka szlachty... zobaczyła mnie księżna Bezziemielna, która potem udzieliła mi błogosławieństwa, gdy brałam ślub z twoim ojcem, Poleńko, to zapytała od razu: „Czy to nie jest ta

urocza dziewczyna, która wykonała taniec z szalem na balu szkolnym?” (Tę dziurkę trzeba zacerować; weź igłę i zrób to zaraz, jak ci pokazywałam, bo jutro... kche! jutro... kche! kche! kche!... zupełnie się rozlezie! – wykrztusiła, dusząc się od kaszlu). Wtedy właśnie przyjechał z Petersburga kamerjunkier, książę Szczegolskoj... tańczył ze mną mazura, a nazajutrz chciał przyjechać, żeby się oświadczyć; ale podziękowałam mu za zaszczyt i dałam mu do zrozumienia, że serce moje należy do innego. Ten inny to był twój ojciec, Poleńko; mój tatuś gniewał się za to na mnie okropnie... Co, gotowa już koszulka? Dawaj ją tu, a gdzie pończoszki?... Lido! – zwróciła się Katarzyna Iwanowna do młodszej córeczki – prześpij jedną noc bez koszulki, jakoś się obejdiesz... tylko pończoszki połóż obok... Razem wypiorę... Czemu ten obdartus nie przychodzi, pijak! Koszulę ma brudną jak ścierka, podartą całą... Trzeba by wszystko razem wyprać, żeby już się nie męczyć przez dwie noce po kolei... Boże wielki... kche! kche! kche! Znowu! Co to? – krzyknęła przerażona, ujrawszy tłum w sieni i nieznanomych ludzi wnoszących coś do pokoju. – Co to? Co oni niosą? Wielki Boże!

– Gdzie go tu można położyć? – zapytał policjant, rozglądając się dokoła, gdy nieprzytomnego, zbitego krwią Marmieładowa wniesiono do pokoju.

– Na kanapie! Połóżcie go na kanapie, głową w tę stronę – wskazał Raskolnikow.

– Został przejechany na ulicy! Był pijany! – krzyknął ktoś ze schodów.

Katarzyna Iwanowna stała blada, z trudem łapiąc oddech. Dzieci przestraszyły się. Mała Lidoczka rzuciła się z krzykiem ku Poleńce i tuliła się do niej, drżąc całym ciałem.

Raskolnikow podbiegł do Katarzyny Iwanowny.

– Niech się pani uspokoi, niech się pani nie boi! – mówił pośpiesznie. – Przechodził przez ulicę, powóz go przejechał, ale niech się pani nie boi, on zaraz wróci do przytomności; to ja kazałem go przynieść tutaj... Byłem już kiedyś u pani, pamięta pani? Pani mąż zaraz odzyska przytomność... ja zapłacę za wszystko!

– Doigrał się! – krzyknęła Katarzyna Iwanowna w rozpacz i rzuciła się ku mężowi.

Raskolnikow wnet spostrzegł, że nie należy ona do tych kobiet, które padają zemdlone przy lada sposobności. Pod głową Marmieładowa natychmiast zjawiała się poduszka, o czym nikt dotychczas nie pomyślał. Katarzyna Iwanowna zaczęła rozbierać męża i oglądać rany, krzątała się szybko i sprawnie, zapomniawszy o sobie. Zagryzła wargi i tłumiła szloch wydzierający się z piersi...

Tymczasem Raskolnikow zdążył kogoś wysłać po doktora. Lekarz, jak się okazało, mieszkał w sąsiednim domu.

– Posłałem po lekarza – uspokajał Katarzynę Iwanowną – niech się pani nie obawia, ja zapłacę. Czy nie ma tu wody?... Przynieście prędzej serwetkę lub ręcznik, cokolwiek, byle szybko; nie wiadomo jeszcze, czy jest poważnie ranny... On jest tylko ranny, nie zabity, niech mi pani wierzy!... Zobacz pani, co doktor powie!

Katarzyna Iwanowna rzuciła się do okna. Tam, w kącie, na dziurawym

krześle stała wielka, gliniana misa z wodą przeznaczoną do nocnego prania bielizny dzieci i męża. Katarzyna Iwanowna sama prała po nocach co najmniej dwa razy na tydzień, niekiedy nawet częściej. Nędza rodziny Marmieładowa była już taka, że nikt z nich nie miał bielizny na zmianę. Katarzyna Iwanowna nie mogła znieść brudu i wołała męczyć się nad siły po nocach, gdy wszyscy śpią, aby do rana wysuszyć mokrą bieliznę na rozciągniętym sznurze i dać nazajutrz każdemu czystą. Podniosła misę z wodą, ale omal nie upadła z tym ciężarem. Raskolnikow tymczasem wyszukał ręcznik, zmoczył go w wodzie i zaczął zmywać krew z twarzy Marmieładowa. Katarzyna Iwanowna stała obok, nie mogąc złapać tchu, i przyciskała ręce do obolałych piersi. Widoczne było, że sama potrzebuje pomocy. Raskolnikow zaczął rozumieć, że popełnił błąd, gdy kazał zanieść rannego Marmieładowa do domu. Policjant przyglądał się tej scenie bezradnie.

– Pola! – krzyknęła Katarzyna Iwanowna. – Leć szybko do Soni! Jeśli nie zastaniesz jej w domu, każ ją zawiadomić, że ojca powóz przejechał i żeby natychmiast tu przyszła... jak tylko wróci. Prędszej, Pola! Masz chustkę, okryj się!

– Leć migiem! – zawołał nagle chłopiec siedzący na krześle. Powiedziawszy te słowa, znów umilkł i siedział jak przedtem: wyprostowany, z wyciągniętymi nóżkami i wytrzeszczonymi oczyma.

Tymczasem tłum wypełniał cały pokój. Policjanci odeszli, prócz jednego, który usiłował usunąć do sieni zgrają ciekawskich cisnących się z podwórza. Prawie wszyscy lokatorzy z innych pokoi, należących do pani Lippewechsel, tłoczyli się u drzwi, aż wreszcie gromadą wdarli się do pokoju. Katarzyna Iwanowna nie wytrzymała.

– Pozwólcie mu choć umrzeć spokojnie! – krzyknęła do gapiów. – Widowisko sobie robicie! Z papierosami włożą! Kche! kche! kche! Niewiele brakuje, żebyście w kapeluszach tu stali... Jeden już jest w kapeluszu! Precz stąd! Nawet dla umierającego nie macie szacunku!

Kaszel ją dusił, ale nagana poskutkowała. Widocznie w tym domu znano Katarzynę Iwanowną i nawet obawiano się jej trochę. Lokatorzy jeden po drugim wychodzili, odczuwając przy tym dziwne jakieś zadowolenie, które ogarnia ludzi, nawet bliskich, na widok nieszczęścia bliźniego; w jakiś niepojęty sposób uczucie to może kojarzyć się z najbardziej nawet szczerym współczuciem.

Za drzwiami jednak rozlegały się głosy, że rannego należy odwieźć do szpitala i że nie wolno tak niepokoić lokatorów.

– Umrzeć nawet nie wolno! – wrzasnęła Katarzyna Iwanowna i rzuciła się ku drzwiom, żeby kogo trzeba przywołać do porządku, ale w drzwiach zderzyła się z panią Lippewechsel, do której dopiero dotarła wieść o nieszczęściu. Pani Lippewechsel, nadzwyczaj kłótniwa i głupia Niemka, biegła co tchu, żeby zrobić porządek.

– Ach, mój Boże! – zawołała, załamując ręce. – Pani mąż pijany nadeptał koń. Do szpitala go! Ja tu jestem gospodyni!

– Amalio Ludwigowno! Niech pani się liczy ze słowami – zaczęła Katarzyna

Iwanowna wyniosłym tonem. (Zawsze mówiła z gospodynią wyniosłym tonem, żeby ta „znała swoje miejsce”, i nawet teraz nie mogła sobie odmówić tej przyjemności). – Amalio Ludwigowno!

– Ja już mówiła pani raz przedtem, że pani nie śmie mówiła do mnie Amalio Ludwigowno; ja jestem Amalia Iwan!

– Pani nie nazywa się Amalia Iwan, tylko Amalia Ludwigowna! Nie należę do sfory podłych pochlebców, jak pan Lebieziatnikow, który śmieje się tak głośno za drzwiami (za drzwiami istotnie rozlegał się śmiech i czyjś głos: „Biorą się za włosy!”), i dlatego będę zawsze panią nazywać Amalią Ludwigowną, choć w żaden sposób nie mogę zrozumieć, dlaczego to imię tak się pani nie podoba. Sama pani widzi, co się stało z Siemionem Zacharowiczem: mój mąż umiera! Proszę w tej chwili zamknąć drzwi i nikogo tutaj nie wpuszczać. Pozwólcie mu przynajmniej umrzeć spokojnie! W przeciwnym razie zaraz jutro zawiadomię o pani postępowaniu samego generał-gubernatora. Książę znał mnie dobrze jeszcze jako pannę i pamięta Siemiona Zacharowicza, któremu wiele razy wspaniałomyślnie pomagał. Wszyscy wiedzą, że Siemion Zacharowicz miał wielu przyjaciół i protektorów, do których się nie zwracał tylko dlatego, że był zbyt dumny i wstydził się swego nałogu. Ale teraz (wskazała przy tym na Raskolnikowa) zaopiekował się nami ten oto szlachetny młodzieniec rozporządzający wielkimi środkami i mający wpływy, którego Siemion Zacharowicz znał od dzieciństwa, i niech pani będzie pewna, Amalio Ludwigowno...

Katarzyna Iwanowna mówiła to wszystko jednym tchem, z ogromnym pośpiechem, który wzrastał z każdą chwilą, ale wreszcie kaszel przerwał jej przemówienie. W tej chwili umierający odzyskał przytomność i głucho jęknął; Katarzyna Iwanowna podbiegła ku niemu. Chory otworzył oczy i wpatrywał się w pochyloną nad nim twarz Raskolnikowa, choć jasne było, że go nie poznaje. Oddychał ciężko, z trudem i rżąc; na wargi wystąpiła mu krew, pot zrosił czoło. Nie poznał Raskolnikowa i zaczął niespokojnie wodzić wzrokiem dookoła. Katarzyna Iwanowna patrzyła na niego smutnym, lecz pełnym wyrzutu spojrzeniem; z oczu jej ciekły łzy.

– Boże miłosierny! Pierś ma całkiem zgniecioną! Ile krwi! – wymówiła wreszcie przez łzy. – Trzeba zdjąć z niego ubranie. Podnieś się trochę, Siemionie Zacharowiczu, jeśli możesz.

Marmieładow poznał ją.

– Popa! – wymówił ochryple.

Katarzyna Iwanowna podeszła do okna i przycisnęła czoło do zimnej szyby.

– Przeklęte życie! – krzyknęła nagle z rozpaczą.

– Popa! – jęknął umierający po chwili.

– Już posłano po niego! – odpowiedziała mu Katarzyna Iwanowna. Chory milczał. Wodził za żoną bojaźliwym, smutnym wzrokiem. Katarzyna Iwanowna znów podeszła do niego i stanęła przy wezglowiu. Chory uspokoił się, lecz nie na długo. Oczy jego spoczęły na małej Lidoczce (jego ulubienicy), która schowała się w kącie, drżąc na całym ciele jak w ataku febry i patrząc na ojca ze zdziwieniem, strachem, lecz i z dziecinną ciekawością.

- A... a... - stękał stary, wskazując z zaniepokojeniem na dziewczynkę. Chciał widocznie coś powiedzieć.
- No, czego jeszcze? - krzyknęła Katarzyna Iwanowna.
- Bosa... bosa... - bełkotał chory, obłąkanymi oczyma wskazując na gołe nóżki dziecka.
- Mi-i-lcz! - wrzasnęła Katarzyna Iwanowna mocno podrażnionym głosem.
- Sam dobrze wiesz, dlaczego chodzi boso.
- Doktor przyszedł, chwała Bogu - zakomunikował uradowany Raskolnikow.

Do pokoju wszedł doktor, maleńki, czyściutki, starannie ubrany Niemiec. Rozglądał się dokoła nieufnie. Potem podszedł do chorego, zbadał puls i uważnie obmacał głowę; przy pomocy Katarzyny Iwanowny rozpiął powalaną krwią koszulę i obnażył pierś chorego. Cała klatka piersiowa była zgnieciona, poszarpana i pokaleczona; kilka żeber z prawej strony było złamanych. Z lewej strony, w okolicy serca widniał wielki, złowieszczy, żółtoczarny siniec: ślad strasznego uderzenia kopytem. Doktor zmarszczył brwi. Policjant opowiedział doktorowi, jak koło powozu zaczepiło chorego i ciągnęło po bruku ze trzydzieści kroków.

- Dziwię się bardzo, że on w ogóle jeszcze odzyskał przytomność - szepnął doktor do Raskolnikowa.

- Co pan doktor powie o stanie chorego? - zapytał Raskolnikow.
- Umrze wkrótce.
- Czyżby nie było najmniejszej nadziei?
- Żadnej! Za chwilę wyzionie ducha... Na dobitek ma bardzo ciężkie rany na głowie... Hm! Mógłbym jeszcze puścić mu krew, ale... to wszystko już na nic. Za pięć, najwyżej dziesięć minut umrze. Nie ma rady.
- Niech pan doktor spróbuje przynajmniej puścić krew.
- Mogę... Zresztą uprzedzam pana, że nie odniesie to żadnego skutku...

Wtem w sieni rozległy się czyjeś kroki. Tłum rozstał się. Na progu ukazał się sędziwy staruszek, był to pop z sakramentem, zawiadomiony przez jednego z policjantów zaraz po zajściu. Doktor zamienił z popem znaczące spojrzenie i niezwłocznie ustąpił mu miejsca. Raskolnikow prosił doktora, aby pozostał jeszcze chwilę. Ten wzruszył ramionami, lecz zgodził się.

Wszyscy odeszli od łoża. Spowiedź trwała bardzo krótko. Umierający z trudem rozumiał popa i sam wydawał tylko urywane, niewyraźne dźwięki. Katarzyna Iwanowna zabrała Lidoczkę, zdjęła z krzesła chłopczyka, odeszła w kąt koło pieca i padła na kolana. Dzieci ukłękły również. Dziewczynka wciąż drżała jak w febrze, chłopczyk zaś klęczał, uroczyście podnosił rączkę, kreślił na piersi znak krzyża i kłaniał się do ziemi, uderzając czołem o podłogę, co sprawiało mu widoczną przyjemność. Katarzyna Iwanowna zagryzała wargi i powstrzymując łzy, modliła się także, od czasu do czasu poprawiała chłopczykowi koszulkę; na zbyt obnażone ramiona dziewczynki narzuciła chustkę, którą wydobyła z komody, nie przerywając modlitwy i nie podnosząc się z kolan. Ciekawi mieszkańcy wewnętrznych pokoi znów zaczęli otwierać drzwi i zaglądać. W sieni zgromadzili się lokatorzy z całego domu, ale zachowywali się przyzwoicie i nie przestępowali progu pokoju,

gdzie leżał konający. Cała ta scena była oświetlona tylko ogarkiem świecy.

W tej samej chwili przez tłum szybko przecisnęła się Poleńka, która pobięła po siostrę. Wpadła zdyszana do pokoju, zdjęła chustkę i odszukawszy matkę oczyma, podeszła do niej i szepnęła:

– Już idzie! Spotkałam ją na ulicy!

Matka ujęła dziewczynkę za ramię, zmuszając ją do ukłęknięcia obok siebie. Spośród otaczających wysunęła się po cichutku i nieśmiało młoda dziewczyna. Samo zjawienie się jej wydawało się dziwne wśród nędzy, łachmanów, śmierci i rozpaczki, królujących w pokoju. Ubrana była równie nędznie, ale uboga jej toaleta była utrzymana w krzyżujących barwach, jak tego wymagają gusta ulicy i smak tego odrębnego świata, do którego należała; każdy szczegół zdradzał jasno i haniebnie uwydatniony cel. Sonia stanęła w sieni, na progu pokoju, ale nie weszła dalej; patrzyła przed siebie jak nieprzytomna. Zdawało się, że zapomniała zupełnie o swej kupionej z czwartej ręki jedwabnej sukni z nadzwyczaj długim i śmiesznym ogonem, sukni, która w pokoju umierającego była rażąco nieprzyzwoita. Zapomniała o swej olbrzymiej krynolinie, która zatarasowała drzwi, o jasnych bucikach, o parasolce od słońca, którą miała przy sobie mimo pory wieczornej, o śmiesznym słomianym, okrągłym kapelusiku, ozdobionym jaskrawym piórem ognistego koloru. Spod tego figlarnie, na bakier włożonego kapelusza wyglądała drobna, blada i wystraszona twarzyczka z otwartymi ustami i oczami, które zdawało się, zastygły w niemym przerażeniu. Sonia była blondynką lat może osiemnastu, niskiego wzrostu, szczupłą, lecz dość przystojną, o cudownych niebieskich oczach. Nie odrywając wzroku, patrzyła na łóżko, na popa; nie mogła złapać tchu po szybkim biegu. Wreszcie dosłyszała szepty tłumu i nawet oddzielne wyrazy dotyczące jej osoby. Spuściła oczy, przeszła przez próg i stanęła w pokoju, tuż przy samych drzwiach.

Nareszcie spowiedź i komunia były skończone. Katarzyna Iwanowna znowu podeszła do łóżka męża. Pop ustąpił jej miejsca i zbierając się już do odejścia, zwrócił się do niej ze słowami pociechy.

– Co ja teraz z nimi pocznę? – ostro i gniewnie przerwała mu Katarzyna Iwanowna, wskazując na dzieci.

– Bóg jest miłosierny, niech pani ufa w pomoc Wszchemogącego – zaczął pop.

– E-ech! Miłosierny, ale nie dla nas!

– To grzech, wielki grzech tak mówić – zauważył pop, potrząsając głową.

– A czy to nie jest grzech? – krzyknęła Katarzyna Iwanowna, wskazując na umierającego.

– Możliwe, że ci, którzy mimo woli byli przyczyną jego śmierci, zechcą wynagrodzić pani utratę żywiciela.

– Wielebny mnie nie rozumie! – zawołała Katarzyna Iwanowna, machnąwszy w rozdrażnieniu ręką. – Nie ma za co nawet wynagradzać! Był pijany i sam wpadł pod konie! O jakim żywicielu wielebny mówi? On nie tylko nie żywił, ale jeszcze rujnował do reszty. Przecież ten pijak wszystko przepił. Okradał nas i wszystko zanosił do szynku; przepijał pieniądze dzieci

i moje własne! Chwała Bogu, że umiera! Mała szkoda, krótki żal!

– Wszystko należy przebaczać w godzinie śmierci; uczucia pani są wielkim grzechem!

Katarzyna Iwanowna krzątała się koło chorego, poila go, wycierała pot i krew z czoła, poprawiała poduszkę i nie przerywając tych zabiegów, rozmawiała z popem. Teraz jednak nagle zwróciła się ku niemu, krzyząc w ogromnym podnieceniu:

– Ech, proszę wielebnego! Puste słowa i nic więcej! Przebaczyć! Tak by i dziś było, gdyby go konie nie stratowały: wróciłby do domu pijany, koszulę ma na sobie brudną, podartą... położyłby się spać... a ja do świtu prałabym łachmany jego i dzieciaków, a potem suszyła je za oknem, a o świcie usiadłabym do cerowania – tak spędzam noce! I co tu mówić o przebaczeniu? Już mu przebaczyłam!

Głęboki, okropny kaszel przerwał jej mowę. Splunęła do chusteczki i pokazała popu, przyciskając drugą ręką pierś. Chusteczka była pełna krwi...

Pop zwiesił głowę i nie powiedział już więcej ani słowa.

Marmieładow leżał w agonii i nie odrywał oczu od twarzy Katarzyny Iwanowny, która znowu pochyliła się nad nim. Widoczne było, że chce jej coś powiedzieć, nawet próbował coś wykrztusić, z wysiłkiem poruszając wargami i niewyraźnie bełkocząc, lecz Katarzyna Iwanowna, domyśliwszy się, że chce ją prosić o przebaczenie, krzyknęła rozkazująco:

– Milcz! Nie trzeba!... Wiem, co chcesz powiedzieć!...

Chory umilkł. W tej chwili wzrok jego, błędzący po pokoju, spoczął na Soni. Nie zauważył jej przedtem, stała w kącie, ukryta w cieniu.

– Kto to? Kto to? – przemówił nagle ochryłym, zduszonym głosem, wskazując z przerażeniem oczami na drzwi, gdzie stała córka, i usiłując się podnieść...

– Leż! Leż! – krzyknęła Katarzyna Iwanowna.

Ale chory z niesłychanym wysiłkiem zdołał się unieść na pościeli, opierając się na ręce. Dzikim i nieruchomym wzrokiem patrzył przez chwilę na córkę, nie poznając jej. Nie widział jej jeszcze ani razu w takim stroju. Nagle poznał ją, uniżoną, przybitą, w krzykliwej toalecie i zawstydzoną, pokornie oczekującą, aż przyjdzie na nią kolej pożegnać się z umierającym ojcem. Wyraz nieskończonej męki pojawił się na jego twarzy.

– Soniu! Córko! Przebacz! – krzyknął umierający i wyciągnął ku niej rękę, lecz straciwszy równowagę, spadł z kanapy i upadł twarzą na podłogę. Wszyscy rzucili się ku niemu, podnieśli, ułożyli na pościeli... konał już. Sonia krzyknęła słabo, podbiegła do ojca, objęła go i zastygła w tym ostatnim uścisku. Zmarł w objęciach córki.

– Dopiął swego – powiedziała Katarzyna Iwanowna, ujrawszy, że mąż już nie żyje. – Co ja teraz pocznę? Skąd wezmę na pogrzeb? Czym jutro nakarmię dzieci?

Raskolnikow zbliżył się do Katarzyny Iwanowny.

– Katarzyno Iwanowno – zaczął – w zeszłym tygodniu mąż pani opowiedział mi historię swego życia i inne... okoliczności. Mówił o pani z najgłębszym szacunkiem. Od tego wieczoru, gdym się dowiedział, jak mąż



pani kochał swą rodzinę, a zwłaszcza jak kochał i szanował panią, od tego czasu staliśmy się przyjaciółmi... Niechże pani pozwoli mi teraz... okazać ostatnią przysługę... zmarłemu przyjacielowi. Mam tutaj... zdaje się ze dwadzieścia rubli, i jeżeli to może pani choć trochę pomóc, to... ja... jednym słowem, ja jeszcze przyjdę, na pewno przyjdę... prawdopodobnie przyjdę nawet jutro... Do widzenia!

Szybko wyszedł z pokoju i zaczął przeciskać się przez tłum zalegający schody; tutaj niespodziewanie natknął się na Nikodema Fomicza, który dowiedziawszy się o nieszczęściu, zjawił się osobiście, aby wydać odpowiednie zarządzenia. Nie widzieli się od owej sceny w cyrkule, lecz Nikodem Fomicz poznał Raskolnikowa.

– O, i pan tutaj? – zapytał.

– Już nie żyje – odpowiedział Raskolnikow. – Był doktor, był pop, wszystko w porządku. Niech pan nie męczy nieszczęsnej kobiety, ona ma suchoty w ostatnim stadium. Niech pan doda jej otuchy, jeśli pan może... Przecież pan jest dobrym człowiekiem, wiem o tym... – dodał z uśmiechem, patrząc mu prosto w oczy.

– Pan jest cały poplamiony krwią – zauważył Nikodem Fomicz, spostrzegłszy przy świetle latarni kilka ciemnych plam na kamizelce Raskolnikowa.

– Tak, poplamilem się... cały jestem poplamiony krwią – powiedział Raskolnikow jakimś dziwnym tonem; potem uśmiechnął się, skinął głową i począł schodzić ze schodów.

Szedł powoli, bez pośpiechu, ogromnie poruszony, i choć sam o tym nie wiedział, ogarnęło go nowe, potężne uczucie pełni i potęgi życia. Było to uczucie podobne do tego, jakie ogarnia skazańca, który nagle i niespodziewanie dowiaduje się, że został ułaskawiony. W połowie schodów dogonił go pop powracający do domu; Raskolnikow bez słowa ustąpił mu z drogi, zamieniwszy z nim ukłon. Gdy był już przy końcu schodów, posłyszał za sobą czyjeś pośpieszne kroki. Ktoś go gonił. Była to Poleńka, biegła za nim, wołając: „Proszę pana! Proszę pana!”.

Raskolnikow zatrzymał się. Dziewczynka zbiegła ze schodów i stanęła przed nim o stopień wyżej. W słabym świetle, które dochodziło z podwórza, Raskolnikow zobaczył szczupłą, a jednak miłą twarzyczkę dziewczynki, która uśmiechała się do niego i patrzyła na niego z dziecinną wesołością. Przybiegła do niego z poleceniem, które widocznie bardzo jej się podobało.

– Proszę pana, jak się pan nazywa?... i jeszcze... gdzie pan mieszka? – pośpiesznie zapytało dziewczę zadyszczonym głosem.

Raskolnikow położył ręce na jej ramionach i poczuł się prawie szczęśliwy. Widok tej dziewczynki sprawiał mu niewysłowioną przyjemność, choć sam nie wiedział dlaczego.

– Kto ciebie posłał?

– Posłała mnie siostrzyczka Sonia – odpowiedziała dziewczynka, uśmiechając się jeszcze radośniej.

– Od razu wiedziałem, że wysłała cię Sonia.

– Mamusia też mnie posłała. Kiedy Sonia kazała mi iść, mamusia podeszła

i mówi: „Biegnij prędzej, Poleńko!”.

– A czy ty kochasz siostrzyczkę Sonię?

– Ja ją kocham więcej niż wszystkich – powiedziała dziewczynka z przekonaniem i twarzą jej nagle spoważniała.

– A czy mnie będziesz kochać?

Zamiast odpowiedzi ujrzał pochylającą się ku niemu twarzą dziewczynki i pulchne wargi, naiwnie wysunięte do pocałunku. Nagle wątle ramionka mocno objęły jego szyję, główka dziecka znalazła się na jego ramieniu i dziewczynka zaszlochała, coraz mocniej tuląc się do niego.

– Żal mi tatusia! – powiedziała po chwili, podnosząc zapłakaną twarzą i ocierając ręką łzy. – Teraz wciąż walą się na nas nieszczęścia – dodała nagle z tą poważną miną, jaką zwykle przybierają dzieci, kiedy chcą rozmawiać „jak dorośli”.

– A czy tatuś was kochał?

– Lidoczkę kochał najwięcej – ciągnęła dalej mała. Spoważniała już zupełnie, nie uśmiechała się więcej i rzeczywiście była podobna do dorosłej.

– Tatuś dlatego Lidoczkę kochał, że ona taka mała i że chora, i zawsze coś jej przynosił. A nas tatuś uczył czytać; mnie uczył jeszcze gramatyki i religii – dodała z godnością – mamusia nic nie mówiła, ale wiedzieliśmy, że jej się to podoba; teraz mamusia chce mnie nauczyć po francusku, bo już czas, żebym się uczyła, jak należy.

– A modlić się umiesz?

– No pewnie! Już dawno się nauczyłam. Ja się modlę sama, osobno, bo już jestem dorosła, a Kola i Lidoczka modlą się razem z mamusią, na głos; najpierw odmawiam modlitwę do Matki Boskiej, a potem jeszcze jedną: „Boże, przebacz i pobłogosław naszej siostrzyczce Soni”, i jeszcze: „Boże, przebacz i pobłogosław naszemu drugiemu tatusiowi”, bo nasz starszy tatuś już nie żyje, a ten był drugi tatuś i za niego też się modlimy.

– Poleńko, ja mam na imię Rodion; pomódl się czasem i za mnie, za grzesznego Rodiona – nic więcej nie trzeba.

– Całe życie będę się za pana modlić – z zapalem powiedziała dziewczynka i nagle roześmiała się znowu, rzuciła się ku niemu i znowu mocno go objęła.

Raskolnikow podał jej swoje nazwisko i adres i obiecał, że na pewno przyjdzie nazajutrz. Mała odeszła zachwycona nowym znajomym. Gdy Raskolnikow wyszedł na ulicę, dochodziła jedenasta. Po upływie pięciu minut stał już na moście, w tym samym miejscu, skąd kobieta rzuciła się do wody.

„Dosyć! – orzekł stanowczo i uroczyście – precz złudzenia, urojone obawy i majaki!... Życie istnieje! Czyż nie żyłem przed chwilą? Moje życie nie skończyło się wraz ze śmiercią starej! Wieczny odpoczynek jej – i dosyć tego! Rozpoczyna się okres panowania rozsądku i światła... woli... i siły... Teraz zobaczymy! – dodał, jakby wyzywając jakieś ciemne moce. – A jednak byłem już zdecydowany żyć na takim małym skrawku ziemi!

...Jestem w tej chwili bardzo osłabiony, wydaje mi się jednak, że choroba już minęła. Wiedziałem, że minie, gdy wychodziłem z domu. Dobrze więc, dom Poczinkowa to dwa kroki stąd. Muszę być u Razumichina, choćby odległość była większa, niech tym razem wygra zakład!... Niech się ucieszy,

nic nie szkodzi!... Siła, siła potrzebna mi, bez siły nic nie da się zrobić, a siłę należy zdobywać właśnie siłą, tego oni nie wiedzą” – pomyślał wyniośle i chętnie. Poszedł, ledwie powłócząc nogami. Duma i buta narastały w nim, w ciągu jednej minuty był to już całkiem inny człowiek. Co wpłynęło na taką zmianę? Jak tonącemu wydało mu się, że deską ratunku jest myśl: „Moje życie nie skończyło się wraz ze śmiercią starej”. Myśl ta była przedwczesna, nie zastanawiał się jednak nad tym.

„Prosiłem ją jednak, żeby pomodliła się za Rodiona – przemknęło mu nagle przez myśl – tak... to na wszelki wypadek” – i roześmiał się z tej dziecinady. Był w znakomitym humorze.

Z łatwością odszukał Razumichina; w domu Poczinkowa znano już nowego lokatora i stróż zaraz wskazał mu drogę. Już w połowie schodów słychać było gwar i ożywione rozmowy licznego towarzystwa. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież: dochodziły odgłosy sprzeczki. Pokój Razumichina był obszerny, zebrało się tam z piętnaście osób. Raskolnikow zatrzymał się w przedpokoju. Za przepierzeniem krzątały się dwie służące przy samowarach, butelkach, talerzach i półmiskach z pierogiem i przekąskami przyniesionymi z kuchni gospodyni Razumichina. Raskolnikow polecił wywołać Razumichina, ten przybiegł natychmiast, zachwycony. Raskolnikow od razu poznał, że Razumichin wypił sporo; jakkolwiek nigdy nie mógł upić się do nieprzytomności, to jednak tym razem wszystkie oznaki wskazywały, że jest już „pod bardzo dobrą datą”.

– Słuchaj – rzekł Raskolnikow z pośpiechem – przyszedłem ci tylko powiedzieć, że wygrałeś zakład i że istotnie nikt nie może przewidzieć, co się z nim będzie dziać. Wejść jednak nie mam siły, upadłbym zaraz, a zatem witam cię i żegnam zarazem. A jutro wpadnij do mnie...

– Wiesz co, odprowadzę cię do domu! Skoro sam mówisz, że jesteś osłabiony, to...

– A goście? Kto to jest ten kędzierzawy, co wyjrzał przed chwilą?

– Albo ja wiem? Może wuj przyprowadził, a może sam przyszedł... Zostawię z nimi wuja, to cudowny człowiek, szkoda, że nie możecie się poznać. A resztą, pal ich licho! Teraz nie jestem im już tak bardzo potrzebny i chcę się nieco odświeżyć; w samą porę przyszedłeś, mój drogi, jeszcze dwie minuty, a pobiłbym się z nimi. Takie prawią głupoty... Nie masz pojęcia, do jakiego stopnia zidiocenia może dojść człowiek! Zresztą jak można to strawić? Chociaż i my sami nieraz... Niech ich tam... Niech sobie plotą, za to potem pleść głupot nie będą... Zaczekaj tu chwileczkę, przyprowadzę Zosimowa.

Zosimow jakby tylko czekał na Raskolnikowa, rzucił się do niego z jakimś szczególnym zainteresowaniem. Po chwili twarz mu się rozjaśniła.

– Natychmiast spać – powiedział, obejrzawszy pacjenta – a na noc zażyć jedną dawkę. – Zażyje pan? Wczoraj przygotowałem już... taki proszek.

– Nawet dwa – odparł Raskolnikow. Zażył lekarstwo natychmiast.

– To bardzo dobrze, że go odprowadzisz – powiedział Zosimow do Razumichina – jutro zobaczymy, co będzie. Jak na dziś, jest bardzo dobrze: znaczne polepszenie. Człowiek uczy się, póki żyje...

– Wiesz, co mi Zosimow szepnął, gdy wychodziliśmy? – rzekł Razumichin, gdy znaleźli się już na ulicy. – Powiem ci, bracie, wszystko wprost, bo oni wszyscy są głupcami. Zosimow kazał mi rozmawiać z tobą przez drogę i zdać mu potem sprawozdanie. Widzisz, Rodia, on myśli, że ty... postradałeś zmysły lub że ci w każdym razie niewiele do tego brakuje. Uważasz? Po pierwsze, ty jesteś trzy razy mądrzejszy od niego, po wtóre, jeżeli jesteś przy zdrowych zmysłach, to możesz plunąć na te jego głupie pomysły, a po trzecie, ten kloc, który jest właściwie chirurgiem, studiuje teraz z zapałem psychiatrię, a co do ciebie, to mu klina zabiła twoja dzisiejsza rozmowa z Zamietowem.

– Czy Zamietow opowiedział ci wszystko?

– Tak. I bardzo dobrze zrobił. Teraz rozumiem wszystko co do joty i Zamietow także... Tak, jednym słowem, Rodia... sprawa jest taka... Jestem teraz nieco wstawiony, ale to nic nie szkodzi... Sprawa jest taka, że ta myśl... ty mnie rozumiesz? Ta myśl rzeczywiście poczęła w nich kiełkować... ty to rozumiesz. To znaczy, że żaden z nich nie odważy się wypowiedzieć głośno tego horrendalnego głupstwa, a w końcu, gdy tego malarza wsadzili, to całkiem już w to przestali wierzyć. Ale skąd biorą się takie półgłówki? Pobiłem wtedy trochę Zamietowa – mówię ci to tylko w cztery oczy i broń Boże, nie daj poznać po sobie, że o tym wiesz, przekonałem się bowiem, że Zamietow jest bardzo ambitny, przekonałem się niedawno, gdy byliśmy u tej Luizy Iwanowny – ale dzisiaj wszystko się wyjaśniło. Alfa i omega wszystkiego był Ilja Pietrowicz! Skorzystał wtedy z twego omdlenia w cyrkule i robił najrozmaitsze przypuszczenia, a potem sam się wstydził tych przypuszczeń; wiem o tym...

Raskolnikow słuchał chciwie. Razumichin wygadał się ze wszystkiego, bo był pijany.

– Zemdlałem wtedy, bo było bardzo duszno i czuć było okropnie farbę – rzekł głośno.

– On się jeszcze usprawiedliwia! To nie farba, to zapalenie, które drzemało w tobie już od miesiąca, tak to wytłumaczył Zosimow. Jak teraz ten smarkacz Zamietow spuścił nosna kwintę, tego sobie nawet przedstawić nie możesz. „Nie jestem wart nawet tyle, co mały palec tego człowieka” – mówi (ma na myśli twój mały palec). On myśli i gada czasem całkiem do rzeczy, ale ta lekcja, której udzieliłeś mu dziś w „Pałacu Kryształowym”, to było coś wspaniałego! Napędziłeś mu przede wszystkim porządnego stracha. Najpierw zmusiłeś go, by znowu uwierzył w tę głupią myśl, a potem, na końcu dopiero, pokazałeś mu język: „A ku-ku!”. Doskonale! Został zmiażdżony i unicestwiony. Wybornie! Dobrze mu tak. Szkoda, że mnie tam nie było! Cekał teraz na ciebie. Również Porfiry chciał cię poznać...

– A już i ten? A dlaczego zrobiliście ze mnie wariata?

– Ale skąd znowu... wariata. Zdaje się, że za dużo nagadałem... Zdawało im się, że wszystko kręci się około tego jednego punktu, a teraz ten punkt jest wyjaśniony... znając wszystkie okoliczności... i jak to cię rozdrażniło wtedy i jaki miało związek z chorobą... Ja, bracie, jestem trochę pijany, ale diabli go wiedzą, on ma jakąś ideę... Mówię ci, zwariował po prostu na punkcie chorób

nerwowych. Ale gwizdź na to...

Przez pół minuty obaj milczeli.

– Słuchaj, Razumichin – pierwszy przemówił Raskolnikow – chcę ci coś wyznać. Byłem przed chwilą przy łożu umierającego... Urzędnik jeden umarł... dałem tam wszystkie pieniądze... i pocałowała mnie przed chwilą pewna mała istotka, tak że nawet gdybym kogoś zamordował, to mimo to czułbym się... i widziałem tam jeszcze jedną istotę... z ognistym piórem... mówię jednak od rzeczy... bredzę... podtrzymaj mnie, zaraz będą schody...

– Co ci? Co ci jest? – zapytał Razumichin zaniepokojony.

– W głowie mi się trochę kręci, ale to głupstwo... jest mi jednak tak smutno, tak smutno! Tak jakbym był kobietą... Patrz, co to? Spójrz!

– Co jest?

– Nie widzisz? Światło w moim pokoju, widać przez szparę...

Byli już na ostatnich schodach, przy drzwiach gospodyni. Rzeczywiście z izdebki Raskolnikowa sączyło się światło.

– Dziwne! Może to Nastazja? – powiedział Razumichin.

– Ona nigdy o tej porze nie przychodzi do mego pokoju, dawno już śpi. Wszystko jedno... Bądź zdrów!

– Co ci jest? Odprowadzę cię do pokoju.

– Dobrze, chciałbym jednak pożegnać cię tu, przed progiem uścisnąć twoją dłoń. No, podaj mi rękę, bądź mi zdrów!

– Co ci jest, Rodia?

– Nic! Chodź!... Będziesz świadkiem...

Ruszyli na górę. Razumichin nie mógł opędzić się od myśli, że może jednak Zosimow miał rację. „Ech! Rozdrażniłem go moją paplaniną!” – szepnął do siebie. Wtem, gdy zbliżali się do pokoju, usłyszeli dochodzące stamtąd głosy.

– Co to znaczy? – zdumiał się Razumichin.

Raskolnikow pierwszy ujął za klamkę, otworzył drzwi i stanął na progu jak wryty.

Matka i siostra siedziały na kanapie i czekały na niego już półtorej godziny. Dlaczego tak mało myślał o nich, choć dziś jeszcze przyszła kolejna wiadomość, że są już w drodze, że lada chwila przybędą? Przez cały czas jedna i druga wypytywały Nastazję, która i teraz stała przed nimi i opowiadała o wszystkim z najdrobniejszymi szczegółami. Omal nie zemdlały, dowiedziawszy się, że on w gorączce „uciekł dziś” nie wiadomo dokąd. „Boże, co się z nim dzieje!”. Obydwie płakały i cierpiały męki w czasie oczekiwania.

Przywitały Raskolnikowa radosnym i pełnym zachwytu okrzykiem. Obie rzuciły się ku niemu. Ale on stał jak wryty. Okropna świadomość rzeczywistości poraziła go jak piorun. Jego ręce nie podniosły się, aby uścisnąć najdroższe mu istoty. Matka i siostra tuliły go w objęciach, płacząc i śmiejąc się na przemian... Ledwie zrobił krok, zachwiał się i runął na podłogę. Stracił przytomność.

Przerażenie, krzyki, jęki... Razumichin wpadł do pokoju, chwycił w swe silne ramiona chorego i ułożył go na kanapie.

– Nic to, nic to – mówił do matki i siostry – on tylko zemdlał, to głupstwo!

Przed chwilą doktor mówił, że jest mu znacznie lepiej, że jest zupełnie zdrow! Wody! O, już przychodzi do siebie, już po wszystkim!

Chwycił rękę Duni tak, że omal jej nie wykręcił, by zmusić ją do pochylecia się nad chorym i upewnienia się, że „już po wszystkim”.

I matka, i siostra spoglądały na Razumichina jak na wysłańca Opatrzności, z zachwytem i wdzięcznością. Słyszały już od Nastazji, czym był dla Rodiona przez cały czas choroby ten „roztropny młodzieniec”, jak nazwała go tegoż wieczoru sama Pulcheria Raskolnikowa w poufnej rozmowie z Dunią.

## Część trzecia

### I

Raskolnikow uniósł się i usiadł na kanapie.

Słabym ruchem ręki dał znak Razumichinowi, aby przerwał potok bezładnych i pośpiesznych słów pocieszenia, którymi starał się uspokoić matkę i siostrę. Potem ujął obie kobiety za ręce i patrzył im w oczy przez dobre dwie minuty. Matka przeraziła się tego spojrzenia. W jego wzroku malowała się bezgraniczna miłość, a równocześnie odrętwienie graniczące z obłądem.

Pulcheria Aleksandrowna wybuchnęła płaczem. Dunia zbladła; jej dłoń zadrżała w dłoni brata.

– Niech odprowadzi was do domu – rzekł złamanym głosem, wskazując na Razumichina. – Do widzenia, jutro będzie wszystko... Kiedy przyjechałyście?

– Dziś wieczór, kochany Rodia – odparła Pulcheria Aleksandrowna. – Pociąg spóźnił się, i to bardzo. Teraz jednak nie opuszczę cię, Rodia, za nic na świecie. Pozostanę z tobą przez noc...

– Nie dręczcie mnie! – zaprotestował i z rozdrażnieniem machnął ręką.

– Zostanę przy nim! – oświadczył Razumichin. – Nie zostawię go ani na chwilę samego. Moi goście mogą iść do diabła! Mój wuj sam potrafi czynić honory domu!

– Jakże mam panu dziękować... – zaczęła Pulcheria Aleksandrowna, ściskając dłoń Razumichina, ale Raskolnikow przerwał jej:

– Nie mogę, już nie mogę! – powtarzał nerwowo. – Nie męczcie mnie! Dosyć tego, idźcie już... nie mogę!...

– Chodźmy, mamo, wyjdźmy choćby na chwilę z pokoju! – szepnęła Dunia z przestachem. – Męczymy go, to jasne.

– Czyż po trzech latach nie wolno mi popatrzeć trochę dłużej na niego! – załkała Pulcheria Aleksandrowna. Jednak Raskolnikow przerwał jej znowu:

– Poczekajcie! Przerywacie mi wciąż, aż mi się w głowie miesza... Widziałyście Łużyna?

– Nie, Rodia, on wie jednak, żeśmy przyjechały. Słyszałyśmy, że Piotr Pietrowicz był tak uprzejmy i odwiedził cię dzisiaj – dodała Pulcheria Aleksandrowna, nieco zafrasowana.

– Tak... był tak uprzejmy!... Duniu, powiedziałem dziś temu Łużynowi, że zrzucę go ze schodów, i wygoniłem precz...

– Rodia, co ty wygadujesz! Nie chcesz chyba powiedzieć... – zaczęła Pulcheria Aleksandrowna z przerażeniem, ale popatrzawszy na Dunie, zamilkła.

Dunia patrzyła uważnie na brata, czekając, co jeszcze powie. Nastazja opowiedziała im już przedtem o kłótni. Ponieważ jednak nie wszystko zrozumiała i nie wszystko potrafiła powtórzyć, przeto obie kobiety cierpiały bardzo wskutek niepewności.

– Duniu – mówił dalej z wysiłkiem Raskolnikow – nie godzę się na to



małżeństwo i dlatego musisz zaraz jutro przy pierwszym słowie zerwać z Łużynem, abyśmy go więcej nie widzieli.

– Mój Boże! – krzyknęła Pulcheria Aleksandrowna.

– Bracie, zastanów się... co mówisz!... – odparła gniewnie Dunia, uspokoiła się jednak zaraz. – Może nie jesteś teraz w stanie myśleć rozsądnie, jesteś zmęczony – dodała łagodnie.

– Myślisz, że bredzę w gorączce? Nie... Chcesz poślubić Łużyna ze względu na mnie. Ja jednak nie przyjmuję tej ofiary. I dlatego napiszesz mu jutro list... w którym zawiadomisz go o zerwaniu... Rano dasz mi do przeczytania i wszystko się skończy.

– Nie mogę tego zrobić! – rzekła dziewczyna zbolalym głosem. – Jakim prawem...

– Kochana Duniu, i ty się zbyt unosisz, daj spokój, jutro... Czy nie widzisz... – przerwała Duni przestraszona matka. – Najlepiej będzie, jeśli pójdziemy!

– On bredzi! – stwierdził podpity Razumichin. – Inaczej nie odważyłby się tak mówić! Jutro wszystko minie. Faktem jest jednak, że dziś wyrzucił go za drzwi. Tak było rzeczywiście. No, a tamten wściekł się na dobre!... Wygłosił tu wielką mowę i chciał nam zaimponować swoją wiedzą, ale w końcu zrejterował...

– A więc to prawda? – jęknęła Pulcheria Aleksandrowna.

– A więc do widzenia, do jutra – rzekła Dunia ze współczuciem. – Chodźmy, mammo!... Bądź zdrow, Rodia!

– Czy słyszysz, siostró – wołał za nią ostatkiem sił – ja nie bredzę, to małżeństwo byłoby podłością. Ja mogę być łotrem, ty jednak nie powinnaś... dosyć, że ktoś jeden... a nawet gdybym był łotrem, to takiej siostry nie uznaję za siostrę. Albo ja, albo Łużyn! A teraz możecie iść...

– Zwariowałaś widocznie, ty despoto! – krzyknął Razumichin.

Jednak Raskolnikow nie odparł nic, być może zabrakło mu sił. Wyciągnął się na kanapie i wyczerpany odwrócił się do ściany. Dunia z żywym zainteresowaniem popatrywała na Razumichina, jej czarne oczy błyszczały; Razumichin zadrżał pod tym spojrzeniem. Pulcheria Aleksandrowna stała jak skamieniała.

– W żaden sposób nie mogę go opuścić! – szepnęła z rozpaczą. – Zostanę tu, chyba znajdzie się dla mnie jakiś kątek... Niech pan odprowadzi do domu moją córkę.

– Popsuje pani wszystko, pozostając tu – odparł również szeptem Razumichin, bardzo poruszony. – Niech pani wyjdzie przynajmniej na schody. Nastka, poświęć nam. Zapewniam panią – mówił dalej szeptem, gdy znaleźli się już na schodach – że o mało co nie pobił dziś mnie i lekarza! Czy pani rozumie? Nawet lekarza! A ten, aby go nie drażnić, uczynił zadość jego życzeniu i odszedł, ja zaś pozostałem na dole, żeby na niego uważać; on jednak ubrał się i uciekł. Gdy go pani rozdrażni, odejdzie nawet teraz w nocy, jeszcze sobie coś robi...

– Na miłość boską, co też pan mówi!

– Tak, a oprócz tego nie może przecież Awdotia Romanowna pozostać sama

bez pani w tym hotelu, w którym pani zamieszkała. Ten łotr, Piotr Pietrowicz, mógł paniom załatwić lepsze miejsce... Ale wie pani, jestem trochę nietrzeźwy, i dlatego wyrwało mi się takie słowo; niech pani nie zważa na to...

– Chciałabym zobaczyć się z gospodynią – odparła Pulcheria Aleksandrowna, która nie dała się odwieść od swego zamiaru – i poprosić ją o nocleg dla mojej córki. Pozostawić jego w tym stanie nie mogę, nie mogę!

Rozmowę tę prowadzili na schodach, tuż przed drzwiami gospodyni. Nastazja stała o kilka stopni niżej i świeciła im. Razumichin był bardzo poruszony. Przed pół godziną jeszcze, gdy odprowadzał Raskolnikowa do domu, okazał się wprawdzie nadmiernie gadatliwy, z czego jasno zdawał sobie sprawę, jednak mimo olbrzymiej ilości wypitego alkoholu był przytomny zupełnie i rześki. Teraz zaś popadł w stan euforii, a jednocześnie wypity alkohol jakby ze zdwojoną siłą uderzał mu do głowy. Stał przed obiema paniami i trzymając je za ręce, starał się przekonać, przytaczając swoje racje z zadziwiającą szczerością; prawdopodobnie dla lepszego efektu niemal przy każdym słowie ścisnął boleśnie ich dłonie jakby kleszczami. Dunię wprost pożerał przy tym oczyma, nie krępując się zupełnie. Kobiety, czując ból, starały się wyrwać swe ręce z uścisku jego olbrzymich, kościstych łap; on nie widział tego i coraz bardziej przyciągał je ku sobie. Gdyby zażądały od niego, żeby rzucił się ze schodów, byłby to uczynił natychmiast, bez namysłu lub wahania. Pulcheria Aleksandrowna, bardzo zaniepokojona stanem syna, miała wprawdzie wrażenie, że młody człowiek zachowuje się nieco dziwnie i że zbyt boleśnie ścisną im ręce, ponieważ jednak był on dla niej zarazem człowiekiem opatrnościowym, wolała nie zważać na te drobne niestosowności. Młodą dziewczynę zdziwiły, a nawet przestraszyły pałające niesamowitym blaskiem oczy ich nowego znajomego i opiekuna. Jakkolwiek nie była trwożliwa z natury, to jednak zmieszła się i złękła, i tylko nieograniczone zaufanie, którego nabrała do tego dziwnego człowieka pod wpływem opowiadań Nastki, powstrzymało ją od ucieczki wraz z matką. Zdawała sobie również sprawę z tego, że w tej chwili ucieczka nie była możliwa. Dziesięć minut później uspokoiła się jednak zupełnie. Właściwością Razumichina było to, że niezależnie od stanu, w jakim się znajdował, odkrywał bez reszty całą swą duszę, tak że każdy dowiadywał się natychmiast, z kim ma do czynienia.

– Do gospodyni w żaden sposób nie może pani pójść, to jest zupełnie głupi pomysł! – gorączkowo przekonywał Pulcherię Aleksandrowną. – Wprawdzie jest pani jego matką, lecz mimo to, jeżeli pozostanie pani tutaj, doprowadzi go pani do pasji i diabeł wie, co z tego wyniknie! A więc niech pani posłucha, co chcę zrobić: teraz zostanie przy nim Nastka, ja zaś odprowadzę panie do hotelu, bo same nie możecie wyjść na ulicę, u nas w Petersburgu jest pod tym względem... Zresztą, nie mówmy o tym!... Pobiegnę z powrotem i za kwadrans, słowo honoru!, przyniosę paniom dokładne wiadomości, jak on się ma, czy śpi, czy nie itd. Potem, niech pani tylko posłucha, potem pobiegnę szybko do mego domu, mam tam gości, wszyscy pijani; zabiorę stamtąd Zosimowa – to jest ten lekarz, który go leczy; znajduje się on wśród moich

gości; nie jest jednak pijany, bo on nigdy się nie upija! Zaciągnę go do Rodi, a zaraz potem przyjdę do pań; w ten sposób w ciągu godziny otrzymacie panie dwa sprawozdania o stanie jego zdrowia, w tym jedno od lekarza, czy rozumie pani? Od samego lekarza. To coś całkiem innego niż ode mnie! Gdyby jego stan się pogorszył, to przysięgam, że przyprowadzę panią tu z powrotem, jeżeli jednak nastąpi polepszenie, to może pani spać spokojnie. Ja sam jednak spędzę całą noc tutaj, w sieni; Rodia nie dowie się o tym; co do Zosimowa zaś, to postaram się o nocleg dla niego u gospodyni, abyśmy mieli go pod ręką. Bo kto mu jest teraz bardziej potrzebny: pani czy lekarz? Lekarz jest potrzebniejszy, niewątpliwie, a więc niech pani idzie do domu! U gospodyni nie może pani zostać; ja mógłbym, pani jednak nie może; nie wpuściłaby pani w ogóle, ponieważ... no, bo jest dziwaczna... Jeśli jednak chce pani poznać przyczynę, to polubiła mnie bardzo i byłaby natychmiast zazdrosna o Awdotię Romanownę, a i o panią też... O Awdotię Romanownę na pewno; ma ona nieobliczalny charakter, zupełnie nieobliczalny! Ja zresztą jestem również głupcem... jednak mniejsza o to. Chodźmy, proszę pani! Czy ufa mi pani? Tak czy nie?

– Chodźmy, mam – rzekła Dunia – zrobi na pewno to, co obiecał. Uratował już raz życie Rodi. Jeśli lekarz zdecyduje się tu przenocować, to będzie z pewnością najlepsze wyjście.

– Widzi pani, widzi pani... tak, pani mnie rozumie, ponieważ pani jest aniołem! – wołał Razumichin w najwyższym uniesieniu. – Chodźmy zatem! Nastka, wracaj w te pędy na górę, zostań przy nim ze światłem, za kwadrans wróć...

Jakkolwiek Pulcheria Aleksandrowna nie była jeszcze całkiem przekonana, ale nie sprzeciwiała się dłużej. Razumichin podał każdej z nich ramię i sprowadził je w dół po schodach. Matka jednak miała pewne wątpliwości co do niego. „Jest roztropnym i poczciwym młodym człowiekiem, ale czy będzie mógł dotrzymać danej obietnicy w takim stanie, w jakim się znajduje?...”.

– Widzę, że pani ma wątpliwości z powodu mego stanu! – powiedział Razumichin, odgadując jej myśli. Stawiał przy tym tak olbrzymie kroki i pędził tak szybko po chodniku, że obie panie nie mogły nadażyć, ale nie zważał na to zupełnie.

– Głupstwo! To jest, chciałem powiedzieć, że jestem pijany, ale to jest zupełnie obojętne; moja nietrzeźwość nie pochodzi z wódki, lecz z tego, że skoro tylko panie ujrzałem, coś uderzyło mi do głowy... Proszę nie zwracać na mnie uwagi, plotę głupstwa; jestem pani niegodny... W najwyższym stopniu niegodny!... Jak tylko odprowadzę panie do domu, wyleję sobie tu, nad kanałem, dwa wiadra wody na głowę i zaraz przyjdę do siebie... Gdybyście panie wiedziały, jak bardzo obie je kocham!... Nie śmieście się ze mnie ani nie gniewajcie się na mnie... Gniewajcie się na wszystkich dokoła, byle nie na mnie! Jestem przyjacielem Rodi, a więc i waszym. Chciałbym... Czuję to już dawno... jeszcze w zeszłym roku był taki moment... A zresztą nie przeczuwałem niczego, spadłyście jakby z nieba. Może całą noc nie będę mógł spać... Zosimow wyraził dziś obawę, że Rodion może postradać zmysły. Dlatego nie należy go drażnić...

– Co też pan mówi! – krzyknęła matka.

– Czy lekarz rzeczywiście tak mówił? – spytała Dunia z niepokojem.

– Tak mówił, jednak to nic nie znaczy, zupełnie nic. Dał mu też lekarstwo, jakiś proszek, na własne oczy widziałem. Nagle panie przyjechały... ach... Lepiej byłoby, gdybyście przyjechały jutro! Dobrze przynajmniej, żeście odeszły: za godzinę sam Zosimow zda wam relację. Tak, on nigdy się nie upija! I ja również wytrzeźwieję... Jak to się stało, że się tak zalałem? Wszystkiemu winna ta dyskusja, do której mnie ci szubrawcy wciągnęli! A tak przysięgałem sobie, że nigdy więcej nie będę się wdawał w dyskusje... Co za głupstwa ci ludzie wygadywali! Omal ich nie pobiłem! Pozostawiłem tam mego wuja, niech odgrywa rolę pana domu... No, czy panie uwierzą, że oni żądają, aby ludzie wyzbyli się swych indywidualnych właściwości, i w tym widzą swój ideał! Aby się tylko niczym nie wyróżniać i być jak najmniej sobą! I to uważają za ostateczny cel rozwoju ludzkości! Gdyby ta ich idiotyczna paplanina miała w sobie przynajmniej coś oryginalnego, jednak...

– Pozwoli pan... – przerwała nieśmiało Pulcheria Aleksandrowna. To jednak dodało mu tylko werwy.

– Cóż pani sobie myśli? – perorował jeszcze głośniejszym głosem. – Czy wyobraża pani sobie, że ja przejmuję się tymi ich głupstwami! Ja nawet bardzo lubię, gdy ci ludzie mówią głupstwa, prawienie głupstw jest jedynym przywilejem, który wywyższa ludzi ponad inne stworzenia. Kto mówi głupstwa, ten dochodzi do prawdy! Właśnie to, że mówię głupstwa, czyni mnie człowiekiem. Do żadnej prawdy się nie dochodziło, nie palnąwszy przedtem czternaście razy, może nawet sto czternaście razy głupstwa, i jest to rzecz godna szacunku; my jednak nie możemy własnym rozumem nawet głupstwa sformułować. Gadaj głupoty, lecz rób to na swój własny sposób, a ja cię za to pocałuję. Mówić głupstwa w oryginalny sposób to nawet lepiej, niż mówić prawdę według utartych, obcych wzorów; w pierwszym wypadku jest się człowiekiem, w drugim papugą. Prawda nam nie ucieknie; można jednak popsuć sobie życie przez to głupie wyrzeczenie się indywidualności; można na to przytoczyć mnóstwo przykładów. Czym bowiem jesteśmy teraz? Nasze wiadomości z dziedziny nauki, postępu, rozwoju myśli, wynalazczości, ideałów, dążeń, liberalizmu, rozsądku, doświadczenia i w ogóle wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego, wszystkiego są na poziomie przedwstępnej klasy gimnazjum! Nabraliśmy upodobania do pomagania sobie obcą mądrością, przyzwyczailiśmy się do tego! Czyż nie jest tak? Czyż nie mam racji? – Razumichin podniecał się coraz bardziej, ściskając i potrząsając rękę obu pań. – Czyż to nie tak?

– O mój Boże, sama nie wiem – odparła biedna Pulcheria Aleksandrowna.

– Tak, tak... jakkolwiek nie we wszystkim zgadzam się z panem – zaczęła Dunia zupełnie poważnie, natychmiast jednak krzyknęła z bólu, Razumichin ścisnął jej bowiem bardzo boleśnie rękę.

– Tak? Pani mówi, że tak? W takim razie... W takim razie jest pani... – wołał w uniesieniu – w takim razie jest pani wcieleniem dobroci, czystości, rozumu i... doskonałości! Proszę dać mi swoją rękę, proszę o to... i pani również niech mi da swoją; chciałbym ucałować rękę pań tu, zaraz teraz, na kolanach!

I padł na kolana na środku chodnika. Na szczęście nie było nikogo w pobliżu.

– Ależ niech pan przestanie, proszę pana, co pan robi? – zawołała zaskoczona Pulcheria Aleksandrowna.

– Proszę wstać – dodała Dunia, rozbawiona i zaniepokojona zarazem.

– Za nic w świecie, dopóki nie da mi pani swojej ręki! Tak, dobrze, a teraz dosyć, teraz wstaję i idziemy! Nieszczęsny dureń ze mnie, jestem niegodny pani, pijany i wstydzę się... Nie jestem godzien kochać pani, ale podziwiać panią musi każdy, o ile nie jest bydlakiem! Dlatego też ukląknę przed panią... Oto pani hotel, już z tego choćby powodu Rodion uczynił zupełnie słusznie, że wyrzucił dziś Piotra Pietrowicza! Jakże ten człowiek mógł się odważyć umieścić panie w takim miejscu! Przecież to skandal! Czy panie wiedzą, komu się tu wynajmuje pokoje? Pani jest przecież jego narzeczoną! Nieprawdaż? A więc muszę pani powiedzieć, że narzeczony, który tak postępuje, to łotr!

– Przepraszam, panie Razumichin, pan się zapomina... – przerwała Pulcheria Aleksandrowna.

– Tak, tak, zupełnie słusznie, zapomniałem się i wstydzę się tego! – pośpiesznie zgodził się Razumichin, rozumiejąc, że się zagalopował. – Jednak... jednak... nie powinna się pani na mnie z tego powodu gniewać! Mówię tak, bo tak myślę, a nie dlatego, że panią... hm! to byłoby podłe; jednym słowem, nie dlatego, że panią... hm!... a zresztą nie mówmy o tym, nie śmiem mówić, nie powiem dlaczego... nie odważę się... Jednak dziś, gdy przyszedł on do Rodi, poczuliśmy wszyscy, że nie nadaje się on do naszej sfery. Nie dlatego, że dał sobie u fryzjera ufryzować włosy, nie dlatego, że spieszo mu było popisać się swoim rozumem, lecz dlatego, że jest on szpiclem i spekulantem, Żydem i błaznem; widać to jak na dłoni. Myśli pani, że on jest mądry? Nie, to dureń! A więc czy jest to odpowiedni mąż dla pani? Och, mój ty Boże! Niech panie zważą – zatrzymał się nagle na schodach hotelu, po których już wchodzili – ci ludzie u mnie w domu są wprawdzie wszyscy pijani, ale wszyscy są uczciwi i jeżeli nawet mówimy głupstwa, a głupstwa mówimy wszyscy, to na tej drodze dojdziemy jednak do prawdy, ponieważ droga ta jest uczciwa, tymczasem Piotr Pietrowicz... nie kroczy drogą honoru. A ja, jakkolwiek solidnie ich wszystkich wyłajałem, to jednak mam dla nich wielki szacunek; dla Zamietowa nie mam wprawdzie szacunku, jednak lubię go, gdyż jest to jeszcze młody szczeniak! Nawet dla tego bydlaka Zosimowa mam uszanowanie, ponieważ jest człowiekiem honorowym i zna swój zawód. Teraz dosyć, powiedziałem, co mi leżało na sercu, i spodziewam się, że nie czujecie panie do mnie urazy. Czy nie wzięłyście mi tego za złe? Naprawdę nie? W takim razie chodźmy! Znam ten korytarz, byłem tu już kiedyś pod numerem trzecim, był tam wielki skandal... A więc gdzie jest pokój pań? Który numer? Ósmy? Zamknijcie dobrze drzwi na noc i nie wpuszczajcie nikogo. Za kwadrans wrócę z wieściami, a pół godziny później przyjdę znów z Zosimowem, zobaczycie panie! A teraz do zobaczenia, leczę!

– Mój Boże, czym to się skończy, Dunieczko? – rzekła Pulcheria

Aleksandrowna, pełna trwogi i niepokoju.

– Uspokój się, mamó – odparła Dunia, zdejmując kapelusz i mantylę<sup>[65]</sup>. – Sam Bóg zesłał nam tego pana, aczkolwiek przybywa wprost z pijatyki. Można mu zaufać, jestem tego całkiem pewna. A to, co dotychczas uczynił dla Rodi...

– Ach, moja Duniu, Bóg jeden wie, czy on wróci! Nie wiem, jak mogłam zostawić Rodię samego... Nawet przez myśl mi nie przeszło, że znajdę go w takim stanie! Jaki on był nachmurzony, jakby go nasz przyjazd w ogóle nie cieszył...

Łzy zaszklily się w jej oczach.

– Nie masz racji, mamó, nie przypatrzyłaś mu się dobrze, bo przecież ciągle płakałaś. Jest bardzo wyczerpany ciężką chorobą i to wszystko.

– Ach, ta choroba! Jak to się skończy? A jak on... z tobą mówił, Dunieczko! – mówiła, patrząc nieśmiało w twarz córki, aby odczytać jej myśli, i pocieszona była tym, że Dunia broni brata, a więc przebaczyła mu. – Pewna jestem, że jutro będzie inaczej na tę rzecz się zapatrywał – dodała, chcąc do końca wy badać córkę.

– Ja zaś jestem pewna, że jutro będzie mówił to samo – odparła Dunia.

Na tym rozmowa się urwała, gdyż matka obawiała się dalszej rozmowy na ten temat. Dunia podeszła do niej i pocałowała ją. Bez słowa objęła córkę. Potem usiadła, oczekując pełna niepokoju na powrót Razumichina, i śledziła nieśmiało oczyma córkę, która skrzyżowawszy ręce na piersiach, chodziła zamyślona po pokoju. Takie chodzenie z kąta w kąt od dawna było we zwyczaju Duni i w takich momentach matka wołała nie przerywać jej rozmyślań.

Oczywiście, że Razumichin był śmieszny z tą nagłą miłością do Duni, zwłaszcza że był kompletnie pijany; ale każdy, kto ujrzałby Dunię, szczególnie teraz, gdy chodziła po pokoju ze skrzyżowanymi rękoma, znalazłby usprawiedliwienie dla jego afektu, nie powołując się na jego nietrzeźwość. Dunia była wyjątkowo ładna, wysoka, ślicznie zbudowana, silna i pewna siebie, co wyrażało się w jej ruchach, które mimo to były urocze i miłe. Z twarzy podobna była do brata i można ją było uznać za piękność. Włosy miała ciemne, chociaż nieco jaśniejsze niż u brata; oczy prawie czarne, błyszczące, dumne, które jednak w pewnych chwilach umiały spoglądać bardzo łagodnie. Była blada, lecz nie chorobliwą bladością; jej śliczna twarzyczka promieniała świeżością i zdrowiem. Usteczka miała nieco za małe; dolna warga, świeża i pąsowa, wystawała trochę naprzód, jak również podbródek – jedyna nieprawidłowość w tej ślicznej twarzy, nadająca jej wyraz stanowczości i nawet jakby wyniosłości; wyraz jej twarzy był raczej zamyślony i poważny aniżeli wesoły; tym piękniej jednak zdołał ją uśmiech, wesoły, młodzieńczy, beztroski! Nie dziw więc, że szczerzy, prosty, uczciwy, silny jak tur i pijany Razumichin, który w swoim życiu nie widział jeszcze tak ładnej kobiety, od razu stracił głowę. Do tego przypadek ukazał Dunię po raz pierwszy w tej pięknej chwili, gdy miłość do brata i radość ze spotkania z nim uczyniły ją jeszcze piękniejszą. Potem widział, jak jej dolna warga drgała, wyrażając bunt przeciwko brutalnym, bezwzględny

żądaniom brata – i nie mógł się oprzeć!

Gdy przedtem w stanie nietrzeźwym wyrwał się z tym, że ekscentryczna gospodyni Raskolnikowa, Praskowia Pawłowna, gotowa być zazdrosna nie tylko o Dunię, lecz również o Pulcherię Aleksandrownę, mówił zupełną prawdę. Wprawdzie Pulcheria Aleksandrowna liczyła sobie już czterdzieści trzy lata, ale jej twarz zachowała ślady dawnej urody. Poza tym wyglądała na młodszą, niż w rzeczywistości była, jak to bywa u kobiet, które potrafią zachować aż do późnej starości pogodę ducha, świeżość uczuć i prawe, czyste serce. Dodajmy nawiasem, że tylko przez te właściwości ducha można utrzymać swą urodę aż do późnej starości. Jej włosy zaczynały już siwieć i rzednąć; dokoła oczu pojawiły się drobne promienie zmarszczek, policzki się zapadły wskutek trosk i zmartwień, ale mimo tych usterek twarz jej była piękna. Była ona odbiciem twarzy Duni, tylko o dwadzieścia lat starszej i bez tej charakterystycznej dolnej wargi, która u matki nie była wysunięta. Pulcheria Aleksandrowna była uczuciowa, ale nie ckliwa; była nieśmiała i uległa, jednak tylko do pewnej granicy: ustępowała w wielu rzeczach i godziła się nawet z tym, co było wbrew jej przekonaniom, przy tym wszystkim jednak istniała pewna granica uczciwości, zasad moralnych i wewnętrznego przekonania, której nie przekroczyłaby pod żadnym pozorem.

Równo w dwadzieścia minut po odejściu Razumichina obie kobiety usłyszały lekkie, ale pośpieszne pukanie do drzwi. Razumichin powrócił.

– Ja nawet nie wchodzę, nie mam czasu – rzekł szybko, gdy mu otworzono.  
– On śpi jak suseł, głęboko i spokojnie; daj mu, Boże, dziesięć godzin takiego snu. Nastka czuwa przy nim, nakazałem jej nie oddalać się, dopóki nie wróce. Teraz zaciągnę tam Zosimowa; złoży on paniom raport, a potem udacie się również na spoczynek; widzę przecież, że panie są zupełnie wyczerpane...

Po tych słowach pobiegł z powrotem przez korytarz.

– Jaki to roztropny i uprzejmy młody człowiek! – stwierdziła wielce uradowana Pulcheria Aleksandrowna.

– Tak, wygląda na dobrego człowieka – odparła Dunia szczególnie serdecznym tonem i podjęła znów swą wędrówkę po pokoju.

Prawie po godzinie dały się słyszeć na korytarzu kroki i znów rozległo się pukanie do drzwi. Obie kobiety czekały, całkowicie ufając obietnicy Razumichina; zjawił się on rzeczywiście z Zosimowem. Zosimow bez długich ceregieli wyrwał się z pijatyki i złożył wizytę lekarską Raskolnikowowi, ale do obu pań poszedł niechętnie, nie dowierzając informacjom pijanego Razumichina. Jednak jego miłość własna została mile połączona, gdy spostrzegł, że oczekiwano go rzeczywiście jak wyroczni. Zabawił tylko dziesięć minut i w ciągu tego czasu udało mu się uspokoić zupełnie Pulcherię Aleksandrownę. Mówił współczująco, jednak z umiarkowaniem i umyślnie poważnym tonem, jak przystoi dwudziestosiedmioletniemu lekarzowi podczas ważnej konsultacji; ani słowem nie zboczył z tematu i nie okazał chęci wdawania się w bardziej osobistą i prywatną rozmowę. Urzekającą urodę Duni zauważył zaraz przy wejściu, powściągnął się jednak i przez cały



czas wizyty nie patrzył na nią, zwracając się tylko do Pulcherii Aleksandrowny. Czuł z tego powodu duże wewnętrzne zadowolenie. Stan chorego określił jako niebudzący obaw. Jego zdaniem przyczyną choroby było nie tylko złe położenie materialne pacjenta w ostatnich miesiącach, lecz również przejścia duchowe; określił ją jako „produkt wielu nakładających się czynników duchowych i materialnych, silnych wzruszeń, obaw, trosk, pewnych idei... i tak dalej”. Ponieważ zauważył, że Dunia przysłuchiwała się temu ze szczególną uwagą, zaczął rozwodzić się na ten temat bardzo szeroko. Na trwożne, nieśmiałe pytanie Pulcherii Aleksandrowny o jego poprzednie przypuszczenia co do zaburzenia umysłowego odparł ze spokojnym, szczerym uśmiechem, iż przypisują jego słowom zbyt wiele wagi; oczywiście można zauważyć u chorego ślady jakiegoś urojenia, jakby zaczątki monomanii<sup>[66]</sup> – on, Zosimow, poświęca się obecnie specjalnym studiom w tej dziedzinie medycyny – należy jednak wziąć pod uwagę tę okoliczność, że chory leżał prawie aż do dziś w gorączce, ale... należy sądzić, że przyjazd jego najbliższych wywrze teraz swój zbawienny wpływ, rozerwie goi przyczyni się do wyzdrowienia „pod warunkiem wszakże, że – słowa te wypowiedział ze szczególnym naciskiem – oszczędzi mu się nowych, nadzwyczajnych wzruszeń”. Potem wstał i pożegnał się statecznie i uprzejmie; obie kobiety dziękowały mu gorąco; Dunia sama ujęła jego dłoń i ucisnęła ją serdecznie. Odszedł, nadzwyczaj zadowolony z odwiedzin, a jeszcze bardziej z samego siebie.

– Jutro pomówimy o tym, teraz jednak muszą panie koniecznie pójść spać!

– dodał Razumichin napominającym tonem, zbierając się do odejścia z Zosimowem. – Jutro przyjdę tu z wieściami z samego rana.

– Szampańska dziewczyna z tej Awdotii Romanowny – rzekł Zosimow, prawie się oblizując, gdy wyszli na ulicę.

– Szampańska? Coś powiedział? Szampańska? – rzucił się na niego Razumichin i chwycił go za gardło. – Jeśli jeszcze raz się ośmielisz... Rozumiesz? Rozumiesz? – krzyczał, szarpiąc go za kołnierz i przypierając do muru. – Słyszałeś?

– Puść mnie, ty moczymordo! – bronił się Zosimow. Gdy Razumichin go puścił, popatrzył na niego uważnie, a potem parsknął głośnym śmiechem. Razumichin stał przed nim, opuściwszy ręce, zamyślony i chmurny.

– Oczywiście, jestem osłem – rzekł ponury jak chmura gradowa – ty jednak... również nim jesteś.

– Co to to nie, bracie, ja nie jestem osłem. W mojej głowie nie lęgną się takie głupie myśli.

Szli dalej w milczeniu i dopiero gdy zbliżyli się do domu Raskolnikowa, Razumichin, wyraźnie zatroskany, przerwał milczenie.

– Posłuchaj, porządny z ciebie chłop, ale pomijając inne twoje obrzydliwe nałogi, jesteś rozpustnikiem i to z tych plugawych. Jesteś znerwicowanym nicponiem bez charakteru, masz swoje narowy, utyłeś i nie potrafisz sobie niczego odmówić; nazywam to plugastwem, gdyż wiedzie do ztratny godności osobistej. Zniewieściłaś tak dalece, że trudno mi, mówiąc szczerze, pojąć, jak możesz być przy tym tak dobrym i ofiarnym lekarzem.

Śpi taki w miękkich puchach (i to lekarz!), a mimo to wstaje w nocy, gdy go wołają do chorego! Po trzech latach nie będziesz pozwalał budzić się do jakiegoś tam chorego... A zresztą, u diabła, to wszystko nie ma nic do rzeczy, chodzi o to, że dziś w nocy będziesz spał w mieszkaniu gospodyni (dobrze się namęczyłem, zanim na to pozwoliła), a ja w kuchni; będziecie mieli wymarzoną sposobność do zawarcia bliższej znajomości! Nie to, co ty myślisz! Nic z tych rzeczy...

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło.

– Poznasz tę wstydliwą, milczącą, nieśmiałą niewiastę, zatwardziałą w cnocie, a mimo to wzdycha ona i topnieje jak wosk, i to jeszcze jak topnieje! Uwolnij mnie od niej, zabierz ją do stu diabłów! Pyszna z niej kobietka!... Będę ci wdzięczny do grobowej deski!

Zosimow śmiał się coraz głośniej.

– Ale cię wzięło! Tylko co ja z nią zrobię?

– Zapewniam cię, że nie będziesz miał z nią żadnych kłopotów; mów tylko, co ci ślina na język przyniesie; wystarczy, jeśli siądziesz przy niej i będziesz mówił! A zresztą jesteś lekarzem, możesz leczyć u niej jakąś chorobę. Przysięgam ci, że nie pożałujesz. Ma ona u siebie w mieszkaniu klawikord; jak wiesz, ja brzdąkam coś niecoś; mam taką jedną piosenkę, którą gram, prawdziwie rosyjską ludową pieśń *Łzy gorące z oczu płyną*... Ona lubi takie piosenki, od tej piosenki zaczął się też nasz miły stosunek; ty jednak jesteś wprost wirtuozem w grze fortepianowej, prawdziwym mistrzem, drugim Rubinsteinem<sup>[67]</sup>... Zapewniam cię, że nie pożałujesz!

– Czy poczyniłeś jej może jakieś obietnice? Na piśmie, formalnie? A może przyrzekłeś jej małżeństwo?

– Nie, nic podobnego! Nie, ona wcale nie taka. Czebarow już próbował...

– No to rzuć ją!

– Nie wypada!

– Dlaczego?

– Nie mogę, po prostu nie mogę! Istnieje tu jakaś żywiołowa siła przyciągająca.

– To po co zawracałeś jej głowę?

– Wcale nie, to raczej ja sam w mojej głupocie dałem się przez nią omotać; jej to zapewne całkiem obojętne, kto będzie jej nadskakiwał, ja czy ty, byle ktoś koło niej siedział i wzdychał. Wystarczy, jeżeli... Nie wiem, jak ci to wyjaśnić... wystarczy, jeżeli... no, dajmy na to, wiem, że byłeś dobrym matematykiem i dziś jeszcze tym się zajmujesz... a więc zacznij jej wykładać rachunek całkowy; naprawdę nie żartuję, mówię całkiem poważnie, jej to wszystko jedno, będzie patrzeć na ciebie i wzdychać, nie znudzi ją to choćby i przez rok. Ja opowiadałem jej, między innymi, przez szereg dni o pruskiej Izbie Panów<sup>[68]</sup> (o czym bowiem miałem z nią mówić?) – wzdychała tylko i pociła się! Tylko o miłości z nią nie mów, jest ona bowiem aż do przesady wstydliva, musisz jednak udawać, że nie możesz tego przeboleć ani odejść – to jej zupełnie wystarczy. Posiada bardzo ładnie urządzone mieszkanie i człowiek czuje się tam jak u siebie w domu: czytaj, siedź, leż, pisz...

możesz ją nawet pocałować, tylko ostrożnie...

– Ale po co mi ona?

– Ach, jakże mam ci to wytłumaczyć? Zważ tylko: wy oboje pasujecie do siebie! Już przedtem myślałem o tobie... Wszak cię to nie minie! A więc powinno ci być zupełnie obojętne, wcześniej czy później. Tu, bracie, tkwi taki pierzynowy pierwiastek, ach! i nie tylko pierzynowy! To kusi: to koniec świata, kotwica, cicha przystań, sól ziemi, ostoja świata na trzech wielorybach, kwintesencja<sup>[69]</sup> blinów, tłustych pasztetów, samowara wieczornego, cichych westchnień i ciepłych kacabajek, napalonych pieców, to tak, jakbyś umarł, a zarazem żył, obydwie korzyści naraz! No, bratku, do licha, zagalopowałem się, czas spać! Posłuchaj: czasami budzę się w nocy, idę więc i zaglądam do niego. Jednak to nic, głupstwo, wszystko będzie dobrze. Nie zadawaj więc sobie zbyt wiele trudu, jeśli jednak zechcesz, będziesz mógł przy sposobności do niego zajrzeć. Gdybyś coś zauważył, na przykład gorączkę, malignę lub coś podobnego, to obudź mnie bezzwłocznie. Zresztą, nie przypuszczam...

Razumichin obudził się następnego dnia między siódmą a ósmą bardzo zatroskany i poważny. Wiele nowych, nieprzewidzianych wątpliwości zrodziło się w nim tego rana. Nigdy nawet nie przypuszczał, że obudzi się kiedyś w takim nastroju. Pamiętał aż do najdrobniejszych szczegółów wszystkie zdarzenia ubiegłego dnia i zdawał sobie sprawę z tego, że stało się z nim coś niezwykłego, że jest pod jakimś zupełnie dotychczas nieznanym wrażeniem, niepodobnym do dawnych. Równocześnie rozumiał jasno, że myśleć nie może o urzeczywistnieniu marzenia, które powstało w jego głowie; tak znikome były szanse na jego spełnienie, że zawstydził się nawet swego marzenia i zwrócił się co rychlej ku rzeczywistym troskom i zadaniom, które nałożył na niego „przeklęty dzień wczorajszy”.

Najwstrętniejsze było mu wspomnienie jego „podłego i ordynarnego” zachowania się – nie tylko dlatego, że był pijany, ale dlatego, że wykorzystując trudną sytuację młodej panny, z zazdrości, pochopnie i głupio nawymyślał na jej narzeczonego, a nie zna zupełnie ich wzajemnych stosunków i zobowiązań obojga ani też tak naprawdę jego samego. I jakie miał prawo wydawać sąd tak pochopnie i lekkomyślnie? Kto uczynił go sędzią? I czy można było przypuścić, że istota taka jak Awdotia Romanowna odda się niegodnemu człowiekowi za pieniądze? A zatem musi on posiadać jakieś zalety. A ten hotel? Skąd mógł wiedzieć, co to za hotel? Przecież szykuje właśnie mieszkanie... Pfe! wyszło po chamsku pod każdym względem! Czy może się tłumaczyć tym, że był nietrzeźwy? Głupie usprawiedliwienie, poniżające go jeszcze bardziej! Po pijanemu prawda wychodzi na wierzch, mówi przysłowie, i cała prawda wyszła na jaw, a mianowicie „cała podłość jego zazdrosnego, niskiego charakteru!”. Czyż on, Razumichin, może sobie w ogóle pozwolić na takie marzenia o przyszłości? Czymże on jest wobec takiej dziewczyny – on, pijany awanturник i samochwała wczorajszy? „Czy w ogóle do pomyślenia jest takie absurdalne i śmieszne zestawienie?”. Myśląc o tym, Razumichin aż poczerwieniał ze złości i rozpacz, a do tego jakby na złość przypomniało mu się, jak opowiadał im wczoraj na schodach, że gospodyni jest mu przychylna i że będzie zazdrosna o Awdotię Romanownę... to już było całkiem nie do zniesienia. Z wściekłości rąbnął pięścią w kuchenny piec z taką siłą, że zranił sobie rękę i wybił jedną cegłę.

„Oczywiście – mruknął po chwili, zdając sobie sprawę z własnego poniżenia – oczywiście te wszystkie podłości nie dadzą się już teraz zaklajstrować ani odwołać... a zatem nie ma sensu w ogóle o tym myśleć; pozostaje milczeć... spełnię mój obowiązek w milczeniu i... nie wolno mi prosić o przebaczenie ani w ogóle wspominać o tym... jasne, że dla mnie już wszystko stracone!”.

Mimo to jednak podczas ubierania się obejrzał swoje ubranie staranniejsz niż zwykle. Innego ubrania nie miał, a nawet gdyby je miał, to może by nawet umyślnie nie włożył. Z drugiej zaś strony nie chciał uchodzić ani za cynika, ani za niechluj, nie mógł obrażać uczuć innych, tym bardziej że go potrzebowali i wzywali. Dlatego oczyścił starannie szczotką garnitur. Koszulę

miął zawsze znośną; pod tym względem był bardzo akuratywny.

Również umył się tego rana gruntownie – od Nastki dostał mydło – umył włosy, szyję, a szczególnie ręce. Gdy zaś doszło do rozstrzygnięcia kwestii, czy się ogolić, czy nie (Praskowia Pawłowna miała wyborne brzytwy pozostałe po nieboszczyku, panu Zarnicyńce), to rozstrzygnął ją na złość sobie przecząco: „Niech zostanie tak, jak jest! Gdyby one pomyślały, że ogoliłem się, żeby... a z pewnością tak by pomyślały... Nie, za żadną cenę! Najgorsze, że jestem takim nieokrzesanym gburem i mam knajackie narowy... Wiem oczywiście, że od biedy jestem porządnym człowiekiem; nie ma czym się zbytnio chwalić, że się jest porządnym człowiekiem. Porządnym człowiekiem powinien być każdy, a nawet więcej niż porządnym... a ja zgrzeszyłem już (pamiętam to) w tym i w owym... nie, nie popełniłem żadnej podłości, ale przecież... A jakie myśli przychodziły mi nieraz do głowy! Hm! Przecież to istne wariactwo zestawiać to wszystko z Awdotią Romanową! A niech to! Chcę się umyślnie okazać brudnym, niechlujnym pijaczną! Gwiżdżę na wszystko! Okażę się jeszcze gorszym!...”.

Gdy tak monologował, wszedł Zosimow, który nocował w salonie Praskowii Pawłowny.

Wybierał się do domu, przedtem jednak chciał zajrzeć do chorego. Razumichin powiedział mu, że chory śpi jak suseł. Zosimow polecił nie budzić go, dopóki sam się nie ocknie; obiecał wpaść ponownie po dziesiątej.

– Tylko żebym go zastał w domu – dodał. – Do licha, ładny to pacjent, który nie słucha lekarza. I lecz tu takiego! Nie wiesz, czy *on* pójdzie do nich, czy *one* tu przyjdą?

– Myślę, że *one* tu przyjdą – odparł Razumichin. Zrozumiał cel pytania. – Oczywiście, będą omawiać sprawy rodzinne. Ja się wtedy wyniosę. Rozumie się jednak, że ty jako lekarz masz większe prawa niż ja.

– Nie jestem przecież spowiednikiem, przyjdę i zaraz wyjdę. Mam jeszcze inne zajęcia.

– Jedno mnie niepokoi – przerwał mu Razumichin, chmurząc się. – Wczoraj, idąc z nim, naplotłem mu rozmaitych głupstw, między innymi, że ty obawiasz się, czy on przypadkiem... nie dostanie pomieszania zmysłów...

– Również i paniom mówiłeś wczoraj o tym.

– Wiem, że zrobiłem głupio. Możesz mnie stłuc za to! Powiedz mi jednak, czy wierzysz w to naprawdę?

– Mówię ci przecież, że to żadna diagnoza. Gdy przyprowadziłeś mnie do niego, to przedstawiłeś mi go jako... monomana. A wczoraj dolaliśmy jeszcze oliwy do ognia, to znaczy właściwie ty twoim opowiadaniem... o malarzu; niezły temat, zwłaszcza że to właśnie może być powodem jego zamroczenia! Gdybym wiedział dokładnie, co się wtedy zdarzyło na policji, i o tym, że tam jakaś kanalia rzuciła na niego podejrzenie, to nie dopuściłbym do wczorajszej rozmowy. Tacy maniacy robią z igły widły i widzą na jawie najbardziej bezsensowne rzeczy... O ile sobie przypominam, to już wczoraj z opowiadania Zamietowa dowiedziałem się połowy prawdy. To jednak jeszcze nic. Znam wypadek, że czterdziestoletni hipochondryk zamordował ośmioletniego chłopca, nie mogąc znieść jego codziennych żartów podczas

obiadu! A tu on w łachmanach, bezczelny komisarz, rozwijająca się choroba i takie podejrzenie! I to skierowane przeciw typowemu hipochondrykowi! O wybujałej, graniczącej z szaleństwem ambicji! Może w tym właśnie leży przyczyna choroby. Do diabła... *À propos*, ten Zamietow to całkiem miły chłop, jednak... hm... niepotrzebnie wczoraj o wszystkim opowiadał. Okropny gaduła.

– Komu opowiadał? Mnie i tobie!

– I Porfiremu.

– Więc cóż z tego?

– Hm, powiedz mi, czy masz jakiś wpływ na matkę i siostrę? Należałoby dziś z nim ostrożnie...

– Pogodzą się! – odparł niechętnie Razumichin.

– Co on ma przeciwko temu Łużynowi? Człowiek bogaty i o ile mi się zdaje, jej nieobojętny... a one są przecież bez grosza.

– Przestań mnie wypytywać! – odburknął gniewnie Razumichin. – Skąd mogę wiedzieć, czy mają pieniądze? Sam je spytaj, może ci powiedzą!...

– Ach, jakiś ty czasem głupi! Nie wytrzeźwiałeś jeszcze od wczoraj... Do widzenia! Podziękuj Praskowii Pawłowni w moim imieniu za nocleg. Zamknęła się na klucz, na moje „dzień dobry” odpowiedziała mi przez drzwi. O siódmej godzinie jednak wstała, przyniesiono jej z kuchni, przez korytarz, samowar... Nie miałem przyjemności jej oglądać!...

Z wybiciem dziewiątej Razumichin zjawił się w „pokojach umeblowanych” Bakalejewa. Obie panie oczekiwały go już z niecierpliwością. Wstały jeszcze przed siódmą. Wszedł ponury jak noc, złożył niezgrabny ukłon, przez co rozgniewał się zaraz, oczywiście na samego siebie. Nastąpiło to, czego zupełnie nie przewidział. Pulcheria Aleksandrowna po prostu rzuciła się na niego, chwyciła jego obie dłonie i o mało nie ucałowała. Spojrzał nieśmiało na Awdotję Romanownę, ale i ta dumna twarz wyrażała w tej chwili taką wdzięczność i przyjaźń, taki zupełny i niespodziany szacunek (zamiast ironicznych spojrzeń i źle ukrywanej pogardy), że byłby zaiste wolał, gdyby go przywitano łajaniem, bo tak to jeszcze bardziej było mu wstyd. Na szczęście miał temat do rozmowy, toteż uchwycił się go co żywo.

Gdy Pulcheria Aleksandrowna usłyszała, że jej syn wprawdzie nie obudził się jeszcze, ale „wszystko dobrze idzie”, odparła, że to się świetnie składa, „gdyż wprawdzie chciałyby z nim, Razumichinem, pomówić o paru sprawach”. Zapytano go, czy pił herbatę, i zaproszono do stołu, obie panie postanowiły bowiem poczekać z herbatą na niego. Awdotia Romanowna zadzwoniła, zjawił się brudny obdartus, u którego zamówiono herbatę; podano ją jednak tak paskudnie i niechlujnie, że panie aż się zawstydziły. Razumichin począł zrazu energicznie pomstować na „umeblowane pokoje”, przypomniał sobie jednak Łużyna, zamilkł, zawstydził się i był bardzo rad, że Pulcheria Aleksandrowna poczęła go o wszystko wypytywać.

Odpowiadał przez trzy kwadransy, przy czym przerywano mu ciągle, zadając nowe pytania. Powiadomił je o wszystkich ważniejszych wydarzeniach z ostatniego roku w życiu Rodiona, a zakończył dokładnym sprawozdaniem z przebiegu choroby. To, o czym nie mógł mówić,

przemilczał, między innymi scenę w cyrkule ze wszystkimi jej następstwami. Słuchały go chciwie, ale gdy zdawało mu się, że skończył i zadowolili słuchaczki, okazało się, że ich zdaniem był to dopiero początek.

– Proszę mi powiedzieć, jak pan sądzi... ach, proszę mi wybaczyć, dotąd jeszcze nie wiem, jak panu na imię? – zreflektowała się Pulcheria Aleksandrowna.

– Dymitr Prokofjicz.

– A zatem, panie Dymitrze Prokofjiczu, bardzo chciałabym dowiedzieć się... jak on w ogóle... zapatruje się teraz na wszystko, to jest, pan rozumie... jak mam to panu wyjaśnić, to znaczy niby, co on lubi? Czy ciągle jeszcze jest taki rozdrażniony? Czego pragnie i o czym marzy? Co teraz ma największy wpływ na niego? Słowem, pragnęłabym...

– Ależ, mamo, jakże można na to wszystko tak naraz odpowiedzieć! – wtrąciła Dunia.

– Ach, mój Boże, nie spodziewałam się zastać go w takim stanie, panie Dymitrze.

– To rzecz całkiem naturalna – odparł Razumichin. – Matki nie mam, a mój wuj przyjeżdża prawie co rok i nigdy mnie nie poznaje, nawet z wyglądu, a przecież jest mądrym człowiekiem. A przez trzy lata waszej rozłąki dużo wody upłynęło. I cóż mogę pani powiedzieć? Rodię znam od półtora roku, jest on skryty, ponury, wyniosły i dumny; w ostatnich czasach zaś (możliwe jednak, że już i wcześniej) stał się podejrzliwym hipochondrykiem. Przy tym jest wspaniałomyślny i dobry. Nie lubi okazywać swoich uczuć i woli raczej wydać się okrutnym, aniżeli okazać serce. Czasami wcale nie jest hipochondrykiem, lecz po prostu zimnym i aż do brutalności nieczułym człowiekiem, jakby miał w sobie dwa charaktery. Niekiedy bywa strasznie małomówny! Nigdy nie ma czasu, ciągle mu wszystko przeszkadza, mimo że leży i nic nie robi. Nie drwi z ludzi nie z braku dowcipu, lecz dlatego, że nie ma czasu na takie głupstwa. Gdy mu się coś opowiada, nigdy nie wysłucha do końca. Nie interesuje go to, co zajmuje wszystkich w danej chwili. Ceni się bardzo i zdaje mi się, że ma poniekąd do tego prawo. Cóż by jeszcze dodać?... Spodziewam się, że przyjazd pań wywrze zbawienny wpływ na niego.

– Oby Bóg dał! – westchnęła Pulcheria Aleksandrowna, przygnębiona tym, co usłyszała o swoim Rodi.

Natomiast Razumichin spojrzał wreszcie nieco śmielej na Awdotię Romanównę. W czasie rozmowy zerkał na nią często, jednak tylko przelotnie, na krótką chwilę, odwracając natychmiast wzrok. Dunia to siadała przy stole, przysłuchując się rozmowie, to wstawała i zaczynała chodzić z kąta w kąt, ze skrzyżowanymi rękoma i zaciśniętymi wargami, jak to miała we zwyczaju. Od czasu do czasu rzucała jakieś pytanie, nie przerywając swej wędrówki i trwając w zamyśleniu. Również ona miała zwyczaj nie słuchać do końca. Miała na sobie lekką, ciemną sukienkę, a na szyi białą, przejrzystą apaszkę. Z wielu oznak wnioskował Razumichin, że obie kobiety znajdują się w ciężkich warunkach materialnych. Gdyby Dunia ubranabyła jak królowa, zapewne nie obawiałby się jej; teraz jednak,



może właśnie z tego powodu, że była tak skromnie ubrana i że widział całe ich nędzne otoczenie, zagościła w jego sercu jakby trwoga i zaczął się lękać o każde swoje słowo i każdy swój ruch, co dla człowieka, który i tak sobie nie dowierzał, musiało być bardzo uciążliwe.

– Powiedział pan sporo ciekawych rzeczy o charakterze mego brata i... całkiem bezstronnie. To dobrze. Myślałam, że pan go uwielbia – zauważyła Dunia z uśmiechem. – I mnie również się zdaje, że powinien mieć przy sobie kobietę – dodała w zamyśleniu.

– Ja tego nie powiedziałem, a zresztą może ma pani rację, tylko że...

– Co?

– On nikogo nie kocha i być może nigdy nie pokocha – palnął Razumichin.

– To znaczy, że nie potrafi pokochać?

– Czy pani wie, że jest pani bardzo podobna do swego brata, i to we wszystkim! – wyrwało mu się niespodzianie dla niego samego. Gdy sobie jednak przypomniał, co mówił o jej bracie, poczerwieniał jak rak ze wstydu.

Awdotia Romanowna, spojrzawszy nań, wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Co do Rodi, to oboje możecie się mylić – przerwała matka nieco urażona.

– Nie mówię o tym, jaki jest dzisiaj, Dunieczko. To, co Piotr Pietrowicz pisze w tym liście... i to, cośmy przypuszczały, może nie być prawdą, a jednak, Dymitrze Prokofjczu, nie może pan sobie wyobrazić, jakie on miewa fantastyczne pomysły i jaki jest, że tak powiem, kapryśny. Nigdy nie mogłam polegać na jego charakterze, nawet gdy miał zaledwie piętnaście lat. Pewna jestem, że i teraz może zrobić coś takiego, co nikomu by nie przyszło na myśl... Nie potrzebujemy szukać daleko: czy słyszał pan o tym, jak on mnie półtora roku temu zadziwił, poruszył i omal na śmierć przestraszył, gdy wyraził chęć poślubienia tej – jakże ona się nazywa? – córki gospodyni, Zarnicynej?

– Czy zna pan jakieś szczegóły tej historii? – spytała Awdotia Romanowna.

– Czy myśli pan – ciągnęła dalej Pulcheria Aleksandrowna ze wzrastającym zapałem – że wtedy powstrzymałyby go moje łzy, moje prośby, moja choroba, a nawet moja śmierć ze zmartwienia, nędza, w której się znajdowałyśmy? Najspokojniej przekroczyłyby te przeszkody. Czy to możliwe jednak, czy to możliwe, żeby nas nie kochał?

– Nigdy mi o tej historii nie mówił – odparł przezornie Razumichin – jednak od samej pani Zarnicynej słyszałem kilka szczegółów, a nie należy ona do osób, które lubią się zwierzać. To zaś, co słyszałem, jest dość dziwne.

– A co, co pan słyszał? – spytały obie kobiety naraz.

– Nic szczególnego. Dowiedziałem się tylko, że to małżeństwo, które było prawie pewne i jedynie z powodu śmierci narzeczonej nie doszło do skutku, bardzo nie podobało się pani Zarnicynej... Prócz tego mówią, że narzeczonej nie była ładna, a właściwie nawet była brzydka... bardzo chorowita i... jakaś dziwna... miała jednak, jak się zdaje, i swoje zalety. Musiała bez wątpienia posiadać jakieś zalety, gdyż inaczej trudno byłoby zrozumieć to... Posagu nie miała, zresztą on na posag wcale nie liczył... W ogóle to trudno wydać sąd w takiej sprawie.

– Pewna jestem, że była to zacna panna – wtrąciła Awdotia Romanowna.

– Niech mi Bóg przebaczy, ale jednak ucieszyła mnie jej śmierć, chociaż sama nie wiem, które z nich gorzej wyszłoby na tym związku: ona czy on – rzekła Pulcheria Aleksandrowna, a następnie ostrożnie, z przerwami, spoglądając ustawicznie na Dunię, dla której było to bardzo nieprzyjemne, zaczęła wypytywać o szczegóły wczorajszego zajścia między Rodią a Łużynem. Można było zauważyć, że to zdarzenie ogromnie ją zaniepokoiło i napełniło obawą.

Razumichin opowiedział wszystko ponownie z najdrobniejszymi szczegółami, dodając tym razem swój własny pogląd na sprawę: obwiniął wprost Raskolnikowa o rozmyślne obrażenie Piotra Pietrowicza, tym razem bynajmniej nie tłumacząc go zbyt chorobą.

– On to sobie jeszcze przed chorobą ukartował – dodał po chwili.

– Ja też tak sądzę – przytaknęła ze smutkiem Pulcheria Aleksandrowna.

Była jednak bardzo zdziwiona, że Razumichin wyrażał się teraz bardzo oględnie i jakby nawet z szacunkiem o Piotrze Pietrowiczu. Uderzyło to również Awdotię Romanownę.

– Czy rzeczywiście jest pan takiego zdania o Piotrze Pietrowiczu? – spytała Pulcheria Aleksandrowna.

– O przyszłym mężu pani córki nie mogę inaczej myśleć – odparł Razumichin poważnie i pośpiesznie. – Nie mówię tego tylko z grzeczności, lecz dlatego że... że... no, powiedzmy, choćby z tego powodu, że Awdotia Romanowna sama, z własnej woli zaszczycała tego człowieka swoim wyborem. Jeżeli zaś wczoraj pomstowałem na niego, to stało się to jedynie z tego powodu, że byłem haniebnie pijany... a oprócz tego bez rozumu, tak, bez rozumu, zwariowałem z kretesem... a dziś wstydzę się tego!... – Zaczerwienił się i zamilkł. Dunia zarumieniła się również, nie przerywała jednak milczenia. Od początku rozmowy o Łużynie nie wypowiedziała ani słowa.

A tymczasem matka nie mogła się zdecydować bez jej pomocy. W końcu, jękając się i nieustannie spoglądając na córkę, rzekła, że pewna okoliczność niepokoi ją teraz bardzo.

– Widzi pan, Dymitrze Prokofjiczu... – zaczęła. – Dunieczko, będę zupełnie szczerą wobec Dymitra Prokofjicza.

– Ależ rozumie się, mam – odparła zachęcająco Awdotia Romanowna.

– Widzi pan, rzecz ma się następująco – śpieszyła wypowiedzieć swe troski, jakby jej tym przyzwoleniem zdjęto ciężar z piersi. – Dziś, wczesnym rankiem, otrzymałyśmy list od Piotra Pietrowicza w odpowiedzi na zawiadomienie o naszym przyjeździe. Miał nas oczekiwać wczoraj na dworcu, sam nam to przyrzekł. Zamiast tego przysłał na dworzec swojego służącego, żeby nam wskazał drogę do tego hotelu. Kazał mu powiedzieć, że dziś rano złoży nam wizytę. Tymczasem otrzymałyśmy dziś rano od niego list... Najlepiej będzie, jeżeli pan sam go przeczyta; jest w nim pewien ustęp... który mnie bardzo niepokoi... Sam pan zobaczy, o czym mówię, i... i proszę, by zechciał pan szczerze powiedzieć mi swoje zdanie, Dymitrze Prokofjiczu! Zna pan charakter Rodi i najlepiej nam poradzi. Uprzedzam pana, że Dunia wszystko od razu już postanowiła, ale ja nie wiem jeszcze,

jak postąpić, i... czekałam cały czas na pana.

Razumichin otworzył list, który nosił datę poprzedniego dnia, i zaczął czytać:

*Wielce Szanowna Pulcherio Aleksandrowno, mam zaszczyt donieść Pani, iż wskutek nieprzewidzianych przeszkód nie mogłem oczekiwać Pań na dworcu i posłałem w tym celu odpowiedniego człowieka. Również i dziś rano nie będę miał zaszczytu zobaczenia się z Paniami, a to z powodu nader pilnych spraw w senacie oraz żeby nie przeszkodzić Pani w widzeniu się z synem, zaś Awdotii Romanownie z bratem. Natomiast będę miał zaszczyt niezawodnie odwiedzić Panie w ich mieszkaniu o godzinie ósmej wieczór. Przy tym ośmielam się dołączyć bardzo uprzejmą, niemniej jednak stanowczą prośbę, aby przy naszym spotkaniu nie był obecny Rodion Romanowicz, albowiem kiedy go wczoraj odwiedziłem w chorobie, obraził mnie ciężko i bezprzykładnie, a oprócz tego chciałbym, aby mi Pani osobiście i szczegółowo wyjaśniła pewną rzecz, co do której życzyłbym sobie poznać Pani własne zdanie. Mam przy tym zaszczyt uprzedzić Panie, że jeżeli wbrew mojej prośbie zastaną tam Rodiona Romanowicza, to będę zmuszony natychmiast odejść, a winę będą Panie miały jedynie sobie do przypisania. Piszę o tym, gdyż możliwe jest, iż Rodion Romanowicz, który podczas mojej wizyty wydawał się tak słaby, a po dwu godzinach nagle wyzdrowiał, wyjdzie na ulicę i wstąpi do Pań. Pozwalają mi zaś tak sądzić moje własne spostrzeżenia, gdyż sam widziałem go w mieszkaniu pewnego na śmierć przez konie przejechanego pijaka, gdzie ofiarował jego córce, dziewczynie podejrzanym obyczajów, dwadzieścia pięć rubli pod pozorem pogrzebu, co bardzo mnie zdziwiło, wiem bowiem, ile trudów kosztowało Panią zebranie tej sumy. Przy sposobności łączę wyrazy szczególnego poważania dla szanownej Awdotii Romanowny i proszę o przyjęcie zapewnienia prawdziwej życzliwości od pokornego sługi*

*P. Łużyna*

– Co ja mam teraz zrobić, Dymitrze Prokofjiczu? – zapytała Pulcheria Aleksandrowna niemal z płaczem. – Jak mogę żądać od Rodi, żeby nie przychodził. On nastawał wczoraj, abym odmówiła Piotrowi Pietrowiczowi, a teraz żąda się ode mnie, abym jego samego nie przyjęła. Przecież on specjalnie przyjdzie, gdy się dowie, i... co wtedy?

– Niech pani robi tak, jak postanowiła Awdotia Romanowna – odparł Razumichin szybko i spokojnie.

– Ach, mój Boże! Ona mówi... ona mówi, Bóg wie co, i nie wyjawia mi swego celu! Ona mówi, że najlepiej byłoby, to znaczy, że nie tylko byłoby najlepiej, lecz z jakiegoś tam powodu konieczne jest, żeby zaprosić Rodię dziś na ósmą wieczór i żeby koniecznie się tu spotkali... A ja nawet nie chciałam mu pokazać tego listu i miałam prosić pana, aby powstrzymał go pan od przychodzenia tu... gdyż on jest taki rozdrażniony... A przy tym nic nie wiem o tym pijaku, który umarł, ani o jego córce, i jak to się stało, że on dał tej córce swe ostatnie pieniądze... które...

– Których zdobycie tyle cię, mamu, kosztowało i tak dalej... – dodała Awdotia Romanowna.

– On był wczoraj rozdrażniony – powiedział Razumichin w zamyśleniu. – Gdybyście panie widziały, co on wyprawiał wczoraj w restauracji, hm! Rzeczywiście mówił mi podczas powrotu do domu o jakimś nieboszczyku i o jakiejś dziewczynie, nie rozumiałem jednak ani słowa... Zresztą ja również wczoraj byłem...

– Najlepiej, mamó, będzie, jeśli same pójdziemy do niego i tam od razu zobaczymy, co trzeba robić. A zresztą, już czas najwyższy. Boże! Już po dziesiątej! – zawołała, spojrzawszy na swój wspaniały, złoty zegarek z emalią, który miała zawieszony na szyi na cienkim weneckim łańcuszku. Cacko to zdecydowanie nie harmonizowało z resztą ubrania.

„Prezent od narzeczonego” – pomyślał Razumichin.

– Ach, już czas... już czas, Dunieczko, już czas! – zaniepokoiła się Pulcheria Aleksandrowna. – Gotów pomyśleć, że jeszcze od wczoraj gniewamy się na niego, skoro tak długo nie przychodzimy. O mój Boże!

To mówiąc, szybko włożyła mantylę i kapelusz; również Dunieczka się ubrała. Jej rękawiczki były nie tylko znoszone, lecz nawet, jak Razumichin zauważył, podarte. A jednak ta widoczna nędza nadawała obu kobietom jakby pozór godności, zwykłej u ludzi, którzy potrafią nosić skromne ubranie. Razumichin patrzył ze czcią na Dunię i był dumny, że ma ją odprowadzić. „Ta królowa<sup>[70]</sup> – przyszło mu na myśl – która cerowała sobie w więzieniu pończochy, na pewno w owej chwili bardziej wyglądała na królową aniżeli w czasie najwspanialszych uroczystości i przyjęć”.

– Mój Boże! – zawołała Pulcheria Aleksandrowna – czyż mogłam pomyśleć, że będę się bała spotkania z synem, z moim miłym, kochanym Rodią... A dziś boję się – dodała, nieśmiało spozierając na Razumichina.

– Nie obawiaj się, mamó – rzekła Dunia, całując ją. – Raczej wierz w niego tak, jak ja wierzę.

– Ach, mój Boże! Ja również wierzę, ale nie spałam całą noc! – zawołała biedna kobieta. Wyszli na ulicę.

– Wiesz, Duniu, gdy nad ranem nieco przysnęłam, przyśniła mi się nieboszczka Marfa Pietrowna... cała w bieli... podeszła do mnie, wzięła mnie za rękę i potrząsała nade mną głową z tak srogą miną, jakby mnie potępiała... Czy może to być dobry znak? Ach, mój Boże! Przecież pan nie wie jeszcze, że Marfa Pietrowna umarła.

– Nie, nie wiem. Kim była Marfa Pietrowna?

– Umarła nagle! I niech pan sobie wyobrazi...

– Później, mamó – przerwała Dunia – przecież pan Dymitr nic nie wie o Marfie Pietrownie.

– Ach, pan nie wie? A ja myślałam, że pan już wszystko wie. Proszę mi wybaczyć, ale w ostatnich dniach zupełnie tracę głowę. Doprawdy, uważam pana za naszą Opatrzność i dlatego zdawało mi się, że pan wszystko wie. Uważam pana za krewnego... Niech się pan nie gniewa, że tak mówię. Mój Boże! Co się panu stało w prawą rękę? Skaleczył się pan?

– Tak, skaleczyłem się – wyszeptał uszczęśliwiony Razumichin.

– Niekiedy tak mówię ze szczerego serca, aż Dunia mityguje mnie... Ale, mój Boże, w jakiej norze on mieszka! Czy już się obudził? A ta jego

gospodyni uważa to za pokój? Proszę pana, mówi pan, że on nie lubi zdradzać swoich uczuć, tak że ja mu może uprzykrzę się... przez moje słabostki?... Czy mógłby mi pan powiedzieć, Dymitrze Prokofjiczu, jak mam się wobec niego zachowywać? Bo doprawdy nie wiem, co robić.

– Proszę go nie wypytywać zbyt często, zwłaszcza gdy się skrzywi; przede wszystkim proszę nie pytać go o zdrowie, nie lubi tego.

– Ach, Dymitrze Prokofjiczu, jak trudno jest być matką. Już są schody... Ach, jakie okropne...

– Mamo, jesteś taka blada, uspokój się, moja droga – rzekła Dunia, przytulając się do niej. – Przecież on powinien być szczęśliwy, że mamę widzi, a mama tak się dręczy – dodała z błyskiem zniecierpliwienia w oczach.

– Niech panie zaczekają chwilkę... Pójdę zobaczyć, czy się obudził.

Obie kobiety szły wolno za Razumichinem, który pobiegł po schodach na górę. Gdy szły na trzecie piętro i przechodziły obok drzwi gospodyni, zauważyły, że drzwi te były nieco uchylone, a spoza nich patrzyły na nie czyjeś bystre, ciemne oczy. Spojrzenia ich skrzyżowały się, a drzwi zatrasnęły się nagle z takim hałasem, że Pulcheria Aleksandrowna omal nie krzyknęła ze strachu.

– Zdrów, zdrow! – Zosimow wesoło powitał przybyłych. Przyszedł przed dziesięć minutami i siedział w tym samym rogu kanapy co wczoraj. Raskolnikow siedział naprzeciwko niego ubrany, umyty i uczesany, co już od dłuższego czasu się nie zdarzało. Pokój zapełnił się od razu. Nastazja zdołała jednak wsunąć się za gośćmi i nastawiła uszu.

Istotnie, Raskolnikow, szczególnie w porównaniu z dniem wczorajszym, mógł uchodzić za zdrowego. Był tylko bardzo blady, roztargniony i pochmurny. Z wyglądu można go było wziąć za rannego albo za człowieka zgnębionego silnym bólem fizycznym – brwi miał ściągnięte, wargi zaciśnięte, oczy mu błyszcząły. Mówił mało i niechętnie, jakby sprawiało mu to ból lub wypełniał niemiły obowiązek, a w ruchach jego można było spostrzec oznaki niepokoju.

Brakło jedynie bandaża na rękę lub opatrunku na palcu, aby dopełnić podobieństwa z kimś, komu boleśnie obiera się palec lub doskwiera zraniona ręka.

Blada i chmurna jego twarz rozjaśniła się na chwilę, gdy weszły matka i siostra, lecz zaraz w miejsce poprzedniego ponurego roztargnienia osiadł na niej wyraz wewnętrznej udręki, a Zosimow, który obserwował swego pacjenta z zapalem początkującego lekarza, zauważył ze zdumieniem, że zamiast radości z powodu przybycia krewnych jest to źle skrywane postanowienie wytrwania godziny udręki, której nie można uniknąć! Widział potem, że każde słowo prowadzonej rozmowy jak gdyby jątrzyło jakąś ranę chorego, równocześnie jednak musiał podziwiać dzisiejszą umiejętność panowania nad sobą i ukrywania uczuć przez człowieka, który wczoraj wpadał w szal z byle powodu.

– Tak, sam to czuję, że jestem prawie zdrow – mówił Raskolnikow, całując serdecznie matkę i siostrę, co wprawiło w zachwyt Pulcherię Aleksandrownę – i nie mówię już tak jak wczoraj – dodał, zwracając się do Razumichina z przyjacielskim uściskiem dłoni.

– Mnie on także dziś zadziwił – zaczął Zosimow, uradowany z przybycia pań, gdyż w czasie tych dziesięciu minut stracił już temat rozmowy z chorym. – Jak tak dalej pójdzie, to za trzy lub cztery dni wszystko wróci do dawnego stanu, to jest do stanu sprzed miesiąca lub sprzed dwóch miesięcy, a może trzech? Bo to się od dawna zaczęło i rozwijało się... nieprawda? I przyzna pan chyba teraz, że być może sam pan ponosi winę za tę chorobę? – dodał z ostrożnym uśmiechem, jakby obawiając się rozdrażnić go tymi słowami.

– Bardzo możliwe – odparł chłodno Raskolnikow.

– Mówię to tylko dlatego – ciągnął dalej Zosimow – że pańskie zupełne wyzdrowienie zależy głównie od pana samego. Teraz, gdy można z panem mówić, chciałbym panu wyjaśnić, że trzeba usunąć pierwotne, że tak powiem, zasadnicze przyczyny, które spowodowały chorobę. Tylko pod tym warunkiem może pan wyzdrowieć, w przeciwnym razie nieuchronnie nastąpi pogorszenie. Nie wiem, jakie są te pierwotne przyczyny, panu jednak są one

zapewne znane. Jest pan mądrym człowiekiem i obserwował pan na pewno samego siebie. Odnoszę wrażenie, że początek pańskiej choroby datuje się od czasu opuszczenia uniwersytetu. Nie powinien pan pozostać bezczynny i dlatego myślę, że praca i jasno wytknięty cel mogą być dla pana zbawienne.

– Tak, tak, ma pan słuszność... jak najszybciej wrócę na uniwersytet, potem wszystko pójdzie... jak po maśle...

Zosimow, który dawał mu te rady częściowo dla zaimponowania damom, zmieszał się, widząc, że zakończenie jego przemowy wywołało drwiący uśmiech na twarzy Raskolnikowa. Trwało to jednak tylko chwilę. Pulcheria Aleksandrowna poczęła się zaraz rozpląwać w podziękowaniach dla Zosimowa, dziękując mu szczególnie za nocne odwiedziny w hotelu.

– Jak to, on był u was w nocy? – zapytał Raskolnikow z widocznym niepokojem. – A więc nie spałyście po podróży?

– Ach, Rodia, to było przecież przed godziną drugą. W domu również nie kładłyśmy się spać wcześniej.

– Nie wiem, jak mam mu podziękować – powiedział Raskolnikow, chmurząc się i spuszczając oczy. – Pomijając kwestię honorarium – wybaczy pan, że mówię o tym (zwrócił się do Zosimowa) – nie wiem doprawdy, czym zasłużyłem sobie na takie szczególne względy pana? Po prostu nie rozumiem tego... i przykro mi jest, że nie rozumiem, mówię to panu otwarcie.

– Niech się pan nie denerwuje – odparł Zosimow z wymuszonym uśmiechem. – Niech pan sobie wyobrazi, że jest pan moim pierwszym pacjentem, a lekarz, który dopiero zaczął praktykować, kocha swych pierwszych pacjentów jak własne dzieci, niektórzy nawet zakochują się w nich. A przecież ja nie mam zbyt wielu pacjentów.

– Bo już nie mówię o nim – dorzucił Raskolnikow, wskazując na Razumichina – również miał ze mną same zmartwienia i kłopoty.

– Co on plecie! A może jesteś dziś w nastroju sentymentalnym? – oburzył się Razumichin.

Gdyby był bardziej bystrym obserwatorem, spostrzegłby, że nie było tu ani śladu czułości, raczej wprost przeciwnie. Spostrzegła to jednak Awdotia Romanowna. Patrzyła na brata z uwagą i niepokojem.

– O mamie zaś nawet nie śmiem wspominać – mówił dalej jakby wyuczoną lekcję. – Dopiero dziś uzmysłowiłem sobie po części, jak musiała cierpieć wczoraj, oczekując mego powrotu – po tych słowach nagłym ruchem podał rękę siostrze i uśmiechnął się. W uśmiechu tym przebijało się prawdziwe, niekłamane uczucie. Dunia natychmiast ujęła i ucisnęła serdecznie wyciągniętą rękę. Po raz pierwszy zwracał się do niej po wczorajszej kłótni. Twarz matki promieniała z zadowolenia i szczęścia na widok tego ostatecznego, cichego pogodzenia się brata z siostrą.

– Za to właśnie go lubię! – szepnął skłonny do egzaltacji Razumichin, obracając się energicznie na krześle – miewa on takie odruchy!...

„I jak to wszystko u niego ładnie się kończy – myślała matka – co za szlachetność uczuć, jak prosto i delikatnie położył kres wczorajszemu nieporozumieniu z siostrą, po prostu podał jej rękę w odpowiedniej chwili



i spojrzął na nią z miłością... A jakie ma piękne oczy i jaką śliczną twarz... Jest nawet ładniejszy od Dunieczki... Lecz, mój Boże, cóż to za garnitur ma on na sobie, jak nędznie jest ubrany! Wasia, chłopiec na posyłki w sklepie Atanazego Iwanowicza, ma lepsze ubranie!... Chętnie rzuciłabym się mu na szyję, objęła go i... zapłakała, jednak boję się, boję... mógłby to źle zrozumieć, o Boże! Rozmawia wprawdzie uprzejmie, a jednak boję się! Czego ja się właściwie boję?...”.

– Ach, Rodia, nie uwierzysz – pośpieszyła nagle z odpowiedzią na jego uwagę – jakie byłyśmy wczoraj nieszczęśliwe, ja i Dunieczka! Teraz, gdy wszystko już minęło, a my wszyscy znów jesteśmy szczęśliwi, można to powiedzieć! Wyobraź sobie, biegniemy tu, żeby ciebie uściskać, prawie wprost z pociągu, a ta kobieta – otóż i ona! Jak się masz, Nastazjo? – mówi nam, że ty masz białą gorączkę i że właśnie dopiero co, bez wiedzy lekarza, uciekłeś i że poszli cię szukać! Nie uwierzysz, jak to na nas podziałało! Przypomniałam sobie zaraz, jak tragicznie skończył porucznik Potancykow, nasz znajomy, przyjaciel twego ojca – ty go zapewne nie pamiętasz, Rodia – miał on również silną gorączkę i podobnie jak ty uciekł i wpadł do studni na podwórzu, dopiero nazajutrz wydobyto go stamtąd. Przedstawiałyśmy to sobie w jeszcze czarniejszych barwach. Chciałyśmy pobiec do Piotra Pietrowicza, aby z jego pomocą... gdyż byłyśmy same, zupełnie same – dodała płaczliwym głosem i nagle zamilkła, przypomniawszy sobie, że jest jeszcze dość niebezpiecznie mówić o Piotrze Pietrowiczu, chociaż „wszyscy znów są zupełnie szczęśliwi”.

– Tak, tak... to wszystko jest bez wątpienia przykre... – odparł Raskolnikow, ale z takim roztargnieniem i nieuwagą, że Dunia ze zdziwieniem popatrzyła na niego. – Co to ja chciałem powiedzieć? – ciągnął dalej, jakby próbując sobie coś przypomnieć. – Ach tak, proszę was, mamó i Duniu, nie myślcie, że nie chciałem przyjść do was i że czekałem, abyście to wy pierwsze do mnie przyszły.

– Cóż znowu, Rodia! – zawołała Pulcheria Aleksandrowna, także zdziwiona. „Czemu on mówi tak konwencjonalnie? – pomyślała Dunieczka. – Godzi się i prosi o przebaczenie, jakby wypełniał obowiązek lub wypowiadał lekcję”.

– Przebudziłem się niedawno i chciałem iść do was, powstrzymało mnie jednak moje ubranie; zapomniałem jej... Nastce... powiedzieć, żeby zmyła tę krew... Teraz dopiero się ubrałem.

– Krew? Jaką krew? – zachnęła się przerażona Pulcheria Aleksandrowna.

– To nic... nie bójcie się. Krew pochodzi stąd, że gdy wczoraj w gorączce błądziłem, natknąłem się na przejechanego człowieka... jakiegoś urzędnika.

– W gorączce? Ale ty przecież wszystko pamiętasz – przerwał mu Razumichin.

– To prawda – odparł Raskolnikow z namysłem – przypominam sobie wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów, a jednak wyobraźcie sobie, że nie mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłem, po co tam byłem i to wszystko mówiłem!

– To znany przypadek – wtrącił Zosimow – niekiedy wykonuje się jakąś czynność wspaniale, po mistrzowsku, ale kierowanie postępkami i pobudki

czynu są niejasne i zależą od przeróżnych chorobliwych wrażeń. Całkiem jak we śnie.

„A może to i dobrze, że on uważa mnie prawie za wariata” – pomyślał Raskolnikow.

– To samo jednak może się odnosić i do ludzi zdrowych – rzekła Dunia, patrząc z niepokojem na Zosimowa.

– Ma pani rację – odparł – pod tym względem wszyscy jesteśmy rzeczywiście podobni do wariatów, z tą tylko małą różnicą, że „chorzy” są troszkę więcej zwariowani od nas, i potrzebne jest rozgraniczenie. Zupełnie harmonijnych ludzi prawie nie ma; znajdzie się może jeden taki człowiek na dziesiątki, a może nawet na setki tysięcy, też zresztą na ogół marny egzemplarz...

Przy słowie „wariaci”, które niebacznie wymknęło się rozgadaniem na ulubiony temat Zosimowowi, wszyscy się skrzywili. Raskolnikow siedział zatopiony w myślach, z dziwnym uśmiechem na bladych wargach, jakby nie zwracając na to żadnej uwagi. Widocznie wciąż myślał o czymś.

– A więc co z tym przejechanym? Przerwałem ci! – zapytał pośpiesznie Razumichin.

– Co? – Raskolnikow zdawał się budzić ze snu. – Tak, a więc zawałałem się krwią, gdy pomagałem go nieść do mieszkania... Tak, mam, popełniłem wczoraj rzecz nie do darowania; rzeczywiście byłem niespełna rozumu. Wszystkie pieniądze, które mi przysłałaś... dałem jego żonie... na pogrzeb. Została wdową, jest to suchotnica godna litości... troje małych dzieci, głodne sieroty... W domu nie ma nic... jest tam także córka... Gdybyście to na własne oczy widziały, też byście się ulitowały... Co prawda nie miałem wcale prawa, przyznaję to, szczególnie że wiem, jak ciężko wam przyszło uzyskanie tych pieniędzy. Aby pomagać, trzeba wprawdzie mieć prawo, w przeciwnym razie: *Crevez chiens, si vous n'êtes pas contents*<sup>[71]</sup>! – zaśmiał się. – Czyż nieprawda, Duniu?

– Nieprawda – odparła Dunia stanowczo.

– Ba! Więc ty masz... własne zdanie!... – wymamrotał, patrząc na nią prawie z nienawiścią i uśmiechając się drwiąco. – Powinienem być wziąć to pod uwagę... No, ale trudno, bardzo ci się to chwali i nawet lepiej dla ciebie... gdy dojdiesz do granicy, której nie będziesz mogła przekroczyć, będziesz nieszczęśliwa, a gdy ją przekroczy, będziesz może jeszcze nieszczęśliwsza... A zresztą, wszystko to nie ma sensu! – dodał z irytacją, zły sam na siebie za mimowolną szczerłość. – Chciałem tylko powiedzieć, że proszę cię, mam, o wybaczenie – zakończył krótko i wężłowato.

– Ależ, Rodia, jestem pewna, że wszystko, co robisz, jest dobre! – rzekła matka z radością.

– Niech mama nie będzie tego taka pewna – odparł, wykrzywiając usta w uśmiechu.

Zaległo milczenie. W całej rozmowie i w tym milczeniu wyczuć można było napięcie, podobnie jak w pogodzeniu się i w przebaczeniu. Czuli to wszyscy.

„Wygląda, jakby się mnie bały” – pomyślał Raskolnikow, patrząc spod oka na matkę i siostrę. I rzeczywiście Pulcheria Aleksandrowna im dłużej

milczała, tym większy ogarniał ją lęk.

„Gdy były daleko, to zdawało mi się, że bardzo je Kocham” – przemknęła mu przez głowę myśl.

– Czy wiesz, Rodia, że Marfa Pietrowna umarła? – rzekła nagle Pulcheria Aleksandrowna.

– Jaka Marfa Pietrowna?

– Ach, mój Boże, Marfa Pietrowna Swidrygajłowa! Pisywałam ci przecież tyle o niej.

– A tak, przypominam sobie... A więc umarła? Naprawdę? – zawołał jakby nagle zbudzony. – Rzeczywiście umarła? Co się stało?

– Wyobraź sobie, że zmarła nagle! – pośpieszyła z odpowiedzią Pulcheria Aleksandrowna, zachęcona jego zainteresowaniem. – I to właśnie w tym czasie, gdy wysłałam list do ciebie, nawet tego samego dnia! Pomyśl sobie, że chyba ten straszny człowiek był przyczyną jej śmierci. Mówiono, że skatował ją niemiłosiernie!

– Czy tak źle żyli ze sobą? – zwrócił się zapytaniem do siostry.

– Wprost przeciwnie. On był wobec niej zawsze bardzo cierpliwy i ułaskawiony. W niektórych wypadkach nawet zbyt cierpliwy wobec jej postępowania, przez całe siedem lat... W końcu jednak stracił cierpliwość!

– A więc on wcale nie jest taki straszny, skoro wytrzymał siedem lat. Zdaje mi się, że ty, Duniu, bronisz go?

– Nie, nie, on jest okropnym człowiekiem! Nie mogę sobie nawet gorszego wyobrazić – odparła Dunia, wzdragając się, zmarszczyła brwi i zamyśliła się.

– Sprawa wybuchła rano – ciągnęła Pulcheria Aleksandrowna z pośpiechem. – Potem kazała zaprzęgać, żeby zaraz po obiedzie pojechać do miasta, ponieważ w takich wypadkach zawsze jechała do miasta; obiad zjadła, jak mówią, z apetytem...

– Jak to, pobita?

– Taki miała... zwyczaj i zaraz po obiedzie poszła, aby się nie spóźnić z odjazdem, do łaźienki... Musisz bowiem wiedzieć, że brała kąpiele ze źródeł zdrowotnych, oni mają tam źródło, a ona kąpała się w nim codziennie; gdy weszła do zimnej wody, tknęła ją nagle apopleksja!

– Nic dziwnego – rzekł Zosimow.

– A mocno ją zbił?

– To przecież nie ma znaczenia – rzekła Dunia.

– Hm! A zresztą jaką przyjemność znajduje mama w opowiadaniu mi tych bzdur? – rzekł nagle Raskolnikow rozdrażnionym tonem.

– Ach, mój drogi, po prostu nie wiedziałam już, o czym mówić – odrzekła Pulcheria Aleksandrowna.

– Cóż to, czy może boicie się mnie? – zapytał z wymuszonym uśmiechem.

– Tak – odparła Dunia, patrząc śmiało i twardo na brata. – Gdyśmy szły po schodach, mama się nawet przeżegnała ze strachu.

Twarz skrzywiła mu się w grymasie.

– Ależ, Duniu, co ty mówisz? Rodia, proszę cię, nie gniewaj się... Dlaczego to powiedziałaś, Duniu? – pośpiesznie mamrotała Pulcheria Aleksandrowna w zakłopotaniu. – To prawda, gdy tu jechałam, marzyłam przez całą drogę

o tym, jak to się zobaczymy, jak będziemy sobie wzajemnie opowiadać!... I byłam taka strasznie szczęśliwa, że nawet nie odczuwałam trudów podróży! Ale co ja mówię! Również i teraz jestem szczęśliwa... Robisz mi krzywdę, Duniu... Rodia... Już samo to, że cię widzę, napawa mnie szczęściem.

– Daj spokój, mamu – szeptał zmieszany, ściskając jej rękę, nie patrząc jednak na nią – znajdziemy jeszcze dość czasu na rozmowę.

Wyrzekłszy te słowa, zmieszał się znowu i pobladł, straszne uczucie śmiertelnego chłodu znów zagościło w jego duszy i znów uprzytomnił sobie z przerażającą jasnością, że powiedział okropne kłamstwo, że nigdy nie będzie mógł wypowiedzieć tego, co ma na sercu, że nigdy już z nikim w ogóle nie będzie mógł pomówić. Wrażenie tej bolesnej myśli było tak silne, że na chwilę stracił poczucie rzeczywistości, powstał ze swego miejsca i nie patrząc na nikogo, chciał wyjść z pokoju.

– Co ci jest? – krzyknął Razumichin, chwytając go za rękę. Usiadł i zaczął rozglądać się w milczeniu; wszyscy patrzyli na niego zdumieni.

– Dlaczego wszyscy jesteście tacy nudni? – wyrwało mu się całkiem niespodzianie. – Mówcie coś! Dlaczego tak siedzimy? A więc porozmawiajmy! ... Zeszli się i milczą... powiedzcie coś wreszcie!

– Dzięki Bogu! Myślałam już, że stanie się z nim to samo co wczoraj – rzekła Pulcheria Aleksandrowna, żegnając się.

– Co ci jest, Rodia? – zapytała zaniepokojona Dunia.

– Nic, przypomniała mi się pewna śmieszna historia – odparł i nagle się roześmiał.

– Jeśli to coś śmiesznego, to dobrze! Bo i mnie się zdawało... – mruknął Zosimow i wstał z kanapy. – Teraz muszę już iść, ale wpadnę tu jeszcze, może... jeśli zastanę... – Pożegnał się i wyszedł.

– Cóż to za miły człowiek! – rzekła Pulcheria Aleksandrowna.

– Tak, miły, wspaniały, wykształcony, mądry... – Raskolnikow rzucał słowa pośpiesznie i z niezwykłym ożywieniem – nie pamiętam, czy spotkałem go kiedyś przed moją chorobą... a jednak zdaje mi się, że już gdzieś go widziałem... Ten tu również jest dobrym człowiekiem! – Skinął w kierunku Razumichina. – Podoba ci się, Duniu? – spytał ją i zaśmiał się nagle i bez powodu.

– Bardzo mi się podoba – odparła Dunia.

– Tfu, ale z ciebie... świntuch! – rzekł Razumichin, bardzo zażenowany i czerwony, i wstał z krzesła.

Pulcheria Aleksandrowna uśmiechnęła się, a Raskolnikow wybuchnął głośnym śmiechem.

– Dokąd to?

– Ja również... muszę już iść.

– Wcale nie musisz, zostań! Czy dlatego, że Zosimow wyszedł, musisz i ty? Zostań, która godzina? Czy jest już dwunasta? Masz śliczny zegarek, Duniu! Dlaczego znów milczycie? Tylko ja mówię przez cały czas!...

– Zegarek ten podarowała mi Marfa Pietrowna – odparła Dunia.

– Jest to bardzo drogi zegarek – dodała Pulcheria Aleksandrowna.

– A-a-a! I jaki duży, prawie nie damski.

– Lubię takie – rzekła Dunia.

„A więc to nie jest prezent od narzeczonego” – skonstatował Razumichin i ucieszył się.

– Myślałem, że to prezent od Łużyna – wtrącił Raskolnikow.

– Nie, on jeszcze nic nie podarował Dunieczce.

– Ta-a-k! Czy pamiętasz, mamó, że byłem zakochany i chciałem się ożenić?

– rzekł nagle, patrząc na matkę, zdziwioną tą niespodziewaną zmianą tematu i tonem jego głosu.

– Ach, mój kochany, tak, pamiętam. – Pulcheria Aleksandrowna znacząco spojrzała na Dunię i na Razumichina.

– Hm! Tak! Cóż wam mogę powiedzieć? Pamiętam już niewiele. Była ona bardzo chorowitym dziewczęciem – mówił dalej ze spuszczonego wzrokiem i pograżony w myślach – była taka słaba; lubiła dawać jałmużnę i wciąż marzyła o klasztorze, a gdy mi o tym opowiadała, płakała rzewnymi łzami. Tak, tak...pamiętam... pamiętam to doskonale. Była taka... brzydka. Zaiste, nie wiem, skąd wzięło się moje uczucie, być może dlatego, że była ciągle chora... Gdyby była jeszcze ułomna lub garbata, to zdaje mi się, że kochałbym ją jeszcze bardziej... – Uśmiechnął się w zamyśleniu. – Było to... takie zauroczenie wiosenne...

– Nie, to nie było tylko zauroczenie wiosenne – rzekła Dunia z ożywieniem.

Spojrzał uważnie na siostrę, lecz jej słów nie dosłyszał albo nie rozumiał. Potem, wciąż w głębokim zamyśleniu, wstał, podszedł ku matce, pocałował ją, powrócił na swoje miejsce i usiadł.

– Ty ją jeszcze kochasz! – stwierdziła wzruszona Pulcheria Aleksandrowna.

– Ja? Teraz? Ach tak... o niej mówisz! Nie. To wszystko wydaje mi się teraz jakby nie z tego świata... i takie odległe. Tak, i to wszystko, co się dokoła mnie dzieje, też jakby działo się gdzie indziej...

Popatrzył na nią z uwagą.

– Również i was... widzę, jakbyście byli oddalone o tysiące wiorst... Ależ do diabła, dlaczego mówimy o tym? I dlaczego wciąż wypytujecie mnie? – rozgniewał się i zaraz umilkł, gryząc paznokcie i znów wpadając w zadumę.

– Jakie ty masz nędzne mieszkanie, Rodia, przypomina trumnę – rzekła nagle Pulcheria Aleksandrowna, przerywając uciążliwe milczenie – pewna jestem, że to mieszkanie ponosi połowę winy za twoją melancholię.

– Mieszkanie?... – odparł z roztargnieniem. – Tak, to wina mieszkania... i ja tak myślę... Gdybyś wiedziała, mamó, jak dziwną myśl teraz wypowiedziałas – dodał i roześmiał się jakoś dziwnie.

Jeszcze chwila, a towarzystwo, jego najbliższa rodzina, którą oglądał po trzyletniej rozłące, i ten sposób rozmowy, który był przelewaniem z pustego w próżne, stałyby się dla niego nie do zniesienia. Pozostała jednak jeszcze jedna, niecierpiąca zwłoki sprawa, którą tak czy owak musiał dziś rozstrzygnąć... postanowił to sobie przedtem, gdy tylko się obudził. Teraz ucieszyła go ta sprawa jako sposób wybrnięcia z niemiłej sytuacji.

– Słuchaj, Duniu – zaczął poważnie i oschle – rozumiem się, że proszę cię o wybaczenie mi mojego wczorajszego zachowania, uważam jednak za swój

obowiązek przypomnieć ci raz jeszcze, że za nic nie odstąpię od mego żądania. Albo ja, albo Łużyn. Ja mogę być łotrem, ty jednak nie powinnaś być podła. Jedno z dwojga wystarczy. Jeżeli poślubisz Łużyna, to przestanę cię uważać za siostrę.

– Rodia, Rodia! Zaczynasz to samo co wczoraj! – jęknęła Pulcheria Aleksandrowna żałościwie. – I dlaczego nazywasz się ustawicznie łotrem, nie znoszę tego! Wczoraj było to samo...

– Bracie – odparła Dunia równie stanowczo i oschle – w tym wszystkim jest pomyłka z twojej strony. Myślałam o tym w nocy i wykryłam twój błąd. Rzecz cała w tym, że ty, jak mi się zdaje, myślisz, że ja czynię ofiarę z siebie, aby komuś innemu pomóc. Tak jednak nie jest. Wychodzę za męża tylko ze względu na siebie, po prostu dlatego, że samej jest mi ciężko, a potem, naturalnie, będę rada, jeśli mi się uda dopomóc moim bliskim, ale nie ten wzgląd zadecydował o moim postanowieniu.

„Ona kłamie! – myślał, gryząc z wściekłości paznokcie. – Jest dumna! Nie chce się przyznać, że lubi odgrywać rolę dobrodziejki! Och, te niskie charaktery! Kochają tak, jakby nienawidziły... Jakże... nienawidzę ich wszystkich”.

– Jednym słowem, wychodzę za Piotra Pietrowicza, gdyż z dwojga złego wybieram mniejsze zło. Postanowiłam spełnić uczciwie to wszystko, czego się po mnie spodziewa, a zatem nie oszukuję go... Dlaczego się śmiejesz?

Zaczerwieniła się, a w oczach jej błysnął gniew.

– Chcesz wszystko spełnić? – spytał z jadowitym uśmiechem.

– Aż do pewnej granicy. Sposób i forma starania się o moją rękę dały mi od razu poznać, czego oczekuje Piotr Pietrowicz. Wprawdzie ocenia on siebie za wysoko, spodziewam się jednak, że ceni również mnie... Dlaczego się znowu śmiejesz?

– A dlaczego ty się znowu czerwienisz? Kłamiesz, siostro, kłamiesz z całą świadomością, jedynie wskutek kobiecego uporu i żeby postawić na swoim wbrew mojej woli... Ty nie możesz szanować Łużyna – widziałem go i rozmawiałem z nim. Sprzedajesz się za pieniądze, a zatem postępujesz podle; cieszę się, że przynajmniej potrafisz się jeszcze zaczerwienić!

– To nieprawda, ja nie kłamie!... – krzyknęła Dunia, tracąc zimną krew. – Nie poślubiłabym go, gdybym nie była pewna, że on mnie szanuje i że zależy mu na mnie; nie wyszłabym za niego, gdybym nie była przekonana, że i ja mogę go również szanować. Na szczęście mogę się o tym dziś jeszcze przekonać. A takie małżeństwo nie jest podłe, jak je nazywasz. A nawet gdybyś miał słuszność, nawet gdybym się zdecydowała na podłość, to czyż nie jest okrucieństwem z twojej strony mówić tak do mnie? Dlaczego żądasz ode mnie bohaterstwa, na które samego cię nie stać? To jest tyrania, to gwałt! Nawet jeśli kogoś zniszczę, to najwyżej siebie samą... Nie zabiłam jeszcze nikogo... Dlaczego tak patrzysz na mnie? Czemu zbladłeś? Rodia, co ci jest? Rodia, kochany...

– Boże! Zemdra! – krzyknęła Pulcheria Aleksandrowna.

– Nie, nie... to głupstwo... nic mi nie jest!... Kręci mi się trochę w głowie. To nie jest omdlenie... Wszędzie wietrzycie omdlenia... Hm! Cóż to ja chciałem

powiedzieć? Tak, a w jakiż to sposób przekonasz się dzisiaj, że możesz go szanować i że on ciebie... ceni, jak powiedziałaś? Mówiłaś, zdaje się, że dzisiaj? Czy może się przesłyszałem?

– Mamo, pokaż mu list od Piotra Pietrowicza – rzekła Dunieczka.

Pulcheria Aleksandrowna podała mu list drżącymi rękoma. Wziął go z wielką ciekawością. Ale zanim go otworzył, spojrzał nagle ze zdziwieniem na Dunię.

– To dziwne – mówił powoli, jakby zaskoczony tą myślą – dlaczego ja się tak unoszę? Po co cały ten krzyk? Bierz ślub, jeśli chcesz.

Mówił jakby do siebie, jednak głośno i patrzył przez dłuższą chwilę zdziwiony na siostrę.

W końcu otworzył list, wciąż jeszcze z wyrazem zdziwienia na twarzy; potem począł powoli i uważnie czytać, przeczytał list dwa razy. Pulcheria Aleksandrowna była bardzo niespokojna, również pozostali oczekiwali czegoś niezwykłego.

– To mnie dziwi – zaczął po namyśle, oddając list matce, ale nie zwracając się do nikogo w szczególności – on przecież prowadzi procesy, jest adwokatem, jego sposób wyrażania się jest nawet taki niby to elegancki, a pisze tak nieudolnie.

Wszyscy poruszyli się, oczekiwano czegoś całkiem innego.

– Przecież oni wszyscy tak piszą – zauważył Razumichin.

– Czy czytałeś ten list?

– Tak.

– Pokazałyśmy mu go przedtem, Rodia... radziłyśmy się – wyjaśniła z zażenowaniem Pulcheria Aleksandrowna.

– To jest właściwie styl sądowy – przerwał jej Razumichin – dziś jeszcze używa się tego stylu w sądzie.

– Sądowy? Tak, rzeczywiście, jest to styl sądowy, urzędowy... Nie jest to aż tak bardzo nieudolnie napisane, ale też i nie językiem literackim; po prostu list urzędowy.

– Piotr Pietrowicz nie kryje się wcale z tym, że wykształcenie zdobywał z trudem, jest nawet dumny z tego, że sam doszedł do dzisiejszego stanowiska – odparła Awdotia Romanowna, urażona tonem brata.

– Jeśli jest dumny, to widocznie ma do tego prawo, nie przeczę. Widzę, że czujesz się urażona tym, moja siostró, że z całego listu wysnułem tylko taki zabawny wniosek, i zdaje ci się, że umyślnie mówię o takich drobnostkach, aby się z ciebie naigrawać. Wprost przeciwnie, ze względu na styl przyszło mi na myśl coś, co może nam się bardzo przydać. W liście tym jest zdanie: „a winę będą Panie miały jedynie sobie do przypisania”. Zdanie to jest jasne i wyraźne. Zawarta jest w nim groźba, że on zaraz odejdzie, jeśli ja przyjdę. A to znaczy tyle, że porzuci was obie, jeżeli nie będziecie mu posłuszne, i to porzuci was teraz, gdy za jego namową przyjechałyście do Petersburga. No, jak sądzisz, czy takie wyrażenie łożyna jest równie obraźliwe, jak gdyby to na przykład napisał on (wskazał na Razumichina) lub Zosimow albo ktokolwiek z nas?

– No, nie – odparła Dunia – rozumiem całkiem dobrze, że wyraził się on



zbyt naiwnie, ale może tylko nie umiał znaleźć odpowiedniego wyrażenia... To słuszna uwaga z twojej strony, Rodia. Nie przypuszczałam nawet...

– Jest to wyrażone stylem sądowym i inaczej nie dało się napisać. Wyszło to może nawet bardziej ordynarnie, niż on sam chciał napisać. Poza tym muszę cię nieco rozczarować – w liście tym wyczytałem coś jeszcze, a mianowicie obelgę, i to dość nikczemną. Dałem wczoraj pieniądze owej wdowie, tej chorej i przybitej kobiecie, i to nie „pod pozorem”, że chcę ponosić kosztą pogrzebu, lecz po prostu na pogrzeb, nie dałem też ich córce, jak pisze, dziewczynie „podejrzanych obyczajów” (którą wczoraj po raz pierwszy widziałem), lecz faktycznie samej wdowie. W tym wszystkim widzę skwapliwą chęć obrzucenia mnie błotem i poróżnienia z wami. I to również napisane jest stylem sądowym, to znaczy, że zbyt wyraźnie przebija tu cel i naiwna skwapliwość. Jest on mądry, jednak aby mądrze postępować, trzeba mieć coś więcej niż sam tylko rozum. Wszystko to świadczy, jakim on jest człowiekiem i... nie sądzę też, aby cię zbyt wysoko cenił. Mówię ci to tylko ku rozwadze, gdyż szczerze pragnę twego dobra...

Dunieczka nic nie odpowiedziała; decyzję powzięła już przedtem i oczekiwała tylko wieczoru.

– Więc jak się decydujesz, Rodia? – zapytała Pulcheria Aleksandrowna, zaniepokojona jeszcze bardziej niż przedtem jego niespodziewanym, *urzędowym* tonem.

– Na co mam... „się decydować”?

– Piotr Pietrowicz pisze przecież, że nie chce, abyś był dziś wieczór u nas, i że odejdzie... gdybyś ty przyszedł. A więc jak... przyjdiesz?

– Decyzja nie zależy ode mnie, lecz w pierwszym rzędzie od mamy, o ile ją to żądanie Piotra Pietrowicza nie obraża, a w drugim rzędzie od Duni, o ile również nie czuje się urażona. Ja zaś postąpię tak, jak uznacie za najlepsze – dodał oschle.

– Dunia już się zdecydowała, a ja się z nią całkowicie zgadzam! – skwapliwie wtrąciła Pulcheria Aleksandrowna.

– Postanowiłam cię prosić, Rodia, usilnie prosić, żebyś koniecznie był obecny dziś przy tym spotkaniu – powiedziała Dunia. – Przyjdiesz?

– Przyjdę.

– Również i pana proszę do nas na ósmą – dodała, zwracając się do Razumichina. – Mamo, zapraszam również pana Razumichina.

– Bardzo dobrze, Dunieczko. Niech będzie tak, jak postanowiłaś – dodała Pulcheria Aleksandrowna. – Ja nawet wolę tak; nie lubię udawać i kłamać, lepiej powiedzieć całą prawdę... Piotr Pietrowicz może się teraz gniewać lub nie.

W tej chwili drzwi otwały się bezszelestnie i weszła do pokoju, rozglądając się nieśmiało, młoda dziewczyna. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem i ciekawością. Raskolnikow nie poznał jej w pierwszej chwili. Była to Sofia Siemionowna Marmieładowa. Widział ją wczoraj po raz pierwszy w takiej sytuacji i w takim stroju, że w jego duszy pozostał zupełnie inny obraz. Teraz była ona skromnie, a nawet ubogo ubrana, bardzo młodą dziewczyną, niemal dzieckiem, o skromnych i przyzwoitych manierach, o twarzyczce pogodnej, aczkolwiek teraz malowało się na niej zakłopotanie. Miała na sobie zwyczajną, codzienną sukienkę, na głowie zaś niemodny, stary kapelusz; z wczorajszego stroju pozostała jej jedynie parasolka, którą trzymała w ręku. Gdy weszła do pokoju i ujrzała w nim tyle osób, nie tylko stropiła się, lecz po prostu straciła głowę, wyglądała jak małe, przestraszone dziecko i uczyniła ruch, jakby chciała cofnąć się i wyjść z pokoju.

– Ach, to pani... – rzekł Raskolnikow bardzo zdziwiony i nagle poczuł się zakłopotany.

Pomyślał zaraz, że matka i siostra z listu Łużyna już coś wiedzą o dziewczynie „podejrzanych obyczajów”. Dopiero co protestował przeciwko potwarzom Łużyna i zapewniał, że dziewczynę tę widział po raz pierwszy w życiu, a ona nagle przychodzi tutaj. Przypomniał sobie także, że przeciwko wyrażeniu temu zupełnie nie protestował. Wszystko to w jednej sekundzie przeleciało mu przez myśl. Jednak gdy spojrzął na nią uważnie, ujrzał, jak zgnębiona przez życie była ta poniżona istota, i zrobiło mu się jej żal. Gdy w przerażeniu swoim cofnęła się ku drzwiom, coś w nim drgnęło.

– Nie oczekiwałem pani – rzekł pośpiesznie, zatrzymując ją wzrokiem. – Proszę, niech pani siada. Przychodzi pani pewnie z polecenia Katarzyny Iwanowny. Niech pani pozwoli, może usiądzie pani nie tam, lecz tutaj..

Gdy Sonia weszła, Razumichin, który siedział na jednym z trzech krzeseł Raskolnikowa, podniósł się, aby umożliwić jej przejście. Raskolnikow chciał początkowo wskazać jej miejsce na kanapie, gdzie siadywał Zosimow, ale przyszło mu na myśl, że miejsce to jest zanadto „familijne” i służy mu za łóżko, wskazał jej zatem krzesło Razumichina.

– A ty siadaj tutaj – zwrócił się do Razumichina, wskazując mu miejsce na kanapie, gdzie siedział zwykle Zosimow.

Sonia usiadła i drżąc z trwogi, patrzyła nieśmiało na obie panie. Najwyraźniej nie mogła pojąć, skąd wzięła się u niej taka śmiałość, że usiadła obok nich. Przerażona tym szybko wstała i bardzo zmieszana zwróciła się do Raskolnikowa:

– Ja... ja... tylko na chwilę, niech mi pan wybaczy, że przeszkadzam – rzekła, jękając się. – Przychodzę z polecenia Katarzyny Iwanowny, ona nie miała kogo posłać... Ona bardzo prosiła, żeby pan przyszedł... jutro rano na pogrzeb. Po pogrzebie... na Cmentarzu Mitrofanijewskim<sup>[72]</sup>... prosi, żeby pan... przyszedł do nas... do niej... na poczęstunek... Będzie to wielki zaszczyt dla niej... Ona bardzo prosiła.

Zacięła się i umilkła.

– Postaram się na pewno... na pewno – odrzekł Raskolnikow, reszta zdania uwięzła mu w gardle. – Proszę, niechże pani usiądzie – rzekł nagle – muszę pomówić z panią. Nawet jeśli pani się śpieszy, niech mi pani wyświadczy przysługę i podaruje dwie minuty czasu... – Przysunął jej krzesło. Sonia usiadła i nie mniej niż przedtem zakłopotana, rzuciła nieśmiałe spojrzenie na siedzące panie, po czym znowu opuściła oczy i utkwiała wzrok w podłodze.

Błada twarz Raskolnikowa pokryła się rumieńcem; był wyraźnie poruszony, oczy mu płonęły.

– Mamo – rzekł dobitnie i niemal nakazujące – to jest Sofia Siemionowna Marmieladowa, córka owego nieszczęsnego pana Marmieladowa, którego wczoraj konie stratowały na moich oczach, o czym wam już mówiłem...

Pulcheria Aleksandrowna spojrzała na Sonię, przymrużając nieco oczy. Mimo swego zakłopotania i nakazującego wyzywającego wzroku Rodiona nie mogła sobie odmówić tej drobnej przyjemności. Dunia patrzyła prosto w twarz młodej dziewczynie i oglądała ją z wyraźnym zdumieniem. Gdy Sonia usłyszała słowa Raskolnikowa, podniosła na chwilę wzrok, ale jej zmieszanie stało się jeszcze większe.

– Chciałem zapytać panią – mówił Raskolnikow z pośpiechem – co działo się dzisiaj u was? Czy nikt was nie nagabywał? Na przykład policja.

– Nie, wszystko poszło gładko... Przecież przyczyna śmierci była oczywista, nikt nie żądał żadnych wyjaśnień, tylko lokatorzy sarkają.

– Dlaczego?

– Że ciało leży tak długo... teraz jest upał, więc zapach... dlatego też będzie przeniesione dzisiaj wieczorem na cmentarz i pozostawione w kaplicy do rana. Katarzyna Iwanowna nie chciała się początkowo na to zgodzić, teraz jednak sama przyznaje, że tak jest lepiej...

– Więc dzisiaj?

– Ona prosiła, aby pan zaszczycił nas swą obecnością na nabożeństwie w cerkwi, a potem udał się do niej na stypę.

– To będzie stypa?

– Tak, taka mała przekąska; kazała panu bardzo podziękować za pomoc... wczoraj... bez pana nie byłoby go za co pochować.

Podbródek i wargi dziewczyny zadrżały, opanowała się jednak i znowu spuściła wzrok.

W czasie rozmowy Raskolnikow nie odrywał od niej oczu. Twarzyczkę miała bardzo szczupłą, rysy dość nieregularne, mały, spiczasty nos i taki sam podbródek. Trudno byłoby nazwać ją piękną, jednak niebieskie oczy były świetliste, a gdy się ożywiały, wyraz twarzy stawał się tak dobry i ujmujący, że każdy musiał mimo woli poczuć do niej sympatię. W twarzy jej i w całej postaci było poza tym coś osobliwego – mimo swych osiemnastu lat wyglądała jak dziewczyna dużo młodsza, prawie jak dziecko, i to niekiedy śmiesznie wyrażało się w jej ruchach.

– Czyżby tak mała suma Katarzynie Iwanownie wystarczyła na wszystko, skoro urządza stypę? – zapytał, pragnąc za wszelką cenę podtrzymać rozmowę.

– Trumna jest całkiem prosta... i wszystko inne... tak że dużo nie kosztuje... Obliczyłyśmy wszystko z góry z Katarzyną Iwanowną, pozostało jeszcze tyle, że starczy na stypę... Katarzyna Iwanowna bardzo tego pragnęła... Musimy więc... To jest dla niej pociechą, taka już jest... wie pan przecież...

– Rozumiem, rozumiem... Oczywiście. Ogląda pani mój pokój? Matka moja mówi, że przypomina jej trumnę.

– Dał pan nam wczoraj wszystkie pieniądze, jakie pan miał – rzekła nagle zamiast odpowiedzi i znów opuściła wzrok ku ziemi.

Wargi i podbródek zadrgały jej ponownie. Nędza Raskolnikowa od razu rzuciła się jej w oczy, a słowa te wyrwały się jej zupełnie bezwiednie. Zapanowało milczenie. Oczy Duni nabrały blasku, a matka życzliwiej popatrzyła na Sonię.

– Rodia – rzekła, wstając z miejsca – rzecz jasna, obiad zjemy razem. Chodź, Duniu. Tobie też radzę wyjść nieco, po spacerze zaś położyć się i wypocznij, a potem czekamy... Obawiam się, że rozmowa z nami zmęczyła cię...

– Tak, tak, przyjdę... – rzekł pośpiesznie i też wstał. – Muszę jednak jeszcze coś załatwić...

– Chyba nie będziecie jedli obiadu osobno? – rzekł Razumichin, patrząc zdziwiony na Raskolnikowa. – Co masz do załatwienia?

– Przecież mówię, że przyjdę... na pewno... A ty zostań tu jeszcze chwilę. Nie potrzebujecie go teraz, prawda, mamu? Czy też może zabieram go wam?

– O nie, wcale nie! Pana także proszę do nas na obiad, Dymitrze Prokofjczu, będzie pan taki dobry?

– Bardzo proszę, niech pan przyjdzie – dorzuciła Dunia.

Razumichin pochylił się w ukłonie, dziękując za zaproszenie, twarz promieniała mu z zadowolenia. Dziwne jakieś zakłopotanie ogarnęło wszystkich na chwilę.

– Żegnaj, Rodia, a raczej do zobaczenia. Nie lubię tego słowa „żegnaj”. Żegnaj, Naściu... o, znowu powiedziałam „żegnaj”... – Pulcheria Aleksandrowna o mało co nie ukłoniła się nawet Soni i wyszła szybko z pokoju.

Dunia, która szła za matką, ukłoniła się dziewczynie uprzejmie i życzliwie. Biedna Sonia zakłopotana odkłoniła się pośpiesznie i trwożnie. Na twarzy jej pojawił się jakiś bolesny wyraz, jak gdyby życzliwość i uprzejmość Duni były jej niemiłe i przykre.

– Bądź zdrowa, Duniu! – rzekł Raskolnikow, wychodząc na schody. – Nie podasz mi ręki?

– Podałam ci przecież, nie pamiętasz? – rzekła Dunia, zwracając się znów ku niemu.

– To nic nie szkodzi, podaj mi ją jeszcze raz!

Mocno ścisnął jej paluszki. Dunia zaśmiała się i zapłoniła, wyrwała rękę i wybiegła za matką. Teraz już czuła się całkiem szczęśliwa.

– Wszystko w porządku – Raskolnikow zwrócił się do Soni, powracając do pokoju i patrząc na nią z uśmiechem. – Wieczny odpoczynek zmarłym, ale żywi chyba mogą żyć? Czyż nie tak? Chyba tak?

Ze zdumieniem Sonia ujrzała, że jego twarz rozjaśniła się nagle, patrzył na nią długo w milczeniu; wszystko, co opowiadał mu o niej jej ojciec, przypomniawszy mu się teraz...

– Na Boga, Duniu! – rzekła Pulcheria Aleksandrowna, zaledwie znalazły się na ulicy – doprawdy jestem zadowolona, żeśmy wyszły, jakoś mi lżej. No, czyż mogłam wczoraj w wagonie pomyśleć, że nawet z tego będę się cieszyć!

– Powtarzam ci, kochana mamó, że on jest chory, bardzo chory. Czy nie widzisz tego? Może właśnie troski o nas podkopały jego zdrowie? Trzeba mieć dla niego więcej pobłażliwości i wiele, wiele mu wybaczyć.

– Ale ty nie byłaś dla niego pobłażliwa! – przerwała jej Pulcheria Aleksandrowna gorąco i jakby z wyrzutem. – Wiesz co, obserwowałam was oboje dzisiaj uważnie i doszłam do wniosku, że pod względem charakteru jesteś jego odbiciem, i to zupełnym. Obydwoje macie w charakterze coś melancholijnego, ponurego i wybuchowego; obydwójce jesteście równie dumni i szlachetni... To nie do pomyślenia, żeby on był egoistą. Co?... Jeżeli jednak pomyślę, co czeka nas jeszcze dzisiaj wieczoru, to serce mi się ściska.

– Niech się mama nie niepokoi. Stanie się tylko to, co stać się musi!

– Pomyśl jednak, Duniu, w jakim jesteśmy położeniu! Co pocniemy, gdy Piotr Pietrowicz zerwie z nami? – zawołała biedna Pulcheria Aleksandrowna, nie zastanawiając się zbyt nad treścią tych słów.

– Jeżeli to uczyni, będzie to tylko dowodem, że nic z nim nie straciłyśmy – odparła Dunia ostro i lekceważąco.

– Bardzo dobrze zrobiliśmy, odchodząc teraz – ciągnęła dalej matka, przerywając córce i odbiegając od poruszonego tematu. – Mówił, że ma coś pilnego do załatwienia, przejdzie się nieco przy tej sposobności i zaczerpnie świeżego powietrza... u niego jest tak strasznie duszno... nie wiem tylko, czy w Petersburgu w ogóle można zaczerpnąć gdzieś świeżego powietrza. Tutaj na ulicy jest też jak w pokoju bez lufcika. Boże, co za miasto!... Czekaj! Uważaj! Usuń się, bo cię jeszcze przygniotą, tu coś niosą! To fortepian... jak oni popychają ludzi... Ta młoda dziewczyna też mnie niepokoi.

– Jaka dziewczyna?

– No, mówię o tej Sofii Siemionownie, która przyszła do Rodiona...

– Dlaczego niepokoi ona mamę?

– Coś przeczuwam, Duniu. Możesz mi wierzyć albo nie, ale od razu, gdy tylko weszła do pokoju, pomyślałam: tu jest źródło wszystkiego...

– Ależ na pewno się mama myli – przerwała jej Dunia gniewnie. – Poznał ją dopiero wczoraj, a dzisiaj, gdy weszła, zrazu nie mógł jej nawet poznać.

– No, no, zobaczysz!... Ona mnie niepokoi, zobaczysz! Przestraszyłam się nawet. Patrzyła na mnie niemal bez przerwy, a jakie ona ma spojrzenie; ledwie wysiedziałam na krześle. Pamiętasz, jak on ją przedstawił? I to wydaje mi się bardzo dziwne: Piotr Pietrowicz wypisuje takie rzeczy o jej prowadzeniu się, a Rodion przedstawia ją nie tylko mnie, ale i tobie. Czyli że musi z nią sympatyzować.

– No, co ten nie wypisuje! O nas też przecież dużo mówiono i pisano! Czy mama zapomniała o tym? A ja jestem przekonana, że jest to bardzo dobra

dziewczyna i wszystko to są plotki.

– Daj Boże.

– A Piotr Pietrowicz jest wstrętnym plotkarzem! – oświadczyła nagle Dunia. Pulcheria Aleksandrowna drgnęła gwałtownie. Rozmowa się urwała.

– Posłuchaj, chcę cię o coś zapytać – rozpoczął Raskolnikow, prowadząc Razumichina w stronę okna.

– To ja powiem matce, że pan przyjdzie – rzekła Sonia, chcąc się pożegnać.

– Chwileczkę, Sofio Siemionowno! Nie mamy tajemnic i wcale nam pani nie przeszkadza. Chciałbym z panią kilka słów... Słuchaj – zwrócił się znowu do Razumichina. – Ty znasz tego... no jakżeż on się nazywa... zaraz!... Porfirego Pietrowicza?

– Czy go znam? Jeszcze jak! To przecież mój krewny. A bo co? – zapytał Razumichin zaintrygowany.

– On przecież prowadzi tę sprawę... no sprawę tego morderstwa... o której wczoraj mówiliście.

– Tak... a więc? – Razumichin otworzył szeroko oczy.

– On przesłuchiwał tych, którzy pożyczali od starej pieniądze. Widzisz, jest tam także kilka moich zastawów, same drobiazgi, między innymi pierścionek mojej siostry, który podarowała mi na pamiątkę, jak wyjeżdżałem, i srebrny zegarek mego ojca. Wszystko razem warte jest może pięć do sześciu rubli, dla mnie jednak są to pamiątki. Co robić? Nie chciałbym, żeby te rzeczy przepadły, w szczególności nie chciałbym utracić zegarka. Gdy rozmawialiście o zegarku Duni, drżałem ze strachu, że matka może zechce zobaczyć mój zegarek. To jedyna rzecz, która pozostała po moim ojcu. Matka rozchorowałaby się, gdyby zegarek przepadł. Ty wiesz przecież, jak kobiety przejmują się takimi rzeczami. Poradź mi więc, jak powinienem się zachować. Wiem, że trzeba zgłosić się na policję. Czy jednak nie byłoby lepiej zwrócić się z tym do Porfirego osobiście? Jak myślisz? Chciałbym załatwić tę sprawę możliwie jak najszybciej. Zobaczysz, że matka zapyta mnie o to jeszcze przed obiadem!

– Nie zwracaj się do policji, tylko osobiście do Porfirego! – odparł Razumichin z zapalem. – To mnie bardzo cieszy! Tu nie ma się nad czym namyślać, możemy zaraz tam pójść, mieszka o parę kroków stąd, z pewnością zastaniemy go w domu.

– Całkiem słusznie... chodźmy...

– On się bardzo ucieszy, ogromnie się ucieszy z poznania ciebie! Dużo mu opowiadałem o tobie przy każdej sposobności... Wczoraj jeszcze rozmawialiśmy o tobie. Chodźmy! Więc ty znałeś tę starą? Tak!... To o-gromnie zmienia postać rzeczy... Ach tak! Sofio Iwanowno...

– Sofio Siemionowno – poprawił go Raskolnikow. – Sofio Siemionowno, oto mój przyjaciel Razumichin, bardzo zacny człowiek...

– Jeżeli pan musi teraz wyjść... – Sonia nie spojrzała nawet na Razumichina i przy tej prezentacji jeszcze bardziej się zmieszała.

– Idziemy więc! – stwierdził Raskolnikow zdecydowanym głosem. – Ale ja jeszcze dzisiaj wpadnę do pani, Sofio Siemionowno, tylko musi mi pani podać, gdzie pani mieszka.

To, co mówił, bynajmniej nie wprawiało go w zakłopotanie, a przecież unikał jej wzroku. Sonia dała mu adres, rumieniąc się. Wyszli wszyscy troje razem.

– Nie zamykasz drzwi? – zapytał Razumichin.

– Nigdy tego nie robię! Od dwóch lat mam zamiar dokupić zamek – dodał niedbale. – Szczęśliwy ten, co nie ma co zamykać, nieprawdaż? – zwrócił się do Soni.

Zatrzymali się w bramie.

– Pan idzie na prawo? Ach, chciałem panią o coś zapytać: jak się pani udało mnie odnaleźć? – Głos jego jednak brzmiał tak, jakby miał zamiar zadać jej całkiem inne pytanie. Chciał spojrzeć w jej jasne oczy, ale to mu się nie udało.

– Pan przecież dał wczoraj adres naszej Poleńce.

– Poleńce? Ach, prawda, to ta mała. To siostra pani? A więc dałem jej swój adres?

– Jak to, nie pamięta pan?

– Owszem... przypominam sobie.

– Ojciec dużo o panu opowiadał... Nie znał wprawdzie pańskiego nazwiska... Wczoraj jednak dowiedziałam się nazwiska i adresu pana, a gdy przyszedłam tutaj, zapytałam: „Gdzie mieszka pan Raskolnikow?...”. Nie wiedziałam, że mieszka pan w sublokatorskim pokoju... Do widzenia! Zaraz pójdę do Katarzyny Iwanowny...

Była zadowolona z tego, że pożegnała się wreszcie, poszła więc szybko, ze spuszczoną głową. Chciała jak najprędzej zejść im z oczu, dlatego przebiegła te dwadzieścia kroków, które dzieliły ją od pierwszej przecznicy. Chciała wreszcie być sama, aby potem, idąc szybko i nie patrząc na przechodniów, zapomnieć o wszystkim, a rozważać tylko i przypominać sobie każde słowo dziś wypowiedziane i usłyszane, uzmysłowić sobie raz jeszcze całą sytuację. Nigdy w życiu nie doznała podobnych uczuć. Dusza jej zajrzała, choć niepewnie i chwilowo tylko, do całkiem nowego, nieznanego jej dotychczas świata. Nagle przypomniała sobie, że Raskolnikow ma jeszcze dzisiaj przyjść do niej, może przyjdzie przed południem, może za chwilę!

– Tylko nie dziś, byle nie dziś! – powtarzała ze ściśniętym sercem, jakby błagała kogoś niczym przerażone dziecko. – O Boże, on do mego pokoju... zobaczy wszystko!... O Boże!

W takiej chwili nie mogła oczywiście zauważyć pewnego, nieznanego jej mężczyzny, który obserwując ją, szedł za nią krok w krok. Szedł za nią już od bramy domu, w którym mieszkał Raskolnikow. W czasie, gdy wszyscy troje, Razumichin, Raskolnikow i ona, stali pod bramą domu i rozmawiali, przechodził właśnie koło nich. Przechodzień, gdy usłyszał słowa: „Gdzie mieszka pan Raskolnikow?”, drgnął. Obrzucił grupkę szybkim spojrzeniem, zwracając specjalną uwagę na Raskolnikowa, do którego zwracała się Sonia; potem oglądał dom, jakby chciał go zapamiętać. Wszystko to odbyło się w jednej sekundzie, tak że poszedł dalej, nie zwracając na siebie uwagi. Szedł jednak teraz nieco wolniej, jakby czekając na kogoś. Czekał na Sonię, a widząc, że żegna się ona z tymi dwoma, był przekonany, że gdy pójdzie za



nią, będzie mógł ustalić, gdzie mieszka.

„Gdzie ona może mieszkać? Znam tę twarz, tylko nie wiem skąd – myślał, szukając w pamięci. – Muszę to zbadać”.

Doszedłszy do rogu, przeszedł na drugą stronę ulicy i odwróciwszy się, zobaczył, że Sonia idzie w tym samym kierunku, skręciła bowiem w tę boczną uliczkę. Towarzyszył jej zatem, idąc coraz wolniej przeciwnym chodnikiem. Potem, gdy oddaliła się od niego o jakie pięćdziesiąt kroków, przeszedł na tę stronę ulicy, którą ona szła, i dogoniwszy ją, postępował teraz za nią w odległości może pięciu kroków.

Był to mężczyzna koło pięćdziesiątki, dość wysoki, postawny, o szerokich i spadzistych barach, co nadawało jego postaci wygląd pochyły. Był ubrany modnie i elegancko, wyglądał na człowieka zamożnego. W ręce miał ładną laskę, którą uderzał o bruk za każdym krokiem, na rękach zaś nowe rękawiczki. Jego szeroka twarz o silnie wystających kościach policzkowych była sympatyczna, cera zdrowa i świeża, co rzadko się zdarza w Petersburgu. Gęste jeszcze włosy były koloru jasnobłond, przyprószone tylko tu i ówdzie siwizną, a gęsta broda była jeszcze jaśniejsza. Oczy miał niebieskie; spojrzenie ich miało w sobie coś zimnego i przenikliwego. Wargi miał świeże i czerwone. Słowem, był doskonale zakonserwowany i wyglądał na znacznie młodszego, aniżeli był w rzeczywistości.

Gdy Sonia doszła do ulicy biegnącej wzdłuż kanału, okolica opustoszała do tego stopnia, że byli jedynymi przechodniami.

Obserwując ją, zauważył już przedtem jej zmieszanie i zamyślenie. Gdy doszła do domu, w którym mieszkała, i weszła do bramy, mężczyzna wszedł za nią, a na jego twarzy odmalowało się wielkie zdziwienie. Na podwórzu skręciła na prawo, gdzie mieściły się schody prowadzące do jej mieszkania. „No, coś takiego” – mruknął do siebie i ruszył za nią po schodach. Teraz dopiero Sonia go zauważyła. Weszła na piętro, skręciła na galerię, która ciągnęła się przez całą długość podwórza, i zadzwoniła do mieszkania oznaczonego numerem 9. Na drzwiach widniał nagryzmołony kredą napis: „Kapernaumow – krawiec”. „No, coś takiego!” – wykrzyknął raz jeszcze nieznamy, zdumiony tym zbiegiem okoliczności, i zadzwonił do położonego obok mieszkania numer 8. Drzwi tych mieszkań były od siebie oddalone zaledwie o sześć kroków.

– Ach, pani mieszka u Kapernaumowów – rzekł, patrząc na Sonię z uśmiechem. – Poprawiał mi wczoraj kamizelkę. Ja mieszkam tutaj obok, u pani Gertrudy Karłowny Resslerich. Co za zbieg okoliczności!

Sonia patrzyła na niego uważnie.

– Czyli jesteśmy sąsiadami – ciągnął dalej wesóło. – Dopiero przedwczoraj przyjechałem do Petersburga. No, tymczasem do widzenia!

Sonia nie odpowiedziała ani słowa. Drzwi otwarły się, a ona wśliznęła się do środka i pośpieszyła do swojej izdebki. Wstydziła się bardzo, a zarazem opanowało ją uczucie jakiejś nieokreślonej trwogi.

Gdy szli do Porfirego, Razumichin znajdował się w stanie niezwykłego podniecenia.

– To wspaniale się składa, bracie! – powtarzał raz po raz. – Bardzo, bardzo

się cieszę!

„Co cię tak cieszy?” – zastanawiał się Raskolnikow.

– Nie wiedziałem nic o tym, że ty także zastawiłeś coś u tej starej. Czy to było dawno... kiedy byłeś u niej po raz ostatni?

„Jakiż on naiwny!” – pomyślał Raskolnikow.

– Kiedy tam byłem po raz ostatni? – zapytał głośno i przystanął. – Mogło to być ze trzy dni przed jej śmiercią. Nie mam zresztą zamiaru wykupywać tych rzeczy. Znowu mam tylko jednego rubla w kieszeni... po tej wczorajszej malignie.

Na słowie „maligna” położył szczególny nacisk.

– No tak, tak – pośpiesznie, choć nie wiadomo co, potwierdził Razumichin.

– Więc to cię wówczas... tak poniekąd uderzyło... a wiesz, że wtedy, w malignie, też wciąż o jakichś pierścionkach bredziłeś!... No tak, tak... To jasne, teraz wszystko jasne.

„Proszę! Jak się ta myśl rozpełzła wśród nich! Przecież ten człowiek dałby się za mnie ukrzyżować, a tak się cieszy, że się *wyjaśniło*, czemu ja w malignie wciąż majaczyłem o pierścionkach! Że też im wszystkim musiało to utkwąć w głowie!...”

– A zastaniemy go? – zapytał Raskolnikow.

– Zastaniemy, zastaniemy – pośpiesznie zapewnił Razumichin. – To swój chłop, bracie, zobaczysz! Trochę nieokrzesany, to znaczy, właściwie jest człowiekiem światowym, ale pod pewnymi względami bywa nieokrzesany. Jest naprawdę mądry, nawet bardzo, ale sposób myślenia ma jakiś specyficzny... Nieufny, sceptyk, cynik... lubi nabierać, a raczej nie tyle nabierać, ile wykołować... No i ta stara metoda dowodu rzeczowego... Ale zna się na rzeczy, zna... W zeszłym roku rozwikłał sprawę o morderstwo, w której prawie wszystkie ślady były zatarte! On bardzo, ale to bardzo chce cię poznać!

– A to niby dlaczego?

– Jakby ci to powiedzieć... widzisz, ostatnio, kiedy zachorowałeś, często i sporo o tobie mówiłem... A on słuchał... Jak się dowiedział, że byłeś na prawie, ale wskutek trudnej sytuacji nie możesz ukończyć studiów, to powiedział: „Jaka szkoda!”. Stąd wywnioskowałem... zresztą ze wszystkiego, nie tylko z tego; wczoraj Zamietow... Widzisz, Rodia, wczoraj coś ci naplotłem po pijanemu... i boję się, bracie, żebyś nie potraktował tego przesadnie, bo widzisz...

– Że co? Że mają mnie za wariata? Zresztą może to i prawda.

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Tak... tak... to znaczy, tfu, nie!... Ale wszystko, co ci o tym mówiłem (i o innych sprawach także), to bzdury i pijackie brednie.

– Co się tak tłumaczysz? Zbrzydło mi to wszystko! – warknął Raskolnikow z przesadnym, bo po części udawanym rozdrażnieniem.

– Wiem, wiem, rozumiem. Możesz być pewien, że rozumiem. Nawet wstyd mi o tym mówić...

– Jak ci wstyd, to nie mów!

Umilkli obaj. Razumichin był wyraźnie podniecony i podniecenie to

napawało Raskolnikowa wstrętem. Ponadto zaniepokoiło go to, co powiedział teraz Razumichin o Porfirym.

„Przed nim też będę musiał ciągnąć śpiewkę o Łazarzu<sup>[73]</sup> – pomyślał, blednąc i z łomoczącym sercem – i to możliwie naturalnie. Najbardziej naturalnie byłoby bez tego Łazarza. Usilnie naturalnie! Nie, usilnie wypadłoby bardzo nienaturalnie... zobaczy się... zaraz... czy to dobrze, czy niedobrze, że tam idę? Cma sama leci do świeczki. Serce mi łomocze, a to niedobrze!...”.

– To ten szary dom – powiedział Razumichin.

„Najważniejsze, czy Porfiry wie, że wczoraj byłem w mieszkaniu tej więdźmy... i dopytywałem się o krew? Trzeba to ustalić z miejsca, po pierwszym kroku, jak tylko wejdem, wyczytać z twarzy, bo i-na-czej... niech szczepnę, ale się dowiem!”.

– A wiesz co, bracie? – zwrócił się nagle do Razumichina z szelmowskim uśmiechem. – Zauważyłem, że dzisiaj od rana jesteś jakiś ogromnie podniecony. Nieprawda?

– Podniecony? Skądże znowu, ani trochę – zachnął się Razumichin.

– Mnie, bracie, nie zwiedziesz. Siedziałeś na krześle tak, jak nigdy nie siadasz, na samym skraju, i cały czas miałeś drgawki. Co rusz podrywałeś się z miejsca. Zmieniałeś się na gębie. Zrazu naburmuszony, nagle robiłeś się słodki jak cukierek. Rumieniłeś się nawet: w chwili gdy zapraszano cię na obiad, byłeś czerwony jak burak.

– Ależ skądże znowu! Co za głupstwa wygadujesz! Co chcesz przez to powiedzieć?

– Dlaczego wykręcasz się jak sztubak! Znowu się zarumieniłeś!

– Straszna świnia z ciebie!

– Dlaczego jesteś taki zmieszany? Ejże, Romeo! Czekał, opowiem o tym dzisiaj jeszcze komuś. Cha! Cha! Matka się uśmieje i ktoś jeszcze...

– Słuchaj... Tylko posłuchaj, posłuchaj, to na serio... to jest... Co ty wyrabiasz, do diabła? – bełkotał Razumichin całkiem zmieszany i ze strachu zrobiło mu się zimno. – Co chcesz im opowiedzieć? Ja, bracie... ach, co za świnia z ciebie!

– Wyglądasz jak różyczka! A jak ci z tym do twarzy, żebyś to mógł zobaczyć! Mój ty Romeo dziesięciowerszkowy<sup>[74]</sup>! Ale żeś się dziś wypucował, nawet paznokcie wyczyściłeś! Tego jeszcze nie było! Dalibóg, nawet wypomadowałeś sobie włosy. Schył no się.

– Świnia!!!

Raskolnikow śmiał się tak, iż zdawało się, że nie może się powstrzymać, i śmiejąc się wciąż, wszedł do mieszkania Porfirego Piotrowicza. I o to chodziło Raskolnikowowi. Ten, kto był w mieszkaniu, musiał słyszeć, że wchodząc, śmiał się na całe gardło.

– Ani słowa o tym tutaj! Bo rozwalę ci łeb! – wrzasnął rozwścieczony Razumichin, chwytając Raskolnikowa za ramię.

Tymczasem Raskolnikow wchodził już do pokoju i robił minę, która wskazywała, że tylko na siłę powstrzymuje się od śmiechu. Za nim wszedł Razumichin, czerwony jak burak ze wstydu i wściekłości oraz bardzo zmieszany. Cała jego postać i twarz były w tej chwili rzeczywiście bardzo komiczne i usprawiedliwiały w zupełności wesołość Raskolnikowa. Mimo że Razumichin nie przedstawił go, Raskolnikow podszedł wprost do pana domu stojącego na środku pokoju, skłonił się i uściśnął mu dłoń, wciąż udając, że z trudem tylko powstrzymuje się od śmiechu, aby wymówić kilka słów potrzebnych przy przedstawianiu się. Zaledwie jednak wymamrotał te parę słów, spojrzał niby przypadkiem na Razumichina i cała jego powaga uleciała. Parsknął serdecznym śmiechem. Śmiech ten i nieukrywane objawy wściekłości, z jakimi Razumichin przyjmował tę na pozór zupełnie szczerą wesołość przyjaciela, złożyły się w rzeczy samej na obraz niesłychanie komiczny, a co najważniejsze, zupełnie naturalny.

Komizm sceny zwiększył się jeszcze, gdy Razumichin z okrzykiem: „Ach, ty diable!” zamierzył się na Raskolnikowa i trafił ręką w okrągły stolik, na którym stała pusta szklanka po herbacie. Wszystko runęło na ziemię, rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Panowie, nie niszczone mebli, bo narażacie na straty skarb państwa! – krzyknął, śmiejąc się, Porfiry Pietrowicz.

Sytuacja przedstawiała się teraz następująco: Raskolnikow śmiał się bezustannie, zapominając o tym, że wciąż trzyma gospodarza za rękę; wiedział jednak, że należy zachować miarę i czekał tylko na stosowny moment, by zakończyć ten wybuch wesołości. Razumichin, który stracił zupełnie głowę po upadku stolika, popatrzył ponuro na odłamki szkła, splunął siarczyście, obrócił się na pięcie i z gradową miną stanął przy oknie odwrócony plecami do pokoju; patrzył przed siebie, nic nie widząc, oczyma, które przesłaniała mu mgła wściekłości. Porfiry Pietrowicz śmiał się i widać było po nim, że chętnie będzie się śmiał nadal, zachodziła jednak potrzeba wytłumaczenia mu przyczyny tej wesołości. Na jednym z krzesel siedział w kącie Zamietow, który gdy goście weszli, podniósł się i stał w pozycji wyczekującej. Wprawdzie twarz jego także zadrgała śmiechem, patrzył jednak na całą scenę z niejakim zdumieniem i niedowierzaniem; zdawało się nawet, że obecność Raskolnikowa wprawia go w zakłopotanie. Co do Raskolnikowa, to był on nieprzyjemnie zaskoczony obecnością Zamietowa.

„Jeszcze jedna pozycja do uwzględnienia w moim rachunku!” – pomyślał.

– Bardzo przepraszam – zaczął, udając wielkie zażenowanie. – Jestem Raskolnikow...

– Bardzo mi przyjemnie. A i sposób, w jaki pan wszedł tutaj, był bardzo miły... ale ten – tu wskazał ruchem głowy Razumichina – nie raczy się nawet przywitać?

– Nie wiem doprawdy, co doprowadziło go do takiej wściekłości. Powiedziałem mu tylko po drodze, że jest podobny do Romea, i udowodniłem to nawet... poza tym chyba nic się nie wydarzyło.

– Świnia! – warknął Razumichin, nie odwracając się od okna.

– Przypuszczam, że musi mieć jakiś poważny powód, żeby aż tak się zdenerwować taką drobnostką – rzekł Porfiry, śmiejąc się.

– Więc ty także zaczynasz, sędzio śledczy! Niech was wszystkich diabli porwą! – zawołał Razumichin ze złością, po chwili jednak sam zaczął się śmiać i podszedł do Porfirego Pietrowicza, jak gdyby nic nie zaszło.

– No, koniec już! Wszyscy jesteście skończonymi błaznami. A teraz do rzeczy: to jest Rodion Romanowicz Raskolnikow, mój przyjaciel; przede wszystkim chce on ciebie poznać, ponieważ dużo o tobie słyszał, a następnie ma do ciebie pewną drobną sprawę. A, Zamietow! Skąd się tu wzięłeś? Czy wy się znacie? Od dawna?

„Co to ma znaczyć?” – zaniepokoił się Raskolnikow.

Zamietow zmieszał się, ale tylko na krótką chwilę.

– Poznaliśmy się przecież wczoraj u ciebie – odparł swobodnym tonem.

– Dzięki Bogu. Jeden kłopot spada mi z głowy. On dręczył mnie przez cały tydzień, żebym was zapoznał ze sobą, a tymczasem widzę, że zwąchaliście się bez mego pośrednictwa... Słuchaj, Porfiry, gdzie trzymasz tytoń?

Porfiry Pietrowicz był ubrany po domowemu. Miał na sobie szlafrok, czystą koszulę i znoszone pantofle. Mógł liczyć sobie jakieś trzydzieści pięć lat, był niskiego wzrostu, zażywny, nawet z brzuszkiem; twarz miał gładko wygoloną i okrągłą, głowę z dziwnie wypukłą potylicą, a włosy całkiem krótko ścięte. Pełna, okrągła, chorobliwie ciemnożółta twarz o zadartym nosie miała wyraz energiczny i drwiący zarazem. Można by tę twarz nazwać dobroduszną, gdyby oczy nie przeczyły tej pozornej dobroduszności. Miały wilgotny odblask i niemal białe, mrugające rzęsy. Spojrzenie tych oczu nie harmonizowało z całą postacią, która miała w sobie coś kobiecego. Czyniło ją znacznie poważniejszą, aniżeli wydawała się na pierwszy rzut oka.

Gdy Porfiry Pietrowicz dowiedział się, że Raskolnikow ma do niego jakąś prośbę, wskazał mu zaraz miejsce na sofie i poprosił, by usiadł. Sam rozsiadł się w drugim rogu sofie i zwrócił się do gościa w oczekiwaniu, że ten zaraz wyjaśni, o co chodzi. W jego postaci było widoczne baczne skupienie, co na każdego rozmówcę musiałoby podziałać deprymująco i przytłaczająco. Szczególnie wtedy, gdy sprawa, którą gość miał wyłożyć, nie stała pod względem ważności w żadnym stosunku do uwagi, jaką już z góry zaszczycił ją Porfiry. Ale na Raskolnikowa to nie podziałało; krótko i węzłowo powiedział, o co mu chodzi, i był tak z siebie zadowolony, że pozwolił sobie nawet na obserwowanie osoby Porfirego. Ten także nie spuszczał wzroku z Raskolnikowa. Razumichin tymczasem zajął miejsce przy stole i z żywym zainteresowaniem przysłuchiwał się wywodom przyjaciela, przy czym oczy jego błędziły po twarzy Raskolnikowa, to znów po twarzy Porfirego, co nawet przekraczało już trochę miarę.

„Ty ośle!” – myślał Raskolnikow w głębi duszy pod jego adresem.

– Musi pan wnieść pismo do policji – rzekł Porfiry bardzo rzeczowym tonem – treści mniej więcej następującej: słyszał pan o takim a takim wypadku, czyli o morderstwie, i prosi pan o powiadomienie odnośnego sędziego śledczego, że te a te rzeczy są pańską własnością i chce je pan wykupić... coś

w tym guście... zresztą tam panu podyktują.

– Cała rzecz w tym – rzekł Raskolnikow, usilnie starając się nadać swej twarzy wyraz zakłopotania – że nie mam obecnie pieniędzy... i nie jestem w stanie... nawet taką drobną kwotę... Widzi pan, chciałbym tylko zgłosić policji, że te i te rzeczy należą do mnie i że jak tylko będę miał pieniądze...

– To wszystko jedno – rzekł Porfiry, przyjmując zupełnie chłodno wyznanie Raskolnikowa o jego sytuacji materialnej. – Właściwie to może pan wystosować takie pismo wprost do mnie, niech pan napisze tak: Dowiedziawszy się o tym i o tym, zawiadamiam, że te i te rzeczy są moją własnością...

– Na zwykłym papierze czy trzeba nabyć formularz? – przerwał mu Raskolnikow z pośpiechem, aby uwydatnić swoje obawy co do wydatków związanych z tą sprawą.

– Nie, nie trzeba, wystarczy najzwyklejszy papier.

Naraz Porfiry Pietrowicz spojrział na Raskolnikowa z nieukrywanym szyderstwem, potem przymrużył oczy i mrugnął. Może się to zresztą Raskolnikowowi przywidziało, trwało to przecieży tylko chwilę. W każdym razie uczynił coś podobnego i Raskolnikow przysięgłby, że Porfiry – licho go wie dlaczego – mrugnął do niego znacząco.

„On wie wszystko!” – przemknęło mu przez myśl.

– Wybacz mi pan, że zajmowałem mu czas takimi głupstwami – rzekł, wyprowadzony nieco z równowagi. – Wartość tych rzeczy nie przekracza pięciu rubli, są mi jednak szczególnie drogie jako pamiątki po osobach, od których je otrzymałem, i przyznam się panu, że słysząc o tym, przestraszyłem się...

– I dlatego tak to na ciebie podziałało, gdy mówiłem o tym, że Porfiry przesłuchuje klientów starej? – rzucił Razumichin z wyraźną intencją.

To było nie do zniesienia. Raskolnikow nie mógł się powstrzymać i obrzucił Razumichina wściekłym spojrzeniem swych czarnych oczu. Opamiętał się jednak natychmiast.

– Ty, bracie, chyba dworujesz sobie ze mnie? Przyznaję, że moje przywiązanie, moja troska o te rzeczy, które w twoich oczach są bezwartościowym szmelcem, idzie może za daleko, nie możesz mnie jednak z tego powodu uważać za egoistę i chciwca; dla mnie przedmioty te nie są bynajmniej szmelcem. Powiedziałem ci już przedtem, że ten srebrny zegarek jest jedyną pamiątką po moim ojcu. Ze mnie możesz się śmiać, przyjechała jednak moja matka – przy tych słowach zwrócił się Raskolnikow do Porfirego – i gdy się dowie – teraz znowu odwrócił się szybko w stronę Razumichina i starał się nadać swemu głosowi przejmujące drżenie – że ten zegarek przepadł, to popadnie w rozpacz, przysięgam. Takie już są kobiety!

– Ależ nie, wcale tak nie myślałem, wprost przeciwnie – gorąco zaprzeczył Razumichin.

„Czy było to dobrze odegrane? – rozważał Raskolnikow. – Czy było naturalne? Czy nie było w tym przesady? Tylko po co mówiłem o kobietach!”

– Ach, pańska matka przyjechała? – upewnił się Porfiry Pietrowicz.

– Tak jest.

– Kiedy?

– Wczoraj wieczorem.

Porfiry milczał. Widocznie coś rozważał.

– Tak czy owak pańskie rzeczy nie przepadną – rzekł chłodno i obojętnie. – Czekałem już od dawna na to, że pan do mnie przyjdzie.

I jakby nie powiedział nic szczególnego, ostentacyjnie podstawił popielniczkę Razumichinowi, który bezmyślnie strząsał popiół na dywan. Raskolnikow drgnął, Porfiry udał, że nie zauważył tego i że zajmuje się ciągle papierosem Razumichina.

– Co? Oczekiwałeś go? Skąd wiedziałeś, że zastawił coś u niej?

Porfiry Pietrowicz zwrócił się wprost do Raskolnikowa.

– Obydwa zastawione przez pana przedmioty, czyli zegarek i pierścionek, leżały u *niej* razem, owinięte w gazetę, a na papierze było wyraźnie wypisane ołówkiem nazwisko pana, nawet data, kiedy zostało to zastawione...

– Ma pan fenomenalną pamięć – odparł Raskolnikow z niezręcznym uśmiechem, przy czym usiłował spojrzeć mu prosto w oczy. Ale nie wytrzymał i dorzucił: – Myślę, że zastawiających było wielu, więc musiało panu sprawiać trudność zapamiętanie tylu nazwisk... Mimo to ma je pan wszystkie w pamięci i... i...

„To było głupio powiedziane! Bardzo źle! Po co to dodałem!” – strofował się w duchu.

– Prawie wszyscy z zastawiających zgłosili się już, tak że pozostał tylko pan – odparł Porfiry Pietrowicz z lekkim szyderstwem w głosie.

– Byłem trochę niezdrów.

– O tym także słyszałem. Wiem również, że z jakiegoś niewiadomego powodu popadł pan w silne rozdrażnienie nerwowe. Zdaje mi się, że i dziś wygląda pan nieco blado?

– Wcale nie jestem blady. Wprost przeciwnie... jestem całkiem zdrów – odparł Raskolnikow nagle zmienionym tonem, opryskliwie i gniewnie. Wzbierała w nim wściekłość, nie mógł już dłużej utrzymać się na wodzy. „W gniewie mogę strzelić jakieś głupstwo! – Wzdrygnął się nagle. – Dlaczego oni mnie tak męczą?”

– Mówi, że był trochę niezdrów! – wmieszał się Razumichin. – To się nazywa przekręcać fakty! Do wczoraj leżał nieprzytomny i majaczył... Pomyśl tylko, Porfiry, nie mógł się nawet utrzymać na nogach, a ledwie opuściliśmy go na chwilę, ubrał się, wymknął cichaczem z domu i włączył się gdzieś aż do północy w *malignie*, no, jak ci się to podoba? Coś nadzwyczajnego!

– Rzeczywiście w *malignie*? Czy to możliwe? – Porfiry potrząsnął głową.

– Ach, co za bzdury on wygaduje! Niech mu pan nie wierzy! A zresztą pan i tak nie wierzy! – Ostatnie zdanie wyrwało mu się z wściekłości.

Porfiry puścił mimo uszu tę co najmniej dziwną uwagę.

– No, ale tę swoją ucieczkę z domu tłumaczy chyba tylko gorączka! – Razumichin zapalał się coraz bardziej. – Po co wychodziłeś? Po co, na co? I dlaczego cichaczem? Czy byłeś przy zdrowych zmysłach? Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, nie potrzebuję obwijać tego w bawełnę.



– Znudził mnie wczoraj – zwrócił się Raskolnikow do Porfirego, uśmiechając się zuchwale i wyzywająco – wybiegłem więc, by wyszukać sobie nowe mieszkanie, w którym już nie mogliby mnie odnaleźć... Wziąłem ze sobą kupę pieniędzy. Panu Zamietowowi pokazywałem te pieniądze. Niech pan powie, panie Zamietow, byłem wczoraj całkiem przytomny czy też w gorączce? Niech pan rozstrzygnie nasz spór!

Był w takim nastroju, że chętnie udusiłby Zamietowa. Jego spojrzenie i milczenie były dla niego niezmiernie przykre.

– Moim zdaniem, mówił pan całkiem do rzeczy, nawet bardzo chytrze. Był pan tylko nieco rozdrażniony – brzmiała sucha odpowiedź.

– A dzisiaj opowiadał mi Nikodem Fomicz, że późno w nocy spotkał pana w mieszkaniu pewnego przejechanego urzędnika – wtrącił Porfiry Pietrowicz.

– Albo weźmy to! – ciągnął dalej Razumichin. – Czy nie zachowywałeś się jak wariat u tego urzędnika? Ostatnie pieniądze oddałeś wdowie na pogrzeb! No, chciałeś dopomóc, to trzeba było dać piętnaście, dwadzieścia rubli, ale choć trzy ruble zostawić sobie, a tyś wywalił całe dwadzieścia pięć.

– Może znalazłem jakiś skarb, o którym nie wiesz? Zamietow wie, że znalazłem skarb!... Wybacz nam pan – tu zwrócił się z drżącymi wargami do Porfirego – że takimi głupstwami zwracamy panu głowę dobre pół godziny, zapewne ma pan nas już dość?

– Skądże znowu, wprost prze-ciw-nie! Gdyby pan wiedział, jak bardzo mnie pan interesuje! To rozkosz przypatrywać się i słuchać... i rad jestem, że w końcu przyszedł pan do mnie...

– Każ przynajmniej podać herbaty. W gardle mi zaschło od tej gadaniny.

– Wspaniała myśl! Może i panowie się napiją. A czy nie wolałbyś przedtem... coś bardziej konkretnego?

– Ruszaj!

Porfiry wyszedł z pokoju, żeby zamówić herbatę.

Myśli kłębiły się w głowie Raskolnikowa. Znajdował się znów w stanie niezwykłego podniecenia.

„Najbardziej podoba mi się to, że nie ukrywają niczego i nawet nie dbają o zachowanie pozorów! I dlaczego mówił o mnie z Nikodemem Fomiczem, skoro wcale mnie nie zna! Czyli że wcale nie ukrywają tego, że jak sfera psów ścigają mnie! Plują mi wprost w twarz! – Trząśł się z wściekłości. – Grajcie w otwarte karty i nie bawcie się ze mną jak kot z myszką. To jest bardzo nieuprzejme. Porfiry Pietrowiczu, nie pozwalam na to! Wstanę po prostu i wszystkim rzucę w twarz prawdę, pokażę im przynajmniej, jak nimi pogardzam! – Oddychał z trudem. – A może mi się tylko wydaje? Może to tylko sprawa mojej wyobraźni, może wskutek braku doświadczenia ponoszą mnie nerwy i źle gram moją podłą rolę? Może tu nie ma żadnego podstępu? Ich słowa są na pozór zwyczajne, ale coś w nich jest... Niby nic, a jednak coś jest na rzeczy... Dlaczego on powiedział po prostu *u niej*, a Zamietow twierdzi, że mówiłem *bardzo chytrze*? Tak... i ten ich ton... Ale przecież jest tu również Razumichin i niczego nie zauważył. Ale ten pocziwina nigdy niczego nie zauważa! Znowu mam gorączkę!... Mrugał do mnie Porfiry czy nie? Z pewnością nie, bo po co miałyby mrugać? Chcą mnie zdenerwować czy

też wodzą za nos? Albo ponosi mnie wyobraźnia, albo oni wszystko *wiedzą*. I ten Zamietow jest jakiś dziwnie zuchwały. Czy rzeczywiście jest zuchwały? Widocznie dzisiejszej nocy przemyślał to, co zaszło. Czułem, że tak będzie! Zachowuje się jak u siebie w domu, a przecież jest tutaj po raz pierwszy. Porfiry nie zachowuje się wobec niego jak wobec gościa. Siada odwrócony do niego plecami. Zwąchali się! I to z *mego powodu*? Z pewnością mówili o mnie, zanim tu wszedłem!... Czy wiedzą, że byłem wczoraj w mieszkaniu? Niechby się to wszystko wreszcie skończyło! Gdy powiedziałem, że wybiegłem wczoraj, aby wynająć mieszkanie, nie uchwycił się tej sposobności i nie nawiązał do tego... Dobrze, że wspomniałem o mieszkaniu, że poszedłem tam w gorączce!... Cha! Cha! Cha! Wiedzą o każdym kroku, który uczyniłem wczoraj wieczorem! Nie wiedział o przyjeździe mojej matki! ... A ta wiedźma napisała ołówkiem datę!... Nie liczcie, nie poddam się tak łatwo! To nie są żadne dowody, to jest czysta spekulacja! Proszę, przedstawcie mi dowody! Odwiedziny w mieszkaniu także nie są dowodem, chyba że dowodem gorączki!... wiem, co im powiedzieć. Wiedzą czy nie wiedzą, że byłem w mieszkaniu? Nie odejdę stąd, póki się tego nie dowiem. Po co przyszedłem tutaj? Faktem jest, że teraz się irytuję! Tak łatwo wpadam w rozdrażnienie! Może jednak to dobrze, należy do roli chorego... On obmacuje mnie, chce mnie wyprowadzić z równowagi. Po co właściwie przyszedłem tutaj?”

Wszystko to jak błyskawica przebiegło mu przez głowę.

Porfiry Pietrowicz powrócił niebawem. Wyglądał na bardzo zadowolonego.

– W głowie mi się kręci po tym wczorajszym wieczorze u ciebie, bracie... jestem całkiem rozbity – zwrócił się do Razumichina, śmiejąc się. – Czy dyskusja była interesująca? Opuściłem was w najbardziej zajmującej chwili. Kto utrzymał się przy swoim zdaniu?

– Jasne, że nikt. Zaczęliśmy roztrząsać kwestie odwieczne i jak zwykle bujaliśmy w obłokach. Wyobraź sobie, Rodia, na jaki temat wpadli wczoraj: czy istnieje zbrodnia, czy też nie? Powiedziałem im, że powariowali z tym ciągłym debatowaniem!

– Co w tym nadzwyczajnego? Po prostu kwestia socjalna – odparł roztargniony Raskolnikow.

– Pytanie nie było w ten sposób sformułowane – zauważył Porfiry.

– To prawda – potwierdził pośpiesznie Razumichin, który zwykł był bardzo szybko się zapalać. – Słuchaj, Rodionie, powiedz mi, jakie jest twoje zdanie, rad będę je usłyszeć. Chciałem przy tej okazji zalać im sadła za skórę i czekałem tylko na ciebie, zapowiedziałem im, że przyjdiesz... Najpierw była mowa o poglądach socjalistów. Znane komunały: zbrodnia jest protestem przeciwko nienormalności ustroju społecznego i na tym koniec, inne przyczyny w ogóle nie wchodzi w grę... i basta!

– Przedstawiasz to całkiem fałszywie! – Porfiry ożywał się coraz bardziej i śmiał się ciągle, widząc, jak się zaperza Razumichin.

– Innych przyczyn socjaliści nie uznają! – przerwał mu rozdrażniony Razumichin. – Wcale nie przedstawiam tego fałszywie! Pokażę ci te wszystkie ich książki. Wszędzie znajdziesz tam: „winę ponosi środowisko”

i nic poza tym. To ich ulubiony konik! Potem wysnuwają wnioski, że jak ustrój społeczny będzie uporządkowany i zniknie powód do protestu, to znikną też zbrodnie, a ludzie w jednej chwili staną się prawi, pełni cnót. Ci panowie socjaliści całkowicie pomijają w swoich rachubach naturę, ignorują ją w swoich wywodach. Według nich ludzkość rozwija się nie w drodze powolnej ewolucji, organicznie, by w końcu przekształcić się w normalne społeczeństwo, lecz przeciwnie, system zrodzony w głowie jakiegoś matematyka i przewrót socjalny za jednym zamachem mają odmienić całą ludzkość, uczynić ją prawą i bezgrzeszną z pominięciem całego procesu organicznego, historii i ewolucji naturalnej! Stąd też ich instynktowny wstręt do historii: „Historia, powiadają, to stek bezeceństw i głupoty” i wszystko tłumaczą głupotą. I dlatego też nie znoszą żywego procesu życia: dla żywej duszy nie ma miejsca w ich systemie! Żywa dusza domaga się życia i nie da się wtłoczyć w prawa mechaniki, żywa dusza jest podejrzana, żywa dusza jest przesądem. Człowieka, który nadawałby się do ich systemu, stworzyć jest łatwo, ale z kauczuku; że będzie zalaatywał trupem – nic to! Za to jest bez życia, bez woli, jest niewolnikiem, który nie śmie nawet pomyśleć o buncie. I okazuje się, że wszystko sprowadza się do ułożenia cegiełek oraz rozplanowania korytarzy i pokojów w falansterze<sup>[75]</sup>! Gmach już jest gotów, ale natura jeszcze do gmachu nie przygotowana. Natura chce żyć, ona nie zakończyła jeszcze swego procesu życiowego i za wcześnie grzebać ją na cmentarzu! Czystą logiką nie można przewyciężyć natury! Logika widzi trzy możliwości, podczas gdy tych możliwości jest milion. Milion ten zostaje odcięty i wszystko redukuje się do kwestii komfortu. Zaiste, bardzo łatwe rozwiązanie! Jest ono kusząco proste i nie trzeba przy tym myśleć! Najważniejsze jest to, że nie trzeba myśleć! Cała tajemnica życia da się z łatwością wyłożyć na dwu kartkach druku!

– No, no, wpadł w trans, istny huragan! Jeśli chcemy, żeby umilkł, trzeba go przytrzymać za ręce – powiedział Porfiry, śmiejąc się. – Niech pan sobie wyobrazi – zwrócił się do Raskolnikowa – że coś podobnego było wczoraj wieczorem, z tą tylko różnicą, że gadało ich sześciu naraz, a przedtem porządnie uraczyli się ponczem; może pan sobie imaginować, co to było? Nie, bracie, mylisz się, „środowisko” odgrywa w przestępstwach olbrzymią rolę, możesz mi wierzyć.

– To wiem i bez ciebie, ale proszę, odpowiedz mi na jedno tylko pytanie: jeżeli mężczyzna czterdziestoletni gwałci dziesięcioletnią dziewczynkę, to czy także środowisko skłoniło go do tego?

– No, jeżeli dobrze się nad tym zastanowić, to chyba tak – zauważył Porfiry ze szczególną powagą w głosie. – Wcale nietrudno wykazać, że przyczyną zbrodni popełnionej na dziesięcioletniej dziewczynce jest „środowisko”.

Razumichin wpadł w furję.

– Jeżeli chcesz, to zaraz *udowodnię* ci, że jasny kolor twoich rzęs bierze się stąd, że wysokość wieży Iwana Wielkiego w Moskwie wynosi trzydzieści pięć sążni<sup>[76]</sup>. Dowiodę ci tego jasno i precyzyjnie, metodą postępową w aspekcie liberalizmu. Dowiodę ci tego jasno. Podejmuję się! Co, może chcesz się

założyć?

– Przyjmuję zakład! Bardzo chętnie usłyszemy, jak przeprowadzisz ten dowód!

Razumichin zerwał się z krzesła.

– Tak jest zawsze! Nie warto nawet zaczynać dyskusji z tobą! On mówi tak naumyślnie, nie znasz go jeszcze, Rodionie! Wczoraj także stanął po stronie obrońców tego absurdałnego poglądu tylko po to, żeby wystawić ich na durniów. I takie niestworzone rzeczy gadał! A tamci podziwiali te banialuki!... On potrafi udawać tak nawet przez dwa tygodnie. W zeszłym roku – nie wiem, skąd mu to przyszło do głowy – wmawiał nam, że chce wstąpić do klasztoru, dwa miesiące upierał się przy tym! Niedawno znów nabrał nas, że się żeni, wszystko miało już być przygotowane do wesela. Nawet sprawił sobie nowy garnitur. Gratulowaliśmy mu. Potem okazało się, że nie było w tym ani słowa prawdy, ani narzeczonej, ani wesela, wszystko zmyślił!

– Przekręcasz fakty! Garnitur sprawiłem sobie znacznie wcześniej. I właśnie z okazji sprawienia sobie nowego ubrania przyszło mi na myśl, żeby dla żartu wyprowadzić was w pole.

– Czy rzeczywiście jest pan takim mistrzem w sztuce udawania? – rzucił niedbale Raskolnikow.

– Pan widzę, nie wierzy? Niech pan tylko poczeka, pana także wystrychnę na dudka! Cha! Cha! Cha! No, ale żarty na bok. Mówimy tutaj o zbrodniach, środowisku, małych dziewczynkach i innych tego typu kwestiach, a w związku z tym przypomniał mi się pański artykuł, który bardzo mnie zainteresował. Nosił on tytuł *O zbrodni* czy jakoś podobnie, wypadło mi to z pamięci. Miałem przyjemność przeczytać ten artykuł dwa miesiące temu w „Wiadomościach Periodycznych”.

– Mój artykuł? W „Wiadomościach Periodycznych”? – zapytał zdumiony Raskolnikow. – Istotnie pół roku temu, gdy opuszczałem uniwersytet, napisałem pod wpływem pewnej książki taki artykuł, posłałem go jednak do „Tygodnika Naukowego”, a nie do „Wiadomości Periodycznych”.

– Ale ukazał się w „Wiadomościach Periodycznych”.

– „Tygodnik Naukowy” przestał wychodzić, dlatego nie mógł wydrukować mego artykułu...

– Całkiem słusznie. „Tygodnik Naukowy” zbankrutował i został przejęty przez „Wiadomości Periodyczne”, dlatego ukazał się tam pański artykuł. Nie wiedział pan o tym?

Raskolnikow nie wiedział.

– Ależ, panie, może pan zażądać od redakcji honorarium za artykuł! Co z pana za człowiek! Żyje pan w odosobnieniu, tak że nie wie pan nawet o rzeczach, które bezpośrednio pana dotyczą. Ale jest, jak mówię!

– Brawo, Rodionie! Ja także nic o tym nie wiedziałem! – zawołał Razumichin. – Zaraz leczę do czytelnicy i każę dać sobie ten numer! To było przed dwoma miesiącami? Nie pamiętasz dokładnie daty, Porfiry? To nic, znajdę! To wspaniałe! A ten o niczym nikomu nie mówi!

– Skąd dowiedział się pan, że to mój artykuł? Były przecież pod nim tylko inicjały.

– Całkiem przypadkowo. Powiedział mi redaktor „Wiadomości”, z którym jestem zaprzyjaźniony. Artykuł ten zainteresował mnie bardzo.

– O ile sobie przypominam, podjąłem tam problem stanu duchowego zbrodniarza podczas całego przebiegu zbrodni.

– Tak, twierdzi pan tam, że zbrodni zawsze towarzyszy jakieś chorobliwe zamroczenie. Bardzo oryginalny pogląd, doprawdy... nie to jednak zainteresowało mnie najbardziej. Najważniejsza wydała mi się pewna, niestety, ledwie zarysowana tam myśl... Krótko mówiąc, o ile pan sobie przypomina, wypowiada pan tam zdanie, że są na świecie ludzie, którzy mogą... a raczej nie tyle mogą, ile mają najzupełniejsze prawo dopuszczać się wszelkiego rodzaju bezeceństw i zbrodni oraz że tych ludzi nie wiąże prawo moralne.

Raskolnikow zaśmiał się z tego rozmyślnego przekręcania jego myśli.

– Co? Jak to? Prawo do popełniania zbrodni? Ale chyba nie dlatego, że „środowisko wypacza jednostkę” – dopytywał się przerażony Razumichin.

– Nie, nie, o tym nie było mowy – odparł Porfiry. – Rzecz w tym, że według pana Raskolnikowa ludzie dzielą się na „zwykłych” i „niezwykłych”. Ludzie zwykli mają obowiązek żyć w posłuchu i nie wolno im naruszać prawa z tego względu, że należą do kategorii ludzi zwykłych. Ludzie niezwykli natomiast mają prawo, a nawet obowiązek popełniać najrozmaitsze zbrodnie i gwałcić prawa w każdy możliwy sposób z tego względu właśnie, że należą do ludzi niezwykłych. Tak pan napisał, jeśli mnie pamięć nie myli?

– Ależ to niemożliwe! Czegoś takiego nie mógł napisać! – mamrotał ogromnie zdziwiony Razumichin.

Raskolnikow znów się uśmiechnął. Wyczuł, mając cały artykuł w pamięci, do czego zmierza Porfiry. Zdecydował się więc przyjąć wyzwanie.

– No, tak ściśle tego nie powiedziałem – rozpoczął skromnie. – Ale przyznaję, że moje myśli oddał pan dość wiernie i jeśli panu na tym zależy, to wyznam, że nawet bardzo wiernie... (Mówił tak, jakby wyznanie to sprawiało mu szczególną przyjemność). Różnica polega jednak na tym, że nie twierdziłem, jakoby ludzie niezwykli musieli i mieli obowiązek popełniania bezeceństw, jak pan to ujął. Sądzę nawet, że cenzura nie przepuściłaby takiego artykułu. Wskazałem tylko po prostu na to, że człowiek niezwykły ma prawo... to znaczy nie prawo oficjalnie nadane... lecz rzecz można, prawo z własnego nadania, by wedle swego sumienia przekraczać... pewne przeszkody, jeśli przeszkody te są zawadą na drodze do urzeczywistnienia idei (idei mogącej mieć błogosławione skutki dla całej ludzkości), ale tylko i wyłącznie w takim wypadku. Wyraził się pan, że artykuł mój jest niejasny, jestem gotów w miarę możliwości wyjaśnić panu te niejasne punkty. Może się mylę, zdaje mi się jednak, że zależy panu na tym wyjaśnieniu, więc dobrze! Otóż moim zdaniem, gdyby wskutek pewnych okoliczności odkrycia Keplera<sup>[77]</sup> i Newtona<sup>[78]</sup> nie mogły stać się udziałem ogółu innym sposobem niż tylko przez usunięcie dziesięciu lub stu ludzi, którzy byliby tym odkryciom nieprzychylni... to w tym wypadku Newton i Kepler mieliby prawo, a nawet obowiązek... *usunąć* tych dziesięciu, stu lub więcej ludzi, aby swoim odkryciom utorować drogę do ludzkości. Z tego

jednak nie wynika, ażeby Newton miał prawo mordować każdego, kogo zechce, albo popełniać codziennie kradzieże na rynku. O ile sobie przypominam, to w dalszym ciągu mego artykułu rozwinałem myśl, że wszyscy... powiedzmy, prawodawcy i filary ludzkości, począwszy od najdawniejszych, a potem Likurg<sup>[79]</sup>, Solon<sup>[80]</sup>, Mahomet<sup>[81]</sup>, aż do Napoleona i tak dalej, że wszyscy oni bez wyjątku byli zbrodniarzami już choćby z tego względu, że przez ustanawianie nowych praw burzyli prawa stare, ustanowione przez przodków, a przez społeczeństwo uważane za święte, no i nie wahali się w celu wprowadzenia tych praw przelewać krew (czasem krew całkiem niewinną, przelaną bohatercko w obronie starych praw), jeżeli tylko przez tę krew mogli dojść do wytkniętego celu. I to właśnie jest godne uwagi, że większość tych dobroczyńców i filarów ludzkości przelała bez najmniejszych skrępowań całe morza ludzkiej krwi. Krótko mówiąc, doszedłem do wniosku, że nie tylko ludzie wielcy, ale każdy człowiek, który choć trochę wyrasta ponad przeciętność i choćby tylko po części jest zdolny powiedzieć coś nowego, już z samej swojej natury musi być przestępcą, oczywiście w mniejszym lub większym stopniu. Inaczej trudno byłoby mu wyrwać się ze starej koleiny. Pozostanie zaś w starej koleinie jest dla tych ludzi niemożliwością ze względu na ich naturę i obowiązkiem ich jest, moim zdaniem, odrzucenie wszelkich myśli o pozostaniu w niej. Widzi pan więc, że w moich poglądach nie ma właściwie nic nowego. Tysiąc razy pisano już i rozprawiano o tym. Zaś co do podziału ludzi na zwykłych i niezwykłych, to przyznaję, że jest on nieco dowolny, ale ja przecież nie obstaję przy ścisłych liczbach. Podtrzymuję tylko moją myśl główną, a jest ona taka, że już wedle prawa natury ludzie w *ogóle* dzielą się na dwie kategorie: na jedną niższą, ludzi zwykłych, czyli tak zwany materiał, którzy służą tylko do rozmnażania i utrzymania życia, oraz kategorię drugą, do której należą ludzie w całym tego słowa znaczeniu, to jest ci, którzy mają dar lub talent wypowiedzenia nowego słowa w swoim środowisku. Rzecz jasna, że jest tu dużo odchyłeń, ale cechy wyróżniające obydwu klas rzucają się przecież w oczy. Kategorię pierwszą, materiał, mówiąc najogólniej, tworzą ludzie, którzy już z natury są konserwatywni i solidni, żyją w posłuchu i posłuszeństwo sprawia im nawet przyjemność. Sądzę, że ludzie ci mają nawet obowiązek być posłuszni, gdyż takie jest ich przeznaczenie, zatem nie widzę w tym nic poniżającego. Ci zaś, którzy należą do kategorii drugiej, są wiecznie w walce z prawem, są burzycielami albo przynajmniej zwolennikami burzenia, zależnie od zdolności i możliwości. Przestępstwa tych ludzi są co do stopnia i rodzaju niezwykle zróżnicowane, w większości wypadków jednak przyświeca im jedna i ta sama idea przewodnia: chcą zburzyć to, co stare, w imię tego, co lepsze. Skoro taki człowiek dojdzie do przekonania, że droga do celu prowadzi przez krew i trupy, to moim zdaniem może w swoim sumieniu udzielić sobie przyzwolenia na przelanie krwi, zastrzegam się jednak, że tylko w granicach, których wymaga urzeczywistnienie założonego celu. Tylko w takim sensie pisałem w moim artykule o prawie do popełniania zbrodni. (Jak pan pamięta, zaczęliśmy od czysto prawniczej kwestii). Poza tym nie



ma potrzeby przejmować się tym zbyt, bo przeważająca większość ludzkości nie uznaje tego prawa ludzi niezwykłych, gilotynuje i wiesza ich (mniej lub więcej), wypełniając w sposób całkiem uzasadniony swoje konserwatywne powołanie. Rzecz inna, że w generacjach późniejszych stawia się tych zgilotynowanych i powieszonych na piedestale i otacza się czcią (mniej lub bardziej). Kategoria pierwsza jest zawsze panią teraźniejszości, druga zaś – przyszłości. Pierwsza podtrzymuje świat i powiększa go ilościowo, druga zaś wstrząsa światem i prowadzi go do celu. Obie jednak mają jednakowe prawo do życia. Jednym słowem, według mnie, są to prawa równoważne, a zatem: *Vive la guerre éternelle*<sup>[82]</sup>, naturalnie do czasu powstania Nowej Jerozolimy<sup>[83]</sup>.

– To znaczy, że pan wierzy w Nową Jerozolimę?

– Wierzę – odparł zdecydowanie Raskolnikow. Patrzył przy tym, jak i w czasie całej swojej tyrady, w jeden punkt na dywanie.

– A... a... czy wierzy pan w Boga? Niech mi pan wybaczy, może to zanadto śmiałe pytanie.

– Wierzę. – Raskolnikow podniósł głowę i spojrzał na Porfirego.

– A czy wierzy pan też we wskrzeszenie Łazarza?

– Wierzę. A dlaczego pan pyta?

– I to w znaczeniu dosłownym?

– W dosłownym znaczeniu.

– Hm. Tak... Pytałem tylko tak, z ciekawości; wybaczy mi pan. Wracając jednak do poprzedniego tematu: ludzi niezwykłych nie zawsze czeka stryczek, czasem bywa całkiem inaczej...

– Pan myśli o tym, że triumfują jeszcze za życia? O tak, niektórym to się zdarza, wtedy...

– Wtedy oni zaczynają skazywać na śmierć?

– Tak, o ile zachodzi potrzeba, i wie pan, tak na ogół bywa. Uwaga pańska była bardzo dowcipna.

– Dziękuję panu. Niech mi pan tylko powie jeszcze jedno: w jaki sposób można odróżnić tych ludzi niezwykłych od reszty? Może zaraz po urodzeniu mają już jakieś cechy, stygmaty? Pytam dlatego, bo uważam, że w tych sprawach potrzebna jest jak największa jasność i że tak powiem, dokładność. Jestem człowiekiem lubiącym porządek, więc wybaczy mi pan moją przezorność, ale czy nie można by tu wprowadzić dla odróżnienia, na przykład, specjalnych mundurów, odznak albo po prostu cechować odpowiednio?... Rozumie pan przecież, co by się działo, gdyby ktoś z klasy pierwszej ubrał sobie, że należy do tych drugich i począłby na własną rękę „usuwać przeszkody”, jak pan to udatnie określił.

– O, to zdarza się bardzo często. Ta uwaga jest jeszcze dowcipniejsza aniżeli poprzednia.

– Dziękuję za uznanie.

– Nie ma potrzeby. Musi pan jednak uwzględnić, że pomyłka jest możliwa tylko wśród ludzi należących do kategorii pierwszej, to jest „zwykłych” ludzi (jak ich nazwałem niezbyt fortunnie). Pomimo wrodzonej skłonności do



posłuchu wielu z nich chętnie wmawia sobie, wskutek fantazji, a tej, jak wiadomo, przyroda nie poskąpiła nawet krowie, że należą do ludzi postępowych, „burzycieli” i odkrywców „nowego słowa”. I wierzą w to całkiem szczerze. A ci naprawdę *nowi ludzie* są przez nich pomijani, nawet pogardzają nimi jako konserwatystami o zacofanej mentalności. Sądzę jednak, że niebezpieczeństwo nie jest aż tak poważne i nie ma pan powodów do niepokoju, bo ludzie ci nigdy w życiu wiele nie zdziałają. Za ich zaślepienie trzeba ich tylko od czasu do czasu skarcić, a to w tym celu, by przypomnieć im, gdzie jest ich właściwe miejsce, i to wszystko; nie potrzeba nawet wykonawców do tego karcenia, uczynią to sami, gdyż są bardzo moralni, niektórzy wyświadczą tę przysługę sobie nawzajem, inni zaś sami się wychłószczą... Przy tej sposobności często publicznie rozdzierają swoje szaty, jest im z tym bardzo do twarzy i działa to w sposób pouczający; słowem, nie ma powodu do niepokoju... Dla tych ludzi prawa są niewzruszone.

– No, co do tego uspokoił mnie pan. Jest jednak coś jeszcze, co napawa mnie niepokojem. Niech mi pan powie, czy tych ludzi, którzy mają prawo mordowania innych, jest dużo na świecie? Jestem naturalnie gotów pochylić czoło przed nimi, ale przyzna pan, że gdyby ich było zbyt dużo, to życie byłoby dosyć przykre...

– Co do tego może pan także być spokojny – ciągnął Raskolnikow dalej w tym samym tonie. – Ludzi o nowych ideach, nawet tych, którzy w ogóle są zdolni powiedzieć coś *nowego*, rodzi się bardzo mało, wprost zdumiewająco mało. Jedno jest tylko jasne – umieranie ludzi i przychodzenie na świat jest odpowiednio i ściśle regulowane jakimś prawem natury. Prawo to jest dotychczas jeszcze nie zbadane, wierzę jednak, że istnieje i zostanie odkryte. Niezmierzona masa ludzi, materiału, istnieje przecież na świecie tylko po to, aby w końcu przez niepojęte krzyżowanie plemion i ras zebrać się w sobie i wydać choćby jednego na tysiąc jako tako samodzielnego człowieka. Człowiek o większej samodzielności rodzi się co najwyżej jeden na dziesięć tysięcy (określam to przykładowo, obrazowo). O jeszcze więcej – jeden na sto tysięcy! Ludzie genialni – raz na milion, a prawdziwi geniusze, którzy przyczyniają się do udoskonalenia całej ludzkości, przychodzą na świat dopiero po upływie wielu milionów ludzi. Słowem, oko moje zajrzało do retorty, w której odbywa się cały ten skomplikowany proces. Że jest on jednak kierowany jakimś prawem, to nie ulega wątpliwości, nie może tu mieć miejsca przypadek.

– Powiedzcie mi, do diabła, czy wy obaj kpicie sobie, czy co? – wtrącił się nagle Razumichin. – Siedli tu sobie i jeden drugiego wodzi za nos. Żarty sobie urządzają! Czy ty tak myślisz na serio, Rodionie?

Raskolnikow zwrócił ku niemu swą bladą i posmutniałą twarz, nie odpowiedział jednak. I dziwna wydała się Razumichinowi w zestawieniu z tą posępną i skupioną twarzą przyjaciela jawnie drwiąca, natrętna, irytująca i *nieuprzejma* dociekliwość Porfirego.

– Nie, bracie, jeżeli mówiłeś na serio, to... Masz rację, mówiąc, że nie są to poglądy nowe, lecz od dawna już dobrze znane; tym jednak, co jest

naprawdę *nowe* i co ku memu przerażeniu jest twoją duchową własnością, jest przyzwolenie, które dajesz człowiekowi na przelewanie krwi *wedle własnego sumienia*, i popierasz to, wybaczasz, ale z jakimś fanatyzmem... To jest przecież najważniejsza myśl twego artykułu. Takie przyzwolenie na przelewanie krwi jest według mnie tysiąc razy straszniejsze aniżeli oficjalne, ustawowe zezwolenie...

– Zupełnie słusznie, jest to straszniejsze... – potwierdził Porfiry.

– Nie, to niemożliwe, przesadziłeś, bracie. Ty nawet nie umiesz tak myśleć... Muszę przeczytać ten artykuł.

– W moim artykule nie ma tego wszystkiego, napomknąłem tam tylko... – odparł Raskolnikow.

– Tak, tak – rzekł Porfiry, wiercąc się na swoim krześle – teraz mam już mniej więcej jasność co do tego, jakie są pańskie poglądy na zbrodnię, ale... wybaczy mi pan, że jestem tak natarczywy (sam wiem, że zajmuję panu czas, i aż mi wstyd)... uspokoił mnie pan przedtem co do pomyłek na tle pomieszania obydwu kategorii, ale... niepokoją mnie jeszcze inne, w praktyce możliwe wypadki! Przyjmijmy, że mężczyzna lub młokos wmówi sobie, że jest przyszłym Likurgiem albo Mahometem, i pocźnie usuwać sobie wszystkie przeszkody... Wie, że droga do celu daleka... do przebycia tej drogi potrzeba pieniędzy... zaczyna więc zdobywać pieniądze drogą... Pan mnie rozumie?

Zamietow w swoim kącie wybuchnął nagle głośnym śmiechem. Raskolnikow nawet nie spojrzał na niego.

– Przyznaję – rzekł spokojnie – że takie wypadki nie są wykluczone. Ludzie są głupi i próżni, a szczególnie młodzież, i mogą ulec takiej pokusie.

– A widzi pan! I co wtedy?

– Jak to, co wtedy? – Raskolnikow uśmiechnął się. – Przecież nie ja jestem temu winien. Tak już jest i nie potrafimy tego zmienić. Ten tutaj – wskazał Razumichina – powiedział, że ja daję przyzwolenie na przelewanie krwi. No i co z tego? Społeczeństwo przecież zabezpieczyło się dostatecznie przez zesłania, więzienia, sędziów śledczych i katorgi, więc skąd ten niepokój? Szukajcie mordercy!

– A jak go znajdziemy?

– Wtedy możecie go ukarać.

– Bardzo logiczne. A co dzieje się z jego sumieniem?

– Co pana obchodzi jego sumienie?

– Pytam tylko tak, z czysto ludzkiego względu.

– Jeżeli ma sumienie, to niech cierpi, jeżeli zrozumie swoją omyłkę. Jest to dla niego karą, może gorszą od katorgi.

– No, a ci rzeczywiście genialni, którzy mają prawo zarzynać, czy oni *nie powinni* cierpieć z powodu przelanej krwi? – zapytał z ponurą miną Razumichin.

– Skąd ten wyraz: *powinni*. Tu nie ma ani przyzwolenia, ani zakazu. Cierpi ten, komu jest żal jego ofiary. Gdzie jest zdolność poznania i serce głęboko czujące, tam na pewno nie zabraknie bólu i cierpienia. Ludzie naprawdę wielcy skazani są na tym świecie na wielki smutek. – Ostatnie słowa

wypowiedział Raskolnikow jakoś melancholijnie i jakby odbiegając od tonu rozmowy.

Podniósł wzrok, spojrział smętnie na otaczające go osoby i sięgnął po czapkę. Był zbyt poważny w stosunku do wesołości, z jaką wszedł tutaj, czuł to doskonale.

Wszyscy podnieśli się ze swych miejsc.

– Może pan mnie przekląć albo nie, może pan być na mnie wściekły (bo też nad miarę naprzykrzałem się panu!), nie mogę jednak odmówić sobie zadania panu jeszcze jednego pytania – rzekł Porfiry Pietrowicz. – Pewna myśl przyszła mi do głowy i muszę ją wypowiedzieć, bo obawiam się, że potem zapomnę...

– Proszę, niech pan pyta – rzekł Raskolnikow, stojąc przed nim blady i skupiony.

– Myślę o tym... nie wiem tylko, jak to wyrazić... Myśl ta jest może zbyt kuriozalna... coś z dziedziny psychologii... Gdy pisał pan swoją rozprawkę, to musiał pan, che, che! przynajmniej po części uważać się za człowieka „niezwykłego”, za człowieka, który *ma coś nowego do powiedzenia* w tym znaczeniu, jak pan nam to tutaj wyłożył... Czy tak?

– Bardzo możliwe – odparł Raskolnikow tonem lekceważącym.

Razumichin poruszył się.

– Czyli idąc dalej, czy rzeczywiście mógłby się pan zdecydować, będąc zmuszony do tego pewnymi okolicznościami losowymi lub dla przyśpieszenia postępu całej ludzkości, na usunięcie określonej przeszkody? Na przykład na morderstwo i rabunek?

Raskolnikowowi znowu zdawało się, że Porfiry mruga do niego lewym okiem i śmieje się w środku, zupełnie tak jak przedtem.

– Gdybym nawet usunął jakąś przeszkodę, to rzecz jasna, nie powiedziałbym tego panu – odparł wyzywająco, z wyraźną pogardą w głosie.

– Ach, przecież ja pytam tylko po to, żeby lepiej zrozumieć pański artykuł z czysto literackiego punktu widzenia...

„Mówi bez ogródek i bezczelnie” – pomyślał ze wstrętem Raskolnikow.

– Zechce pan zauważyć – dodał oschle – że nie uważam się za Mahometa albo Napoleona ani w ogóle za człowieka tego gatunku. A nie należąc do tej kategorii, nie mogę panu dokładnie powiedzieć, jak postąpiłbym w takim wypadku.

– No, no, daj pan spokój, któż to u nas, w Rosji, nie uważa się za Napoleona? – rzekł Porfiry tonem zbyt familiarnym, zdradzającym jakąś wyraźną intencję.

– Obawiam się, że taki przyszły Napoleon zaciukał siekierą naszą Alonę Iwanownę! – wtrącił ze swego kąta Zamietow.

Raskolnikow milczał i patrzył prosto w twarz Porfirego Pietrowicza. Razumichin całkiem spochmurniał. Już przedtem to i owo zwróciło jego uwagę. Teraz rozglądał się gniewnie dokoła. Cała minuta upłynęła w tym ponurym milczeniu. Raskolnikow ruszył ku wyjściu.

– Pan już ucieka? – Porfiry z uśmiechem i nader uprzejmie podał mu rękę. – Bardzo, bardzo miło było mi pana poznać. Co do tych zastawów, to może

pan uważać rzecz za załatwioną. Niech pan tylko napisze to, co powiedziałem. Najlepiej byłoby, gdyby pan wpadł do mnie do biura... może jutro... Będę w biurze o jedenastej. Załatwimy tam wszystko... porozmawiamy. Pan jako jeden z tych, którzy jako ostatni *tam* byli, zapewne może nam udzielić pewnych wyjaśnień... – dodał z najbardziej dobroduszną miną.

– Pan chce przesłuchać mnie urzędowo, z wszelkimi formalnościami? – zapytał ostro Raskolnikow.

– Po co? Na razie nie ma potrzeby. Pan mnie nie zrozumiał. Widzi pan, chciałem skorzystać ze sposobności... mówiłem już ze wszystkimi klientami tej starej... niektórych przesłuchałem... a pan jest ostatni... Ach, prawda! – zawołał, jakby nagle ucieszył się myślą, która mu przyszła do głowy. – Przypomniałem sobie coś... jak mogłem o tym zapomnieć! – zwrócił się nagle do Razumichina. – Nagadałeś mi tyle o tym Mikołaju, sam wiem, dobrze wiem – zwrócił się do Raskolnikowa – że ten chłopak jest niewinny, ale co mogłem zrobić? I Dymitra musiałem przymknąć... Sprawa ma się więc tak, będę się streszczał: gdy szedł pan wtedy po schodach, pozwoli pan... pan był przecież tam między siódmą a ósmą godziną wieczorem?...

– Zgadza się – odparł Raskolnikow i zadrżał na myśl, że wcale nie musiał odpowiadać na to pytanie.

– A więc gdy szedł pan między siódmą a ósmą po schodach, czy nie zauważył pan na pierwszym piętrze w otwartym mieszkaniu – pan sobie przypomina? – dwóch albo choćby jednego robotnika? Oni malowali tam, nie zauważył pan ich? To jest dla tych obydwu bardzo, bardzo ważne!

– Malarze? Nie, nie widziałem ich... – odparł Raskolnikow powoli, jakby dopomagał swej pamięci, a jednocześnie wytężał cały swój spryt, aby zorientować się, gdzie jest właściwie pułapka, i niczego nie przeoczyć. – Nie, nie widziałem ich, nie zauważyłem nawet, że jakieś mieszkanie stało otworem... Przypominam sobie jednak, że na trzecim piętrze (teraz pułapka wydała mu się zupełnie jasna i triumfował już z góry) wyprowadzał się jakiś urzędnik... z mieszkania położonego naprzeciw Alony Iwanowny, żołnierze wynosili meble i przyparli mnie do ściany... przypominam sobie całkiem dokładnie, ale malarzy ani otwartego mieszkania... nie mogę sobie przypomnieć... nie, nie zauważyłem...

– Co ty właściwie wygadujesz, Porfiry? – wrzasnął Razumichin, który nareszcie zorientował się, w czym rzecz. – Przecież malarze byli tam w dniu morderstwa, a on był tam dwa dni przedtem, więc jak możesz go o to pytać?

– Ach, do diabła! – Porfiry uderzył się ręką w czoło. – Pomieszało mi się. Od tej całej historii kręci mi się w głowie! – zwrócił się do Raskolnikowa, jakby prosząc o wybaczenie. – Jest to dla nas bardzo ważne, czy ktoś widział ich w mieszkaniu między siódmą a ósmą, i uroiło mi się, że może pan coś o tym wie... Wszystko pomieszałem!

– Trzeba bardziej skupić myśli – zauważył zgryźliwie Raskolnikow.

Ostatnie słowa wymieniono już w przedpokoju. Porfiry, nadzwyczaj ugrzeczniiony, odprowadził ich do drzwi. Obydwaj wyszli na ulicę w ponurym nastroju i początkowo szli bez słowa. Raskolnikow głęboko odetchnął...

– ...Nigdy w to nie uwierzę! Nie uwierzę! – powtarzał przerażony Razumichin, usiłując zbijać argumenty Raskolnikowa. Zbliżali się już do domu Bakalejewa, gdzie oczekiwały ich już od dawna Pulcheria Aleksandrowna i Dunia. W ferworze rozmowy Razumichin przystawał co chwila; był bardzo poruszony, bo po raz pierwszy dyskusja o *tym* była prowadzona w sposób jasny i bez ogródek.

– To nie wierz! Nic ci na to nie poradzę – odparł Raskolnikow chłodno, z niedbałym uśmiechem. – Ty naturalnie byłeś jak zwykle naiwny i niczego nie zauważyłeś, ja jednak dokładnie rozważałem każde słowo, które padło.

– Jesteś podejrzliwy, dlatego rozważałeś każde słowo... Hm, choć muszę przyznać, że ton Porfirego był co najmniej dziwny, a Zamietow to skończony drań... Masz rację, coś było na rzeczy, ale dlaczego, dlaczego?

– Przez noc doszedł do innego przekonania.

– Ależ to niemożliwe, niemożliwe! Gdyby rzeczywiście ta bezsensowna myśl zagnieździła się w ich mózgach, to staraliby się przecież ukryć ją i nie odkrywaliby kart przedwcześnie, aby cię później tym łatwiej przyskrzynieć... Ale tak, jak oni to robili, było to bezczelne i nieostrożne!

– Gdyby mieli rzeczywiste dowody lub przynajmniej jakąś podstawę do podejrzeń, to z pewnością nie ujawnialiby swoich kart w nadziei, że zdobędą tym sposobem jeszcze więcej dowodów (byliby zresztą już dawno przeprowadzili u mnie rewizję!). Nie mieli jednak żadnego, choćby najmniejszego dowodu, wszystko było dwuznaczną spekulacją, zawieszoną w powietrzu ideą i dlatego popróbowali mnie skołować za pomocą bezczelności. Może nawet ten brak dowodów doprowadził go do takiej wściekłości i dał się jej ponieść. Może Porfiry miał w tym swój cel. Zdaje mi się, że jest bardzo mądry... Może chciał mnie przestraszyć, sugerując, że coś wie... Są to zawiłe kwestie psychologiczne, bracie... Zresztą ogarnia mnie wstręt, gdy zaczynam się zastanawiać... Przestańmy o tym mówić.

– Tak, jest to wstrętne i poniżające! Odczuwam to tak samo jak ty! Ale... skoro już mówimy o tym otwarciu (bardzo się cieszę, że wreszcie doszło do tego, że możemy o tym mówić otwarcie!), muszę ci powiedzieć, że wyczuwałem u nich tę myśl już przedtem, naturalnie jako coś ledwie dostrzegalnego, coś dopiero kiełkującego. Jak mogą jednak, nawet w tej formie, pomyśleć coś podobnego? Jak mogą ważyć się na coś podobnego? W jaki sposób doszli do tego? Gdybyś wiedział, jak mnie to irytowało! Jak to? Oto biedny student, podupadły wskutek nędzy i hipochondrii, w przeddzień ataku strasznej choroby z gorączką, która (to bardzo ważne!) od dawna siedziała już w nim, drażliwy i ambitny, człowiek znający swoją wartość, który przesiedział sześć miesięcy samotnie, stoi w łachmanach i podartych butach z jakimiś policajami i musi wysłuchiwać ich uwag i docinków; do tego jeszcze przychodzi nieoczekiwany nakaz zapłacenia weksla radcy Czebarowowi, śmierdzi farba, upał trzydzieści stopni Réaumura<sup>[84]</sup>, powietrze zapierające dech, tłum ludzi, opowiadanie o zamordowaniu osoby,

u której był onegdaj, i to wszystko przy pustym żołądku! Tak, chciałbym zobaczyć takiego, co by nie zemdlał! I na tym, na tym opierają się ich podejrzenia! Do diabła! Rozumiem, że to może kogoś zirytować, ja jednak na twoim miejscu, Rodia, śmiałybym się im wszystkim w oczy na całe gardło i nie tylko, naplułbym im w twarz i dał po gębie, naturalnie w sposób mądry, tak jak bić się powinno, i cała sprawa byłaby załatwiona od razu. Pluń na to! Weź się w garść! To wstyd!

„Bardzo dobrze to przedstawia” – pomyślał Raskolnikow.

– Plunąć na to? A jutro znowu przesłuchanie! – powiedział z goryczą. – Może mam się wdawać w wyjaśnienia? I tak już żałuję, że wczoraj tak poniżyłem się w restauracji wobec Zamietowa...

– Do diabła! Pójdę do Porfirego! Wezmę go w obroty, *w sposób familijny*, już on mi wszystko wyśpiewa! A co do Zamietowa...

„Nareszcie się domyślił!” – pomyślał Raskolnikow.

– Poczekaj – wrzasnął nagle Razumichin, chwytając go za ramię. – Jesteś w błędzie. Przemyślałem to. Jakaż to mogła być pułapka? Mówisz, że pytanie o tych robotników było pułapką? Pomyśl tylko: gdybyś naprawdę to zrobił, to czy mógłbyś się wygadać, że widziałeś mieszkanie... i robotników? Wprost przeciwnie: powiedziałbyś, że nic nie widziałeś, nawet gdybyś ich widział! Przecież nikt nie będzie świadczyć przeciw sobie!

– Gdybym to zrobił, to na pewno powiedziałbym, że widziałem robotników i mieszkanie – odparł Raskolnikow niechętnie, ze wstrętem.

– Po cóż świadczyć przeciw sobie?

– Dlatego, że jedynie ciemni chłopci albo niedoświadczeni nowicjusze podczas przesłuchania zaprzeczają z miejsca wszystkiemu! Człowiek mądry i doświadczony potwierdza wszystkie zewnętrzne i niezaprzeczalne fakty, ale tłumaczy je innymi przyczynami, znajdzie zawsze coś, co przedstawia te fakty w zupełnie innym świetle. Porfiry mógł na to właśnie liczyć, że będę w ten sposób odpowiadać, że powiem, iż coś niecoś widziałem, dodam tylko jakieś objaśnienia...

– Ale przecież od razu by ci powiedział, że na dwa dni przed zabójstwem robotników nie było jeszcze w mieszkaniu, to znaczy, dowiódłby ci, że byłeś u lichwiarki w dniu zabójstwa przed ósmą. Przygwoździłby cię na takiej drobnostce!

– Może na to właśnie liczył, że nie zdążę pomyśleć i będę się śpieszył, by odpowiedzieć jak najprawdopodobniej, zapominając o tym, że wówczas robotników jeszcze nie było.

– Jak można o tym zapomnieć?

– Bardzo łatwo. Najsprytniejsi ludzie zasypują się właśnie na takich drobiazgach. Im ktoś jest bardziej sprytny, tym mniej się spodziewa, że mogą go przyłapać na byle czym. Spryciarza zawsze należy łapać na drobiazgach. Porfiry wcale nie jest taki głupi, jak to sobie wyobrażasz...

– W takim razie jest łotrem!

Raskolnikow nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Lecz w tej chwili zapał, z jakim rozmawiał z Razumichinem, wydał mu się dziwny, podczas gdy poprzednio prowadził rozmowę prawie ze wstrętem i jakby pod przymusem,

z wyrachowania.

„Niektóre punkty zaczynają mi się wyraźnie podobać!” – pomyślał.

Zaraz jednak ogarnął go dziwny niepokój, zdawało mu się, że poraziła go jakaś nowa i trwożna myśl. Niepokój ten wzrastał z każdą chwilą. Byli już u wejścia do domu Bakalejewa.

– Idź tam sam – zwrócił się nagle do Razumichina – ja przyjdę za chwilę.

– Dokąd chcesz pójść? Przecież jesteśmy już na miejscu.

– Muszę, muszę, pilna sprawa... przyjdę za pół godziny... powiedz tam.

– Jak sobie życzysz, ale idę z tobą.

– A więc i ty chcesz mnie dręczyć! – krzyknął Raskolnikow z taką irytacją i tak rozpaczliwym głosem, że Razumichinowi opadły ręce. Stał przez chwilę na schodach, patrząc, jak Raskolnikow szybko oddala się w kierunku swej ulicy. Wreszcie zacisnął zęby i wygrażając pięściami, poprzysiągł sobie, że dziś jeszcze wydobędzie z Porfirego wszystkie jego tajemnice; potem ruszył na górę, aby uspokoić Pulcherię Aleksandrownę, zaniepokojoną ich długą nieobecnością.

Gdy Raskolnikow zbliżył się do swego domu, pot perlił mu się na skroniach, oddychał z trudem. Pośpiesznie pobiegł na górę, wszedł do pokoju i zamknął drzwi na haczyk. Potem przerażony, prawie nieprzytomny, rzucił się ku owej dziurze w ścianie, w której były przedtem schowane zastawy, i zaczął ją obmacywać, badając wszystkie szpary i zagłębienia za tapetą. Nie znalazłszy nic, podniósł się i odetchnął z ulgą. Gdy stał na schodach w domu Bakalejewa, przyszło mu nagle na myśl, że jakiś przedmiot – łańcuszek, spinka, a nawet kawałek papieru z opakowania zastawów z własnoręcznymi notatkami lichwiarki – mógł się zawieruszyć gdzieś w tej dziurze za tapetą i potem posłużyć jako miażdżący, niezbity dowód jego winy.

Stał zamyślony; dziwny, uległy i głupkowaty uśmiech błąkał się na jego ustach. Wreszcie wziął czapkę i cicho wyszedł z pokoju. Myśli mu się plątały. Dochodził już do bramy, gdy nagle usłyszał czyjś głos:

– O, to właśnie ten pan!

Raskolnikow spojrzał. Stróż stał na progu swej komórki i informował jakiegoś mieszczanina, odzianego w kamizelkę i dziwną kapotę, która upodabniała go do wiejskiej baby. Głowa w wyświechtanej czapce była pochylona ku ziemi, a cała postać zdawała się zgarbiona. Sądząc ze starej, pomarszczonej twarzy, osobnik ten miał przeszło pięćdziesiąt lat; małe, wpadnięte oczy patrzyły ponuro, surowo i z widoczną niechęcią.

– O co chodzi? – zapytał Raskolnikow, podchodząc do stróża.

Nieznajomy przypatrywał mu się zrazu spode łba, a potem obejrzał go uważnie, dokładnie i bez pośpiechu, wreszcie odwrócił się i nie mówiąc ani słowa, wyszedł na ulicę.

– Czego on chciał? – dopytywał się Raskolnikow.

– Pytał, czy tu mieszka taki a taki student, wymienił pańskie nazwisko i mieszkanie. Wtedy właśnie pan nadszedł, to mu pana wskazałem, a on poszedł sobie. Też coś.

Stróż był bardzo zdziwiony, choć nie na długo; podumał chwilę, a potem odwrócił się i wszedł do swej komórki.



Raskolnikow pobiegł za tym człowiekiem i zobaczył go na drugiej stronie ulicy. Szedł wolnym, miarowym krokiem, z oczyma wbitymi w ziemię, jakby w głębokiej zadumie. Raskolnikow wkrótce go dogonił, lecz szedł jakiś czas z tyłu, wreszcie podszedł i spojrzał na niego z ukosa. Mieszczanin poznał go natychmiast, obrzucił bystrym spojrzeniem, po czym znowu spuścił oczy; szli tak obok siebie w milczeniu.

– Pan pytał o mnie... stróża? – powiedział wreszcie Raskolnikow, ale jakimś zbyt cichym głosem.

Tamten nie odpowiedział, nawet nie spojrzał na niego. Znowu jakiś czas szli w milczeniu.

– Cóż to ma znaczyć... przychodzi pan, rozpytuje... i milczy... o co chodzi? – Głos Raskolnikowa drżał i urywał się, wymawiał słowa z trudem.

Tym razem nieznajomy podniósł na niego oczy, spojrzał złowieszczo i posępnie.

– Morderca! – rzucił nagle cichym, lecz dźwięcznym i wyraźnym głosem...

Raskolnikow szedł dalej obok niego. Nogi mu nagle zadrżały, mróz przeszedł po plecach, serce zamarło na chwilę, a potem załomotało gwałtownie. Uszli tak obok siebie ze sto kroków w zupełnym milczeniu.

Mieszczanin nie patrzył na Raskolnikowa.

– Ale co pan... co... jaki morderca? – wybełkotał wreszcie Raskolnikow ledwo dosłyszalnym głosem.

– Ty jesteś mordercą! – odparł nieznajomy tonem jeszcze bardziej dobitnym i wyraźnym, z jakimś triumfującym i nienawistnym uśmiechem i znowu spojrzał wprost w pobladłą twarz Raskolnikowa. Doszli do skrzyżowania. Mieszczanin skręcił w ulicę na lewo i szedł dalej, nie oglądając się. Raskolnikow pozostał na miejscu i patrzył za nim. Widział, jak tamten, uszedłszy może z pięćdziesiąt kroków, przystanął i obejrzał się. Trudno było dojrzeć na taką odległość, ale Raskolnikowowi wydawało się, że i tym razem mieszczanin uśmiechnął się triumfująco, z wyrazem zimnej nienawiści.

Powolnym, ociężałym krokiem powrócił Raskolnikow do domu. Nogi się pod nim uginały. Wszedł po schodach do swojej komórki, zdjął czapkę, położył ją na stole i z dziesięć minut stał nieruchomo. Potem osłabiony położył się na kanapie, z ust wyrwał mu się przytłumiony jęk; oczy miał zamknięte. Tak przeleżał pół godziny.

Nie myślał o niczym. Przelatywały mu przez głowę jakieś strzępy myśli, oderwane obrazy bez ładu i składu, twarze ludzi, których widział jeden jedyny raz, będąc jeszcze dzieckiem, i których nigdy potem nie pamiętał, dzwonnica W-skiej cerkwi, bilard w jakiejś restauracji i jakiś oficer koło tego bilardu, suterena i zapach cygar w trafice, szynkownia, brudne, ciemne schody, całe zalane pomyjami i zaśmiecone skorupami jaj, i nagle tu ni stąd, ni zowąd uroczy dźwięk niedzielnych dzwonów... Przedmioty tańczyły i kołowały w jego mózgu jak wichry. Niektóre podobały mu się nawet, czepiał się ich, ale ulatywały natychmiast. Odczuwał jakiś wewnętrzny ucisk, ale znowu nie tak duży... Lekki dreszcz nie ustępował, było to jednak uczucie nieomal przyjemne.

Nagle usłyszał pośpieszne kroki, poznał głos Razumichina, zamknął oczy

i udał śpiącego. Razumichin otworzył drzwi i czas jakiś niezdecydowany stał na progu. Potem po cichu zbliżył się do kanapy. Raskolnikow usłyszał szept Nastazji:

– Nie rusz go, niech się wyśpi. Potem sobie poje...

– Masz rację – odpowiedział Razumichin.

Oboje wyszli po cichu i zamknęli za sobą drzwi. Ułynęło jeszcze z pół godziny. Raskolnikow otworzył oczy, odwrócił się na wznak i położył obie ręce pod głowę.

„Kto to może być? Kim jest ten człowiek, który zjawił się jakby spod ziemi? Gdzie był i co widział? Widział wszystko, to nie ulega żadnej wątpliwości. Ale gdzie się ukrywał wówczas, skąd się przypatrywał? Dlaczego zjawia się dopiero teraz? I w jaki sposób mógł coś widzieć, czy to możliwe? Hm... – ciągnął dalej swój wywód Raskolnikow, czując, że robi mu się zimno – a futeralik, który Mikołaj znalazł za drzwiami: czyż było to możliwe? Dowody? Wystarczy przeoczyć najdrobniejszą błahostkę i już z niej wyrasta dowód wielkości piramidy egipskiej. Może mucha latała i widziała? Czyż to możliwe?”

Poczuł nagle ze wstrętem, że jest ogromnie słaby, że brak mu sił.

„Powinienem był o tym wiedzieć – myślał, uśmiechając się gorzko – jak śmiałem wziąć do rąk siekiere i zbrukać się krwią, skoro tak dobrze znałem, *przeczuwałem* siebie!... Powinienem był o tym wiedzieć zawczasu!... Ech, przecież wiedziałem o tym” – wyszeptał zrozpaczony.

Czasem jego uwagę przykuwała na dłużej jakaś myśl: „Nie, tamci ludzie byli stworzeni z innego materiału. Prawdziwy *władca*, któremu wolno wszystko, burzy Tulon<sup>[85]</sup>, urządza rzeź w Paryżu<sup>[86]</sup>, *zapomina* o armii w Egipcie<sup>[87]</sup>, *traci* pół miliona ludzi w wyprawie na Moskwę<sup>[88]</sup> i kwituje to kalamburem w Wilnie<sup>[89]</sup>; takiemu człowiekowi po śmierci stawiają pomniki, a więc jemu naprawdę *wszystko* wolno. Nie, tacy ludzie widocznie nie są z krwi i kości, ale ze spiżu!”

Nagle prawie go rozśmieszyła pewna uboczna myśl: „Napoleon, piramidy, Waterloo<sup>[90]</sup> – i szpetna, wstrętna starucha, lichwiarka, wdowa po urzędniku, z czerwonym kuferkiem pod łóżkiem, no, jak to wszystko zmieści się w głowie choćby panu Porfiremu?... Przecież nie strawi czegoś podobnego!... Estetyka mu przeszkodzi: «Czyż Napoleon – powie – może leżać pod łóżko nędznej staruchy?». Fe, co za paskudztwo!”

Chwilami czuł, że zaczyna bredzić, i popada w gorączkowe podniecenie.

„Starucha to bzdura! – myślał żarliwie i pośpiesznie. – Starucha może i była błędem z mojej strony, ale nie o nią przecież chodzi! Starucha to tylko skutek mojej choroby... chciałem jak najprędzej przestąpić próg... zabiłem nie człowieka, lecz zasadę! Zasadę zabiłem, ale progu przestąpić nie zdołałem i zostałem po tej stronie... Potrafiłem jedynie zabić, więcej nic... Nawet tego nie zrobiłem, jak należy... Zasada?... Dlaczego ten głupiec Razumichin tak się oburzył na socjalistów? Są to ludzie pracowici i handlowi, zajmują się «szczęściem powszechnym»... Nie, dano mi tylko jedno życie, po raz drugi żyć nie będę: nie chcę czekać na «szczęście powszechne». Sam też chcę żyć,

bo inaczej wcale żyć nie warto. No cóż? Wczoraj nie chciałem przejść obok głodnej matki, ściskając w kieszeni mego rubla w oczekiwaniu na «szczęście powszechne». «Niosę moją cegiełkę – powiadają – na budowę gmachu powszechnego szczęścia i dlatego odczuwam spokój w duszy». Cha, cha! Ale dlaczego pominęliście mnie? Przecież żyję tylko raz i też chcę... Ech, jestem tylko wszą estetyczną, i basta! – dorzucił nagle, parszcząc obłąkańczym śmiechem. – Tak, naprawdę jestem wszą – ciągnął dalej, z niedobłą satysfakcją czepiając się tej myśli, pogrążając się w niej, igrając i szydząc – jestem nią już choćby dlatego, że po pierwsze, rozmyślam teraz o tym, że nią jestem. Po wtóre zaś, jestem nią dlatego, że przez cały miesiąc niepokoiłem Opatrzność, wzywając ją na świadka, że to, co robię, robię nie dla pofolgowania swym chuciom cielesnym, lecz mając na widoku cel wspaniały i godny, cha, cha! Po trzecie dlatego, że postanowiłem przy wykonaniu swego czynu przestrzegać możliwie największej sprawiedliwości, miary, wagi i arytmetyki: ze wszystkich wszy wybrałem najbardziej bezużyteczną, a po zabiciu jej postanowiłem wziąć od niej tylko tyle, ile mi potrzeba na pierwszy krok, ni mniej, ni więcej (a więc reszta poszłaby na klasztor, zgodnie z jej testamentem, cha, cha!)... I dlatego jeszcze, dlatego bezwarunkowo jestem wszą – dodał, zgrzytając zębami – że sam jestem może bardziej podły i nikczemny aniżeli zabita przeze mnie wesz, i *przeczuwałem* zawczasu, że powiem to sobie już *po tym*, jak ją zabiję! Czyż może być coś bardziej okropnego? Co za pospolitość! Co za podłość!... O, jak dobrze rozumiem «proroka» na koniu, z mieczem w ręku: Allah rozkazuje, więc masz go słuchać, «drżący» stworze! Ma słuszność, ma zupełną słuszność «prorok», kiedy wystawia gdzieś w poprzek ulicy so-lid-ną baterię i kosi winnych i niewinnych, nie zadając sobie nawet trudu, żeby objaśnić za co... Bądź posłuszny, «drżący» stworze, i *nie ośmielaj się niczego pragnąć*, albowiem nie twoja to rzecz!<sup>[91]</sup> O, za nic w świecie, za nic nie przebaczę tej starej!”

Włosy zwilżył mu pot, rozpalone wargi drgały, nieruchome oczy wlepił w sufit.

„Matka, siostra... jakże ja je kochałem! Dlaczego teraz ich nienawidzę? Tak jest, nienawidzę ich, po prostu fizycznie nie mogę znieść ich obecności... Onegdaj podszedłem i pocałowałem matkę, pamiętam... Uścisnąłem ją i myślałem: co by to było, gdyby się dowiedziała?... A co będzie, jeżeli jej powiem... Byłem do tego zdolny! Hm! *ona* przecież musi być do mnie podobna – dodał, myśląc z wysiłkiem i jakby walcząc z gorączką, która potęgowała się coraz bardziej. – O, jak ja teraz nienawidzę tej starej! Chyba zamordowałbym ją po raz drugi, gdyby ożyła! Biedna Lizawieta! I co ją akurat wtedy przyniosło... Dziwne jednak, dlaczego prawie wcale nie myślę o niej, jakbym jej wcale nie zamordował... Lizawieta! Sonia! Biedne, potulne, o łagodnych oczach... Takie dobre!... Dlaczego one nie płaczą?... Dlaczego nie wydają jęku?... Wszystko ofiarują... spoglądają tak łagodnie i miło... Soniu! Soniu! Potulna Soniu!...”

Powoli tracił poczucie rzeczywistości. Dziwne mu się wydało, że nie mógł sobie przypomnieć, w jaki sposób znalazł się na ulicy. Był już późny wieczór.

Mrok gęstniał, księżyc w pełni świecił coraz jaśniej. Jakaś niezwykła duszność wisiła w powietrzu. Tłumy ludzi zalegały ulice, rzemieślnicy i robotnicy śpieszyli do domów; kręcili się spacerowicze; czuć było wapno, kurz i pleśń. Raskolnikow szedł smutny i stroskany: pamiętał dobrze, że wychodząc z domu, miał jakiś zamiar, żeby coś zrobić jak najprędzej, ale zapomniał, co mianowicie. Nagle zatrzymał się i zobaczył, że po drugiej stronie ulicy stoi na chodniku jakiś człowiek i daje mu znaki ręką. Raskolnikow skierował się ku niemu przez ulicę, ale człowiek ów nagle odwrócił się i poszedł sobie, jakby nigdy nic; szedł, opuściwszy głowę, nie odwracając się, jakby wcale nie dawał mu znaków. „A może i nie dawał żadnych znaków?” – pomyślał Raskolnikow, ale przyśpieszył kroku, żeby go dogonić. Gdy już był od niego o jakie dziesięć kroków, poznał go i przestraszył się: był to ów mieszczanin, w tej samej kapocie i po dawnemu zgarbiony. Raskolnikow szedł za nim z daleka; serce waliło mu jak młotem. Mieszczanin skręcił w boczną uliczkę i szedł, nie oglądając się. „Czy on wie, że idę za nim?” – pomyślał Raskolnikow. Mieszczanin wszedł do bramy dużej kamienicy. Raskolnikow czym prędzej podbiegł do bramy i patrzył: może się obejrzy i skinie na niego? W rzeczy samej, mieszczanin przeszedł całą bramę, a wychodząc na podwórze, obejrzał się i zdaje się, znowu jakby kiwnął ręką. Raskolnikow natychmiast przeszedł przez bramę, ale na podwórzu mieszczanina nie było. A więc musiał wejść na pierwsze schody. Raskolnikow rzucił się za nim. I rzeczywiście, o dwa piętra wyżej słychać było czyjeś miarowe, powolne kroki. Dziwna rzecz! Schody wydały się Raskolnikowowi znane. Oto okno na parterze: światło księżyca, smutne i tajemnicze, sączyło się przez zakurzone szyby, oto pierwsze piętro... Ach, to przecież to samo mieszkanie, w którym pracowali wówczas robotnicy... Jak to się stało, że od razu go nie poznał. Odgłos kroków człowieka, który szedł przodem, nagle ucichł: „A więc zatrzymał się albo się gdzieś schował”. Drugie piętro: czy iść dalej? Trwożył go odgłos własnych kroków. Mój Boże, jak ciemno!... Mieszczanin na pewno przyczał się tu gdzieś w kącie. O, drzwi mieszkania otwarte są na oścież; zawahał się chwilę i wszedł. W przedpokoju było bardzo ciemno i pusto, ani żywego ducha, jakby wszystko wymarło. Po cichutku, na palcach wszedł do pokoju; cały pokój zalany był jaskrawym światłem księżyca; wszystko tu pozostało po dawnemu: krzesła, lustro, żółta kanapa i obrazy w ramach. Olbrzymi, okrągły, miedzianoczerwony księżyc patrzył prosto w okna. „To od księżyca taka cisza – pomyślał Raskolnikow – na pewno układa teraz jakąś zagadkę”. Stał i czekał, czekał bardzo długo; i im głębsza stawała się cisza księżycowa, tym mocniej waliło mu serce, tak że odczuwał wyraźny ból. Cisza trwała. Nagle rozległ się krótki, suchy trzask, jakby ktoś złamał patyk, i znowu wszystko zamarło. Zbudzona mucha z rozpędu uderzyła o szybę i zabręczczała jękliwie. W tej samej chwili w kącie między szafką a oknem dojrzał jakby salopę wiszącą na ścianie. „Skąd ta salopa – pomyślał – przecież dawniej jej tu nie było”. Podkradł się po cichutku i domyślił się, że za salopą ktoś się ukrył. Ostrożnie uchylił brzeg salopy i zobaczył krzesło; na krześle w kącie siedziała starucha, cała skulona i z opuszczoną głową,

tak że żadną miarą nie mógł zobaczyć jej twarzy; była to jednak ona. Stał nad nią chwilę: „Boi się!” – pomyślał. Po cichutku wyjął z pętli siekiere i uderzył ją w ciemność raz i drugi. Ale rzecz dziwna: nawet się nie poruszyła, jakby była z drewna. Przestraszył się, nachylił się i zaczął się jej przyglądać, ale ona pochyliła głowę jeszcze niżej. Schylił się więc aż do podłogi i z dołu zajrzał jej w twarz; spojrział i zdrętwiał: starucha siedząca na krześle śmiała się, aż trzęsała się od cichego, bezdźwięcznego śmiechu<sup>[92]</sup>, powstrzymując się, żeby jej nie usłyszał. Nagle wydało mu się, że drzwi do pokoju sypialnego uchyliły się nieco i że tam także słychać szepty i śmiech. Opanowała go wściekłość: zaczął bić staruchę na odlew po głowie, lecz po każdym uderzeniu topora szepty i śmiech w sypialni stawały się głośniejsze, a starucha wprost wiła się ze śmiechu. Rzucił się do ucieczki, ale w przedpokoju było pełno ludzi; drzwi wiodące na schody były otwarte na oścież; w sieni i na schodach do samego dołu kłębił się tłum, ciasno zbici ludzie patrzą na niego, ale przyczaili się, czekają i milczą!... Coś ścisnęło go za serce, nie mógł uczynić kroku, nogi jakby wrosły mu w ziemię... Chciał krzyknąć i – obudził się.

Odetchnął ciężko, lecz rzecz dziwna, sen jakby trwał dalej: drzwi jego pokoju były szeroko otwarte, a na progu stał nieznany mężczyzna i przypatrywał mu się uważnie.

Raskolnikow nie zdążył być jeszcze na dobre otworzyć oczu i natychmiast przymknął je z powrotem. Leżał na wznak i nie poruszał się. „Czy to jeszcze sen, czy nie?” – pomyślał i ostrożnie unióś nieco powieki, aby się przekonać. Nieznajomy wciąż stał na tym samym miejscu i przyglądał mu się. Nagle przestąpił próg pokoju, po cichutku przymknął za sobą drzwi, podszedł do stołu, odczekał chwilę, przez cały ten czas nie spuszczał go z oczu, i cicho, bez żadnego odgłosu usiadł na krześle obok kanapy. Kapelusz położył obok na podłodze i ująwszy rękoma laskę, oparł na niej podbródek. Widać było, że gotów jest czekać długo. O ile Raskolnikow mógł zauważyć przez ledwo uniesione powieki, był to człowiek już niemłody, barczysty, o gęstej, jasnej, niemal białej brodzie...

Upłynęło może z dziesięć minut. Zmierzch zapadał, ale było jeszcze widno. W pokoju panowała zupełna cisza. Nawet ze schodów nie dochodził żaden szmer. Tylko brzęczała jakaś wielka mucha, uderzając wciąż o szybę. Wreszcie wszystko to stało się nie do zniesienia. Raskolnikow nagle unióś się i usiadł na pościeli.

– No, słucham, czego pan sobie życzy?

– Wiedziałem, że pan nie śpi, tylko udaje – dziwnie odpowiedział nieznajomy i roześmiał się pogodnie. – Pozwoli pan, że się przedstawię: Arkadiusz Iwanowicz Swidrygajłow.



## Część czwarta

### I

„Czyżbym śnił jeszcze” – pomyślał Raskolnikow. Ostrożnie i nieufnie przypatrywał się nieoczekiwanemu gościowi.

– Swidrygajłow? Nonsens! To niemożliwe! – powiedział wreszcie z wahaniem.

Gość nie zdawał się być zdziwiony tym okrzykiem.

– Dwie przyczyny sprowadzają mnie tutaj. Po pierwsze, zapragnąłem poznać pana osobiście, gdyż dawno już słyszałem o panu rzeczy nader ciekawe i pochlebne. A po wtóre, liczę, że być może zechce mi pan łaskawie pomóc w pewnym zamierzeniu dotyczącym bezpośrednio pańskiej siostry, Awdotii Romanowny. Bez rekomendacji prawdopodobnie nie wpuściłaby mnie teraz nawet na próg wskutek żywionego do mnie uprzedzenia, ale przy pańskiej pomocy liczę...

– To źle pan liczy – przerwał Raskolnikow.

– Przyjechała przecież dopiero wczoraj, jeśli wolno zapytać?

Raskolnikow nie odpowiadał.

– Wczoraj, wiem o tym. Sam przyjechałem dopiero onegdaj. Więc oto co panu powiem w tej materii, Rodionie Romanowiczu. Usprawiedliwianie się uważam za zbędne, ale pozwoli pan, że zapytam, co właściwie w tym wszystkim było z mojej strony takiego wyjątkowo występnego, oczywiście, o ile patrzy się na to bez żadnych tam przesądów, trzeźwo?

Raskolnikow nadal przyglądał mu się w milczeniu.

– To, że we własnym domu nastawałem na bezbronną dziewczynę i „obrażałem ją obleśnymi propozycjami”, czy tak? (Sam uprzedzam pańskie zarzuty). Tak, ale niech pan wyjdzie z założenia, że jestem tylko człowiekiem *et nihil humanum...*<sup>[93]</sup> Jednym słowem i ja mogę ulec pokusie i pokochać (a to oczywiście nie od nas zależy), wtedy wszystko tłumaczy się jak najprościej. Cała kwestia polega na tym, czy jestem oprawcą, czy może ofiarą? A nuż jestem ofiarą? Przecież proponując przedmiotowi mych pragnień ucieczkę do Ameryki lub Szwajcarii, mogłem żywić najszlachetniejsze uczucia i myśleć o stworzeniu obopólnego szczęścia. Wszak rozum jest sługą namiętności; możliwe, iż działałem bardziej na własną zgubę...

– Ale wcale nie o to chodzi – przerwał ze wstrętem Raskolnikow – po prostu jest pan ohydny, czy pan ma rację, czy nie, dlatego też nikt nie chce mieć z panem do czynienia i wyrzucają pana, więc wynoś się pan!

Swidrygajłow nagle roześmiał się głośno.

– Ale pan to też... Pan się nie da okpić! – powiedział, śmiejąc się na całe gardło. – Chciałem pana zablagować, ale mowy nie ma! Od razu trafił pan w sedno!

– Ale pan w dalszym ciągu kręci.

– Więc cóż? Cóż z tego? – powtarzał Swidrygajłow, pękając ze śmiechu –

przecież to *bonne guerre*<sup>[94]</sup>, jak to się mówi, i zupełnie dopuszczalny podstęp!... Ale pan mi przerwał. Tak czy owak twierdzą w dalszym ciągu: nie byłoby żadnych przykrości, gdyby nie historia w ogrodzie. Marfa Pietrowna...

– Podobno ją pan też ładnie urządził! – brutalnie przerwał mu Raskolnikow.

– O tym pan również słyszał? Zresztą, czy można nie słyszeć... W tej kwestii doprawdy nie wiem, co powiedzieć, chociaż sumienie mam najzupełniej spokojne. Tylko niech pan nie myśli, żebym tam znowu miał się czego obawiać: wszystko zostało załatwione w najzupełniejszym porządku i z całą skrupulatnością. Badanie lekarskie stwierdziło atak apopleksji, spowodowany kąpielą po obfitym obiedzie zakropionym prawie całą butelką wina. Bo też nic innego stwierdzić nie mogło... Nie, widzi pan, jakiś czas tak sobie myślałem, zwłaszcza w drodze: czy nie przyczyniłem się do tego całego... nieszczęścia moralnie jakimś tam rozgoryczeniem czy czymś w tym rodzaju? Ale doszedłem do wniosku, że nawet to absolutnie nie miało miejsca.

Raskolnikow roześmiał się.

– Czy to warto było tak się przejmować?

– Z czego pan się śmieje? Niech pan pomyśli: tylko dwa razy uderzyłem szpicrutką, nawet śladów nie było... Niech pan nie uważa mnie za cynika. Dobrze wiem, że z mojej strony to podłość i tak dalej, ale wiem także na pewno, że Marfa Pietrowna była zadowolona z tego mojego, że tak powiem, uniesienia się. Sprawa pańskiej siostry wyczerpała się doszczętnie. Marfa Pietrowna trzeci dzień już była zmuszona do siedzenia w domu, nie miała z czym pokazać się w miasteczku, no i znudziła już wszystkich tym listem. (Pan słyszał o czytaniu listu?). A tu nagle te dwie szpicruty jakby z nieba spadły! Przede wszystkim kazała zaprzęgać do karety... Nie mówię już o tym, że są takie wypadki, kiedy kobieta nadzwyczaj lubi być krzywdzona, chociaż udaje oburzenie. Zresztą każdy miewa takie chwile. Ludzie w ogóle nadzwyczaj lubią grać rolę pokrzywdzonych. Czy pan to zauważył? Ale kobiety przede wszystkim. Można by nawet sądzić, że stanowi to dla nich jedyne miłe spędzanie czasu.

Przez chwilę Raskolnikow miał ochotę wstać, wyjść i w ten sposób zakończyć wizytę. Ale powstrzymała go pewna ciekawość i nawet poniekąd wyrachowanie.

– Lubi pan bić? – zapytał z roztargnieniem.

– Nie, nie bardzo – spokojnie odpowiedział Swidrygajłow. – A z Marfą Pietrowną tośmy się prawie wcale nie bijali. Żyliśmy nader zgodnie i zawsze była ze mnie zadowolona. W ciągu siedmiu lat naszego pożycia tylko dwa razy użyłem bata (nie licząc trzeciego wypadku, dość dwuznacznego zresztą): raz dwa miesiące po naszym ślubie, zaraz po przyjeździe na wieś, i właśnie ostatnim razem. A pan sobie pewno myślał, że ja jestem potworem, wstecznikiem, despotą... Cha, cha... Ale, ale, czy nie przypomina pan sobie, jak to kilka lat temu, jeszcze za czasów błogosławionej wolności słowa, zhańbiono u nas powszechnie i publicznie pewnego szlachcica, nazwiska nie pamiętam! Tego, co to Niemkę przetrzepał w wagonie, pamięta pan? Wtedy



również, w tym samym roku, miał miejsce *Ohydny wybryk „Wieków”*<sup>[95]</sup> (publiczne czytanie *Nocy egipskich*, pamięta pan? Ach, te czarne oczy! O, złote lata minionej młodości!). Więc uważasz pan: nie powiem, abym głęboko współczuł jegomościowi, który przetrzepał Niemkę, bo w gruncie rzeczy nie ma czemu współczuć! Muszę jednak przyznać, że zdarzają się czasami tak prowokacyjne „Niemki”, iż odnoszę wrażenie, że nie ma takiego postępowca, który mógłby za siebie ręczyć. Nikt nie ujmował tej sprawy z tego właśnie punktu widzenia, a tymczasem to właśnie jest, jako żywo, naprawdę humanitarny pogląd.

Wyrzekłszy to, Swidrygajłow znów nagle się roześmiał. Raskolnikow uświadomił sobie, że człowiek ten powziął jakąś stanowczą decyzję i dobrze wie, czego chce.

– Pan chyba już od kilku dni z nikim nie rozmawiał? – zapytał.  
– Zgadł pan. Dziwi pana, że jestem taki układowy?  
– Nie, dziwi mnie, że jest pan zbyt układowy.  
– Czy dlatego, że nie poczułem się dotknięty tonem pańskich pytań? Tak? Ale po co się obrażać? Jak pan pytał, tak odpowiadałem – dodał z zadziwiającą dobroduszością. – Właściwie niczym się specjalnie nie interesuję, słowo daję – ciągnął dalej w zamyśleniu. – Zwłaszcza teraz niczym się nie zajmuję... Zresztą wolno panu myśleć, że mi na panu zależy, tym bardziej że jak wspomniałem, mam interes do pańskiej siostry. Powiem panu szczerze: nudzi mi się! Zwłaszcza w ciągu ostatnich trzech dni, tak że cieszyłem się na myśl o rozmowie z panem... Niech pan się nie gniewa, ale wydaje mi się pan niesłuchanie dziwny. Jak pan sobie chce, ale jest w panu coś niesamowitego, właśnie teraz, to nie znaczy w tej chwili, ale w ogóle teraz... Dobrze, dobrze, już nic nie powiem, niech się pan nie krzywi! Nie jestem takim niedźwiedziem, jak pan sądzi.

Raskolnikow spojrzał na niego ponuro.

– Bardzo być może, że pan wcale nie jest niedźwiedziem – powiedział. – Zdaje mi się nawet, że pan jest człowiekiem z dobrego towarzystwa, a przynajmniej potrafi pan, w razie potrzeby, być porządnym człowiekiem.

– Na niczym zdaniu specjalnie mi nie zależy – oschle i jakby z odcieniem wyniosłości odpowiedział Swidrygajłow – a zresztą dlaczego nie miałbym być draniem od czasu do czasu, skoro te szatki w naszym klimacie są tak wygodne, zwłaszcza jeśli ma się wrodzoną żyłkę do tego – dodał i znowu się roześmiał.

– Słyszałem, że ma pan jednak tutaj wielu znajomych. Jest pan, jak to mówią, „człowiekiem ustosunkowanym”. Więc po cóż byłbym panu potrzebny, gdyby nie miał pan do mnie określonej sprawy?

– Ma pan słuszność, mam sporo znajomych – podchwycił Swidrygajłow, pomijając zadane pytanie. – Spotkałem parę osób, przecież już trzeci dzień się włóczę. I ja poznaję, i mnie, zdaje się, poznają. Naturalnie, jestem przyzwoicie ubrany i uchodzę za człowieka zamożnego. Reforma rolna<sup>[96]</sup> nas nie dotknęła zbyt wiele. Lasy zostały, pastwiska przynoszą dochód. Nie będę odnawiał znajomości, dawno mam tego dosyć. Trzeci dzień jestem

i nigdzie nie bywam... A to miasto! Jakże się ono ukształtowało, niech no pan sam powie? Miasto urzędników i przeróżnych studentów! Naprawdę, nie uderzało mnie to osiem lat temu, kiedy się tu wałęsałem... Teraz liczę tylko na anatomię, słowo daję!

– Na jaką znów anatomię?

– A te wasze kluby, Dussoty<sup>[97]</sup>, zabawy czy ten cały postęp, no nie, obejdzie się tam bez nas – ciągnął dalej, znów nie odpowiadając na pytanie.

– I po cóż tu być szulerem?

– Szulerem pan też był?

– A jakże! Osiem lat temu była nas cała kompania i to jak się patrzy! Wesóło spędzało się czas! A wszystko to ludzie z dobrymi manierami, poeci, kapitaliści. W ogóle, w naszym rosyjskim społeczeństwie, najlepiej wychowani ludzie to ci, którzy bywali bici, czy zwrócił pan na to uwagę? Ja sam zaniedbałem się dopiero na wsi. A swoją drogą wpakował mnie wtedy do więzienia za długi pewien Grek z Nieżyna. Wówczas właśnie napatoczyła się Marfa Pietrowna, wytargowała się i wykupiła mnie za trzydzieści tysięcy srebrników. (Winienem był w sumie siedemdziesiąt tysięcy). Wstąpiłem z nią w legalny związek małżeński i natychmiast wywiozła mnie na wieś niby skarb jaki. Była pięć lat starsza ode mnie. Bardzo mnie kochała. Siedem lat siedziałem na wsi kamieniem. I proszę zauważyć, przez całe życie trzymała wyrok na mnie, wymagalna na cudze nazwisko na te trzydzieści tysięcy. Gdybym tak zechciał sprzeciwić się jej, zaraz by mnie wpakowała! Z pewnością zrobiłaby to. Kobiety umieją wszystko to jakoś pogodzić.

– A gdyby nie wymagalna, zwiąłby pan?

– Czy ja wiem? Nie krępowałem się prawie tym wymagalnym. Nic mnie nie pociągało. Marfa Pietrowna sama dwa razy proponowała mi wyjazd za granicę. Widziała, że się nudzę. Ale co tam! Bywałem za granicą już dawniej i zawsze mi się tam jakoś smętnie robiło. Niby nic specjalnego, wschód słońca, Zatoka Neapolitańska, morze, człowiek patrzy i smutek go ogarnia. Najgorsze jest to, że rzeczywiście do czegoś się tęskni. Nie, w ojczyźnie jest lepiej: tutaj przynajmniej ma się pretensję do innych, a siebie się usprawiedliwia. Pojechałbym teraz z wyprawą na biegun północny, bo *j'ai le vin mauvais*<sup>[98]</sup> i pijaństwo mi obrzydło, a cóż zostało poza tym? Wszystkiego już próbowałem. Podobno w niedzielę, w ogrodzie Jusupowów, Berg<sup>[99]</sup> ma polecieć wielkim balonem. Chce zabrać pasażerów za opłatą. Słyszał pan o tym?

– A pan by z nim poleciał?

– Ja? Tak... nie... – bąkał Swidrygajłow, jakby się rzeczywiście zastanawiał. „Co mu jest właściwie?” – pomyślał Raskolnikow.

– Nie, wymagalna mnie nie krępowała – ciągnął w zamyśleniu Swidrygajłow – nie chciało mi się ruszać ze wsi. Zresztą rok temu Marfa Pietrowna zwróciła mi ten wymagalna na imieniny z porządną sumką w prezencie na dodatek. Miała przecież gotóweczkę. „Widzisz, jakie mam do ciebie zaufanie, Arkadiuszu Iwanowiczu!”. Naprawdę tak powiedziała. Pan nie wierzy, że tak powiedziała? A wie pan: byłem na wsi porządnym gospodarzem, znają mnie w okolicy.

Sprowadzałem książki. Marfie Pietrownie podobało się to z początku, potem nabrała obaw, że będę przemądrzały.

– Mam wrażenie, że pan bardzo tęskni za Marfą Pietrowną.

– Ja? Możliwe. Bardzo możliwe. A właściwie, czy wierzy pan w duchy?

– W jakie duchy?

– Jak to w jakie? W zwyczajne duchy!

– A pan wierzy?

– Przypuśćmy, że nie, *pour vous plaire*<sup>[100]</sup>... A właściwie to niezupełnie nie...

– Czyżby? Ukazują się panu?

Swidrygajłow dziwnie jakoś popatrzył na niego.

– Marfa Pietrowna raczy mnie nawiedzać – powiedział, wykrzywiając usta w dziwnym uśmiechu.

– Co to znaczy: „raczy nawiedzać”?

– Przychodziła już trzy razy. Pierwszy raz zobaczyłem ją w dniu pogrzebu, w godzinę po powrocie z cmentarza. W przeddzień mego wyjazdu stamtąd. Drugi raz – onegdaj, w podróży, o świcie, na stacji Mała Wiszera. A trzeci raz – przed dwiema godzinami w pokoju, w którym mieszkam, byłem w pokoju sam.

– Na jawie?

– Ależ tak. Za każdym razem na jawie. Przyjdzie, chwilę porozmawia i wychodzi drzwiami, zawsze drzwiami. Wydaje mi się nawet, że słyszę, jak wychodzi.

– Dziwne, od razu byłem pewny, że z panem dzieje się coś w tym rodzaju!

– nagle odezwał się Raskolnikow. I zaraz się zdziwił, że to powiedział. Był bardzo zdenerwowany.

– Doprawdy! Pan się domyślał? – zapytał ze zdziwieniem Swidrygajłow. – Czyżby? A nie mówiłem, że mamy z sobą coś wspólnego, prawda?

– Wcale pan tego nie powiedział! – ostro i zapalczywie zaprzeczył Raskolnikow.

– Nie powiedziałem?

– Nie!

– Zdawało mi się, że powiedziałem. Jak wszedłem i zobaczyłem, że leży pan z zamkniętymi oczami i tylko udaje śpiącego, od razu powiedziałem sobie: „To jest właśnie ten!”.

– Co to ma znaczyć: „właśnie ten”? O czym pan mówi? – krzyknął Raskolnikow.

– O czym? Właściwie to nie wiem o czym... – szczerze, jakby zbity z tropu, wybąkał Swidrygajłow.

Chwilę trwało milczenie. Obydwaj bacznie się sobie przyglądali.

– To wszystko bzdury! – powiedział ze złością Raskolnikow. – Co ona panu mówi, kiedy przychodzi?

– Ona niby? Niech pan sobie wyobrazi, że o najgłupszych drobiazgach, i może się pan śmiać ze mnie, ale to właśnie mnie gniewa. Za pierwszym razem weszła (zmęczony byłem, rozumie pan: ceremonia pogrzebowa, msza, stypa, nareszcie zostałem sam w gabinecie, zapaliłem cygaro,

zamyśliłem się), weszła drzwiami. „Arkadiuszu Iwanowiczu, powiada, z tego wszystkiego nie nakręciłeś zegara w jadalni”. Rzeczywiście. W ciągu siedmiu lat co tydzień nakręcałem go sam, a gdy czasem zapomniałem, to zawsze przypominała mi o tym. Następnego dnia jadę tutaj. O świcie przychodzę na stację, noc przedrzemałem, kości mnie łamią, oczy mi się kleją, piję kawę. Patrzę: Marfa Pietrowna siada nagle obok mnie, w ręce ma talię kart. „Może ci powróżyć na drogę?”. Świetnie stawiała karty. Nie daruję sobie, że nie skorzystałem z tej propozycji. Złakłem się, uciekłem, zresztą dzwonek już był. Dzisiaj, po ohydnych obiedzie z garkuchni, z kamieniem wprost w żołądku, siedzę, palę, wtem znowu Marfa Pietrowna. Wchodzi wystrojona, w nowej, jedwabnej zielonej sukni z olbrzymim trenem. „Jak się masz, Arkadiuszu Iwanowiczu! Podoba ci się moja suknia? Aniśka takiej by nie uszyła!” (Aniśka to krawcowa od nas ze wsi, z pańszczyźnianych chłopów, uczyła się w Moskwie, ładna dziewczucha.) Stoi, kryguje się przede mną. Obejrzałem suknię, a potem badawczo, uważnie spojrzełem jej w oczy. „Że też ci się chce fatygować i przychodzić do mnie z takimi głupstwami!”. „Boże święty! Nawet odezwać się do niego nie można!”. Żeby ją podrażnić, powiadam: „Mam zamiar się ożenić”. „Można się wszystkiego po tobie spodziewać. Nie czyni ci to honoru, że ledwie pochowałeś żonę, a już się za inną rozglądasz. I żebyś przynajmniej dobrze wybrał. Znam cię przecież: ani tobie, ani jej nie wyjdzie to na dobre, tylko diabłu na pociechę”. Zabrała się i poszła, tylko tren za nią jakby zaszleścił. Bzdury, co?

– A może pan po prostu kłamie? – odezwał się Raskolnikow.

– Ja rzadko kłamię – odparł Swidrygajłow w zamyśleniu, jak gdyby nie zauważył brutalności pytania.

– Czy poprzednio, przedtem, nigdy pan nie widywał duchów?

– No... nie, widziałem raz w życiu, sześć lat temu. Miałem na wsi służącego Filkę. Tylko co go pochowali, zawołałem, zapominając o tym: „Filka, fajkę!”. Wszedł i idzie wprost do serwantki, w której leżały fajki. Siedzę i myślę: „Chce się zemścić na mnie”, bo przed samą śmiercią porządnie go zwymyślałem. „Jak śmiesz – powiadam – przychodzić do mnie z taką dziurą na łokciu! Wynoś się, durniu jeden!”. Odwrócił się, wyszedł i więcej się nie zjawił. Marfie Pietrownie nic o tym nie wspominałem. Chciałem początkowo dać na mszę za jego duszę, ale jakoś wstyd mi było.

– Niech pan idzie do doktora.

– Sam dobrze wiem, że coś mi dolega, ale doprawdy nie wiem co. A właściwie jestem pięć razy zdrowszy od pana. Nie pytałem pana, czy pan wierzy w ukazywanie się duchów, czy nie. Pytałem, czy pan wierzy, że duchy istnieją.

– Nie, nigdy nie uwierzę! – z pasją już krzyknął Raskolnikow.

– Jak się to zwykle mówi? – bąkał Swidrygajłow jakby do siebie, patrząc w bok z pochyloną głową. – Mówią: „Jesteś chory, więc masz jakieś przywidzenia, to wszystko tylko majaczenie”. Brak tu ścisłej logiki. Zgadzam się, że duchy zjawiają się tylko chorym, ale to dowodzi jedynie tego, że mogą się zjawiać wyłącznie chorym, a nie tego, że nie istnieją.

– Ależ nie istnieją! – odparł z rozdrażnieniem Raskolnikow.

– Nie? Tak pan sądzi? – ciągnął, spoglądając na niego Swidrygajłow. – A jeżeli spróbujemy rozumować tak (proszę mi pomóc): „Duchy są, że tak powiem, częstkami, strzępami innych światów, niejako wstępem do nich. Człowiek zdrowy nie może ich dojrzeć, bo człowiek zdrowy jest najbardziej przyziemnym człowiekiem, a zatem powinien żyć wyłącznie życiem doczesnym. Ale kiedy zachoruje, gdy w jego organizmie zostaje naruszony normalny porządek doczesny, wtedy zaczyna się ujawniać możliwość istnienia innego świata. W miarę postępu choroby styczność z tym innym światem wzrasta, tak że w chwili śmierci człowiek po prostu przechodzi sobie od razu do tamtego świata”. Jeśli wierzy pan w życie pozagrobowe, to powinien się pan zgodzić z moim rozumowaniem.

– Nie wierzę w życie pozagrobowe – odparł Raskolnikow.

Swidrygajłow siedział zamyślony.

– A nuż są tam tylko pająki lub coś w tym rodzaju – powiedział całkiem niespodzianie.

„Wariat!” – pomyślał Raskolnikow.

– Wieczność jest dla nas pojęciem, którego nie można określić, czymś potężnym, wielkim. Dlaczego właściwie wielkim? A nuż zamiast tego wszystkiego, niech pan sobie to wyobrazi, jest tylko jedna izba, coś w rodzaju łaźni wiejskiej, zakopcona, z pajakami we wszystkich kątach, a nuż to właśnie jest wieczność. Wie pan, czasem wydaje mi się, że tak właśnie jest naprawdę.

– I naprawdę, naprawdę nie wyobraża pan sobie czegoś bardziej wzniosłego, sprawiedliwego?! – zawołał Raskolnikow ze ściśniętym sercem.

– Bardziej sprawiedliwego? A kto wie, może tak właśnie jest sprawiedliwie. Wie pan, ja bym tak naumyślnie urządził – odpowiedział Swidrygajłow, uśmiechając się dziwnie.

Raskolnikowa przeszedł nagły dreszcz, gdy usłyszał tę potworną odpowiedź. Swidrygajłow podniósł głowę, spojrział na niego badawczo i nagle się roześmiał.

– Niech no pan tylko nad jednym się zastanowi – zawołał – przed pół godziną nie znaliśmy się, uważamy się za wrogów, mamy pewną nie załatwioną sprawę, ale o sprawie ani dudu, tylko wjechaliśmy na literaturę i to jaką! Czy nie miałem racji, żeśmy się dobrali jak w korcu maku?

– Bardzo pana przepraszam – rzekł z rozdrażnieniem Raskolnikow – ale może pan zechce łaskawie wyjaśnić mi nareszcie, dlaczego właściwie zaszczycony zostałem jego odwiedzinami, bo... bo... spieszę się, nie mam czasu, muszę wyjść z domu...

– Proszę bardzo, bardzo proszę. Siostra pana, Awdotia Romanowna, wychodzi za mąż za pana Łużyna, Piotra Pietrowicza Łużyna.

– Czy nie można by dać spokoju mojej siostrze i nie wymawiać nawet jej imienia! O ile pan rzeczywiście jest Swidrygajłowem, to po prostu nie rozumiem, jak pan śmie rozmawiać ze mną o niej.

– Właśnie o niej przyszedłem z panem pomówić, nie mogę więc nie wymawiać jej imienia.

– Więc dobrze, proszę mówić, byle prędzej!

– Przekonany jestem, że jeśli pan choć pół godziny rozmawiał z Łużynem lub ma o nim ściśle informacje, to wyrobił pan już sobie o nim właściwe zdanie. To daleki krewny mojej żony. To nie jest mąż dla Awdotii Romanowny. Jestem zdania, że Awdotia Romanowna poświęca się szlachetnie i nierozważnie dla... dla swojej rodziny. Zdawało mi się na podstawie tego, co o panu słyszałem, że byłby pan zadowolony, gdyby to małżeństwo nie doszło do skutku bez uszczerbku dla interesów. Dziś, po poznaniu pana osobiście, jestem tego pewny.

– Bardzo pan jest naiwny, przepraszam, chciałem powiedzieć bezczelny – rzekł Raskolnikow.

– Chce pan powiedzieć, że mam na widoku własny interes. Może pan być spokojny, gdyby mi szło o siebie, nie byłbym tak otwarty, zupełnie głupi nie jestem. Przy sposobności zwierzę się panu z pewnej psychologicznej osobliwości. Przed chwilą, usprawiedliwiając swoją miłość do Awdotii Romanowny, twierdziłem, że jestem ofiarą. Wiedz pan zatem, że nie mam żadnego dla niej uczucia, żadnego. Sam się temu dziwię, bo przecież naprawdę czułem coś do niej...

– Z próżniactwa i rozpusty – przerwał mu Raskolnikow.

– W istocie jestem próżniakiem i rozpustnikiem. Zresztą pańska siostra ma tyle zalet, że i ja nie mogłem pozostać obojętny. Ale to wszystko głupstwo, jak się zresztą sam przekonałem.

– Dawno się pan o tym przekonał?

– Zauważyłem to już przedtem, ostatecznie przekonałem się trzy dni temu, prawie w chwili przyjazdu do Petersburga. W Moskwie przekonany byłem, że jadę ubiegać się o rękę Awdotii Romanowny i rywalizować z panem Łużynem.

– Przepraszam, że przerwę. A czy byłby pan tak uprzejmy i zechciał się streszczać? Pomówmy wprost o celu pańskiej wizyty. Bardzo się spieszę, muszę wyjść z domu...

– Z największą przyjemnością. Kiedy przyjechałem tu i postanowiłem przedsięwziąć... wojaż, zapragnąłem poczynić przedtem pewne nieodzowne rozporządzenia. Dzieci moje mieszkają u ciotki, są bogate, osobiście nie jestem im potrzebny. A zresztą jaki tam ze mnie ojciec! Dla siebie wziąłem tylko to, co mi rok temu ofiarowała Marfa Pietrowna. To mi wystarczy. Przepraszam, zaraz przystępuję do sedna sprawy. Chciałbym przed wojażem, który może dojdzie do skutku, zakończyć porachunki z panem Łużynem. Nie mogę powiedzieć, żebym go tak bardzo nie znosił, ale właściwie to on był przyczyną mojej kłótni z Marfą Pietrowną, kiedy dowiedziałem się, że ona kleciła to małżeństwo. Chciałbym teraz przy pańskiej pomocy i w pańskiej zresztą obecności zobaczyć się z Awdotią Romanowną i wytłumaczyć jej, po pierwsze, że z Łużyna nie będzie miała żadnego pożytku, lecz przeciwnie, na pewno będzie stratna. Następnie, poprosiwszy ją o przebaczenie za niedawne przykrości, ośmieliłbym się zaproponować jej dziesięć tysięcy rubli, aby tym sposobem ułatwić zerwanie z panem Łużynem. Zerwanie, którego – pewny jestem – sama pragnęłaby, gdyby widziała taką możliwość.

– Ależ pan jest naprawdę obłąkany! – krzyknął Raskolnikow nie tyle zły, ile



zdumiony. – Jak pan śmie mówić takie rzeczy!

– Byłem pewien, że pan się oburzy. Ale po pierwsze, chociaż nie jestem bogaty, nie zależy mi na tych dziesięciu tysiącach. Są mi zupełnie niepotrzebne. Jeśli Awdotia Romanowna nie przyjmie ich, to prawdopodobnie zużytkuję je w sposób znacznie głupszy. To jedno. Po wtóre, mam zupełnie czyste sumienie. Nie mam w tym żadnego wyrachowania. Może mi pan wierzyć lub nie wierzyć, ale w przyszłości przekona się o tym pan i Awdotia Romanowna. Chodzi o to, że rzeczywiście sprawiłem pańskiej wielce szanownej siostrze sporo kłopotów i przykrości; ponieważ szczerze tego żałuję, więc bardzo pragnę nie wykupić się pieniędzmi czy zapłacić za przykrości, lecz po prostu zrobić dla niej coś dobrego, wychodząc z założenia, że nie mam przecież przywileju na wyrządzanie jedynie krzywd. Nie występowałbym z moją propozycją tak otwarcie, gdyby kryła się w niej choćby milionowa część wyrachowania. Nie proponowałbym zresztą zaledwie dziesięciu tysięcy rubli, podczas gdy pięć tygodni temu proponowałem znacznie więcej. Poza tym bardzo możliwe, że wkrótce się ożenię, a tym samym wszystkie podejrzenia co do mych zakusów względem Awdotii Romanowny muszą upaść. W końcu zaznaczam, że Awdotia Romanowna, wychodząc za mąż za Łużyna, otrzymuje te same pieniądze tylko z innej ręki... Niech się pan nie irytuje, lecz zastanowi nad tym poważnie i spokojnie.

Swidrygajłow, mówiąc to, był niezwykle rzeczowy i opanowany.

– Proszę, niech pan już skończy – odezwał się Raskolnikow. – W każdym bądź razie jest to niedopuszczalne zuchwalstwo.

– Bynajmniej. Wygląda na to, że na tym świecie wolno tylko krzywdzić swych bliźnich, i przeciwnie: zakazuje się wyświadczenia choćby odrobiny dobra ze względu na głupie formy. To nonsens. Gdybym na przykład umarł i zapisał w testamencie ten kapitał pańskiej siostrze, czy i wtedy odmówiłaby przyjęcia?

– Bardzo być może.

– No, co to, to nie. Zresztą jak nie, to nie, niech i tak będzie. A jednak dziesięć tysięcy to wspaniała rzecz w razie potrzeby. W każdym bądź razie proszę o powtórzenie tego Awdotii Romanownie.

– Nie, nie powtórzę.

– Wobec tego będę musiał starać się sam osobiście pomówić z Awdotią Romanowną i co za tym idzie, niepokoić ją.

– A gdybym spełnił pańską prośbę, to nie będzie się pan starał o spotkanie z nią?

– Sam nie wiem, co panu odpowiedzieć. Chciałbym chociaż raz się z nią zobaczyć.

– Na to niech pan nie liczy.

– Szkoda. Zresztą pan mnie nie zna, może się jeszcze zbliżymy.

– Sądzi pan, że się zbliżymy?

– Czemu nie? – uśmiechając się, powiedział Swidrygajłow. Wstał i wziął kapelusz. – Nie powiem, żebym specjalnie miał ochotę pana trudzić, i nie liczyłem na to, idąc tutaj. Co prawda fizjonomia pańska uderzyła mnie



jeszcze wczoraj rano...

– A gdzie pan mnie widział wczoraj rano? – zapytał Raskolnikow z niepokojem.

– O, przypadkiem... Ciągle mi się zdaje, że w panu jest coś podobnego do mnie... Niech pan się nie obawia, nie jestem natarczywy: z szulerami żyłem w zgodzie, nie naprzykrzałem się księciu Swirbejowi, memu dalekiemu krewnemu i magnatowi, umiałem napisać w albumie pani Pryłukowej o madonnie Rafaela<sup>[101]</sup>, z Marfą Pietrowną siedem lat kamieniem siedziałem, w domu Wiaziemskiego na placu Siennym przed laty nocowałem, a może i z Bergiem polecę balonem.

– No dobrze. A czy wolno zapytać, kiedy wybiera się pan w podróż?

– W jaką podróż?

– W ten „wojaż” przecież... Sam pan o tym mówił.

– W wojaż? Ach, tak, rzeczywiście mówiłem panu o wojażu... No, to jest poważna sprawa... Gdyby pan wiedział, o co pan właściwie pyta! – dodał, roześmiewszy się nagle głośno i urywanie. – Możliwe, że zamiast wojażować, ożenię się, swatają mi pannę.

– Tutaj?

– Tak.

– Kiedy pan zdążył?

– Lecz bardzo pragnąłbym raz jeden ujrzeć Awdotię Romanownę. Poważnie o to proszę. No, do widzenia... Byłbym zapomniał! Niech pan powie siostrze, że Marfa Pietrowna zapisała jej trzy tysiące. To fakt. Miało to miejsce na tydzień przed śmiercią, w mojej obecności. Za dwa lub trzy tygodnie Awdotia Romanowna będzie mogła podjąć te pieniądze.

– Mówi pan prawdę?

– Tak. Niech pan to powtórzy. Moje uszanowanie. Mieszkam bardzo blisko od pana.

Wychodząc, Swidrygajłow zderzył się w drzwiach z Razumichinem.

Dochodziła ósma. Szli pośpiesznie do Bakalejewa, żeby przyjść przed łożynem.

– Kto to był? – zapytał Razumichin, gdy tylko znaleźli się na ulicy.

– Swidrygajłow. Ten ziemianin, który skrzywdził moją siostrę, kiedy była u nich guwernantką. Prześladował ją miłosnymi wyznaniem. Na skutek jego zalotów opuściła ich dom, wypędzona przez jego żonę, Marfę Pietrowną. W następstwie owa Marfa Pietrowna prosiła Dunię o przebaczenie, obecnie zaś zmarła nagle. To o niej była mowa wczoraj. Nie wiem, dlaczego lękam się bardzo tego człowieka. Przyjechał natychmiast po pogrzebie żony. Dziwnie się zachowuje i jest na coś zdecydowany... Należy strzec Dunię przed nim... To właśnie chciałem ci powiedzieć, słyszysz?

– Strzec? Cóż on może jej zrobić? Dziękuję ci, że zwracasz się z tym do mnie... Będziemy jej pilnowali, będziemy!... Gdzie on mieszka?

– Nie wiem.

– Dlaczego nie zapytałeś? Szkoda! Zresztą dowiem się.

– Widziałeś go? – zapytał Raskolnikow po chwili milczenia.

– Tak widziałem, dobrze widziałem.

– Przyjrzałeś mu się? Przyjrzałeś mu się dokładnie? – nalegał Raskolnikow.

– Tak, zapamiętałem go. W tłumie bym go rozpoznał. Mam pamięć do twarzy.

Zamilkli znowu.

– Hm, bo widzisz – mruknął Raskolnikow – myślę... zdawało mi się... ciągle mi się wydaje, że to może tylko złudzenie.

– O czym ty mówisz, nie rozumiem?

– Wszyscy mówicie – ciągnął Raskolnikow z wymuszonym uśmiechem – że jestem obłąkany. Zdawało mi się teraz, że może naprawdę jestem obłąkany i widziałem widmo!

– Co znowu?

– Zresztą, kto wie! Może w istocie jestem obłąkany i wszystko, co przeżyłem w ciągu ostatnich dni, było tylko grą wyobraźni...

– Ach, Rodia, znów cię zdenerwowano!... Co on mówił, po co przyszedł?

Raskolnikow nie odpowiedział. Razumichin zamyślił się przez chwilę.

– Wysłuchaj mojej relacji – zaczął. – Byłem u ciebie, spałeś, zjadłem obiad i poszedłem do Porfirego. Zamietow przesiaduje u niego. Chciałem zacząć, ale mi się nie udało. Nie mogłem postawić kwestii, jak należało. Oni, zdaje się, nie rozumieją i nie mogą zrozumieć, ale wcale się tym nie detonują. Podszedłem z Porfiryem do okna, zacząłem mówić, ale znów z tego nic nie wyszło: on spogląda w bok, ja spoglądam w bok. W końcu podsunąłem mu pięść pod nos i powiedziałem, że mu łeb rozwalę po familijnemu. Tylko spojrział na mnie. Splunąłem i wyszedłem, to wszystko. Bardzo głupio. Do Zamietowa się nie odezwałem. Zrozum: myślałem, że coś zepsułem, ale potem, kiedy schodziłem ze schodów, przyszła mi wspaniała myśl do głowy, olśniła mnie wprost: o co się właściwie kłopotczemy? Gdyby ci groziło niebezpieczeństwo czy coś podobnego, to co innego. Ale tak! Nie masz z tym

nic wspólnego, więc gwizdź na wszystko. Będziemy sobie drwili z nich później. Na twoim miejscu zacząłbym im mistyfikować<sup>[102]</sup>. Dopiero potem najedzą się wstydu! Pluć na to, potem można będzie ich nawet wyłoić, tymczasem zaś możemy się śmiać!

– Oczywiście – odpowiedział Raskolnikow. „Ciekawy jestem, co powiesz jutro”. – Rzecz dziwna, ani razu nie przyszło mu na myśl, „co pomyśli Razumichin, kiedy się dowie”. Myśląc o tym, Raskolnikow patrzył na niego badawczo. Relacja Razumichina o jego bytności u Porfirego nie zainteresowała go zbytnio: tak wiele się już zmieniło!...

W korytarzu spotkali Łużyna: przyszedł punktualnie o ósmej i właśnie szukał numeru pokoju, więc weszli wszyscy razem, nie patrząc jednak na siebie i nie witając się. Młodzi ludzie poszli naprzód. Łużyn zaś, dla przyzwoitości, zatrzymał się chwilę w przedpokoju, zdejmując płaszcz. Pulcheria Aleksandrowna wstała, by go powitać w progu. Dunia witała się z bratem.

Łużyn wszedł do pokoju i dosyć grzecznie, chociaż ze zdwojoną godnością, skłonił się paniom. Robił wrażenie człowieka stropionego, który nie zdołał się jeszcze opanować. Pulcheria Aleksandrowna, również nieco zażenowana, pospiesznie usadowiła wszystkich wokół okrągłego stołu, na którym szumiął już samowar. Dunia i Łużyn usiedli naprzeciwko siebie po dwóch stronach stołu. Razumichin i Raskolnikow siedzieli na wprost Pulcherii Aleksandrowny: Razumichin obok Łużyna, a Raskolnikow przy siostrze.

Zaległa cisza. Łużyn wyjął powoli chusteczkę, od której wionął zapach perfum. Wytarł nos z miną człowieka wspaniałomyślnego, lecz dotkniętego w swej godności, który postanowił zażądać wyjaśnień. Jeszcze w przedpokoju miał zamiar wyjść, nie zdejmując płaszcza, by w ten sposób ostro, a dotkliwie ukarać obie panie, dając im od razu wszystko do zrozumienia. Nie zdecydował się jednak. Przy tym w ogóle lękał się niepewności. W danym wypadku zaś należało wyjaśnić, z jakiej właściwie przyczyny nie usłuchano jego rozkazu. Widać coś tu jest na rzeczy, a więc lepiej to wyjaśnić. Na ukaranie zawsze będzie czas; i tak przecież ma je w ręku.

– Mam nadzieję, że miały panie dobrą podróż? – oficjalnie zwrócił się do Pulcherii Aleksandrowny.

– Bogu dzięki.

– Jest mi nader miło. A Awdotia Romanowna, czy nie jest zmęczona?

– Jestem młoda i zdrowa. Nie męczę się, ale mama źle znosiła drogę – odpowiedziała Dunieczka.

– Cóż robić! Nasze ojczyście szlaki są nader długie. Nasza kochana Rosja to rozległy kraj... Mimo najszczerzych chęci nie mogłem pospieszyć paniom na spotkanie. Mam jednak nadzieję, że specjalnych kłopotów panie nie miały?

– O, nie! Byłyśmy ogromnie skonfundowane – znacząco podkreśliła Pulcheria Aleksandrowna – i gdyby nam Bóg nie zesłał pana Razumichina, nie dałybyśmy sobie rady. Oto właśnie on, Dymitr Prokofjicz Razumichin – dodała, przedstawiając go Łużynowi.

– A jakże, już miałem przyjemność... wczoraj – mruknął Łużyn,

popatrzywszy wrogo na Razumichina, po czym zasepił się i zamilkł. Łużyn w ogóle należał do rzędu ludzi sprawiających wrażenie nadzwyczaj uprzejmych w towarzystwie i mających specjalne pretensje do uprzejmości, którzy jednak, jeśli coś dzieje się nie po ich myśli, natychmiast tracą kontenans i przypominają raczej nieruchawe wory z mąką niżli obytych kawalerów mogących rozruszać towarzystwo.

Znowu wszyscy zamilkli: Raskolnikow milczał uparcie, Awdotia Romanowna nie chciała do czasu przerywać milczenia, Razumichin nie miał nic do powiedzenia, wobec czego Pulcheria Aleksandrowna znowu się zaniepokoiła.

– Czy słyszał pan, że Marfa Pietrowna umarła? – zaczęła, uciekając się do swego dyżurnego tematu.

– A jakże, słyszałem, słyszałem. Od razu mnie zawiadomiono. A nawet przyjechałem, aby zawiadomić panie, że Arkadiusz Iwanowicz Swidrygajłow natychmiast po pogrzebie żony wyjechał do Petersburga. Tak przynajmniej słyszałem.

– Do Petersburga? Tutaj? – z lękiem zapytała Dunieczka i zamieniła spojrzenie z matką.

– Istotnie. I oczywiście nie bez celu, zważywszy na nagłość wyjazdu i w ogóle poprzedzające go wypadki.

– Boże drogi, czy i tu nie zostawi Duni w spokoju! – jęknęła Pulcheria Aleksandrowna.

– Zdaje mi się, że specjalnie nie ma powodów do obawy ani pani, ani Awdotia Romanowna. Naturalnie, o ile panie same nie zechcą nawiązać z nim jakichkolwiek stosunków. Co do mnie, to czuwam i teraz właśnie staram się dowiedzieć, gdzie on mieszka...

– Nie uwierzy pan, jak mnie pan przeraził – mówiła dalej Pulcheria Aleksandrowna – widziałam go tylko dwa razy i wydał mi się potworny, potworny. Jestem pewna, że był przyczyną śmierci nieboszczki Marfy Pietrowny.

– Co do tego nie ma pewności. Mam ściśle informacje. Nie będę się spierał. Być może przyczynił się do przyspieszenia biegu rzeczy przez moralny wpływ zniewagi, że tak powiem. Natomiast zgadzam się zupełnie co do oceny zachowania się i moralnej charakterystyki tego człowieka. Nie wiem, czy teraz ma pieniądze i co właściwie odziedziczył po żonie. Będę miał dane w tej sprawie w najbliższym czasie. Lecz bezwzględnie tu, w Petersburgu, posiadając bodaj najmniejszy zasób pieniędzy, wróci do dawnego trybu życia. Jest najrozpuśtniejszy i najbardziej upadły ze wszystkich ludzi tego pokroju. Mam wszelkie dane, by sądzić, że Marfa Pietrowna, która na swoje nieszczęście osiem lat temu pokochała go tak bardzo, iż wykupiła go z więzienia za długi, oddała mu jeszcze jedną przysługę: jedynie dzięki jej staraniom i ofiarom stłumiono w zarodku karną sprawę o zwierzęce, a nawet fantastyczne morderstwo, za które z wszelką pewnością przespacerowałby się na Syberię. Taki to jest człowiek, jeśli chcecie wiedzieć!

– Boże drogi! – jęknęła Pulcheria Aleksandrowna. Raskolnikow słuchał uważnie.

– Czy rzeczywiście ma pan co do tego wszystkiego ściśle informacje? –

zapytała Dunia surowo i poważnie.

– Powtarzam tylko to, z czego mi się zwierzyła w sekrecie nieboszczka Marfa Pietrowna. Należy zaznaczyć, że z prawnego punktu widzenia sprawa jest bardzo niejasna. W Petersburgu mieszkała, a może i dotychczas mieszka niejaka Ressler, cudzoziemka i poza tym drobna lichwiarka, trudniąca się jeszcze innymi sprawami. Z ową Ressler łączyły pana Swidrygajłowa od dawna nader bliskie i tajemnicze stosunki. Mieszkała u niej daleka krewna, zdaje się siostrzenica, głuchoniema dziewczyna piętnasto- czy nawet czternastoletnia, której owa Ressler bezgranicznie nienawidziła, wymawiała jej każdy kęs, a nawet nieludzko biła. Znaleziono ją powieszoną na strychu. Uznano, że było to samobójstwo. Po zwykłej procedurze na tym sprawę zakończono. Dopiero później wpłynęło doniesienie, że dziecko... okrutnie skrzywdził Swidrygajłowa. Co prawda, wszystko to było mętne. Doniesienie pochodziło od innej Niemki, wściekłej baby, niecieszącej się zaufaniem. W rezultacie, dzięki staraniom i pieniądzom Marfy Pietrowny, doniesienie właściwie nie wpłynęło. Krążyły tylko plotki. Jednakże same te plotki są wielce znamienne. Pani, Awdotio Romanowno, na pewno słyszała u nich historię o parobku Filce, który sześć lat temu, jeszcze za pańszczyzny, zmarł skutkiem znęcania się nad nim.

– Przeciwnie. Słyszałam, że ten Filka sam się powiesił.

– Tak jest. Ale zmusił go albo raczej doprowadził do gwałtownej śmierci system prześladowań i znęcania się pana Swidrygajłowa.

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziała oschle Dunia. – Słyszałam tylko niezwykle dziwną historię o tym Filce, który miał być podobno hipochondrykiem, domorosłym filozofem; ludzie mówili, że „się zaczytał”, a przyczyną samobójstwa były raczej drwiny niż razy pana Swidrygajłowa. Zauważyłam, że Swidrygajłowa dobrze obchodził się ze służbą i ludzie go nawet lubili, aczkolwiek rzeczywiście przypisywano mu śmierć Filki.

– Jak widzę, pani skłania się do usprawiedliwienia go – zauważył Łużyn, krzywiąc się w dwuznacznym uśmiechu. – Rzeczywiście, to człowiek sprytny i umie starać się o względy dam, czego opłakany przykładem jest tak zagadkowa śmierć Marfy Pietrowny. Chciałbym tylko służyć pani i jej mamusi radą, a to ze względu na to, że niewątpliwie należy się spodziewać jakichś kroków z jego strony. Co do mnie, to jestem przekonany, że osobnik ten bez wątplenia ugrzęźnie na nowo w więzieniu za długi. Jego żona w żadnym razie nie miała zamiaru, ze względu na dzieci, zabezpieczyć go, a gdyby nawet mu coś zostawiła, to chyba tylko na pierwsze potrzeby, coś niewielkiego, efemerycznego, co nawet na rok nie starczy człowiekowi z jego narowami.

– Proszę pana – powiedziała Dunia – bardzo proszę, dajmy spokój panu Swidrygajłowowi. To mnie nuży.

– Właśnie przed chwilą był u mnie – powiedział nagle Raskolnikow, odzywając się po raz pierwszy.

Ze wszystkich stron rozległy się okrzyki, wszyscy zwrócili się do niego, nawet Łużyn był poruszony.

– Półtorej godziny temu, kiedy spałem, wszedł, obudził mnie i przedstawił

się – ciągnął dalej Raskolnikow – był dosyć swobodny, wesoły i jest przekonany, że dojdzie ze mną do porozumienia. Między innymi bardzo pragnie zobaczyć się z tobą, Duniu, i szuka ku temu sposobności. Mnie zaś prosił o pośrednictwo. Ma dla ciebie propozycję, powiedział mi nawet jaką. Poza tym kategorycznie oświadczył, że Marfa Pietrowna na tydzień przed śmiercią w testamencie zapisała ci trzy tysiące rubli, które możesz odebrać w najbliższym czasie.

– Bogu niech będą dzięki! – zawołała Pulcheria Aleksandrowna i przeżegnała się. – Módl się za nią, Duniu, módl się.

– Rzeczywiście, to prawda – wyrwało się Łużynowi.

– Co dalej, co dalej? – niecierpliwiła się Dunia.

– Potem powiedział, że sam nie jest bogaty, że cały majątek przechodzi na dzieci, które są teraz u ciotki. Wreszcie, że zamieszkał niedaleko ode mnie, gdzie mianowicie, nie pytałem...

– Ale co, co on chce zaproponować Duni? – zapytała przerażona Pulcheria Aleksandrowna. – Czy ci powiedział?

– Tak, powiedział.

– Więc co?

– Powiem później.

Raskolnikow umilkł i zabrał się do herbaty.

Łużyn spojrzał na zegarek.

– Mam coś pilnego do załatwienia, więc nie będę przeszkadzał – dodał z nieco obrażoną miną i zaczął zbierać się do wyjścia.

– Niech pan nie odchodzi – powiedziała Dunia – przecież zamierzał pan spędzić z nami wieczór. Poza tym pisał pan, że chce się pan porozumieć z mamą.

– Tak jest – wyrzekł znacząco Łużyn, siadając, ale nie wypuszczając kapelusza z ręki. – Rzeczywiście miałem zamiar pomówić z panią i z jej wielce szanowną mamusią o sprawach nader ważnych. Ale podobnie jak brat pani nie może przy mnie wyjawiać pewnych propozycji pana Swidrygajłowa, ja również nie chcę i nie mogę wyjawiać... wobec osób trzecich... pewnych rzeczy nader, ale to nader ważnej treści. Przy tym zasadnicza i gorąca prośba moja nie została spełniona...

Łużyn zrobił rozgoryczoną minę i pompatycznie umilkł.

– To ja nalegałam, żeby brat był przy naszym spotkaniu wbrew pańskiej prośbie – powiedziała Dunia. – Pisał pan, że brat obraził pana, sądzą, że należy to natychmiast wyjaśnić i musicie się pogodzić. Jeżeli Rodia rzeczywiście pana obraził, to powinien przeprosić i przeprosi pana.

To dodało Łużynowi pewności siebie.

– Są pewne obelgi, o których przy najlepszych chęciach nie można zapomnieć. Istnieje granica, którą niebezpiecznie jest przekraczać, albowiem gdy się ją przekroczy, odwrót staje się niemożliwy.

– Ależ ja nie o tym mówiłam – przerwała mu z lekkim zniecierpliwieniem Dunia – niech pan zrozumie, że cała nasza przyszłość zależy od tego, czy się jak najprędzej to wszystko wyjaśni i ułoży, czy nie. Na początku też zaznaczam, że nie zmienię zdania, i o ile panu choć trochę na mnie zależy,

to nawet z trudem, ale musi pan tę sprawę dziś zakończyć. Powtarzam, o ile mój brat zawinił, to przeprosi.

– Dziwię się, że pani tak stawia kwestię – coraz bardziej niecierpliwił się Łużyn – ceniąc i, że tak powiem, wielbiąc panią, mogę nader, ale to nader nie lubić kogoś z rodziny. Pretendując do szczęścia posiadania pani ręki, nie mogę jednocześnie przyjmować na siebie obowiązków niezgodnych...

– Niech pan nie będzie taki przeczulony – z przejęciem przerwała mu Dunia. – Niech pan pozostanie tym mądrym i szlachetnym człowiekiem, za jakiego pana uważałam i pragnę uważać. Dałam panu wielką obietnicę, jestem pańską narzeczoną, niech mi pan zaufa i niech mi pan wierzy, że potrafię bezstronnie rozstrzygnąć tę sprawę. To, że biorę na siebie rolę sędziego, jest taką samą niespodzianką dla mego brata, jak i dla pana. Prosząc go po otrzymaniu pańskiego listu, aby koniecznie przyszedł, nie mówiłam mu o swych zamiarach. Niech pan zrozumie, że jeżeli się nie pogodzicie, będę przecież musiała wybierać między wami: albo pan, albo on. Tak została postawiona kwestia przez was obu. Nie chcę i nie wolno mi pomylić się w wyborze, dla pana muszę zerwać z bratem, dla brata muszę zerwać z panem. Chcę i mogę przekonać się teraz na pewno, czy on jest mi bratem. A co do pana: czy zależy panu na mnie, czy pan mnie kocha, czy może pan być moim mężem?

– Awdotio Romanowno – zasepiwszy się, powiedział Łużyn – pani słowa są zbyt ważne dla mnie, powiem więcej: nawet obraźliwe z uwagi na stanowisko, jakie mam honor w stosunku do pani zajmować. Pomijając nawet zgoła obraźliwy i dziwaczny sposób stawiania mnie na jednym poziomie z... porywczym młodzieńcem, słowa pani pozwalają wnosić o możliwości złamania danego mi przyrzeczenia. Mówi pani: „pan albo on”. Tym samym daje mi pani do zrozumienia, jak mało dla niej znaczę... Nie mogę pozwolić na to wobec stosunków i... zobowiązań istniejących między nami.

– Jak to! – wybuchnęła Dunia. – Ja stawiam pański interes na równi z tym wszystkim, co było mi dotychczas w życiu najdroższe, z tym, co stanowiło dotychczas całe moje życie, a pan się obraża, że go zbyt mało cenię!

Raskolnikow milczał, uśmiechając się zjadliwie, Razumichin aż się wzdrygnął, Łużyn jednak, nie bacząc na słowa Duni, stawał się coraz bardziej przykry i napastliwy, jakby się tym delectował.

– Miłość ku przyszłemu towarzyszowi życia, mężowi, powinna przewyższać miłość do brata – powiedział sentencjonalnie – a w żadnym razie nie mogę być stawiany na jednym poziomie... Chociaż utrzymywałem poprzednio, że w obecności brata pani nie chcę i nie mogę wyjaśniać sprawy, w jakiej przyszedłem, niemniej jednak zdecydowałem się teraz zwrócić się do wielce szanownej mamusi pani w celu wyświetlenia pewnej zasadniczej, a nader przykrej dla mnie sprawy. Syn pani – zwrócił się do Pulcherii Aleksandrowny – wczoraj w obecności pana Rassudkina czy też... zdaje się, że tak? przepraszam, zapomniałem nazwiska – skłonił się uprzejmie w stronę Razumichina – obraził mnie, przeinaczając mój pogląd, który zakomunikowałem pani wtedy w prywatnej rozmowie przy kawie.



Mianowicie, że ze względów moralnych małżeństwo z biedną panną znajdującą niedostatek jest według mnie korzystniejsze z punktu widzenia związku małżeńskiego niż małżeństwo z panną, która zakosztowała zbytku. Syn pani rozmyślnie wypaczył aż do absurdu znaczenie moich słów i przypisywał mi złośliwe zamiary, opierając się, jak sądzę, na własnej pani korespondencji. Będę szczęśliwy, jeśli zdoła pani upewnić mnie, że się mylę, uspokajając mnie w ten sposób w znacznej mierze. Zechce pani łaskawie uwiadomić mnie, jakich zwrotów użyła pani w liście do syna, powtarzając mu moje słowa.

– Nie pamiętam – zmieszała się Pulcheria Aleksandrowna – powtórzyłam tak, jak zrozumiałam. Nie wiem, co powiedział panu Rodia... Może coś przesadził.

– Bez pani sugestii nie mógł przesadzić.

– Piotrze Pietrowiczu – z godnością oświadczyła Pulcheria Aleksandrowna – to, że jesteśmy tutaj, najwymowniej świadczy, że ja i Dunia nie wzięłyśmy pańskich słów z najgorszej strony.

– Słusznie, mamó! – z uznaniem powiedziała Dunia.

– Więc to ja jestem winien – oburzył się Łużyn.

– Bo widzi pan, pan zwała winę na Rodiona, a sam napisał pan o nim w liście nieprawdę – dorzuciła, ośmieliwszy się, Pulcheria Aleksandrowna.

– Nie pamiętam, żebym mówił nieprawdę.

– Napisał pan – ostro wtrącił Raskolnikow, nie patrząc na Łużyna – że oddałem wczoraj pieniądze nie wdowie po stratowanym urzędniku, jak było w rzeczywistości, tylko jego córce, której do dnia wczorajszego nie znałem. Napisał pan to, aby poróżnić mnie z rodziną, i w tym celu dodał pan obelżywe słowa o prowadzeniu się dziewczyny, której pan nie zna. Wszystko to plotki i podłość.

– Przepraszam, szanowny panie – trzęsąc się ze złości, odpowiedział Łużyn – jeżeli w liście swym rozpisywałem się o pańskim charakterze i o pańskim zachowaniu się, to jedynie, aby zadość uczynić życzeniu pańskiej siostry i mamusi, które prosiły mnie o doniesienie im, w jakim pan jest stanie i jakie pan na mnie zrobił wrażenie. Co zaś tyczy się treści mego listu, to niech mi pan wskaże choć jeden wiersz niezgodny z prawdą. Czy pan nie zmarnował pieniędzy i czy we wspomnianej rodzinie, jakkolwiek rzeczywiście nieszczęśliwej, nie ma osób niegodnych?

– A ja uważam, że pan wraz ze swymi wszystkimi zaletami nie wart jest małego palca tej nieszczęśliwej dziewczyny, w którą pan rzuca kamieniem.

– Zatem zdecydowałby się pan wprowadzić ją do towarzystwa swojej matki i siostry?

– Już to zrobiłem, o ile chce pan wiedzieć. Siedziała dziś obok mamy i Duni.

– Rodia! – krzyknęła Pulcheria Aleksandrowna. Dunia zaczerwieniła się, Razumichin zmarszczył brwi, Łużyn uśmiechał się zjadliwie wyniośle.

– Raczy pani sama skonstatować, czy tu może być mowa o zgodzie. Mam nadzieję, że teraz sprawa jest już skończona i wyjaśniona raz na zawsze. Odchodzę, aby nie psuć przyjemnego nastroju tego rodzinnego spotkania i nie przeszkadzać w wyjawianiu tajemnic. – Wstał z krzesła i wziął

kapelusze. – Pozwolę sobie jednak zauważyć na odchodnym, że wolno mi chyba liczyć na to, iż w przyszłości nie będę narażony na podobne spotkania i że tak powiem, kompromisy. Specjalnie panią o to proszę, szanowna Pulcherio Aleksandrowno, list mój bowiem skierowany był pod pani, a nie czymkolwiek innym adresem.

Pulcheria Aleksandrowna poczuła się dotknięta.

– Jak widzę, pan już zupełnie zagarnia nas pod swoją władzę. Dunia odpowiedziała panu, dlaczego nie spełniono pańskiego życzenia, miała ona najlepsze chęci. Pisze pan do mnie w dodatku w tonie rozkazującym. Cóż to, czy każde pańskie życzenie ma być dla nas rozkazem? Uważam, że przeciwnie: powinien pan być teraz w stosunku do nas specjalnie delikatny i pobłażliwy, bośmy przecież wszystko rzuciły i przyjechałyśmy tutaj, ufając panu, i przez to samo jesteśmy już wystarczająco od pana zależne.

– No, nie jest to zupełnie słuszne, zwłaszcza w danej chwili, po otrzymaniu wiadomości o zapisaniu przez Marfę Pietrownę trzech tysięcy rubli, których zjawienie się jest, jak przypuszczam, nader pożądane, o ile mogę wnosić ze zmiany tonu w stosunku do mnie – dodał zjadliwie.

– Sądząc z tej uwagi – zauważyła rozdrażniona Dunia – rzeczywiście można by przypuszczać, że liczył pan na naszą bezradność.

– Ale teraz już nie mogę liczyć, zwłaszcza zaś nie chciałbym przeszkadzać w podaniu do wiadomości tajemniczych propozycji pana Arkadiusza Swidrygajłowa, do których zakomunikowania upoważniony jest pani brat, a które jak widzę, mają dla pani zasadnicze, a być może, też nader miłe znaczenie.

– Ach, Boże święty! – krzyknęła Pulcheria Aleksandrowna.

Razumichin nie mógł usiedzieć na krześle.

– I nie wstyd ci teraz, siostrzyczko? – zapytał Raskolnikow.

– Wstyd mi, Rodia – powiedziała Dunia. – Panie Łużyn, proszę stąd wyjść – zwróciła się do Łużyna blada z gniewu.

Zdawało się, że Łużyn zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Był zbyt pewny siebie, swojej władzy i bezradności swych ofiar. Nie wierzył własnym uszom. Pobladł i usta mu się zatrzęsły.

– Awdotio Romanowno, o ile teraz zamknę za sobą drzwi po takim pożegnaniu, to proszę sobie dobrze to zważyć, bo nie powrócę już nigdy. Niech się pani zastanowi. Ja się nie cofam.

– Cóż za bezczelność! – krzyknęła Dunia, zrywając się z krzesła. – Nie życzę sobie, aby pan kiedykolwiek wrócił.

– Tak! To to ta-a-k! – zawołał Łużyn, który do ostatniej chwili nie wierzył w możliwość podobnego zakończenia sprawy i teraz zupełnie stracił głowę. – To ta-a-k! A czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że miałbym prawo zaprotestować?

– Jakim prawem pan się tak do niej odzywa? – gorąco ujęła się za córką Pulcheria Aleksandrowna. – W jaki sposób może pan protestować? Jakie ma pan prawo? Pan sądzi, że oddam moją Dunię takiemu człowiekowi? Niech pan sobie idzie i zostawi nas w spokoju! Same jesteśmy sobie winne, żeśmy się dały wciągnąć do złej sprawy, a ja najbardziej...

– Jednakże – wściekał się Łużyn – jestem związany danym słowem, którego się pani teraz tak zarzeka... i wreszcie... w związku z powyższym miałem, że tak powiem, wydatki.

Ta ostatnia pretensja była tak typowa dla Łużyna, że Raskolnikow, blady z gniewu i usilnego mitygowania się, nie wytrzymał i nagle wybuchnął śmiechem.

Pulcheria Aleksandrowna zirytowała się na dobre.

– Wydatki? Jakie pan miał wydatki? Czy ma pan na myśli kufer? Konduktor przewiózł go panu darmo. Mój Boże, to myśmy pana związały? Niechże pan oprzytomnieje, człowieku! To pan nam skrępował ręce i nogi, a nie my panu!

– Dosyć, mamó, proszę cię, dosyć! – uspokajała ją Dunia. – Panie Łużyn, niech pan z łaski swojej wyjdzie!

– Pójdę, ale to jedno jeszcze powiem – rzekł, nie panując nad sobą. – Pani matka zapomniała widocznie o tym zupełnie, że zdecydowałem się pojąć panią mimo miejskich plotek krążących o jej, że tak powiem, reputacji po całej okolicy. Pomijając dla pani opinię publiczną i rehabilitując pani reputację, zdawałoby się, że mogłem liczyć na uznanie, a nawet żądać wdzięczności pani! Dopiero teraz otwarły mi się oczy... Widzę, że postąpiłem nader, ale to nader lekkomyślnie, lekceważąc głos opinii...

– Na co on sobie pozwala! – krzyknął Razumichin, zrywając się z krzesła, gotów rzucić się na Łużyna.

– Podły i zły z pana człowiek – powiedziała Dunia.

– Milcz i nie ruszaj się! – krzyknął Raskolnikow, powstrzymując Razumichina.

Potem, stanąwszy tuż przy Łużynie, rzekł spokojnie i dobitnie:

– Zechce pan wyjść i ani słowa więcej, bo...

Łużyn patrzył na niego przez chwilę blady, z wykrzywioną złością twarzą, po czym odwrócił się i wyszedł. I chyba trudno było mieć w sercu więcej nienawiści do kogoś, niż on miał jej do Raskolnikowa. Jego jedyne obwiniał o to wszystko. Ciekawe, że nawet schodząc ze schodów, ciągle jeszcze wierzył, że sprawa nie jest całkowicie stracona i że jeśli chodzi o same panie, to da się „nader, ale to nader” łatwo załagodzić.

Sednem sprawy było to, że do ostatniej chwili nie spodziewał się takiego rozwiązania. Naigrawał się do ostatniej chwili, nie dopuszczając nawet możliwości, żeby dwie biedne i bezbronne kobiety mogły wymknąć mu się z rąk. W przekonaniu tym utrzymywała go pycha i owa pewność siebie, którą najlepiej określa się jako samouwielbienie. Łużyn, dorobiwszy się z niczego, przywykł do chorobliwego wprost podziwu dla siebie, cenił wysoko swój rozum i zdolności, a nawet czasami w samotności zachwycał się swą twarzą w lustrze. Lecz nade wszystko w świecie kochał i cenił swoje pieniądze, zdobyte pracą i najróżnorodniejszymi sposobami: stawiały go bowiem na równi z tym wszystkim, co było wyższe od niego.

Wypominając z goryczą Duni to, że zdecydował się poślubić ją mimo złej opinii, Łużyn mówił zupełnie szczerze, a nawet był głęboko oburzony taką „czarną niewdzięcznością”. A jednak, starając się o Dunie, był już wtedy przekonany o bezpodstawności plotek, które odwołała publicznie sama Marfa Pietrowna i o których zapomniało już całe miasteczko, gorąco usprawiedliwiając Dunie. Zresztą sam nie wyparłby się tego, że wiedział o tym i wtedy, lecz mimo to cenił sobie stanowczą decyzję o podniesieniu Duni do swego poziomu i uważał to za bohaterstwo. Wymawiając to Duni, zdradził swą najtajniejszą, starannie wyhodowaną myśl, którą już nieraz się pieścił. Po prostu zrozumieć nie mógł, że inni mogą nie podziwiać jego bohaterstwa. Odwiedzając wówczas Raskolnikowa, wszedł z uczuciem dobroczyńcy, gotowego zebrać owoce i wysłuchać najśłodszych pochwał. I oczywiście teraz, schodząc ze schodów, uważał się za człowieka w najwyższym stopniu skrzywdzonego i niedocenionego.

Dunia była mu wprost niezbędną; nawet nie dopuszczał myśli o wyrzeczeniu się jej. Dawno już, od szeregu lat z lubością myślał o małżeństwie, ale wciąż czekał i ciułał pieniądze. W najgłębszej tajemnicy napawał się myślą o pannie czystej i biednej (koniecznie biednej), bardzo młodej, bardzo ładnej, z dobrej rodziny, wykształconej, bardzo zahukanej, nadzwyczaj ciężko doświadczonej przez los, bardzo pokornej, która by przez całe życie uważała go za swego zbawcę, ubóstwiała go, podporządkowywałaby mu się, podziwiała jego i tylko jego. Ileż scen, ileż lubych epizodów na ten kuszący i drastyczny temat stworzył w swojej wyobraźni, odpoczywając po pracy. I oto marzenie tylu lat prawie się urzeczywistniało: uroda i wykształcenie Awdotii Romanowny uderzyły go, beznadziejność jej losu rozzuchwiała go do ostateczności. To przewyższało jego marzenia: spotkał dziewczynę dumną, z charakterem, cnotliwą, lepiej wychowaną i wykształconą niż on (zdawał sobie z tego sprawę). I to stworzenie będzie mu całe życie niewolniczo wdzięczne za jego czyn bohaterski i z uwielbieniem zaprze się siebie dla niego, on zaś będzie panował absolutnie i niepodzielnie!... Zbiegiem okoliczności tuż przed samymi zaręczynami, po długim wyczekiwaniu i namyśle postanowił w końcu zmienić karierę i wypłynąć na szersze wody, a jednocześnie powoli wejść w wyższe sfery towarzyskie, o czym od dawna marzył z utęsknieniem...

Słowem postanowił spróbować szczęścia w Petersburgu. Wiedział dobrze, że przy pomocy kobiet można wygrać „nader, ale to nader dużo”. Urok prześlicznej, dobrze ułożonej, wykształconej kobiety mógł zadziwiająco ozdobić jego drogę, wabić ku niemu, otoczyć go aureolą... I oto wszystko przepadło! Jak piorun uderzyło w niego to nagłe, bezsensowne zerwanie. Był to jakiś potworny żart, nonsens! On się tylko odrobinę postawił, nie zdążył się nawet wypowiedzieć, żartował tylko, trochę się uniósł, a tak się to na serio skończyło. W końcu przecież on nawet już po swoim kochał Dunię, panował już nad nią w swych marzeniach, a tu nagle... Nie! Jutro, jutro należy wszystko odrobić, załagodzić, naprawić, a przede wszystkim zniszczyć tego zuchwałego młokosa, smarkacza, który był winien wszystkiemu. Z przykrością przypominał sobie mimo woli Razumichina, choć zresztą uspokajał się łatwo w tym względzie: „Także pomysł stawiać nas na równi!”. Ale jeżeli się bał kogoś naprawdę, to jedynie Swidrygajłowa. Jednym słowem, czekało go wiele kłopotów.

– Nie, to ja, ja najbardziej zawiniłam – mówiła Dunia, obejmując i całując matkę. – Skusiły mnie jego pieniądze, ale przysięgam ci, Rodia, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to taki marny człowiek. Gdybym poznała się na nim od razu, nic w świecie by mnie nie skusiło! Nie wiń mnie, proszę.

– Bóg ustrzegł! Bóg ustrzegł! – mamrotała Pulcheria Aleksandrowna, ale tak machinalnie, jak gdyby nie zdawała sobie sprawy z tego, co zaszło.

Wszyscy się cieszyli, po pięciu minutach zaczęły się nawet śmiechy. Niekiedy tylko, przypominając sobie o tym, co zaszło, Dunia ściągała brwi i bladła. Pulcheria Aleksandrowna nie spodziewała się wcale, że również będzie się cieszyć: jeszcze tego dnia rano zerwanie z Łużynem uważałyby za straszną katastrofę. Za to Razumichin był uszczęśliwiony. Nie odważył się jeszcze z tym zdradzić, ale trząśł się jak w febrze, jakby pięciopudowy ciężar spadł mu z serca. Teraz ma prawo poświęcić im życie, służyć im... Zresztą któż to może wiedzieć, co się teraz jeszcze zdarzy! Lecz ze wzmożonym lękiem odpędzał wszelkie marzenia, bojąc się swej wyobraźni. Tylko Raskolnikow nie ruszył się z miejsca, niemal ponury i roztargniony. On, który najbardziej nalegał na zerwanie z Łużynem, teraz jakby najmniej interesował się tym, co zaszło. Dunia mimo woli pomyślała, że ciągle jeszcze jest zły na nią, Pulcheria Aleksandrowna zaś przyglądała mu się lękliwie.

– Cóż powiedział ci Swidrygajłow? – Dunia podeszła do niego.

– Ach, prawda! – zawołała Pulcheria Aleksandrowna.

Raskolnikow podniósł głowę.

– Koniecznie chce ci ofiarować dziesięć tysięcy rubli i pragnie się raz z tobą zobaczyć w mojej obecności.

– Zobaczyć się! Za nic w świecie! – krzyknęła Pulcheria Aleksandrowna. – Jak on śmie proponować jej pieniądze!

Następnie Raskolnikow powtórzył (dosyć sucho zresztą) swoją rozmowę ze Swidrygajłowem. Nie wspominał nic o zjawianiu się ducha Marfy Pietrowny, nie chcąc wdawać się w zbędne szczegóły i mając wstręt do prowadzenia jakiegokolwiek zbytecznej rozmowy.

– Cóżżeś mu odpowiedział? – zapytała Dunia.

– Początkowo powiedziałem, że nic ci nie będę powtarzał. Wówczas oświadczył mi, że sam wszelkimi sposobami będzie dążył do spotkania się z tobą. Zapewniał, że namiętność jego była przelotna i że obecnie nic już do ciebie nie czuje... Nie chce, żebyś wyszła za mąż za Łużyna. W ogóle był niewyraźny.

– Co ty sądzisz o tym, Rodia? Jaki ci się wydał?

– Przyznaję, że dokładnie nic nie rozumiem. Proponuje dziesięć tysięcy, twierdził zaś, że nie jest bogaty. Opowiada, że wybiera się w jakąś podróż, a po dziesięciu minutach nie pamięta, że mówił o tym. Potem nagle powiada, że ma zamiar się ożenić i że mu już kogoś swatają... Zapewne ma jakieś cele na widoku i najprawdopodobniej – złe cele. Z drugiej strony trudno przypuścić, żeby tak głupio zabrał się do rzeczy, jeżeli rzeczywiście miałby jakieś złe zamiary... Naturalnie odmówiłem raz na zawsze w twoim imieniu przyjęcia tych pieniędzy... W ogóle wydał mi się bardzo dziwny, a... nawet... zauważyłem objawy jakby pomieszania zmysłów. Może się jednak myłę. Może to jest jakieś swoiste kręactwo. Śmierć Marfy Pietrowny, zdaje się, zrobiła na nim wrażenie...

– Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie – westchnęła Pulcheria Aleksandrowna. – Całe życie będę się za nią modliła. Co by się z nami stało, Duniu, bez tych trzech tysięcy! Mój Boże, niczym z nieba nam spadły. Wiesz, Rodia, dziś rano miałyśmy zaledwie trzy ruble przy duszy i kombinowałyśmy, jakby tu najprędzej zastawić zegarek, żeby uniknąć pożyczki od tego tam, póki się sam nie domyśli.

Dunia zdawała się być pod silnym wrażeniem propozycji Swidrygajłowa. Stała zamyślona.

– On zamierza coś strasznego! – powiedziała szeptem do siebie, wzdragając się.

Raskolnikow spostrzegł ten jej niezwykle strach.

– Myślę, że będę musiał się raz jeszcze z nim zobaczyć – rzekł do Duni.

– Będziemy go śledzili! Ja go wyśledzę! – energicznie oświadczył Razumichin. – Oka z niego nie spuszczę, Rodia mi pozwolił. Powiedział mi: „Pilnuj siostry!”. A pani pozwoli, Awdotio Romanowno?

Dunia uśmiechnęła się i podała mu rękę, ale troska nie schodziła z jej twarzy. Pulcheria Aleksandrowna spoglądała na nią nieśmiało, zresztą te trzy tysiące najwyraźniej podziałały na nią uspokajająco.

Po kwadransie toczyła się już ogólna ożywiona rozmowa. Nawet Raskolnikow, choć sam się nie odzywał, czas jakiś przysłuchiwał się uważnie. Za to Razumichin perorował.

– I po cóż, po cóż mają panie wyjeżdżać? Co panie będą robiły w tej miejscinie? A najważniejsze jest to, że bylibyście tu wszyscy razem, jesteście sobie bardzo potrzebni, wierzcie mi, bardzo potrzebni! Choćby na czas jakiś... Przyjmijcie mnie na przyjaciela, na współnika, a zapewniam, że założymy doskonałe przedsiębiorstwo. Posłuchajcie, państwo, wytłumaczę wam dokładnie, o co chodzi, mam myśl! Dziś rano już o tym myślałem, kiedy się jeszcze nic nie zdarzyło... Sprawa jest tego rodzaju: mój wuj (zapoznam was z nim: zacny i bardzo do rzeczy starowina!) ma kapitalik, tysiąc rubli,

żyje z emerytury i na niczym mu nie zbywa. Od dwóch lat już mnie zanudza, żebym wziął te tysiąc rubli i płacił mu po sześć procent. Wiem, o co mu chodzi: chciałby mi pomóc. W zeszłym roku nie potrzebowałem pomocy, ale w tym roku zdecydowałem się wziąć i tylko czekałem na jego przyjazd. Panie dadzą drugi tysiąc z tych trzech, na początek to wystarczy. Zrobimy spółkę. A oto czym się zajmiemy...

Razumichin począł przedstawiać swój projekt. Dowodził obszernie, że wszyscy prawie księgarze i wydawcy pojęcia nie mają o swoim towarze, a zatem są złymi fachowcami. Tymczasem porządne wydawnictwa zawsze się opłacają i dają zyski, czasami nawet poważne. Razumichin marzył o działalności wydawniczej, pracując od dwóch lat dla różnych wydawnictw i znając nieźle trzy języki europejskie. Wprawdzie sześć dni temu powiedział Raskolnikowowi, aby skłonić go do przyjęcia połowy tłumaczenia i trzech rubli zadatku, że w niemieckim jest kiepski, lecz było to kłamstwo i Raskolnikow dobrze o tym wiedział.

– Dlaczego nie mamy wykorzystać sytuacji? – gorączkował się Razumichin.  
– Mamy w rękach najważniejszy środek, własne pieniądze! Naturalnie trzeba w to włożyć dużo pracy, ale będziemy pracowali, pani, ja i Rodia... Niektóre wydawnictwa przynoszą teraz spore zyski. Zaś podstawą przedsiębiorstwa będzie to, że będziemy wiedzieli, co właściwie należy tłumaczyć. Będziemy tłumaczyli, wydawali, uczyli się, wszystko razem. Teraz mogę się przydać, bo mam doświadczenie. Już dwa lata pętam się po wydawcach i znam wszystkie ich triki: nie święci garnki lepią, wierzcie mi! I dlaczego, dlaczego wyciągać dla kogoś kasztany z ognia! Znam dobrze i trzymam w tajemnicy kilka takich dzieł, że za sam pomysł przetłumaczenia i wydania ich można by wziąć po sto rubli za tom. Zaś za jedno z nich nawet pięciuset będzie mało. I wyobraźcie sobie, że gdybym komuś zaproponował, jeszcze mieliby wątpliwości, takie to zakute łby! Wszystkie sprawy fachowe, drukarnie, papier, sprzedaż możecie mi pozostawić. Znam się na tym. Zaczniemy ostrożnie i dojdziemy do wielkich rzeczy. W najgorszym razie będziemy mieli z czego żyć, a już bez wątpienia wyjdziemy na swoje.

Duni błyszcząły oczy.

– Bardzo mi się podoba pański projekt – powiedziała.

– Ja oczywiście na niczym się nie znam – odezwała się Pulcheria Aleksandrowna – może to i dobre, zresztą Bóg raczy wiedzieć. Nazbyt to nowe dla mnie, nieznanne. Naturalnie musimy tu pozostać, choćby na krótki czas...

Spojrzała na Rodię.

– Co o tym myślisz, bracie? – zapytała Dunia.

– Sądzę, że to bardzo dobry pomysł – odpowiedział Raskolnikow. – O samodzielnym przedsiębiorstwie oczywiście nie należy jeszcze myśleć, ale pięć czy sześć książek można wydać z niewątpliwym powodzeniem. Sam znam jedno dzieło, które na pewno by poszło. Jeśli zaś chodzi o to, czy on potrafi poprowadzić interes, to nie ma najmniejszych wątpiwości, zna się na tym... Zresztą znajdziecie jeszcze czas, by omówić sprawę...

– Hurra! – krzyknął Razumichin. – Teraz czekajcie: wasi gospodarze mają



w tym samym domu jeszcze jedno mieszkanie, samodzielne, umeblowane, nie łączy się z hotelem, cena umiarkowana, trzy pokoiki. Na początek radzę je wynająć. Zastawię paniom jutro zegarek, przyniosę pieniądze i wszystko się urządzi. A co najważniejsze, będziecie mogli wszyscy troje mieszkać razem – Rodia z wami. Rodia, a ty dokąd się wybierasz?

– Jak to, Rodia, już odchodzisz? – prawie ze strachem zapytała Pulcheria Aleksandrowna.

– W takiej chwili! – zawołał Razumichin. Dunia patrzyła na brata z niedowierzaniem i zdziwieniem: miał czapkę w ręce, szykował się do wyjścia.

– Cóż to, przecież nie umieram i nie rozstajemy się na wieki – wyrzekł jakoś dziwnie. Uśmiechnął się niby, choć właściwie nie był to uśmiech.

– Zresztą kto wie, może widzimy się ostatni raz... – dodał niebacznie.

Pomyślał to i mimo woli wypowiedział na głos.

– Co się z tobą dzieje! – krzyknęła matka.

– Dokąd idziesz, Rodia? – zapytała zdziwiona Dunia.

– Tak, muszę już iść – odpowiedział niepewnie, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć, ale na jego bladej twarzy malowała się stanowcza decyzja.

– Chciałem powiedzieć... idąc tutaj... chciałem powiedzieć wam, tobie, mamie, i tobie, Duniu, że lepiej będzie, jeżeli rozstaniemy się na pewien czas. Źle się czuję, jestem niespokojny... Przyjdę później, sam przyjdę, kiedy... będzie można. Pamiętam o was i kocham... Zostawcie mnie! Zostawcie mnie samego. Już dawno tak postanowiłem... To mocne postanowienie. Cokolwiek się ze mną stanie, zginę czy nie, chcę być sam. Zapomnijcie o mnie zupełnie. Tak będzie lepiej... Nie dowiadujcie się o mnie. Jak będzie trzeba, przyjdę sam albo... wezwę was. Może jeszcze wszystko będzie dobrze!... Teraz, jeśli mnie kochacie, wyrzeknijcie się mnie... inaczej znienawidzę was, czuję to... Żegnajcie!

– O, Boże! – krzyknęła Pulcheria Aleksandrowna. Matka i siostra były przerażone, Razumichin również.

– Rodia, Rodia! Pogódź się z nami! Niech będzie jak dawniej! – lamentowała biedna matka.

Raskolnikow powoli obrócił się i ruszył ku drzwiom. Dunia dopędziła go.

– Rodia, co robisz z matką! – szepnęła z oczyma płonącymi oburzeniem.

Spojrzał na nią ponuro.

– To nic, przyjdę, będę przychodził! – mruknął półgłosem, jakby nie wiedząc, co chce powiedzieć, i wyszedł z pokoju.

– Egoista, zły i bez serca! – krzyknęła Dunia.

– Obłąkany, nie bez serca! On jest obłąkany, czy pani tego nie widzi? Sama pani jest bez serca!... – z przejęciem szeptał jej do ucha Razumichin, ścisnąwszy mocno za rękę.

– Zaraz wrócę! – krzyknął, zwracając się do struchlałej Pulcherii Aleksandrowny, i wybiegł z pokoju.

Raskolnikow czekał na niego na końcu korytarza.

– Wiedziałem, że przyjdiesz – powiedział. – Wróć do nich i zostań z nimi. Bądź z nimi jutro... i zawsze. Ja... może przyjdę... jeśli się da. Żegnaj! – I nie

podając mu rękę, odszedł.

– Ale skąd? Co to? Co się z tobą dzieje? Czyż tak można?... – bąkał zupełnie zaskoczony Razumichin.

Raskolnikow zatrzymał się znowu.

– Raz na zawsze: nigdy nie pytaj mnie o nic. Nie mam ci nic do powiedzenia. Nie przychodź do mnie. Możliwe, że przyjdę tutaj. Zostaw mnie... Ale ich nie opuszczaj. Rozumiesz?

Korytarz był ciemny. Stali pod lampą. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Razumichin do końca życia zapamiętał tę chwilę. Pałace, nieruchome spojrzenie Raskolnikowa, potężniejąc z każdą chwilą, przenikało w jego duszę i świadomość. Nagle Razumichin drgnął. Coś dziwnego przemknęło między nimi... Jakaś myśl zamajaczyła, jakby aluzja; było to coś straszego, potwornego, co obaj nagle pojęli... Razumichin zbladł jak trup.

– Rozumiesz teraz? – zapytał nagle Raskolnikow z boleśnie wykrzywioną twarzą. – Wróć, idź do nich – dodał, odwrócił się szybko i wyszedł.

Nie będę opisywał tego, co działo się tego wieczoru z Pulcherią Aleksandrowną, kiedy Razumichin wrócił, jak uspokajał je, przysięgał, że Rodi trzeba dać odpocząć, przysięgał, że Rodia na pewno przyjdzie, będzie przychodził codziennie, że jest bardzo, bardzo rozstrojony i że nie należy go drażnić. On, Razumichin, będzie czuwał nad nim, sprowadzi mu dobrego doktora, najlepszego, zwoła konsylium... Jednym słowem, od tej chwili począwszy, Razumichin stał się dla nich synem i bratem.

Raskolnikow zaś poszedł nad kanałem prosto do domu, w którym mieszkała Sonia. Dom był dwupiętrowy, stary, pomalowany na zielono. Z trudem odnalazł stróża i dowiedział się, gdzie mieszka krawiec Kapernaumow. Wyszukawszy w kącie podwórza wejście na wąskie i ciemne schody, wdrapał się na drugie piętro i wszedł na galerię od strony podwórza. Gdy tak błądził w ciemności, nie mogąc się zorientować, gdzie właściwie jest wejście do Kapernaumowa, nagle o trzy kroki od niego otworzyły się jakieś drzwi; przytrzymał je odruchowo.

– Kto tam? – zapytał zaniepokojony kobiecy głos.

– To ja... do pani – odpowiedział Raskolnikow i wszedł do małego przedpokoiku.

Na wygniecionym krześle stała świeca w pogiętym, mosiężnym lichtarzu.

– To pan! O Boże! – krzyknęła Sonia słabym głosem, stając jak wryta.

– Do pani którejdy? Tędy?

Raskolnikow szybko wszedł do pokoju, starając się nie patrzeć na nią.

Po chwili weszła ze świecą Sonia, postawiła lichtarz. Stała przed Raskolnikowem zmieszana, nieprawdopodobnie zdenerwowana i widocznie przestraszona jego niespodziewanymi odwiedzinami. Wtem fala krwi uderzyła do jej bladej twarzy, a nawet łzy stanęły jej w oczach... Dławiło ją coś w gardle, ogarnęła ją odraza, wstyd i lubość. Raskolnikow odwrócił się szybko i usiadł przy stole. Przelotnym spojrzeniem obrzucił pokój.

Pokój był duży, ale bardzo niski. Zamknięte drzwi w lewej ścianie prowadziły do Kapernaumowów, którzy ten jeden tylko pokój odnajmowali lokatorom. Drzwi w przeciwległej ścianie – prawej – były zabite. Prowadziły do drugiego, sąsiedniego mieszkania, mającego już inny numer. Pokój Soni przypominał szopę: miał kształt nieprawidłowego czworoboku i to nadawało mu jakiś pokraczny wygląd. Ściana o trzech oknach, wychodzących na kanał, biegła jakoś na ukos, wskutek czego jeden kąt, bardzo ostry, ginął gdzieś w głębi, tak że przy słabym świetle nie można było go dojrzeć, drugi zaś kąt był nadmiernie rozwarty. W całym tym wielkim pokoju prawie nie było mebli. W kącie, na prawo, stało łóżko, obok niego, bliżej drzwi, krzesło. Przy tej samej ścianie, co łóżko, tuż obok drzwi prowadzących do cudzego mieszkania, stał zwyczajny, zbity z desek stół, pokryty niebieskim obrusem. Przy stole – dwa wyplatane krzesła. Następnie, przy przeciwległej ścianie, w pobliżu ostrego kąta pokoju stała niewielka, niemalowana komoda, która zdawała się ginać w pustce. I to wszystko. Żółtawa, obdarta i przybrudzona tapeta mocno szerniała we wszystkich kątach. Prawdopodobnie w zimie była tu wilgoć i dymił piec. Nędza rzucała się w oczy: przy łóżku nie było nawet zasłonek.

Sonia w milczeniu patrzyła na swego gościa, tak uważnie i bez skrępowania oglądającego jej pokój. Wreszcie zaczęła drżeć ze strachu, jakby stała przed sędzią, od którego zależał jej los.

– Ja tak późno... Czy jest już jedenasta? – zapytał Raskolnikow, ciągle jeszcze nie patrząc na nią.

– Jest – wybąkała Sonia. – Tak, tak, już wybiła! – zaczęła nagle mówić szybko, jak gdyby uważała to za wyjście z sytuacji. – U gospodarzy tylko co zegar wybił... Słyszałam... Już wybiła.

– Przyszedłem do pani po raz ostatni – ponuro ciągnął Raskolnikow, aczkolwiek był u niej po raz pierwszy. – Być może nie zobaczymy się więcej...

– Pan... wyjeżdża?

– Nie wiem... Wszystko jutro...

– Nie będzie pan jutro u Katarzyny Iwanowny? – drżącym głosem zapytała Sonia.

– Nie wiem. Wszystko jutro rano... Nie o to chodzi: chciałem pani coś powiedzieć...

Podniósł na nią zamyślane oczy i dopiero teraz spostrzegł, że on siedzi, a ona ciągle jeszcze stoi przed nim.

– Dlaczego pani stoi? Niech pani usiądzie – powiedział zmienionym, cichym i miękkim głosem.

Sonia usiadła. Raskolnikow serdecznie i prawie współczująco patrzył na nią przez chwilę.

– Jaka pani szczuplutka! Co za ręka, zupełnie przezroczysta. Palce jak u umarłej. – Ujął jej rękę. Sonia uśmiechnęła się blado.

– Zawsze byłem taka – powiedziała.

– I wtedy, gdy mieszkała pani u rodziców?

– Tak.

– No tak, oczywiście! – powiedział, urywając raptownie. Wyraz jego twarzy i dźwięk głosu znowu się zmieniły. Jeszcze raz rozejrzał się wokoło.

– Pani odnajmuje ten pokój od Kapernaumowa?

– Tak.

– On tam mieszka, za tymi drzwiami?

– Tak... Mają taki sam pokój.

– Wszyscy w jednym?

– W jednym.

– W nocy bałbym się spać w tym pokoju – zauważył ponuro.

– Moi gospodarze to dobrzy ludzie, bardzo serdeczni – odpowiedziała Sonia, która jeszcze jakby nie przyszła do siebie i nie oprzytomniała. – Wszystkie meble i wszystko... to ich. Oni są bardzo dobrzy, a dzieci często do mnie przychodzą...

– To jąkały?

– Tak... On się jąka i jest kulawy. Żona także... Właściwie nie jąka się, ale jakby nie wymawia wszystkiego. Jest bardzo dobra. On jest z chłopów. Mają siedmioro dzieci... Tylko najstarsze się jąka, inne są po prostu chore... ale się nie jęka... Skąd pan wie o nich? – zapytała z pewnym zdziwieniem.

– Ojciec pani mi opowiedział. Opowiedział mi wszystko o pani... I o tym, jak pani wyszła o godzinie szóstej, a wróciła po ósmej, i o tym, jak Katarzyna Iwanowna klęczała przy pani łóżku.

Sonia zmieszana się.

– Dziś wydawało mi się, że go widzę – wyszeptała nieśmiało.

– Kogo?

– Ojca. Szłam ulicą tu zaraz na rogu, po dziewiątej, a on niby sobie idzie przede mną. Całkiem jakby to był on. Już chciałam nawet wstąpić do Katarzyny Iwanowny.

– Spacerowała pani?

– Tak – krótko szepnęła Sonia ze spuszczonej oczami, znowu zmieszana.

– Katarzyna Iwanowna nie bijała pani tam, u ojca?

– Ależ skąd! Co pan mówi! Jak pan może! Wcale! – Sonia ze strachem popatrzyła na niego.

– To pani ją kocha?

– Ją? Czyż może być inaczej? – rzekła Sonia, załamawszy rękę z żalem i męką. – Ale pan jej... Gdyby pan ją znał. To zupełne dziecko... Jest zupełnie jak obłąkana... ze zmartwień. A była taka mądra... Taka szlachetna... taka dobra! Pan o niczym, o niczym nie wie... Ach!

Sonia powiedziała to z rozpaczą, poruszona i zboląła, załamując rękę. Białe policzki znowu spłonęły rumieńcem, w oczach była męka. Widoczne było, że czuła się bardzo dotknięta, że gorąco pragnęła coś wyrazić, wypowiedzieć, obronić. Nienasycona litość, jeśli tak można powiedzieć, rozlała się nagle na jej twarzy.

– Biła mnie! Co pan! Boże mój, biła! A gdyby nawet biła, no to co? No to co? Nic, nic pan nie wie. Ona jest taka nieszczęśliwa, ach, jaka nieszczęśliwa! I chora... Szuka sprawiedliwości... Ona jest czysta. Ona tak wierzy, że wszystko powinno być sprawiedliwe, i żąda... Choćby ją torturowano, nie robi nic niesprawiedliwego. Nie rozumie, że to jest niemożliwe, żeby ludzie byli sprawiedliwi, i denerwuje się... Jak dziecko, jak dziecko! Ona jest sprawiedliwa, sprawiedliwa.

– A co się stanie z panią?

Sonia spojrzała pytającym wzrokiem.

– Zostały przecież na pani opiece. Prawda, że przedtem też wszystko było na pani głowie, nieboszczyk również do pani przychodził po pieniądze na klina. A teraz co będzie?

– Nie wiem – smutno odparła Sonia.

– Zostaną tam?

– Nie wiem, winni są za mieszkanie. Podobno gospodyni powiedziała dzisiaj, że nie chce ich trzymać, Katarzyna Iwanowna zaś mówi, że sama ani chwili tam nie zostanie.

– Z czegoż to nabrała takiej odwagi? Liczy na panią?

– Niech pan tak nie mówi!... Żyjemy w zgodzie – odezwała się Sonia, znowu nagle zaniepokojona i podrażniona, jak rozgniewany kanarek lub inny jakiś mały ptaszek. – Co ona ma zrobić ze sobą? Co mamy robić? – pytała, gorączkując się. – Ileż się ona napłakała dzisiaj! Przecież ona zmysły traci, czy nie zauważył pan tego? Traci zmysły. To martwi się jak mała dziewczynka, czy aby jutro wszystko będzie w porządku, przekąski i wszystko... To załamuje rękę, pluje krwią, płacze, nagle w rozpacz zaczyna bić głową o ścianę. A potem znowu się uspokaja, liczy na pana: mówi, że pan teraz będzie jej pomagał, że pożyczycy sobie gdzieś pieniądze, wyjedzie

ze mną do swego rodzinnego miasta i założy tam pensję dla dobrze urodzonych panien, że ja będę jej pomocnicą jako wychowawczyni, że zaczniemy nowe, piękne życie. Całuje mnie, obejmuje, pociesza i tak wierzy, tak wierzy w te swoje rojenia! Czy można jej przeczyć? Dzisiaj przez cały dzień myje, szoruje, naprawia; taka słaba, a szaflik sama dziś wciągnęła do pokoju... zdyszała się i padła na łóżko. Bośmy jeszcze dziś rano były na targu kupić buciki dla Poleńki i Loni, bo stare już im się rozleciały. Zabrakło nam przy płaceniu pieniędzy, dużo zabrakło. Takie miłutkie buciczki wybrała, ma gust, pan o tym nie wie... W sklepie przy kupcach rozpląkała się, że zabrakło... Ach, jak żal było patrzeć na to.

– Tak, wobec tego rozumiem, że pani... tak żyje... – z gorzkim uśmiechem powiedział Raskolnikow.

– A panu może nie żal? Nie żal? – poderwała się znów Sonia. – Wiem, że pan wszystko oddał, choć pan tego nie widział. A gdyby pan to wszystko zobaczył, o Boże! Ileż to razy, ile razy doprowadzałam ją do łez! Jeszcze w zeszłym tygodniu! Tak, ja! Na tydzień przed jego śmiercią. Zachowałam się okrutnie. Ile, ile razy to się zdarzyło! Cały dzień dzisiaj dręczyły mnie te wspomnienia!

Sonia załamywała ręce przy tych bolesnych wspomnieniach.

– To pani ma być okrutnicą?

– Tak, ja, ja! Przyszłam wtedy – ciągnęła, płacząc – a nieboszczyk powiada: „Poczytaj mi, Soniu, głowa mnie jakoś boli, poczytaj... masz tu książkę” i podaje mi książkę, od Andrzeja Siemionowicza sobie pożyczył, od Lebieziatnikowa, tu mieszka, zawsze pożyczał od niego takie zabawne książki. A ja na to: „Muszę już iść” i nie chciałam czytać. Przyszłam do nich głównie po to, żeby Katarzynie Iwanownie pokazać kołnierzyk, co mi go przyniosła Lizawietta handlarzka. I mankieciki, bardzo tanio, ładniutkie, nowiutkie, z hafcikiem. Katarzynie Iwanownie bardzo się podobały. Ubrała się w to, przejrzała w lustrze i ogromnie się jej podobały. „Podaruj mi je, powiada, Soniu, proszę cię”. „Proszę cię” – powiedziała, taką miała na nie ochotę. I gdzie by ona to włożyła? Tak tylko, przypomniały się jej dawne, dobre czasy. Przegląda się w lustrze, zachwyca się, żadnych sukien przecież nie ma, nic, od tylu lat! Nigdy nikogo o nic nie prosiła. Dumna jest, raczej by wszystko swoje oddała... A teraz poprosiła – tak jej się podobały! Mnie było szkoda oddawać. „Na co ci to?” – mówię. Tak właśnie powiedziałam: „na co”. Nie trzeba było jej tego mówić. Popatrzyła na mnie, ciężko jej się na sercu zrobiło, że jej odmówiłam, aż żal było patrzeć... Nie o kołnierzyk jej szło, ale o tę moją odmowę; widziałam to. Ach, gdybym mogła wszystko odwołać, odrobić to wszystko, co powiedziałam... Ach, ja... ale cóż!... co pana to obchodzi!

– Pani znała Lizawietę, handlarzkę?

– Tak... A pan ją znał? – z pewnym zdziwieniem spytała Sonia.

– Katarzyna Iwanowna ma galopujące suchoty, umrze niedługo – rzekł po chwili milczenia Raskolnikow, nie odpowiadając na pytanie.

– Nie, nie, nie! – Sonia odruchowo chwyciła go za obie ręce, jakby prosząc, żeby nie.

– Przecież lepiej, żeby umarła.

– Nie, nie lepiej, wcale nie lepiej! – powtarzała machinalnie, przerażona.

– A dzieci? Dokąd je pani zabierze, jeśli nie do siebie?

– Sama nie wiem! – jęknęła Sonia w rozpacz, chwytając się za głowę.

Widocznie myśl o tym nieraz przychodziła jej do głowy, a on teraz tylko wywołał ją znowu.

– A jeżeli pani jeszcze za jej życia, teraz, zachoruje i będzie w szpitalu, to co wtedy? – nalegał nielitościwie.

– Co też pan mówi, co też pan! To niemożliwe. – Twarz Soni wykrzywiła się w strasznym przerażeniu.

– Dlaczego niemożliwe? – ciągnął Raskolnikow z cierpkim uśmiechem. – Jest pani zaasekurowana? Co się wtedy z nimi stanie? Całą gromadą pójdą na ulicę, ona będzie kaszleć, żebrać i gdzieś głową bić o mur, jak dzisiaj, dzieci będą płakały... Padnie gdzieś, zabiorą do cyrkułu, do szpitala, umrze, a dzieci...

– Ach, nie! Bóg do tego nie dopuści! – wyrwało się wreszcie udręczonej Soni. Słuchała, patrząc na niego błagalnie, składając ręce w niemej prośbie, jak gdyby wszystko zależało od niego.

Raskolnikow wstał i zaczął chodzić po pokoju. Upłynęło kilka chwil. Sonia stała z opuszczoną głową i rękoma, strasznie zgnębiona.

– Nie może pani oszczędzać? Odkładać na czarną godzinę? – zapytał, raptem zatrzymując się przed nią.

– Nie – szepnęła Sonia.

– No, oczywiście! A próbowała pani przynajmniej? – dodał niemal drwiąco.

– Próbowałam.

– I nie udało się! No tak, rozumie się, nie warto pytać.

Znowu zaczął chodzić po pokoju. Przeszło jeszcze parę chwil.

– Nie co dzień pani zarabia?

Sonia zmieszała się jeszcze bardziej, krew uderzyła jej do twarzy.

– Nie – szepnęła z męczeńskim wysiłkiem.

– Z Poleńką na pewno będzie to samo, co z panią – rzucił nagle.

– Nie, nie. To niemożliwe, nie! – jak szalona krzyknęła głośno Sonia, niczym pchnięta nożem. – Bóg, Bóg na taką potworność nie pozwoli!

– Względem innych zezwala.

– Nie, nie! Pan Bóg ją obroni, Bóg!... – powtarzała nieprzytomnie.

– A może Boga wcale nie ma – powiedział Raskolnikow ze złośliwą satysfakcją, roześmiał się i spojrzał na nią.

Twarz Soni zmieniła się nagle; przebiegały po niej drgawki. Spojrzała na niego z niewysłowionym wyrzutem, chciała coś powiedzieć, ale słowa nie mogła wydobyć z gardła i raptem rozplakała się gorzko, kryjąc twarz w dłoniach.

– Pani mówi, że Katarzyna Iwanowna ma pomieszanie zmysłów, ale pani samej rozum się mać – powiedział Raskolnikow po chwili milczenia.

Przeszło znów kilka minut. Raskolnikow ciągle chodził tam i z powrotem, nie patrząc na nią, wreszcie podszedł do niej, oczy mu błyszczały. Ujął ją obiema rękami za ramiona i spojrzał prosto w zapłakane oczy. Spojrzenie



miął suche, palące, ostre, usta mu drgały... Nagle szybko się schylił i uklęknawszy, ucałował jej stopę. Sonia odskoczyła od niego przerażona, jak od szalonego. Rzeczywiście wyglądał jak szaleniec.

– Co pan? Co pan robi? Przede mną! – wyjąkała, blednąc, z boleśnie ściśniętym sercem. Raskolnikow wstał natychmiast.

– Nie tobie się pokłoniłem, lecz całemu ludzkiemu cierpieniu – powiedział z pasją i odszedł do okna. – Słuchaj – dodał, wróciwszy do niej po chwili – powiedziałem niedawno pewnemu oszczercy, że nie jest wart twojego małego palca... i że uczyniłem dziś zaszczyt mojej siostrze, sadzając ją obok ciebie.

– Pan tak powiedział! I przy niej? – krzyknęła przerażona Sonia. – Siedzieć ze mną! Zaszczyt! Przecież ja jestem... upadła... wielka grzesznica! Ach, co pan powiedział!

– Nie dlatego to powiedziałem, że jesteś upadła i że jesteś grzesznicą, ale z powodu twojego wielkiego cierpienia. Tak, jesteś wielką grzesznicą, to prawda – dodał uroczyście. – A największym twoim grzechem jest to, że *na próżno* zatraciłaś siebie i sprzedałaś. Czy to nie okropne? Czy to nie jest okropne, że żyjesz w bagnie, którego tak nienawidzisz, i że sama rozumiesz (gdy tylko chcesz oczy na to otworzyć), że nikomu tym dobrze nie robisz i nikogo tym nie ratujesz! Powiedz mi nareszcie – mówił w zapamiętaniu – jak to się dzieje, że w tobie taka hańba i podłość godzą się z innymi, świętymi uczuciami? Przecież słuszniej by było, tysiąc razy słuszniej i mądrzej skoczyć do wody i raz z tym skończyć.

– A co się stanie z nimi? – nieśmiało spytała Sonia, spojrzawszy na niego z męką w oczach, jednocześnie jednak jakby wcale nie zdziwiona jego słowami.

Raskolnikow dziwnie popatrzył na nią. Wyczytał wszystko w jej jednym spojrzeniu. Więc ona sama już zastanawiała się nad tym. Możliwe, że już nieraz myślała w rozpacz, żeby od razu skończyć ze sobą i to tak dalece na serio, że teraz nie zdziwiły jej jego słowa. Nie zauważyła nawet ich okrucieństwa (nie zrozumiała również znaczenia jego wyrzutów i jego szczególnego poglądu na jej upadek, i było to widoczne). Ale on rozumiał, do jakiego stopnia gnębiła ją już od dawna bolesna myśl o jej upadłym, haniebnym życiu. „Co właściwie wstrzymywało ją do tej chwili, myślał, że nie zdecydowała się już skończyć ze sobą?”. I dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, ile znaczyły dla niej te biedne, małe sierotki i ta nieszczęsna, półobłąkana suchotnica, bijąca głową o mur. Niemniej jednak rozumiał doskonale, że Sonia ze swoim usposobieniem i z pewnym wykształceniem, jakie otrzymała, z pewnością nie zniesie dłużej takiej sytuacji. Zagadką tylko było: jak mogła wytrzymać tak długo i nie zwariować, skoro nie starczyło jej sił na to, by skoczyć do rzeki? Rozumiał, że sytuacja, w jakiej się znalazła, jest w społeczeństwie zjawiskiem przypadkowym, choć niestety, nie odosobnionym i nie wyjątkowym. Ale właśnie ta przypadkowość, niejaki jej wykształcenie, całe poprzednie życie powinny były ją przecież zabić przy pierwszym kroku na tej ohydnej drodze. Co dodawało jej sił? Czy rozpusta? Hańba dotknęła ją raczej czysto mechanicznie. Prawdziwe zepsucie jeszcze

ani trochę nie przeniknęło do jej serca. Zdawał sobie z tego sprawę: widział to, stała przed nim na jawie...

„Ma przed sobą trzy drogi, myślał, utopić się w kanale, skończyć w domu wariatów albo... rzucić się w wir rozpusty, odurzającej mózg i wysuszającej serce”. Ostatnia ewentualność była dla niego najwstrętniejsza, ale że był już sceptykiem, teoretykiem, młodym i dlatego okrutnym, przeto wierzył, że właśnie rozpusta była najprawdopodobniejsza.

„Czy to możliwe – myślał – że i to stworzenie, które zachowało jeszcze czystą duszę, z całą świadomością pograży się w końcu w ohydnej, cuchnącej kloace? A może już zaczęła grzęznąć i właśnie dlatego wytrzymała dotychczas, że grzech nie wydaje się jej już tak odrażający? Nie, nie, to niemożliwe! – wołał jak poprzednio Sonia. – Nie, przed rynsztokiem broniła ją dotychczas myśl o grzechu i *one, te...* A jeżeli nie zwariowała dotychczas... ale kto powiedział, że nie zwariowała? Czy jest przy zdrowych zmysłach? Czy można tak mówić, jak ona? Czy przy zdrowych zmysłach można tak rozumować? Czyż można trwać tak nad brzegiem przepaści, nad cuchnącą kloaką, w której już zaczyna się grzęznąć, i machać ręką, zatykać uszy, gdy się ją ostrzega przed niebezpieczeństwem? Na co ona liczy, czy czeka na cud? Chyba tak. A czyż to nie dowodzi pomieszania zmysłów?”

Uparcie obstawał przy tej myśli. Takie rozwiązanie podobało mu się nawet bardziej niż inne. Zaczął przyglądać się jej uważniej.

– Więc ty często się modlisz, Soniu? – zapytał. Sonia milczała, on stał obok i czekał na odpowiedź.

– Czymże byłabym bez Boga? – szepnęła prędko i gwałtownie, rzuciła na niego przelotne spojrzenie nagle rozbłyśniętym oczu i mocno ścisnęła jego rękę.

„Miałem rację!” – pomyślał.

– I cóż masz za to od Boga? – zapytał, dociekając dalej. Sonia długo milczała, jakby nie mogła wydobyć głosu. Jej wątpa pierś falowała ze wzruszenia.

– Niech pan przestanie! Niech pan nie pyta! Pan nie wart... – krzyknęła surowo, patrząc na niego z oburzeniem.

„Mam rację! Mam rację!” – uparcie powtarzał Raskolnikow w myśli.

– Wszystko mam! – szepnęła prędko i znowu spuściła wzrok.

„Oto rozwiązanie! I wyjaśnienie rozwiązania” – pomyślał i przyglądał się jej z zachłanną ciekawością.

Z innym teraz, dziwnym, prawie bolesnym uczuciem przyglądał się tej bladej, szczupłej, nieregularnej i kanciastej twarzyczce, łagodnym niebieskim oczom, które umiały zapłonąć takim ogniem, taką surową, żywiołową namiętnością, i drobnej figurce, drżącej jeszcze z oburzenia i gniewu. Cała ta historia zaczęła mu się wydawać dziwna, niemal nieprawdopodobna. „Opętana, opętana!” – powtarzał w myśli.

Na komodzie leżała jakaś książka. Zauważył ją, chodząc po pokoju, teraz wziął ją do ręki. Był to Nowy Testament w rosyjskim przekładzie. Książka była stara, zniszczona, w skórzanej oprawie.

– Skąd to masz? – krzyknął z drugiego końca pokoju. Stała wciąż w tym

samym miejscu, o trzy kroki od stołu.

– Dostałam – odpowiedziała niechętnie, nie patrząc na niego.

– Od kogo dostałaś?

– Lizawieta przyniosła, prosiłam ją.

„Lizawieta! Dziwne!” – pomyślał. Sonia stawała się dla niego z każdą chwilą coraz dziwniejsza i coraz osobliwsza. Przyniósł książkę do światła i zaczął przewracać kartki.

– Gdzie tu jest o Łazarzu? – zapytał. Sonia wciąż patrzyła w podłogę i nie odpowiadała. Stała nieco bokiem do stołu.

– Gdzie tu jest o wskrzeszeniu Łazarza? Znajdź mi, Soniu.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Źle pan szuka... w czwartej Ewangelii – szepnęła surowo, nie zbliżając się do niego.

– Odszukaj i przeczytaj mi – powiedział, usiadł, łokcie oparł na stole, ujął rękami głowę i posepnie wpatrzył się gdzieś w bok, gotów do słuchania.

„No, to za jakieś trzy tygodnie do zobaczenia w wariatkowie! Wygląda na to, że sam się tam znajdę, jeśli nie trafię w jeszcze gorsze miejsce” – wymamrotał w myśli.

Sonia z wahaniem podeszła do stołu, z niedowierzaniem wysłuchawszy dziwnej propozycji Raskolnikowa. Wzięła jednak książkę do ręki.

– Czy pan tego nie czytał? – zapytała, spojrzawszy na niego przez stół z ukosa. Głos jej stawał się coraz surowszy.

– Czytałem dawno temu, kiedy się uczyłem. Czytaj!

– W cerkwi pan nie słyszał?

– Ja... nie chodzę. A ty często chodzisz?

– N-nie... – szepnęła Sonia. Raskolnikow uśmiechnął się.

– Rozumiem. Zatem na pogrzeb ojca jutro też nie pójdziesz?

– Pójdę. W zeszłym tygodniu także byłam... na mszy żałobnej.

– Za kogo?

– Za Lizawietę. Zabili ją, siekierą.

Nerwy drgały w nim coraz bardziej. W głowie zaczęło mu się mącić.

– Przyjaźniłaś się z Lizawietą?

– Tak... Ona była sprawiedliwa... przychodziła... rzadko... nie mogła... Czytywałyśmy i... rozmawiałyśmy. Będzie oglądała oblicze Boga.

Dziwne wydało mu się to książkowe wyrażenie i znowu niespodzianka: jakieś tajemnicze spotkanie z Lizawietą, a obie opętane.

„I mnie ogarnie tutaj opętanie! To zaraźliwe” – pomyślał.

– Czytaj! – ponaglił Sonię rozdrażniony. Sonia wahała się jeszcze. Serce jej biło. Nie mogła się odważyć – ona jemu ma czytać. Patrzył, w męce niemal, na „nieszczęsną obłąkaną”.

– Po co to panu? Przecież pan jest niewierzący? – szepnęła urywanym głosem.

– Czytaj! Chcę tego! – nalegał. – Czytałaś przecież Lizawiecie.

Sonia otworzyła książkę i wyszukała miejsce. Ręce jej się trzęsły, brakło tchu. Dwa razy zaczynała czytać i nie mogła wymówić pierwszej sylaby.

– „A zachorował niejaki Łazarz z Betanii”<sup>[103]</sup> – zaczęła wreszcie

z wysiłkiem, lecz przy trzecim wyrazie głos jej drgnął i urwał się nagle, jak pęknięta struna. Dech jej zaparło, ciężar przygniatał jej piersi.

Raskolnikow poniekąd rozumiał, dlaczego Sonia nie mogła się przemóc, by mu czytać. A im bardziej rozumiał, tym brutalniej nalegał, by czytała. Zbyt dobrze wyczuwał, jak trudno przychodziło jej teraz zdradzenie i uzewnętrznienie swego *ja*. Rozumiał, że te uczucia rzeczywiście stanowiły jej prawdziwą, dawną *tajemnicę*, jeszcze z czasów najwcześniejszej młodości, gdy mieszkała z rodziną, przy nieszczęsnym ojcu i obłąkanej z niedoli macosze, pośród głodnych dzieci, potwornych wrzasków i wymówek. Zarazem był przekonany, że chociaż, zabierając się do czytania, Sonia cierpiąca i bała się czegoś bardzo, mimo to gorąco pragnęła czytać, nie zważając na swoją udrękę i obawy. I właśnie *jemu*, żeby słyszał. I właśnie *teraz*, „cokolwiek ma się stać potem!...”. Ujrzał to w jej oczach, zrozumiał z radosnego poruszenia!... Przemogła się, opanowała ściskający gardło spazm, który przerwał jej w połowie wersetu, i czytała dalej jedenasty rozdział Ewangelii św. Jana. Doczytała do dziewiętnastego wersetu.

– „I przyszło wielu Żydów do Marty i Marii, aby je pocieszyć po stracie brata. Gdy więc Marta usłyszała, że Jezus idzie, wybiegła na jego spotkanie; ale Maria siedziała w domu. Rzekła więc Marta do Jezusa: Panie! Gdybyś tu był, nie byłby umarł brat mój. Ale i teraz wiem, że o cokolwiek byś prosił Boga, da ci to Bóg”.

Tu przerwała, czując ze wstydem, że głos jej znów drgnął i może się załamać...

– „Rzekł jej Jezus: Zmartwychwstanie brat twój. Odpowiedziała mu Marta: Wiem, że zmartwychwstanie przy zmartwychwstaniu w dniu ostatecznym. Rzekł jej Jezus: *Jam jest zmartwychwstanie i życie*; kto we mnie wierzy, choćby i umarł, żyć będzie. A kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki. Czy wierzysz w to? Rzecze mu...”.

Ciężko dysząc, Sonia czytała dobitnie i głośno, jakby to ona sama czyniła publiczne wyznanie wiary.

– „Tak, Panie! Ja uwierzyłam, że Ty jesteś Chrystus, Syn Boży, który miał przyjść na świat”.

Zatrzymała się, spojrzała na niego, czym prędzej opanowała się i czytała dalej. Raskolnikow siedział oparty o stół, słuchał w milczeniu, nieruchomo patrząc w bok. Dobiegła do trzydziestego drugiego wersetu:

– „Lecz gdy Maria przyszła tam, gdzie był Jezus, i ujrzała go, padła mu do nóg, mówiąc do niego: Panie, gdybyś tu był, nie byłby umarł mój brat. Jezus tedy, widząc ją płaczącą i płaczących Żydów, którzy z nią przyszli, rozrzewnił się w duchu i wzruszył się. I rzekł: Gdzie go położyliście? Rzekli do niego: Panie, pójdź i zobacz. I zapłakał Jezus. Rzekli więc Żydzi: Patrz, jak go miłował. A niektórzy z nich mówili: Nie mógł ten, który ślepemu otworzył oczy, uczynić, aby i ten nie umarł?”.

Raskolnikow zwrócił się do niej i patrzył ze wzruszeniem. Naprawdę! Sonia trzęsła się cała w prawdziwej, rzeczywistej gorączce. Spodziewał się tego. Zbliżyła się do słów o największym, niesłychanym cudzie i opanowało ją uczucie wielkiego triumfu. Głos jej stał się dźwięczny jak metal, triumf

i radość brzmiały w nim i potęgowały go. Wersety pisma zacierały się, w oczach jej ciemniało, ale i tak umiała na pamięć to, co czytała. Przy ostatnim wierszu: „Nie mógł, ten który ślepemu otworzył oczy...” – zniżywszy głos, gorąco i namiętnie oddała zwątpienie, wyrzut i bluźnierstwo niedowierzających, zaślepionych Żydów, którzy za chwilę upadną, niczym gromem rażeni, zapłaczą i uwierzą.. „I on, on również zaślepiony i niewierzący, on także za chwilę usłyszy, także uwierzy, tak, tak! Zaraz, natychmiast!” – marzyła i drżała w radosnym oczekiwaniu.

– „Jezus, znowu rozrzewniwszy się w sobie, poszedł do grobu; była tam pieczara, u której wejścia leżał kamień. Rzekł Jezus: Usuńcie kamień. Rzekła mu Marta, siostra umarłego: Panie! Już cuchnie, bo już jest czwarty dzień w grobie”.

Wyraźnie zaakcentowała słowo *czwarty*.

„Rzekł jej Jezus: Czyż ci nie powiedziałem, że jeśli uwierzysz, oglądać będziesz chwałę Bożą? Usunęli więc kamień, gdzie leżał umarły. A Jezus, wzniosłszy oczy w górę, rzekł: Ojcze, dziękuję ci, żeś mnie wysłuchał. A ja wiedziałem, że mnie zawsze wysłuchujesz, ale powiedziałem to ze względu na lud stojący wkoło, aby uwierzyli, że Tyś mnie posłał. A gdy to rzekł, zawołał donośnym głosem: Łazarzu, wyjdź! I wyszedł umarły...”.

Czytała głośno, w uniesieniu, drżąc i truchlejąc, jak gdyby sama oglądała to na własne oczy.

„...mając nogi i ręce powiązane opaskami, a twarz jego była owinięta chustą. Rzekł do nich Jezus: Rozwiążcie go i pozwólcie mu odejść.

*Wielu więc z Żydów, którzy przyszli do Marii i ujrzeli to, czego dokonał Jezus, uwierzyło w niego”.*

Nie czytała dalej i czytać nie mogła, zamknęła książkę i pospiesznie wstała z krzesła.

– To już wszystko o Łazarzu – powiedziała urywanym, ale surowym szeptem. Stała nieruchomo, odwróciwszy się, nie śmiejąc spojrzeć na niego, jakby zawstydzona. Ciągle jeszcze wstrząsały nią gorączkowe drgawki. Ogarek świecy dogasał w krzywym lichtarzu, mętnie oświetlając w tym nędznym pokoiku zabójcę i jawnogrzesznicę, których tak dziwnie zbliżyła wieczna księga. Przeszło z pięć minut, a może więcej.

– Przyszedłem pomówić o pewnej sprawie – zasepiwszy się, raptem odezwał się Raskolnikow, wstał i podszedł do Soni.

Milcząc, podniosła na niego oczy. Spojrzenie jej było szczególnie surowe, malowała się w nim jakaś niesamowita stanowczość.

– Porzuciłem dziś moją rodzinę – powiedział Raskolnikow – matkę i siostrę. Nie pójdę już do nich. Zerwałem zupełnie.

– Dlaczego? – zapytała jakby oszołomiona Sonia.

Wczorajsze spotkanie z jego matką i siostrą wywarło na niej niezwykle wrażenie, choć nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiadomości o zerwaniu wysłuchiwała z przerażeniem.

– Mam teraz tylko ciebie jedną – dodał Raskolnikow. – Chodźmy razem... Przyszedłem do ciebie. Oboje jesteście przeklęci, chodźmy więc razem!

Oczy mu błyszczały. „Zupełnie jakby był niespełna rozumu!” – pomyślała

Sonia.

– Dokąd pójdziemy? – zapytała przerażona, cofając się mimo woli.

– Skąd mam wiedzieć? Wiem tylko, że pójdziemy tą samą drogą, wiem na pewno – to wszystko. Mamy jeden cel!

Patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc. To jedno tylko pojmowała, że jest on strasznie, nieskończenie nieszczęśliwy.

– Nikt z nich nic nie zrozumie, gdybyś im powiedziała – ciągnął dalej Raskolnikow – ale ja zrozumiałem. Jesteś mi potrzebna, dlatego przyszedłem do ciebie.

– Nie rozumiem... – szepnęła Sonia.

– Zrozumiesz później. Czyż nie uczyniłaś tego samego? Ty także przekroczyłaś... potrafiłaś przekroczyć. Targnęłaś się na swe życie, zmarnowałaś życie... *własne* (a to wszystko jedno!). Mogłaś żyć duchem i rozumem, skończysz zaś na placu Siennym... Ale to jest ponad twoje siły i jeśli zostaniesz *sama*, zwariujesz jak i ja. Już teraz wyglądasz jak obłąkana, więc powinniśmy iść razem, jedną drogą. Chodźmy!

– Dlaczego? Po co to wszystko? – powiedziała Sonia, dziwnie zaniepokojona i przejęta jego słowami.

– Dlaczego? Dlatego, że tak dalej być nie może – oto dlaczego! Należy wreszcie ocenić wszystko poważnie i po męsku, a nie płakać jak dziecko i wołać, że Bóg nie dopuści! A co będzie, jeżeli rzeczywiście jutro odwiozą cię do szpitala? Tamta, pomyłona suchotnica, umrze niebawem, a dzieci? Czy Poleńka się nie zmarnuje? Przecież widywałaś tutaj, na rogach ulic, dzieci, które matki wysyłają na żebrzy? Dowiadywałem się, gdzie mieszkają takie matki i w jakich warunkach. Tam dzieci nie mogą być dziećmi, tam siedmiolatek jest rozpustnikiem i złodziejem. A przecież dzieci to obraz i podobieństwo Boga: „ich jest Królestwo Niebieskie”<sup>[104]</sup>. Chrystus kazał je czcić i kochać, są one przyszłą ludzkością...

– Cóż więc, coż więc robić? – z histerycznym szlochem, załamując ręce, powtarzała Sonia.

– Co robić? Skruszyć, co trzeba, raz na zawsze, i to wszystko, a cierpienie wziąć na siebie! Nie rozumiesz? Zrozumiesz później... Wolność i władza, a przede wszystkim władza! Nad wszystkimi drżącymi stworami, nad całym mrowiskiem!... Oto cel! Zapamiętaj to sobie! To jest moje dla ciebie błogosławieństwo na drogę! Być może, że rozmawiam z tobą po raz ostatni. Jeżeli jutro nie przyjdę, dowiesz się o wszystkim sama, a wtedy przypomnij sobie, co ci dziś mówiłem. I kiedyś później, po latach, może zrozumiesz znaczenie moich słów. Jeżeli przyjdę jutro, to powiem ci, kto zabił Lizawietę. Żegnaj!

Sonia zadrżała z przerażenia.

– A czy pan wie, kto zabił? – zapytała, lodowaciejąc ze strachu i patrząc na niego dzikim wzrokiem.

– Wiem i powiem... Tobie, tobie jednej. Ciebie wybrałem. Nie przyjdę prosić o przebaczenie, po prostu powiem. Dawno cię wybrałem, żeby ci to powiedzieć, i jeszcze wtedy, kiedy mi ojciec twój o tobie opowiadał, a Lizawieta żyła, postanowiłem to sobie. Żegnaj! Nie podawaj mi ręki. Jutro.

Wyszedł. Sonia patrzyła za nim jak za obłąkańcem, ale i ona sama była półprzytomna i czuła to. Kręciło się jej w głowie. „Boże! Skąd on wie, kto zabił Lizawietę? Co znaczą jego słowa? To straszne!”. Lecz mimo to *myśl* nie przychodziła jej do głowy. Zupełnie nie!

„O, on musi być bardzo nieszczęśliwy!... Porzucił matkę i siostrę. Dlaczego? Co się stało? Jakże ma właściwie zamiary? O czym mówił? Ucałował mi nogi i mówił... Mówił (tak, wyraźnie to powiedział!), że nie może beze mnie żyć... O, Boże!”.

Całą noc Sonia gorączkowała, majacząc. Zrywała się czasami, płakała, załamywała ręce, to znów zapadała w gorączkowy sen, śniły się jej Poleńka, Katarzyna Iwanowna, Lizawieta, czytanie Ewangelii i on... On, blady, z płonącymi oczyma... Całuje jej nogi, płacze. O Boże!

Za drzwiami na prawo, za tymi samymi drzwiami, które oddzielały mieszkanie Soni od mieszkania Gertrudy Ressler, znajdował się pokój przejściowy, od dawna niezamieszkały, należący do mieszkania pani Ressler i odnajmowany przez nią, jak głosiły naklejki w bramie i ogłoszenia przyklejone na szybach okien wychodzących na kanał. Sonia była przekonana, że pokój ten jest pusty. Tymczasem przez tę godzinę przy drzwiach niezamieszkanego pokoju stał Swidrygajłow i zaczaiwszy się, słuchał. Kiedy Raskolnikow wyszedł, Swidrygajłow postać jeszcze chwilę, pomyślał, poszedł na palcach do swego pokoju, sąsiadującego z pustym, wziął krzesło i po cichu przystawił je do samych drzwi pokoju Soni. Rozmowa wydała mu się zajmująca i znamienna. I bardzo, bardzo mu się podobała, tak dalece, że przyniósł krzesło, żeby w przyszłości, choćby na przykład jutro, nie narażać się na niewygodę stania przez całą godzinę, lecz urządzić się bardziej komfortowo i być zadowolonym pod każdym względem...



Kiedy następnego dnia rano, punktualnie o jedenastej, Raskolnikow wszedł do biura wydziału śledczego ...skiego komisariatu i zameldował się do Porfirego Pietrowicza, zdziwił się, że kazano mu czekać: przynajmniej dziesięć minut upłynęło, zanim go wpuszczono. Według jego przewidywań powinni byli od razu rzucić się na niego, tymczasem zaś stał w poczekalni, a obok niego kręcili się ludzie, najwidoczniej zupełnie się nim nieinteresujący. W następnym pokoju, wyglądającym na kancelarię, siedziało i pisało kilku pisarzy i widać było, że żaden z nich nie miał pojęcia, kim jest Raskolnikow. Niespokojnie i podejrzliwie rozglądał się po poczekalni, wypatrując, czy nie znajdzie koło siebie jakiegoś konwojenta, czy nie obserwuje go jakieś badawcze oko, by nie uciekł. Ale nic nie zauważył. Widział tylko typowe, kancelaryjne, zmęczone drobnymi troskami twarze i jeszcze jakichś ludzi. Nikt nie zwracał na niego uwagi, mógłby nawet iść sobie, gdzie oczy poniosą. Upewniał się coraz bardziej, że gdyby ten wczorajszy tajemniczy gość, to widmo, które zjawilo się jak spod ziemi, rzeczywiście wszystko widział i wszystko wiedział, to jemu, Raskolnikowowi, nie dane byłoby teraz tak spokojnie stać i czekać... Czyż czekano by na niego do godziny jedenastej, aż sam raczy się pofatygować? Wobec tego albo ten człowiek o niczym nie doniósł, albo... albo po prostu nie wie o niczym i nic nie widział na własne oczy (zresztą jak mógłby widzieć?). Czyli że wszystko, co się z nim, Raskolnikowem, wczoraj działo, było przywidzeniem wyolbrzymionym przez jego podnieconą i chorą wyobraźnię. To domniemanie zaczęło się umacniać w nim jeszcze wczoraj, w czasie największej trwogi i rozpacz. Przemyślawszy to wszystko teraz raz jeszcze i gotując się do nowej walki, poczuł nagle, że drży, i zawrzał z oburzenia na myśl, że drży ze strachu przed nienawistnym Porfiry Pietrowiczem. Ponowne spotkanie z tym człowiekiem było dla niego czymś najstraszniejszym. Nienawidził go ponad wszelką miarę, bezgranicznie i aż się lękał, że zdradzi się ze swą nienawiścią. Oburzenie jego było tak silne, że powstrzymało drżenie. Przygotowywał się, aby wejść z zimną, zuchwałą twarzą, i dał sobie słowo, że będzie się starał milczeć, patrzeć i słuchać i że tym razem za wszelką cenę zapanuje nad swoimi chorobliwie napiętymi nerwami. W tej chwili wezwano go do Porfirego Pietrowicza.

Tak się złożyło, że w danym momencie Porfiry Pietrowicz był sam w swoim gabinecie. Gabinet ów był to pokój średniej wielkości. Stał w nim wielki stół przed kanapą obitą ceratą, biurko, w kącie szafa, kilka krzeseł – wszystkie te biurowe sprzęty były z jasnego, politurowanego drewna. W kącie, w tylnej ścianie albo raczej przepierzeniu, znajdowały się zamknięte drzwi: widocznie za przepierzeniem były jeszcze jakieś pokoje. Po wejściu Raskolnikowa Porfiry Pietrowicz zamknął drzwi wejściowe i zostali sami. Porfiry Pietrowicz przyjął Raskolnikowa wesoło i uprzejmie i dopiero po jakimś czasie Raskolnikow z pewnych oznak wywnioskował, że Porfiry Pietrowicz jest zmieszany, jakby go nagle zaskoczono czy przyłapano na czymś bardzo intymnym.

– Szacuneczek! Witam... na naszych śmieciach... – zaczął Porfiry Pietrowicz, wyciągając na powitanie obie ręce. – Siadaj, dobrodzieju! A może pan nie lubi, jak się mówi szacuneczek i... i dobrodziej, tak *tout court*<sup>[105]</sup>! Niech mi pan wybaczy poufałość. Tutaj proszę, na kanapkę.

Raskolnikow usiadł, nie spuszczać oczu z Porfirego.

„Na naszych śmieciach”, przeprosiny za poufałość, francuskie *tout court* i tak dalej, i tak dalej, wszystko to było bardzo znamienne. „Wyciągnął do mnie obie ręce, ale żadnej mi nie podał, w porę je cofnął” – przemknęła mu podejrzliwa myśl. Obaj bacznie się obserwowali, lecz gdy tylko ich spojrzenia się spotkały, błyskawicznie odwracali wzrok.

– Przyniosłem panu ten papierek... w sprawie zegarka... Proszę. Jest dobrze czy trzeba przerobić?

– Co? Papierek? Tak, tak, niech pan będzie spokojny, w porządku – powiedział, jakby spiesząc się dokąds, Porfiry Pietrowicz i dopiero powiedziawszy to, wziął pismo i przeczytał. – Tak, w porządeczku. Nic więcej nie trzeba – powiedział równie pospiesznie i położył kartkę na stole. Potem, po chwili, mówiąc już o czymś innym, przełożył ją ze stołu do siebie na biurko.

– Pan, zdaje się, wspominał wczoraj, że chciałby zapytać mnie... formalnie... o moją znajomość z tą... zabitą? – zaczął Raskolnikow. „Po co wstawiłem to *zdaje się*” – przeleciało mu jak błyskawica przez głowę. „Dlaczego tak niepokoje się tym, że wstawiłem to *zdaje się* – błysnęła następna myśl.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jego drażliwość od samego zetknięcia się z Porfiryem, na skutek dwóch wyrazów, dwóch tylko spojrzeń rozrosła się w jednej chwili do potwornych rozmiarów... i że jest to bardzo niebezpieczne: nerwy zawodzą, zdenerwowanie wzrasta. „Źle, źle... znów powiem za dużo!”.

– Tak, tak, tak! Może pan być spokojny! Co się odwlecze, to nie uciecze – mamrotał Porfiry Pietrowicz, chodząc koło stołu, jakby bez celu, kierując się to ku oknu, to do biurka, to znów do stołu. To unikał podejrzliwego spojrzenia Raskolnikowa, to znów sam stawał i patrzył mu prosto w oczy. Nadzwyczaj zabawnie wyglądała przy tym jego mała, tłuściutka i okrągła figurka, która jak piłka toczyła się w różne strony i zaraz odbijała się od wszystkich ścian i kątów.

– Zdażymy, zdażymy!... Pan pali? Ma pan papierosy? Proszę papierosika – ciągnął, podając gościowi papierosy. – Przyjmuję pana tutaj, ale przecież moje mieszkanie jest tuż obok, za przepierzeniem... Służbowe. Na razie mieszkam prywatnie. Trzeba było przeprowadzić pewien remoncik. Już prawie skończony... Wie pan, służbowe mieszkanie to doskonała rzecz. Jak pan myśli?

– Tak, doskonała rzecz – odpowiedział Raskolnikow, patrząc na niego niemal drwiąco.

– Doskonała rzecz, doskonała rzecz... – powtarzał Porfiry Pietrowicz, jakby nagle pomyślał o czymś zupełnie innym. – Tak, doskonała rzecz! – w końcu krzyknął prawie i spojrzawszy nagle na Raskolnikowa, zatrzymał się o dwa kroki przed nim. Uporczywe, głupawe powtarzanie, że służbowe mieszkanie to doskonała rzecz, stało w zbyt jaskrawej sprzeczności z poważnym,

myślącym i zagadkowym spojrzeniem, jakie rzucił teraz Porfiry Pietrowicz na swego gościa.

Podnieciło to wściekłość Raskolnikowa. Nie mógł powstrzymać się od drwiącego i dosyć nieostrożnego wyzwania:

– A czy pan wie – zapytał nagle, patrząc na Porfirego Pietrowicza niemal zuchwale i jakby upajając się swą zuchwałością – że istnieje, zdaje się, takie prawnicze prawidło, taki chwyt prawniczy przy wszelkiego rodzaju dochodzeniach: zacząć z daleka, od drobiazgów albo nawet od rzeczy poważnych, ale zupełnie obojętnych, żeby jak się to mówi, dodać otuchy przesłuchiwanemu, a właściwie, aby rozproszyć jego uwagę, uśpić czujność, a potem nagle i całkiem niespodzianie walnąć prosto w łeb jakimś najfatalniejszym i najniebezpieczniejszym pytaniem, czy tak? Wszelkie regulaminy i instrukcje do dziś dnia, zdaje się, święcie się tego trzymają.

– Tak, tak... Więc sądzi pan, że ja pana tym służbowym mieszkaniem, tego... co? – Powiedziawszy to, Porfiry Pietrowicz przymknął oczy i mrugnął porozumiewawczo. Coś wesołego i chytrego błysnęło mu w twarzy, zmarszczki na czole się wygładziły, twarz się wyciągnęła, oczka zwężyły i nagle zaniósł się długim, nerwowym śmiechem. Trzęsąc się i kołysząc całym ciałem, patrzył prosto w oczy Raskolnikowowi. Ten zaczął się również śmiać, choć z przymusem, lecz gdy Porfiry Pietrowicz, widząc to, wybuchnął takim śmiechem, że aż spurpurowiał, wstręt przemógł w Raskolnikowie przezorność: przestał się śmiać, zasępił się i długo, z nienawiścią patrzył na Porfirego Pietrowicza, nie spuszczając wzroku przez cały czas jego długiego, jakby rozmyślnie przewlekanego śmiechu. Nieostrożności dopuściły się jednak obie strony: wyglądało to tak, jakby Porfiry Pietrowicz w oczy wyśmiewał się z Raskolnikowa i nic sobie nie robił z tego, że ten drugi odnosi się do niego z nienawiścią. Raskolnikow uważał tę okoliczność za wiele znaczącą. Zrozumiał, że Porfiry Pietrowicz poprzednio również nic sobie z niego nie robił, przeciwnie, że to on właśnie, Raskolnikow, wpadł w pułapkę, że kryje się tu oczywiście coś, o czym nie wie, jakiś cel, że być może, wszystko jest już zaplanowane, lada chwila ujawni się i zaatakuje...

Wstał, wziął czapkę i przystąpił wprost do rzeczy:

– Porfiry Pietrowiczu – zaczął zdecydowanym, choć dość podrażnionym tonem. – Wczoraj wyjawiał pan życzenie, abym przyszedł do pana na jakieś *przesłuchanie*. – Zaakcentował specjalnie wyraz przesłuchanie. – Przyszedłem. Jeżeli to panu potrzebne, proszę pytać, jeśli nie, niech mi pan pozwoli odejść. Nie mam czasu, mam coś do załatwienia... Muszę iść na pogrzeb tego urzędnika stratowanego przez konie, o którym pan również wie – dodał, zły zaraz na siebie za ten dodatek, i ciągnął z większym jeszcze rozdrażnieniem: – Zbrzydło mi to wszystko, słyszy pan, i to już od dawna... i również przyczyniło się do mojej choroby, słowem – prawie krzyknął, zdając sobie sprawę z tego, że zdanie o chorobie jest jeszcze bardziej niewłaściwe – słowem, zechce pan przesłuchać mnie lub zwolnić, i to zaraz... Jeżeli zaś ma pan przesłuchiwać, to nie inaczej niż formalnie! Inaczej się nie zgodzę. Tymczasem żegnaj pana, bo my obaj nie mamy tu wspólnie nic do roboty.

– Boże! O co panu chodzi! Po cóż mam pana przesłuchiwać? – zagdakał nagle Porfiry Pietrowicz, zmieniając natychmiast ton i wyraz twarzy oraz momentalnie przestając się śmiać. – Niechże pan się uspokoi! – Porfiry Pietrowicz miotał się znów na wszystkie strony i usiłował usadowić Raskolnikowa. – Co się odwlecze, to nie uciecze, a wszystko to są głupstwa! Przeciwnie, cieszę się, że pan nas nareszcie odwiedził. Traktuję pana jako gościa. Pan mi wybaczy ten przekłęty śmiech, Rodionie Romanowiczu, bo tak chyba panu na imię? Jestem nerwowy, rozśmieszył mnie pan swoją dowcipną uwagą. Czasami, słowo daję, trzęsę się tak z pół godziny jak gumelastyka<sup>[106]</sup>... Skłonny jestem do śmiechu. Przy mojej kompleksji boję się nawet udaru. Niechże pan siada, co się z panem dzieje? Proszę, dobrodzieju, bo pomyślę, że się pan obraził...

Raskolnikow słuchał w milczeniu i obserwował go, wciąż jeszcze gniewnie zasępiony. Usiadł wprawdzie, ale nie wypuszczał z rąk czapki.

– Powiem panu pewną rzecz o sobie, że się tak wyrażę, jako przyczynek do mojej charakterystyki – ciągnął Porfiry Pietrowicz, miotając się po pokoju i w dalszym ciągu unikając spojrzenia swego gościa. – Jestem, widzi pan, człowiekiem nieżonatym, nieświatowym i nieznanym, a ponadto człowiekiem skończonym, skostniałym, przejrzałym i... i... Czy zauważył pan, Rodionie Romanowiczu, że u nas, to jest u nas w Rosji, a zwłaszcza w naszych sferach petersburskich, gdy spotykają się dwaj mądrzy ludzie, którzy jeszcze się dobrze nie znają, ale że tak powiem, szanują się nawzajem, jak na przykład my z panem, to przez całe pół godziny nie mogą znaleźć tematu do rozmowy: siedzą sztywni i skrępowani. Wszyscy znajdują temat do rozmowy, kobiety na przykład... ludzie światowi na przykład, ludzie z wyższych sfer zawsze mają temat do rozmowy, *c'est de rigueur*<sup>[107]</sup>, a ludzie przeciętni, jak my, zawsze są onieśmieleni i małomówni... oczywiście, ludzie myślący, chciałem powiedzieć. Dlaczegoż to tak jest, dobrodzieju? Nie interesujemy się sprawami ogólnymi czy też jesteśmy aż nazbyt uczciwi i nie chcemy się oszukiwać wzajemnie? Nie wiem. Co? Jak pan sądzi? Niechże pan odłoży kaszkiek, bo to wygląda tak, jakby pan miał już odejść, naprawdę przykro mi... Ja przeciwnie, cieszę się...

Raskolnikow odłożył czapkę i w dalszym ciągu milcząc, poważny i zasępiony przysłuchiwał się beztreściwej i mętnej paplaninie Porfirego Pietrowicza. „Czy on rzeczywiście zamierza rozproszyć moją uwagę tą swoją głupią gadaniną?”

– Kawą pana nie częstuję, bo tu nie bardzo wypada, ale dlaczego nie mam sobie zrobić przyjemności i nie posiedzieć pięć minut z przyjacielem – bez przerwy paplał Porfiry Pietrowicz. – I wie pan, te wszystkie obowiązki służbowe... ale niech się pan, dobrodzieju, nie gniewa, że ja tak ciągle chodzę tam i z powrotem, przepraszam, bardzo się boję, żeby pana, dobrodzieju, nie obrazić, a te trochę ruchu jest mi niezbędnie potrzebne. Ciągle siedzę i rad jestem, że z pięć minut mogę pochodzić... hemoroidy... zamierzam się leczyć gimnastyką. Podobno radcy stanu, rzeczywiści radcy stanu, a nawet tajni radcy<sup>[108]</sup> chętnie skaczą sobie przez sznureczek.

Wszystko teraz nauka, w naszych czasach... tak... Co się zaś tyczy moich obowiązków, przesłuchań i różnych tam formalności... pan sam, dobrodzieju, był łaskaw tylko co wspomnieć o przesłuchaniu... to wie pan, dobrodzieju, że czasami, doprawdy, przesłuchujący bardziej się płacze niż przesłuchiwany... Pańska uwaga, dobrodzieju, na ten temat była zupełnie słuszna i wnikliwa (Raskolnikow wcale nie zrobił podobnej uwagi!). Płacze się! Naprawdę płacze się człowiek! Ciągłe jedno i to samo, jak w kołowrotku! Reforma ma być<sup>[109]</sup> i przynajmniej nazwę mają nam zmienić, che, che, che! Co się zaś tyczy naszych prawniczych chwytów, jak raczył pan dowcipnie się wyrazić, zgadzam się z panem całkowicie. Niech mi pan powie, czy między wszystkimi podsądnymi znajdzie się ktoś, choćby najciemniejszy kmiotek, który by nie wiedział, że zacznie się, na przykład, usypiać jego czujność obojętnymi pytaniami (według trafnego pańskiego wyrażenia), a potem nagle walnie prosto w łeb obuchem, che, che, che! Prosto w łeb, według trafnego pańskiego porównania. Che, che! Więc pan naprawdę myślał, że ja pana chciałem tym mieszkaniem... che, che! Złośliwy z pana człowiek. No, już nie będę. Ale, ale jedno słówko woła drugie, jedna myśl wywołuje drugą – był pan łaskaw poprzednio wspomnieć również o formie *à propos* przesłuchanka... Co tam forma! Forma w wielu wypadkach, wie pan, to drobiazg. Nieraz rozmawia się tylko po przyjacielsku, bo wygodniej. Forma nigdy nie ucieknie, zapewniam pana. A cóż to jest właściwie forma, pytam pana? Nie można prowadzącego śledztwo krępować formą na każdym kroku. Praca śledcza jest przecież, że tak powiem, czymś w rodzaju sztuki wyzwolonej... che, che, che!

Porfiry Pietrowicz odetchnął przez chwilę. Wciąż sypał bez przerwy bezmyślnymi, pustymi frazesami, potem nagle wtrącał słówka zagadkowe i znów przechodził do błahostek. Teraz prawie biegał po pokoju, coraz szybciej i szybciej przebierając tłustymi nóżkami, patrzył w ziemię, prawą rękę założył na plecy, a lewą wymachiwał, wykonując różne gesty, zupełnie nieodpowiadające temu, co w danej chwili mówił. Raskolnikow zauważył, że biegając po pokoju, dwa razy jakby zatrzymał się na krótką chwilę przy drzwiach i jakby nadśluchiwał... „Czyżby czekał na kogoś?”.

– Ma pan zupełną słuszość – ciągnął dalej Porfiry Pietrowicz, spoglądając na Raskolnikowa wesoło i nad wyraz dobrodusznie (skutkiem czego ten drgnął i miał się na baczności) – zupełną słuszość, kiedy raczy pan tak dowcipnie wyśmiewać się z form prawniczych, che, che! Bo te nasze (niektóre, naturalnie) głęboko psychologiczne chwytły są nad wyraz śmieszne, a przy tym nieskuteczne w tych wypadkach, kiedy formy je krępują. Ta-ak! Znów wróciłem do formy. Gdybym uważał albo powiedzmy lepiej, podejrzewał, że ktoś, ten, tamten czy ów, popełnił, że tak powiem, zbrodnię w jakiejś sprawie mnie powierzonej... Pan wszak zamierza zostać prawnikiem?

– Tak, zamierzałem...

– Zatem dam panu przykładzik, że tak powiem, na przyszłość. Tylko niech pan nie sądzi, że ośmieliłbym się pana pouczać, pana publikującego takie artykuły o zbrodniach! Nie-e! Tak tylko, w formie faktu pozwolę sobie



przytoczyć przykładzik. A zatem, gdybym na przykład uważał, że ten, tamten czy ów popełnił zbrodnię, to w jakim celu, pytam, miałbym go niepokoić przed czasem, nawet gdybym miał dowody przeciwko niemu? Niektórych powinienem, na przykład, aresztować jak najprędzej, a inny może mieć tego rodzaju usposobienie, że doprawdy można mu pozwolić pospacerować sobie po mieście. Che, che! Widzę, że pan niezupełnie mnie rozumie, wytłumaczę więc to panu jaśniej: jeżeli go na przykład wsadzę zbyt wcześnie, mogę mu przez to, że tak powiem, dać oparcie moralne, che, che! Pan się śmieje?

Raskolnikow ani myślał się śmiać: siedział, zacisnąwszy zęby, i nie spuszczał z Porfirego Pietrowicza swego rozgorączkowanego spojrzenia.

– A jednak tak właśnie jest, zwłaszcza z niektórymi osobnikami, ludzie bowiem bywają bardzo różni i tu decyduje praktyka. Pan był łaskaw wspomnieć o poszlakach. Powiedzmy, że są poszlaki, ale przecież poszlaki, mój dobrodzieju, miewają zwykle dwa końce, a ja, sędzia śledczy, wyznaję ze skrucą, człek ułomny, chciałbym przeprowadzić śledztwo z matematyczną dokładnością, chciałbym zdobyć taką poszlakę, żeby było jak dwa razy dwa cztery! Żeby udowodnienie było bezsporne i jasne! A jak go wsadzę za wcześnie, choćbym był nawet pewny, że to on, przecież sam sobie zmniejszą możliwości zdemaskowania go, a dlaczego? Bo określe mu, że tak powiem, jego sytuację, określe, że tak powiem, psychologicznie i uspokoje go, a wtedy on schowa się w swojej skorupie przede mną, zrozumie wreszcie, że jest więźniem. Podobno w Sewastopolu, zaraz po bitwie nad Almą, mądrzy ludzie ogromnie się obawiali, że nieprzyjaciel zaraz potem frontalnie zaatakuje i szturmem zdobędzie Sewastopol. Kiedy zaś zobaczyli, że nieprzyjaciel zdecydował się na regularne oblężenie<sup>[110]</sup> – i kopie pierwszą linię okopów, to podobno ci mądrzy ludzie bardzo się ucieszyli i uspokoili: sprawa zatem przeciągnie się co najmniej miesiące, bo kiedyż to nas zdobędą przez regularne oblężenie? Pan się znowu śmieje, znowu pan nie wierzy? Oczywiście, i ma pan rację. Ma pan rację... ma! Zgadza się z panem – są to wszystko wyjątkowe przypadki, mój przykład to rzeczywiście wyjątkowy przypadek! Ale należy przy tym zwrócić uwagę, drogi panie, że przecież przypadek typowy, a taki właśnie mają na względzie wszystkie formy i reguły prawnicze, taki właśnie przewidują, o takim właśnie piszą w książkach – taki przypadek w ogóle nie istnieje. A to dlatego, że każda sprawa, każda, weźmy na przykład zbrodnię, kiedy zaistnieje w rzeczywistości, zaraz staje się zupełnie szczególnym przypadkiem, i to czasami przypadkiem absolutnie niepodobnym do żadnego z poprzednich. Czasem zdarzają się bardzo zabawne rzeczy w tym rodzaju. Nieraz, gdybym zostawił takiego jegomościa samemu sobie, nie aresztował go i nie niepokoił, ale on wiedziałby lub przynajmniej domyślał się w każdej godzinie i minucie, że ja wiem o wszystkim, o najmniejszym szczególe, dzień i noc śledzę bez przerwy, pilnuję, gdyby miał pełną świadomość tego i obawę, że go ciągle podejrzewam, to przecież, jak Boga kocham, musiałby naprawdę stracić głowę i sam przyszedłby, a nawet zrobiłby coś takiego, co już będzie dowodem jak dwa razy dwa cztery, i będę miał matematycznie ścisłą

pewność, a to jest przyjemne. Może się to zdarzyć najgłupszemu chłopu, a cóż tu mówić dopiero o którymkolwiek z nas, o dzisiejszym inteligencie, zwłaszcza z pewnymi charakterystycznymi cechami. To już na pewno! Dlatego, mój drogi, wielka to sztuka poznać indywidualne cechy człowieka. A nerwy! Zapomniał pan o nerwach! Przecież wszystko to dziś takie chore, marne, nerwowe!... A żółć, ileż w nich wszystkich jest żółci! Mówię panu, to istna kopalnia. Czego mam się obawiać, gdy taki chodzi wolno po mieście! A niech sobie pochodzi, niech! Wiem dobrze, że to moja ofiara i nigdzie mi nie ucieknie! I dokąd miałby uciec, che, che! Za granicę? Polak ucieknie za granicę, ale nie on, tym bardziej że ja pilnuję, przedsięwziętem odpowiednie środki! Ucieknie w głąb kraju ojczystego, co? Ale przecież tam mieszkają chłopci, prawdziwi, rdzennie rosyjscy. Dzisiejszy wykształcony człowiek woli raczej więzienie niż życie z takimi cudzoziemcami jak nasi kmiotkowie, che, che! Ale to wszystko głupstwa i pozory. Co to znaczy: ucieknie? To tylko forma, a nie istota sprawy. Nie tylko dlatego nie ucieknie przede mną, że nie ma dokąd uciekać: *psychologicznie* nie może uciec przede mną, che, che! Ładne wyrażonko, co? Prawo natury nie pozwoli mu uciec przede mną, choćby miał dokąd. Widział pan motyla przy świecy? I on tak samo będzie się koło mnie kręcił, będzie się ciągle kręcił jak wokół świecy; wolność mu się sprzykrzy, będzie się dręczył, rozmyślał, sam się uwikła jak w sieci, umęczy się na śmierć! Mało tego, sam osobiście przygotowuje mi jakiś matematyczny kasek, jakieś dwa razy dwa, wystarczy tylko dać mu dłuższy antrakt... Ciągłe będzie krążył dookoła mnie, zataczając coraz mniejsze kręgi, aż buch! Wpadnie mi prosto w usta, ja zaś go połknę, a to naprawdę wielka przyjemność, che, che! Nie wierzy pan?

Raskolnikow nie odpowiadał. Siedział blady i nieruchomy, wciąż z tymże napięciem wpatrując się w twarz Porfirego.

„Dobra lekcja! – myślał, lodowaciejąc. – To już nawet nie kot z myszką, jak to było wczoraj. Nie chce przecież niepotrzebnie demonstrować mi swojej siły i... podpowiadać, jest na to za mądry... Ma inny cel, ale jaki? Głupstwo, bracie, straszysz mnie i kręcisz! Nie masz dowodów, a ten wczorajszy człowiek nie istnieje! Chcesz mnie zbić z tropu, chcesz mnie przedwcześnie zdenerwować i w tym stanie dopaść, ale nic z tego, spudłujesz! Ale po co mi, po co tak mocno podpowiada?... Liczy na moje chore nerwy!... Nie, bracie, nic z tego, spudłujesz, chociaż coś niecoś sobie przygotowałeś... No, zobaczymy, coś ty sobie takiego przygotował”.

Raskolnikow zebrał się w sobie, przygotowując się do strasznej i nieznannej katastrofy. Chwilami miał ochotę rzucić się i na miejscu zadusić Porfirego. Już wchodząc tu, obawiał się takiej furii. Czuł, że wargi ma suche, serce mu kołacze i piana występuje na usta. Mimo to postanowił milczeć i na razie nie powiedzieć ani słowa. Zrozumiał, że to będzie najlepsza taktyka w jego położeniu, bo nie tylko sam się nie zdradzi, ale kto wie, czy rozdrażniony milczeniem swego wroga, nie doprowadzi go do zdradzenia się. Przynajmniej liczył na to.

– Widzę, że pan mi nie wierzy, myśli, że ja panu opowiadam takie naiwne dowcipki – ciągnął Porfiry, coraz weselszy, bez przerwy chichocząc



z zadowoleniem i znowu krążąc po pokoju. – Owszem, ma pan rację. Sam Bóg dał mi taką posturę<sup>[111]</sup>, która tylko rozśmiesza ludzi, niby trefniś<sup>[112]</sup> jestem. Ale widzi pan, muszę panu powiedzieć i jeszcze raz powtórzyć, że pan, dobrodzieju, proszę wybaczyć staremu człowiekowi, jest jeszcze młody, że tak powiem, pierwszą młodością i dlatego rozum ceni pan, jak to w ogóle młódzież, ponad wszystko. Błyskotliwość umysłu i teoretyczne dowody rozsądku nęcą pana. Zupełnie jak na przykład dawny austriacki Hofkriegsrat<sup>[113]</sup>, o ile mogę coś sądzić o sprawach wojskowych: na papierze już Napoleona rozbili i wzięli w jasyr, u siebie w gabinecie wszystko bardzo sprytnie zaplanowali i obliczyli, a tu klops: generał Mack poddaje się z całą swoją armią<sup>[114]</sup>, che, che! Widzę, widzę, dobrodzieju, wyśmiewa się pan ze mnie, że ja, taki cywil, wybieram przykłady z historii wojen. Cóż robić, to słabostka, lubię wojenne rzemiosło, a szczególnie lubię czytać wszystkie korespondencje z frontu... rzeczywiście minąłem się z powołaniem. Powinienem być służyć w wojsku, naprawdę. Do Napoleona może bym nie dociągnął, ale do majora i owszem, che, che! Więc teraz powiem panu, mój drogi, całą prawdę tyczącą *poszczególnego przypadku*: rzeczywistość i natura, łaskawco, to są ważne rzeczy i czasami potrafią sobie zakpić z najprecyzyjniejszej kalkulacji! Niech pan posłucha starego człowieka, mówię poważnie – mówiąc to, trzydziestopięcioletni Porfiry Pietrowicz jak gdyby rzeczywiście się starzał: głos mu się zmienił i cała postać się kuliła – a przy tym człowieka otwartego... Czy ja jestem otwarty, czy nie? Jak pan sądzi? Zdaje się, że chyba jednak tak: udzielam panu takich wiadomości i nie żądam żadnego wynagrodzenia, che, che! Zatem kontynuuję: uważam, że dowcip to wspaniała rzecz, to kwiat natury i ozdoba życia. I jakież to sztuczki potrafi płatać! Czasami wydaje się niemożliwe, żeby jakiś sędzia śledczy, biedaczysko, mógł się w tym połapać. Zwłaszcza że, jak to zwykle bywa, daje się ponosić własnej fantazji, też jest człowiekiem! I tu temu biedczkowi śledczemu natura przychodzi w sukurs, w tym sęk! A młódzież, przeceniająca znaczenie dowcipu, „usuwająca wszelkie przeszkody” (jak był pan łaskaw wczoraj bardzo mądrze i dowcipnie się wyrazić), nie domyśla się nawet tego. Przypuśćmy, że on nawet skłamię, on, to jest człowiek z *poszczególnego przypadku*, owo *incognito*<sup>[115]</sup>, skłamię, przy tym doskonale, jak najsprytniej. Zdawałoby się, triumf, może rozkoszować się owocami swego dowcipu, a tu bach! W najciekawszym miejscu, w najskandaliczniejszym momencie – mdleje! Może to choroba, prawda też, że nieraz bywa w pokoju bardzo duszno, ale jednak! Ale jednak nasuwa się przypuszczenie! Zełgał pierwszorzędnie, nie umiał jednak przewidzieć natury! Oto gdzie tkwi przewrotność! Kiedy indziej znowu ufny w bystrość swego dowcipu zaczyna robić durnia z człowieka, który go podejrzewa, zblednie, jakby naumyślnie, jakby udawał, ale zblednie *zbyt naturalnie*, za dobrze, i znowu nasuwa się przypuszczenie! Chociaż na razie uda mu się oszukać, ale przez noc tamten się połapie, jeżeli ma głowę na karku. I tak na każdym kroku! A więc: zacznie taki uprzedzać wypadki, będzie się pchał, gdzie go nie proszą, będzie gadał o rzeczach, o których właśnie należałoby

milczeć, będzie plótł różne bajdy, che, che! sam przyjdzie i zacznie się dopytywać, dlaczego właściwie go jeszcze nie zabierają? Che, che, che! To się może zdarzyć najbliżskotliwyszemu człowiekowi, psychologowi, literatowi! Natura ludzka to lustro, najdoskonalsze lustro! Należy patrzeć w nie i podziwiać, w tym cała rzecz! Dlaczego pan tak pobladł, Rodionie Romanowiczu, czy panu nie duszno, może okienko otworzyć?

– Niech pan się nie niepokoi, proszę – odparł Raskolnikow i nagle wybuchnął śmiechem. – Bardzo proszę, niech pan się nie niepokoi!

Porfiry stanął na wprost niego, odczekał chwilę i sam roześmiał się również. Raskolnikow wstał z kanapy, ostro urwawszy swój zgoła histeryczny śmiech.

– Porfiry Pietrowiczu – powiedział głośno i dobitnie, choć ledwo trzymał się na nogach – widzę wreszcie wyraźnie, że pan po prostu podejrzewa mnie o zamordowanie tej starej i jej siostry, Lizawiey. Oświadczam więc panu, ze swej strony, że dawno już mi to zbrzydło. Jeżeli pan uważa, że ma pan podstawy do prawnego ścigania mnie, niech pan ściga, do aresztowania – niech mnie pan aresztuje. Ale kpić ze mnie w żywe oczy i zadręczać nie pozwolę...

Nagle usta mu zadrżały, w oczach błysnęła wściekłość i opanowany dotychczas głos zagrzmiął.

– Nie pozwolę! – krzyknął, waląc z całej siły pięścią w stół. – Słyszysz pan? Nie pozwolę!

– Ach, Boże! Co to się znów stało! – krzyknął najwyraźniej przestraszony Porfiry Pietrowicz. – Dobrodzieju mój, Rodionie Romanowiczu! Mój drogi, co panu jest?

– Nie pozwolę! – wrzasnął raz jeszcze Raskolnikow.

– Ciszej, dobrodzieju! Ludzie usłyszą, przylecą! Co im wtedy powiemy, niech pan tylko pomyśli! – szeptał przerażony Porfiry, przysuwając twarz do samej twarzy Raskolnikowa.

– Nie pozwolę, nie pozwolę! – powtarzał machinalnie Raskolnikow, ale tym razem już szeptem.

Porfiry szybko odwrócił się i pobiegł otworzyć okno.

– Nieco świeżego powietrza! Wody trzeba się napić, mój drogi, przecież to atak! – Rzucił się do drzwi, żeby kazać przynieść wody, ale akurat wtedy spostrzegł stojącą na rogu stołu karafkę.

– Dobrodzieju, proszę – szeptał, podbiegając do Raskolnikowa z karafką – może pomoże... – Przestрах i współczucie Porfirego Pietrowicza były tak dalece naturalne, że Raskolnikow zamilkł i z nagłą ciekawością zaczął mu się przyglądać. Wody jednak nie przyjął.

– Drogi panie! Przecież w ten sposób doprowadzi się pan do obłędu, zapewniam pana! Ach! Niechże się pan napije! Chociaż trochę!

Zmusił go do wzięcia szklanki. Raskolnikow machinalnie podniósł ją do ust, lecz oprzytomniawszy, ze wstrętem postawił na stole.

– Tak, miał pan ataczek! W ten sposób, mój drogi, znowu nabawi się pan dawnej choroby – z przyjacielskim współczuciem zagadał Porfiry, ciągle jeszcze jakiś zmieszany. – Boże mój, jakże można się tak nie szanować? I Dymitr Prokofjewicz był u mnie wczoraj; zgadzam się, zgadzam się, mam

brzydki, złośliwy charakter, a on wyciągnął z tego Bóg wie jakie wnioski!... Mój Boże! Przyszedł wczoraj, po panu, jedliśmy obiad, mówił, mówił, a ja tylko rozkładałem ręce. Mój Boże, myślę... Czy to pan go przysłał? Niech pan usiądzie, na Boga!

– Nie, nie przysłałem go! Ale wiedziałem, że poszedł do pana i wiedziałem po co – ostro odpowiedział Raskolnikow.

– Wiedział pan?

– Wiedziałem. I co z tego?

– A to, że ja, Rodionie Romanowiczu, mój ty dobrodzieju, wiem jeszcze o innych pańskich czynach. O wszystkim wiem! Wiem, jak to chodził pan *najmować mieszkanie* o zmierzchu, prawie w nocy, szarpał pan za dzwonek, dopytywał się o krew, namącił w głowie robotnikom i stróżom. Ja przecież rozumiem pański nastrój wtedy... Tylko że w ten sposób pan doprowadzi się do obłędu, jak Boga kocham! Zapłacze się pan! Wrze pan zbyt gwałtownie oburzeniem, szlachetnym oburzeniem, bo był pan krzywdzony najpierw przez los, a potem przez rewirowych. Miota się więc pan to tu, to tam, żeby zmusić, że tak powiem, wszystkich do szybszego zajęcia się panem, żeby już raz z tym wszystkim był koniec, bo obrzydły już panu te głupoty i te wszystkie podejrzenia. Czy nie tak? Odgadłem nastrój, co? Tylko że w ten sposób pan nie tylko siebie, ale i Razumichina wpędzi mi w chorobę. A on jest *za dobry* na to, pan wie o tym. Pan jest chory, a on zacny, więc skłonny do zarażenia się... Opowiem panu, dobrodzieju, jak się pan uspokoi... Dobrodzieju, na Boga, niechże pan usiądzie! Proszę bardzo, niech pan odpocznie. Jak pan wygląda! Proszę usiąść.

Raskolnikow usiadł, dreszcze ustępowały, gorąco rozchodziło się po całym ciele. Z głębokim zdziwieniem i wielką uwagą słuchał wystraszonego i po przyjacielsku krzątającego się przy nim Porfirego Pietrowicza. Nie wierzył w ani jedno jego słowo, aczkolwiek odczuwał dziwną chęć uwierzenia. Niespodziewane słowa Porfirego o mieszkaniu zaskoczyły go zupełnie. „Cóż to znaczy, że on wie o mieszkaniu – pomyślał – i sam opowiada o tym?”

– Tak, mieliśmy prawie taki sam, psychologiczny przypadek w naszej praktyce sądowej, taki chorobliwy przypadek – ciągnął szybko Porfiry. – Pewien gość również oskarżył się o morderstwo i to w jaki sposób: całą halucynację<sup>[116]</sup> opowiedział, przedstawił fakty, podał okoliczności, zmylił, dezorientował wszystkich i każdego z osobna, a dlaczego? W pewnej mierze, zupełnie mimo woli, stał się on przyczyną morderstwa, ale tylko w pewnej mierze. Kiedy się dowiedział, że to on podsunął myśl mordercom, zaczął się dręczyć, tracić zmysły, miał halucynacje, zmarniał całkiem i sam siebie przekonał w końcu, że to on zamordował! Ostatecznie sprawę rozwikłał sąd najwyższy. Nieszczęśnika uniewinniono i oddano pod dozór lekarski. Dzięki niech będą sądowi najwyższemu. Ach! Aj-aj-aj! Jaki to ma sens, dobrodzieju? Można się nabawić białej gorączki przy takiej skłonności do drażnienia sobie nerwów. Kto to widział, żeby chodzić po nocy, ciągnąć za dzwonki, wypytywać się o krew! Taką psychologię poznałem już podczas swojej praktyki. Człowiek ma czasem chęć rzucić się z okna albo skoczyć z dzwonnicy, czuje się wtedy taką silną pokusę. To samo było z tym

dzwonkiem... To choroba, proszę pana, choroba! Zaczął pan zbyt  
zaniedbywać swoją chorobę. Może poradziłby się pan jakiegoś  
doświadczonego medyka, bo jest z panem źle!... Pan bredzi! To wszystko  
dzieje się u pana w malignie!...

Raskolnikowowi na chwilę pociemniało w oczach.

„Czyżby on i teraz, czyżby on i teraz kłamał? Niepodobieństwo,  
niepodobieństwo!” – odtrącał od siebie tę myśl, zdając sobie sprawę, do  
jakiej wściekłości i furii może go ona doprowadzić, więcej nawet – do obłądu.

– To się nie działo w malignie, to się działo na jawie! – krzyknął, natężając  
wszystkie władze mózgu, by przejrzeć grę Porfirego. – Na jawie, na jawie,  
słyszysz pan?

– Ależ tak, rozumiem i słyszę! Pan wczoraj także mówił, że to nie było  
w malignie, specjalnie to pan nawet podkreślał! Ja wszystko wiem  
i rozumiem, co mi pan może powiedzieć! Ech, ech!... Niech pan tylko  
posłucha, łaskawco mój, choćby na przykład ta właśnie okoliczność. Gdyby  
pan rzeczywiście, naprawdę był przestępcą lub był w jakikolwiek sposób  
zamieszany w tę przeklętą sprawę, to przecież sam nie twierdziłby pan  
chyba, że pan nie działał w gorączce, lecz w zupełnej przytomności. I to tak  
stanowczo, z takim niezwykłym uporem. Czy mogłoby to mieć miejsce, czy  
mogłoby to wtedy mieć miejsce? Moim zdaniem, byłoby wprost przeciwnie:  
gdyby pan miał cokolwiek na sumieniu, to utrzymywałby pan, że właśnie  
w malignie, nie inaczej! Czyż nie tak? Prawda?

Wydawało się, że w tym pytaniu tkwi jakiś podstęp. Raskolnikow odsunął  
się od nachylonego nad nim Porfirego aż na oparcie kanapy i milcząc, patrzył  
mu z niedowierzaniem prosto w oczy.

– Albo sprawa z panem Razumichinem: czy przyszedł wczoraj z własnej  
inicjatywy, czy z pańskiej namowy? Powinien by pan powiedzieć, że  
z własnej inicjatywy, i ukryć, że to pan go namówił! A pan nie ukrywa tego.  
Twierdzi pan, że właśnie był przez pana namówiony!

Raskolnikow nigdy niczego podobnego nie twierdził. Zimny dreszcz  
przeszedł mu po plecach.

– Pan ciągle kłamie – powiedział wolno, z wysiłkiem, ze skrzywionymi  
w bolesnym uśmiechu ustami. – Znowu chce mi pan dowieść, że przejrzał  
pan moją grę, że pan z góry wie, co będę panu mówił – ciągnął, zdając sobie  
sprawę z tego, że nie waży słów tak, jakby należało.

Mówiąc to, patrzył mu ciągle prosto w twarz i nagle szalona wściekłość  
błysnęła w jego oczach.

– Kłamie pan ciągle! – krzyknął. – Pan wie doskonale, że najlepszym  
wykrętem dla przestępcy jest nieukrywanie tego, czego ukryć nie można!  
Nie wierzę panu!

– Akurat, ładny z pana krętacz! – zachichotał Porfiry Pietrowicz. – Nie  
można z panem dojść do ładu, dobrodzieju, owładnęła panem jakaś  
melancholia<sup>[117]</sup>. Więc nie wierzy mi pan? A ja panu mówię, że pan już  
trochę wierzy, doprowadzę do tego, że pan uwierzy całkowicie, bo naprawdę  
pana lubię i szczerze pragnę pańskiego dobra.

Raskolnikowowi zadrgały usta.

– Tak, pragnę. A na zakończenie powiem panu – ciągnął Porfiry, ująwszy lekko, po przyjacielsku ramię Raskolnikowa powyżej łokcia – powiem panu na zakończenie: niech pan uważa na swoją chorobę. Poza tym zjechała teraz do pana pańska rodzina, niech pan pamięta o niej. Trzeba się nią opiekować, troszczyć się o nią, a pan ją tylko niepokoi...

– Co to pana obchodzi? Skąd pan wie o tym? Czy to pańska rzecz? A więc pan mnie śledzi i chce mi pan dać to do zrozumienia?

– Dobrodzieju! Przecież wiem to od pana samego! Pan sobie już nie zdaje sprawy, że w zdenerwowaniu zdradza się pan ze wszystkim przede mną i przed innymi. Od pana Razumichina również dowiedziałem się wczoraj wielu ciekawych szczegółów. Pan mi przerwał, a chciałem panu właśnie powiedzieć, że przez swoją podejrzliwość, mimo całej swojej bystrości, stracił pan zdrowy sąd o rzeczach. Na przykład, że wrócę tu do tego samego tematu, sprawa z dzwonkiem: taki drogocenny szczegół, taki fakt (przecież niezbity fakt!) zdradziłem, podałem panu po prostu na tacy ja, sędzia śledczy! I panu to nic nie mówi? Gdybym pana choć trochę podejrzewał, czy postąpiłbym tak? Przeciwnie: początkowo należało uśpić pańskie podejrzenia i nie zdradzać się, że już wiem o tym fakcie. Należało odwrócić pańską uwagę, potem nagle, jak obuchem pałać w łeb (według pańskiego własnego wyrażenia): „A co pan robił, łaskawco, w mieszkaniu zamordowanej o godzinie dziesiątej czy nawet o jedenastej wieczorem? A dlaczego pan szarpał dzwonek? A dlaczego wypytywał się pan o krew? A dlaczego pan zwracał głowę stróżom i chciał posłać ich do cyrkułu, do rewirowego?”. Gdybym choć odrobinę podejrzewał, to tak właśnie powinienem był się zachować. Należałoby przesłuchać pana według wszelkich prawideł, zrobić rewizję, a może nawet aresztować... Skoro zaś postąpiłem inaczej, to znaczy, że nie żywię w stosunku do pana żadnych podejrzeń! A pan stracił trzeźwy pogląd i nic pan nie rozumie, powtarzam!

Raskolnikow drgnął całym ciałem. Porfiry oczywiście to zauważył.

– Pan ciągle kłamie! – krzyknął Raskolnikow – nie wiem, jaki ma pan w tym cel, ale ciągle pan kłamie... Poprzednio mówił pan coś zupełnie innego, więc nie mylę się... Pan kłamie.

– Ja kłamie? – podchwycił Porfiry, najwyraźniej dotknięty, ale nadal z miną wesołą i drwiącą, jakby za nic miał opinię pana Raskolnikowa o sobie – ja kłamie? A jak zachowałem się wczoraj wobec pana (ja, sędzia śledczy)? Podpowiadałem panu, podsuwałem środki obrony, zwracałem uwagę na tę całą psychologię: „Choroba niby, gorączka, pokrzywdzenie, melancholia, rewirowi i inne rzeczy!”. Co? Che, che... Choć prawdę powiedziawszy, to wszystkie te psychologiczne środki obrony, wymówki i wykręty są bardzo ryzykowne i jak kij mają dwa końce: „Choroba niby, gorączka, zjawy, majaczyłem, nie pamiętam...”. Wszystko to prawda, ale dlaczego to, dobrodzieju, w tej chorobie, w gorączce majaczyły się akurat takie właśnie zjawy, a nie inne? Bo mogły się przecież majaczyć inne, no nie? Che, che, che!

Raskolnikow spojrział na niego wyniośle i z pogardą.

– Słowem – powiedział głośno i z naciskiem, wstając i odpychając przy tym

nico Porfirego – słowem, chcę wiedzieć: uznaje mnie pan ostatecznie za wolnego od podejrzeń czy nie! Niech pan powie, Porfiry Pietrowiczu, niech mi pan powie kategorycznie, zaraz, natychmiast!

– Co to za historia! Ładny los mam z panem! – zawołał Porfiry z miną wesołą, chytrą i zupełnie spokojną. – Po co ma pan wiedzieć, po co chce pan tyle wiedzieć, skoro nikt pana wcale jeszcze nie zaczął niepokoić? Jest pan jak dziecko: dajcie mi zapałki do zabawy! Dlaczego pan tak się niepokoi? Dlaczego pan się sam do nas wprasza, z jakiego powodu? Co? Che, che, che!

– Powtarzam panu! – krzyknął z furią Raskolnikow – że nie mogę już wytrzymać...

– Czego? Niepewności? – przerwał mu Porfiry.

– Niech pan mnie nie dręczy! Nie chcę!... Mówię panu, że ja nie chcę!... Nie mogę i nie chcę!... Słyszysz pan, czy pan słyszysz? – krzyczał, znowu, waląc pięścią w stół.

– Ciszej, proszę ciszej! Ludzie usłyszą! Mówię poważnie: niech pan się strzeże. Ja nie żartuję! – powiedział szeptem Porfiry, ale tym razem nie miał już na twarzy wyrazu przestrachu i babskiej dobroduszości. Przeciwnie, teraz po prostu rozkazywał, surowo ściągnawszy brwi i jakby od razu odrzucając wszelkie niedomówienia i dwuznaczniki. Ale trwało to tylko chwilę. Raskolnikow, zaskoczony zrazu, wpadł nagle w istny szal. Ale rzecz dziwna, znowu usłuchał rozkazu, aby mówić ciszej, chociaż trząsał się w najsilniejszym paroksyzmie wściekłości.

– Ja nie pozwolę się dręczyć! – szeptał jak poprzednio, z bólem i nienawiścią, zdając sobie nagle sprawę z tego, że nie może się oprzeć rozkazowi, co doprowadzało go do większej jeszcze furii. – Niech pan mnie aresztuje, niech pan mnie rewiduje, ale niech pan zechce działać formalnie, a nie igra ze mną. Niech pan się nie waży...

– O formalności niech pan będzie spokojny – przerwał mu Porfiry z chytrym uśmiechem, jakby z lubością obserwując Raskolnikowa – tym razem zaprosiłem pana, mój dobrodzieju, prywatnie, tylko po przyjacielsku.

– Nie chcę pańskiej przyjaźni, pluję na pańską przyjaźń! Słyszysz pan! Dosyć, biorę czapkę i wychodzę. No, a co teraz powiesz, jeżeli masz zamiar mnie aresztować?

Chwytał czapkę i skierował się ku drzwiom.

– Nie ma pan ochoty zobaczyć niespodzianki? – zachichotał Porfiry, znowu chwytając go za łokieć i zatrzymując przy drzwiach. Najwyraźniej był coraz weselszy i figlarniejszy, co ostatecznie wyprowadziło Raskolnikowa z równowagi.

– Co za niespodzianka? Co znowu? – zapytał, zatrzymując się i ze strachem patrząc na Porfirego.

– Niespodzianka siedzi tutaj za drzwiami, che, che, che! – Wskazał palcem na zamknięte drzwi w przepierzeniu, prowadzące do służbowego mieszkania.

– Zamknąłem ją na klucz, żeby nie uciekła.

– Co takiego? Gdzie? Co?... – Raskolnikow podszedł do drzwi, chciał je otworzyć, ale były zamknięte na klucz.

– Zamknięte, a oto klucz!



Rzeczywiście Porfiry wyjął z kieszeni klucz i pokazał mu.

– Ciągłe kłamiesz! – zawył Raskolnikow, nie panując już zupełnie nad sobą.

– Łżesz, przekłety błźnie! – I rzucił się na cofającego się ku drzwiom, ale wcale nie przestraszonego Porfirego. – Rozumiem wszystko, rozumiem! – Skoczył do niego. – Łżesz i drażnisz mnie, żebym się zdradził...

– Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju, bardziej już chyba nie można się zdradzić. Przecież pan wpadł w szal. Niech pan nie krzyczy, bo zawołam ludzi.

– Łżesz, nic się nie stanie! Wołaj sobie ludzi! Wiedziałeś, że jestem chory, i chciaeś mnie doprowadzić do szalu, żebym się zdradził, to był twój cel! Nigdy! Przedstaw mi fakty! Ja wszystko zrozumiałem! Nie masz faktów, masz tylko głupie, marne poszlaki od Zamietowa!... Znaeś moje usposobienie, chciaeś mnie doprowadzić do furii, a potem nagle oszołomić popami i delegatami... Czekasz na nich! Co? Dlaczego zwlekasz? Gdzie są? Dawaj ich tu!

– Jacy znów delegaci, dobrodzieju! Co też się temu człowiekowi majaczy! Ależ tak nie można działać formalnie, jak się pan wyraża, pan się nie zna na rzeczy, mój drogi... A formalności nie uciekną, sam się pan o tym przekona...

– bąkał Porfiry, nasłuchując pod drzwiami.

W istocie, w drugim pokoju pod samymi drzwiami słyhać było jakiś hałas.

– Aha, idą! – krzyknął Raskolnikow – posłaeś po nich!... Czekaeś na nich! ... Obliczyeś sobie... No, dawaj ich tu wszystkim: delegatów, świadków, kogo chcesz... Dawaj! Jestem gotów! Gotów!...

Ale w tej chwili zdarzyło się coś dziwnego, coś tak nieoczekiwanego w tych warunkach, że oczywiście ani Raskolnikow, ani Porfiry Pietrowicz nie mogli spodziewać się podobnego rozwiązania.



Później na wspomnienie tego momentu przed oczami Raskolnikowa stawała następująca scena.

Hałas pod drzwiami nagle szybko wzmógł się i drzwi się uchyliły.

– Co to znaczy? – krzyknął z irytacją Porfiry Pietrowicz. – Uprzedzałem przecież...

Przez chwilę nie było odpowiedzi, lecz widać było, że za drzwiami kilku ludzi z kimś się szamotało.

– Co to ma znaczyć? – powtórzył zaniepokojony Porfiry.

– Przeprowadziliśmy aresztanta, Mikołaja – odezwał się jakiś głos.

– Nie potrzeba! Precz! Czekać... Skąd się tu wziął? Co za porządki! – krzyczał Porfiry, rzucając się do drzwi.

– Bo on... – zaczął ten sam głos i nagle urwał.

Przez parę sekund, nie dłużej, trwała prawdziwa walka. Nagle ktoś kogoś odepchnął z siłą i zaraz potem do gabinetu Porfirego wpadł jakiś bardzo blady człowiek.

Wyglądał ten człowiek na pierwszy rzut oka bardzo dziwnie. Patrzył wprost przed siebie, lecz zdawał się nikogo nie widzieć. W oczach miał wielką determinację, ale zarazem śmiertelna bladość pokrywała twarz, jak gdyby przeprowadzono go na miejsce kaźni. Zupełnie białe wargi drżały mu z lekka.

Był jeszcze bardzo młody, ubrany był jak człowiek z ludu, średniego wzrostu, szczupły, z włosami przystrzyżonymi nad czołem, z delikatnymi, trochę ostrymi rysami twarzy. Odepchnięty przez niego konwojent wpadł za nim do pokoju i zdołał chwycić go za ramię. Ale Mikołaj wyszarpnął rękę i wyrwał mu się ponownie.

W drzwiach stłoczyło się kilku ciekawych. Niektórzy z nich chcieli również wejść do pokoju. Wszystko to trwało zaledwie chwilę.

– Precz! Jeszcze za wcześnie! Czekaj, póki się ciebie nie wezwie!... Dlaczego przeprowadzono go tak wcześnie? – bąkał Porfiry Pietrowicz, bardzo niezadowolony i zbity z tropu. Mikołaj nagle padł na kolana.

– Co ci jest? – krzyknął zdumiony Porfiry.

– Moja wina! Mój grzech! Ja zabiłem! – nagle wyrzekł nieco zdławionym, lecz dość donośnym głosem Mikołaj.

Z dziesięć sekund trwało milczenie. Wszystkich ogarnęło osłupienie; cofnął się nawet konwojent i już nie zbliżał się do Mikołaja, lecz zrejterowawszy odruchowo ku drzwiom, znieruchomiał.

– Co takiego! – wrzasnął Porfiry, otrząsając się z osłupienia.

– Ja... zabiłem... – po chwili milczenia powtórzył Mikołaj.

– Jak to?... Ty?... Jak to?... Kogo zabiłeś?

Porfiry Pietrowicz najwyraźniej stracił głowę.

Mikołaj znowu milczał przez chwilę.

– Alonę Iwanownę i jej siostrę, Lizawietę, ja... zabiłem... siekierą. Zamroczyło mnie... – dodał i znowu zamilkł. Wciąż jeszcze klęczał.

Porfiry Pietrowicz kilka chwil stał, jakby się zastanawiając, lecz nagle

drgnął i machnął ręką na nieproszonych świadków, którzy natychmiast zniknęli, zamykając za sobą drzwi. Następnie spojrzął na stojącego w kącie Raskolnikowa, zwrócił się w jego stronę, lecz nagle zatrzymał się, przeniósł spojrzenie na Mikołaja, potem znów spojrzął na Raskolnikowa, znów na Mikołaja i jakby go coś poderwało, znów natarł na Mikołaja.

– A ty czego mi się tu wrywasz z tym twoim zamroczeniem! – krzyknął na niego prawie ze złością. – Jeszcze się ciebie nie pytałem, czy cię zamroczyło, czy nie... Gadaj: tyś zabił?

– Ja zabiłem... meldować przyszedłem... – przemówił Mikołaj.

– Uf! Czym zabiłeś?

– Siekierą. Narychtowałem sobie.

– A to mu pilno! Sam?

Mikołaj nie zrozumiał pytania.

– Sam zabiłeś?

– Sam. A Mit'ka nie winien i nic nie ma do tego.

– Nie spiesz się tak z tym Mit'ką! Uf... Więc jakżeś ty, jakżeś ty zbiegł wtedy ze schodów? Przecież stróże spotkali was obu?

– Dla niepoznaki ino... wtedy... biegłem z Mit'ką – rzekł Mikołaj, jakby spiesząc się z uprzednio przygotowaną odpowiedzią.

– No, tak, oczywiście! – krzyknął ze złością Porfiry. – Powtarza cudze słowa

– mruknął jakby do siebie i nagle znowu spostrzegł Raskolnikowa.

Widać było, że tak zajął go Mikołaj, iż na chwilę zapomniał o Raskolnikowie. Raptem zdał sobie z tego sprawę i zmieszał się nawet...

– Rodionie Romanowiczu, dobrodzieju! Przepraszam! – rzucił się ku niemu.

– To niepodobieństwo, bardzo proszę... pan tu nie może... ja sam... widzi pan, jakie niespodzianki. Proszę bardzo!... – Ujawszy Raskolnikowa za rękę, wskazywał drzwi.

– Pan, zdaje się, nie spodziewał się tego? – rzekł Raskolnikow, dobrze jeszcze nie pojmując sytuacji, ale już zdążywszy nabrać odwagi.

– A i pan, dobrodzieju, nie spodziewał się. Ależ rączka panu drży! Che, che!

– I pan drży, Porfiry Pietrowiczu.

– I ja drżę, nie spodziewałem się!...

Stali już we drzwiach. Porfiry niecierpliwie czekał na wyjście Raskolnikowa.

– Zatem niespodzianki już mi pan nie pokaże? – spytał drwiąco Raskolnikow.

– Mówi, a ząbki jeszcze mu w ustach dzwonią, che, che! Złośliwy z pana człowiek! No, do widzenia.

– Według mnie: żegnam!

– Jak Bóg da, jak Bóg da! – mruknął Porfiry z jakimś krzywym uśmiechem.

Przechodząc przez kancelarię, Raskolnikow zauważył, że sporo osób bacznie mu się przypatruje. W poczekalni zdążył dostrzec w tłumie obu stróżów z *tamtego* domu, których wtedy w nocy chciał sprowadzić do rewirowego. Stali, czekając na coś. Jednak zaledwie zdążył wyjść na schody, znów usłyszał za sobą głos Porfirego Pietrowicza. Odwróciwszy się, zobaczył, że ten, zadyszany, dogania go.

– Jedno słóweczko, Rodionie Romanowiczu. Tam z całą tą sprawą, jak Bóg

da, ale jednak będę musiał o coś niecoś formalnie zapytać pana, więc się jeszcze zobaczymy, tak!

Porfiry z uśmiechem zatrzymał się przed nim.

– Więc tak – dodał raz jeszcze.

Sprawił wrażenie, jakby miał ochotę coś jeszcze powiedzieć, ale jakoś mu nie szło.

– Niech mi pan wybaczy, Porfiry Pietrowiczu, to, co zaszło między nami... uniosłem się – zaczął Raskolnikow, który już tak dalece nabrał odwagi, że nie mógł odmówić sobie przyjemności pobrawurowania.

– Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi – podchwycił prawie z radością Porfiry – bo to i ja również... Mam parszywy charakter, kajam się, kajam! Zobaczymy się zatem. Jak Bóg da, to nawet na pewno się zobaczymy!

– I wtedy poznamy się ostatecznie? – dodał Raskolnikow.

– I wtedy poznamy się ostatecznie – przytaknął Porfiry, przymrużywszy oczy i spojrzawszy na Raskolnikowa bardzo poważnie. – Teraz pan idzie na imieniny?

– Na pogrzeb.

– Ach tak, prawda, na pogrzeb! Niech pan uważa na swoje zdrowie, niech pan uważa...

– Nie wiem doprawdy, czego ze swej strony mam panu życzyć! – rzekł Raskolnikow, schodząc już ze schodów i zwróciwszy się nagle do Porfirego. – Życzyłbym panu większych sukcesów, bo sam pan widzi, jakie ma pan śmieszne zajęcia!

– Dlaczego śmieszne? – od razu nastawił uszu Porfiry, który już też zbierał się do odejścia.

– No jak to, przecież tego biednego Mikołaja prawdopodobnie dręczył i męczył pan psychologicznie, po swojemu tak długo, dopóki się nie przyznał. Na pewno mu pan dowodził dzień i noc: „Tyś zabił! Ty zabiłeś!...”, a teraz, kiedy się nareszcie przyznaje, znowu zaczyna go pan maglować: „Kłamiesz, bracie, to nie ty zabiłeś! Nie mogłeś zabić! Powtarzasz cudze słowa!”. No i co, czyż to nie śmieszne zajęcia?

– Che, che, che! A jednak zauważył pan, że powiedziałem Mikołajowi, że „powtarza cudze słowa”?

– Czyż można było nie zauważyć?

– Che, che! Jest pan sprytny, sprytny! Wszystko pan zauważył! Prawdziwie lotny umysł! I zawsze łapie pan rzecz z najśmieszniejszej strony... che, che! ... Wśród pisarzy podobno Gogol miał ten dar rozwinięty w najwyższym stopniu.

– Tak, właśnie Gogol... do miłego zobaczenia.

– Do najmilszego.

Raskolnikow poszedł prosto do domu. Był tak oszołomiony i zbity z tropu, że przyszedłszy do siebie, rzucił się na kanapę i siedział z kwadrans, odpoczywając i starając się choć trochę uporządkować myśli. Na temat Mikołaja nie próbował się nawet zastanawiać: był porażony. Było w tym przyznaniu się coś niepojętego, zadziwiającego, coś, czego teraz w żaden sposób nie mógł zrozumieć. Jednak przyznanie się Mikołaja do zbrodni było

niezbitym faktem. Następstwa tego faktu były od razu jasne: kłamstwo musi się wydać i wtedy znów zabiorą się do niego. W każdym razie tymczasem jest wolny i powinien bezwarunkowo coś przedsięwziąć, gdyż niebezpieczeństwo jest nieuniknione.

Ale jak dalece nieuniknione? Sytuacja zaczęła, się wyjaśniać. Przypominając sobie *mniej więcej*, w ogólnych zarysach, niedawną scenę z Porfiry, nie mógł powstrzymać dreszczu zgrozy. Co prawda nie znał jeszcze wszystkich zamierzeń Porfirego, nie przeniknął całego jego wyrachowania. Jednak częściowo karty zostały odsłonięte i nikt nie był w stanie lepiej od niego zrozumieć, jak groźne dla niego było to „wyjście” w grze Porfirego. Jeszcze chwila i *byłby* się zdradził całkowicie. Porfiry, znając jego chorobliwe usposobienie, przeniknąwszy go i oceniwszy trafnie od pierwszego wejrzenia, działał może zbyt ostro, ale prawie na pewniaka. Nie ma dwóch zdań, Raskolnikow zdążył się już dostatecznie skompromitować, lecz mimo to do faktów jeszcze nie doszło, jeszcze wszystko było względne. Ale czy teraz ocenia on to, jak należy? Czy się nie myli? Do czego właściwie dążył dziś Porfiry? Czy rzeczywiście miał coś przygotowanego na dzisiaj? I co właściwie? Czy rzeczywiście czekał na coś, czy nie? Jak wyglądałoby ich dzisiejsze rozstanie, gdyby nie nieoczekiwana katastrofa z Mikołajem?

Porfiry odkrył prawie wszystkie swoje karty, ryzykował co prawda, ale odkrył, i gdyby wiedział coś więcej (Raskolnikow był ciągle tego mniemania), zdradziłby się z tym również. Co to była za „niespodzianka”? Drwiny czy co? Czy to miało jakieś znaczenie, czy nie? Czy mogło się pod tym kryć coś podobnego do faktu, do konkretnego oskarżenia? Wczorajszy gość? Gdzież on przepadł? Gdzie był dzisiaj? Jeżeli jednak Porfiry wie coś konkretnego, to musi to mieć związek z wczorajszym gościem...

Raskolnikow siedział na kanapie z nisko zwieszoną głową, z łokciami na kolanach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Drżał jeszcze nerwowo na całym ciele. Wreszcie wstał, wziął czapkę, zastanowił się chwilę i skierował się ku drzwiom.

Miał przecucie, że przynajmniej dziś nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Nagle poczuł w sercu niemal radość: zapragnął zaraz pójść do Katarzyny Iwanowny. Na pogrzeb oczywiście się spóźnił, ale na stypę jeszcze zdąży i tam zobaczy Sonię.

Zatrzymał się, pomyślał i bolesny uśmiech zagościł mu na ustach.

– Dzisiaj! Dzisiaj! – powtarzał sobie. – Tak, jeszcze dzisiaj! Tak trzeba...

Chciał właśnie otworzyć drzwi, gdy nagle zaczęły uchylać się same. Zadrżał i odskoczył do tyłu. Drzwi odchyłały się wolno, po cichu i nagle stanęła przed nim postać wczorajszego człowieka *spod ziemi*.

Człowiek ten zatrzymał się na progu, spojrzął na Raskolnikowa i wszedł do pokoju. Był zupełnie taki sam jak wczoraj: ta sama postać, tak samo ubrany, ale twarz i spojrzenie bardzo się zmieniły: wyglądał na zgnębionego i zatrzymawszy się na chwilę, westchnął głęboko. Gdyby jeszcze podparł dłońią i przekrzywił głowę na bok, wyglądałby zupełnie jak stara baba.

– Czego pan chce? – zapytał Raskolnikow i struchlał. Człowiek milczał

i nagle pokłonił mu się głęboko, prawie do ziemi, przynajmniej palcami prawej ręki dotknął podłogi.

- Czego pan chce? – krzyknął Raskolnikow.
- Przepraszam – cicho wyrzekł człowiek.
- Za co?
- Niestuszenie podejrzewałem.
- O co?
- O złe zamiary.

Przyglądali się sobie uważnie.

- Złość mnie wzięła. Kiedy pan wtedy przyszedł, może trynknięty, wzywał stróża do cyrkułu i pytał się o krew, złość mnie wzięła, że pana puścili, wzięwszy za pijanego, taka złość, że nawet chęć do spania mnie odeszła. A przyuważwszy adres, przychodziło się tu wczoraj i pytało...

- Kto przychodził? – przerwał mu Raskolnikow, zaczynając pośpiesznie szperać w pamięci.

- A niby ja, ukrzywdziłem pana.

- To pan jest z tamtego domu?

- Ja tam wtedy z nimi w bramie stojąłem, pan nie pamięta? Mam tam swoją warsztacinę, nie od wczoraj. Kuśnierze jezdeśmy, miastowi, chałupnicy... A już najbardziej złość mnie o to wzięła...

I nagle Raskolnikow przypomniał sobie wyraźnie całą onegdajszą scenę pod bramą. Uprzytomnił sobie, że prócz stróżów stało tam jeszcze kilku mężczyzn i jakieś kobiety. Przypomniał sobie głos proponujący, aby go od razu odprowadzić do cyrkułu, twarzy mówiącego nie zapamiętał i teraz jej nie rozpoznawał, ale przypomniał sobie, że wtedy zwrócił się do niego i coś mu odpowiedział...

A więc tak wygląda powód wczorajszej zgrozy! Najstraszliwsza była myśl, że rzeczywiście omal nie zginął, omal nie wydał siebie przez taką *marną* okoliczność. Zatem poza sprawą wynajmu mieszkania i rozmów o krwi człowiek ten o niczym nie może powiedzieć. Zatem Porfiry również o niczym nie wie poza tym majaczeniem, nie ma żadnych faktów prócz tej *psychologii*, która jak kij ma *dwa końce*, nic konkretnego. A więc jeśli nie będą ujawnione żadne nowe fakty (a nie powinny się już ujawnić, nie powinny, nie powinny!), to... co mu mogą zrobić?

W jaki sposób mogą go zdemaskować, gdyby go nawet zaaresztowano? Zatem Porfiry dopiero teraz dowiedział się o mieszkaniu, a dotychczas nie wiedział o niczym.

- To pan dzisiaj powiedział Porfiremu, że ja... byłem? – krzyknął, olśniony nagłym pomysłem.

- Jakiemu Porfiremu?

- Sędziemu śledczemu.

- Ja powiedziałem. Stróża wtedy nie poszli, to ja poszedłem.

- Dzisiaj?

- Minutę przed panem byłem. I wszystko słyszałem, jak on pana męczył.

- Gdzie? Co? Kiedy?

- A tam, u niego, cały czas siedziałem za przepierzeniem.

– Jak to, to pan był tą niespodzianką? Jak to się mogło stać, na Boga?

– Jakem zobaczył – zaczął rzemieślnik – że stróże na moje powiedzenie iść nie chcą, bo to, mówią, jest późno, jeszcze zeklnie, że wtedyśwa nie przyszli, tak mnie złość wzięła i spać już nie chciałem, i zacząłem się przepytywać. A jakem się wczoraj wywiedziały, to dziś poszedłem. Najsamprzód przyszedłem – nie było go, za godzinę przyszedłem – nie przyjął, trzeci raz przyszedłem – dopuścił. Zacząłem mu meldować, że tak i tak, a on zaczął po pokoju latać i bić się w piersi: „Co wy ze mną, zbóje, robicie? Żebym ja taką rzecz wiedział, tobym go pod strażą tu sprowadził!”. Potem wyleciał, kogoś tam zawołał, pogadał z nim w kącie, a potem znów do mnie i się pyta i klnie. Naprzeklinał się, a ja mu wszystko powiedziałem i mówiłem, że pan mi wczoraj nic nie miał śmiałości odpowiedzieć i że pan mnie nie poznał. Zaczął znowu biegać i ciągle się bił w piersi, zły był i biegał, a jak pana zameldowali, to powiada, włąźże za przepierzenie, nie ruszaj się, żebyś tam nie wiem co usłyszał. Sam mi tam przyniósł krzesło i zamknął mnie. Może, mówi, i ciebie zawezwę. A jak przyprowadzili Mikołaja, to mnie zaraz po panu wyprowadzili: ja cię, powiada, jeszcze każę wezwać i jeszcze będę pytać...

– Mikołaja przesłuchiwał przy tobie?

– Jak pana wyprowadził, to i mnie zaraz wyprowadził, a Mikołaja zaczął przesłuchiwać.

Mieszczanin umilkł i nagle znowu ukłonił się w pas, dotknąwszy palcem podłogi.

– Niech już pan mi wybaczy tę moją obmowę i złość.

– Niech ci Bóg przebaczy – odpowiedział Raskolnikow.

Gdy tylko to powiedział, mieszczanin znów zgiął się w ukłonie, tym razem już nie do ziemi, lecz tylko do pasa, odwrócił się wolno i wyszedł z pokoju. „Wszystko ma teraz dwa końce, wszystko ma dwa końce” – powtarzał Raskolnikow i bardziej niż kiedykolwiek pewny siebie wyszedł z pokoju.

„Teraz zmierzmy się jeszcze” – powiedział z krzywym uśmiechem, schodząc ze schodów. Złość skierowana była do niego samego: ze wstydem i pogardą przypomniał sobie swoją „małoduszność”.

# Część piąta

## I

Ranek, który nastąpił po fatalnym zajściu z Dunią i Pulcherią Aleksandrowną, przyniósł Łużynowi otrzeźwienie. Ku wielkiemu swemu zmartwieniu zaczął powoli oswajać się z myślą, że to, co jeszcze wczoraj wydawało mu się czymś prawie fantastycznym, było jednak rzeczywistością nie do naprawienia, jakkolwiek ciągle jeszcze niezupełnie prawdopodobną. Czarna żmija urażonej miłości własnej całą noc kąsała mu serce. Zaraz po wstaniu z łóżka Łużyn przejrzał się w lustrze. Obawiał się, czy mu się przypadkiem w nocy żółć nie ułała. Pod tym względem jednak wszystko było na razie w porządku. Obejrząwszy starannie swoją godną, białą, ostatnio nieco nalaną twarz, Łużyn nabrał na chwilę otuchy i niezachwianego przekonania, że potrafi znaleźć sobie inną narzeczoną, kto wie nawet, czy nie odpowiedniejszą. W tej samej jednak chwili zreflektował się i splunął energicznie, wywołując tym milczący, lecz sarkastyczny uśmiech swego młodego przyjaciela i współlokatora Andrzeja Siemionowicza Lebieziatnikowa. Uśmiech ten Łużyn zauważył i postanowił zakonotować w pamięci. W ostatnich czasach sporo już sobie notował w pamięci na koncie swego młodego przyjaciela. Gniew jego wzmógł się jeszcze, gdy zorientował się nagle, że nie powinien był opowiadać Andrzejowi o wczorajszych wydarzeniach. To był drugi błąd, popełniony wczoraj w afekcie, w rozdrażnieniu, przez nadmierną ekspansywność... Potem przez cały ten ranek przykrości szły jedna za drugą. Nawet w sądzie najwyższym nie powiodła mu się pewna sprawa, którą tam załatwiał. Najbardziej jednak zdenerwował go gospodarz domu, od którego, w przewidywaniu bliskiego ślubu, wynajął mieszkanie. Mieszkanie to Łużyn odnawiał na własny rachunek. Gospodarz, wzbogacony Niemiec, za nic nie chciał zwolnić go z zawartego kontraktu i żądał wypłaty całego przewidzianego odszkodowania bez względu na to, że Łużyn oddawał mu lokal niemal całkowicie odnowiony. Również w składzie mebli za nic nie chciano zwrócić choćby rubla z zadatku danego na kupione, lecz jeszcze nie zabrane meble. „Nie mogę się przecież ożenić tylko dla mebli!” – zgrzytał zębami Łużyn i w tej samej chwili raz jeszcze błysnęła mu rozpaczliwie nadzieja: „Czy rzeczywiście wszystko bezpowrotnie przepadło i skończyło się? A może spróbować raz jeszcze?”. Myśl o Duni raz jeszcze roznieciła pokusę w jego sercu. Myśl ta dręczyła go i gdyby można było samym tylko życzeniem zabić Raskolnikowa, Łużyn na pewno wypowiedziałaby teraz to życzenie.

„Błąd mój polegał również na tym, że nie dawałem im wcale pieniędzy – myślał z przygnębieniem, wracając do pokoiku Lebieziatnikowa – i przez co u diabła tak zżydziałem? Przecież nie było tu nawet żadnego wyrachowania! Chciałem, żeby je bieda dobrze przycisnęła, żeby doprowadzić do tego, by patrzyły na mnie jak na swego wybawcę, a tymczasem one... Tfu!... Jednak żebym wydał przez ten czas na przykład z tysiąc pięćset rubli na wyprawę,



prezenty, różne bombonierki, nesesery, biżuterię, materiały, cały ten kram od Knopa<sup>[118]</sup> i z magazynu angielskiego, to byłoby przyzwoiciej i... zręcznie! Nie zerwałyby teraz tak łatwo ze mną! To są tego rodzaju ludzie, że uważaliby za swój moralny obowiązek zwrócić wszystko przy zerwaniu, i prezenty, i pieniądze. A zwracać byłoby trudno i przykro! No i wyrzuty sumienia: jakżeż można tak nagle wypędzić człowieka, dotychczas tak szczodrego i dość sympatycznego?... Hm! Pałnąłem głupstwo!". Zgrzytnąwszy raz jeszcze zębami, Łużyn nawymyślał sobie od głupców, w duchu oczywiście.

Doszedłszy do takiego wniosku, wrócił do domu bardziej jeszcze zły i zdenerwowany. Zaciekawiała go przygotowywana w pokoju Katarzyny Iwanowny stypa. Już wczoraj słyszał coś o tym, przypominał sobie, że go nawet zaproszono, lecz zajęty własnymi sprawami, zapomniał o wszystkim. Zasięgnąwszy informacji u pani Lippewechsel, zajętej nakrywaniem stołu pod nieobecność Katarzyny Iwanowny, która była na cmentarzu, dowiedział się, że stypa będzie uroczysta, że zaproszeni są wszyscy lokatorzy, nawet ci, którzy nie znali nieboszczyka, że zaproszono również Andrzeja Lebieziatnikowa mimo jego niedawnej kłótni z Katarzyną Iwanowną i wreszcie że jego samego, Łużyna, nie tylko proszą, ale oczekują z wielką niecierpliwością jako najważniejszego gościa spośród lokatorów. Pani Amalia, pomimo poprzednich nieporozumień, była zaproszona również z wielkimi honorami, dlatego więc gospodarowała i krzątała się teraz niemal z upodobaniem. Była przy tym wystrojona we wszystko nowe, cała w jedwabiach, co napawało ją dumą. Wszystkie te fakty i informacje nasunęły Łużynowi pewną myśl, poszedł więc przetrwać ją do swego pokoju, to jest do pokoju Andrzeja Lebieziatnikowa, dowiedział się bowiem, że wśród zaproszonych gości był również Raskolnikow.

Andrzej Siemionowicz, nie wiadomo dlaczego, całe rano siedział w domu. Z jegomościem tym łączyły Łużyna jakieś dziwne stosunki, co było zresztą zupełnie naturalne: Łużyn, niemal od dnia, w którym u niego zamieszkał, nienawidził go i pogardzał nim, lecz równocześnie jakby się go nieco obawiał. Przyjechawszy do Petersburga, zamieszkał u niego nie tylko przez obrzydliwe skąpstwo. Była to wprawdzie główna przyczyna, lecz były i inne. Jeszcze na prowincji słyszał o swym byłym wychowanku, Andrzeju Siemionowiczu, że zaliczał się do czołowych młodych postępówców, a nawet podobno odgrywał ważną rolę w pewnych, wielce interesujących i tajemniczych kołach. Uderzyło to Łużyna. Koła te, wpływowe, wszechwiedzące, pogardzające wszystkimi i wszystkich demaskujące, od dawna już napawały Łużyna jakimś dziwnym, zupełnie niedającym się określić lękiem. Oczywiście on sam, mieszkając na prowincji, nie mógł wyrobić sobie o sprawach *tego rodzaju* choćby przybliżonego pojęcia. Słyszał, jak i inni, że istnieją, zwłaszcza w Petersburgu, jacyś postępowcy, nihilisci<sup>[119]</sup>, wywrotowcy itd., itp., ale również, podobnie jak inni, do absurdu wyolbrzymiał i przeinaczał sens i znaczenie tych nazw. Od kilku lat najbardziej obawiał się *zdemaskowania* i to było głównym źródłem jego

przesadnego niepokoju, zwłaszcza na myśl o przeniesieniu się do Petersburga. Pod tym względem był, jak to się mówi, *zastraszony* podobnie, jak bywają czasami *zastraszone* małe dzieci. Kilka lat temu na prowincji, jeszcze w zaraniu swej kariery, był dwukrotnie świadkiem bezlitosnego zdemaskowania dość wpływowych dygnitarzy gubernialnych, których się trzymał i którzy go protegowali. Jeden z tych wypadków skończył się wyjątkowo skandalicznie, drugi zaś o mały włos nie zakończył się fatalnie. Oto dlaczego Łużyn postanowił natychmiast po przyjeździe do Petersburga dowiedzieć się, o co chodzi, i jeśli okaże się to potrzebne, zabezpieczyć się na wszelki wypadek, szukając oparcia w „naszym młodym pokoleniu”. W tym względzie liczył na Andrzeja Siemionowicza i odwiedzając na przykład Raskolnikowa, umiał już jako tako wtrącić do rozmowy zasłyszane niedawno opinie...

Jakkolwiek szybko zauważył, że Andrzej Siemionowicz jest człowiekiem bardzo miernym i prostakiem, wcale go to nie rozczarowało ani nie uspokoiło. Gdyby przekonał się, że wszyscy postępowcy są takimi samymi głupcami, to i wtedy nawet nie uciszyłby się jego niepokój. Właściwie wszystkie te teorie, myśli i system (jakimi zarzucił go Andrzej Siemionowicz) nic a nic go nie obchodziły. Miał swoje własne cele. Chciał się jedynie jak najprędzej, natychmiast dowiedzieć: co i w jaki sposób tutaj się odbywa? Czy *ci ludzie* posiadają wpływy, czy nie? Czy jest się czego obawiać, czy też nie? Zdemaskują go, gdyby to a to przedsięwziął, czy nie zdemaskują? Jeśli zaś zdemaskują go, to za co właściwie i co mianowicie się dziś demaskuje? Nie koniec na tym: chciał wiedzieć, czy nie można się do nich wkręcić jakimś sposobem i wykorzystać ich, jeżeli rzeczywiście są silni? Czy należało to zrobić, czy też nie? Czy nie dałoby się zużytkować ich dla własnej kariery? Słowem, nasuwały się setki pytań.

Ów Andrzej Siemionowicz był to szczapowaty i skrofuliczny jegomość, małego wzrostu. Miał jakąś tam posadę, przedziwnie jasne włosy i kotletowate bokobrody, z których był bardzo dumny. Poza tym niemal zawsze dolegały mu oczy. Miał dosyć miękkie serce, lecz mówił z nadmierną pewnością siebie, a nieraz nawet niezwykle zuchwale, co w zestawieniu z jego chuderławą postacią prawie zawsze robiło śmieszne wrażenie. Amalia Iwanowna zaliczała go jednak do porządniejszych lokatorów, ponieważ się nie upijał i płacił regularnie za mieszkanie. Mimo tych zalet Andrzej Siemionowicz w istocie był głupkowaty. Przystał do postępowców i do „naszego młodego pokolenia” ze szczerego zamiłowania. Był jednym z licznej i różnorodnej rzeszy miernot, poronionych zdechłaków i niedouczonej zarozumiałców, którzy czepiają się najmodniejszych i popularnych idei, aby je natychmiast strywalizować i wykoślawić to wszystko, czemu sami służą, nieraz w najlepszej wierze.

Lebieziatnikow, choć poczciwy z natury, zaczął także nie znosić swego współlokatora i dawnego opiekuna Łużyna. Obaj doszli do tego zupełnie niepostrzeżenie. Przy całej swej głupocie Andrzej Siemionowicz zaczął jednak powoli orientować się, że Łużyn go oszukuje i w głębi duszy pogardza nim, że jest „zupełnie innym człowiekiem”. Usiłował wyłożyć mu zasady

Fouriera<sup>[120]</sup> i teorię Darwina<sup>[121]</sup>, ale Łużyn, zwłaszcza ostatnio, zaczął się odnosić do tych wywodów zbyt sarkastycznie, a w końcu nawet nawymyślał mu. Instynktownie bowiem przeczuwał, że Lebieziatnikow jest nie tylko marnym głupcem, ale prawdopodobnie również blagierem i że nie ma żadnych poważniejszych stosunków w swoim środowisku, lecz najwyżej słyszał coś niecoś od osób trzecich. Ponadto wydawało się, że nie zna dobrze swej roli *propagatora*, bo za bardzo wikła się w swoich wywodach. I czyż taki potrafiłby demaskować? Mimochodem należy tu zauważyć, że Łużyn przez półtora tygodnia chętnie wysłuchiwał (zwłaszcza z początku) dość dziwnych pochwał Andrzeja Siemionowicza. To znaczy, nie protestował i milczał, gdy ten wmawiał mu na przykład, że on, Łużyn, gotów jest niebawem wesprzeć urządzenia nowej „komuny” gdzieś na ulicy Mieszczańskiej, że nie będzie przeszkadzać Duni, jeżeli będzie miała ochotę zaraz w pierwszym miesiącu po ślubie wziąć sobie kochankę, albo że nie będzie chrzczył swych przyszłych dzieci itd., itp. Łużyn zwykle nie protestował i przyjmował nawet tego rodzaju pochwały, tak dalece bowiem lubił wszelkie pochlebstwa.

Sprzedawszy tego rana kilka pięcioprocentowych obligacji, Łużyn siedział przy stole i przeliczał plik banknotów. Lebieziatnikow, który prawie zawsze był bez grosza, chodził po pokoju i udawał, że patrzy na to obojętnie, a nawet z pogardą. Łużyn nie uwierzyłby za nic w świecie, że Lebieziatnikow może patrzeć obojętnie na tyle pieniędzy. Lebieziatnikow zaś z goryczą zastanawiał się nad tym, że Łużyn zdolny jest prawdopodobnie do takiego poglądu, a może nawet pragnie ukłuć i podrażnić swego młodego przyjaciela widokiem rozłożonych paczek banknotów, przypominając mu w ten sposób o jego nicości oraz o wielkiej różnicy, która jakoby ich dzieli.

Uważał, że tym razem Łużyn jest szczególnie rozdrażniony i nieuważny, mimo że on, Andrzej Siemionowicz, zaczął rozwijać przed nim swój ulubiony temat nowej, specjalnej „komuny”. W krótkich odpowiedziach i uwagach, które wyrwały się Łużynowi w przerwach między szczękaniem gałek liczydła, dźwięczały zupełnie wyraźnie i celowo niegrzeczne drwiny. Ale „humanitarny” Lebieziatnikow przypisywał nastrój Łużyna wrażeniom po wczorajszym zerwaniu z Dunieczką i płonął chęcią jak najszybszego porozmawiania na ten temat: miał coś postępowego i uświadamiającego do powiedzenia w tej sprawie, co mogłoby pocieszyć jego szanownego przyjaciela i „bez wątpienia” wpłynęłoby dodatnio na jego dalszy rozwój.

– Cóż to za stypę urządzają tam... u tej wdowy? – zapytał nagle Łużyn, przerywając Andrzejowi Siemionowiczowi w najbardziej zajmującym miejscu jego wywodu.

– Niby pan nie wie! Przecież jeszcze wczoraj mówiłem z panem na ten temat i wykladałem swój pogląd na tego rodzaju obrzędy... Wszak ona zaprosiła również i pana, jak słyszałem. Sam pan z nią wczoraj rozmawiał...

– Nie przypuszczałem, że ta głupia żebraczka wpakuje w stypę całe pieniądze, jakie dostała od tego drugiego durnia... Raskolnikowa. Przechodząc, przed chwilą podziwiałem nawet, jakie tam robią przygotowania, trunki!... Zaproszono kilka osób, diabli wiedzą, co to znaczy! – ciągnął dalej Łużyn, kierując jakby celowo rozmowę na ten temat. – Co?

Pan twierdzi, że ja również zostałem zaproszony? – dodał nagle, podnosząc głowę. – Kiedy mianowicie? Nie pamiętam. Zresztą, nie pójdę. Co ja tam będę robił? Powiedziałem jej tylko wczoraj w przejściu, że jako uboga wdowa po urzędniku może otrzymać jednorazową zapomogę w wysokości rocznej pensji męża. Czy czasem nie dlatego właśnie mnie zaprasza? Che, che!

– Ja również nie mam zamiaru tam pójść – powiedział Lebieziatnikow.

– No, myślę! Wytlukł ją pan własnoręcznie. To zrozumiałe, że pan się wstydzi, che, che, che!

– Kto wytłukł? Kogo? – oburzył się nagle Lebieziatnikow i nawet poczerwieniał.

– Pan Katarzynę Iwanownę, jakiś miesiąc temu, zdaje się! Właśnie wczoraj słyszałem o tym... Tak, tak, tak to bywa z przekonaniem! Z kwestią kobiecą też nie najlepiej, che, che, che!

– Wszystko to fałsz i oszczerstwo! – wybuchnął Lebieziatnikow, który ciągle obawiał się przypomnienia o tej sprawie. – Było zupełnie inaczej! To było co innego!... Żle panu powtórzono, to plotka. Po prostu broniłem się wtedy. Ona pierwsza rzuciła się na mnie z pazurami... Cały bak mi wydarła... Mam wrażenie, że każdy ma prawo do obrony swojej osoby. Nikomu nie pozwolę dokonywać gwałtu nade mną... Dla zasady. Bo to już jest niemal despotyzm. Co miałem robić? Stać spokojnie? Odepchnąłem ją tylko.

– Che, che, che! – złośliwie wyśmiewał się dalej Łużyn.

– Czepia się pan tylko dlatego, bo sam pan jest zły i wścieka się... A to było głupstwo i nie ma nic wspólnego z kwestią kobiecą! Pan mnie źle zrozumiał; sądziłem, że skoro kobieta jest równa mężczyźnie, nawet pod względem siły fizycznej (a tak już dziś się uważa), to i w podobnym wypadku musi być równouprawnienie. Potem oczywiście doszedłem do wniosku, że w zasadzie tego rodzaju wypadek nie powinien być rozpatrywany, albowiem bójki nie powinny mieć miejsca i są nie do pomyślenia w przyszłym społeczeństwie... i że w ogóle jakoś niezręcznie doszukiwać się równości w bijatyce. Nie jestem taki głupi... chociaż bójki właściwie się zdarzają... tfu, do diabła!... to jest w przyszłości nie będą się zdarzały, tylko teraz jeszcze się zdarzają... Z panem nie można dojść do ładu! Nie pójdę na stypę nie ze względu na to zajście. Po prostu nie pójdę z zasady, żeby nie brać udziału we wstrętym zabobonie. A zresztą można by właściwie pójść tylko tak, żeby się uśmieć. Szkoda, że nie będzie popów, bo wtedy na pewno bym poszedł.

– To znaczy, że poszedłby pan na przyjęcie po to, żeby opluć przyjęcie i gospodynię, czy nie tak?

– Wcale nie po to, żeby opluć, tylko żeby protestować. Poszedłbym w słusznym celu. Miałbym okazję, aby pośrednio przyczynić się do postępu i propagandy. Każdy powinien działać na rzecz postępu i propagandy, a im ostrzej, tym lepiej. Mogę rzucić myśl, ziarno... Z ziaren wschodzą fakty. Nie skrzywdziłbym nikogo. Początkowo będą się może czuli urażeni, ale potem sami zobaczą, że to dla ich dobra. U nas, na przykład, miano za złe Tieriebjowej (tej, co teraz jest w komunie), że kiedy wyszła z domu i... oddała się, to napisała do rodziców, że nie chce żyć wśród przesądów i zawiera wolny związek. Uważano, że obejście się z rodzicami było zbyt

brutalne, że mogła ich oszczędzić, napisać delikatniej. Ja uważam, że to bzdura, wcale nie trzeba było delikatniej, przeciwnie, należy protestować. Albo taka Warencowa. Żyła z mężem siedem lat, rzuciła dwoje dzieci i palnęła mężowi w liście prosto z mostu: „Zrozumiałam, że z tobą nie mogę być szczęśliwa. Nigdy ci nie wybaczę, że mnie oszukiwałeś, ukrywając przede mną istnienie innego ustroju społecznego, to jest komuny. Niedawno dowiedziałam się o tym od pewnego szlachetnego człowieka, któremu się oddałam i z którym zakładam komunę. Mówię bez ogródek, bo uważam, że niegodnie byłoby cię oszukiwać. Rób, co uważasz za stosowne. Nie licz na mój powrót, jesteś zbyt zapóźniony. Życzę szczęścia”. Tak się pisze takie listy!

– Czy to jest ta sama Tieriebjowa, o której pan opowiadał, że zawarła już trzeci z rzędu wolny związek?

– Właściwie dopiero drugi. Ale niechby nawet czwarty czy piętnasty, jakie to ma znaczenie? Teraz dopiero żałuję, że moi rodzice nie żyją. Marzyłem nieraz o tym, że gdyby żyli, tobym im dopiero walnął protest! Naumyślnie bym coś takiego wyszukał... Jakiś „darowany kęs chleba”, tfu! Ja bym im pokazał! Ja bym im dopiero zaimponował! Naprawdę, szkoda, że nie mam nikogo!

– Żeby zaimponować? Che, che! Nie, niech tam sobie będzie, jak się panu podoba – przerwał Łużyn. – Lepiej niech mi pan powie, zna pan przecież córkę nieboszczyka, taką szczuplutką! Czy to prawda, co o niej mówią?

– O co właściwie chodzi? Według mnie, to jest zgodnie z moim osobistym przekonaniem, jest to właśnie normalna sytuacja kobiety. Czemu nie? Ale – *distinguons*<sup>[122]</sup>. We współczesnym społeczeństwie to nie jest zupełnie normalne, bo jest wymuszone, lecz w przyszłości stanie się całkowicie normalne, bo będzie swobodne. Ona nawet i teraz miała prawo: cierpiała, a to był jej fundusz, kapitał, którym miała pełne prawo rozporządzać. Oczywiście w przyszłym społeczeństwie fundusze nie będą potrzebne. Ale rola kobiety będzie określana inaczej, harmonijnie i racjonalnie. Co się zaś tyczy osobiście Sofii Siemionowny, to obecnie uważam jej postępowanie za ucieleśniony, energiczny protest przeciwko ustrojowi społecznemu i głęboko ją za to szanuję. Cieszę się nawet na jej widok!

– Opowiadano mi jednak, że właśnie przez pana musiała się stąd wynieść! Lebieziatnikow wpadł we wściekłość.

– To także plotka! – ryczał. – Sprawa wyglądała zupełnie, zupełnie inaczej! No, to już całkowicie nieprawda! To Katarzyna Iwanowna wtedy skłamała, bo nic nie rozumiała! I wcale się do Sofii Siemionowny nie przystawiałem! Po prostu doksztalcałem ją zupełnie bezinteresownie, starając się wzbudzić w niej uczucie protestu... Potrzebny mi był tylko protest, a Sofia Siemionowna już i tak nie mogła zostać w tym domu!

– Namawiał ją pan może, żeby wstąpiła do komuny?

– Pozwoli pan zwrócić sobie uwagę, że pan ciągle dowcipkuje i to niefortunnie. Nic pan nie rozumie! W komunie nie ma takich ról. Komunę urządza się właśnie po to, żeby w ogóle takie role nie istniały. W komunie ta rola zmieni całą swą obecną istotę, to, co tu jest w niej głupie, tam staje się



mądre, to, co tu, w obecnych warunkach, jest nienaturalne, tam będzie zupełnie naturalne. Wszystko zależy od otoczenia i środowiska, w jakim człowiek żyje. Środowisko to wszystko, człowiek jest niczym. Zaś z Sofią Siemionowną jestem nadal w zgodzie, co może panu służyć za dowód, że nigdy nie uważała mnie za wroga i krzywdziciela! Zachęcam ją teraz do wstąpienia do komuny, ale na zupełnie, zupełnie innych zasadach! Dlaczego pana to bawi? Chcemy założyć własną komunę, inną, opartą na szerszych niż poprzednie podstawach. Poszliśmy dalej w swoich przekonaniach. Więcej negujemy<sup>[123]</sup>! Gdyby Dobrolubow<sup>[124]</sup> wstał z grobu, podyskutowałbym sobie z nim. A Bielińskiego<sup>[125]</sup> starłbym na proch! Na razie kształcę w dalszym ciągu Sofię Siemionownę. To wspaniały, wspaniały człowiek!

– Używa więc pan sobie z tym wspaniałym człowiekiem, co? Che, che!

– Nie, nie! O, nie! Przeciwnie!

– Dobre sobie, przeciwnie! Che, che, che! Też pan powiedział!

– Niech mi pan wierzy! Bo niechże pan powie, z jakiej racji miałbym to ukrywać przed panem? Przeciwnie, sam się temu dziwię: ze mną jest ona jakoś szczególnie bojaźliwie wstydliva i cnotliwa.

– A pan, rozumie się, uświadamia ją... che, che! Dowodzi pan jej, że jej hańba to bzdura?...

– Wcale nie! Wcale nie! O, jak pan wulgarnie i – przepraszam – głupio rozumie wyraz: uświadamianie! N-ni-c pan nie rozumie! O Boże, jak bardzo pan jest jeszcze... nieprzygotowany! My dążymy do wyzwolenia kobiety, a pan jedno tylko ma na myśli. Pomijając zupełnie zagadnienie cnoty i kobiecego wstydu jako rzeczy w istocie swej niepotrzebnych, a nawet przesądów, całkowicie dopuszczam jej cnotliwość w stosunku do mnie, bo w tym przejawia się jej wola, to jest jej prawo. Naturalnie, gdyby mi sama powiedziała: „Chcę cię mieć”, uważałbym to za wielką wygraną, bo ta dziewczyna bardzo mi się podoba. Ale teraz, teraz przynajmniej, nikt nigdy nie traktował jej uprzejmiej i uczciwiej ode mnie, z większym szacunkiem dla jej godności... Czekam i mam nadzieję – to wszystko!

– Niech pan lepiej da jej jakiś prezent. Założyłbym się, że o tym pan nie pomyślał.

– N-nic pan nie rozumie, powtarzam! Oczywiście, wiadomo, w jakiej jest ona sytuacji, ale tu chodzi o coś innego! O coś całkiem innego! Pan po prostu pogardza nią! Stwierdzając fakt, który pan błędnie uważa za godny pogardy, odmawia pan istocie ludzkiej prawa do humanitarnego na nią poglądu. Pan nie wie jeszcze, co to za charakter! Przykro mi tylko, że w ostatnich czasach przestała jakoś czytać i nie pożycza już ode mnie książek. Poprzednio pożyczała. Szkoda również, że przy całej swej energii i chęci protestu, czego już raz dowiodła, jest ciągle jakby za mało samodzielna, za mało, że tak powiem, niezależna, zbyt mało negująca, aby mogła ostatecznie wyzbyć się pewnych przesądów i... głupstw. Mimo to doskonale rozumie pewne rzeczy. Na przykład, wspaniale pojęła sprawę całowania w rękę, to jest, że mężczyzna poniża kobietę, całując ją w rękę. Dyskutowano u nas na ten temat i zaraz jej to powtórzyłem. Słuchała również uważnie

o stowarzyszeniach robotniczych we Francji. Teraz tłumaczę jej sprawę wolnego wstępu do mieszkań w przyszłym społeczeństwie.

– A to co znowu?

– Dyskutowano ostatnio nad następującą sprawą: czy członek komuny ma prawo wejść o każdej porze do pokoju innego człowieka, mężczyzny lub kobiety... Zdecydowano, że ma...

– A jeżeli ten lub ta zajęci są w danej chwili załatwianiem naturalnej potrzeby, che, che!

Andrzej Siemionowicz zirytował się.

– Pan ciągle w kółko jedno i to samo! Tylko o jednym pan myśli, o tych przeklętych „potrzebach”! – krzyknął z nienawiścią. – Tfu! Zły, wściekły jestem, że wtedy, zapoznając pana z naszym programem, wspomniałem przy tym zbyt wcześnie o tych przeklętych potrzebach. Niech to diabli porwą! To przede wszystkim kole w oczy ludzi podobnych panu i ostrzą sobie na tym zęby, jeszcze zanim raczą się dowiedzieć, o co idzie! I myślą, że mają rację! Też mają z czego być dumni! Tfu! Kilkakrotnie już stwierdziłem, że całe to zagadnienie można wyklądać nowicjuszom dopiero na samym końcu, kiedy już uwierzą w nasz system, gdy człowiek jest już ukształtowany i ukierunkowany. Bo niech mi pan powie, proszę, co pan właściwie widzi haniebnego i niegodnego, na przykład, w kloakach? Ja pierwszy gotów jestem czyścić jakie pan tylko chce kloaki! To nie jest żadne poświęcenie! To po prostu praca, szlachetna, przynosząca korzyść społeczeństwu praca, nie gorsza od innych, a na pewno lepsza od działalności jakiegoś tam Puszkina czy Rafaela, bo pożyteczniejsza.

– I szlachetniejsza, szlachetniejsza, che, che, che!

– Co to znaczy: szlachetniejsza? Nie przyjmuję podobnych wyrażeń przy określaniu działalności człowieka. „Szlachetniej”, „godniej” – to wszystko głupstwa, bzdury, stare przesady, których nie uznaję. Wszystko to, co jest pożyteczne dla ludzkości, jest szlachetne. Jeden tylko wyraz rozumiem: *pożyteczne*! Niech pan sobie chichocze, ile się panu podoba, ale tak jest!

Łużyn śmiał się głośno. Skończył liczyć i schował pieniądze, których część zostawił jednak w jakimś celu na stole. Owa „sprawa kloak”, mimo swej błahości, była już kilkakrotnie powodem kłótni i zrywania stosunków między Łużynem a jego młodym przyjacielem, Andrzej Siemionowicz bowiem irytował się rzeczywiście, Łużyn zaś nie posiadał się wtedy z radości. Tym razem miał szczególną ochotę zirytować Lebieziatnikowa.

– To przez swoje wczorajsze niepowodzenie jest pan dziś taki zły i czepia się – wyrwało się w końcu Lebieziatnikowowi, który pomimo swej „niezależności” i wszystkich swoich „protestów” nie śmiał oponować Łużynowi i z przyzwyczajenia, wyniesionego z dawnych lat, odnosił się do niego wciąż jeszcze z pewnym respektem.

– Niech mi pan powie – przerwał mu Łużyn wyniośle i z rozdrażnieniem – czy pan może... albo inaczej, czy rzeczywiście stosunki pańskie ze wzmiankowaną osobą są tak bliskie, że można by ją teraz poprosić na chwilę do naszego pokoju? Zdaje się, że wszyscy już wrócili z cmentarza... Słyszę, że zaczął się tam ruch... Chciałbym zobaczyć tę osobę.



– A po co właściwie? – zapytał ze zdziwieniem Lebieziatnikow.

– A tak, mam interes. Dziś albo jutro wyprowadzę się stąd i dlatego chciałbym jej zakomunikować... Zresztą, może pan zostać tutaj podczas rozmowy. Bo mógłby pan sobie Bóg wie co pomyśleć.

– Nic sobie nie pomyślę... Tak się tylko spytałem i jeżeli ma pan do niej interes, to nic łatwiejszego, niż ją tu sprowadzić. Zaraz pójdę. I może pan być pewny, że nie będę przeszkadzał.

Rzeczywiście po pięciu minutach Lebieziatnikow wrócił z Sonią. Weszła bardzo zdziwiona i jak zwykle zażenowana. W podobnych wypadkach czuła się zawsze skrępowana, lękała się bardzo nowych ludzi i nowych znajomości, lękała się i dawniej, jeszcze w dzieciństwie, a teraz jeszcze bardziej... Łużyn powitał ją „łaskawie i grzecznie”, z pewnym nawet odcieniem wesołej poufałości, która według niego przystoi tak czcigodnemu i solidnemu człowiekowi, jak on w stosunku do tak młodego i pod pewnym względem interesującego stworzenia, jak ona. Żeby ją „ośmielić”, posadził ją przy stole, na wprost siebie. Sonia usiadła, popatrzyła wokoło – na Lebieziatnikowa, na pieniądze leżące na stole, potem znowu na Łużyna i już nie odrywała od niego oczu, jakby była przykuta do niego. Lebieziatnikow skierował się ku drzwiom. Łużyn wstał, gestem poprosił Sonię, by pozostała na miejscu, i zatrzymał Lebieziatnikowa w drzwiach.

– Czy jest tam Raskolnikow? Przyszedł? – zapytał go szeptem.

– Raskolnikow? Jest. Bo co? Tak, jest. Tylko co przyszedł, widziałem... Bo co?

– Wobec tego zwłaszcza proszę pana o pozostanie tutaj z nami i o niezostawianie mnie sam na sam z tą... panną. Chodzi o drobiazg, a zrobią z tego Bóg wie co. Nie chcę, aby Raskolnikow powtórzył *tam*... Pan rozumie, co mam na myśli?

– A rozumiem, rozumiem! – nagle domyślił się Lebieziatnikow. – Tak, ma pan prawo... Wprawdzie sądzę, że posuwa się pan zbyt daleko w swych obawach, ale... ma pan jednak prawo. Dobrze, zostanę. Stanę tutaj przy oknie i nie będę panu przeszkadzał... Uważam, że ma pan prawo...

Łużyn wrócił do kanapy, usiadł na wprost Soni, spojrzał na nią uważnie i nagle zrobił nadzwyczaj poważną, nawet nieco surową minę: „Żebyś sobie czasem, moja panno, nie wyobrażała za wiele”. Sonia rzeczywiście poczuła się ogromnie zmieszana.

– Po pierwsze, proszę panią o wytłumaczenie mnie przed szanowną mamusią. Nie mylę się chyba? Katarzyna Iwanowna zastępuje pani matkę? – zaczął Łużyn nader poważnie, choć dość łaskawie. Wyglądało na to, że ma zupełnie przyjacielskie zamiary.

– Tak jest, tak, zastępuje mi matkę – szybko i trwożliwie odpowiedziała Sonia.

– Zatem niech pani wytłumaczy mnie przed nią, że wskutek okoliczności niezależnych ode mnie muszę zrobić zawód i nie przyjdę do państwa na bliny... to jest na stypę, mimo miłego zaproszenia pani mamusi.

– Tak... powiem... zaraz.

Sonia pośpiesznie zerwała się z krzesła.

– To jeszcze nie wszystko – zatrzymał ją Łużyn, uśmiechnąwszy się na widok jej naiwności i braku wychowania. – Źle mnie pani zna, łaskawa Sofio Siemionowno, jeżeli pani sądzi, że fatygowałbym i prosił o osobiste przyjście taką osobę jak pani dla tak nieważnego i mnie tylko dotyczącego powodu. Mam inne przyczyny.

Sonia usiadła skwapliwie. Szare i tęczowe banknoty, nie sprzątnięte ze stołu, mignęły jej przed oczami, lecz zaraz odwróciła od nich wzrok i spojrzała na Łużyna. Wydało się jej nagle, że to bardzo nieprzyzwoicie, zwłaszcza z jej strony, przyglądać się cudzym pieniądzom. Następnie wzrok jej zatrzymał się na złotym *lorgnon*<sup>[126]</sup>, które Łużyn trzymał w lewej ręce, i jednocześnie na wielkim, masywnym, bardzo ładnym pierścieniu z żółtym kamieniem na serdecznym palcu tejże ręki. Znowu odwróciła oczy, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, i w rezultacie utkwiała wzrok w oczach Łużyna.

Łużyn milczał przez chwilę z jeszcze poważniejszą miną, po czym ciągnął dalej:

– Wczoraj, w przejściu miałem sposobność zamienić z Katarzyną Iwanowną dwa słowa. Te dwa słowa wystarczyły mi, aby się przekonać, że znajduje się ona, jeżeli tak można powiedzieć, w stanie nienormalnym...

– T-ak... w nienormalnym – skwapliwie przytaknęła Sonia.

– Lub powiedziawszy prościej i zrozumiałej – jest chora.

– T-ak, prościej i zroz... T-ak, jest chora.

– T-ak. Zatem, powodowany humanitarnym uczuciem i że tak powiem, współczuciem, przewidując jej los, pragnąłbym ze swej strony być w czymś pożyteczny. Zdaje się, że troska o tę wielce ubogą rodzinę spoczywa teraz na pani jednej.

– Przepraszam pana, że zapytam – nagle podniosła się Sonia – co pan był łaskaw powiedzieć jej wczoraj o możliwości otrzymania emerytury? Jeszcze wczoraj powiedziała mi, że pan obiecał wystarać się jej o emeryturę. Czy to prawda?

– Ależ skąd! To nawet poniekąd bzdura. Wspomniałem tylko o zapomodze dla wdowy po zmarłym czynnym urzędniku, którą można otrzymać przy pewnej protekcji. Ale zdaje się, że nieboszczyk, rodzic pani, nie tylko nie miał odpowiedniej wysługi lat, ale nawet nie pracował ostatnio. Słowem, gdyby nawet była jakaś nadzieja, to bardzo efemeryczna<sup>[127]</sup>, bo w zasadzie w danym wypadku żadne prawa do zapomogi nie przysługują, a nawet przeciwnie... A ona już myślała o emeryturze, che, che, che! Przedsiębiorcza dama!

– Tak, o emeryturze... Bo ona jest łatwowierna i dobra, przez dobroć wierzy we wszystko i... i... i... taka już jest... Tak... przepraszam – powiedziała Sonia i znowu zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Przepraszam, pani nie wysłuchała do końca.

– T-ak, nie wysłuchałam – bąknęła Sonia.

– Zatem niech pani siada.

Sonia, strasznie zmieszana, po raz trzeci usiadła.

– Widząc jej położenie i nieszczęsne małe dzieci, pragnąłbym, jak już powiedziałem, dopomóc jej w miarę możliwości, tak jest, w miarę możliwości, nie więcej. Można by urządzić na przykład zbiórkę na jej rzecz albo że tak powiem, loterię... lub coś w tym rodzaju, jak to zwykle robią w podobnych wypadkach ludzie bliscy albo nawet i obcy, lecz pragnący nieść pomoc. O tym właśnie chciałem pani powiedzieć. To dałoby się urządzić.

– Tak, to dobrze... Bóg pana za to... – bąknęła Sonia, wpatrując się w Łuzyna.

– Dałoby się, ale... o tym później... to jest dałoby się zacząć nawet dzisiaj. Wieczorem się zobaczymy, rozmówimy i ustalimy, że tak powiem, zasady. Niech pani przyjdzie do mnie gdzieś koło siódmej. Andrzej Siemionowicz, mam nadzieję, weźmie udział wraz z nami... Ale... jest pewna okoliczność, którą należy uprzednio dobrze rozważyć. Właśnie dlatego panią trudziłem, wzywając tutaj. Mianowicie, uważam, że samej Katarzynie Iwanownie nie należy, bo to niebezpieczne, dawać pieniędzy do ręki. Najlepszy dowód – ta dzisiejsza stypa. Nie mając, że tak powiem, kęsa chleba powszedniego na dzień jutrzejszy, no i... obuwia i w ogóle, kupuje dzisiaj rum jamajka, nawet, zdaje się, maderę i-i-i kawę. Jutro zaś znowu wszystko spadnie na panią, każdy kęs chleba. To przecież nie ma sensu. Widziałem, przechodząc. Dlatego więc zbiórka, ja tak przynajmniej uważam, powinna być tak przeprowadzona, aby nieszczęśliwa wdowa, że tak powiem, nic nie wiedziała o pieniądzach, a wiedziałyby o tym na przykład tylko pani. Czy mam słuszność?

– Nie wiem. Ona tylko dzisiaj tak... raz w życiu... tak bardzo chciała tej stypy, żeby uczcić pamięć... ona jest bardzo mądra. Zresztą, jak pan uważa, ja będę bardzo, bardzo, bardzo... oni wszyscy będą panu... i Bóg panu... i sieroty...

Sonia urwała i rozplakała się.

– Ta-ak. Zatem niech pani ma to na uwadze. A na razie zechce pani łaskawie przyjąć dla swojej rodziny na pierwsze potrzeby pewną sumę ode mnie osobiście. Bardzo, ale to bardzo pragnąłbym, żeby przy tym nie było wymieniane moje nazwisko. Oto proszę... sam jestem w kłopotach, nie mogę więcej...

Łuzyn podał Soni banknot dziesięciorublowy, starannie go rozwinąwszy. Sonia przyjęła, zaczerwieniła się, zerwała się z miejsca, wybełkotała coś i pospiesznie zaczęła się żegnać. Łuzyn uroczyście odprowadził ją do drzwi. Wybiegła wreszcie z pokoju, zdenerwowana i wymęczona, i bardzo zmieszana wróciła do Katarzyny Iwanowny.

Podczas całej tej sceny Andrzej Siemionowicz stał przy oknie lub chodził po pokoju, nie chcąc przerywać rozmowy. Kiedy Sonia wyszła, podszedł do Łuzyna i uroczyście uściśnął mu rękę.

– Wszystko słyszałem i wszystko *widziałem* – rzekł, akcentując ostatni wyraz. – To było szlachetne, to jest chciałem powiedzieć, ludzkie! Pan chciał uniknąć podziękowań, zauważyłem to! I chociaż przyznaję, że z zasady nie pochwalam prywatnej dobroczynności, bo ona nie tylko nie tępi radykalnie zła, ale je nawet podtrzymuje, to jednak nie mogę nie przyznać, że

z zadowoleniem patrzyłem na pański postępek. Tak, tak, to mi się podobało.

– E, to głupstwo! – mruknął Łużyn nieco poruszony, przyglądając się Lebieziatnikowowi.

– Nie, to nie jest głupstwo! Człowiek dotknięty i obrażony, jak pan wczorajszą historią, a jednocześnie zdolny do pamiętania o nieszczęściu innych, taki człowiek... nawet, gdy popełnia błąd społeczny, godzien jest szacunku! Nie spodziewałem się tego po panu, tym bardziej z pańskimi przekonaniem, ach! Jak bardzo szkodzą panu pańskie przekonania! Jak pana denerwuje, na przykład, wczorajszy zawód! – wykrzykiwał pocziwy z natury Lebieziatnikow, czując znowu przyływ sympatii dla Łużyna. – Po co panu, po co panu to małżeństwo, to legalne małżeństwo, szanowny, kochany Piotrze Pietrowiczu?!<sup>[128]</sup> Na co panu koniecznie ta *legalność* w małżeństwie? Może mnie pan obić, a ja mimo to będę utrzymywał, że się cieszę, cieszę, że to nie doszło do skutku, że pan jest wolny, że pan nie jest jeszcze zupełnie stracony dla ludzkości, cieszę się z tego... No, widzi pan, wypowiedziałem się!

– Po to, że nie mam ochoty być rogaczem w pańskim wolnym związku i niańczyć cudzych dzieci, po to potrzebne mi jest legalne małżeństwo – odpowiedział Łużyn, żeby odpowiedzieć cokolwiek. Był zamyślony i mocno czymś zaabsorbowany.

– Dzieci? Pan wspomniał o dzieciach? – Andrzej Siemionowicz drgnął jak koń wojskowy, który usłyszał pobudkę. – Dzieci to zagadnienie społeczne pierwszorzędnej wagi, zgadzam się. Lecz zagadnienie to będzie inaczej rozwiązane. Są tacy, którzy zupełnie odmawiają dzieciom racji bytu, podobnie jak wszystkiemu, co przypomina rodzinę. O dzieciach pomówimy później, teraz zajmijmy się sprawą rogów. Przyznam się panu, że jest to moja słaba strona. To wstrętne, huzarskie wyrażenie Puszkina<sup>[129]</sup> jest nie do pomyślenia w słowniku przyszłości. Właściwie, co to są rogi? O, cóż to za nieporozumienie! Jakie rogi? Po co rogi?... Cóż za głupstwa! Właśnie w wolnym związku nie będzie na nie miejsca! Rogi to jedynie naturalna konsekwencja każdego legalnego małżeństwa, są one, że tak powiem, jego ulepszeniem, protestem, zatem w tym rozumieniu nie są nawet niczym poniżającym... Jeżeli kiedykolwiek – przypuśćmy tu taką nedorzeczność – zawrę legalne małżeństwo, to nawet będę się cieszył z tych rogów, które pan uważa za taką hańbę. Powiem wtedy swej żonie: „Przyjaciółko moja, do tej chwili kochałem cię tylko, a teraz cię szanuję, bo zdobyłaś się na protest”. Pan się śmieje? To dlatego, że nie potrafi pan zerwać z przesądami! Do diabła, rozumiem przecież, na czym polega właściwie przykrość, gdy zdradza legalna małżonka, ale wszak jest to tylko podły skutek podłego faktu, który obie strony poniża jednakowo. Kiedy zaś sprawę rogów stawia się zupełnie szczerze, jak w wolnym związku, przestają one istnieć, są nie do pomyślenia i tracą nawet swą nazwę. Przeciwnie, żona pańska dowiedzie panu jedynie swego szacunku, uważając pana za niezdolnego do przeciwstawiania się jej szczęściu i dostatecznie uświadomionego, by nie mścić się na niej za nowego męża. Niech to diabli, ale marzę czasem, że gdyby mnie wydano za męża,

tfu! gdybym zawarł związek małżeński, wszystko jedno wolny czy legalny, to sam sprowadziłbym żonie kochankę, jeśli się zbyt długo nie mogła na to zdobyć. „Przyjaciółko moja – powiedziałbym jej – kocham cię, lecz nade wszystko pragnę, żebyś mnie szanowała!”. Tak! Może nie mam racji, co?

Łużyn słuchał, chichocząc, lecz bez szczególnego zainteresowania. Nawet nie słuchał bardzo uważnie. W rzeczywistości myślał o czymś innym i Lebieziatnikow zauważył to w końcu. Łużyn był czymś przejęty, zacierał ręce, zamyślał się. Wszystko to Andrzej Siemionowicz przypomniał sobie później i skojarzył...

Trudno powiedzieć, jakie właściwie pobudki zrodziły w skołatanej głowie Katarzyny Iwanowny myśl o urządzeniu tej bezsensownej stypy. Z przeszło dwudziestu rubli, ofiarowanych przez Raskolnikowa na pogrzeb Marmieładowa, na stypę poszło prawie dziesięć. Możliwe, że Katarzyna Iwanowna poczuwała się względem nieboszczyka do obowiązku uczczenia jego pamięci „jak należy”, żeby wszyscy lokatorzy, a zwłaszcza Amalia Iwanowna, wiedzieli, że był on „nie tylko nie gorszy od nich, ale może nawet znacznie lepszy”, i żeby nikt nie ośmielał się „zadzierać nosa”. Możliwe, że wpłynęła na to owa specyficzna *duma ludzi biednych*, wskutek której przy pewnych ceremoniach, obowiązujących w życiu wszystkich i każdego z osobna, wielu biedaków wyłazi wprost ze skóry i wysupłuje ostatni zaoszczędzony grosz, żeby tylko było „nie gorzej niż u innych” i żeby ci inni czasami ich „nie obgadali”. Być może również, że Katarzyna Iwanowna zapragnęła właśnie przy tej okazji, w chwili, kiedy zdawałoby się, że jest zupełnie przez wszystkich opuszczona, dowieść tym „marnym i podłym lokatorom”, że ona nie tylko umie „żyć i przyjmować”, ale że w ogóle nie należał jej się taki marny los, bo była wychowana „w porządnym, ba, nawet arystokratycznym domu ojca pułkownika” nie po to, żeby samej zamiatać i prać szmaty dzieciom po nocach. Takie paroksyzmy<sup>[130]</sup> dumy i próżności zdarzają się czasem najbiedniejszym i najbardziej zgnębionym ludziom, i bywa, że nieraz stają się ich obsesją. Przy tym Katarzyna Iwanowna wcale nie należała do zgnębionych: okoliczności mogły ją zabić, ale nie mogły jej zgnębić moralnie, to jest zastraszyć i złamać jej woli. Poza tym Sonia zupełnie słusznie mówiła, że jej się rozum miesza. Nie można było wprawdzie stwierdzić tego konkretnie i ostatecznie, ale rzeczywiście w ciągu ostatniego roku jej biedny mózg zniósł zbyt wiele, aby to mogło pozostać bez śladu. Silnie zaawansowane suchoty również przyczyniają się, zdaniem lekarzy, do pomieszania zmysłów.

*Trunków* w liczbie mnogiej i w różnych gatunkach nie było, *madery* również: była to przesada, ale wino było. Poza tym: wódka i rum, piwo, wszystko w najgorszym gatunku, ale w dostatecznej ilości. Prócz kutii były trzy czy cztery dania (w tym również bliny), wszystko z kuchni Amalii Iwanowny, ponadto nastawiono dwa samowary, bo projektowano po obiedzie herbatę i poncz. Zakupy poczyniła sama Katarzyna Iwanowna przy pomocy jednego z lokatorów, marnego Polaczka, który Bóg wie po co mieszkał u pani Lippewechsel. Od razu zgłosił się do Katarzyny Iwanowny na posyłki i biegał na złamanie karku przez cały wczorajszy dzień i całe dzisiejsze rano z wywieszonym językiem, jakby umyślnie się starał, by ten ostatni szczegół nie uszedł uwagi. Przybiegał co chwila z każdym głupstwem do Katarzyny Iwanowny, szukał jej nawet na targu, nazywał ją bez przerwy „panią chorążyną”, aż w końcu zbrzydł jej ze szczętem, choć początkowo twierdziła, że nie dałaby sobie rady bez tego „usłużnego i szlachetnego człowieka”. Był to bowiem charakterystyczny rys Katarzyny Iwanowny, że w pierwszym

lepszym odkrywała nagle najwspanialsze zalety i wychwalała go tak, że czasami jemu samemu głupio było tego słuchać, zmyślała różne, nieistniejące szczegóły malujące go w nader pochlebnym świetle i zupełnie szczerze, naiwnie sama w to wierzyła. Potem nagle zniechęcała się, rozczarowywała, mieszała z błotem i przepędzała bez litości człowieka, którego przed kilkoma godzinami dosłownie ubóstwiała. Miała usposobienie z natury żywe, wesołe i zgodne. Jednak skutek ciągłych nieszczęść i niepowodzeń pałała tak *namiętną żądzą*, żeby wszyscy żyli w zgodzie i radości i *nie wazyli* się żyć inaczej, że najłżejszy dysonans, najdrobniejsze niepowodzenie życiowe doprowadzało ją natychmiast do furii, w której bezpośrednio po najpiękniejszych marzeniach i fantazjach zaczynała przeklinać swój los, rzucała i darła wszystko, co wpadło jej pod rękę, tłukła głową o ścianę. Amalia Iwanowna również nagle nabrała w jej oczach niezwykłego znaczenia i powagi. Być może, jedynie dlatego, że gdy wynikła sprawa stypy, bardzo serdecznie postanowiła wziąć udział we wszystkich przygotowaniach: podjęła się nakryć do stołu, dostarczyć obrusów i serwetek, naczyń itd. oraz przygotować potrawy u siebie w kuchni. Katarzyna Iwanowna zdała się na nią we wszystkim i udając się na cmentarz, zostawiła ją w swoim mieszkaniu. Rzeczywiście, wszystko przygotowane było bez zarzutu; stół był nakryty nawet dosyć porządnie; naczynia, widelce, noże, kieliszki, szklanki, filiżanki – wszystko to było różnych kształtów i wielkości, bo zostało wypożyczone od sąsiadów, ale o oznaczonej godzinie wszystko było na swoim miejscu i Amalia Iwanowna w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, z pewną dumą powitała wracających z cmentarza, wystrojona, w czepcu z nowymi, żałobnymi wstążkami i w czarnej sukni. Ta duma, choć uzasadniona, nie spodobała się Katarzynie Iwanownie: „Jakby bez niej nikt nie potrafił nakryć do stołu!”. Czepiec z czarnymi wstążkami nie podobał się jej również: „Bóg raczy wiedzieć, może ta głupia Niemka się pyszni, że ona, gospodyni, z litości pomaga biednym lokatorom? Z litości! Też mi coś! U papy, który był pułkownikiem i omal nie został gubernatorem, nakrywało się nieraz stół na czterdzieści osób, a jakiejś tam Amalii Iwanowny czy ściślej Ludwigowny nie wpuszczono by nawet do kuchni...”. Jednakże Katarzyna Iwanowna postanowiła na razie nie zdradzać się ze swymi uczuciami, choć w głębi duszy uważała, że Amalię Iwanownę należałoby koniecznie dziś jeszcze utemperować i przypomnieć jej, gdzie jest jej właściwe miejsce, w przeciwnym razie bowiem gotowa jest Bóg wie co o sobie sądzić. Na razie jedynie potraktowała ją ozięble. Do zdenerwowania Katarzyny Iwanowny przyczyniła się inna jeszcze, niemiła okoliczność. Na pogrzebie nie było prawie nikogo z sąsiadów prócz Polaczka, który mimo wszystko zdążył jednak wpaść na cmentarz. Na stypę natomiast zjawili się tylko najmniej znaczni i najbiedniejsi, niektórzy nawet po pijanemu, sama hołota. Nikt ze starszych i stateczniejszych lokatorów nie przyszedł, jakby naumyślnie się zmówili. Nie przyszedł, na przykład, Piotr Pietrowicz Łużyn, najsolidniejszy, rzecz można, z lokatorów. Tymczasem wczoraj wieczorem Katarzyna Iwanowna zdążyła już opowiedzieć wszystkim, to jest Amalii Iwanownie,



Poleńce, Soni i Polaczkowi, że to jest najszlachetniejszy, najgodniejszy człowiek, że ma wielkie stosunki i majątek, że był przyjacielem jej pierwszego męża, bywał w domu u jej ojca i obiecał, że poruszy wszystkie sprężyny, aby wystarać się dla niej o znaczną emeryturę. Zauważyć należy, że gdy Katarzyna Iwanowna pyszniła się czymś majątkiem lub stosunkami, to robiła to bez żadnego wyrachowania, nie dla osobistych korzyści, lecz jedynie z dobrego serca, dla samej przyjemności chwalenia kogoś i nadania mu większej wartości. Prócz Łużyna, prawdopodobnie „za jego przykładem”, nie przyszedł również „ten wstrętny łajdak Lebieziatnikow”. „A ten co sobie myśli? Przecież zaproszono go tylko z łaski, bo mieszka w jednym pokoju z Łużynem, jest jego znajomym i jakoś niezręcznie było go nie zaprosić”. Nie przyszła również pewna zmanierowana dama ze swoją córką, „przejrzałą pannicą”. Mieszkały u Amalii Iwanowny dopiero dwa tygodnie, lecz kilkakrotnie skarżyły się na hałasy i krzyki dochodzące z pokoju Marmieładowów, zwłaszcza gdy nieboszczyk wracał do domu pijany. Katarzyna Iwanowna dowiedziała się o tym od gospodyni, gdy ta podczas kłótni krzyczała na całe gardło, że wypędzi całą rodzinę zakłócającą spokój „porządnym lokatorom”, którym „do pięt nie dorasta”. Katarzyna Iwanowna umyślnie teraz zaprosiła ową damę z córką, którym podobno „do pięt nie dorasta, tym bardziej że ta przy przypadkowych spotkaniach wyniośle odwracała głowę. Niech więc wie, że tu „szlachetnie myślą i czują oraz zapraszają, wybacząc krzywdy”, i że Katarzyna Iwanowna ongiś do innego losu była przyzwyczajona. W tym celu zamierzała przy obiedzie podać jej do wiadomości, że jej ojciec omal nie został gubernatorem, dodając przy tym, że nie należy się odwracać przy spotkaniach i że to jest bardzo głupie. Nie przyszedł również gruby pułkownik (w rzeczywistości dymisjonowany sztabkapitan), lecz okazało się, że jest „urzędnym” jeszcze od wczoraj. Słowem, stawili się jedynie: Polaczek; pewien plugawy urzędniczyna w zatłuszczonym surducie, wągrowaty i wstrętne cuchnący; głuchy i prawie ślepy staruszek, były urzędnik jakiejś tam poczty, którego ktoś od niepamiętnych czasów, nie wiadomo po co, utrzymywał u Amalii Iwanowny. Zjawił się również pijany porucznik, a właściwie dymisjonowany urzędnik intendentury, który śmiał się bardzo nieprzyzwoicie i głośno i był, „wyobraźcie sobie państwo”, bez kamizelki! Jakiś jegomość zasiadł sobie bez ceremonii do stołu, nie przywitawszy się nawet z Katarzyną Iwanowną. Wreszcie jakiś osobnik z braku ubrania przyszedł w szlafroku, ale było to już tak dalece nieprzyzwoite, że Amalii Iwanownie i Polaczkowi udało się go jakoś wyprowadzić. Polaczek przyprowadził zresztą dwóch innych Polaczków, którzy nigdy u Amalii Iwanowny nie mieszkali i których nikt tu na oczy nie widział. Wszystko to w bardzo przykry sposób podziałało na Katarzynę Iwanownę. „Wobec tego dla kogo właściwie robiło się to całe przyjęcie?”. Nawet dzieci, żeby było więcej miejsca, umieszczono nie przy stole, który i tak zajął cały pokój, tylko nakryto im na kufrze w kącie, przy czym obu malców<sup>[131]</sup> posadzono na ławeczce, Poleńka zaś jako najstarsza miała ich pilnować i wycierać im noski „jak dzieciom dobrze urodzonym”. Słowem, Katarzyna Iwanowna mimo woli musiała traktować wszystkich ze zdwojoną

godnością, a nawet z wyniosłością. Niektórych gości obrzuciła wyjątkowo surowym spojrzeniem i wyniośle poprosiła do stołu. Uważając nie wiadomo dlaczego, że to z winy Amalii Iwanowny tylu gości nie przyszło, zaczęła traktować ją wyjątkowo niegrzecznie, co ta od razu zauważyła i czym czuła się nad wyraz dotknięta. Tego rodzaju początek nie wróżył dobrego końca. Wreszcie zasiedli do stołu.

Raskolnikow wszedł prawie jednocześnie z powrotem rodziny Marmieładowów z cmentarza. Katarzyna Iwanowna ogromnie się ucieszyła, po pierwsze dlatego, że był to jedyny „wykształcony gość” wśród przybyłych i „jak wiadomo, za dwa lata zamierzał objąć katedrę profesorską na tutejszym uniwersytecie”, po drugie zaś dlatego, że przyszedłszy, natychmiast z uszanowaniem przeprosił ją za to, że mimo chęci nie mógł być na pogrzebie.

Wręcz rzuciła się na niego, posadziła obok siebie po lewej ręce (z prawej strony siedziała Amalia Iwanowna) i bez przerwy zwracała się do niego, mimo że pochłaniała ją ciągła troska, aby porządnie roznoszono i rozdzielano wszystkim potrawy. Nie zwracała uwagi na kaszel, który co chwila przerywał jej mowę i dusił ją, wzmógłszy się bardzo, jakby na złość w ciągu ostatnich dwóch dni. Szeptem wylewała przed nim wszystkie nagromadzone żale i słuszne oburzenie na nieudaną stypę, przy czym oburzenie to przechodziło często w wesołe, niepowstrzymane wyśmiewanie się z zebranych gości, zwłaszcza zaś z samej gospodyni.

– Wszystkiemu winno to ziółko. Pan wie, o kim mówię: o niej, o niej! – Katarzyna Iwanowna wskazała palcem gospodynię. – Niech pan spojrz na nią: wytrzeszczyła gały, domyśla się, że o niej mówimy, ale nie słyszy i oczy jej wyłażą. Tfu, sowa! cha, cha, cha!... Kchy, kchy, kchy! I co właściwie ma znaczyć ten czepiec? Kchy, kchy, kchy! Zauważył pan, jak to chce, żeby się wszystkim zdawało, że ona mnie proteguje i zaszczyt mi robi swoją obecnością. Prosiłam ją jak kogoś dobrego, żeby zaprosiła porządniejszych ludzi, czyli właśnie znajomych nieboszczyka, a widzi pan, kogo nasprawdzała: błaznów jakichś! Hołota! Niech pan spojrz na tego wągrowatego, istny smark na dwóch nogach! A ci Polaczkowie?... cha, cha, cha! Kchy, kchy, kchy! Nikt ich tutaj nie widział i ja ich na oczy nie widziałam. Po co przyszli, pytam się pana? Jak to sobie siedli rządem. Panie, hej! – krzyknęła nagle do jednego z nich. – Jadł pan bliny? Proszę sobie wziąć jeszcze! Piwa niech się pan napije, piwa! Wódki pan chce? Niech pan zobaczy: zerwał się, kłania się, niech pan popatrz: pewno są zupełnie zagłodzeni, biedacy! Nic nie szkodzi, niech się najedzą. Nie hałasują przynajmniej, tylko... doprawdy boję się o srebrne łyżki gospodyni!... Amalio Iwanowno – zwróciła się nagle do niej, prawie głośno – uprzedzam z góry, w razie gdyby rozkradziono pani łyżki, to ja za to nie odpowiadam! Cha, cha, cha! – zaniósła się śmiechem, znowu zwracając się do Raskolnikowa i wskazując mu gospodynię, zadowolona ze swego dowcipu. – Nie zrozumiała, znowu nie zrozumiała! Siedzi z rozdziawioną gębą, widzi pan, sowa, istna sowa, sowisko z nowymi wstążkami, cha, cha, cha!

Jej śmiech przeszedł w dokuczliwy atak kaszlu, trwający prawie pięć minut.

Na chustce zostały plamy krwi, na czoło wystąpiły krople potu. W milczeniu pokazała krew Raskolnikowowi i ledwo odetchnawszy, znowu zaczęła szeptać z wielkim ożywieniem, z wypiekami na policzkach.

– Proszę pana, powierzyłam jej najdelikatniejszą, rzecz można, misję zaproszenia tej damy z córką, pan wie, o kim mówię? W tej sprawie należało się zachować z wielką delikatnością, działać z niezwykłą zręcznością, a ona to tak urządziła, że ta przyjezdna kretynka, ta bezczelna kreatura, ta marna prowincjuszka tylko dlatego, że jest wdową po jakimś majorze i przyjechała starać się o emeryturę, wycierać progi w urzędach, że mimo swoich pięćdziesięciu pięciu lat maluje się, pudruje i różuje (to rzecz wiadoma)... ta kreatura nie tylko nie raczyła się pofatygować, ale nie przyszła nawet przeprosić, że nie może przyjść, jak tego wymaga najprostsza przyzwoitość! Nie rozumiem również, dlaczego nie przyszedł Piotr Pietrowicz? Gdzie jest Sonia? Dokąd ona poszła? A, jest nareszcie! Gdzie byłaś, Soniu? Dziwne, że nawet na pogrzebie ojca nie możesz być punktualna. Rodionie Romanowiczu, niech pan się trochę posunie. Masz miejsce, Soniu... Weź sobie, co chcesz. Nałóż sobie galaretki, jest dobra. Zaraz będą bliny. Czy dzieci dostały? Poleńko, macie tam wszystko? Kchy, kchy, kchy! No, dobrze. Bądź grzeczny, Lonia, a ty, Kola, nie machaj nóżkami, siedź, jak grzeczne dziecko powinno siedzieć. Co mówisz, Soniu?

Sonia powtórzyła jej zaraz przeprosiny Łużyna, starając się mówić głośno, żeby wszyscy słyszeli, dobierając wyrażen pełnych szacunku i ubarwiając je nawet umyślnie. Dodała, że Łużyn prosił koniecznie o powtórzenie, że gdy tylko będzie mógł, przyjdzie, by pomówić w cztery oczy o *interesach* i zdecydować, co będzie można zrobić i przedsięwziąć na przyszłość itd., itp.

Sonia wiedziała, że to ułagodzi i uspokoi Katarzynę Iwanownę, pochlebi jej, zwłaszcza zaś zadowoli jej ambicję. Usiadła przy Raskolnikowowie, przywitawszy się z nim lekkim ukłonem, i obrzuciła go ciekawym, przelotnym spojrzeniem. Poza tym przez cały czas starała się nie patrzeć na niego i unikała rozmowy z nim. Ani ona, ani Katarzyna Iwanowna nie nosiły, z braku odpowiednich sukien, żałoby. Sonia miała na sobie suknię ciemnobrązową, Katarzyna Iwanowna zaś swoją jedyną suknię, perkalową, ciemną w paski. Wiadomości od Łużyna zostały dobrze przyjęte. Wysłuchawszy Soni z bardzo godną miną, Katarzyna Iwanowna równie godnie zapytała o zdrowie Piotra Pietrowicza. Bezpośrednio potem głośnym *szeptem* zakomunikowała Raskolnikowowi, że rzeczywiście mimo przywiązania do rodziny i dawnej przyjaźni z jej ojczulkiem dziwnie wyglądałaby obecność tak poważnego człowieka, jak Piotr Pietrowicz w tym „niezwykłym towarzystwie”.

– Dlatego też jestem panu szczególnie wdzięczna, że pan nie pogardził moją gością, nawet w takim otoczeniu – dodała niemal głośno. – Pewna jestem, że jedynie przez wielką przyjaźń, jaką pan żywił dla mego biednego nieboszczyka, dotrzymał pan swego przyrzeczenia.

Następnie raz jeszcze dumnie i z godnością popatrzyła na swoich gości, po czym troskliwie zapytała głośno przez stół głuchego staruszka: „Czy nie życzy sobie pieczeni i czy poczęstowano go winem?”. Staruszek nie

odpowiedział i długo nie mógł zrozumieć, o co go pytano, choć sąsiedzi zaczęli go dla zabawy poszturchiwać. Rozglądał się tylko wokół z otwartymi ustami, co wywoływało jeszcze większą wesołość.

– To ci jełop! Niech pan patrzy, niech pan patrzy! Po co go sprowadzono? Co się tyczy Piotra Pietrowicza, to zawsze wierzyłam w niego – mówiła dalej Katarzyna Iwanowna do Raskolnikowa – bo naturalnie on jest zupełnie inny niż... – ostro, głośno i bardzo surowo zwróciła się do Amalii Iwanowny, co tamtą po prostu przestraszyło – zupełnie inny niż te wyfiokowane lafiryndy, których mój papa nie wzięłyby nawet na kucharki do kuchni, a nieboszczyk mąż zaszczyt by im zrobił, gdyby je przyjął u siebie w swej bezgranicznej dobroci.

– Tak, lubił się napić, lubił i popijał! – krzyknął nagle zdymisjonowany intendent, wychylając dwunasty kieliszek wódki.

– Nieboszczyk mąż rzeczywiście miał tę słabość, o tym wszyscy wiedzą – rzuciła się na niego Katarzyna Iwanowna – ale był człowiekiem dobrym i szlachetnym, kochał i szanował swoją rodzinę. Miał tylko tę wadę, że w dobroci swej zbyt ufał wszelkim rozpustnikom. Bóg jeden wie, z kim mu się zdarzało pić, z takimi, co nawet podeszwy jego nie byli warci! Niech pan sobie wyobrazi, Rodionie Romanowiczu, że znaleziono u niego w kieszeni piernikowego kogucika: upił się do utraty przytomności, ale o dzieciach pamiętał!

– Ko-gu-ci-ka? Powiedziała pani ko-gu-ci-ka? – krzyknął jegomość z intendentury.

Katarzyna Iwanowna nie raczyła mu odpowiedzieć. Zamyśliła się i westchnęła.

– Pan na pewno myśli, jak wszyscy, że obchodziłam się z nim zbyt surowo – mówiła, zwracając się do Raskolnikowa. – To nieprawda! On mnie szanował, on mnie bardzo, bardzo szanował. Piękną duszę miał ten człowiek! Czasami bardzo mi go było żal! Nieraz siedzi, patrzy na mnie z kąta, żal mi go, chciałabym go przytulić, ale myślę sobie: „Będę dobra, to znowu pójdzie pić”. Tylko surowością można go było jakoś powstrzymać.

– T-a-k, zdarzało się szarpanie za kudły, zdarzało się, i to nie raz! – zaryczał znowu intendent i wychylił następny kieliszek wódki.

– Nie tylko szarpanie za kudły, ale i miotła przydałaby się poniekórym głupcom. Nie o nieboszczyku teraz mówię! – odpaliła Katarzyna Iwanowna intendentowi.

Wypieki na jej policzkach były coraz mocniejsze i jaskrawsze, pierś falowała. Jeszcze chwila i byłaby wszczęła awanturę. Wiele osób śmiało się, wielu sprawiało to widoczną przyjemność. Intendenta zaczęto poszturchiwać i coś mu szeptać. Oczywiście zamierzano poszczuć ich na siebie.

– Czy wolno za-a-apytać, pod którym to pani adresem? – zaczął intendent. – To jest pod którym... szanownym adresem... pani była łaskawa te... zresztą nie trzeba! Głupstwo! Wdowa! Wdówka! Przebaczam... pasuję i...

I znowu golnął kieliszek.

Raskolnikow siedział i słuchał, milcząc, z obrzydzeniem. Jadł tylko przez grzeczność, żeby nie obrazić Katarzyny Iwanowny, ledwo dotykał porcji,

które mu co chwila nakładała. Uważnie przyglądał się Soni, coraz bardziej zakłopotanej i wystraszonej. Sonia również przeczuwała, że stypa nie skończy się spokojnie, i z lękiem obserwowała wzrastające rozdrażnienie Katarzyny Iwanowny. Wiedziała, że była główną przyczyną tego, iż obie przyjezdne damy tak pogardliwie potraktowały zaproszenie Katarzyny. Słyszała od samej Amalii Iwanowny, że matka czuła się nawet dotknięta tymi zaprosinami i zapytała: „Czyż można przypuścić, by ona zgodziła się posadzić swoją córkę obok tej panny”. Sonia domyślała się, że Katarzyna Iwanowna już w jakiś sposób dowiedziała się o tym. Obraza Soni zaś znaczyła dla Katarzyny Iwanowny więcej niż osobista obraza jej, jej dzieci, papy, słowem była obrazą śmiertelną, i Sonia wiedziała, że Katarzyna Iwanowna nie uspokoi się teraz dopóty, „dopóki nie pokaże tym lafiryndom, że one obie” itd., itp. Jak na złość z drugiego końca stołu ktoś przesłał Soni na talerzu ulepione z razowego chleba dwa serca przebite strzałą. Katarzyna Iwanowna oburzyła się i głośno zauważyła przez stół, że przysłał to „pijany osioł”. Pani Amalia Iwanowna również miała złe przeczucia, przy tym dotknięta do żywego wyniosłością Katarzyny Iwanowny chciała przerwać przykry nastrój i zwrócić uwagę towarzystwa na siebie. Ni z tego, ni z owego zaczęła opowiadać, że jakiś jej znajomy „Karl z apteki” jechał w nocy dorożką i że „dorożkarz chciał go zapijać i Karl go barso, barso prosił, szeby on go nie zapijał, i płakał i rence sloszyl i wistraszyl, i strach jemu serce pszebil”. Katarzyna Iwanowna wprawdzie uśmiechnęła się, ale zaraz dodała, że Amalia Iwanowna nie powinna opowiadać anegdotek po rosyjsku. Ta obraziła się jeszcze bardziej i odpowiedziała, że jej „*Vater aus Berlin*<sup>[132]</sup> był barso, barso waszny człowiek i siagle rence do kieszeń wlaził”. Skłonna do śmiechu Katarzyna Iwanowna nie wytrzymała i roześmiała się serdecznie, tak że Amalia Iwanowna zaczęła ostatecznie tracić cierpliwość i już ledwo się hamowała.

– To dopiero sowa! – szepnęła znowu Katarzyna Iwanowna do Raskolnikowa, prawie rozbawiona. – Chciała powiedzieć: chodził z rękoma w kieszeniach, a powiedziała, że sięgał do cudzej kieszeni, kchy, kchy! Czy zwrócił pan uwagę, że w ogóle ci wszyscy petersburscy cudzoziemcy, zwłaszcza zaś Niemcy, którzy do nas skądś przyjeżdżają, wszyscy są od nas głupszi! Zgodzi się pan, bo jakżeż można opowiadać, że „Karlowi z apteki strach serce pszebil” i że ten (ciapciak!) zamiast związać dorożkarza, „rence sloszyl, plakał i barso, barso prosil”. Ach, co za idiotka! Myśli, że to jest bardzo wzruszające, i nie wie, jaka jest głupia! Uważam, że ten pijany intendent jest mądrzejszy od niej, przynajmniej widać, że moczymorda przepity do szpiku kości, a tamci wszyscy są tacy spokojni i poważni... Jak to siedzi, oczy wybałuszyła. Gniewa się! Gniewa się! Cha, cha, cha! Kchy, kchy, kchy!

Rozbawiona Katarzyna Iwanowna wdała się w różne szczegóły i wreszcie zaczęła opowiadać, jak dzięki otrzymanej emeryturze na pewno założy w swym rodzinnym mieście T... pensjonat dla dobrze urodzonych panien. Ponieważ dotychczas sama jeszcze nie mówiła o tym Raskolnikowowi, więc teraz z zapałem wdała się w najponętniejsze szczegóły. Nie wiadomo skąd



znalazł się w jej ręku ten sam „list pochwalny”, o którym wspominał Raskolnikowowi nieboszczyk Marmieladow, wyjaśniając mu w knajpie, że żona jego, Katarzyna, kończąc instytut, tańczyła z szalem „przed gubernatorem i innymi osobistościami”. Oczywiście, „list pochwalny” miał teraz posłużyć jako dowód, że Katarzyna Iwanowna ma prawo do założenia pensji. Ale przede wszystkim był przygotowany dla ostatecznego pogrzebienia „obydwu wyfiokowanych lafirynd” na wypadek, gdyby przyszedł na stypę. Miał im wyraźnie dowieść, że Katarzyna Iwanowna pochodzi z bardzo porządnego, „nawet arystokratycznego domu, jest córką pułkownika, a już na pewno jest czymś lepszym od jakichś awanturnic, których tyle się namnożyło w ostatnich czasach”. „List pochwalny” zaczął krążyć wśród pijanych gości bez protestu ze strony Katarzyny Iwanowny, gdyż rzeczywiście wymieniono w nim *en toutes lettres*<sup>[133]</sup>, że jest ona córką radcy dworu i kawalera orderów, a zatem w samej rzeczy córką niemal pułkownika. Katarzyna Iwanowna w zapale wykładała wszystkie szczegóły przyszłego, pięknego i spokojnego życia w T., mówiła o nauczycielach gimnazjum, którym powierzy wykłady na pensji, o czcigodnym staruszku Francuzie Mangaut, który ją samą uczył francuskiego w instytucie, a który mieszka jeszcze dotychczas w T. i na pewno przyjmie u niej lekcje na umiarkowanych warunkach. Przyszła kolej i na Sonię, „która uda się do T. wraz z Katarzyną Iwanowną i będzie jej tam we wszystkim pomagać”. W tym miejscu ktoś przy końcu stołu parsknął śmiechem. Katarzyna Iwanowna, jakkolwiek starała się udać, że z pogardy nie zwróciła na to uwagi, jednak umyślnie podniesionym głosem poczęła z zapałem mówić o niewątpliwych kwalifikacjach, jakie Sonia miała na jej pomocnicę, o jej dobroci, cierpliwości, ofiarności, szlachetności i wykształceniu”, przy czym poklepała Sonię po policzku i uniósłszy się, dwa razy ucałowała ją gorąco. Sonia zaczerwieniła się, Katarzyna Iwanowna zaś nagle się rozplakała, mówiąc o sobie, że jest „głupia, nerwowa i już zbyt rozstrojona, że czas już, ponieważ zjedzono, podać herbatę”. W tej chwili Amalia Iwanowna, oburzona do ostateczności tym, że nie brała najmniejszego udziału w rozmowie i że w ogóle nikt jej nie słuchał, nagle zaryzykowała jeszcze jedną próbę i z nadzieją w sercu pozwoliła sobie zrobić Katarzynie Iwanownie nader rzeczową i głęboką uwagę. Mianowicie, że na przyszłej pensji należałoby się specjalnie zatroszczyć o czystą bieliznę (*die Wäsche*) panien i „że koniecznie musi być taki jeden dobry dam (*die Dame*), co by topsze patrzył na bielisnę”, a następnie „szeby szatna młoda siewica nie cital szaden romans w nosy”. Katarzyna Iwanowna, która rzeczywiście była zdenerwowana, bardzo zmęczona i znużona stypą, z miejsca „odpaliła” Amalii Iwanownie, że „plecie głupstwa” i „nic nie rozumie”. Troska o „die Wäsche” to rzecz gospodyni, a nie przełożonej porządnej pensji, co się zaś tyczy czytania romansów, to jest to po prostu nieprzyzwoitość i ona bardzo prosi, żeby Amalia Iwanowna zamilkła. Amalia Iwanowna zachnęła się i oznajmiła ze złością, że ona „chciał tobsze”, że ona „barso tuszo tobsze chcial” i że jej „za mieszkanie dawno już Geld<sup>[134]</sup> nie płacił”. Katarzyna Iwanowna natychmiast ją

„utemperowała”, powiedziawszy, że ona łże, mówiąc, że „chciał tobsze”, bo jeszcze wczoraj wieczorem, kiedy nieboszczyk leżał na katafalku, molestowała ją o komorne. W odpowiedzi na to Amalia Iwanowna zupełnie konsekwentnie zauważyła, że ona „ten dam prosiła, ale tych dam nie prziszed, bo ten dam to posządny dam i nie mogą przichodzić do nieposządna dam”. Katarzyna Iwanowna, nie omieszkając, „zaznaczyła”, że byle kto nie może sądzić o tym, kto jest naprawdę porządny. Amalia Iwanowna nie wytrzymała i oświadczyła, że jej „*fater aus Berlin* był barso, barso waszny człowiek i obie rence do kieszeń włożył i ciągle robił tak: puf, puf!”. Żeby dać dokładne pojęcie, jak wyglądał jej *fater*, Amalia Iwanowna zerwała się z krzesła, wpakowała obie ręce do kieszeni, wydeła policzki i wydawała nieokreślone dźwięki, podobne do puf, puf, przy akompaniamencie głośnego śmiechu wszystkich lokatorów, którzy dopingowali ją aprobatą w nadziei, że dojdzie do awantury. Tego było już za wiele dla Katarzyny Iwanowny i z miejsca na cały pokój „rąbnęła”, że Amalia Iwanowna może w ogóle nie miała *fatera*, że jest zwyczajną, zapijaczoną petersburską fińczuchą<sup>[135]</sup>, a poprzednio na pewno była kucharką albo jeszcze czymś gorszym. Amalia Iwanowna zaczerwieniła się jak rak i piszczała, że to może Katarzyna Iwanowna „całkiem *Vater* nie mieć, a ja mieć *Vater aus Berlin* i długi surdut nosił, i robił puf, puf, puf!” Katarzyna Iwanowna zauważyła pogardliwie, że jej pochodzenie jest dobrze znane i że w tym właśnie „liście pochwalnym” drukowanymi literami zaznaczono, iż jej ojciec był pułkownikiem. Zaś ojciec pani Amalii (o ile w ogóle miała ojca) z pewnością był jakimś petersburskim fińczuchem i sprzedawał mleko. Ale najprawdopodobniej wcale nie istniał, bo do dziś dnia nie wiadomo, czy mu było na imię Iwan, czy Ludwik. Amalia Iwanowna w ostatecznej furii zaczęła bić pięścią w stół i piszczeć, że jej *fater* „nasywał Johan i on był *Bürgermeister*<sup>[136]</sup>”, a że *fater* Katarzyny Iwanowny „zupełnie nigdy nie był *Bürgermeister*”. Katarzyna Iwanowna wstała z krzesła, surowo i spokojnie (choć biała i z mocno falującą piersią) oznajmiła, że jeżeli tamta jeszcze choć raz ośmieli się „porównać swego parszywego *fater* z jej papą, to ona, Katarzyna Iwanowna, zerwie jej czepek z głowy i podepcze go nogami”. Usłyszawszy to, Amalia Iwanowna zaczęła biegać po pokoju i krzyżeć z całej siły, że ona tu jest gospodynią, więc żeby Katarzyna Iwanowna „w ta chwila poszła z mieszkania”, po czym rzuciła się do zbierania ze stołu srebrnych łyżek. Wszczął się hałas i krzyk, dzieci zaczęły płakać. Sonia mitygowała Katarzynę Iwanownę, ale gdy Amalia Iwanowna krzyknęła nagle coś o żółtej książce, Katarzyna Iwanowna odepchnęła Sonię i rzuciła się na nią, aby natychmiast wprowadzić w czyn swą obietnicę dotyczącą czepka. W tej chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Piotr Pietrowicz Łużyn. Stał i surowym spojrzeniem obrzucał całe towarzystwo. Katarzyna Iwanowna skoczyła do niego.



– Piotrze Pietrowiczu! – krzyczała – niechże choć pan mnie obroni. Niech pan wytłumaczy tej głupiej kreaturze, że nie ma prawa tak się obchodzić z dobrze urodzoną damą w nieszczęściu, że na to jest sąd... Ja do samego generał-gubernatora... Ona mi za to odpowie... Ze względu na pamięć mego ojca zaklinam, niech pan obroni sieroty!

– Przepraszam, łaskawa pani... Ależ przepraszam, przepraszam panią – bronił się Łużyn – ojczulka pani, jak pani o tym wiadomo, nie miałem zaszczytu znać... Daruje pani! – Ktoś roześmiał się głośno. – Ale w ustawicznych nieporozumieniach pani z Amalią Iwanowną nie mam zamiaru brać udziału.... Mam tu interes... i chciałbym porozumieć się bezzwłocznie z pasierbicą pani, Sofią Iwanowną... Tak, zdaje się? Zechce mnie pani przepuścić...

Łużyn, przesunawszy się obok Katarzyny Iwanowny, skierował się do przeciwległego kąta, gdzie stała Sonia.

Katarzyna Iwanowna stała w tym samym miejscu, jak rażona piorunem. Nie mogła zrozumieć, jak Łużyn mógł zaprzecić się goszczenia u jej ojca. Wymyśliwszy te gościny, sama zaczęła w to święcie wierzyć. Uderzył ją również ton Łużyna, rzeczowy, suchy, pełen nawet jakiejś wzgardliwej groźby. Po pojawieniu się Łużyna wszyscy stopniowo zamilkli. Ten „solidny i poważny człowiek” zbyt jaskrawo różnił się od tego towarzystwa, ponadto było widoczne, że przyszedł z czymś ważnym, że jakieś niezwykle powody sprowadziły go do takiego towarzystwa, zatem coś się zaraz stanie, coś nastąpi. Raskolnikow, stojący obok Soni, odsunął się i przepuścił Łużyna, który jak się zdawało, nie zauważył go zupełnie. Za chwilę na progu ukazał się również Lebieziatnikow, nie wszedł jednak do pokoju, lecz stanął w drzwiach, też wielce zaciekawiony, prawie zdumiony. Słuchał, lecz wydawało się, że długo nie mógł czegoś zrozumieć.

– Przepraszam, że przeszkadzam, lecz sprawa jest dość ważna – rzekł Łużyn, nie zwracając się właściwie do nikogo. – Rad jestem nawet, że będą świadkowie. Amalio Iwanowno, uprzejmie proszę, aby pani w charakterze gospodyni zechciała zwrócić uwagę na moją rozmowę z Sofią Iwanowną. Proszę pani – zwrócił się wprost do Soni, niezwykle zdziwionej i już przerażonej – ze stołu w pokoju mojego przyjaciela Andrzeja Lebieziatnikowa wraz z pani wyjściem zniknął należący do mnie banknot skarbowy wartości stu rubli. O ile pani jakimś sposobem wie i wskaże nam, gdzie on się obecnie znajduje, to damę słowo honoru, biorąc wszystkich na świadków, że sprawa nie będzie miała dalszych następstw. W przeciwnym razie będę zmuszony uciec się do środków bardzo poważnych, wtedy... niech pani ma już tylko do siebie pretensję!

Zupełna cisza zaległa pokój. Nawet rozplakane dzieci umilkły. Sonia, trupio blada, patrzyła na Łużyna i nie mogła wymówić słowa. Jakby nie rozumiała jeszcze, o co chodzi. Upłynęło kilka chwil.

– Zatem, jak będzie? – zapytał Łużyn, wpatrując się w nią.

– Ja nie wiem... Ja o niczym nie wiem... – słabym głosem powiedziała

wreszcie Sonia.

– Nie? Pani nie wie? – zapytał raz jeszcze Łużyn, po czym zamilkł na parę sekund. – Niech się pani zastanowi, *mademoiselle*<sup>[137]</sup> – zaczął surowym, lecz ciągle jeszcze ostrzegawczym tonem – niech pani pomyśli, zgadzam się dać pani trochę czasu do namysłu. Zechce pani zrozumieć: gdybym nie był tak bardzo pewny, to z moim doświadczeniem na pewno nie ryzykowałbym tak jawnego oskarżenia. Gdyby bowiem podobne jawne i publiczne oskarżenie okazało się fałszem lub choć tylko omyłką, byłbym poniekąd osobiście odpowiedzialny. Wiem o tym. Dzisiaj rano sprzedałem na swoje potrzeby kilka pięcioprocentowych obligacji na nominalną sumę trzech tysięcy rubli. Rachunki mam w pugilaresie. Przyszedłszy do domu, zacząłem liczyć pieniądze, co może zaświadczyć pan Lebieziatnikow, a odliczywszy dwa tysiące trzysta rubli, włożyłem je do pugilaresu, ten zaś do bocznej kieszeni surduta. Na stole zostało około pięciuset rubli, w tym trzy banknoty po sto rubli każdy. Wtedy weszła pani (na moje wezwanie). W ciągu całej wizyty była pani ogromnie zmieszana, tak dalece, że podczas rozmowy wstawała pani trzykrotnie, zamierzając z jakiegoś powodu wyjść, jakkolwiek rozmowa nie była jeszcze skończona. To wszystko pan Lebieziatnikow również może poświadczyć. Prawdopodobnie sama pani nie zechce przeczyć i potwierdzi, że wzywałem ją za pośrednictwem pana Lebieziatnikowa jedynie w celu omówienia krytycznej, sieroczej doli pani krewnej, Katarzyny Iwanowny (do której nie mogłem przyjść na stypę) oraz potrzeby urządzenia na jej rzecz jakiejś zbiórki, loterii lub czegoś w tym rodzaju. Pani mi dziękowała, nawet ze łzami (powtarzam tylko, jak było, po pierwsze, aby przypomnieć pani, po drugie zaś, aby dowieść, że sam nie zapomniałem o najdrobniejszym szczególe). Następnie wziąłem ze stołu banknot dziesięciorublowy i dałem go pani jako pierwsze wsparcie ode mnie na potrzeby pani krewnej. Wszystko to widział pan Lebieziatnikow. Następnie odprowadziłem panią do drzwi, przy czym ciągle była pani zmieszana. Potem zostawszy sam z panem Lebieziatnikowem i porozmawiawszy z nim z dziesięć minut, wróciłem do stołu, na którym leżały pieniądze, aby jak zamierzałem poprzednio, przeliczyć je i schować oddzielnie. Ku memu zdziwieniu zabrakło jednego sturublowego banknotu. Zechce się pani zastanowić: pana Lebieziatnikowa podejrzewać nie mogłem w żaden sposób, wstydę się nawet takiego przypuszczenia. Omylić się w rachunku również nie mogłem, bowiem na chwilę przed pani przyjściem sprawdziłem rachunek i wszystko się zgadzało. Przyzna pani, że biorąc pod uwagę jej zmieszanie, chęć pośpiesznego odejścia oraz to, że jakiś czas trzymała pani ręce na stole, wreszcie biorąc pod uwagę pani kondycję społeczną i związane z nią nawyki, z przerażeniem, że tak powiem, i wbrew woli, *musiałem* dojść do wniosku, okrutnego, ale słusznego! Dodam jeszcze i powtórzę: nie bacząc na całą *oczywistość* mego przekonania, rozumiem, że mimo to w oskarżeniu moim tkwi pewne dla mnie ryzyko. Ale jak pani widzi, nie zawahałem się, nie puściłem tego płazem i powiem pani dlaczego: jedynie, łaskawa pani, jedynie przez pani czarną niewdzięczność! Jak to? Zapraszam panią w sprawie pani biednej krewnej, daję pani dobrowolną dziesięciorublową

ofiarę, a pani od razu, niezwłocznie odwdzięcza się podobnym czynem! Nie, to nieładnie! Nauczka jest niezbędna. Proszę się zastanowić: wszak jak prawdziwy jej przyjaciel (bo lepszego przyjaciela nie może pani mieć w tej chwili) proszę panią, niech się pani opamięta! Bo będę nieubłagany. A zatem?

– Ja nic panu nie wzięłam – szepnęła przerażona Sonia – dał mi pan dziesięć rubli, niech je pan sobie weźmie. – Sonia wyjęła z kieszeni chustkę, odszukała supełek, rozwiązała go, wyjęła papierek dziesięciorublowy i podała Łużynowi.

– Do stu rubli zatem pani się jednak nie przyznaje? – nalegał z wyrzutem, nie przyjmując banknotu.

Sonia obejrzała się wokoło. Wszyscy patrzyli na nią ponuro, surowo, drwiąco i z nienawiścią. Spojrzała na Raskolnikowa... Stał pod ścianą, skrzyżowawszy ręce, i przeszywał ją płomiennym spojrzeniem.

– O, Boże! – jęknęła Sonia.

– Amalio Iwanowno, trzeba będzie dać znać na policję, a zatem proszę panią uprzejmie o posłanie na razie po stróża – spokojnie i uprzejmie powiedział Łużyn.

– *Got der Barmherzige*<sup>[138]</sup>. Wiedziałam, że ona kradł! – Amalia Iwanowna załamana ręce.

– Pani wiedziała? – podchwycił Łużyn. – Zatem już poprzednio miała pani pewne podstawy do takiego wniosku. Proszę więc panią, by szanowna pani zechciała zapamiętać to, co powiedziała, przy świadkach zresztą.

Wszyscy zaczęli głośno mówić. Nastąpiło ogólne poruszenie.

– Co-o-o! – krzyknęła, nagle oprzytomniawszy, Katarzyna Iwanowna i jak szalona rzuciła się do Łużyna. – Co-o-o! Pan ją oskarża o kradzież? Sonię? Ach, podli, podli! – Dopadłszy do Soni, objęła ją suchymi rękami niczym kleszczami.

– Soniu! Jak śmiałaś wziąć od niego te dziesięć rubli! O, głupia! Dawaj tu! Dawaj tu te dziesięć rubli!

Wyrwawszy Soni banknot, zmięła go i rzuciła prosto w twarz Łużynowi. Zwitek trafił go w oko i odskoczył na podłogę. Amalia Iwanowna rzuciła się, aby go podnieść. Łużyn rozgniewał się.

– Trzymajcie tę wariatkę! – krzyknął.

W tej chwili w drzwiach, obok Lebieziatnikowa, ukazało się jeszcze kilka osób, pomiędzy nimi również obydwie przyjezdne damy.

– Co! Wariatkę! To ja jestem wariatką! Du-reń! – wrzasnęła Katarzyna Iwanowna. – Sam jesteś durniem, krętaczu sądowy, podły człowieku! Sonia, Sonia by wzięła jego pieniądze! To Sonia ma być złodziejką! Jeszcze ci ona da, durniu! – Katarzyna Iwanowna roześmiała się histerycznie. – Widzieliście durnia? – rzucała się na wszystkie strony, wskazując na Łużyna. – Jak to i ty także? – Spostrzegła nagle gospodynię. – I ty także, kielbasiaro, potwierdzasz, że ona „kradł”? Ty podła pruska mordo w krynolinie! Ach, pan! Ach, pan też! Przecież ona wcale nie wychodziła z pokoju od czasu, jak wróciła od ciebie, łajdaku. Usiadła obok pana Rodiona! ... Zrewidujcie ją! Ponieważ nigdzie nie wychodziła, powinna mieć pieniądze

przy sobie! Szukaj więc, szukaj, szukaj! Ale jak nie znajdziesz, to daruj, kochasiu, ale wtedy nam za to odpowiesz! Do najjaśniejszego pana pójde, do najjaśniejszego pana, do samego miłościwego cara pobiegne, do nóg mu padne, zaraz, dziś jeszcze! Sierota jestem! Wpuszczą mnie! Myślisz, że nie wpuszczą? Łzesz, dostanę się! Dostanę się! Liczyłeś na jej łagodność? Na to liczyłeś? Za to ja, bracie, jestem energiczna! Wpadniesz! No, szukaj! Szukaj, szukaj, no, szukaj!

Katarzyna Iwanowna w zaciętrzewieniu szarpała łużyna, ciągnąc go ku Soni.

– Jestem gotów i ponoszę odpowiedzialność... Ale niech się pani uspokoi, szanowna pani, niech się pani uspokoi. Aż nadto dobrze widzę, że jest pani energiczna... To... to... to jak to? – bąkał łużyn. – To należałoby właściwie przy policji... Chociaż zresztą i teraz świadków jest aż nadto... Zgadza się... Ale w każdym razie nie wypada, żeby mężczyzna... ze względu na płęć... Może z pomocą Amalii Iwanowny... chociaż tak się tego przecieź nie załatwia... Więc właściwie?

– Jak pan chce! Kto chce, niech rewiduje! – krzyczała Katarzyna Iwanowna.  
– Sonia, wywróć kieszenie! Tak, tak! Patrz, potworze, pusta, tutaj była chusteczka, kieszeń jest pusta, widzisz! A tu druga kieszeń, o tak, tak! Widzisz, widzisz!

Katarzyna Iwanowna nie wywróciła, lecz formalnie wyszarpała na wierzch obie kieszenie, jedną po drugiej. Lecz z drugiej, prawej kieszeni nagle wyleciał papierek i opisawszy łuk w powietrzu, upadł pod nogi łużyna. Wszyscy to zauważyli, wiele osób krzyknęło. łużyn schylił się, podniósł dwoma palcami papierek z podłogi, uniósł w górę, aby wszyscy widzieli, i rozwinął. Był to banknot sturublwy, złożony w ósmioro. łużyn zatoczył krąg ręką, pokazując go wszystkim.

– Złodziejka! Przesz z mieszkanie! Polic! Polic! – zawyła Amalia Iwanowna.  
– Ich tszeba Sybir wiganiać! Presz!

Ze wszystkich stron rozlegały się krzyki. Raskolnikow milczał, nie spuszczał oczu z Soni, z rzadka tylko rzucając szybkie spojrzenia na łużyna. Sonia stała w tym samym miejscu jak wryta, nawet prawie że nie była zdziwiona. Nagle krew uderzyła jej do twarzy, krzyknęła i zasłoniła się rękami.

– Nie, to nie ja! Ja nie wzięłam! Ja nie wiem! – krzyczała z rozdzierającym serce jękiem i rzuciła się do Katarzyny Iwanowny. Ta schwyciła ją i mocno przycisnęła do siebie, jakby chcąc zasłonić ją własną piersią.

– Sonia, Sonia! Ja nie wierzę! – krzyczała (bez względu na oczywistość) Katarzyna Iwanowna, kołysząc ją w ramionach jak dziecko, obsypując pieśczołami, chwytając jej ręce i wpijając się w nie pocałunkami. – Czy ty byś wzięła? Cóż to za głupcy! O, Boże! Głupcy jesteście, głupcy! – krzyczała, zwracając się do wszystkich. – Nie wiecie, co to za serce, co to za dziewczyna! Ona by wzięła, ona! Przecieź ona swoją ostatnią koszulę zdejmie, sprzeda, bosa pójdzie i wam odda, kiedy będziecie potrzebowali, taka ona jest! Żółtą książkę dostała, bo moje dzieci ginęły z głodu, sprzedawała się dla nas... Ach, mój mężu, mój mężu! Ach, mój mężu, mój mężu! To masz dopiero stypę! Boże! Brońcież jej, czego stoicie wszyscy!

Panie Rodionie! Dlaczego pan jej nie broni? Czyżby pan też nie wierzył? Jej małego palca nie jesteście warci, wszyscy, wszyscy! Boże! Brońcież jej w końcu!

Płacz biednej, suchotniczej, opuszczonej Katarzyny Iwanowny wywarł silne wrażenie na obecnych. Tyle było żalu, tyle cierpienia w wykrzywionej bólem, wyschłej, suchotniczej twarzy, w zaschłych, pokrytych spieczoną krwią ustach, w ochrypłym krzyku, w łkaniu podobnym do płaczu dziecka, w tej ufnej, dziecięcej, a zarazem rozpaczliwej prośbie o obronę, że zdawało się, iż wszystkim zrobiło się żal tej nieszczęsnej kobiety. Łużyn zwłaszcza ulitował się zaraz:

– Łaskawa pani! Łaskawa pani! – wołał przekonywającym tonem. – Pani to nie dotyczy! Nikt się nie odważy winić panią o namowę lub współudział, tym bardziej że to przecież pani wykryła, wywracając kieszeń, a zatem pani niczego nie podejrzewała. Bardzo, ale to bardzo gotów jestem współczuć, jeżeli że tak powiem, nędza zmusiła Sofię Siemionownę, ale dlaczego pani, *mademoiselle*, nie chciała się przyznać? Bała się pani wstydu? Pierwszy krok? Może straciła pani głowę? Rzecz zrozumiała, bardzo zrozumiała... Jednak po co się było puszczać na takie historie! Proszę państwa – zwrócił się do wszystkich obecnych – proszę państwa! Lituując się i że tak powiem, współczując, owszem, jestem gotów przebaczyć, nawet teraz, nie zważając na to, że osobiście mnie obrażono. Niech ten wstyd, *mademoiselle*, będzie dla pani nauką na przyszłość – zwrócił się do Soni – ja puszczam to płazem, niech się na tym skończy. Dosyć!

Łużyn spojrzał zezem na Raskolnikowa. Spojrzenia ich się spotkały. Gorejący wzrok Raskolnikowa zdawał się go palić. Tymczasem Katarzyna Iwanowna, nic już nie słysząc, jak szalona obejmowała i całowała Sonię. Dzieci również ze wszystkich stron objęły Sonię rączkami, Poleńka zaś, niezupełnie zresztą rozumiejąca, o co chodzi, dosłownie tonęła we łzach i dławiona łkaniem, schowała spuchniętą od łez, ładniutką twarzyczkę na ramieniu Soni.

– Co za podłość! – nagle rozległo się głośno od drzwi. Łużyn szybko się odwrócił.

– Co za podłość! – powtórzył Lebieziatnikow, patrząc mu badawczo w oczy. Łużyn drgnął. Wszyscy to zauważyli. (Potem przypomniano to sobie). Lebieziatnikow wszedł do pokoju.

– I pan ośmielił się brać mnie na świadka? – powiedział, zbliżając się do Łużyna.

– Co to znaczy? O czym pan mówi? – bąknął Łużyn.

– To znaczy, że pan jest... oszczercą, to właśnie znaczy! – zapalczywie powiedział Lebieziatnikow, surowo wpatrując się w niego swymi krótkowzrocznymi oczkami. Był bardzo rozgniewany. Raskolnikow wpił się w niego wzrokiem, jakby chwytając i ważąc każde słowo. Znowu zaległo milczenie. Łużyn niemal zupełnie stracił głowę, zwłaszcza w pierwszej chwili.

– Jeżeli pan to do mnie... – zaczął, jękając się. – Co się z panem dzieje? Czy pan jest całkiem przytomny?

– Jestem zupełnie przytomny, a pan jest... szubrawcem! Co za podłość!

Ciągle słuchałem, umyślnie cały czas czekałem, żeby dobrze zrozumieć, bo przyznaję, że do tej chwili nie jest to zupełnie logiczne... Ale po cóż pan to wszystko zrobił? Nie rozumiem.

– Co ja takiego zrobiłem? Może pan przestanie mówić głupimi zagadkami? A może pan jest pijany?

– To może pan, nędzniku, pije, bo nie ja! Nigdy wódki nie pijam, bo to nie zgadza się z moimi przekonaniem! Wyobraźcie sobie, że to on sam, własnoręcznie dał tę sturublówkę Sofii Siemionownie, ja widziałem, byłem świadkiem, mogę przysięgać! On, on! – powtarzał Lebieziatnikow, zwracając się do wszystkich i do każdego z osobna.

– Pan chyba zwariował, młokosie! – wrzasnął Łużyn. – Przecież ona sama w pańskiej obecności, sama, teraz, tutaj potwierdziła przy wszystkich, że prócz dziesięciu rubli nic ode mnie nie dostała. W jaki więc sposób wobec tego jej dałem?

– Widziałem, widziałem! – krzyczał Lebieziatnikow – i jakkolwiek jest to wbrew moim przekonaniom, gotów jestem chociażby w tej chwili złożyć w sądzie przysięgę, bo widziałem, jak jej pan po kryjomu podrzucił. A ja, głupiec, myślałem, że pan to zrobił z litości! W drzwiach, żegnając się z nią, kiedy się odwróciła i kiedy pan ścisnął jej rękę, to drugą ręką, lewą, włożył jej pan do kieszeni po kryjomu paperek. Widziałem! Widziałem!

Łużyn zbladł.

– Pan kłamie! – krzyknął wyzywająco. – Jak pan mógł zobaczyć paperek, stojąc pod oknem! Przywidziało się panu... tymi ślepowymi oczami. Pan bredzi!

– Nie, nie przywidziało mi się! Chociaż stałem daleko, ale wszystko, wszystko widziałem. Spod okna trudno było rozpoznać paperek, ma pan rację, ale dzięki zbiegowi okoliczności wiedziałem na pewno, że to była właśnie sturublówka, bo kiedy pan dawał jej paperek dziesięciorublowy, to wziął pan ze stołu również sturublówkę (widziałem to, bo wtedy stałem blisko stołu, a ponieważ przyszła mi do głowy pewna myśl, więc zapamiętałem, że pan miał w ręku ten banknot). Złożył go pan i trzymał cały czas w zaciśniętej ręce. Potem zapomniałem o tym, ale kiedy pan, wstając, przełożył go z prawej ręki do lewej i o mało nie upuścił na podłogę, znowu sobie przypomniałem, bo mi ta myśl przyszła do głowy, mianowicie, że pan w tajemnicy przede mną chce zrobić dobry uczynek. Może pan sobie wyobrazić, jak bardzo zacząłem uważać, no i widziałem, jak się panu udało włożyć jej do kieszeni. Widziałem, widziałem, przysięgnę!

Lebieziatnikow dławił się niemal. Ze wszystkich stron rozlegały się różne okrzyki, przeważnie wyrażające zdziwienie, lecz słyhać też było pogroźki. Wszyscy tłoczyli się wokół Łużyna. Katarzyna Iwanowna rzuciła się do Lebieziatnikowa.

– Andrzej Siemionowiczu! Żle pana osądziłam! Niech pan ją obroni! Pan jeden po jej stronie! To sierota! Pana Bóg zesłał! Andrzej Siemionowiczu, kochany, dobrodzieju!

Prawie nie wiedząc, co czyni, padła przed nim na kolana.

– Bzdury! – wył w dzikiej pasji Łużyn. – Bzdury pan plecie, łaskawco...



„Zapomniałem, przypomniałem sobie, zapomniałem”, co to ma znaczyć! To znaczy, że ja jej umyślnie podrzuciłem? Po co? W jakim celu? Co ja mam wspólnego z tą..

– Po co? Właśnie tego nie rozumiem, a że mówię, jak rzeczywiście było, to fakt! Tak dalece się nie mylę, wstrętny, występny człowieku, że właśnie pamiętam, iż z tego powodu nasunęło mi się wtedy pytanie, wtedy, kiedy panu dziękowałem i ścisnąłem pańską rękę. Dlaczego pan włożył jej ukradkiem do kieszeni? To jest, dlaczego właściwie ukradkiem? Czy dlatego, żeby ukryć to przede mną, wiedząc, że nie uznaję prywatnej dobroczynności, niczego nieleczącej radykalnie? Doszedłem do wniosku, że może naprawdę pan się mnie wstydzi, że daje takie sumy, i oprócz tego pomyślałem: może on chce jej zrobić niespodziankę, żeby się zdziwiła, jak znajdzie u siebie w kieszeni całe sto rubli. (Bowiem niektórzy dobroczyńcy lubią rozkładać na raty swoje dobre uczynki, wiem o tym). Potem pomyślałem, że pan ją chce wypróbować, to znaczy, czy po znalezieniu przyjdzie podziękować, czy nie? Potem, że pan chce uniknąć podziękowań i żeby, no, jak się to mówi, żeby prawica, czy jak tam, nie wiedziała... słowem, coś w tym guście... Ale czy to mało mi wtedy różnych myśli do głowy przychodziło! Postanowiłem więc później się nad tym zastanowić, jednak uważałem, że byłoby niedelikatnie zdradzić się przed panem, iż znam tajemnicę. Lecz natychmiast przyszło mi do głowy jeszcze jedno: że Sofia Siemionowna, zanim spostrzeże pieniądze, może je zgubić. Dlatego postanowiłem przyjść tutaj, wywołać ją i zawiadomić, że włożono jej do kieszeni sto rubli. Mimochodem wstąpiłem do numeru pań Kobylatnikowych, żeby zanieść im *Ogólny zarys metody pozytywnej* i polecić zwłaszcza artykuł Piderita (a również i Wagnera<sup>[139]</sup>), potem przyszedłem tutaj, a tu taka awantura! No, czy tego rodzaju myśli i rozważania przyszłyby mi do głowy, gdybym rzeczywiście nie widział, że włożył jej pan do kieszeni sto rubli?

Lebieziatnikow po zakończeniu swego obszernego wywodu, ukoronowanego tak logicznym wnioskiem, był bardzo zmęczony i pot spływał mu po twarzy. Niestety, nie umiał się dobrze wypowiedzieć po rosyjsku (nie znając zresztą żadnego innego języka), więc ogromnie się zmordował, zdawało się nawet, iż schudł po tym adwokackim popisie. Niemniej jednak jego przemowa wywarła nadzwyczajne wrażenie. Mówił z takim zapałem, z takim przekonaniem i widać było, że wszyscy mu uwierzyli. Łużyn zorientował się, że sprawa stoi źle.

– Co mnie to obchodzi, że panu przyszły do głowy jakieś głupie spekulacje? – krzyknął. – To niczego nie dowodzi! Mogło się panu wszystko przyśnić i tyle! A ja panu mówię, że pan kłamie, łaskawco! Kłamie i oczernia mnie przez złość, a mianowicie przez złość, że nie zgadzałem się na pańskie wolnomyślnie i bezbożne projekty społeczne, ot co!

Ale ten wykręt nie pomógł Łużynowi. Przeciwnie, szemrania rozlegały się ze wszystkich stron.

– Z takiej beczki zaczynasz! – krzyknął Lebieziatnikow. – Łżesz! Wołaj policję, to będę przysięgał! Jednej rzeczy tylko nie rozumiem: dlaczego on się zdecydował na taką podłość? O, marny, podły człowieku!



– Ja mogę wyjaśnić, dlaczego on się zdecydował na taki postępek, i gdyby było trzeba, również przysięgnę! – mocnym głosem odezwał się wreszcie Raskolnikow i wystąpił naprzód.

Był wyraźnie pewny siebie i spokojny. Patrząc na niego, wszyscy zrozumieli, że rzeczywiście wie, o co chodzi, i że sprawa zaraz się wyjaśni.

– Teraz wszystko jest dla mnie zupełnie jasne – ciągnął Raskolnikow, zwracając się do Lebieziatnikowa. – Od pierwszej chwili podejrzewałem, że w tej całej historii tkwi jakiś wstrętny podstęp. Podejrzywałem na skutek pewnych okoliczności mnie jednemu tylko znanych, o których zaraz powiem: w tym leży sedno sprawy. Pan, Andrzeju Siemionowiczu, przez swoje nieocenione zeznanie wyjaśnił mi ostatecznie wszystko. Proszę, aby wszyscy, wszyscy słuchali. Ten pan – wskazał na Łużyna – starał się niedawno o rękę pewnej panny, a mianowicie mojej siostry, Awdotii Romanowny Raskolnikowej. Po przyjeździe do Petersburga onegdaj, przy pierwszym widzeniu, pokłócił się ze mną i wyrzucił go za drzwi, na co mam dwóch świadków. Jest to zły człowiek... Onegdaj nie wiedziałem jeszcze, że on mieszka u pana, Andrzeju Siemionowiczu. Zatem nie wiedziałem, że tego samego dnia, kiedy pokłóciliśmy się, to jest onegdaj, był świadkiem, jak wręczałem Katarzynie Iwanownie, w charakterze przyjaciela nieboszczyka pana Marmieładowa, pewną sumę na pogrzeb. Natychmiast napisał kartkę do mojej matki z zawiadomieniem, że dałem pieniądze nie Katarzynie Iwanownie, lecz Sofii Siemionownie, używając przy tym najnikczemniejszych określeń... charakteru tej ostatniej, to jest napomknął o charakterze mego stosunku do niej. Wszystko to było zrobione w celu poróżnienia mnie z matką i z siostrą, wmawiał im bowiem, że marnotrawię ich ostatni grosz, którym się dzielą ze mną. Wczoraj wieczorem przy matce i siostrze, w jego obecności, ustaliłem prawdę, dowiódłszy, że pieniądze dałem na pogrzeb Katarzynie Iwanownie, nie zaś Sofii Siemionownie, której onegdaj nie znałem, nawet nie widziałem na oczy. Dodałem przy tym, że on, Piotr Łużyn, nie wart jest małego palca Sofii Siemionowny, o której się tak źle wyraża. Na jego pytanie, czy posadziłbym Sofię Siemionowną obok swej siostry, odpowiedziałem, że już to zrobiłem tego właśnie dnia. Zły, że matka i siostra nie chcą ulec jego namowom i zerwać ze mną, zaczął prawić im niewybaczalne chamstwa. Nastąpiło ostateczne zerwanie i wyrzucono go z domu. Wszystko to miało miejsce wczoraj wieczorem. Teraz proszę o specjalną uwagę: wyobraźcie sobie, że udałoby mu się dowieść, że Sofia Siemionowna jest złodziejką, wówczas, po pierwsze, dowiódłby matce mojej i siostrze, że podejrzenia jego były słuszne, że miał rację, oburzając się, iż stawiam moją siostrę na równi z Sofią Siemionowną, że napadając na mnie, strzegł i bronił honoru mojej siostry, a swej narzeczonej. Słowem, dzięki temu mógłby znowu poróżnić mnie z rodziną i miał nadzieję, że znowu wkradnie się w jej łaski. Nie wspominam nawet o tym, że mścił się zarazem na mnie, miał bowiem podstawy, by przypuszczać, że honor i szczęście Sofii Siemionowny są mi bardzo drogie. Oto jego wyrachowanie! Oto jak ja rozumiem tę sprawę. Oto cała przyczyna, prócz której nie ma innej.

W ten czy też podobny sposób zakończył Raskolnikow swoją przemowę,

przerywaną często okrzykami obecnych, słuchających zresztą bardzo uważnie. Nie zważając na przerywanie, Raskolnikow mówił ostro, spokojnie, dokładnie, jasno, z pewnością siebie. Jego ostry głos, zdecydowany ton i surowy wyraz twarzy zrobiły na wszystkich nadzwyczajne wrażenie.

– Tak, tak, tak jest! – potakiwał zachwycony Lebieziatnikow. – To musi być prawda, bo jak tylko Sofia Siemionowna weszła do pokoju, to zapytał mnie o pana: czy pan tu jest? Czy nie widziałem pana wśród gości Katarzyny Iwanowny? Odwołał mnie w tym celu do okna i tam po cichu zapytał. Widać więc, że zależało mu na tym, aby pan tu koniecznie był! Tak, wszystko się zgadza!

Łużyn milczał i uśmiechał się pogardliwie. Był jednak bardzo blady. Obmyślał widocznie, jak się z tego wykręcić. Być może z przyjemnością machnąłby ręką na wszystko i wyszedł, ale w danej chwili było to niemożliwe: równałoby się to bowiem otwartemu przyznaniu, że oskarżenia wytoczone przeciwko niemu są słuszne i że w istocie rzucił na Sonię oszczerstwo. Przy tym towarzystwo, które już przedtem wystarczająco sobie podpiło, było zbyt wzburzone. Intendent, nie zdając sobie zresztą do końca sprawy ze wszystkiego, krzyczał najgłośniej i proponował różne, nader dla Łużyna nieprzyjemne sposoby zlikwidowania zajścia. Lecz w pokoju byli nie tylko sami pijani. Zeszli się i zebrali lokatorzy ze wszystkich pokojów. Wszyscy trzej Polaczkowie ogromnie się irytowali i bez przerwy krzyczeli na Łużyna „panie łajdak”, dodając jeszcze jakieś groźby po polsku. Sonia słuchała z natężoną uwagą, lecz zdawało się, że też nie wszystko rozumie, że dopiero budzi się z omdlenia. Nie spuszczała oczu z Raskolnikowa, czując, że on jest jedyną jej obroną. Katarzyna Iwanowna dyszała ciężko, rzęząc, i wprost padała z wyczerpania. Najgłupszą minę miała Amalia Iwanowna, stała z otwartymi ustami i nic nie rozumiała. Widziała tylko, że Łużyn w jakiś sposób wpadł. Raskolnikow chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz nie dano mu dojść do słowa, wszyscy krzyczeli i tłoczyli się około Łużyna z wymysłami i groźbami. Lecz Łużyn nie stchórzył. Zdając sobie sprawę, że oskarżenie Soni wzięło w łeb, uciekł się po prostu do zuchwalstwa:

– Za pozwoleniem, proszę państwa, za pozwoleniem, proszę się nie tłoczyć, dajcie mi przejść – mówił, przeciskając się przez tłum. – I bardzo proszę nie grozić. Zapewniam, że nic nie będzie, nic mi nie zrobicie, nie jestem lękliwy, a wy, panowie, możecie odpowiadać za usiłowanie bronienia gwałtem sprawy kryminalnej. Złodziejka jest aż nadto zdemaskowana, ja zaś będę ją ścigał. W sądzie będą mniej ślepi i... pijani, nie uwierzą dwóm zdeklarowanym bezbożnikom, buntownikom i warchołom oskarżającym mnie z zemsty osobistej, do czego zresztą sami się przez głupotę przyznają... Więc za pozwoleniem!

– Żeby śladu po panu nie zostało w moim pokoju! Ma się pan wyprowadzić! Między nami wszystko skończone! Pomyśleć tylko, że ze skóry wyłaziłem, żeby go uświadomić... Całe dwa tygodnie!

– Przecież sam panu mówiłem już przedtem, że się wyprowadzam, chociaż pan mnie zatrzymywał. Teraz dodam tylko, że pan jest głupcem! Życzę panu wyleczenia mózgu i ślepowych oczu. Za pozwoleniem!

Przecisnął się przez tłum. Ale intendent nie miał ochoty wypuścić go tak łatwo; nie zadowolając się samymi obelgami, chwycił szklankę ze stołu, zamierzył się i cisnął nią w Łużyna. Szklanka jednak trafiła w Amalię Iwanownę. Niemka wrzasnęła, intendent zaś, straciwszy w czasie rzutu równowagę, stoczył się ciężko pod stół. Łużyn przemknął się do swego pokoju i po upływie pół godziny już go nie było w kamienicy. Nieśmiała z natury Sonia dawno zdawała sobie sprawę z tego, że łatwiej jest całkowicie pograżyć ją niż kogokolwiek innego, skrzywdzić zaś mógł ją bezkarnie prawie każdy. Jednak do chwili obecnej przypuszczała, że ostrożnością, łagodnością i uległością wobec wszystkich i wszystkiego uda jej się jakoś uniknąć nieszczęścia. Rozczarowanie jej było zbyt bolesne. Oczywiście mogła cierpliwie, bez szemrania znieść wszystko, nawet i to, ale na razie było jej strasznie ciężko. Pomimo zwycięstwa i uniewinnienia jej, kiedy minął pierwszy strach i osłupienie, kiedy zrozumiała i uzmysłowiła sobie wszystko wyraźnie, poczucie bezradności i krzywdy boleśnie ścisnęło jej serce. Dostała ataku histerycznego. Nie mogąc dalej wytrzymać, wybiegła z pokoju i uciekła do domu, prawie zaraz po wyjściu Łużyna. Amalia Iwanowna, w którą przy głośnym śmiechu obecnych trafiła szklanka, również nie wytrzymała dalej w roli kozła ofiarnego. Jak szalona rzuciła się z piskiem do Katarzyny Iwanowny, uważając ją za winną wszystkiego:

– Precz z mieszkania! Saras! Marsz!

Mówiąc to, chwyciła wszystkie rzeczy Katarzyny Iwanowny, które wpadły jej w ręce, i ciskała je na podłogę. Katarzyna Iwanowna, i tak już zgnębiona, prawie nieprzytomna, dusząca się i blada, zerwała się z łóżka (na które padła z wyczerpania) i rzuciła się na Amalię Iwanownę. Ale walka była zbyt nierówna: została odrzucona jak piórko.

– Jak to! Mało tych bezbożnych oszczerstw, jeszcze i ta kreatura na mnie! Jak to! W dzień pogrzebu męża wyrzucać z mieszkania! Zaraz po stypie na ulicę z sierotami! Dokąd pójdę? – zawodziła, łkając i dusząc się, biedna kobieta. – Boże! – krzyknęła nagle z błyskiem w oczach – czy nie ma już sprawiedliwości? Kogo masz bronić, jeśli nie nas, sieroty? No, zobaczymy! Są na świecie sądy i sprawiedliwość, poszukam! Zaraz, poczekaj, bezbożna kreaturo! Poleńko, zostań z dziećmi, ja wrócę. Czekaście na mnie, choćby na ulicy! Zobaczymy, czy jest na świecie sprawiedliwość!

Zarzuciwszy na głowę zieloną, kortową chustę, o której wspominał w swoim opowiadaniu nieboszczyk Marmieładow, Katarzyna Iwanowna przecisnęła się przez bezładny, pijany tłum lokatorów tłoczących się w pokoju i zawodząc, wybiegła na ulicę z nieokreślonym celem, by gdzieś zaraz, natychmiast, za wszelką cenę znaleźć sprawiedliwość. Poleńka ze strachu zaszyła się z dziećmi w kąt, objęła obu malców i drżąc, czekała na kufrze na powrót matki. Niemka miotała się po pokoju, wrzeszczała, ciskała wszystko, co wpadło jej w ręce, na podłogę i awanturowała się. Lokatorzy darli się coraz głośniej, jedni dorzucali, co wiedzieli na temat zajścia, drudzy kłócili się i urągali sobie, inni śpiewali...

„Czas na mnie! – pomyślał Raskolnikow. – No, zobaczymy, Sofio Siemionowno, co pani teraz powie!”

I skierował się do mieszkania Soni.

Raskolnikow, pomimo że był zgnębiony własnym lękiem i cierpieniem, potrafił jednak czynnie i energicznie obronić Sonię przed Łużynem. Przecierpiawszy tyle rankiem tego dnia, zadowolony był nawet ze zmiany wrażeń, które stawały się nie do zniesienia, nie mówiąc już o tym, że ujmując się za Sonią, kierował się osobistymi względami uczuciowymi. Męczyła go, chwilami zwłaszcza, myśl o widzeniu się z Sonią: *musiał* powiedzieć jej, kto zabił Lizawietę, przeczuwał, że będzie bardzo cierpieć, i wzdragał się na myśl o tym. I dlatego, gdy wychodząc od Katarzyny Iwanowny, zawołał w myśli: „No, zobaczymy, Sofio Siemionowno, co pani teraz powie!”, to widocznie był jeszcze zewnątrznie podniecony swym wybuchem, rzuconym wyzwaniem i zwycięstwem odniesionym nad Łużynem. Zaszła w nim jednak dziwna zmiana. Gdy doszedł do mieszkania Kapernaumowa, ogarnęła go niemoc i strach. Zamyślony, zatrzymał się przed drzwiami z dziwnym pytaniem: „Czy należy wyjawiać, kto zabił Lizawietę?”. Pytanie to było dziwne, gdyż jednocześnie czuł, że nie tylko nie może nie powiedzieć, ale nie wolno nawet odwlec tej chwili. Nie wiedział wprawdzie, dlaczego nie wolno, wyczuł to tylko, i przytłaczało go dręczące poczucie własnej niemocy wobec konieczności. Aby przerwać te rozważania i nie męczyć się dłużej, szybko otworzył drzwi i stojąc w progu, spojrzął na Sonię. Siedziała oparta łokciami na stole, z twarzą ukrytą w dłoniach. Zobaczywszy Raskolnikowa, zerwała się i podeszła do niego, jakby czekała na jego przyjście.

– Co by się ze mną stało, gdyby nie pan! – powiedziała, witając go na środku pokoju.

Widocznie chciała mu to jak najprędzej powiedzieć. Na to tylko czekała.

Raskolnikow podszedł do stołu i usiadł na krześle, z którego przed chwilą wstała Sonia. Stała teraz o dwa kroki przed nim, tak jak wczoraj.

– Cóż, Soniu? – powiedział i poczuł, że głos mu drży. – Przecież cała sprawa polega na „kondycji społecznej i związanych z nią nawykach”. Czy pani zdała sobie z tego sprawę?

Na jej twarzy malowało się cierpienie.

– Tylko niech pan nie mówi ze mną tak jak wczoraj! – przerwała mu. – Proszę, niech pan da spokój. I tak dosyć już tych męczarni...

Uśmiechnęła się jednak zaraz w obawie, aby nie wziął jej za złe tego wyrzutu.

– Uciekłam stamtąd przez głupotę. Co się tam teraz dzieje? Chciałam zaraz wrócić, ale myślałam, że a nuż... pan przyjdzie.

Raskolnikow opowiedział jej, że Amalia Iwanowna wyrzuca ich z mieszkania i że Katarzyna Iwanowna pobiegła dokądś „szukać sprawiedliwości”.

– Boże mój! – Sonia poderwała się. – Chodźmy prędzej... – Złapała mantylkę.

– Zawsze to samo! – krzyknął zniecierpliwiony Raskolnikow. – Pani zawsze o nich myśli? Niech pani zostanie ze mną!

– A... Katarzyna Iwanowna?

– Katarzyna Iwanowna na pewno pani nie minie. Skoro już wyszła z domu, wstąpi do pani – dodał opryskliwie. – A jak pani nie zastanie, to kto będzie winien?

Sonia przysiadła na krześle w męczącym niezdecydowaniu. Raskolnikow milczał i zastanawiając się nad czymś, patrzył w ziemię.

– Przypuśćmy, że Łużyn tym razem nie chciał – zaczął, nie patrząc na Sonię – ale gdyby chciał, gdyby miał w tym jakiś interes, to przecież wpakowałby panią do więzienia, gdyby nie ja, no i Lebieziatnikow. Czyż nie?

– Tak – odpowiedziała słabym głosem. – Tak – powtórzyła wystraszona i roztargniona.

– Rzeczywiście, mogło się zdarzyć, że mnie by nie było! Lebieziatnikow również nawinął się zupełnie przypadkowo.

Sonia milczała.

– A jak do więzienia, to co? Pamięta pani, co powiedziałem wczoraj?

Sonia znowu nie odpowiedziała. Raskolnikow odczekał chwilę.

– Myślałem, że pani znowu krzyknie: „Niech pan milczy, niech pan przestanie!” – roześmiał się nieszczerze. – Pani znów milczy? – zapytał po chwili. – Trzeba przecież o czymś rozmawiać. Ciekaw jestem, na przykład, jak by pani rozwiązała pewne „zagadnienie”, jak mówi Lebieziatnikow. – Raskolnikow zdawał się być zbity z tropu. – Ale pomówmy poważnie. Niech pani sobie wyobrazi, że pani wiedziała z góry o zamiarach Łużyna, wiedziała pani, że on zniszczy Katarzynę Iwanownę, dzieci i panią również *na dodatek* (pani siebie przecież w ogóle nie liczy, więc powiedzmy, na dodatek). Poleńkę... także ten sam los czeka. Zatem gdyby pani sama miała zdecydować: czy on ma ocaleć, czy oni, to znaczy, czy Łużyn ma żyć i robić świństwa, a Katarzyna Iwanowna ma umrzeć? Jak by pani zdecydowała: kto z nich ma umrzeć? Pytam panią.

Sonia popatrzyła na niego z niepokojem: coś niesamowitego dźwięczało w tych niepewnych i ostrożnie do jakiegoś celu zmierzających słowach.

– Przeczuałam, że pan zapyta o coś w tym rodzaju – powiedziała, patrząc na niego badawczo.

– Dobrze, zgoda, ale jednak jak by pani zdecydowała?

– Dlaczego pan pyta o rzeczy niemożliwe? – z odrazą rzuciła Sonia.

– Zatem lepiej byłoby, gdyby Łużyn żył i robił świństwa! Nawet tego nie odważy się pani rozstrzygnąć?

– Ale przecież ja nie mogę rozstrzygać wyroków Opatrzności... Dlaczego pyta pan o rzeczy, o które pytać nie wolno? Po co te bezsensowne pytania? Czy to może zależeć od mojej woli? Kto mi dał prawo orzekać, kto ma żyć, a kto nie?

– Tak, oczywiście, jak gdzieś przyplącze się Opatrzność, to już nie ma rady – warknął ponuro Raskolnikow.

– Niech pan powie lepiej od razu, o co panu właściwie chodzi! – krzyknęła z wyrzutem Sonia. – Znowu pan zaczyna coś napomykać... Czy pan tylko po to przyszedł, żeby mnie dręczyć?

Nie mogła się powstrzymać i raptem gorzko zaszlochała. Raskolnikow patrzył na nią z bólem i ponuro. Upłynęło kilka chwil.

– Jednak masz rację, Soniu – powiedział wreszcie łagodnie. Zmienił się nagle: znikł sztuczny, drwiący i wyzywający ton. Zniżył głos. – Powiedziałem ci wczoraj, że nie przyjdę prosić cię o przebaczenie, a właśnie niemal od tego zacząłem... To, co mówiłem o Łużynie i Opatrzności, to mówiłem ze względu na siebie... To była prośba o przebaczenie, Soniu...

Chciał się uśmiechnąć, lecz jakaś dziwna słabość i niedomówienie było w tym półuśmiechu. Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach.

Nagle niespodziane uczucie ostrej nienawiści do Soni przeszło mu serce. Zdziwiony i przerażony tym uczuciem podniósł głowę i spojrzał na nią uważnie. Spotkał jej serdeczne, niespokojne i współczujące spojrzenie. To była miłość: jego nienawiść rozwiązała się jak przywidzenie. A więc to było coś innego. Omylił się widocznie co do tego uczucia. Znaczyło to widocznie tylko to, że *ta* chwila już nastąpiła.

Znowu ukrył twarz w dłoniach i spuścił głowę. Nagle pobladł, wstał z krzesła i nic nie mówiąc, machinalnie przesiadł się na łóżko.

Chwila ta była ogromnie podobna w jego odczuciu do tej, kiedy stał za starą z przygotowaną już siekierą i czuł, że „nie ma ani sekundy do stracenia”.

– Co panu jest? – zapytała Sonia wielce strwożona.

Nie mógł wymówić ani słowa. Zupełnie inaczej zamierzał *zakomunikować* jej i nie rozumiał, co mu się stało. Sonia cicho podeszła do niego, usiadła obok na łóżku i czekała, nie spuszczać z niego wzroku. Serce jej biło i zamierało. Sytuacja stawała się nie do zniesienia. Zwrócił ku niej swą trupioblada twarz i skrzywił bezsilnie usta, usiłując coś powiedzieć. Przeważenie przeszło serce Soni.

– Co panu jest? – powtórzyła, odsuwając się trochę od niego.

– Nic, Soniu. Nie bój się... Głupstwo! Rzeczywiście, jak się nad tym zastanowić – mamrotał jak człowiek nieprzytomny w gorączce. – Tylko po co właściwie przyszedłem cię męczyć? – dodał, popatrując na nią. – Naprawdę po co? Wciąż zadaję sobie to pytanie, Soniu...

Być może, że przed kwadransiem naprawdę zadawał sobie to pytanie, lecz teraz mówił zupełnie bezładnie, półprzytomny, ciągle wstrząsany przeważającymi całe ciało dreszczami.

– Och, jakże pan się męczy! – powiedziała Sonia, patrząc na niego ze współczuciem.

– To głupstwo!... Słuchaj, Soniu – uśmiechnął się nagle bez powodu, blado i bezbarwnie – czy pamiętasz, co chciałem ci wczoraj powiedzieć?

Sonia czekała z niepokojem.

– Wychodząc, powiedziałem, że prawdopodobnie zegnamy się na zawsze, ale gdybym przyszedł dzisiaj, to powiem ci... kto zabił Lizawietę.

Sonia zadrżała całym ciałem.

– A więc przyszedłem ci powiedzieć.

– To pan wczoraj naprawdę... – szepnęła z wysiłkiem. – Skąd pan wie? – zapytała szybko, jakby oprzytomniawszy nagle.

Oddychała z trudem. Twarz jej bladła coraz bardziej.

– Wiem...

Sonia milczała przez chwilę.



– Więc złapali *go*? – zapytała nieśmiało.

– Nie, nie złapali.

– Więc skąd pan o *tym* wie? – zapytała po chwili milczenia ledwie dosłyszalnym głosem.

Zwrócił się do niej i spojrział na nią bardzo uważnie.

– Zgadnij – powiedział z takim samym jak przedtem bezsilnym, krzywym uśmiechem.

Zadrżała konwulsyjnie na całym ciele.

– Przecież pan... mnie... dlaczego pan mnie tak... straszy? – zapytała, uśmiechając się jak dziecko.

– Widocznie jestem z *nim* w wielkiej przyjaźni... skoro wiem – ciągnął Raskolnikow, nie przestając wpatrywać się w nią, jak gdyby już nie mógł oderwać od niej oczu. – On tej Lizawie... nie chciał zabijać. On ją zabił przypadkowo... On chciał zabić starą... kiedy była sama... i przyszedł... Nagle weszła Lizawie... i zabił ją też.

Upłynęła jeszcze jedna straszna chwila. Oboje patrzyli na siebie.

– Więc nie możesz odgadnąć? – zapytał, mając wrażenie, że rzuca się w dół ze szczytu dzwonnicy.

– N-nie – ledwie dosłyszalnie szepnęła Sonia.

– Przypatrz mi się dobrze.

Gdy tylko to powiedział, poprzednie, znane już uczucie ścięło mu krew w żyłach: patrzył na nią, a w jej twarzy zamajaczyły mu rysy Lizawie. Wrył mu się w pamięć wyraz twarzy Lizawie, kiedy zbliżał się do niej wtedy z siekierą. Cofała się przed nim do ściany, wyciągnęła przed siebie rękę z dziecięcym przerażeniem w oczach, zupełnie jak małe dziecko, gdy złęknie się czegoś, patrzy z niepokojem szeroko rozwartymi oczami na przedmiot napawający je lękiem, cofa się, wyciąga przed siebie rączyny i szykuje się do płaczu. Coś podobnego działo się teraz z Sonią: bezradna, z takim właśnie lękiem patrzyła na niego, wyciągała lewą rękę i dotykając końcami palców jego piersi, powoli podnosiła się z łóżka. Odsuwała się coraz dalej od Raskolnikowa, a wpatrzone w niego oczy rozszerzało przerażenie. Jej strach nagle udzielił się jemu: groza odmalowała się i w jego oczach. Spojrzął na nią tym samym spojrzeniem, nawet z takim samym, prawie *dziecięcym uśmiechem*.

– Zgadłaś? – wyszeptał wreszcie.

– O Boże! – straszny jęk wyrwał się z piersi Soni. Bez sił padła na łóżko, kryjąc twarz w poduszki. Ale po chwili podniosła się, przysunęła się do niego gwałtownie, chwyciła cienkimi palcami obie jego ręce, ściskając je jak w kleszczach, i znowu wpiła się w jego twarz nieruchomym spojrzeniem. Tym ostatnim, rozpaczliwym spojrzeniem chciała dostrzec i uchwycić jakiś cień nadziei dla siebie. Lecz nie było żadnej nadziei! Nie miała wątpliwości: to była *prawda*! Później, gdy przypominała sobie tę chwilę, dziwiła się sama sobie: dlaczego właściwie wtedy *od razu* zrozumiała, że nie można mieć żadnych wątpliwości? Przecież niczego nie przeczuwała! A jednak, gdy tylko powiedział jej to, odniosła wrażenie, że właśnie to przeczuwała.

– Daj spokój, Soniu, dosyć już! Nie dręcz mnie! – błagalnie prosił

Raskolnikow.

Zupełnie inaczej zamierzał jej to wyznać, a stało się właśnie *tak*.

Sonia zerwała się jak nieprzytomna i załamując ręce, doszła do środka pokoju, po czym zaraz zawróciła i znowu usiadła przy nim, dotykając go ramieniem. Nagle drgnęła jak rażona piorunem, krzyknęła i nie zdając sobie sprawy dlaczego, padła przed nim na kolana.

– Co pan zrobił, co pan zrobił ze sobą! – powtarzała z rozpaczą. Zerwawszy się z kolan, rzuciła mu się na szyję, oplótła go rękami i bardzo mocno uścisnęła.

Raskolnikow zachnął się i spojrzał na nią ze smutnym uśmiechem.

– Dziwna jesteś, Soniu – obejmujesz mnie i całujesz, gdy powiedziałem ci o *tym*? Chyba nie wiesz, co robisz!

– Nie, na całym świecie nie ma człowieka nieszczęśliwszego od ciebie, nie ma! – krzyknęła Sonia, nie słysząc wcale jego uwagi, i wybuchnęła histerycznym płaczem.

Fala od dawna nieznanego uczucia zalała jego duszę i rozczuliła go. Nie bronił się: dwie łzy zawisły mu na rzęsach.

– Więc nie opuścisz mnie, Soniu? – zapytał, patrząc na nią z ufnością.

– Nie, nie, nigdy i nigdzie! – krzyknęła. – Pójdę za tobą wszędzie!

O Boże!... O, ja nieszczęśliwa! Dlaczego, dlaczego przedtem nie znałam ciebie! Dlaczego dawniej nie przychodziłeś? O Boże...

– Przecież przyszedłem.

– Ale dopiero teraz! Ach, co robić?... Razem! Razem! – powtarzała nieprzytomnie i objęła go znowu. – Pójdę z tobą razem na katorgę!

Raskolnikow zatrząsł się, dawny, pełen nienawiści i prawie szyderczy uśmiech wykrzywił mu usta.

– Soniu, może ja wcale nie mam zamiaru iść na katorgę – powiedział.

Sonia spojrzała na niego badawczo.

Po pierwszym namiętym i wyczerpującym współczuciu dla nieszczęśnika uzmysłowiła sobie teraz straszliwy fakt morderstwa. W zmienionym tonie, jakim się do niej odezwał, usłyszała nagle głos zabójcy. Patrzyła na niego zdumiona. O niczym jeszcze nie wiedziała: po co, dlaczego i jak to się stało. Wszystkie te pytania naraz kłębiły się w jej głowie. I nagle zwątpiła: „On, on jest mordercą? Czy to możliwe?”.

– Co to znaczy? Co się ze mną dzieje? – powtarzała w osłupieniu, wciąż jakby nieprzytomna. – Jak pan mógł, pan taki... zdecydować się na to? Jak pan mógł?

– No tak, dla rabunku. Przestań, Soniu – odpowiedział zmęczonym i zniecierpliwionym tonem.

Sonia stała oszołomiona, ale nagle krzyknęła:

– Byłeś głodny! Ty... żeby pomóc matce? Tak?

– Nie, Soniu, nie – bełkotał, odwróciwszy głowę – nie byłem taki głodny... rzeczywiście chciałem pomóc matce, ale... nie o to chodzi... nie męcz mnie, Soniu.

Sonia załamała ręce.

– Czy to prawda, czyżby to była prawda? Boże, czyż to być może? Kto w to

uwierzy?... Jak to, swoje pan wszystko rozdaje, a zabija dla rabunku! Ach!... – zachnęła się nagle. – Te pieniądze, które pan dał Katarzynie Iwanownie... Te pieniądze... Boże, czyżby i te pieniądze...

– Nie, Soniu – przerwał skwapliwie – to nie były te pieniądze, uspokój się! Te pieniądze przysłała mi matka przez pewnego kupca. Otrzymałem je, kiedy byłem chory, i tego samego dnia dałem Katarzynie Iwanownie... Razumichin widział... on właśnie za mnie je odbierał... to moje własne pieniądze.

Sonia słuchała z niedowierzaniem, usiłując jakoś się w tym wszystkim zorientować.

– *Tamte* pieniądze... zresztą nawet nie wiem, czy były tam pieniądze – dodał cicho, jakby w zamyśleniu – zdjąłem jej wtedy sakiewkę z szyi, zamszową... była pełna... wypchana, nawet nie zaglądałem do środka, zapewne nie zdążyłem... A rzeczy, same jakieś spinki i łańcuszki, wszystko to razem z sakiewką schowałem następnego dnia rano pod kamieniem, w podwórku pewnego domu przy prospekcie W-kim... Leży tam teraz wszystko...

Sonia słuchała z wytężoną uwagą.

– Więc w takim razie dlaczego... Sam pan powiedział, że dla rabunku, a nic pan nie wziął? – zapytała szybko, jak tonący chwytając się źdźbła nadziei.

– Nie wiem... nie zdecydowałem się jeszcze, czy wezmę te pieniądze, czy nie – powiedział wciąż jakby w zadumie, lecz nagle oprzytomniał, przelotny uśmiech zagościł mu na wargach. – Ach, niezłe głupstwo palnąłem teraz, co? „Może to wariat” – błysnęła Soni myśl. Ale zaraz odrzuciła to przypuszczenie: „Nie, to chyba coś innego”. Nie rozumiała z tego nic a nic.

– Czy wiesz, Soniu – zaczął Raskolnikow w uniesieniu – wiesz, co ci powiem? Gdybym zabił dlatego tylko, że byłem głodny, to czułbym się teraz *szczęśliwy*! Wiedz o tym! – powiedział, akcentując każde słowo. – Dlaczego, dlaczego, dlaczego tak zależy ci na tym, żebym się przyznał, że źle zrobiłem?! Dlaczego tak zależy ci na tym marnym zwycięstwie nade mną? Ach, Soniu, czyż po to do ciebie przyszedłem?

Sonia znowu chciała coś powiedzieć, lecz powstrzymała się.

– Dlatego przecież wczoraj wzywałem cię, byś poszła ze mną, bo ty jedna mi zostałaś.

– Żebym dokąd poszła?

– Nie kraść i nie zabijać, nie bój się, nie po to – uśmiechnął się gorzko – jesteśmy różnymi ludźmi... Wiesz, Soniu, dopiero teraz zrozumiałem, *dokąd* wzywałem cię wczoraj. Kiedy to mówiłem, sam nie wiedziałem jeszcze dokąd. O jedno mi szło tylko, w tym tylko celu przyszedłem: nie opuszczaj mnie. Nie opuścisz, Soniu?

Uścisnęła mu rękę.

– Po co, po co jej powiedziałem, po co wyznałem? – jęknął po chwili, patrząc na nią z niewysłowionym bólem. – Czekasz na wyjaśnienia, Soniu, siedzisz i czekasz, widzę to, a co ja ci mam właściwie powiedzieć? Przecież ty nic z tego nie zrozumiesz, będziesz cierpiała... przeze mnie! No właśnie, płaczesz i znowu mnie obejmujesz, powiedz, dlaczego mnie obejmujesz? Czy za to, że nie wytrzymałem i przyszedłem zwalić na kogoś innego moją

mękę: „Cierp i ty, to mnie będzie lżej!”. Czy możesz kochać takiego łotra?

– A czy ty nie cierpisz? – odpowiedziała Sonia.

Znowu fala tamtego uczucia owładnęła nim i zmiękł na chwilę.

– Zauważ, Soniu, ja mam złe serce: to wiele ci wytłumaczy. Dlatego właśnie przyszedłem do ciebie, że jestem zły. Inny na moim miejscu nie przyszedłby. Jestem tchórz i... łajdak! Ale... niech tam! Nie o to chodzi... Muszę ci teraz coś powiedzieć, ale nie wiem, od czego zacząć...

Przerwał i zamyślił się.

– Ach, jakże różnymi jesteśmy ludźmi! – zawołał znowu. – Nie pasujemy do siebie. Po co, po co przyszedłem tutaj! Nigdy sobie tego nie daruję!

– Nie, nie, to dobrze, że przyszedłeś! – stwierdziła Sonia. – To lepiej, że będę wiedziała, o wiele lepiej!

Spojrzał na nią z bólem.

– A w rzeczy samej! – powiedział, jakby zdecydował się wreszcie. – Przecież tak właśnie było! Chciałem zostać Napoleonem, dlatego zabiłem, tak jest... Zrozumiałaś teraz?

– N-nie – naiwnie i nieśmiało szepnęła Sonia – tylko... mów, mów! Zrozumiem, *po swojemu* wszystko zrozumiem! – prosiła go.

– Zrozumiesz? No dobrze, zobaczymy!

Milczał i długo zastanawiał się.

– Sprawa wygląda tak: postawiłem sobie kiedyś pytanie: co zrobiłby na moim miejscu, na przykład, Napoleon, gdyby dla rozpoczęcia kariery miał pod ręką nie Tulon, nie Egipt, nie przeprawę przez Mont Blanc czy inne monumentalne i piękne rzeczy, lecz po prostu jakąś śmieszna starowinę, wdowę po registrarze, którą w dodatku trzeba zabić, żeby z jej kuferka zabrać pieniądze (dla tej kariery, rozumiesz?), czy zdecydowałby się na to, gdyby nie było innego wyjścia? Czy powstrzymałoby go przeświadczenie, że jest to czyn zbyt mało monumentalny i... występny? Otóż oświadczam ci, że borykałem się z tym „zagadnieniem” bardzo długo, tak że w końcu było mi wstyd przed sobą samym. Bo zrozumiałem wreszcie (tak jakoś nagle), że nie tylko by się nie wahał, ale w ogóle nie przyszłoby mu do głowy, że to nie jest dzieło monumentalne... Nie miałby żadnych skrupułów. I gdyby nie miał innego wyjścia, to bez namysłu zadusiłby ją tak, że nie zdążyłaby nawet pisnąć! A więc i ja... przestałem się namyślać... zabiłem ją... zgodnie z autorytatywnym przykładem. Naprawdę to tak właśnie się rzecz miała. Wydaje ci się to śmieszne? Tak, Soniu, a najśmieszniejsze jest to, że może właśnie tak się rzecz miała naprawdę...

Soni wcale nie wydawało się to śmieszne.

– Niech mi pan lepiej powie po prostu... bez przykładów – poprosiła jeszcze bardziej nieśmiało i cicho.

Spojrzał na nią ze smutkiem i ujął jej rękę.

– Znowu masz rację, Soniu. Wszystko to bzdury, głupia gadanina! Widzisz, moja matka prawie nic nie posiada. Siostra tylko przypadkiem otrzymała wykształcenie i skazana jest na poniewierkę jako guwernantka. Ja byłem ich jedyną nadzieją, uczyłem się, ale nie mogłem się utrzymać na uniwersytecie i musiałem go na razie opuścić. No, a gdybym nawet pozostał? To mogłem

liczyć, że po jakichś dziesięciu czy dwunastu latach (gdyby się wszystko pomyślnie układało) zostanę nauczycielem czy urzędnikiem z tysiącrublową pensją – recytował jak wyuczoną lekcję. – A do tego czasu matka zmarniałaby ze zmartwień i kłopotów, bo i tak nie mógłbym zapewnić jej spokoju, siostra zaś... z siostrą mogłoby być jeszcze gorzej!... I w imię czego całe życie mam się wszystkiego wyrzekać, z wszystkiego rezygnować, zapomnieć o matce, patrzeć obojętnie na krzywdy siostry? W imię czego? Po to, żeby pochowawszy matkę i siostrę, mieć żonę i dzieci i z kolei je zostawić bez grosza i kawałka chleba? Więc... postanowiłem, że za pieniądze tej baby, nie szarpiąc matki, będę się utrzymywał na uniwersytecie i przez pierwsze lata po studiach. Postanowiłem działać z rozmachem, zdecydowanie, żeby utorować sobie drogę do kariery, żeby stanąć na nowej, niezależnej drodze... oto... oto wszystko... A że zabiłem tę starą, to naturalnie, rozumie się, źle zrobiłem... ale już dosyć!

Opadł z sił i spuścił głowę.

– Ach, nie, tu coś jest nie tak! – powtarzała z rozpaczą w głosie Sonia. – Czy to tak wolno... nie, tak nie można, nie!

– Widzisz więc sama, że coś jest nie tak, a jednak powiedziałem ci całą prawdę!

– Cóż to za prawda! Mój Boże!

– Zabiłem przecież tylko wesz, Soniu, niepotrzebną, wstrętną, szkodliwą.

– Pan człowieka nazywa wszą!

– Wiem przecież, że właściwie to nie wesz – odpowiedział, patrząc na nią dziwnie. – Zresztą, kłamię, Soniu, cały czas kłamię... To było zupełnie inaczej, masz rację. Całkiem, całkiem inne były powody! Dawno już z nikim nie rozmawiałem, Soniu, głowa mnie bardzo boli!

Oczy błyszczały mu gorączkowo. Majaczył niemal, niespokojny uśmiech błędził mu po ustach. Mimo podniecenia znać było, że opadł z sił. Sonia widziała, jak bardzo się męczył. Ona również dostawała zawrotów głowy. A przy tym mówił on tak jakoś dziwnie: niby zrozumiałe, a jednak... „Jak to! Jak to! O Boże!” – załamywała ręce z rozpacz.

– Nie, Soniu, to nie tak! – zaczął znowu Raskolnikow, podnosząc głowę, jakby go nagle uderzyła i podnieciła nowa myśl. – To nie tak! Lepiej... wyobraź sobie (tak, rzeczywiście będzie lepiej!), wyobraź sobie, że jestem samolubny, zawistny, zły, wstrętny, mściwy, a poza tym... może nawet na drodze do obłądu. (Niech już będzie wszystko razem! O obłądzie mówiono już przedtem, pamiętam!). A więc powiedziałem ci już, że nie mogłem utrzymać się na uniwersytecie. A jednak, wiesz, może bym mógł? Matka by mi przysłała na wszelkie opłaty, a na obuwie, ubranie i życie zarobiłbym na pewno sam! Proponowano mi lekcje, po pół rubla za godzinę. Razumichin przecież pracuje. Rozzłościłem się i nie chciałem. Tak, właśnie *rozzłościłem się* (to dobre słowo!). Jak pajak schowałem się w swoim kącie. Byłaś w mojej norze, widziałaś... A czy wiesz, Soniu, że niskie sufity i ciasne pokoiki przytłaczają duszę i mózg! O, jak ja nienawidziłem tej nory! A jednak nie chciałem się z niej ruszyć. Uparłem się i nie chciałem! Całymi dniami nie wychodziłem. Nie chciałem pracować, nawet jeść mi się nie chciało, tylko

wylegiwałem się. Jeżeli Nastka przyniosła obiad, to zjadłem, jeżeli nie przyniosła, nie jadłem wcale, cały dzień przechodził i na złość nie pytałem o jedzenie. Wieczorami nie miałem światła, leżałem po ciemku, ale nie chciałem zarobić na świecy. Powinienem był się uczyć, tymczasem sprzedawałem wszystkie książki. Na stole, notatkach i zeszytach zebrał się i leży gruby pokład kurzu. Najchętniej leżałem i myślałem. Ciągle myślałem... Miewałem sny, różne dziwaczne sny, nie warto ich powtarzać. Wtedy zaczęło mi się również majaczyć, że... Nie, to nie tak było! Znowu coś kręcę! Rozumiesz, pytałem wtedy ustawicznie siebie: dlaczego jestem tak głupi, że wiedząc na pewno, iż inni są głupi, nie chcę być od nich mądrzejszy? Później zdałem sobie sprawę, Soniu, że za długo trzeba by czekać na to, aż wszyscy zmądrzeją.. Potem zaś zrozumiałem, że to się nigdy nie stanie, że ludzie się nie zmieniają, że nikt nie jest w stanie ich przerobić i że nawet nie warto się trudzić! Tak, tak jest!... To ich prawo.. prawo, Soniu! Tak jest! Teraz wiem, że władza nimi ten, kto ma siłę ducha i rozum! Kto na wiele się waży, ten ma u nich rację! Kto się ośmiela opluć najwięcej rzeczy, ten jest ich prawodawcą, kto się na więcej waży, ten ma rację największą! Tak było dotychczas i tak będzie zawsze! Tylko ślepiec nie widzi tego!

Raskolnikow, mówiąc to, patrzył wprawdzie na Sonię, ale nie troszczył się już o to, czy ona rozumie go, czy nie. Owładnęła nim gorączka. Był w jakimś ponurym uniesieniu (rzeczywiście zbyt długo z nikim nie rozmawiał!). Sonia zrozumiała, że ten ponury katechizm stał się jego wiarą i prawem.

– Pojąłem wtedy, Soniu – ciągnął uroczyście dalej – że władzę posiada tylko ten, kto się odważy schylić po nią i wziąć ją w ręce. Tylko to jedno, jedno: trzeba się odważyć! I wtedy zrodziła się we mnie myśl, po raz pierwszy w życiu, myśl, której nikt nigdy nie miał przede mną! Nikt! Nagle stał mi się jasny jak słońce fakt, że dotychczas nie było i nie ma nikogo, kto odważyłby się, przechodząc obok tego całego nonsensu, wziąć wszystko po prostu za łąb i wyrzucić do diabła! Ja... ja chciałem się odważyć i zabiłem... chciałem się tylko odważyć, Soniu, to wszystko!

– Niech pan milczy, niech pan milczy! – krzyknęła Sonia, załamawszy ręce.

– Wyrzekł się pan Boga i Bóg pana ukarał, wydał na pastwę szatana!...

– A właśnie, Soniu, kiedy tak leżałem po ciemku i majaczyłem, to chyba diabeł mnie kusił. Prawda?

– Niech pan przestanie! Niech pan nie drwi, bluźnierco! Nic, nic pan nie rozumie! O Boże! On nic, nic nie jest w stanie zrozumieć!

– Milcz, Soniu, ja wcale nie drwię, ja wiem, że to diabeł mnie kusił. Milcz, Soniu, milcz! – powtarzał z ponurym uporem. – Wiem wszystko. Wszystko przemyślałem wtedy, gdy leżałem w ciemnościach... Wszystko sam ze sobą przedyskutowałem do najdrobniejszych szczegółów i wiem wszystko! Jakże sprzykrzyło mi się wtedy to gładzenie! Chciałem o wszystkim zapomnieć i zacząć wszystko od nowa, chciałem przestać analizować, Soniu! Czy myślisz, że poszedłem jak głupi, na złamanie karku? Nie, poszedłem jak mędek i to właśnie mnie zgubiło. I czy myślisz, że nie zdawałem sobie z tego sprawy? Skoro zrodziło się we mnie pytanie i zacząłem sam siebie

badać, czy mam prawo sięgnąć po władzę, to już to samo dowodziło, że właśnie nie mam tego prawa. Albo pytam: czy człowiek jest wszą? Dowodzi to, że *dla mnie* człowiek wszą nie jest, a jest nią dla tego, kto się nad takim pytaniem nie zastanawia, kto się decyduje po prostu, bez żadnych wątpliwości... Dręcząc się zaś przez tyle dni pytaniem, czy Napoleon zdecydowałby się na taki czyn, zrozumiałem, że właśnie dlatego się tym pytaniem dręcę, że nie jestem Napoleonem... Przeszedłem całą mękę takiego ciągłego analizowania się i zapragnąłem pozbyć się jej: zapragnąłem, Soniu, zabić bez żadnej kazuistyki, zabić dla samego siebie! Nie chciałem się oszukiwać! Zabiłem, nie żeby pomóc matce – to nonsens! Zabiłem nie dlatego, żeby zdobyć pieniądze i stać się dobroczyńcą ludzkości – to bzdura! Po prostu zabiłem dla samego siebie. Było mi całkowicie obojętne, czy zostanę czyimś dobroczyńcą, czy też przez całe życie będę pajakiem wysysającym żywą krew ze swych omotanych pajęczyną ofiar!... Pieniądze również nie były głównym motywem zabójstwa, Soniu! Co innego było mi potrzebne, nie pieniądze... Wszystko teraz zrozumiałem... Słuchaj: gdybym dalej poszedł tą drogą, to zapewne nigdy więcej bym nie zabił. Chciałem się o czymś przekonać, pchała mnie chęć dowiedzenia się, przekonania się natychmiast, czy jestem jak inni wszą, czy też człowiekiem? Czy potrafię przekroczyć ów próg, czy nie? Czy odważę się schylić i wziąć władzę, czy nie? Czy jestem drżącym, nędznym stworem, czy też mam prawo...

– Zabijać? Pan ma prawo zabijać? – Sonia załamała rękę.

– Och, Soniu! – przerwał jej zniecierpliwiony. Chciał jej coś odpowiedzieć, ale zamilkł z pogardą. – Nie przerywaj mi, Soniu! Chciałem ci tylko dowieść, że to właśnie diabeł wtedy mnie skusił po to, by mi pokazać, że nie miałem prawa i że jestem taka sama wesz jak wszyscy. Zadrwił ze mnie, a ja, widzisz, przyszedłem do ciebie! No, baw teraz swego gościa! Gdybym nie był wszą, czyż przyszedłbym do ciebie? Słuchaj: gdy wtedy poszedłem do starej, poszedłem tylko *na próbę*, wiedz o tym...

– I zabił pan, zabił!

– Ale jak zabiłem? Czy tak się zabija? Czy tak się idzie mordować, jak poszedłem? Opowiem ci kiedyś, jak się przygotowywałem. Czy ja zabiłem tę starowinę? Nie, siebie zamordowałem, a nie ją! Ze sobą zrobiłem koniec, raz na zawsze!... Tę babę diabeł zabił, nie ja... Dosyć już, dosyć, Soniu, dosyć! Zostaw mnie! – krzyknął nagle z nerwowym jękiem. – Zostaw mnie!

Oparł łokcie na kolanach i niczym kleszczami ścisnął głowę dłońmi.

– Co za męka! – jęknęła boleśnie Sonia.

– I cóż mam teraz począć ze sobą, powiedz? – zapytał, podniósłszy głowę i patrząc na nią z twarzą wykrzywioną rozpaczą.

– Co zrobić? – krzyknęła Sonia, zerwawszy się z miejsca z błyskiem w oczach pełnych łez. – Wstań! – Chwyliła go za ramię, a on podniósł się, patrząc na nią ze zdziwieniem. – Idź zaraz, w tej chwili, stań na ludnym placu, naprzód ucałuj ziemię, którą splugawiłeś, a potem bij pokłony na cztery strony świata i wołaj, głośno wołaj do ludzi: „Zabiłem!”. Wtedy Bóg znowu tchnie w ciebie życie. Pójdiesz? Zrobisz tak? – pytała, drżąc jak



w febrze, mocno ściskając jego ręce i przesywając go płomiennym wzrokiem.

Raskolnikow był zdumiony i przerażony jej nagłym wybuchem.

– Czyżbyś mówiła o katordze, Soniu? Mam się sam oskarżyć? – zapytał ponuro.

– Powinieneś wziąć na siebie krzyż i odpokutować. Tak, powinieneś.

– Nie, nie pójdę tam, Soniu.

– A żyć, będziesz mógł tak żyć? Jak będziesz z tym żył? Czy odważysz się spojrzeć w oczy matce? Co z nią będzie, co się z nią teraz stanie? Ale co ja mówię! Przecież ty już porzuciłeś matkę i siostrę. Już je rzuciłeś! O Boże! On już zrozumiał to! Jak będziesz mógł żyć taki samotny! Co się z tobą teraz stanie?

– Nie bądź dzieckiem, Soniu – odezwał się Raskolnikow łagodnie. – Cóż ja im zawiniłem? W jakim celu mam pójść do ludzi? Co im powiem? Wszystko to tylko jakaś zmora... Sami niszczą miliony innych, w dodatku poczytują to sobie za cnotę. Oszuści i nikczemnicy!... Nie pójdę! I cóż powiem, że zabiłem, ale bałem się wziąć pieniądze i ukryłem je pod kamieniem? – dodał ze zgryźliwą ironią. – Wyśmieją mnie, powiedzą: to ci głupiec, pieniędzy nie wziął. Tchórz i głupiec! Nic nie rozumieją, Soniu, i nie są warci tego, żeby zrozumieć. Po cóż mam iść? Nie pójdę. Nie bądź dzieckiem, Soniu...

– Zadręczysz się, zamęczysz – powtarzała, z rozpaczliwym błaganiem wyciągając do niego ręce.

– A może ja się *za surowo* sądzę? – zastanawiał się Raskolnikow, jakby pogrążony w ponurej zadumie. – Może jednak jestem człowiekiem, a nie wszą, może się zbyt pośpiesznie potępiłem... Będę jeszcze walczył.

Uśmiechnął się wyniośle.

– Tak się męczyć! Całe życie przecież, całe życie...

– Przyzwyczaję się – odezwał się ponuro. – Słuchaj – zaczął po chwili – dosyć tego płaczu, przystąpmy do rzeczy, przyszedłem ci powiedzieć, że mnie szukają, ścigają...

– Ach! – krzyknęła przerażona Sonia.

– Czego krzyczysz? Złękłaś się, a przecież sama chcesz, żebym poszedł na katorgę. Ale nie dam się wziąć. Będę jeszcze walczył, nic mi nie zrobią. Nie mają dowodów. Wczoraj groziło mi wielkie niebezpieczeństwo, myślałem, że jestem zgubiony. Dzisiaj sprawy stoją lepiej. Wszystkie dowody, jakie mogą mieć przeciw mnie, mają dwa końce, to znaczy, że mogę je obrócić na swoją korzyść, rozumiesz? I zrobię tak, nauczyłem się, jak to się robi... Ale do więzienia wsadzą mnie na pewno. Gdyby nie pewien wypadek, już bym siedział. Zresztą może dziś jeszcze mnie zamkną... Ale to głupstwo, Soniu, posiedzę i wypuszczą mnie... bo nie mają żadnego oczywistego dowodu i nie będą go mieli, daję ci słowo. Na podstawie tego, co wiedzą, nie można skazać człowieka. Ale dosyć... Mówię to, żebyś tylko wiedziała!... Postaram się tak jakoś przedstawić sprawę siostrze i matce, żeby uwierzyły w moją niewinność i nie obawiały się... Zdaje się, że siostra jest teraz zabezpieczona... zatem matka również... To wszystko. Bądź ostrożna. Będziesz przychodziła do mnie do więzienia, gdy będę siedział?

– O, będę, będę!

Siedzieli obok siebie zgnębieni i przybici jak rozbitkowie wyrzuceni na pusty brzeg przez burzę. Raskolnikow patrzył na Sonię i czuł, ile w niej było miłości do niego. Dziwnie bolesna i przykra była mu świadomość, że jest tak kochany: tak, to była przykra świadomość. Idąc do Soni, zdawał sobie sprawę, że ona jest jego jedyną nadzieją i ucieczką. Pragnął pozbyć się choć części swego cierpienia. Tymczasem teraz, kiedy była z nim całym sercem, poczuł i zdał sobie sprawę, że jest stokroć nieszczęśliwszy niż poprzednio.

– Soniu – powiedział – lepiej nie przychodź do mnie do więzienia.

Sonia nie odpowiedziała nic, płakała. Uplłynęło kilka chwil.

– Czy nosisz krzyżyk na szyi? – zapytała niespodzianie, jakby sobie nagle przypomniała.

Raskolnikow zrazu nie zrozumiał pytania.

– Nie, prawda, że nie? Masz, weź mój, z cyprysowego drzewa. Mam drugi, miedziany, od Lizawiety. Zamieniłam się z nią: ona mi dała swój krzyżyk, a ja jej szkaplerz. Będę nosiła krzyżyk Lizawiety, a ten weź sobie. Weź... przecież to mój! Mój! – prosiła. – Będziemy razem cierpieli, razem będziemy dźwigali krzyż!...

– Daj! – powiedział Raskolnikow.

Nie chciał jej robić przykrości. Ale zaraz cofnął wyciągniętą po krzyżyk rękę.

– Nie teraz, Soniu. Lepiej później – dodał, aby ją uspokoić.

– Tak, tak, lepiej później – podchwyciła z uniesieniem – włożysz, gdy będziesz szedł na mękę. Przyjdiesz do mnie, ja ci go włożę, pomodlimy się i pójdziemy.

W tej chwili ktoś zapukał trzy razy do drzwi.

– Można? – odezwał się grzecznie jakiś dobrze znany głos. Sonia z przestachem rzuciła się do drzwi. W pokoju ukazała się jasnowłosa głowa pana Lebieziatnikowa.

Lebieziatnikow miał minę zafrasowaną.

– Ja do pani, Sofio Siemionowno. Przepraszam... Pewny byłem, że pana tu zastanę – zwrócił się do Raskolnikowa – to jest właściwie, ja nic nie myślałem... w tym rodzaju... tylko właśnie myślałem... A tam Katarzyna Iwanowna dostała pomieszania zmysłów – wypalił nagle, odwracając się od Raskolnikowa.

Sonia krzyknęła.

– To znaczy, tak to wygląda. Zresztą... Nie wiemy tam, co z tym zrobić, o to idzie! Wróciła skądś, zdaje się, że ją tam wyrzucili, może nawet pobili, tak nam się przynajmniej zdaje... Pobiegnęła do naczelnika męża, nie zastała go w domu, był na obiedzie u jakiegoś generała... Wyobraźcie sobie, że ona i tam się machnęła, gdzie był ten obiad, do tego generała. I wyobraźcie sobie, dopięła swego, wywołali tego naczelnika od stołu, zdaje się. Możecie sobie wyobrazić, co tam się działo. Oczywiście wyrzucono ją za drzwi. Ona mówi, że to ona jemu nawymyślała i czymś rzuciła w niego. To nawet prawdopodobne... Dziwię się, że jej nie aresztowano! Teraz opowiada o tym wszystkim, Amalii Iwanownie również, ale nic nie można zrozumieć, krzyczy i rzuca się... Ach, prawda: mówi i wykrzykuje, że ponieważ wszyscy ją opuścili, więc ona weźmie dzieci i będzie chodzić po ulicach z katarynką. Dzieci będą śpiewały i tańczyły, ona również, i będzie zbierała pieniądze, a codziennie będzie chodziła pod okna generała... „Niech – powiada – widzą, jak dobrze urodzone dzieci urzędnika żebrzą po ulicach!”. Dzieci bije, wszystkie płaczą. Lonię zaczęła uczyć śpiewać *Chutorek*, drugiego chłopca – tańczyć, Paulinę Michajłownę również. Drze ubrania i robi dla nich jakieś czapeczki, jak dla aktorów. Chce wziąć patelnię, będzie w nią bębniła zamiast muzyki... Nikogo nie chce słuchać... Cóż wy na to? Przecież to jest po prostu niemożliwe!

Lebieziatnikow nie zamierzał przerwać opowiadania, ale Sonia, słuchając go z zapartym tchem, nagle chwyciła mantylkę, kapelusz i wybiegła z pokoju, ubierając się po drodze. Raskolnikow i Lebieziatnikow podążyli za nią.

– Na pewno zwariowała! – powiedział Lebieziatnikow do Raskolnikowa, wychodząc z nim na ulicę. – Nie chciałem przerażać Sofii Siemionowny i dlatego powiedziałem: „tak to wygląda”, ale nie ma najmniejszej wątpliwości. To podobno przy gruźlicy tworzą się w mózgu takie gruzełki. Szkoda, że nie znam się na medycynie. Próbowałem zresztą uspokoić ją, ale nie chce wcale słuchać.

– Mówił jej pan coś o gruzełkach?

– O gruzełkach – niezupełnie. I tak by nie zrozumiała. Mam tylko na myśli: jeżeli dowieść człowiekowi logicznie, że w zasadzie nie ma powodu do płaczu, to człowiek taki przestanie płakać. To oczywiste. A pan sądzi, że nie przestanie?

– Zbyt łatwo byłoby wtedy żyć – odpowiedział Raskolnikow.

– Przepraszam, przepraszam. Bez wątpienia Katarzyna Iwanowna nie może tego zrozumieć. Ale czy pan wie, że w Paryżu przeprowadzono poważne

doświadczenia nad leczeniem obłąkanych wyłącznie za pomocą logicznej perswazji? Jeden z tamtejszych profesorów, niedawno zmarły, bardzo poważny uczyony, uważał to za możliwe. Wychodził z założenia, że organizm obłąkanych bynajmniej nie podlega rozstrojowi, obłąkanie zaś jest po prostu błędem logicznym, błędnym rozumowaniem, fałszywym poglądem na rzeczy. Stopniowo prostował choremu te błędne poglądy i niech pan sobie wyobrazi, mówią, że osiągał dobre rezultaty! Ale ponieważ jednocześnie posługiwał się również natryskami, więc wyniki jego metody poddawane są naturalnie krytyce... przynajmniej tak się zdaje...

Raskolnikow dawno go już nie słuchał. Doszedłszy do domu, w którym mieszkał, kiwnął Lebieziatnikowi głową i wszedł do bramy. Lebieziatnikow ocknął się, obejrzał i pobiegł dalej.

Raskolnikow wszedł do swej komórki i stanął na środku. Po co tu wrócił? Obejrzał poźółkłą, obszarpaną tapetę, kurz, kanapę... Z podwórka dochodziło ostre, bezustanne stukanie: gdzieś coś jakby wbijano, jakiś gwóźdź... Podeszedł do okna, wspiął się na palce i z wielką uwagą rozglądał się po podwórku. Było puste, nie było widać, kto stukał. Na lewo, w oficynie, kilka okien było otwartych, stały w nich doniczki nędznego geranium. Suszyła się bielizna... Umiał to wszystko na pamięć. Odwrócił się i usiadł na kanapie.

Nigdy jeszcze nie był tak bardzo osamotniony!

Czuł znowu, że może rzeczywiście znienawidzić Sonię właśnie teraz, gdy ją jeszcze bardziej unieszczęśliwił. „W jakim celu właściwie poszedłem żebrać o jej łzy? Co mi przyjdzie z marnowania jej życia? Co za... nikczemność!”.

– Pozostanę samotny! – powiedział zdecydowanym tonem – nie będzie przychodziła do więzienia!

Po chwili podniósł głowę i uśmiechnął się do dziwnej myśli: „Może jednak rzeczywiście byłoby lepiej na katordze”.

Nie pamiętał, jak długo tak przesiedział z kłębiącymi się w głowie niejasnymi myślami. Wtem drzwi się otworzyły i weszła jego siostra. Zatrzymała się na progu i popatrzyła na niego tak, jak on onegdaj na Sonię. Potem usiadła na krześle, na wprost niego, jak wczoraj. Raskolnikow milczał i przyglądał się jej bezmyślnie.

– Nie gniewaj się, ja tylko na chwilę – powiedziała Dunia. Była zamyślona, lecz bynajmniej nie surowa. Spojrzenie jej było jasne i łagodne. Zrozumiał, że sprowadziła ją do niego miłość.

– Słuchaj, wiem o *wszystkim*. Dymitr Prokofjicz wszystko mi opowiedział i wytłumaczył. Gnębią cię i dręczą głupimi i podłymi podejrzeniami... On uważa, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo i że niepotrzebnie się tak bardzo tym przejmujesz. Jestem innego zdania, *doskonale rozumiem*, jak bardzo jesteś wstrząśnięty, i obawiam się, że to może pozostawić ci ślady na zawsze. Nie potępiam cię za to, żeś nas porzucił, i nie mam prawa potępiać! Wybacz, że ci robiłam o to wyrzuty. Zdaję sobie sprawę, że gdyby mnie spotkało jakieś wielkie nieszczęście, też uciekłabym od wszystkich. Matce nic o *tym* nie powiem. Będę z nią ciągle o tobie rozmawiała i w twoim imieniu obiecuję, że wrócisz już wkrótce. Nie martw się o nią, ja ją uspokoję. Ale nie dręcz jej, przyjdź choć raz. Pamiętaj, że to przecież matka! A teraz chciałam

ci powiedzieć tylko – Dunia wstała – że gdybym kiedykolwiek była ci potrzebna, gdybyś potrzebował... choćby całego mego życia albo... zawołaj mnie, przyjdę. Żegnaj!

Szybko się odwróciła i skierowała ku drzwiom.

– Duniu! – zatrzymał ją Raskolnikow, wstając i zbliżając się do niej. – Ten Razumichin to bardzo porządny człowiek.

Dunia zarumieniła się z lekka.

– Więc? – zapytała po chwili milczenia.

– To człowiek poważny, pracowity, uczciwy, zdolny do wielkiego uczucia...

Żegnaj, Duniu.

Dunia, cała w piasach, nagle się zaniepokoiła:

– Co to, czy doprawdy rozstajemy się na zawsze, że mi... objawiasz ostatnią wolę?

– To nie ma nic do rzeczy... Żegnaj...

Odwrócił się i podszedł do okna. Dunia stała jeszcze chwilę, popatrzyła na niego z troską i wyszła bardzo niespokojna.

Bynajmniej nie była mu obojętna. Był moment (przy końcu rozmowy), że bardzo zapragnął uściskać ją mocno, *pożegnać się* z nią, a nawet powiedzieć jej. Jednak nie zdecydował się nawet na podanie ręki.

„Wzdragać się może będzie potem, gdy sobie przypomni, że ją obejmowałem, powie, że ukradłem jej pocałunek!”

„Czy *ona* wytrzyma, czy nie? – pomyślał po chwili. – Nie, nie wytrzyma, *takie* nie mogą wytrzymać! Takie nie wytrzymują nigdy...”

Pomyślał o Soni.

Od okna powiało chłodem. Słońce nie świeciło już tak jasno. Raskolnikow nagle wziął czapkę i wyszedł.

Oczywiście nie mógł i nie chciał zastanawiać się nad swym chorobliwym stanem. Ciągły niepokój jednak, wszystkie te katusze nie mogły przejść bez śladu. Że nie zmogła go dotąd prawdziwa choroba, to chyba dlatego właśnie, iż ów ciągły niepokój wewnętrzny na razie dodawał mu sił i podtrzymywał go sztucznie.

Błąkał się po ulicach bez celu. Słońce zachodziło. Ostatnio ogarniało go jakieś dziwne przygnębienie. Nie było to przygnębienie szczególnie dojmujące i bolesne. Lecz było w nim przeczucie czegoś nieustannego, wiekuistego, przeczucie beznadziejnych lat, bezdennej, czarnej rozpacz, przeczucie całej wieczności zamkniętej w „metrowej przestrzeni”. O zmierzchu nastrój taki zwykle jeszcze się potęgował.

– Czyż można nie zrobić głupstwa przy takich, czysto fizycznych przypadłościach, zależnych od jakiegoś zachodu słońca! Nie tylko do Soni, nawet do Duni mógłbym pójść! – mruknął z nienawiścią.

Ktoś go zawołał. Obejrzał się: gonił go Lebieziatnikow.

– Niech pan sobie wyobrazi, że byłem u pana, szukam pana. Niech pan sobie wyobrazi, że wykonała swój plan i zabrała dzieci! Ledwieśmy ją znaleźli z Sofią Siemionowną. Wali w patelnię, a dzieciom każe tańczyć. Dzieci płaczą. Zatrzymują się na rogach i przed sklepikami. Tłum gapiów biega za nimi. Chodźmy.

– A Sonia? – zapytał zaniepokojony Raskolnikow, podążając za Lebieziatnikowem.

– Oszalała po prostu. To znaczy nie Sofia Siemionowna oszalała, tylko Katarzyna Iwanowna, zresztą Sofia Siemionowna też szaleje. A Katarzyna Iwanowna zupełnie oszalała. Mówię panu, zupełna wariatka. Policja ją zatrzyma. Może pan sobie wyobrazić, jak to na nią podziała... są teraz nad kanałem, przy moście, niedaleko od mieszkania Sofii Siemionowny. Całkiem blisko.

Nad kanałem, nieopodal mostu, o dwa domy od mieszkania Soni zgromadził się tłum złożony przeważnie z wyrostków i dziewcząt. Ochryply, rozbity głos Katarzyny Iwanowny słyhać było już przy moście. Rzeczywiście to dziwaczne widowisko mogło zainteresować uliczną publiczność. Katarzyna Iwanowna, w zniszczonej sukni, w chustce, w połamanym słomkowym kapeluszu opadającym na bok głowy jak bezkształtna szmata, naprawdę szalała. Była zmęczona i zdyszana. Jej zboląta, suchotnicza twarz miała wyraz bardziej jeszcze cierpiący niż zazwyczaj (na ulicy, w słońcu, suchotnik zawsze wygląda gorzej niż w mieszkaniu). Jej podniecenie nie zmniejszało się jednak, zdenerwowanie wzmagalo się z każdą chwilą. Rzucała się na dzieci, krzyczała na nie, uczyła na miejscu, przy ludziach, jak tańczyć i co śpiewać, tłumaczyła im, dlaczego muszą to robić, wpadała w rozpacz, że jej nie rozumieją, biła je... Potem nagle rzucała się na publiczność. Gdy zobaczyła kogoś choć trochę lepiej ubranego, natychmiast zaczynała mu tłumaczyć, do czego doprowadzono dzieci ze „szlacheckiego, a nawet arystokratycznego domu”. Gdy w tłumie ktoś się roześmiał lub zadzwiał, rzucała się na śmiałków i zaczynała im wymyślać. Jedni się śmieli, inni kręcili głowami, wszyscy jednak patrzyli z ciekawością na obłąkaną kobietę i wystraszone dzieci. Patelni, o której mówił Lebieziatnikow, nie miała, przynajmniej Raskolnikow jej nie zauważył. Katarzyna Iwanowna, zmuszając Poleńkę do śpiewu, a Lonię i Kolę do tańca, zamiast w patelnię, wybijała takt wyschlými dłońmi. Próbowala również nucić sama, ale za każdym razem ostry kaszel przerywał jej przy drugim takcie, co doprowadzało ją znowu do rozpacz, a nawet do łez. Najwięcej denerwował ją płacz i przerażenie Koli i Loni. Rzeczywiście próbowała ubrać dzieci w stroje ulicznych śpiewaków. Chłopiec w turbanie zrobionym z jakiegoś czerwonego z białym materiału udawał Turka, dla Loni nie starczyło na kostium, miał tylko na głowie czerwoną, włóczkową czapczkę (a właściwie szlafmycę) nieboszczyka ojca z wetkniętym w nią kawałkiem białego strusiego pióra, które jako pamiątka rodzinna jeszcze po babce Katarzyny Iwanowny przechowywane było dotychczas w kufrze. Poleńka była w swej codziennej sukience. Spoglądała nieśmiało na matkę, zdając sobie sprawę z jej szaleństwa, nie odchodziła od niej, straciła głowę i ocierając ukradkiem łzy, rozglądała się niespokojnie dokoła. Tłum i ulica przerażały ją. Sonia nie odstępowała od Katarzyny Iwanowny, płakała i zaklinała ją co chwila, żeby wróciła do domu. Ale ta była nieubłagana.

– Daj spokój, Soniu, zostaw mnie! – mówiła szybko, dysząc i kaszląc. – Jak dziecko nie rozumiesz, o co chodzi! Powiedziałam ci już raz, że nie wrócę do

tej zapijaczanej Niemki. Niech wszyscy zobaczą, cały Petersburg, jak żebrzą dzieci szlachetnego ojca, który całe życie uczciwie i wiernie służył i umarł, rzecz można, na posterunku. – Katarzyna Iwanowna zdążyła już sobie wymyślić tę historię i ślepo w nią uwierzyć. – Niech, niech to zobaczy ten podły generał. Głupia jesteś, Soniu: z czego mamy żyć teraz, powiedz? Dostyc już szarpaliśmy cię, nie chcę dłużej! Ach, to pan, Rodionie Romanowiczu! – krzyknęła, zobaczywszy Raskolnikowa. – Niech pan wytłumaczy tej głuptasce – rzuciła się do niego – że nic mądrzejszego nie można było wymyślić! Kataryniarze dobrze zarabiają, a nas wszyscy wesprą, kiedy się dowiedzą, że jesteśmy biedną, szlachetną, osieroconą rodziną, a ten podły generał na pewno wyleci z posady, zobaczy pan! Codziennie będziemy chodzili pod jego okna, a kiedy będzie przejeżdżał najjaśniejszy pan, padnę na kolana, wypchnę dzieci naprzód i wskażę na nich: „Broń ich, ojczy!” On jest ojcem dla sierot, jest miłosierny, obroni, zobaczy pan, a tego marnego generała... Lo-nia!... *Tenez-vous droite!*<sup>[140]</sup> Kola, zaraz ty będziesz znowu tańczył. Czego chlipiesz? Znowu chlipie. Czego się boisz, głuptasku? O Boże, Rodionie Romanowiczu, co ja mam z nimi zrobić? Żeby pan wiedział, jakie to niezdarne! Czyż można z nimi coś zrobić!...

Sama prawie płacząc (co nie przeszkadzało jej zresztą w wyrzucaniu bez przerwy potoku słów), wskazywała mu chlipiące dzieci. Raskolnikow próbował namówić ją do powrotu do domu. Chcąc oddziaływać na jej ambicję, zauważył nawet, że nie wypada, aby chodziła po ulicach jak kataryniarz, skoro zamierza zostać przełożoną pensji dla szlachetnie urodzonych panien.

– Pensji, cha, cha, cha! Gruszki na wierzbie! – krzyknęła Katarzyna, wybuchnęła śmiechem i zaniósła się kaszlem. – Nie, proszę pana, skończyły się marzenia! Wszyscy nas opuścili!... A ten z przeproszeniem generał... Wie pan, rzuciłam w niego kałamarnicą, stał akurat w poczekalni na stole, przy arkuszu, na który się interesanci wpisywali, ja też się wpisałam, rzuciłam i uciekłam. O, podli, podli! Pluję na nich, teraz sama będę utrzymywała dzieciaki, obejdę się bez łaski! Dostyc już wymęczyliśmy ją. – Wskazała na Sonię. – Poleńko, ile zebraliśmy, pokaż! Jak to? Tylko dwie kopiejki? O łotry! Nic nie dają, biegają tylko za nami z wywieszonymi jęzorami! Czego się ten dureń śmieje? – wskazała na kogoś w tłumie. – To wszystko dlatego, że ten Kola jest taki niezdarny, co za bachor! Czego chcesz, Poleńko? Mów ze mną po francusku, *parlez-moi français*<sup>[141]</sup>. Uczyłam cię przecież, umiesz kilka zdań!... Inaczej nie odróżnią was, dzieci z dobrej rodziny, dobrze wychowanych, od zwykłych kataryniarzy. Nie przedstawiamy przecież jakiegoś tam *Czarnego Piotrusia*, ale zaśpiewamy wytworny romans... Ach, prawda! Co by tu zaśpiewać? Przeszkadzacie mi ciągle, a my... rozumie pan, zatrzymaliśmy się tu, żeby wybrać coś takiego do śpiewu, żeby Kola mógł przy tym tańczyć... Bo my, jak pan widzi, wszystko bez przygotowania. Trzeba się umówić, żeby wszystko szło składnie, to pójdziemy na Newski prospekt, tam jest o wiele więcej ludzi z towarzystwa, zaraz nas zauważą. Lonia umie *Chutorek*... Ale wciąż tylko *Chutorek* i *Chutorek*, wszyscy to śpiewają! Musimy zaśpiewać coś o wiele szlachetniejszego... No, Poleńko,



wymyśliłaś coś, mogłabyś ty przynajmniej pomóc matce! Pamięci nie mam, pamięci mi brak, bo sama bym sobie coś przypomniała! Nie możemy przecież śpiewać *Gdy huzar wsparty na szabli*<sup>[142]</sup>! Ach, zaśpiewamy po francusku *Cinq sous*<sup>[143]</sup>! Uczyłam tego, uczyłam. A co najważniejsze, to jest po francusku, od razu wszyscy się przekonają, że jesteście dziećmi ze szlacheckiej rodziny, i będzie to bardziej wzruszające... Można by nawet *Marlborough s'en va-t-en guerre*, bo to piosenka dla dzieci i we wszystkich arystokratycznych domach śpiewa się ją dzieciom do snu.

*Marlborough s'en va-t-en guerre,*

*Ne sait quand reviendra...*<sup>[144]</sup>

– zaczęła śpiewać. – Nie, lepiej niech będzie *Cinq sous*! No, Kola, weź się pod boki, prędeż, a ty, Lonia, kręć się w drugą stronę, my z Poleńką będziemy nucić i klaskać!

*Cinq sous, cinq sous,*

*Pour monter notre ménage...*<sup>[145]</sup>

Kche, kche, kche! – zaniósła się kaszlem. – Popraw sukienkę, Poleńko, ramiączka opadły – zauważyła, dysząc ciężko. – Teraz właśnie powinniście się starać o przyzwoity wygląd i zachowanie, żeby wszyscy widzieli, że jesteście szlacheckimi dziećmi. A mówiłam, żeby krajać dłuższy stanik i przy tym z dwóch brytów. To ty, Soniu, wtedy, z twoimi radami: „Krócej i krócej”, no i masz, wygląda jak strach na wróble... Znowu płacz! Czego, głuptasy? No, Kola, zaczynaj, prędeż, prędeż, ach, cóż to za nieznośny dzieciak!...

*Cinq sous, cinq sous...*

Znowu policjant? Czego tu chcesz?

Rzeczywiście przez tłum przeciskał się policjant. Ale w tej samej chwili zbliżył się jakiś jegomość w surducie i płaszczu, poważny, pięćdziesięcioletni urzędnik z orderem na szyi (co sprawiło specjalną przyjemność Katarzynie Iwanownie i umitygowało policjanta) i w milczeniu podał jej trzyrublowy, zielony banknot. Na twarzy jego malowało się szczere współczucie. Katarzyna Iwanowna przyjęła pieniądze i podziękowała grzecznie, dygnęła nawet ceremonialnie.

– Dziękuję panu, wielce szanowny panie – zaczęła górnolotnie – pobudki, które skłoniły nas... weź pieniądze, Poleńko. Widzisz, są jeszcze porządni i szlachetni ludzie, gotowi pośpieszyć z pomocą biednej szlachciance dotkniętej nieszczęściem. Widzi pan tutaj, szanowny panie, szlacheckie dzieci, nawet bardzo arystokratycznie skoligacone... A ten podły generał siedział sobie i jarząbki zajadał... zaczął tupać nogami, że mu przeszkodziłam... „Ekscelencjo, powiadam, znałeś tak dobrze mego męża nieboszczyka, broń teraz sierot i córkę jego rodzoną, którą w dniu śmierci ojca oczernił najpodlejszy z podłych...”. Znowu ten policjant. Niech pan mnie broni! – zawołała do urzędnika. – Czego ten policjant się mnie czepia? Z ulicy Mieszczańskiej uciekliśmy już tutaj przed jednym... O co chodzi, durniu?

– Bo na ulicy nie wolno. Proszę nie zakłócać porządku.

– To ty zakłócasz porządek! Ja tak samo jakbym chodziła z katarynką, co

cię to obchodzi?

– Na katarynkę trzeba mieć pozwolenie, a pani tu swoją osobą i zachowaniem robi zbiegowisko. Gdzie pani mieszka?

– Jakie pozwolenie?! – wrzasnęła Katarzyna Iwanowna. – Męża dziś pochowałam, co za pozwolenie?

– Niech się pani uspokoi – wtrącił się urzędnik – chodźmy, odprowadzę panią.. Nie wypada w tłumie... pani jest chora...

– Panie szanowny, pan o niczym nie wie! – krzyczała Katarzyna Iwanowna.

– Pójdziemy na Newski... Soniu! Soniu! Gdzie ona się podziała? Co, ona także płacze? Co się z wami stało?... Kola, Lonia, a wy dokąd?! – wrzasnęła nagle przestraszona. – Głupie dzieci! Kola, Lonia, dokąd oni biegną!...

Kola i Lonia, wystraszeni przez tłum gapiów i zachowanie się obłąkanej matki, gdy zobaczyli jeszcze policjanta, który chciał ich dokądś zabrać, schwycili się za ręce i rzucili do ucieczki. Katarzyna Iwanowna z krzykiem i płaczem zaczęła ich gonić. Żal było patrzeć na nią, gdy biegła, płacząc i ciężko dysząc. Sonia i Poleńka pobiegły za nią.

– Zatrzymaj ich, zatrzymaj, Soniu! Głupie, niewdzięczne bachory!... Trzymaj ich... Przecież ja dla was...

Potknęła się i upadła.

– Zraniła się do krwi! O Boże! – krzyknęła Sonia, nachylając się nad nią.

Wszyscy się zbiegli i otoczyli leżącą. Raskolnikow z Lebieziatnikowem przybiegli pierwsi, za nimi pośpieszyli urzędnik i policjant, który warknął coś pod nosem i machnął ręką w przeczuciu, że szykuje się niezły kram.

– Proszę się rozejść! – rozpędzał gromadzących się gapiów.

– Umiera! – krzyknął jakiś głos.

– Zwariowała! – odezwał się inny.

– O Boże, zmiłuj się! – powiedziała jakaś kobieta, żegnając się. – Czy złapali dzieciaki? Aha! Prowadzą ich, starsza dziewczynka złapała... A to dopiero!

Po bliższym przyjrzeniu się okazało się, że Katarzyna Iwanowna nie zraniła się, padając, jak myślała Sonia, lecz że krew czerwieniąca bruk płynie jej z gardła.

– Znam takie rzeczy, widziałem – powiedział urzędnik do Raskolnikowa i Lebieziatnikowa – to suchoty: krew bucha z gardła i dusi. Byłem niedawno świadkiem, moja krewna tak z półtorej szklanki... niespodzianie... Jednakże co z nią zrobić, umrze zaraz?

– Do mnie, tutaj, tutaj – błagała Sonia. – Ja tu mieszkam!... W tym domu, druga brama... Prędzej, prędzej!... – rzucała się do wszystkich. – Trzeba posłać po doktora... Mój Boże!

Urzędnik zajął się wszystkim, nawet policjant pomagał przy przenoszeniu Katarzyny Iwanowny. Przeniesiono ją do mieszkania Soni i półżywą ułożono na łóżku. Krwotok nie ustawał, lecz zaczynała odzyskiwać przytomność. Do pokoju weszli, prócz Soni, Raskolnikowa i Lebieziatnikowa, urzędnik i policjant, który rozpędził przedtem gapiów tłoczących się przy samych drzwiach. Poleńka przyprowadziła, trzymając za ręce, Kolę i Lonię, drżących i płaczących. Przyszli również Kapernaumowie: sam Kapernaumow, kulawy,

krzywy, o dziwnym wyglądzie, ze szczeciniastą, sterczącą czupryną i bokobrodami, jego żona z wiecznie wystraszoną miną i kilkoro ich dzieci ze skamieniałymi w wiecznym zdziwieniu buziami i otwartymi ustami. Zjawił się również nie wiadomo skąd Swidrygajłow. Raskolnikow patrzył na niego zdziwiony, nie rozumiejąc, w jaki sposób się tu znalazł, bo nie przypominał sobie, aby widział go w tłumie.

Wspomniano o doktorze i popie. Urzędnik szepnął wprawdzie Raskolnikowowi, że uważa obecność doktora za już zbyteczną, jednak polecił go sprowadzić. Zajął się tym Kapernaumow.

Tymczasem Katarzyna Iwanowna oprzytomniała, krwotok na razie ustał. Obrzuciła cierpiącym, lecz badawczym i przenikliwym wzrokiem bladą i zdenerwowaną Sonię, która ocierała jej chustką krople potu z czoła. Poprosiła, żeby ją unieść. Posadzono ją na łóżku, podtrzymując z obu stron.

– Gdzie dzieci? – zapytała drżącym głosem. – Przyprowadziłaś je, Poleńko? Głuptasy!... Dlaczego uciekali... Ach!...

Krew zaschła jej na spieczonych ustach. Rozejrzała się wokoło.

– To ty tak mieszkasz, Soniu! Nie byłam nigdy u ciebie... no i wybrałam się...

Popatrzyła na nią ze współczuciem.

– Wyssaliśmy cię, Soniu... Pola, Lonia, Kola, chodźcie tutaj... Masz je, Soniu, weź... z rąk do rąk... ja mam już dosyć!... Już po balu!... Och!... Połóżcie mnie, dajcie mi choć umrzeć spokojnie...

Ułożono ją znowu na poduszce.

– Co? popa?... Nie potrzeba... Nie macie pieniędzy do wyrzucenia!... Nie mam żadnych grzechów na sumieniu!... Pan Bóg i tak mnie rozgrzeszy... On wie, ile wycierpiałam! A jak nie rozgrzeszy, to nie!...

Coraz bardziej traciła przytomność. Chwilami wstrząsały nią dreszcze, rozglądała się wokoło, przez chwilę poznawała wszystkich, lecz zaraz znowu zaczynała majaczyć. Oddech stawał się ciężki i chrapliwy, coś jakby bulgotało jej w gardle.

– Mówię mu: „ekscelencjo!...” – wykrzykiwała, ciężko dysząc po każdym słowie. – Ta Amalia... ach! Lonia, Kola! Wziąć się pod boki, prędzej, prędzej, *glisséz, glisséz, pas de basque*<sup>[146]</sup>. Wybijaj takt nóżkami... Z gracją.

*Du hast Diamanten und Perlen...*<sup>[147]</sup>

Jak to idzie dalej? O, to by można zaśpiewać...

*Du hast die schönsten Augen...*

*Mädchen, was willst du mehr?*...<sup>[148]</sup>

No tak, właśnie! *was willst du mehr*... głupoty jakieś... Ach, prawda, jeszcze to:

*Raz w południowy skwar w dolinie Dagestanu...*<sup>[149]</sup>

Ach, jak ja to lubiłam... Zachwycałam się tym romanssem, Poleńko! Wiesz, twój ojciec... jeszcze jako narzeczony to śpiewał... To były czasy!... To powinniśmy zaśpiewać! Ale jak to idzie... zapomniałam... no, przypomnij, jak tam dalej... – Była ogromnie zaniepokojona i usiłowała się podźwignąć. Na jej twarzy malowało się narastające przerażenie. Po chwili strasznym,

rzęzącym i rwącym się głosem, natężając się i tracąc dech po każdym słowie, zaintonowała:

*Raz w południowy żar!... w dolinie!... Dagestanu!...*

*Z ołowiem w sercu!...*

– Wasza ekscelencjo! – jęknęła nagle rozdzierający m głosem, zalewając się łzami. – Niech pan obroni sieroty! Przez wzgląd na gościnność ich nieboszczyka ojca!... Rzec można, nawet arystokraty!... Ha! – Drgnęła i nagle oprzytomniała, patrzyła na wszystkich z przerażeniem, ale od razu poznała Sonię.

– Soniu! Soniu! – rzekła czule i łagodnie, jakby zdziwiona, że ją widzi. – Soniu kochana, i ty tu jesteś?

Podniesiono ją znowu.

– Koniec!... Już czas!... Żegnaj, nieszczęsna!... Zajeżdżili klacz!... Padła-a-a! – krzyknęła rozpaczliwie i nienawistnie, po czym opadła na poduszkę, ale już nie na długo. Błada, pożółkła, wyschła twarz zapadła się, usta się rozwarły, nogi wyprostowały się konwulsyjnie. Westchnęła głęboko i umarła.

Sonia rzuciła się na ciało, objęła je ramionami i znieruchomiła z twarzą na wyschłej piersi nieboszczki. Poleńka przypadła do nóg matki i całowała je, łkając. Kola i Lonia, nie rozumiejąc jeszcze, co się stało, ale przeczuwając coś strasznego, oburącz chwycili się za ramiona i wpatrywali się w siebie, a potem jednocześnie otworzyli usta i zaczęli krzyczeć. Obydwaj byli jeszcze w kostiumach: jeden w turbanie, drugi w czapeczce ze strusim piórem.

Jakim cudem ów „list pochwalny” znalazł się na posłaniu przy Katarzynie Iwanownie, nie wiadomo. Leżał przy poduszce, Raskolnikow go zauważył.

Odszedł do okna. Podbiegł do niego Lebieziatnikow.

– Umarła! – powiedział.

– Rodionie Romanowiczu, mam panu kilka słów do powiedzenia. – Swidrygajłow zbliżył się.

Lebieziatnikow usunął się dyskretnie. Swidrygajłow odprowadził Raskolnikowa w jeszcze dalszy kąt.

– Cały ten kram, to znaczy pogrzeb i resztę, biorę na siebie. Potrzebne są pieniądze, a ja mam je na zbyciu, jak już powiedziałem. Tych dwoje piskląt i tę Poleńkę umieszczę w jakimś przyzwoitym zakładzie dla sierot. Złożę w banku dla każdego z nich kapitał, do pełnoletności, po tysiąc pięćset rubli. Niech już Sofia Siemionowna ma to z głowy. Ją również wyciągnę z bagna, bo to dobra dziewczyna, prawda? Więc niech pan powie Awdotii Romanownie, jaki użytek zrobiłem z jej dziesięciu tysięcy rubli.

– Dlaczego właściwie stał się pan takim dobroczyńcą? – zapytał Raskolnikow.

– Ależ z pana podejrzliwy człowiek! – roześmiał się Swidrygajłow. – Przecież powiedziałem, że mam zbywające pieniądze. A jeżeli ja tak po prostu, po ludzku, nie wyobraża pan sobie tego? Przecież ona nie była „wszą” – wskazał palcem na łóżko, na którym leżała zmarła – jak jakaś starowina lichwiarka. No niechże pan powie, czy „łuzyn ma żyć i robić świństwa, czy też ona ma umrzeć?”. Gdyby nie moja pomoc, to „Poleńkę, na przykład, także ten sam los czeka...”.

Powiedział to z jakąś wesołą, porozumiewawczą i szelmowską miną, nie spuszczając wzroku z Raskolnikowa. Ten zbladł, przeszedł go zimny dreszcz, gdy usłyszał swoje własne słowa użyte w rozmowie z Sonią. Cofnął się gwałtownie i obrzucił Swidrygajłowa dzikim spojrzeniem.

– Skąd pan... wie? – szepnął, ledwie chwyając oddech.

– Przecież ja tutaj, przez ścianę, u *madame* Resslerich mieszkam. Tutaj mieszka Kapernaumow, a tam *madame* Resslerich, moja dawna, najwierniejsza przyjaciółka. Jestem sąsiadem.

– Pan?

– Tak – ciągnął dalej Swidrygajłow, trzęsąc się ze śmiechu – i daję panu słowo honoru, kochany Rodionie Romanowiczu, że pan mnie ogromnie zainteresował. A mówiłem panu, że dogadamy się, przepowiedziałem to panu, no i dogadaliśmy się. Zobacz pan, jaki ze mnie zgodny człowiek. Zobacz pan, że ze mną da się żyć...

## Część szósta

### I

Dziwnym życiem żył teraz Raskolnikow: zdawało mu się, że ogarnęła go gęsta mgła, pogrążając w samotności ciężkiej i bez wyjścia. Gdy później, znacznie później przypominał sobie ten okres, zdawał sobie sprawę, że przez cały ten czas, do ostatecznej katastrofy, doznawał niejako zamroczenia świadomości. Był na przykład zupełnie pewien, że nie orientował się wtedy w czasie i mylił daty rozmaitych wypadków. Gdy przypominał sobie różne fakty i chciał się w nich zorientować, musiał opierać się na informacjach dostarczanych mu o sobie przez innych. Mylił zdarzenia, różne rzeczy uważał za wynik wypadków istniejących naprawdę tylko w jego wyobraźni. Chwilami ogarniał go chorobliwy, męczący lęk przechodzący niekiedy w paniczny strach. Pamiętał również, że jakby w przeciwieństwie do takiego stanu zapadał na całe godziny, a nawet dni w zupełną apatię przypominającą chorobliwą obojętność występującą niekiedy u osób konających. Właściwie w ciągu tych ostatnich dni unikał wyraźnego zdawania sobie sprawy ze swej sytuacji. Zwłaszcza pewne fakty, które należałoby natychmiast wyświecić, bardzo mu ciążyły. Starał się unikać poniekórych spraw, choć ich omijanie w jego sytuacji groziło nieuchronną zgubą.

Niepokoił go zwłaszcza Swidrygajłow. Bieg jego myśli urywał się właśnie na bardzo dla niego groźnych i zupełnie niedwuznacznych słowach Swidrygajłowa, wypowiedzianych w mieszkaniu Soni w chwili śmierci Katarzyny Iwanowny. Mimo to Raskolnikow nie starał się wyjaśnić sprawy. Czasami, znalazłszy się w jakiejś odległej dzielnicy miasta, w obskurnym szynku, sam jeden przy stole, nie pamiętając prawie, jak się tam dostał, przypominał sobie nagle Swidrygajłowa. Powstawała w nim wtedy wyraźna i niepokojąca myśl, że powinien jak najprędzej rozmówić się z tym człowiekiem i co się da, załatwić ostatecznie.

Pewnego razu, gdy zawlókł się gdzieś za roгатki, zdawało mu się nawet, że czeka na Swidrygajłowa i że tam się z nim umówił. Innym razem obudził się o świcie gdzieś na ziemi, w krzakach, zupełnie nie wiedząc, skąd się tam wziął. Zresztą w ciągu dwóch czy trzech dni po śmierci Katarzyny Iwanowny dwukrotnie spotkał Swidrygajłowa w mieszkaniu Soni, do której Raskolnikow wstępował bez celu, zawsze tylko na chwilę. Zamieniali wtedy ze sobą kilka słów, nie poruszając jednak sprawy najważniejszej, jakby było umówione między nimi, że o tym należy do czasu milczeć. Ciało Katarzyny Iwanowny spoczywało jeszcze w trumnie. Swidrygajłow krzątał się i wydawał różne polecenia dotyczące pogrzebu, Sonia też była bardzo zajęta. Swidrygajłow zakomunikował Raskolnikowowi, że udało mu się pomyślnie załatwić sprawę dzieci; dzięki swoim stosunkom znalazł osoby, które dopomogły natychmiast umieścić całą trójkę w bardzo porządnym zakładach. Ułatwiły też sprawę sumy wpłacone przez niego na konto dzieci, bo sieroty z gotówką daleko łatwiej jest umieścić niż zupełnie biedne. Mówił także coś o Soni, obiecał, że

wstąpi w tych dniach do Raskolnikowa, i wspominał, że „chciałby się poradzić, że trzeba by się rozmówić, bo są pewne sprawy...”. Rozmowa powyższa toczyła się w sieni, na schodach. Swidrygajłow badawczo patrzył Raskolnikowowi w oczy i nagle, zniżywszy głos, po chwili namysłu zapytał:

– Dlaczego jest pan taki jakiś nieswój, Rodionie Romanowiczu? Doprawdy! Patrzy pan i słucha, a jakby pan nic nie rozumiał. Niech się pan otrząśnie. Pogadamy sobie. Szkoda tylko, że mam tyle spraw na głowie, własnych i cudzych... Ach, proszę pana – dodał nagle – wszyscy ludzie potrzebują powietrza, powietrza, powietrza... Przede wszystkim!

Swidrygajłow odsunął się, przepuszczając wchodzącego popa z diakiem, którzy przyszli odprawić nabożeństwo żałobne. Na polecenie Swidrygajłowa nabożeństwa odprawiano dwa razy dziennie. Swidrygajłow wyszedł na ulicę, Raskolnikow zaś stał w zamyśleniu przez chwilę, po czym wszedł za popem do mieszkania Soni.

Stanął we drzwiach. Nabożeństwo zaczęło się cicho, uroczyście, smutno. Myśl o śmierci i poczucie jej obecności zawsze, od dzieciństwa wywierały na Raskolnikowie przykre, mistyczne i przerażające wrażenie. Przy tym dawno już nie był na żałobnym nabożeństwie, a tutaj było coś szczególnie straszego i niepokojącego. Spojrzał na dzieci: cała trójka klęczała przy trumnie, Poleńka płakała. Za nimi, płacząc cicho i jakby nieśmiało, modliła się Sonia. „Przecież ona w ciągu tych kilku dni nie spojrzała na mnie ani razu, nie powiedziała do mnie ani słowa” – pomyślał Raskolnikow. Słońce jasno oświetlało cały pokój, kłębił się dym z kadzielnicy, pop odmawiał *Wieczne odpoczywanie*. Raskolnikow był do końca. Błogosławiąc i żegnając się, pop jakoś dziwnie się rozglądał. Po nabożeństwie Raskolnikow podszedł do Soni. Wzięła go za obie ręce i położyła mu głowę na ramieniu. Zdziwił go ten przyjacielski odruch, nie rozumiał: jak to? Ani odrobiny wstrętu, ani trochę obrzydzenia do niego, ręka jej nawet nie drgnęła! Wydawało mu się to bezmiarem samoponiżenia z jej strony. Sonia nie powiedziała ani słowa. Raskolnikow uściśnął jej rękę i wyszedł. Było mu bardzo ciężko na sercu. Czułby się szczęśliwy, gdyby mógł w tej chwili odejść gdzieś i zostać sam jeden, choćby na całe życie. W ostatnich czasach bowiem, aczkolwiek prawie zawsze był sam, czuł jednak, że nie jest sam. Zdarzało się, że wychodził za miasto, na szosę, raz nawet wszedł w jakiś zagajnik, ale im odludniejsze było to miejsce, tym silniej odczuwał czyjaś niepokojącą obecność, nie tyle straszną, ile dokuczliwą. Toteż pośpiesznie wracał do miasta, mieszał się z tłumem na targach, wstępował do szynków, traktierni. Czuł się wtedy lepiej, bo bardziej samotnie. W jakiejś traktierni siedział raz przed wieczorem całą godzinę. Śpiewano i było mu nawet przyjemnie. W końcu jednak zaniepokoił się, jakby zaczęły go męczyć wyrzuty sumienia: „Siedzę sobie i słucham piosenek, ale czyż powinienem teraz tak spędzać czas!” – pomyślał. Zresztą od razu domyślił się, że nie tylko to go niepokoi. Coś domagało się natychmiastowego rozstrzygnięcia. Ale co? Nie mógł zdać sobie z tego sprawy, nie mógł tego sformułować. Wszystko zwijało się w jakiś kłębek. „Nie, już lepsza byłaby walka! Lepszy byłby Porfiry... lub Swidrygajłow... Ach, żeby już prędzej jakieś nowe wezwanie czy atak... Tak!



Tak!” – myślał. Wyszedł z traktierni i prawie biegł przez ulicę. Myśl o matce i Duni napełniła go nagle jakimś panicznym przerażeniem. Tej właśnie nocy, nad ranem, obudził się w krzakach na Wyspie Krestowskiej, zziębnięty, w dreszczach. O świcie wrócił do domu. Po kilku godzinach snu dreszcze minęły. Obudził się późno: była druga po południu.

Przypomniał sobie, że to dziś właśnie miał być pogrzeb Katarzyny Iwanowny, i ucieszył się, że nie był na nim. Anastazja przyniosła mu obiad, jadł i pił z apetytem, niemal żarłocznie. Umysł miał świeższy i był spokojniejszy niż kiedykolwiek w ciągu tych trzech dni. Dziwiło go nawet przelotne wspomnienie swego niedawnego, panicznego przerażenia. Drzwi otworzyły się i wszedł Razumichin.

– Aha, jesz, więc nie jesteś chory! – skonstatował, siadając przy stole naprzeciwko Raskolnikowa. Razumichin był zaniepokojony i nawet nie starał się tego ukryć, mówił z wyraźnym rozdrażnieniem, choć nie spiesząc się i nie podnosząc głosu. Widoczne było, że przyszedł w jakimś zupełnie określonym, szczególnym celu.

– Słuchaj – zaczął stanowczym tonem – do diabła z wami wszystkimi, wiem dokładnie teraz tylko tyle, że nic nie mogę zrozumieć. I proszę cię, nie myśl, że przyszedłem cię przesłuchiwać. Gwiżdżę na to! Ani myślę! Nawet jeśli sam będziesz chciał mi się zwierzać z tych waszych sekretów, to nie będę słuchał, plunę na wszystko i wyjdę. Przyszedłem po to, by się ostatecznie przekonać osobiście: po pierwsze, czy to prawda, że zwariowałeś? Sądzą o tobie, rozumiesz, że albo już jesteś obłąkany, albo bardzo blisko tego. Muszę ci się przyznać, że sam byłem skłonny do przyjęcia tego poglądu, po pierwsze, na podstawie twoich głupich, a częstokroć podłych (i niewytłumaczalnych) postępów, po drugie zaś, ze względu na twoje zachowanie się w stosunku do matki i siostry. Tylko zwyrodnialec i szubrawiec mógłby przy zdrowych zmysłach postąpić z nimi tak, jak ty, a więc musisz być obłąkany...

– Dawno się z nimi widziałeś?

– Dopiero co. Ty wcale ich nie widziałeś od tego czasu? Powiedz mi, proszę, gdzie ty się włóczysz, trzy razy już wstępowałem do ciebie. Twoja matka od wczoraj jest poważnie chora. Wybierała się do ciebie. Awdotia Romanowna nie dawała jej pójść, ale nie chciała nawet słuchać: „Jeżeli on jest chory – powiada – jeżeli postradał zmysły, to kto mu pomoże, jak nie matka?”. Przyszliśmy tutaj razem we trójkę, bo przecież nie można było jej puścić samej. Do samych drzwi prosiliśmy ją, żeby dała spokój. Weszliśmy, ciebie nie było; usiadła tutaj. Siedziała tak z dziesięć minut, staliśmy przy niej w milczeniu. Potem wstała i powiedziała: „Jeżeli on wychodzi z domu, to znaczy, że jest zdrów i zapomniał o matce, a mnie, matce, nie wypada, po prostu wstyd prosić go o miłość jak o jałmużnę”. Wróciła do domu i położyła się, gorączkuje. „Widzę – powiada – że dla tej *swojej* to on ma czas”. „Dla *swojej*” to ma znaczyć dla Sofii Siemionowny, ona myśli, że to twoja narzeczona czy kochanka, a bo ja wiem zresztą. Więc od razu poszedłem tam, bo widzisz, bracie, chciałem się nareszcie czegoś dowiedzieć. Przychodzę, patrzę: stoi trumna, dzieci płaczą, Sofia Siemionowna

przymierza im żałobne ubranka. Ciebie nie ma. Popatrzyłem, przeprosiłem i wyszedłem. Powtórzyłem to Awdotii Romanownie. Wszystko to, powiadam, bzdury, nie ma żadnej swojej, najprawdopodobniej jest obłąkany. A ty tu sobie siedzisz, żresz sztukamię, jakbyś trzy dni nic w ustach nie miał. Wariaci także jedzą, to prawda, ale choć słowem się do mnie nie odezwałeś, to ty... obłąkany nie jesteś. Na to mogę przysiąc. Tu na pewno nie chodzi o obłąd. Pal więc was wszystkich diabli, tutaj jest jakaś tajemnica, jakiś sekret, a ja nie myślę łamać sobie głowy waszymi tajemnicami. Wstąpiłem tylko, żeby sobie ulżyć i nawymyślać – dodał, wstając z krzesła. – Wiem już, jak mam postąpić.

– Więc co zamierzasz?

– A ciebie co to obchodzi, co zrobię?

– Uważaj, zaczniesz pić!

– Dlaczego... skąd wiesz?

– Bo wiem.

Razumichin milczał przez chwilę.

– Zawsze byłeś bardzo rozsądny, nigdy nie byłeś obłąkany – dodał z nagłym zapałem. – Masz rację: będę pił! Żegnaj! – i skierował się ku wyjściu.

– Wiesz, Razumichin, rozmawiałem o tobie z moją siostrą, chyba przedwczoraj.

– O mnie! Ale... gdzie ty mogłeś ją widzieć onegdaj? – zastanowił się nagle Razumichin, błędąc. Łatwo się można było domyślić, że serce zaczęło mu z wolna kołatać w piersi.

– Była tu u mnie, sama, siedziała, rozmawialiśmy.

– Ona!

– Tak, ona!

– Coś ty jej powiedział... to znaczy chciałem zapytać, coś jej powiedział o mnie.

– Powiedziałem, że jesteś bardzo dobrym, porządnym i pracowitym człowiekiem. Nie mówiłem, że ją kochasz, bo ona i tak wie o tym.

– Wie?

– A coś ty myślał? Dokądkolwiek pójde, cokolwiek ze mną się stanie, ty będziesz ich oparciem. Powierzam ci je, Razumichin. Mówię to, bo wiem na pewno, że ty ją naprawdę kochasz, i wierzę w twoją szlachetność. Wiem również, że i ona może ciebie pokochać, a może nawet już kocha. Teraz decyduj sam, czy powinieneś zalewać robaka, czy nie?

– Rodionie... Widzisz... No... Ach, do diabła! Dokąd ty się wybierasz? Widzisz, jeżeli to tajemnica, to niech już sobie będzie! Ale ja... ja się dowiem, o co chodzi... Jestem pewien, że to jakieś głupstwo, straszna bzdura i że to ty sam wszystkiego nawarzyłeś. Zresztą zacny z ciebie człowiek! Zacny!...

– Chciałem ci jeszcze powiedzieć, ale przerwałeś mi, że masz zupełną rację, uważając, iż nie należy starać się odgadnąć te tajemnice i sekrety. Zostaw to na razie, bądź spokojny. Dowiesz się w swoim czasie, właśnie wtedy, kiedy będzie trzeba. Wczoraj pewien człowiek powiedział mi, że człowiekowi potrzebne jest powietrze, powietrze, powietrze! Chcę teraz pójść do niego i dowiedzieć się, co miał na myśli.

Razumichin stał zamyślony, przejęty i coś kalkulował.

„To polityczny spiskowiec! Na pewno! W przeddzień jakiegoś decydującego kroku, na pewno! Nic innego nie może być i... Dunia wie o tym...” – doszedł do wniosku.

– Więc Awdotia Romanowna przychodzi do ciebie – powiedział, akcentując każde słowo – a ty chcesz się zobaczyć z człowiekiem, który mówi, że potrzeba więcej powietrza, powietrza, a... zatem ten list... także ma coś z tym wspólnego – dodał jakby do siebie.

– Jaki list?

– Dostała dziś jakiś list, bardzo ją zaniepokoił. Bardzo, nawet za bardzo. Zaczęłam mówić o tobie. Prosiła, żebym przestał. Potem... potem powiedziała, że może wkrótce się rozstrzygnie, potem zaczęła mi za coś dziękować, a potem zamknęła się w swoim pokoju.

– Dunia dostała list? – zapytał powtórnie Raskolnikow w zamyśleniu.

– Tak, list. Nie wiedziałeś o tym? Hm!...

Zamilkli obaj na chwilę.

– Do widzenia, Rodionie. Ja, bracie... był taki moment, a zresztą, do widzenia, widzisz, był taki moment... No, bądź zdrow! Muszę już iść. Pić nie będę. Po co mi teraz... właśnie!

Pośpiesznie ruszył ku wyjściu, zamknął już za sobą drzwi, ale nagle otworzył je znowu i powiedział, patrząc gdzieś w bok:

– *À propos!* Czy pamiętasz to morderstwo, co to Porfiry, tej starej? No to wiedz, że morderca się znalazł, sam się przyznał i przedstawił wszelkie dowody. To jeden z tych robotników, malarzy, wyobraź sobie, a ja ich tak broniłem. Nie do wiary, ale on tę scenę bójk i śmiechu ze swoim kolegą na schodach umyślnie urządził w chwili, gdy nadchodził stróż i dwóch świadków, żeby zmylić ślady. Co za spryt, ile zimnej krwi miał ten szczeniak! Trudno w to uwierzyć, ale sam to opowiedział, sam się przyznał! Ale wpadłem! Tylko że nie ma czemu się dziwić, bo według mnie to geniusz obłudy i sprytu, geniusz mylenia poszlak. Czyż tacy się nie zdarzają? A że nie wytrzymał do końca i przyznał się, tym bardziej mu wierzę. To dodaje prawdopodobieństwa całej historii. Ależ się wtedy wkopałem! Ze skóry wyłaziłem w ich obronie!

– Powiedz mi z łaski swojej, skąd o tym wiesz i dlaczego to cię tak interesuje? – z widocznym zdenerwowaniem zapytał Raskolnikow.

– Dobrze sobie! Dlaczego mnie interesuje? Też pytanie!... Między innymi dowiedziałem się od Porfirego. Zresztą prawie o wszystkim wiem od niego...

– Od Porfirego?

– Od Porfirego.

– A on... co on? – zapytał z lękiem Raskolnikow.

– Doskonale mi wszystko wytłumaczył. Tak po swojemu, psychologicznie.

– On ci tłumaczył? Sam?

– Tak, sam, sam, no to cześć! Później opowiem ci to i owo, a teraz muszę uciekać. A jednak... był taki moment, że myślałem... Ale mniejsza z tym, o tym później!... Po co miałbym się teraz upijać? Upoiłeś mnie bez wódki. Przecież ja jestem pijany, Rodionie! Nie piłem, a jestem pijany. No, bądź zdrow, wpadnę do ciebie niedługo.

Razumichin wyszedł.

„To na pewno spiskowiec, na pewno, na pewno! – zdecydował, schodząc ze schodów. – Siostrę też w to wciągnął, to bardzo podobne do Awdotii Romanowny. Zaczęły się schadzki!... Przecież ona też robiła jakieś aluzje... Z całego szeregu jej słów... półsłówk... aluzji... to się właśnie zgadza! Inaczej nie można wytłumaczyć całej tej krętaniny. Hm! A ja już myślałem... O, Boże! Co też mi przyszło do głowy! Tak, to było jakieś zamroczenie, zawiniłem w stosunku do niego. Ale to on sam wtedy w korytarzu, pod lampą, namącił mi w głowie. Tfu! To wstrętne, podłe, chamskie z mojej strony, że tak mogłem pomyśleć! Zuch z tego Mikołaja, że się przyznał... A jak to tłumaczy rozmaite dawne rzeczy: jego chorobę wtedy, dziwne zachowanie, także dawniej, jeszcze na uniwersytecie, kiedy stale był taki ponury, posępny... Tylko co znaczy ten list? W tym jednak coś musi być. Od kogo jest ten list? Przypuszczam... Hm! Nie! Trzeba się będzie dowiedzieć”.

Przypomniał sobie Dunię, uprzytomnił sobie wszystko i serce mu zamarło. Zerwał się i pobiegł.

Raskolnikow po wyjściu Razumichina wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju z takim rozmachem, jak gdyby zapomniał o jego szczupłych rozmiarach i... usiadł znowu na kanapie. Czuł przyływ nowych sił, znowu czekała go walka, a zatem było jeszcze wyjście.

„Tak, znalazło się jeszcze wyjście! To dobrze, bo już dusił się, zaczadził od tego, że się nic nie działo, że wypadki zatrzymały się w miejscu. Od sceny z Mikołajem u Porfirego przytłaczało go poczucie bezradności. Potem, tego samego dnia, miała miejsce rozmowa z Sonią. Odbyła się i zakończyła zupełnie inaczej, niż to sobie przedtem ułożył... Zgodził się z Sonią, sam się zgodził, zupełnie szczerze, że nie będzie mógł żyć z taką sprawą na sercu! A Swidrygajłow? To zagadka... Niepokoi go, co prawda, ale to nie jest takie ważne. Może i tu czeka go walka, może tu znajdzie się rozwiązanie, ale Porfiry to co innego.

Zatem Porfiry wytłumaczył Razumichinowi, wytłumaczył mu psychologicznie! Znowu zaczyna się pchać z tą swoją przeklętą psychologią! Porfiry? Przecież to niemożliwe, żeby on choć na chwilę uwierzył w winę Mikołaja po tej scenie, jaka bezpośrednio poprzedziła owo przyznanie się, scenie pomiędzy nimi, następującej jeden tylko wniosek. (Raskolnikow kilkakrotnie w ciągu tych paru dni mgliście przypominał sobie epizody tej sceny z Porfiry, w całości jednak nie wytrzymałby tego). Padły wtedy takie słowa, miały miejsce takie ruchy i gesty, wymieniono takie spojrzenia, powiedziano różne rzeczy takim tonem, że po tym wszystkim przyznanie się Mikołaja (którego Porfiry od razu przejrzał na wskroś) nie mogło zachwiać jego zasadniczego poglądu na sprawę.

Dobre sobie! Nawet Razumichin zaczął podejrzewać! Scena na korytarzu pod lampą nie przeszła więc wtedy bez wrażenia. Pobiegł do Porfirego... Ale z jakiej racji ten nabiera Razumichina? W jakim celu skierował jego uwagę na Mikołaja? W tym był przecież jakiś cel, jakiś zamiar, ale jaki? To prawda, że od owego poranka przeszło już dużo czasu, za dużo, a Porfiry nie dawał znaku życia. Tym gorzej, bez wątpienia...”. Raskolnikow wziął czapkę

i skierował się ku wyjściu. Pierwszy raz w ciągu całego tego czasu odzyskał przynajmniej równowagę umysłową. „Trzeba skończyć ze Swidrygajłowem – myślał – i to jak najprędzej, zdaje się, że on też czeka, żebym przyszedł do niego”. W tej chwili taka fala nienawiści zalała jego udręczone serce, że chyba mógłby zabić któregoś z nich: Swidrygajłowa lub Porfirego. Jeżeli nie teraz, zaraz, to czuł, że przyjdzie jednak moment, kiedy będzie w stanie to zrobić. „Zobaczymy, zobaczymy” – powtarzał sobie.

Otworzył drzwi do sieni i nagle natknął się na Porfirego, który wchodził do jego pokoju. Raskolnikow osłupiał na chwilę, ale tylko na chwilę. Nie zdziwił się ani nawet prawie się nie przeląkł. Drgnął tylko, po czym zaraz się opanował. „A może to będzie rozwiązanie! Podszedł po cichu jak kot, nic nie słyszałem. Czyżby podsłuchiwał?”.

– Nie spodziewał się pan gościa! – zawołał, śmiejąc się Porfiry Pietrowicz. – Już dawno miałem ochotę wstąpić do pana, przechodzę tędy i myślę, a może by wpaść na parę minut, odwiedzić go? Wybiera się pan dokądś? Nie będę zatrzymywał. Tylko, pozwoli pan, że papierosika...

– Niech pan siada, bardzo proszę – przyjął gościa Raskolnikow z taką zadowoloną i przyjacielską miną, że sam by się sobą zachwycił, gdyby mógł się zobaczyć. Gonił ostatkami sił! Czasami zdarza się, że człowiek przez pół godziny umiera ze strachu przed rozbójnikiem, a gdy poczuje już nóż na gardle, trwoga nagle go opuszcza i przestaje się bać. Raskolnikow usiadł na wprost Porfirego i wpatrywał się w niego bez drgnienia powiek. Porfiry zmrużył oczy i zapalał papierosa.

„No mówże, mówże – omal nie wyrwało się Raskolnikowowi. – Dlaczego, dlaczego nie mówisz?”.

– Ach, te papierosy – zaczął nareszcie Porfiry Pietrowicz, przypaliwszy papierosa i odsapnąwszy. – Szkodliwe to, bardzo szkodliwe, a nie mogę się odzwyczaić! Kaszlę, krztuszę się, mam zadyszkę. Tchórz jestem, wie pan, poszedłem do doktora B-na, każdego pacjenta bada minimum pół godziny. Śmiał się, patrząc na mnie, ostukiwał, ostukiwał i powiada: „Palenie panu szkodzi, ma pan rozedmę płuc”. Czy ja mogę przestać palić? Czym ja to zastąpię? Nie piję, w tym sęk, che-che-che, że nie piję! Wszystko przecież jest względne, proszę pana, wszystko jest względne!

„Ten znowu zaczyna mi pleść o czymś w rodzaju służbowego mieszkania, czy co!” – z obrzydzeniem pomyślał Raskolnikow. Przypomniawszy sobie nagle podobną scenę z ich ostatniego spotkania i zawrzał, jak wtedy, nienawiścią.

– A ja byłem u pana onegdaj wieczorem, nie wie pan o tym? – ciągnął dalej Porfiry Pietrowicz, rozglądając się po pokoju.

– Tu byłem, w tym pokoju. Tak, jak dziś przechodzę i myślę sobie, złożę mu wizytę. Przychodzę, drzwi otwarte na oścież, rozejrzałem się, poczekałem, nawet nie szukałem służącej i wyszedłem. Pan nie zamyka pokoju?

Raskolnikow posępniał coraz bardziej. Porfiry jakby odgadł jego myśli.

– Przyszedłem się wytłumaczyć, kochany panie Rodionie Romanowiczu, wytłumaczyć się! Winien jestem panu wytłumaczenie – mówił z uśmiechem i nawet klepnął Raskolnikowa po kolanie. Prawie jednocześnie jednak twarz jego nabrała wyrazu powagi i troski, a nawet jakby smutku. Raskolnikow zdziwił się: nie widział dotychczas i nie przypuszczał, że Porfiry może mieć taki wyraz twarzy. – Przykra scena miała miejsce między nami, proszę pana, podczas ostatniego widzenia. Prawdę powiedziawszy, to i przy pierwszym spotkaniu też była dziwna scena, ale ostatnio... Lecz teraz zastanówmy się! Bardzo być może, że zawiniłem wobec pana, zdaję sobie z tego sprawę. Pamięta pan, jak żeśmy się rozstali: pan był zdenerwowany, kolana panu drżały i ja byłem zdenerwowany, kolana mi się trzęsły. I wie pan, tak jakoś źle się coś wtedy stało między nami, nie po dżentelmeńsku. A przecież mimo wszystko jesteśmy dżentelmenami, w każdym razie przede wszystkim jesteśmy dżentelmenami, chciałem powiedzieć. Pamięta pan, do czego to doszło... było to nawet, powiedzmy otwarcie, nieprzyzwoite.

„Czego on chce, za kogo mnie ma?” – zastanawiał się zdumiony Raskolnikow i podniósłszy głowę, szeroko otwartymi oczami przyglądał się Porfiremu.

– Doszedłem do wniosku, że lepiej będzie zagrać w otwarte karty – mówił dalej Porfiry Pietrowicz, odwracając głowę i spuszczaając oczy, jakby zaniechał swych dotychczasowych sposobów i sztuczek i nie chciał paraliżować wzrokiem swej ofiary. – Tak, takie sceny i tego rodzaju podejrzenia nie mogą trwać długo. Żeby nie Mikołaj, to nie wiem doprawdy, do czego by wtedy doszło między nami. A ten przeklęty mieszcuch siedział cały czas za przepierzeniem, no niech pan sobie to wyobrazi! Zresztą wie pan zapewne o tym, tak jak ja wiem, że był on później u pana. Ale nie było tak, jak pan przypuszczał: po nikogo nie posyłałem i żadnych rozporządzeń

nie wydałem. A wie pan, dlaczego nie wydałem rozporządzeń? Bo, jakby to panu powiedzieć: sam byłem tym wszystkim zaskoczony. Tylko po stróżów kazałem posłać (zauważył ich pan chyba, przechodząc). Jak błyskawica błysnęła mi pewna myśl, byłem wtedy, widzi pan, głęboko przekonany. Spróbujmy, myślę sobie, wprawdzie jedno wypuszczę na razie z ręki, ale za to co innego złapię za ogon, a swego, swego przynajmniej nie popuszczę. Bardzo pan jest nerwowy, Rodionie Romanowiczu. To już wrodzone widocznie. Za bardzo pan jest przeczulony przy całym szeregu innych cech swego charakteru i serca, które, pochlebiam sobie, zdążyłem już poznać. Naturalnie, powinienem był i wtedy zdawać sobie sprawę, że nie zawsze bywa tak, że przyjdzie człowiek i od razu wywali całą prawdę na stół. Owszem, zdarza się to, zwłaszcza gdy się kogoś przyciśnie do ostatnich granic wytrzymałości, ale bądź co bądź rzadko. O tym powinienem był pamiętać. Myślałem sobie: no nie, żeby chociaż troszeczkę! Żeby chociaż odrobinę, żeby tylko można było schwycić coś w rękę, a nie ciągle ta psychologia. Bo jeżeli człowiek jest winien, myślałem, to oczywiście można oczekiwać, że w końcu zdradzi się z czymś istotnym. Wolno nawet liczyć na jakieś zupełnie niespodziewane wyniki. Liczyłem na pańskie usposobienie wtedy, Rodionie Romanowiczu, głównie na pańskie usposobienie! Bardzo na to liczyłem.

– Ależ pan... dlaczego pan znowu tak jakoś... – bąknął Raskolnikow, nie zastanawiając się nawet nad tym pytaniem. „O czym on mówi – gubił się w domysłach – czyżby naprawdę uważał, że jestem niewinny?”

– Dlaczego? Przyszedłem się wytłumaczyć, uważałem to, że tak powiem, za swój święty obowiązek. Chcę panu dokładnie wyjaśnić wszystko, jak było, całą historię tamtej, że tak powiem, kołowacizny. Wiele pan wycierpiał przeze mnie, Rodionie Romanowiczu. Nie jestem potworem. Rozumiem, co to znaczy dźwigać taki ciężar dla człowieka zgnębionego, ale dumnego, niezależnego i niecierpliwego, zwłaszcza niecierpliwego! W każdym razie uważam pana za najporządniejszego człowieka, nawet z pewnymi zadatkami wspaniałomyślności, choć nie ze wszystkimi pańskimi poglądami się zgadzam. Uważam to za swój obowiązek zaznaczyć z góry, otwarcie i zupełnie szczerze, bo przede wszystkim nie mam zamiaru pana oszukiwać. Poznawszy pana bliżej, poczułem do pana sympatię. Może pan będzie się śmiał z tego? Może pan się śmiać. Wiem, że pan mnie nie polubił od pierwszego wejrzenia. Za cóż zresztą miałby pan mnie lubić? Jak pan chce, lecz ja mam zamiar ze swojej strony zrobić wszystko, żeby zatrzeć niemiłe wrażenie i dowieść panu, że mam serce i sumienie. Mówię szczerze.

Porfiry Pietrowicz zamilkł z godnością. Raskolnikowa na nowo ogarnęło przerażenie. Lękał się teraz myśli, że Porfiry uważa go za niewinnego.

– Opowiadanie wszystkiego po kolei, od czego to się zaczęło, nie jest chyba potrzebne – mówił dalej Porfiry Pietrowicz – a nawet sądzę, że zbyteczne. Zresztą chyba nie potrafiłbym. Bo jak to właściwie ująć? Początkowo były jakieś pogłoski. Nad tym, jakie to były pogłoski, od kogo, kiedy... z jakiego powodu zaczęto mówić o panu, również uważam, że nie ma potrzeby się rozwodzić. Ja osobiście wpadłem na to zupełnie przypadkowo, mówię panu,



był to najzupełniejszy przypadek, mógł się równie dobrze zdarzyć, jak i nie. Jaki? Hm! Sądzę, że też nie warto o tym mówić. Wszystko to razem, te pogłoski i ten przypadek, nasunęły mi pewną myśl. Przyznam się szczerze, bo jak się przyznawać, to już do wszystkiego, że to ja pierwszy zwróciłem na pana uwagę. Te tam adnotacje starej na rzeczach i tak dalej, i tak dalej to wszystko bzdura.

Takie kawałki na setki można liczyć. Zdarzyło mi się również dowiedzieć szczegółowo o scenie, jaka się odbyła w kancelarii policji, również przypadkowo, ale nie tak sobie, mimochodem, lecz z relacji pewnego kapitalnego gościa, który mimo woli oddał tę scenę nadzwyczajnie. I tak jedno z drugim, jedno z drugim, kochany Rodionie Romanowiczu! No, czyż mogłem nie zwrócić się w określonym kierunku? Ze stu królików nigdy nie uda się zrobić konia, ze stu posztrak nigdy nie da się złożyć dowodu, jak mówi angielskie przysłowie. Tyle o rozsądku, a namiętności? Z namiętnościami, mój panie, również trzeba się liczyć, bo przecież sędzia śledczy to też człowiek. Przypomniałem sobie wtedy również pański artykułik w gazecie; pamięta pan, mówiliśmy o nim szczegółowo podczas pierwszej pańskiej wizyty. Kpiłem sobie wtedy, ale tylko dlatego, żeby pana sprowokować. Powtarzam, bardzo jest pan niecierpliwy i przeczulony, proszę pana. Od dawna wiedziałem, że pan jest odważny, zapalczywy, poważny i... myślący, pan bardzo dużo już przemyślał. Znam takie typy, pański artykułik czytałem jak coś już dobrze mi znanego. Obmyślał pan go z zaciętością podczas bezsennych nocy, z biciem serca, ze stłumioną pasją. A jakżeż to niebezpieczne taka stłumiona, wyniosła pasja u młodzieży. Wtedy drwiłem, ale teraz powiem panu, że w ogóle bardzo lubię, jako miłośnik, takie pierwsze, młodzieńcze, gorące próby pióra. Dym, mgła, struny dźwięczą we mgle. Artykuł pański jest fantastyczny i bez sensu, ale przebija w nim szczerść, jest w nim młodzieńcza, nieprzekupna hardość, zuchwałość rozpaczy. Ponury jest ten artykuł, i to dobrze. Przeczytałem go, odłożyłem i... pomyślałem sobie: „No, ten człowiek nie przejdzie spokojnie przez życie!”. No i niechże pan powie, czy po takim wstępie można było nie zainteresować się dalszym ciągiem! Ach, mój Boże, czyż ja coś mówię? Czyja coś stwierdzam? Taką tylko wtedy zrobiłem uwagę. Co z tego, myślę. Nic tu takiego nie ma, całkiem nic, absolutnie nic z tego nie wynika. Nawet nie wypada, żebym ja, sędzia śledczy, tak dalece się tym interesował: mam przecież w ręku Mikołaja, fakty. Jak pan sobie chce, ale są to fakty! Ma on też swoją psychologię, muszę się tym zająć, bo to sprawa życia lub śmierci. Po co ja panu to wszystko teraz wykładam? Żeby pan o wszystkim wiedział i w swoim sercu i rozumie nie miał do mnie żalu za moją złośliwość wtedy. To nie była złośliwość, mówię szczerze, che-che! A czy pan myśli, że nie zrobiłem wtedy u pana rewizji? Zrobiłem, zrobiłem, che-che! Zrobiłem, jak pan sobie tutaj chory leżał na kanapie. Nie oficjalnie i nie osobiście, ale zrobiłem. Z miejsca przeszukano pańskie mieszkanie, każdą dziurę przeszukano, ale *umsonst*<sup>[150]</sup>. Myślę sobie: teraz ten człowiek przyjdzie do mnie, przyjdzie sam i to niedługo; jeśli jest winien, to na pewno przyjdzie. Kto inny by nie przyszedł, ale ten przyjdzie. A pamięta pan, jak to pan

Razumichin zaczął się do pana o tej sprawie wygadywać? Urządziliśmy to celowo, żeby pana zdenerwować. Puściło się umyślnie plotkę, żeby ją panu powtórzył, a pan Razumichin to taki człowiek, który nie potrafi ukryć swego oburzenia. Panu Zamietowowi pierwszemu rzuciły się w oczy pański gniew i pańska zuchwałość, bo jakżeż można było w traktierni tak od razu wypalić: „Ja zabiłem!”. To za śmiało, to zbyt zuchwale! Jeżeli on jest winien, pomyślałem, to będzie to groźny przeciwnik! Tak sobie wtedy pomyślałem. Czekam! Czekam na pana z niecierpliwością. Zamietowa to pan wtedy po prostu zgnębił, bo... w tym właśnie sęk, że ta przekłeta psychologia ma dwa końce! Więc czekam, wyglądam pana, patrzę, Bóg pana prowadzi, idzie pan! Serce we mnie zamarło. Ech! I po co właściwie pan wtedy przyszedł? A ten śmiech pana, ten śmiech, z którym pan wszedł, pamięta pan, przecież przez ten śmiech jak przez szybę zobaczyłem wszystko. Gdybym nie czekał na pana z takim napięciem, to może nie zwróciłbym uwagi na ten śmiech. Oto co znaczy być w nastroju. A pan Razumichin wtedy... ach! A kamień, kamień, czy pan pamięta ten kamień, pod którym są ukryte rzeczy? Jakbym go widział przed sobą, w ogrodzie.

Pan przecież mówił Zamietowowi, że w ogrodzie, tak jak zresztą potem mnie? Wreszcie zaczęliśmy wtedy roztrząsać pański artykuł. Kiedy pan go zaczął analizować, każde pańskie słowo traktowałem dwuznacznie, w każdym doszukiwałem się ukrytego sensu! I tak, proszę pana, w taki to sposób doszedłem do słupów granicznych i dopiero kiedy huknąłem w nie głową, oprzytomniałem. Nie, powiadam, co to się ze mną dzieje! Przecież wszystko to, przy dobrej woli, można wytłumaczyć zupełnie na odwrót i będzie jeszcze bardziej prawdopodobne. Sam otwarcie przyznaję, że będzie bardziej prawdopodobne. To męka! „Nie, myślę, wolałbym już jednak jakiś szczegółik!...”. Jak się wtedy dowiedziałem o tym dzwonku, to zamarłem, dreszcz mnie przeszedł. „No, myślę sobie, mamy coś konkretnego!”. Nawet już przestałem rozumować, odechciało mi się po prostu. Dałbym wtedy tysiąc rubli z własnej kieszeni, żebym tylko mógł zobaczyć na własne oczy, jak pan szedł te sto kroków z tym mieszcuchem po tym, jak rzucił on panu w twarz „morderca”, i przez całe sto kroków nie ośmielił się pan go o nic zapytać!... A ten dreszcz, który przebiegł panu po kręgosłupie? A ten dzwonek, w chorobie, półmalignie? Zatem nie dziwi się już pan chyba, że sobie wtedy pozwoliłem na takie kawały? I po co pan sam właśnie w tej chwili przyszedł? Zupełnie jakby coś pana pchało, jak Boga kocham. A gdyby nie przeszkodził Mikołka, to... pan pamięta Mikołkę wtedy? Dobrze pan zapamiętał? Przecież to był piorun! Grom z jasnego nieba! A jak się wobec niego zachowałem? Ani na ociupinę nie uwierzyłem temu piorunowi, jak raczył pan zapewne zauważyć. Ale gdzie tam! Później, kiedy pan wyszedł, zaczął on tak składnie odpowiadać na różne pytania, że aż sam się zdziwiłem, ale nie dałem mu wiary za grosz! Co to znaczy mieć taką murowaną pewność. Nie, myślę, nic z tych rzeczy! Jaki tam znowu Mikołka!

– Razumichin właśnie mi powiedział, że pan w dalszym ciągu oskarża Mikołaja i nawet przekonywał pan...

Zapierało mu oddech i nie dokończył. Z niesłychanym niepokojem słuchał,

jak ten człowiek, który go przejrzał na wskroś, zaparł się samego siebie, bał się uwierzyć i nie wierzył. W dwuznacznikach gorączkowo doszukiwał się ukrytego sensu i starał się uchwycić coś określonego, definitywnego.

– Pan Razumichin! – zawołał Porfiry, jakby się ucieszył, że milczący dotąd Raskolnikow wreszcie się odezwał. – Che-che-che! Bo pana Razumichina trzeba było odstawić: to piąte koło u wozu. Pan Razumichin nic tu nie ma do roboty, to człowiek postronny, przybiegł do mnie taki blady... Bóg z nim, po co go w to mieszać! Chciałby pan wiedzieć, jak wygląda sprawa z Mikołajem, przynajmniej jak ja ją widzę? Po pierwsze, jest to duży dzieciak, wcale nie tchórz, tylko coś w rodzaju natury artystycznej. Naprawdę, niech pan się nie śmieje, że tak go określam. Jest niewinny i bardzo wrażliwy. Ma serce, jest fantastą. Umie śpiewać, tańczyć, a bajki podobno opowiada tak, że ludzie się schodzą, żeby go słuchać. Chodzi do szkoły, pęka ze śmiechu, gdy ktoś palec pokaże, upija się do nieprzytomności, nie, żeby był zepsuty, tylko od czasu do czasu, kiedy ktoś go wciągnie, tak po dziecinnemu. Ukradł wtedy, ale nie zdaje sobie z tego sprawy: „Podniosłem z ziemi, jaka to kradzież?”. A czy pan wie, że on jest z raskolników<sup>[151]</sup>, a właściwie to sekciarz, miał w rodzinie biegunów<sup>[152]</sup>, a sam niedawno całe dwa lata spędził na wsi u jakiegoś starca<sup>[153]</sup>.

Wszystkiego tego dowiedziałem się od niego i od jego sąsiadów. Ba, co więcej, chciał uciec do pustelni! Czuł powołanie, modlił się po nocach, zaczytywał się w starych, „prawdziwych” księgach. Petersburg podziałał na niego bardzo, zwłaszcza płęć piękna, no i wódka. Ulega wpływom, zapomniał o starcu i o wszystkim. Wiem o tym, że pewien tutejszy artysta polubił go, zaczął do niego przychodzić. Jak zdarzył się ten wypadek, zląkł się i chciał się powiesić! Uciekać! Cóż poradzić z tą opinią, jaka utarła się wśród ludu o naszym sądownictwie. Są ludzie, których sam wyraz „sąd” napawa przerażeniem. Kto jest temu winien? Zobaczymy, co zrobią nowe sądy. Daj Boże, żeby było lepiej! Zatem w więzieniu przypomniał sobie widocznie świątobliwego starca; znowu się pojawiła Biblia. Czy pan wie, Rodionie Romanowiczu, co dla niektórych ludzi u nas znaczy „przyjąć cierpienie”? To nie znaczy, żeby cierpieć za kogoś, ale po prostu wziąć na siebie cierpienie, a jeżeli owo cierpienie pochodzi od władzy, to tym lepiej. Za moich czasów siedział w więzieniu przez cały rok pewien nader spokojny aresztant, całymi nocami czytał na piecu<sup>[154]</sup> Biblię, tak się rozczytał, że w końcu ze szczętem stracił miarę i pewnego razu ni z tego, ni z owego złapał cegłę i rzucił nią w naczelnika, bez żadnego powodu. Ale jak rzucił: umyślnie o arsyzn od niego, żeby czasami nie trafić! Wiadoma rzecz, co czeka aresztanta, który rzuca się z bronią w rękę na przełożonych, zatem „przyjął cierpienie”. Otóż przypuszczam, że Mikołaj właśnie chce „przyjąć cierpienie” czy coś w tym rodzaju. Jestem tego pewny, mam na to dowody. Tylko że on nie wie o tym, o czym ja wiem. Co, nie przypuszcza pan, żeby wśród ludu mogli istnieć tego rodzaju fantaści? Ależ masami! A wpływ owego starca teraz znowu zaczął działać, zwłaszcza po próbie powieszenia się. Zresztą sam mi wszystko opowie, przyjdzie. Pan myśli, że wytrzyma? Niech pan poczeka, jeszcze się

wyprze. Z godziny na godzinę czekam, że przyjdzie odwołać zeznania. Polubiłem tego Mikołaja i wybadam go porządnie. Co pan o tym sądzi? Che, che! Na niektóre pytania odpowiedział mi zupełnie do rzeczy, oczywiście dowiedział się, co trzeba, był dobrze przygotowany. Ale inne pytania to po prostu jak groch o ścianę, nic absolutnie nie rozumie, nie wie i nie przypuszcza nawet, że nie wie! Nie, Rodionie Romanowiczu, mój dobrodzieju, to nie Mikołka! To sprawa fantastyczna, ponura, sprawa współczesna, z naszych czasów, kiedy zmaciło się serce człowieka, kiedy szermuje się frazesem, że krew „odświeża”, i propaguje się komfort życiowy. Tutaj znać literaturę, teoretycznie rozdrażnione serce. Widoczne jest zdecydowanie na pierwszy krok. Ale zdecydowanie specjalnego rodzaju: zdecydował się, jakby spadł z wierzchołka góry albo zleciał ze szczytu wieży, i poszedł zabijać nieprzytomny. Zapomniał zamknąć za sobą drzwi, ale zabił dwie osoby, zabił dla zasady. Zabił, ale pieniędzy wziąć nie potrafił, a co zdążył zabrać, to ukrył pod kamieniem. Mało mu było męki, którą zniósł, kiedy siedział za drzwiami, a do drzwi się dobijano i dzwonił dzwonek. Nie, wraca jeszcze raz do pustego już mieszkania, półprzytomny, żeby ten dzwonek sobie przypomnieć, zapragnął jeszcze raz zaznać zimnego dreszczu... Powiedzmy, że stało się to w malignie, ale tu jest jeszcze coś: zabił, lecz uważa się za uczciwego człowieka, gardzi ludźmi, snuje się niczym błądź anioł – nie, dajmy spokój Mikołce, mój dobrodzieju, Rodionie Romanowiczu, to nie Mikołka!

Po wszystkim, co zostało powiedziane poprzednio, a co tak bardzo wyglądało na wyrzeczenie się oskarżenia Raskolnikowa, takie zakończenie było zgoła nieoczekiwane. Raskolnikow zatrzęsł się jak w febrze.

– Więc... zatem... kto... zabił? – zapytał, nie mogąc się powstrzymać, urywanym głosem.

Porfiry aż odchylił się na oparcie krzesła, jakby zaskoczyło go to pytanie.

– Jak to, kto zabił?... – powtórzył, jakby nie dowierzając własnym uszom. – Przecież to pan zabił, Rodionie Romanowiczu! Właśnie pan zabił... – dodał prawie szeptem, tonem świadczącym o całkowitej pewności.

Raskolnikow zerwał się z kanapy, powstał chwilę i usiadł znowu, nie mówiąc ani słowa. Konwulsyjny skurcz wykrzywił mu twarz.

– Jak to usteczka drżą, zupełnie jak wtedy – bąknął ze współczuciem Porfiry. – Pan mnie widocznie źle zrozumiał, Rodionie Romanowiczu, dlatego się pan tak zdziwił – dodał po chwili milczenia. – Przyszedłem właśnie po to, żeby powiedzieć wszystko i zagrać w otwarte karty.

– To nie ja zabiłem – szepnął Raskolnikow, jak wystraszone dziecko, przyłapanie na gorącym uczynku.

– Nie, to pan, Rodionie Romanowiczu, pan, nikt inny – surowo i z przekonaniem szepnął Porfiry.

Obaj zamilkli i milczenie trwało nieprawdopodobnie długo, dobre dziesięć minut. Raskolnikow oparł się łokciami o stół i w milczeniu wicherzył sobie włosy. Porfiry siedział spokojnie i czekał. Nagle Raskolnikow spojrział na niego z pogardą.

– Pan znowu zaczyna swoje dawne dywagacje, Porfiry Pietrowiczu! Znowu

te same chwytły, że też się to panu nie sprzykrzy?

– Niechże pan da spokój, po co mi teraz jakieś chwytły? Co innego, gdyby ta rozmowa odbywała się przy świadkach, ale szepczemy przecież tutaj sam na sam. Widzi pan przecież, że nie po to przyszedłem, aby pana gonić i łapać jak zająca. Czy pan się przyzna, czy nie, w tej chwili jest mi to obojętne. Osobiście jestem zupełnie przekonany.

– A więc po co pan przyszedł? – zapytał Raskolnikow. – Powtarzam panu moje pytanie: jeśli uważa mnie pan za winnego, to dlaczego nie wsadzi mnie pan do więzienia?

– Dobre pytanie! Odpowiem panu na to szczegółowo: po pierwsze, aresztowanie pana tak z miejsca byłoby dla mnie niekorzystne.

– Jak to niekorzystne? Skoro jest pan zupełnie przekonany, to pańskim obowiązkiem...

– Ba, cóż z tego, że jestem przekonany? Na razie to tylko moje marzenia. Zresztą mam pana wsadzić po to, żeby miał pan spokój? Pan o tym dobrze wie, skoro pan się sam naprasza. Skonfrontuję pana, na przykład, z tym mieszczuchem, a pan mu powie: „Cóż to, pijany jesteś? Kto mnie z tobą widział? Wziąłem cię po prostu za pijaka i byłeś pijany”, no i co ja wtedy panu odpowiem, tym bardziej że pańskie twierdzenie jest prawdopodobniejsze niż jego. Bo w jego zeznaniu tkwi sama psychologia, która do takiej mordy nawet nie pasuje, a pan trafia w sedno, bo drań chła wódkę, aż za dobrze o tym wiadomo. Przyznałem przecież panu szczerze kilka razy, że cała ta psychologia ma dwa końce i że ten drugi koniec, pański, jest większy i o wiele prawdopodobniejszy. A poza tym nie mam na razie dowodów przeciwko panu. I aczkolwiek zamknę pana mimo wszystko, i widzi pan, nawet sam przyszedłem (choć tak się zwykle nie robi) uprzedzić pana o wszystkim, to jednak mówię panu szczerze (tak również się nie robi), że będzie to niekorzystne dla mnie. Po drugie, przyszedłem dlatego...

– No tak, a po drugie? – Raskolnikow ciągle jeszcze nie mógł złapać tchu.

– Dlatego, że jak już powiedziałem, uważam, iż winienem panu wyjaśnienie. Nie chcę, żeby pan miał mnie za potwora, tym bardziej że czuję do pana szczerą sympatię, może pan w to wierzyć lub nie. Wobec tego, po trzecie, przyszedłem do pana z otwartą, wyraźną propozycją – niech pan się zgłosi i przyzna. To będzie nieskończenie korzystniejsze dla pana, no i dla mnie, bo nareszcie pozbędę się tej sprawy. A więc, czyż nie jest to szczerść z mojej strony?

Raskolnikow zastanawiał się przez chwilę.

– Niech pan posłucha. Sam pan powiada, że to jest tylko psychologia, a wjechał pan na matematykę. A co, jeśli pan się teraz myli?...

– Nie, mój panie, ja się nie mylę. Mam pewien punkt zaczepienia. Znalazłem go już wtedy z boską pomocą!

– Jaki punkt?

– Nie powiem, Rodionie Romanowiczu. W każdym razie teraz nie mam już prawa dłużej zwlekać i zamknę pana. Niech więc pan się zastanowi: teraz jest mi już wszystko jedno, bo szło mi tylko o pana. Słowo honoru, że tak będzie lepiej.

Raskolnikow uśmiechnął się złośliwie.

– Przecież to jest nie tylko śmieszne, ale nawet bezwstydne. Przypuśćmy nawet, że jestem winien (czego wcale nie mówię), z jakiej racji mam się zgłaszać do pana i przyznawać, jeżeli sam pan powiada, że tam u pana będę miał spokój!

– Ach, Rodionie Romanowiczu, nie należy brać wszystkiego dosłownie, może to niezupełnie będzie spokój! Przecież to tylko teoria, w dodatku moja, a czy ja jestem dla pana autorytetem? A może też coś jeszcze ukrywam przed panem nawet teraz? Nie mogę przecież tak wziąć i wyłożyć wszystkiego przed panem, che-che! Rzecz inna, jaką pan odniesie z tego korzyść. Czy pan wie, jakie zmniejszenie kary pociąga za sobą takie przyznanie się? No i ta okoliczność, kiedy pan zgłosi się z przyznaniem. Niech pan tylko pomyśli: ktoś inny wziął już winę na siebie i pogmatwał całą sprawę. A ja przysięgam panu na Boga, że tak „tam” wszystko obrobię i urządzę, że pańskie wyznanie będzie wyglądało na zupełną niespodziankę. Całe to psychologiczne dociekanie zniszczę, wszystkie podejrzenia w stosunku do pana sprowadzę do zera, tak że pańskie przestępstwo będzie wyglądało na coś w rodzaju chwilowego obłądzenia, bo między nami mówiąc, to naprawdę był obłądzenie. Jestem uczciwym człowiekiem i dotrzymuję słowa.

Raskolnikow milczał ponuro, ze zwieszoną głową. Długo się zastanawiał, po czym znowu się uśmiechnął, lecz tym razem łagodnie i smutno:

– Ach, nie trzeba! – powiedział, jakby zupełnie nie usiłując maskować się przed Porfiry. – Nie warto, nie potrzebuję waszego złagodzenia kary!

– No tak, tego właśnie się obawiałem! – jakby mimo woli stwierdził pośpiesznie Porfiry. – Tego właśnie się obawiałem, że pan nie będzie potrzebował naszego złagodzenia kary.

Raskolnikow popatrzył na niego smutno i przenikliwie.

– Niech pan nie gardzi życiem! – ciągnął dalej Porfiry. – Dużo lat będzie pan miał jeszcze przed sobą. Nie potrzebuje pan złagodzenia kary, no to nie! Co za niecierpliwy człowiek z pana!

– Jakich lat będę miał dużo przed sobą?

– No, życia! Cóż to, jest pan prorokiem, dużo pan wie? Szukajcie, a znajdziecie. Może Bóg pana tak doświadcza. Przecież nie na wieki pan pójdzie pod klucz...

– Zwłaszcza przy złagodzeniu kary... – roześmiał się Raskolnikow.

– A co, zląkł się pan burżuazyjnego wstydu? Bardzo być może, że pan się przestraszył, nie wiedząc nawet o tym, bo jest pan młody! A jednak właśnie pan nie powinien się lękać czy też wstydzić przyznania się do winy.

– E-ech, gwizdź na to! – szepnął Raskolnikow pogardliwie i z obrzydzeniem, jakby uważał, że nawet mówić o tym nie warto.

Wstał, jakby chcąc wyjść, ale zaraz usiadł z powrotem. Widoczne było, że miota nim rozpacz.

– No właśnie, gwizdź sobie! Zawiodł się pan na sobie i myśli pan, że panu prymitywnie pochlebiam. Dużo pan przeżył? Dużo pan wie? Wykombinował pan sobie teorię i wstyd panu, że go zawiodła, bo już zbyt banalnie wypadła ta cała historia! Podle wypadła, to prawda, mimo to jednak nie jest pan

beznadziejnym łajdakiem. Wcale nie jest pan takim łajdakiem! Przynajmniej pan sobie długo nie zawracał głowy, od razu doszedł pan do ostatecznego kresu. Za kogo ja pana biorę? Uważam pana za człowieka, który gdy odnajdzie swego Boga lub wiarę, to pozwoli sobie kiszki wypruć, będzie stał i z uśmiechem patrzył na swoich oprawców. Zatem niech pan odnajdzie, a będzie pan żył. Przede wszystkim już dawno potrzebna panu zmiana powietrza. Cóż, cierpienie to także dobra rzecz. Niech pan pocierpi. Może Mikołka ma rację, że chce cierpieć. Wiem, że pan jest niedowiarkiem, ale niech pan nie mędrkuje przewrotnie, niech pan bierze życie po prostu, bez tych dywagacji. Może pan być spokojny – wyrzuci ono pana prosto na brzeg i postawi na nogi. Na jaki brzeg? Skąd mogę wiedzieć? Wierzę tylko, że ma pan dużo życia przed sobą. Wiem, że bierze pan to, co mówię, za z góry przygotowaną orację. Ale to nic, przyjdzie czas, kiedy pan to sobie przypomni, i może się panu przyda, dlatego właśnie to mówię. Dobrze jeszcze, że zabił pan tylko tę starowinę. Bo mógł pan przecież wykombinować sobie jakąś inną teorię i zmajstrować coś po stokroć potworniejszego. A może powinien pan dziękować Bogu. Skąd pan wie? Może Bóg oszczędza pana dla jakiegoś celu. Niech pan będzie wielkoduszny i mniej się lęka. Złakł się pan nadchodzącej godziny odkupienia? Nie, teraz to już wstyd się bać. Tu już wchodzi w grę sprawiedliwość. Niech pan spełni to, czego żąda sprawiedliwość. Wiem, że pan nie wierzy, ale przysięgam panu, że pan wypłynie. I jeszcze będzie panu dobrze. Teraz potrzebne jest panu tylko powietrze, powietrze, powietrze!

Raskolnikow drgnął.

– A kimże pan jest? – krzyknął. – Co z pana za prorok? W imieniu jakiego majestatu wieści mi pan te prorocтва?

– Kim jestem? Człowiekiem skończonym i niczym więcej. Człowiekiem może czującym i współczującym, powiedzmy, też coś niecoś umiejącym, ale zupełnie skończonym. Pan zaś to całkiem inna sprawa: przed panem jest całe życie (choć kto wie, może też będzie się snuło jak dym i spełźnie na niczym). I cóż z tego, że pan przejdzie do innej kategorii ludzi? Przecież pan, z pańskim usposobieniem, nie będzie chyba żałował komfortu? Co z tego, że być może przez długi czas nikt pana nie dostrzeże? Czas nie ma znaczenia, chodzi o pana samego. Niech pan będzie jak słońce, a wszyscy pana zobaczą. Znowu się pan uśmiecha, że niby Schiller ze mnie? Mogę się założyć, że według pana chcę się panu przypochlebić! No i co, może naprawdę się przypochlebiam, che-che-che! Zresztą pańska wola, może mi pan nie wierzyć na słowo i w ogóle nie wierzyć, zgadzam się na to, bo taki już mam zwyczaj. Dodam tylko: ile we mnie nikczemności, a ile uczciwości, sam pan może osądzić!

– Kiedy pan zamierza mnie aresztować?

– No cóż, półtora dnia lub dwa dni mogę jeszcze pozwolić panu pospacerować. Niech pan się zastanowi, mój drogi, niech pan się pomodli. Tak będzie lepiej, słowo honoru, że lepiej.

– A jeżeli ucieknę? – zapytał Raskolnikow z dziwnym uśmiechem.

– Nie, nie ucieknie pan. Chłop by uciekł, uciekłyby nowomodny sekciarz,



lokaj cudzych myśli: wystarczy takiemu pokazać tylko koniec palca, a jak głupi Jaś uwierzy na całe życie, w co pan tylko zechce. Ale pan nie wierzy już w swoją teorię, więc z czym pan będzie uciekał? I co panu przyjdzie z ucieczki? Życie uciekiniera jest ciężkie i wstrętne, a pan przede wszystkim chce żyć, mieć określoną pozycję i odpowiednią atmosferę. Czy ucieczka da to panu? Jeżeli pan ucieknie, to pan sam wróci. Bez nas już się pan nie może obejść. Gdybym zaś pana posadził pod kluczem, posiedzi pan miesiąc, dwa, no, powiedzmy trzy i nagle wspomni pan moje słowa, przyzna się pan, niespodzianie nawet dla siebie samego. Godzinę przedtem nie będzie pan wiedział, że się pan przyzna. Pewny jestem, że pan się zdecyduje „przyjąć cierpienie”. Pan mi teraz nie wierzy, ale sam pan w końcu do tego dojdzie. Bo cierpienie, proszę pana, to wielka rzecz. To nie ma znaczenia, że obrosłem tłuszczem, mimo to wiem, niech się pan nie śmieje, że w cierpieniu jest pewna idea. Mikołka ma rację. Nie, pan nie ucieknie, Rodionie Romanowiczu.

Raskolnikow podniósł się i wziął czapkę. Porfiry Pietrowicz wstał również.

– Wybiera się pan na spacer? Wieczór będzie ładny, żeby tylko burzy nie było. Zresztą odświeżyłoby się powietrze...

Również wziął czapkę.

– Tylko bardzo proszę, niech pan sobie nie wmawia czasem, że ja się dziś panu przyznałem – powiedział Raskolnikow z ponurym uporem. – Pan jest interesującym człowiekiem i słuchałem pana tylko przez ciekawość. Ale do niczego się panu nie przyznałem... Niech pan to sobie zapamięta.

– No, już dobrze, wiem, zapamiętam. Ależ pan drży! Niech pan będzie spokojny, dobrodzieju, będzie, jak pan sobie życzy. Niech pan się trochę przejdzie, ale za dużo nie można spacerować. Na wszelki wypadek mam do pana jeszcze jedną maleńką prośbę – dodał, zniżywszy głos. – Rzecz jest drażliwa, lecz bardzo ważna: w razie czego (w co zresztą nie wierzę i do czego uważam pana za niezdolnego), gdyby jednak przyszła panu ochota w ciągu czterdziestu czy pięćdziesięciu godzin jakoś inaczej zakończyć tę sprawę, w jakiś fantastyczny sposób, na przykład targnąwszy się na życie (co jest przypuszczeniem bezsensownym, więc niech mi pan daruje), to proszę zostawić krótką, ale treściwą notateczkę. Tak ze dwa wiersze, tylko dwa wiersze, i o kamieniu niech pan wspomni, to będzie bardziej godnie. No, do widzenia... Życzę dobrych myśli, godnych czynów.

Porfiry wyszedł, był jakiś zgarbiony i starał się omijać wzrokiem Raskolnikowa. Raskolnikow podszedł do okna i ze wzmożoną niecierpliwością odczekał chwilę, aż według jego wyliczenia Porfiry powinien zejść ze schodów i oddalić się od domu. Po czym sam wyszedł pośpiesznie.

Podążył do Swidrygajłowa. Czego się mógł spodziewać od tego człowieka, sam nie wiedział. Ale człowiek ten miał nad nim jakąś władzę. Skoro raz zdał sobie z tego sprawę, nie mógł się już otrząsnąć, zwłaszcza zaś teraz.

Po drodze męczyło go przede wszystkim pytanie, czy Swidrygajłow był u Porfirego.

Sądził i mógł przysiąc, że nie był! Zastanowił się raz jeszcze, przypomniał sobie szczegóły wizyty Porfirego i doszedł do wniosku, że nie, na pewno nie był.

Ale o ile nie był dotychczas, to pójdzie czy nie?

Na razie, sądził, chyba nie pójdzie. Dlaczego? Nie potrafiłby wytłumaczyć, zresztą nie chciał teraz łamać sobie nad tym głowy. Męczyło go to, ale właściwie nie obchodziło specjalnie. Rzecz dziwna i trudna do uwierzenia: o swoim nieuniknionym, bliskim losie niewiele myślał, i to z roztargnieniem. Męczyło go coś innego, daleko ważniejszego, wyjątkowego, dotyczącego jego samego. Czuł się przy tym nadzwyczaj przemęczony moralnie, niemniej jednak umysł jego pracował tego dnia sprawniej niż kiedykolwiek.

Czy warto było po tym wszystkim, co się stało, zajmować się różnymi drobiazgami? Czy warto, na przykład, zabiegać, aby Swidrygajłow nie chodził do Porfirego, zastanawiać się, badać, tracić czas na jakiegoś tam Swidrygajłowa!

O, jakże mu się to wszystko sprzykrzyło!

A jednak mimo to szedł do Swidrygajłowa. Czyżby oczekiwał od niego czegoś nowego, wskazówki, wyjścia? Tonący brzytwy się chwyta! Czy to przeznaczenie, czy jakiś instynkt pchał ich ku sobie? A może tylko zmęczenie, rozpacz. Być może, że przydałby mu się ktoś inny, a do Swidrygajłowa idzie, bo ten się tak jakoś nawinał. Sonia? Po cóż miałby teraz iść do Soni? Znowu prosić ją o litość? Sonia przerażała go. Była uosobieniem nieubłaganego wyroku, niewzruszonego postanowienia. To znaczy, że trzeba pójść albo jej drogą, albo jego. Nie, teraz zwłaszcza nie był w stanie zobaczyć się z nią. Nie, lepiej zbadać Swidrygajłowa: co się tam kryje? Zdawał sobie sprawę, że ten Swidrygajłow od dawna już był mu bardzo do czegoś potrzebny.

Jednak co oni mogą mieć ze sobą wspólnego? Nawet ich zbrodnie nie mogły być do siebie podobne. Przy tym ten człowiek był niesympatyczny, ewidentnie bardzo zepsuty, na pewno chytry i obłudny, prawdopodobnie bardzo zły. Opowiadają o nim przeróżne rzeczy. Zajął się dziećmi Katarzyny Iwanowny, to prawda, ale kto wie, po co i dlaczego to zrobił. Widocznie ma jakieś zamiary i plany.

Bardzo niepokoiła go i ani na chwilę nie opuszczała jeszcze jedna myśl, którą starał się odpędzić, tak dalece była straszna! Swidrygajłow kręcił się koło niego i kręci się dalej. Swidrygajłow zna jego tajemnicę. Swidrygajłow miał zamiary w stosunku do Duni. A jeżeli jeszcze je ma? Z całą niemal pewnością powiedzieć można, że ma. A jeżeli znając jego tajemnicę i zdobywając przez to władzę nad nim, zechce jej użyć jako broni przeciwko

Duni?

Myśl ta męczyła go nawet we śnie, lecz po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego tak dobitnie właśnie teraz, gdy szedł do Swidrygajłowa. Doprowadzało go to do pasji. Po pierwsze, cała sytuacja się zmieni: trzeba będzie zaraz wtajemniczyć we wszystko Dunię. Może trzeba będzie poświęcić się, aby uchronić Dunię od jakiegoś nierozważnego kroku. List? Dziś rano Dunia dostała jakiś list! Kto w Petersburgu mógł do niej pisać? Może Łużyn? Razumichin pilnuje, to prawda, ale on o niczym nie wie. Może trzeba będzie wtajemniczyć i Razumichina. Raskolnikow pomyślał o tym ze wstrętem.

W każdym razie należy jak najprędzej zobaczyć się ze Swidrygajłowem. Dzięki Bogu, w tym wypadku szczegóły nie będą miały znaczenia, lecz tylko sama istota rzeczy. Ale jeżeli Swidrygajłow intryguje przeciwko Duni, jeżeli jest zdolny do tego, to...

Raskolnikow był tak bardzo zmęczony i wyczerpany przejściami w ostatnim miesiącu, że tego rodzaju zagadnień nie umiał rozwiązywać inaczej, jak tylko decyzją: „Wtedy go zabiję”. Tak też pomyślał i teraz z rozpaczliwą determinacją. Serce mu się ścisnęło. Stał na środku ulicy i zaczął się rozglądać: którądy idzie i dokąd doszedł? Był na Prospekcie Newskim, jakieś trzydzieści, czterdzieści kroków od placu Siennego, przez który przeszedł. Całe pierwsze piętro domu na lewo zajęte było przez traktiernię. Wszystkie okna były otwarte na oścież, traktiernia, sądząc z poruszających się w oknach postaci, była przepelniona. Dochodził śpiew, dźwięki klarnetu, skrzypiec i grzmiał bęben. Słychać było piski kobiet. Raskolnikow chciał już zawrócić, nie rozumiejąc, po co skręcił na Prospekt Newski, gdy nagle w jednym z otwartych okien zobaczył siedzącego przy stole z fajką w zębach Swidrygajłowa. Zdumiało go to i przeraziło. Swidrygajłow obserwował go w milczeniu i co uderzyło Raskolnikowa, chciał prawdopodobnie wstać, żeby odejść, nim będzie zauważony. Raskolnikow natychmiast udał, że go nie widzi i że w zamyśleniu patrzy w inną stronę. Przyglądał mu się jednak ukradkiem. Serce mu biło. Tak jest, Swidrygajłow oczywiście nie chciał być widziany. Wyjął z ust fajkę i już miał się schować, gdy odsuwając krzesło, zauważył zapewne, że Raskolnikow widzi go i obserwuje. Rozegrała się pomiędzy nimi scena podobna do pierwszego ich spotkania u Raskolnikowa, który udawał wtedy, że śpi. Swidrygajłow uśmiecha się szelmowsko, coraz szerzej. Obaj wiedzieli, że się widzą i obserwują wzajemnie. Wreszcie Swidrygajłow roześmiał się głośno.

– No, no! Jak pan chce, to proszę wejść, jestem tutaj! – zawołał przez okno.

Raskolnikow wszedł do traktierni.

Znalazł go w małym pokoiku, o jednym oknie, za wielką salą, w której przy dwudziestu stolikach, wśród przeraźliwego wrzasku śpiewającego chóru, popijali herbatę kupcy, urzędnicy i cała masa typów różnego autoramentu. Z daleka dochodził stuk kul bilardowych. Na stole przed Swidrygajłowem stała butelka szampana i do połowy opróżniona szklanka. Prócz niego w pokoju był jeszcze chłopak z katarynką, akompaniujący osiemnastoletniej, rumianej dziewczynie w kusej, pasiastej spódniczce i tyrolskim kapeluszu

z wstążkami; dziewczyna, nie zważając na chór w przyległej sali, śpiewała ochryłym kontraltem jakąś podwórkową piosenkę.

– No, dość! – przerwał jej Swidrygajłow na widok wchodzącego Raskolnikowa.

Dziewczyna urwała natychmiast i stała w pełnym szacunku oczekiwaniu. Swoją rymowaną bzdurę śpiewała również z miną poważną i pełną szacunku.

– Hej, Filip, szklanek! – zawołał Swidrygajłow.

– Nie będę pił wina – powiedział Raskolnikow.

– Jak pan sobie życzy, ja nie dla pana. Pij, Katia. Dziś już nie będę cię potrzebował.

Nalał jej pełną szklanekę i położył na stole żółty banknot. Katia wypła wino tak, jak piją kobiety, dwudziestoma łykami, nie odejmując szklanki od ust, wzięła rubla, pocałowała w rękę Swidrygajłowa, który potraktował to z całą powagą, i wyszła z pokoju wraz z chłopcem z katarynką. Obydwoje byli sprowadzeni z ulicy. Swidrygajłow przebywał dopiero od niespełna tygodnia w Petersburgu, lecz już był tu na dobre zadomowiony. Kelner Filip był jego dobrym „znajomym” i nadszukiwał mu. Drzwi do sali zamykano, Swidrygajłow był w tym pokoju jak u siebie. Prawdopodobnie całe dni spędzał w tej traktierni, marnej, brudnej i nawet nie trzeciorzędnej.

– Szedłem do pana – zaczął Raskolnikow. – Ale sam nie wiem, dlaczego nagle skręciłem z placu Siennego na Prospekt Newski! Nigdy tu nie bywam. Zwykle skręcam z placu na prawo. Przy tym do pana nie idzie się tędy. Jak tylko skręciłem, zaraz wpadłem na pana! To dziwne!

– Czemu nie powie pan wprost: to cud!

– Bo, być może, że to był przypadek.

– Jacy dziwni są ludzie! – roześmiał się Swidrygajłow. – Nie przyzna się taki, choćby w gruncie rzeczy uwierzył w cud! Sam pan przecież powiedział: „być może” to tylko przypadek. Jak tu się wszyscy strasznie boją mieć swoje własne zdanie, nie może pan sobie wyobrazić, Rodionie Romanowiczu! Nie mówię o panu. Pan ma swoje własne zdanie i nie uląkł się pan go mieć. Dlatego mnie pan zainteresował.

– Tylko dlatego.

– To mi wystarczy.

Swidrygajłow był wyraźnie podochocony, ale tylko odrobinę, wypił zaledwie pół szklanki wina.

– Zdaje mi się, że był pan u mnie, zanim jeszcze pan się dowiedział, że zdolny jestem mieć to, co pan nazywa własnym zdaniem – zauważył Raskolnikow.

– Wtedy to było co innego. Każdy ma swoje powody. *À propos* cudu, pan chyba spał przez te dwa czy trzy ostatnie dni. To ja podałem panu adres tej traktierni i żadnego nie ma w tym cudu, że pan tu przyszedł. Powiedziałem panu, którędy tu się idzie, w którym to jest miejscu i o której godzinie można mnie tu zastać. Pamięta pan?

– Zapomniałem – odpowiedział zdumiony Raskolnikow.

– Wierzę. Powtarzałem panu dwa razy. Adres wbił się panu mechanicznie

w pamięć. Skręcił pan tu odruchowo, ale jednak kierował się pan według adresu, nie wiedząc o tym. Mówiąc wtedy do pana, nie liczyłem, że pan mnie rozumie. Pan się łatwo zdradza, Rodionie Romanowiczu. I jeszcze coś. Przekonałem się, że w Petersburgu wiele osób mówi do siebie głośno na ulicy. To miasto półobłąkanych. Gdyby nauka u nas była dobrze postawiona, to lekarze, prawnicy i filozofowie, każdy w swojej specjalności, mogliby porobić w Petersburgu nader cenne obserwacje. Rzadko które miasto ma tyle ponurych, ostrych i dziwnych wpływów na duszę ludzką, co Petersburg. Już sam klimat ile znaczy! A przecież jest to centrum administracyjne całej Rosji i charakter tego miasta musi wpływać na wszystko. Ale nie o to w danej chwili chodzi. Obserwowałem pana kilkakrotnie. Wychodząc z domu, trzymając pan jeszcze głowę do góry. Po dwudziestu krokach opuszcza ją pan, ręce zakłada w tył. Patrzy pan, ale najwyraźniej nic pan wokoło siebie nie widzi. Potem zaczyna pan poruszać ustami i mówić do siebie, przy czym czasami gestykuje pan jedną ręką. Wreszcie zatrzymuje się pan i stoi na ulicy, nieraz dosyć długo. To bardzo niedobrze. Może prócz mnie ktoś jeszcze obserwuje pana, a to już gorzej dla pana. Mnie tam, w gruncie rzeczy, jest wszystko jedno, ja pana nie wyleczę, ale pan oczywiście rozumie, o co mi chodzi.

– Sądzi pan, że jestem śledzony? – zapytał Raskolnikow, wpatrując się w niego badawczo.

– Nie, o niczym nie wiem – odparł ze zdziwieniem Swidrygajłow.

– Zatem zostawmy moją osobę w spokoju – mruknął Raskolnikow, zasepiwszy się.

– Dobrze. Zostawmy pana w spokoju.

– Niech mi pan lepiej powie, skoro pan tu stale bywa i dwa razy wyznaczył mi tu miejsce spotkania, to dlaczego przed chwilą, gdy zobaczyłem pana w oknie, chciał się pan ukryć? Doskonale to zauważyłem.

– Che! che! A dlaczego pan, leżąc na kanapie, udawał wtedy śpiącego, gdy ja stałem na progu pańskiego pokoju? Doskonale zauważyłem, że pan wcale nie spał.

– Mogłem mieć... powody... pan dobrze wie o tym.

– I ja mogłem mieć powody, chociaż pan nic nie wie o tym.

Raskolnikow oparł się łokciem na stole, palcami prawej ręki podparł podbródek i badawczo wpatrzył się w Swidrygajłowa. Przyglądał się tej twarzy, która zawsze go uderzała. Była to dziwna twarz, jak maska: biała, rumiana, z mocno czerwonymi ustami, jasnobłond brodą i dosyć jeszcze gęstymi, jasnobłond włosami. Oczy miał jakieś zbyt niebieskie, o spojrzeniu ciężkim i nieruchomym. Było coś wyjątkowo niesympatycznego w tej twarzy, ładnej i bardzo młodej, jak na jego lata. Swidrygajłow ubrany był w elegancki, lekki letni garnitur; miał na sobie wytworną koszulę. Na palcu nosił wielki pierścień z kosztownym kamieniem.

– Czy rzeczywiście jeszcze i panem mam sobie zawracać głowę? – odezwał się nagle Raskolnikow, desperacko zmierzając wprost do celu. – Chociaż jest pan zapewne człowiekiem bardzo niebezpiecznym, gdy chce pan szkodzić, to jednak nie mam zamiaru niczego udawać. Zaraz panu dowiodę, że nie trzęsę

się tak nad sobą, jak się panu zdaje. A zatem niech pan wie, że przyszedłem panu powiedzieć, iż jeśli ma pan jeszcze dawne zamiary w stosunku do mojej siostry i zamierza pan wykorzystać w tym celu swoje ostatnie odkrycie, to zabiję pana, zanim pan zdąży wsadzić mnie do więzienia. Pan wie, że na moim słowie można polegać. Po drugie, jeżeli ma pan mi coś do powiedzenia, a tak mi się przynajmniej dotychczas zdawało, to niechże pan mówi zaraz, bo czas jest drogi i wkrótce może już być za późno.

– Dokąd to właściwie panu się tak śpieszy? – zapytał Swidrygajłow, patrząc na niego z zaciekawieniem.

– Każdy ma swój cel – ponuro i ze zniecierpliwieniem odparł Raskolnikow.  
– Odwoływał się pan do mojej szczerości, a sam odmawia pan odpowiedzi już na pierwsze pytanie – zauważył z uśmiechem Swidrygajłow. – Ciągłe się panu zdaje, że mam jakiś cel, i dlatego patrzy pan na mnie podejrzliwie. Cóż, to zupełnie zrozumiałe w pańskiej sytuacji. Jakkolwiek bardzo mi zależy na tym, żeby zbliżyć się do pana, to jednak nie będę się trudził, żeby pana przekonywać, że jest inaczej. Słowo daję, że gra nie warta świeczki, zresztą nie miałem wcale zamiaru mówić z panem o niczym szczególnym.

– Do czego w takim razie byłem panu potrzebny? Przecież to pan zabiegał o mnie?

– Po prostu interesował mnie pan jako ciekawy obiekt do obserwacji. Podobała mi się fantastyczność pańskiej sytuacji. Tak, mój panie! Poza tym jest pan bratem osoby, która bardzo mnie obchodziła, wreszcie od tej właśnie osoby tyle i tak często o panu słyszałem, że doszedłem do wniosku, iż pan ma duży wpływ na nią. Czy to nie wystarcza? Cha-cha-cha! Zresztą przyznaję, że pańskie pytanie nie jest dla mnie łatwe i dlatego trudno mi na nie odpowiedzieć. Teraz, na przykład, przyszedł pan do mnie nie tylko w tamtej sprawie, ale również, żeby się dowiedzieć czegoś nowego? Wszak prawda? Wszak prawda? – nalegał Swidrygajłow z szelmowskim uśmiechem.

– No więc niechże pan sobie wyobrazi, że ja sam, jadąc tutaj, jeszcze w wagonie liczyłem na pana, że pan mi powie coś nowego i że będę mógł uzyskać od pana jakieś wsparcie! Taki to ze mnie bogacz!

– Jakie wsparcie?

– Jakby to panu powiedzieć? Czy ja wiem? Widzi pan, całe dni przesiaduję w takiej knajpie i dobrze mi z tym. Właściwie nie tyle dobrze, ile przecież trzeba coś ze sobą zrobić. Jak choćby taka biedaczka Katia, widział pan?... Żebym przynajmniej był żarłokiem, smakoszem klubowym, ale ja nawet takie rzeczy mogę jeść! – Wskazał palcem na stojący w kącie mały stolik, na którym na blaszanym półmisku widniały resztki bardzo podejrzanego befsztyka z kartoflami. – *À propos*, czy pan jest po obiedzie? Ja przekąsiłem tylko i nie mam chęci na więcej. Wina również nie piję. Żadnego prócz szampana, a nawet tego jedną szklanekę w ciągu całego wieczoru i też mnie głowa boli. Teraz kazałem sobie podać dla nabrania animuszu, bo wybieram się w pewnej sprawie i jak pan widzi, jestem w szczególnym nastroju. Dlatego też początkowo zamierzałem się ukryć, bo obawiałem się, że pan mi przeszkodzi. Zdaje się jednak – spojrzął na zegarek – że mogę poświęcić panu godzinę czasu, jest dopiero wpół do piątej. Ach, wie pan, żebym miał

jakiegokolwiek zajęcie, gdybym był ziemianinem, ojcem, włanem, fotografem, dziennikarzem... N-nic, żadnej specjalności! Czasami to jest bardzo nudne. Naprawdę myślałem, że mi pan powie coś nowego.

– Kim pan właściwie jest i po co pan tu przyjechał?

– Kim jestem? Pan wie: szlachcicem, służyłem dwa lata w kawalerii, potem włączyłem się tu, po Petersburgu, potem ożeniłem się z Marfą Pietrowną i mieszkałem na wsi. Oto cała moja biografia!

– Pan, zdaje się, jest graczem?

– Nie, jakim tam graczem. Jestem szulerem, nie graczem.

– Czy pan był szulerem?

– Tak, byłem szulerem.

– I cóż, obrywał pan?

– Zdarzało się. Bo co?

– Zatem mógł pan wyzywać na pojedynki... I w ogóle jest to pewne urozmaicenie.

– Nie będę oponował, zresztą nie umiem filozofować. Przyznam się panu, że głównie przyjechałem tu właściwie z powodu kobiet.

– Dopiero pan żonę pochował!

– No tak – Swidrygajłow uśmiechnął się z rozbrajającą szczerością. – Więc co z tego? Zdaje się, że ma mi pan za złe, że tak się wyrażam o kobietach?

– Chodzi panu o to, czy mam za złe rozpustę?

– Rozpusta! Zaraz rozpusta! Zresztą mówmy po kolei, najpierw odpowiem panu co do kobiet w ogóle, lubię, wie pan, tak sobie pogawędzić. Niech mi pan powie, dlaczego właściwie nie mam sobie pofolgować? Dlaczego mam unikać kobiet, kiedy jestem ich amatorem? Mam przynajmniej zajęcie.

– Więc przyjechał pan tu wyłącznie na rozpustę?

– No więc co z tego? Powiedzmy, że na rozpustę. Uczepił się pan tej rozpusty. Lubię takie pytania, bezpośrednio, bez obwijania w bawełnę. W rozpuście jest przynajmniej coś stałego, opartego nawet na prawach natury, niepodlegającego fantazjom, coś, co jak rozżarzony węgielek stale tli się we krwi, coś wiecznie podniecającego, czego przez bardzo długi czas, nawet przez lata całe nie można ugasić. Zgodzi się pan, że jest to swego rodzaju zajęcie?

– Też ma się pan z czego cieszyć! To choroba, niebezpieczna choroba.

– Jaki pan jest krańcowy! Zgadza się, że to choroba jak wszystko, co przekracza miarę, a tu zawsze się ją przekracza, ale po pierwsze, z jednym bywa tak, z drugim inaczej, a po wtóre, należy oczywiście we wszystkim zachować miarę. Chociaż to wstrętne wyrachowanie, ale co robić? Gdyby nie to, to przecież trzeba by się chyba zastrzelić. Zgadza się z tym, że porządny człowiek powinien się nudzić, ale jednak...

– A czy pan mógłby się zastrzelić?

– Też coś! – zachnął się Swidrygajłow ze wstrętem. – Niech pan z łaski swojej nie mówi o tym – dodał skwapliwie, bez fanfaronady cechującej wszystkie poprzednie jego wypowiedzi. Zmienił się nawet na twarzy. – Przyznaję, że to moja słaba strona, cóż robić: boję się śmierci i nie lubię, kiedy się o niej mówi. Wie pan, że jestem po trosze mistykiem?



– Ach, prawda! Widmo Marfy Pietrowny! Czy ciągle jeszcze się panu ukazuje?

– Niech pan nawet nie przypomina, w Petersburgu jeszcze się nie ukazywało, niech je diabli wezmą! – krzyknął ze złością. – Nie, mówmy lepiej o... a zresztą... Hm! Mam mało czasu, nie mogę długo zostać z panem, a szkoda! Miałbym o czym pomówić.

– Co, jakaś historia z kobietą?

– Tak z kobietą, niespodziewana przygoda... nie, nie o tym chciałem mówić.

– A ohyda, cała ohyda tego wszystkiego już pana nie razi? Nie ma pan już siły, by się zatrzymać?

– Pan i do siły pretenduje? Che-che-che! Zdumiał mnie pan teraz, Rodionie Romanowiczu, chociaż z góry wiedziałem, że się tym skończy. Pan przecież prawi mi o rozpuszczeniu i estetyce! Pan jest Schillerem, pan jest idealistą! Oczywiście wszystko tak być powinno i należałoby się dziwić, gdyby było inaczej, a jednak w rzeczywistości... Ach, jaka szkoda, że mam tak mało czasu, bo jest pan nadzwyczajnie interesującym osobnikiem! *À propos*, czy pan lubi Schillera? Ja go bardzo lubię.

– A swoją drogą straszny z pana pozer! – powiedział Raskolnikow z niejakim wstrętem.

– Skądże, słowo daję, że nie! – odpowiedział Swidrygajłow, śmiejąc się. – A zresztą nie będę się sprzeczał, niech będzie pozer. Dlaczego właściwie nie mam być pozerem, kiedy to takie niewinne. Siedem lat przesiedziałem u Marfy Pietrowny na wsi i dlatego, natrafiwszy na tak mądrego i ciekawego człowieka jak pan, po prostu cieszę się, że mogę pogawędzić. Wypiłem przy tym pół szklanki wina i trochę uderzyło mi do głowy. Głównie zaś podnieca mnie pewna okoliczność, o której... zamilczę. A pan dokąd? – zapytał nagle zaniepokojony.

Raskolnikow wstał. Zrobiło mu się duszno, przykro i jakoś niezręcznie, że tu przyszedł. Przekonał się, że Swidrygajłow to najmarniejszy i najnikczemniejszy łajdak na świecie.

– Niech pan jeszcze zostanie, niech pan posiedzi – prosił Swidrygajłow. – Niech pan chociaż każe sobie podać herbaty. Niech pan posiedzi, ja przestanę pleść głupstwa, nie będę mówił o sobie, ale opowiem panu coś. Chce pan, to, na przykład, opowiem panu, jak, mówiąc pańskim stylem, „ratowała” mnie pewna kobieta? Będzie to jednocześnie odpowiedź na pierwsze pańskie pytanie, ta kobieta bowiem to siostra pana. Czy mogę opowiedzieć? Wypełnimy sobie czas.

– Niech pan mówi, ale mam nadzieję, że pan...

– O, niech pan będzie spokojny! Awdotia Romanowna nawet w tak złym i pustym człowieku jak ja może wzbudzić jedynie najgłębszy szacunek.

Prawdopodobnie wie pan o tym (zresztą zdaje się, że sam panu o tym mówiłem), że siedziałem tutaj w więzieniu za długi. Szło o bardzo dużą sumę i nie miałem żadnych widoków, że będę ją mógł zapłacić. Nie ma co się rozwodzić nad tym, jak mnie wtedy wykupiła Marfa Pietrowna. Pan wie, do jakiego stopnia ogłupienia może dojść czasami kobieta zakochana? To była kobieta uczciwa, zupełnie niegłupia (choć bez żadnego wykształcenia). Niech pan sobie wyobrazi, że ta zazdrosna i uczciwa kobieta zdecydowała się po wielu strasznych sprzeczkach i wyrzutach poniżyć się do zawarcia ze mną pewnego rodzaju kontraktu, którego przestrzegała przez cały czas naszego małżeństwa. Była bowiem znacznie starsza ode mnie i wiecznie przeżuwała jakieś goździki. Byłem na tyle podły, ale na swój sposób uczciwy, że oznajmiłem otwarcie, iż nie mogę być jej bezwzględnie wierny. Doprowadziło ją to do szału, ale moja brutalna otwartość do pewnego stopnia jej się spodobała: „To znaczy, że nie chce mnie oszukiwać, skoro z góry o tym uprzedza”, a dla zazdrosnej kobiety to jest najważniejsze. Po długich płaczach stanęła między nami następująca umowa: po pierwsze, nigdy jej nie porzucę i zawsze będę jej mężem; po drugie, nie wyjadę nigdzie bez jej pozwolenia; po trzecie, nigdy nie będę miał stałej kochanki; po czwarte, Marfa Pietrowna pozwala mi za to zająć się czasami którąś z dziewcząt ze służby, lecz nie inaczej, jak w poufnym porozumieniu z Marfą Pietrowną; po piąte, Boże zachowaj, żebym się ośmielił zainteresować kobietą z naszej sfery; po szóste, o ile, broń Boże, obudzi się we mnie jakaś wielka, poważna namiętność, to natychmiast mam się jej z tego zwierzyć. O ostatni punkt była przez cały czas zresztą dosyć spokojna. Bo to była mądra kobieta, a więc musiała uważać mnie za rozpustnika i dziwkarza niezdolnego do poważnego uczucia. Ale całe nieszczęście polegało na tym, że kobieta mądra a kobieta zazdrosna to dwie rzeczy różne. Zresztą, żeby móc obiektywnie oceniać pewnych ludzi, należy z góry wyrzec się uprzedzeń i tych nawyków, jakie wyrabiamy sobie w stosunku do naszego codziennego otoczenia. Na pański sąd mam prawo liczyć bardziej niż na czyjkolwiek inny. Być może słyszał pan o Marfie Pietrownie wiele głupstw i śmiesznośc. Rzeczywiście, miała sporo nader śmiesznych przyzwyczajęń. Ale powiem panu otwarcie, że szczerze żałuję, iż wyrządziłem jej tyle przykrości. No, dosyć chyba będzie, jak na zupełnie przyzwoitą *oraison funèbre*<sup>[155]</sup> najczulszego męża dla najczulszej żony. Podczas naszych kłótni najczęściej milczałem i nie denerwowałem się i ta dżentelmeneria prawie nigdy nie chybiała celu. Działo to na nią i podobało się jej, nieraz była nawet dumna ze mnie. Ale mimo to siostry pańskiej nie wytrzymała. I jak to się stało, że zdecydowała się wziąć do domu na guwernantkę taką prześliczną dziewczynę! Tłumaczę to sobie tym, że sama była kobietą namiętną i wrażliwą i po prostu zakochała się, dosłownie zakochała się w pańskiej siostrze. No, ta Awdotia Romanowna! Od pierwszego rzutu oka doskonale zrozumiałem, że tu się nic nie da zrobić i – wie pan? – postanowiłem nawet nie spojrzeć na nią. Ale

sama zrobiła pierwszy krok, czy uwierzy pan w to? Czy pan wierzy, że doszło do tego, że Marfa Pietrowna była na mnie z początku zła, że nic o pańskiej siostrze nie mówiłem i że kwitowałem milczeniem ciągle zachwyty nad nią? Nie rozumiałem, o co jej szło. Oczywiście Marfa Pietrowna opowiedziała Awdotii Romanownie wszystko o mnie, ze szczegółami. Miała nieszczęsny zwyczaj opowiadania o naszych tajemnicach rodzinnych absolutnie wszystkim i ciągle się skarżyła na mnie. Czy mogła ominąć nową, nadzwyczajną przyjaciółkę? Przypuszczam, że w ogóle o niczym innym nie mówiły, tylko o mnie, i bez wątpienia Awdotia Romanowna została wtajemniczona w te wszystkie ponure bajdy, które o mnie krążyły... Założę się, że pan również słyszał już o czymś w tym rodzaju.

– Słyszałem. Łuzyn oskarżył pana o spowodowanie śmierci dziecka. Czy to prawda?

– Niech pan z łaski swojej zostawi w spokoju tego rodzaju świństwa – z obrzydzeniem i niechęcią odparł Swidrygajłow. – Jeżeli pan koniecznie chce wiedzieć coś o tej bzdurze, to kiedyś opowiem panu, a teraz...

– Słyszałem również o jakimś służącym na wsi, że pan także coś tam zawinił.

– Bardzo pana proszę, dosyć! – przerwał Swidrygajłow z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Czy to czasami nie był ten sam służący, który po śmierci przychodził panu nabijać fajkę... jak mi to pan sam opowiadał? – irytował się coraz bardziej Raskolnikow.

Swidrygajłow spojrzał uważnie na Raskolnikowa, któremu się zdawało, że w spojrzeniu tym błysnął drwiący uśmiech, ale Swidrygajłow pohamował się i odpowiedział bardzo układnie.

– Właśnie ten. Widzę, że pana również wszystko to bardzo interesuje i będę uważał za swój obowiązek przy pierwszej sposobności zadowolić pod każdym względem pańską ciekawość. Niech to diabli! Widzę, że rzeczywiście mogłem się komuś wydać postacią romantyczną. Niech więc sam pan osądzi, jak dalece winienem wdzięczność Marfie Pietrownie za to, że naopowiadała o mnie pańskiej siostrze tyle ciekawych i tajemniczych historii. Nie ośmielę się oceniać wrażenia, jakie to wywarło, w każdym razie było dla mnie korzystne. Mimo całego zrozumiałego wstrętu Awdotii Romanowny do mnie i ówczesnego mego ponurego i odpychającego wyglądu zrobiło się jej w końcu żal zmarnowanego człowieka. A gdy młoda dziewczyna żałuje kogoś, jest to dla niej najgroźniejsze. Wtedy na pewno zechce „ratować” i nawrócić, odrodzić i wskazać szlachetniejsze cele, wskrzesić do nowego życia i nowej działalności. Wiadoma rzecz, że wszystko można sobie wymarzyć. Od razu zrozumiałem, że ptak sam wpada w sidła, i z kolei sam się przygotowałem. Pan, zdaje się, marszczy brwi. To bez powodu, pan przecież wie, że się skończyło na niczym. (Do licha, ile ja tego wina piję!). Wie pan, zawsze żałowałem, od pierwszej chwili, że pańska siostra nie urodziła się w drugim lub trzecim wieku naszej ery jako córka jakiegoś książątka, namiestnika lub prokonsula<sup>[156]</sup> w Azji Mniejszej. Niewątpliwie zostałaby męczennicą i na pewno z uśmiechem zniosłaby szarpanie piersi

rozpalonymi obcęgami. Poszłaby dobrowolnie na ofiarę, a w czwartym albo piątym wieku uciekłaby na pustynię egipską i tam żywiła się korzonkami, ekstazami i widzeniami. Marzy tylko o tym, żeby już nareszcie pocierpieć za kogoś, a jak się jej nic takiego nie zdarzy, to gotowa jeszcze rzucić się z okna. Słyszałem coś o niejakim panu Razumichinie. To podobno chłopak rozsądny (jak świadczy samo nazwisko, pewno student), niech więc pilnuje pańskiej siostry. Jednym słowem, zdaje mi się, że się na niej poznałem, co poczytuję sobie za zaszczyt. Ale wtedy, na początku naszej znajomości, pan wie, jak to bywa, byłem lekkomyślniejszy i głupszy, źle patrzyłem, źle widziałem. Niech to diabli, czemu ona jest taka ładna? Ja nie jestem winien! Krótko mówiąc, zaczęło się to u mnie od ataku szalonej namiętności. Awdotia Romanowna jest strasznie, nieprawdopodobnie, niesłychanie cnotliwa.

(Niech pan zauważy, że mówię to panu o siostrze, podaję jako fakt. Cnotliwa jest aż chorobliwie mimo swej otwartej głowy i to jej zaszkodzi). Służyła u nas wtedy pewna dziewczyna, Paraszka, czarnooka, świeżo sprowadzona z innej wsi, przedtem jej nie widywałem. Bardzo była ładna, ale niemożliwie głupia: rozryczała się, narobiła wrzasku na całe podwórko i zrobił się skandal. Pewnego razu, po obiedzie, Awdotia Romanowna umyślnie odszukała mnie, gdy byłem sam w ogrodzie, i zażądała, z błyszczącymi oczami, żebym zostawił w spokoju biedną Paraszkę. To była chyba pierwsza nasza rozmowa w cztery oczy. Ja oczywiście poczytywałem sobie za zaszczyt uczynić zadość jej żądaniu, udałem skruszonego, zmieszanego, jednym słowem, dobrze odegrałem swoją rolę. Zbliżyliśmy się, zaczęły się tajemne rozmowy, nauki moralne, prośby, błagania, nawet łzy – czy pan uwierzy? – nawet łzy! Jaką to siłę ma u niektórych panien namiętność do propagandy! Rozumie się, że zwałem wszystko na swój los, udawałem spragnionego i garnącego się do światła, a wreszcie użyłem najsilniejszego i niezawodnego środka podbijania serc kobiecych, środka, który jeszcze nigdy nikogo nie zawiódł i który działa na wszystkie, bez żadnego wyjątku. To znany środek – pochlebstwo. Nie ma nic trudniejszego na świecie niż szczerłość i nie ma nic łatwiejszego niż pochlebstwo. Jeżeli w szczerości zabrzmi choć odrobina fałszu, to momentalnie zachodzi dysonans, a po nim – skandal. Jeżeli w pochlebstwie nawet wszystko jest fałszem, to jest ono równie miłe i słucha go się z przyjemnością, wprowadzie z dosyć prymitywną przyjemnością, ale z przyjemnością. Nawet w najprymitywniejszym pochlebstwie na pewno przynajmniej połowa wydaje się prawdą. I to bez względu na stopień rozwoju człowieka i sferę. Nawet westalkę można uwieść pochlebstwem, cóż dopiero zwykłego śmiertelnika. Śmiech mnie zawsze ogarnia, ilekroć przypomnę sobie, jak uwiodłem raz pewną damę, bardzo przywiązaną do swego męża, do swoich dzieci i do swoich cnót. Jakie to było zabawne i jak mało było przy tym zachodu! Dama zaś rzeczywiście była cnotliwa, przynajmniej na swój sposób. Cała moja taktyka polegała na tym, że po prostu byłem stale olśniony i korzystałem się przed jej cnotą. Schlebiałem jej wprost haniebnie, doprowadziłem, na przykład, do uścisku ręki czy nawet tylko spojrzenia i natychmiast

zaczynałem robić sobie głośno wyrzuty, że zdobyłem to siłą, że ona się broniła, broniła tak, że na pewno nic bym nie wskórał, gdyby nie moje zepsucie, że ona w swej niewinności nie przewidziała podstępu i uległa niechcący, nie wiedząc o tym, nie zdając sobie sprawy i tak dalej, i tak dalej. W końcu osiągnąłem wszystko, a moja dama była w dalszym ciągu głęboko przekonana, że jest niewinna i cnotliwa, że spełnia wszystkie swoje obowiązki i powinności, a upadła zupełnie niechcący. Jakże była wściekła na mnie, kiedy w końcu oznajmiłem jej, że tak samo szukała upojenia jak ja. Biedna Marfa Pietrowna też była ogromnie wrażliwa na pochlebstwa i gdybym tylko chciał, to na pewno jeszcze za życia przepisałaby na mnie cały majątek. (A jednak piję bardzo dużo wina i gadam). Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, gdy powiem, że podobnie dziać się zaczęło z Awdotią Romanowną. Tylko że byłem głupi, niecierpliwy i zepsułem całą sprawę. Już przedtem Awdotii Romanownie kilkakrotnie nie spodobał się wyraz moich oczu, czy pan da wiarę? Coraz niebaczniej i coraz mocniej zapalał się w nich jakiś ogień, który ją przerażał i który w końcu znienawidził. Nie ma co wdawać się w szczegóły, dość że odsunęła się ode mnie. Tutaj znowu palnąłem głupstwo. Zacząłem w ordynarny sposób znęcać się nad całą tą propagandą i nawracaniem. Paraszka znowu wystąpiła na widownię i nie ona jedna. Jednym słowem, zaczęła się Sodoma. Ach, gdyby pan widział, Rodionie Romanowiczu, choć raz w życiu, jak pańska siostra potrafi błyskać oczami! To nic, że jestem teraz pijany i wypilem całą szklankę wina, mówię prawdę; zapewniam pana, że śniło mi się to spojrzenie. Nie mogłem już znieść szelestu jej sukni. Naprawdę myślałem, że trafi mnie apopleksja, nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogę dojść do takiego zapamiętania. Krótko mówiąc, należało się pogodzić, ale to już było niemożliwe.

I niech pan sobie wyobrazi, co wtedy zrobiłem. Do jakiego stopnia namiętność może człowieka zaślepić! Niech pan nigdy nie zabiera się do niczego w takim stanie! Uważając, że Awdotia Romanowna w gruncie rzeczy jest przecież nędzarką (ach, przepraszam, nie to chciałem... zresztą, czy to nie wszystko jedno, jakim słowem wyrażamy to pojęcie?), żyje z pracy rąk, utrzymuje matkę i pana (ach, do diabła, znowu mi się płacze...), postanowiłem zaproponować jej wszystkie moje pieniądze (mogłem mieć wtedy ze trzydzieści tysięcy), aby uciekła ze mną, choćby tutaj, do Petersburga. Rozumie się samo przez się, że z miejsca zaprzysięgłbym jej wieczną miłość, wierność i tak dalej. Czy da pan wiarę, że byłem tak dalece zakochany, iż gdyby mi wtedy powiedziała: zarżnij czy otruj Marfę Pietrowną i ożeń się ze mną, zaraz byłoby to zrobione! Ale skończyło się wszystko katastrofą, jak panu wiadomo. Może pan sobie wyobrazić, w jaką wściekłość wpadłem, gdy dowiedziałem się, że Marfa Pietrowna wynalazła skądś tego łajdaka Łużyna iomalże nie zmajstrowała małżeństwa, które w gruncie rzeczy byłoby tym samym, co ja proponowałem. Czyż nie? Czyż nie tak? Wszak tak? Zauważyłem, że pan zaczął słuchać bardzo uważnie... interesujący młodzieńcze...

Swidrygajłow w podnieceniu uderzył pięścią w stół. Był czerwony. Raskolnikow widział, że szklanka czy półtorej szklanki szampana, którą

wypił małymi łykami, uderzyła mu do głowy, i postanowił skorzystać z okazji. Swidrygajłow wydawał mu się bardzo podejrzany.

– Po tym wszystkim pewny jestem, że i teraz przyjechał pan tu wyłącznie dla mojej siostry – powiedział otwarcie, bez ogródek, aby go bardziej jeszcze sprowokować.

– E, niech pan da spokój – Swidrygajłow jakby się opamiętał – przecież mówiłem panu... a poza tym pańska siostra mnie nie znosi.

– Tego jestem pewien, ale nie o to teraz chodzi.

– Pan jest pewien, że mnie nie znosi? – Swidrygajłow przymrużył oczy i uśmiechnął się drwiąco. – Ma pan rację, nie lubi mnie. Ale niech pan nigdy nie ręczy w sprawach między małżonkami lub kochankami. Tam zawsze jest jakiś kącik, o którym nie wie nikt prócz tych dwojga. Pan ręczy, że Awdotia Romanowna patrzyła na mnie ze wstrętem?

– Z niektórych pańskich słów i półsłów w toku rozmowy wnioskuję, że pan i teraz nie wyrzekł się widoków i zdecydowanych zamiarów w stosunku do Duni, rozumie się, nikczemnych zamiarów.

– Jak to? Wyrwały mi się jakieś takie słowa? – zląkł się nadzwyczaj naiwnie Swidrygajłow, nie zauważywszy nawet epitetu określającego jego zamiary.

– I teraz się panu wrywają. Dlaczego, na przykład, tak się pan boi? Czego się pan tak przestraszył teraz?

– Ja się przestraszyłem, ja się boję? Pana? To raczej pan powinien się mnie bać, *cher ami*<sup>[157]</sup>. Co za dziki pomysł... A zresztą jestem pijany, widzę to, znowu omal się nie wygadałem. Do diabła z winem! Hej, podać wody!

Złapał butelkę i bez ceremonii wyrzucił ją przez okno. Filip przyniósł wodę.

– To wszystko bzdury – mówił Swidrygajłow, umoczywszy serwetkę i przyłożywszy ją do czoła – jednym słowem zamknę panu usta i wszystkie pańskie podejrzenia zetrę na miazgę. Czy wiadomo panu na przykład, że ja się żenię?

– Już przedtem mówił mi pan o tym.

– Mówiłem? Zapomniałem. Ale wtedy nie mogłem mówić na pewno, bo nawet jeszcze nie widziałem panny. Miałem dopiero zamiar. A teraz mam już narzeczoną, wszystko załatwione i gdyby nie pilne sprawy, których nie mogę odłożyć, bezwarunkowo zabrałbym pana i zaraz zawiózł do niej. Bo chcę się pana poradzić. Ach, do diabła! Mam tylko dziesięć minut czasu. Niech pan spojrzy na zegarek. Zresztą powiem panu, że to bardzo ciekawa sprawa to moje małżeństwo, oczywiście w swoim rodzaju. A pan dokąd? Znowu pan chce odejść?

– Nie, teraz już nie odejdę.

– Wcale pan nie odejdzie? Zobaczymy! Zawiozę tam pana, naprawdę, pokażę panu narzeczoną, ale nie teraz, już czas na pana. Pan na prawo, a ja na lewo. Czy pan zna tę Resslerich? Tę Resslerich, u której teraz mieszkam? Słyszysz pan? No, niech pan tylko pomyśli! To ta sama, o której mówią, że ta dziewczyna, co to w wodzie, zimą... Słyszysz pan? Czy pan słucha? Więc to ona wszystko mi urządziła: smutno ci jest, powiada, rozerwij się. Bo ja jestem człowiekiem ponurym, smutnym. Pan myśli, że ja jestem wesoły? Nie, smutny: krzywdy nikomu nie robię, siedzę w kącie, czasami przez trzy dni



nie odzywam się słowem. A ta szelma Ressler, mówię panu, co ona sobie wykombinowała: znudzę się, rzuć żonę i wyjadę, a żona jej wpadnie w łapy, puści ją w kurs, w naszej sferze albo i wyżej. Więc powiada, jest tu pewien emerytowany urzędnik, sparaliżowany, trzeci rok na fotelu, bez władzy w nogach. Jego żona to damulka roztropna. Syn pracuje gdzieś na prowincji, ale rodzicom nie pomaga. Córka wyszła za mąż i nie bywa u nich. Na karku mają dwóch małych siostrzeńców (własnych dzieci było im za mało) i odebrali teraz z gimnazjum, przed ukończeniem, dziewczynę, swoją najmłodszą córkę. Za miesiąc skończy dopiero szesnaście lat, więc będzie można wydać ją za mąż. I to właśnie za mnie. Pojechaliśmy tam. Tak jakoś u nich jest zabawnie; przedstawiam się: ziemianin, wdowiec, ze znanej rodziny, ustosunkowany, bogaty. Co z tego, że ja mam pięćdziesiątkę, a ona nie ma jeszcze szesnastu? Kto na to zwraca uwagę? A rzecz nęcąca, co? Przecież nęcąca? Cha! cha! Żeby pan widział, jak ja rozmawiałem z tatusiem i mamusią! Zapłacić warto, żeby zobaczyć mnie wtedy. Wchodzi ona, dyga, no niech pan sobie wyobrazi, jeszcze w krótkiej sukience, pączek nierozwinięty, czerwieni się i płonie jak zorza (powiedziano jej, rozumie się). Nie wiem, jaki pan ma gust co do kobiecych twarzy, ale według mnie takie szesnaście lat, takie jeszcze dziecinne oczy, taka nieśmiałość i łyzy wstydu w oczach to lepsze od urody, a ta jest przy tym śliczna jak obrazek. Jasne włoski w drobnych loczkach, kędzierzawe, usteczka pulchniutkie, pąsowe, nóżki cudo!... Poznaliśmy się, powiedziałem, że spieszę się, bo muszę pozałatwiać pilne sprawy rodzinne, więc na drugi dzień, to jest onegdaj, były zaręczyny. Teraz, jak tam przychodzę, to zaraz ją na kolana i już nie puszczam... No, płonie jak zorza, a ja całuję co chwila. Mamusia, a jakże, perswaduje jej, że to twój mąż i że tak być powinno, jednym słowem, sama rozkosz! Takie narzeczeństwo to chyba naprawdę jest przyjemniejsze od małżeństwa. W tym jest to, co się nazywa *la nature et la vérité*<sup>[158]</sup>. Cha! Cha! Dwa razy z nią rozmawiałem – wcale niegłupia dziewczyna, czasami spojrzę na mnie ukradkiem, aż mnie ciarki przejdą. A wie pan, twarzyczka Madonny Rafaela. Bo przecież Madonna Sykstyńska ma cierpiącą twarz opętanej, nie zauważył pan tego? No, więc coś w tym rodzaju. Na drugi dzień po zaręczynach przyniosłem prezentów za jakieś tysiąc rubli: garnitur brylantowy, drugi z pereł, srebrną szkatułkę z przyborami toaletowymi, o, takiej wielkości, że aż jej, Madonny, twarzyczka stanęła w pąsach. Wziąłem ją wczoraj na kolana, widocznie jednak zbyt bezceremonialnie, bo łyzy stanęły jej w oczach, ale stara się je ukryć, cała płonie. Na chwilę wyszli wszyscy z pokoju, zostaliśmy sami, a ona nagle rzuca mi się na szyję (pierwszy raz z własnej inicjatywy), obejmuje mnie obydwoma rączkami, całuje i przysięga, że będzie mi posłuszną, dobrą i wierną żoną, że mnie uszczęśliwi, że poświęci mi całe życie, każdą chwilę swego życia, wszystko, wszystko, wszystko, a w zamian pragnie, abym ją tylko szanował, i powiada, więcej „nie potrzebuje nic, nic, nic, żadnych prezentów!”. Musi pan się zgodzić, że wysłuchać sam na sam podobnego wyznania takiego szesnastoletniego aniołeczka z dziewiczym rumieńcem na twarzy, łezką entuzjazmu w oczach, musi pan przyznać, że to jest chyba dosyć



przyjemnie! Prawda, że przyjemnie? Przecież to jest coś warte? Jest coś warte, co? No... no niechże pan słucha... pojedzie pan ze mną do mojej narzeczonej... tylko nie teraz!

– Jednym słowem, podnieca pana ta potworna różnica wieku i poziomu. Czy rzeczywiście zamierza się pan ożenić?

– A co? Oczywiście. Każdy myśli o sobie, a najweselej jest temu, kto potrafi lepiej od innych samego siebie nabrać. Cha! cha! Co pan tak zabrnął po uszy w cnotę? Proszę mnie nie potępiać, dobrodzieju, ja jestem człowiek grzeszny. Che! che! che!

– A jednak zajął się pan dziećmi Katarzyny Iwanowny. Zresztą... zresztą, miał pan w tym swoje wyrachowanie. Teraz wszystko zrozumiałem.

– W ogóle lubię dzieci, bardzo lubię – roześmiał się Swidrygajłow. – Na ten temat mogę panu opowiedzieć nadzwyczaj ciekawą historię, która dotychczas jeszcze się ciągnie. Pierwszego dnia po przyjeździe obszedłem różne tutejsze spelunki, po siedmiu latach nieobecności po prostu rzuciłem się na to. Zauważył pan zapewne, że nie szukam spotkania ze swoją dawną kompanią, dawnymi przyjaciółmi i kompanami. I jak najdłużej będę się starał trzymać od nich z dala. Wie pan, na wsi dręczyły mnie śmiertelnie wspomnienia o tych wszystkich tajemniczych miejscach i dziurach, w których ten, kto się na tym zna, dużo może znaleźć. Niech to diabli porwą! Lud się rozpija, wykształcona młodzież z beczynności marnuje się w nierealnych snach i mrzonkach, wyrodnije w teoriach; nazjeżdżało się skądś Żydów, zbijają pieniądze, wszyscy pozostali zaś oddają się rozpuście. Od razu powiało na mnie od tego miasta znajomym zapachem. Trafiłem na jakiś tak zwany tańczący wieczorek – spelunka straszna (a ja właśnie lubię brudne spelunki), naturalnie kankan odchodzi niebywały. Za moich czasów takich nie widziałem, to jest postęp. Patrząc, dziewczynka trzynastoletnia, ładniutko ubrana, tańczy z jakimś wirtuozem, a drugi przed nią, *vis-à-vis*<sup>[159]</sup>. Pod ścianą siedzi jej matka. No, może pan sobie wyobrazić, co to był za kankan! Dziewczynka się wstydzi, czerwieni, wreszcie się obraża i zaczyna płakać. Wirtuoz obejmuje ją, kręci nią, wyczynia przed nią różne wywijasy, a wszyscy wokoło śmieją się i krzyczą: „Słusznie, racja! Niech nie przyprowadzają tu dzieci!”. Lubię w takich chwilach tę naszą publiczność, nawet kankanową. Gwiżdżę na to, czy to jest słuszne, czy nie. Wiedziałem, co mam zrobić. Przysiadłem się do matki, zaczynam od tego, że jestem przyjezdny, że to są gbury nieumiejące poznać się na prawdziwych cnotach i oddać należny szacunek. Dałem do zrozumienia, że mam dużo pieniędzy, i zaproponowałem, że odwiozę je swoją kareta. Odstawiłem je do domu, zapoznałem się z nimi (podnajmują jakąś klitkę, tylko co przyjechały). Oświadczyły mi, że znajomość ze mną może być dla nich tylko zaszczytem. Dowiedziałem się, że nic absolutnie nie posiadają, że przyjechały starać się o coś w jakimś tam urzędzie. Ofiarowałem swoje usługi, pieniądze. Powiedziały mi, że przez omyłkę trafiły na ów wieczór, bo myślały, że to naprawdę jest nauka tańca. Proponuję ze swej strony pomóc młodej panie w kształceniu się w tańcach i języku francuskim, co zostaje przyjęte z zachwytem, jako zaszczyt. Znajomość ta trwa do tej chwili... Chce pan,

pójdziemy tam razem, tylko nie teraz.

– Niech pan przestanie, niech pan mi nie opowiada tych swoich podłych, nikczemnych historyjek, rozpustny, marny, lubieżny człowieku!

– Schiller, nasz Schiller, istny Schiller! *Où va-t-elle la vertu se nicher*<sup>[160]</sup>? A ja właśnie będę panu umyślnie takie historyjki opowiadał, żeby się napawać pańskimi okrzykami zgorszenia. Co za rozkosz!

– A jakże! Przecież ja tu robię z siebie durnia – warknął ze złością Raskolnikow.

Swidrygajłow pękał ze śmiechu. Zawołał wreszcie Filipa, zapłacił i zaczął zbierać się do odejścia.

– No tak, spałem się, *assez causé!* – powiedział. – Rozkosz!

– No pewnie, że to rozkosz dla pana! – zawołał Raskolnikow, wstając również. – To rozkosz dla takiego zszarganego rozpustnika opowiadać o tego rodzaju przygodach, zwłaszcza gdy planuje się jakąś nową potworność w tymże rodzaju, i to opowiadać takiemu człowiekowi, jak ja w takich okolicznościach... To podnieca.

– No, skoro tak – odpowiedział Swidrygajłow, ze zdziwieniem przyglądając się Raskolnikowi – skoro tak, to z pana też porządny cynik. W każdym bądź razie ma pan w sobie solidne zadatki. Pan dużo wie, dużo umie... ale zrobić też pan wiele potrafi. Dość jednak. Szczerze żałuję, że tak krótko mogłem z panem porozmawiać, ale nie ucieknie mi pan... Niech no pan tylko poczeka...

Wyszli z traktierni. Swidrygajłow był jednak nie bardzo podchmielony. Wino tylko na chwilę uderzyło mu do głowy, a teraz trzeźwiał prędko. Był zamyślony i bardzo czymś zafrasowany. Szykował się widocznie do czegoś, co go podniecało i niepokoiło. W stosunku do Raskolnikowa zmienił ton, był coraz bardziej opryskliwy i drwiący. Raskolnikow zauważył to i poczuł niepokój. Swidrygajłow wydał mu się bardzo podejrzany. Postanowił go śledzić. Wyszli na ulicę.

– Pan na prawo, a ja na lewo lub odwrotnie – powiedział Swidrygajłow – tak czy inaczej *adieu, mon plaisir*<sup>[161]</sup>, do miłego zobaczenia!

Skręcił na prawo, w stronę placu Siennego.

Raskolnikow ruszył za nim.

– A co to znowu! – krzyknął Swidrygajłow, odwracając się. – Zdaje się, że powiedziałem...

– To znaczy, że ja pana teraz nie opuszczę.

– Co-o-o?

Obaj zatrzymali się i patrzyli na siebie, mierząc się wzrokiem.

– Z całej tej pańskiej półpijanej gadaniny – zaczął ostro Raskolnikow – wywnioskowałem niezbitie, że pan nie tylko nie poniechał swoich zamiarów w stosunku do mojej siostry, ale że pan jest nimi bardziej niż kiedykolwiek zajęty. Wiem, że siostra odebrała dziś rano jakiś list. Pan przez cały czas jakoś nie mógł usiedzieć na miejscu... Przypuśćmy nawet, że po drodze znalazł pan sobie jakąś żonę, ale to jest rzecz bez znaczenia. Chcę się przekonać osobiście...

Raskolnikow chyba sam nie bardzo wiedział, o co mu idzie i o czym chce się przekonać osobiście.

– Ach, tak! Chce pan, żebym wezwał policję?

– Niech pan wzywa!

Stali przez chwilę na wprost siebie. Wreszcie Swidrygajłow, przekonawszy się, że Raskolnikow nie zląkł się groźby, zmienił ton i zawołał wesoło, po przyjacielsku:

– Dobry pan jest! Umyślnie nie mówiłem z panem o pańskiej sprawie, choć oczywiście dręczy mnie ciekawość. To fantastyczna historia! Odłożyłem to sobie na drugi raz, ale zaiste pan potrafi zmarłego zniecierpliwic... Więc chodźmy, ale uprzedzam z góry: teraz wpadnę na chwilkę do domu po pieniądze, potem zamykam mieszkanie, biorę dorożkę i na cały wieczór jadę na Wyspy. Chce pan udać się tam ze mną?

– Wstąpię tymczasem do Sofii Siemionowny przeprosić ją, że nie byłem na pogrzebie.

– Jak pan chce, lecz Sofii Siemionowny nie ma w domu. Poszła ze wszystkimi dziećmi do pewnej ważnej damy, mojej dawnej znajomej, staruszki, opiekunki jakichś zakładów dla sierot. Oczarowałem tę damę, wpłacając pieniądze za trzy sierotki po Katarzynie Iwanownie, dając prócz tego ofiarę na zakład, wreszcie opowiadając jej ze wszystkimi szczegółami historię Sofii Siemionowny. Efekt był niesłychany. I dlatego Sofię Siemionownę wezwano dzisiaj do hotelu, gdzie owa dama tymczasowo rezyduje, po powrocie z letniska.

– Nie szkodzi, mimo to wstąpię.

– Jak pan sobie życzy, lecz ja z panem nie pójdę, bo i po co! Prawie dochodzimy. Niech mi pan powie, jestem pewny, że pan patrzy na mnie tak podejrzliwie dlatego, że byłem na tyle delikatny i dotychczas nie niepokoilem pana pytaniami... pan rozumie? Wydaje się to panu czymś niezwykłym; założę się, że mam rację! No i bądź tu delikatny.

– I podsłuchuj pod drzwiami!

– A, o to panu chodzi! – roześmiał się Swidrygajłow. – Dziwiłbym się, gdyby

po tym wszystkim nie poruszył pan i tego tematu. Cha! cha! Jakkolwiek coś niecoś rozumiałem z tego, co pan tam... wtedy... nabroił i sam opowiadał Sofii Siemionownie, ale jednak nie całkiem. Może jestem zupełnie zacofany i nic już zrozumieć nie mogę. Niech mi pan, mój drogi, wytłumaczy! Niech pan mnie oświeci co do najnowszych zasad.

– Nic pan nie mógł słyszeć, kłamie pan!

– Ależ ja nie o tym mówię, nie o tym (choć zresztą coś niecoś jednak słyszałem). Mam na myśli te ciągłe pańskie ochy i achy! To Schiller oburza się w panu co chwila. Teraz znowu: nie podsłuchuj pod drzwiami. Jeżeli tak, to niech pan idzie i zawiadomi władze, że oto właśnie przytrafił mi się taki a taki *casus*<sup>[162]</sup>: w teorii znalazła się malutka omyłka. Jeżeli zaś jest pan pewien, że pod drzwiami nie wolno podsłuchiwać, można natomiast walić, czym się tylko da, stare baby dla swojej przyjemności, to niech pan wyjedzie jak najprędzej do Ameryki! Niech pan ucieka, młody człowieku! Może jest jeszcze czas. Szczerze panu mówię. Nie ma pan pieniędzy? Dam panu na drogę.

– Zupełnie o tym nie myślę – przerwał mu Raskolnikow ze wstrętem.

– Rozumiem (niech pan się zresztą nie trudzi, jeśli pan nie chce, może pan mi nie mówić wiele), wiem, jakie problemy pana trapią: moralne, co? Problemy obywatela i człowieka? A niech pan da sobie z nimi spokój, po co to panu teraz? Che! che! Ciągłe się pan jeszcze czuje obywatelem i człowiekiem? Jeśli tak, to po co było się pchać, nie trzeba było brać się do nie swoich spraw. Niech pan się zastrzeli; co, nie ma pan ochoty?

– Pan, zdaje się, celowo usiłuje mnie zirytować, żebym tylko zostawił pana teraz samego...

– Dziwak z pana! No, jesteśmy już na miejscu, oto schody. Widzi pan, to jest wejście do mieszkania Sofii Siemionowny, sam pan zobaczy, że nie ma nikogo. Nie wierzy pan? Kapernaumow panu powie, ona tam zostawia klucz. A oto i sama madame de Kapernaumow, co? Co? (ona jest trochę głucha). Wyszła? Dokąd? Słyszał więc pan? Nie ma jej i nie będzie, może dopiero późno wieczorem. Chodźmy teraz do mnie. Przecież chciał pan iść do mnie? Zatem jesteśmy u mnie. Madame Ressler nie ma w domu. Ta kobieta ma wiecznie jakieś kłopoty, ale to dobra kobieta, zapewniam pana... Na pewno by się panu przydała, gdyby pan zechciał być trochę rozsądniejszy. Widzi pan: biorę z biurka tę oto pięcioprocentową obligację (mam ich jeszcze sporo!), pójdzie dziś na wymianę. Przekonał się pan? Nie ma co tracić więcej czasu. Zamyka się biurko, zamyka się mieszkanie i znowu jesteśmy na schodach. Chce pan, weźmiemy dorożkę? Jadę przecież na Wyspy. Może się pan przejedzie? Mamy dorożkę, ruszamy na Wyspę Jełagina, co? Pan odmawia? Nie wytrzymał pan? Nic nie szkodzi, przejedźmy się. Deszcz, zdaje się, będzie padał, nie szkodzi, postawi się budę...

Swidrygajłow siedział już w dorożce. Raskolnikow uznał, że przynajmniej w danym momencie nie ma powodów do niepokoju. Bez słowa odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę placu Siennego. Gdyby się choć raz obejrzał, to zdążyłby zauważyć, że Swidrygajłow po przejechaniu niespełna stu kroków zapłacił dorożkarzowi i znalazł się na chodniku. Lecz Raskolnikow nie widział

tęgo, bo skręcił już za róg. Czuł głęboki wstręt do Swidrygajłowa. „Że też mogłem choć przez chwilę czegoś spodziewać się po tym ordynarnym łotrze, lubieżnym rozpustniku i łajdaku!” – krzyknął mimo woli.

Opinię swą Raskolnikow wypowiedział zbyt pośpiesznie i lekkomyślnie. W całym zachowaniu się Swidrygajłowa było bowiem coś, co nadawało mu co najmniej pewną oryginalność, jeżeli nie tajemniczość. Co zaś się tyczyło jego siostry, to Raskolnikow był zupełnie pewny, że Swidrygajłow nie zostawi jej w spokoju. Ale nie miał już siły ani ochoty, żeby o tym wszystkim myśleć i zastanawiać się.

Zostawszy sam, uszedł ze dwadzieścia kroków i jak zwykle pograżył się w głębokiej zadumie. Wszedł na most, oparł się o poręcz i patrzył na wodę. A tymczasem stanęła za nim Awdotia Romanowna.

Minął ją, wchodząc na most, i nie zauważył. Dunia, która jeszcze nie widziała tak wyglądającego brata na ulicy, była wprost przerażona. Zatrzymała się, nie wiedząc, czy go zawołać, czy nie. Nagle zauważyła szybko nadchodzącego od strony placu Siennego Swidrygajłowa.

Wydawało się, że Swidrygajłow idzie, kryjąc się dyskretnie. Przed samym mostem zatrzymał się i stanął na uboczu, starając się, by Raskolnikow go nie zobaczył. Dunie zauważył od razu i zaczął dawać jej znaki. Wydało jej się, że prosił ją tymi znakami, aby nie wołała brata i nie zbliżała się do niego, przywoływał ją natomiast ku sobie.

Dunia tak właśnie zrobiła. Ostrożnie minęła brata i podeszła do Swidrygajłowa.

– Chodźmy prędzej – szepnął jej. – Nie chcę, żeby Rodion Romanowicz wiedział o naszym spotkaniu. Uprzedzam panią, że siedziałem z nim w traktierni, niedaleko stąd. Sam mnie tam odszukał i ledwo się go pozbyłem. Nie wiem skąd wie o moim liście do pani, i coś podejrzewa. Pani chyba mu o tym nie powiedziała? Więc kto?

– Jesteśmy już za rogiem – przerwała mu Dunia – brat nie może nas zobaczyć. Oświadczam, że dalej z panem nie pójdę. Może mi pan wszystko powiedzieć tutaj, na ulicy.

– Po pierwsze, tego na ulicy w żaden sposób powiedzieć nie można; po drugie, powinna pani wysłuchać również Sofii Siemionowny; po trzecie, pokażę pani pewne dokumenty... Wreszcie, jeżeli pani nie zgodzi się pójść do mnie, to ja odmawiam wszelkich wyjaśnień i natychmiast odchodzę. Przy tym niech pani nie zapomina, że bardzo interesująca tajemnica pani ukochanego braciszka znajduje się całkowicie w moim ręku.

Dunia stała niezdecydowana i przenikliwym wzrokiem wpatrywała się w Swidrygajłowa.

– Czego się pani boi? – zapytał spokojnie. – Miasto to nie wieś. Zresztą na wsi pani też wyrządziła mi większą krzywdę niż ja pani, a tutaj...

– Czy Sofia Siemionowna jest uprzedzona?

– Nie, nic jej nie mówiłem i nawet nie jestem pewien, czy jest teraz w domu. Zresztą chyba jest. Chowala dzisiaj swoją krewną, więc chyba nie poszła z wizytami. Do czasu nie chcę nikomu o tym mówić i robię sobie nawet wyrzuty, że powiedziałem pani. Najmniejsza nieostrożność równa się

tu doniesieniu. Mieszkam tutaj, w tym domu, do którego się zbliżamy. To jest stróż tego domu, zna mnie bardzo dobrze, o, kłania się. Widzi, że idę z damą, i na pewno zdążył zauważyć, jak pani wygląda, a to może się pani przydać, jeżeli się pani bardzo boi i ma w stosunku do mnie podejrzenia. Przepraszam, że wyrażam się trochę ostro. Odnajmuję tu mieszkanie, Sofia Siemionowna, moja sąsiadka przez ścianę, również. Całe to piętro jest zajęte przez lokatorów. Czego się pani lęka jak dziecko? Czy naprawdę jestem taki straszny?

Swidrygajłow uśmiechnął się pobłaźliwie, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Serce mu biło i oddech zamierał w piersi. Umyślnie mówił głośnie, by ukryć swe wzrastające zdenerwowanie, którego zresztą Dunia wcale nie zauważyła, oburzona jego uwagą, że się go boi jak dziecko.

– Chociaż wiem, że pan jest człowiekiem... bez czci i wiary, ale nie boję się pana zupełnie. Niech pan idzie przodem – powiedziała spokojnie, choć twarz jej była bardzo blada.

Swidrygajłow zatrzymał się przed drzwiami do mieszkania Soni.

– Pozwoli pani, że zobaczę, czy jest w domu. Nie ma. Szkoda! Ale wiem, że powinna niedługo wrócić. Mogła wyjść tylko do pewnej damy w sprawie swoich sierot. Matka ich zmarła... I w to się wplątałem, zająłem się nimi. Gdyby Sofia Siemionowna nie wróciła w ciągu dziesięciu minut, to przyślę ją dziś jeszcze do pani, jeśli pani sobie życzy. Oto moje mieszkanie, te dwa pokoje. Za tymi drzwiami mieszka moja gospodyni, pani Ressler. Teraz niech pani wejdzie tutaj, pokażę pani moje najważniejsze dokumenty: z mojej sypialni te oto drzwi prowadzą do dwóch pustych pokoi, które są do wynajęcia. Oto one... powinna się pani uważnie przyjrzeć...

Swidrygajłow zajmował dwa dosyć obszerne umeblowane pokoje. Dunia rozglądała się nieufnie, ale nie zauważyła nic szczególnego ani w urządzeniu, ani w rozkładzie pokoi. A jednak można było na coś niecoś zwrócić uwagę, choćby na przykład, na to, że pokoje Swidrygajłowa mieściły się pomiędzy dwoma niezajętymi mieszkaniami. Wejście było nie wprost z korytarza, lecz przez dwa niemal puste pokoje gospodyni. W sypialni zaś Swidrygajłow, otworzywszy drzwi z klucza, pokazał Duni również puste pokoje do wynajęcia. Dunia stała na progu, nie rozumiejąc, w jakim celu pokazuje jej to wszystko, ale Swidrygajłow pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Niech pani spojrzy na ten drugi, duży pokój. Widzi pani te drzwi zamknięte na klucz? Przy drzwiach stoi krzesło, jedno jedyne krzesło w obu pokojach. Przyniosłem je od siebie, żeby było wygodniej słuchać. Zaraz za tymi drzwiami stoi stół Sofii Siemionowny, przy którym ona rozmawiała z Rodionem Romanowiczem. A ja, siedząc na krześle, podsłuchiwałem przez dwa kolejne wieczory, za każdym razem po jakieś dwie godziny. Mogłem się chyba czegoś dowiedzieć, jak pani sądzi?

– Pan podsłuchiwał?

– Tak, podsłuchiwałem. Teraz wróćmy do mnie, bo tutaj nie ma nawet na czym usiąść.

Zaprowadził Awdotię Romanownę do swego pierwszego pokoju, służącego za salon. Poprosił ją, żeby usiadła, sam usiadł przy drugim końcu stołu,



przynajmniej na sążeń od niej. Prawdopodobnie w oczach miał już ten płomień, który w swoim czasie tak przerażał Dunię, drgnęła bowiem i raz jeszcze rozejrzała się niespokojnie. Był to gest mimowolny, nie chciała bowiem zdradzać swego niepokoju. Jednak izolowane położenie mieszkania Swidrygajłowa uderzyło ją wreszcie. Miała ochotę zapytać, czy przynajmniej gospodyni jest w domu, lecz duma nie pozwoliła jej na to. Zresztą coś innego niepokoiło ją bardziej niż lęk o siebie. Cierpiała bardzo.

– Oto pański list – zaczęła, kładąc list na stole. – Czy to prawda, co pan napisał? Pan napomyka o przestępstwie dokonanym jakoby przez mego brata. Zbyt wyraźnie pan napomyka, aby pan ośmielił się teraz zaprzeczać. Zatem niech pan wie, że już przedtem słyszałam tę głupią bajdę i nie uwierzyłam w nią ani przez chwilę. To podłe i śmieszne podejrzenie. Wiem, dlaczego i skąd to się wzięło. Nie może pan mieć żadnych dowodów. Obiecał pan dowieść: proszę bardzo! Ale z góry uprzedzam, że nie wierzę panu! Nie wierzę!...

Dunia powiedziała to jednym tchem i na chwilę krew uderzyła jej do twarzy.

– Gdyby mi pani nie wierzyła, to chyba nie zaryzykowałaby pani przyjścia tu do mnie sama? Po co pani przyszła? Tylko przez ciekawość?

– Niech pan mnie nie dręczy, niech pan mówi, niechże pan mówi!

– Nie da się zaprzeczyć, że odważna z pani dziewczyna. Słowo honoru, myślałem, że weźmie pani ze sobą pana Razumichina. Ale nie było go ani z panią, ani w pobliżu, rozglądałem się: to się nazywa odwaga, chciała więc pani oszczędzić Rodiona Romanowicza. Zresztą wszystko w pani jest boskie... Co zaś do pani brata, to cóż mam pani powiedzieć? Widziała go pani sama przed chwilą. No i jak wygląda?

– Chyba nie opiera się pan tylko na jego wyglądzie?

– Nie, nie na wyglądzie, lecz na jego własnych słowach. Przez dwa wieczory z rzędu przychodził do Sofii Siemionowny. Pokazywałem pani, gdzie siedzieli. Wyznał jej wszystko. Jest mordercą. Zabił tę starą, wdowę po urzędniku, lichwiarkę, u której sam również pożyczął pod zastaw. Zabił także jej siostrę, handlarzkę Lizawietę, która weszła przypadkiem, gdy zabijał tamtą. Zabił je przyniesioną przez siebie siekierą. Zabił dla rabunku i obrabował je. Wziął pieniądze i jeszcze jakieś rzeczy... Słowo w słowo opowiadał to Sofii Siemionownie, ona jedna zna tajemnicę, ale nie brała udziału w zabójstwie, przedtem nie wiedziała o niczym i przerażała się, gdy o tym usłyszała, tak jak pani teraz. Może być pani spokojna, że ona go nie zdradzi.

– To niemożliwe! – bełkotała Dunia zbielełymi ustami. Dławiło ją w gardle.

– Nie może być, nie ma żadnego, najmniejszego powodu, żadnej racji. To kłamstwo, kłamstwo!

– Rabunek, to właśnie jest powód. Zabrał pieniądze i rzeczy. Nie skorzystał, co prawda, jak mówił, ani z rzeczy, ani z pieniędzy, lecz ukrył je gdzieś pod kamieniem i leżą tam dotychczas. Ale to dlatego, że bał się z nich skorzystać.

– To nieprawdopodobne, żeby on mógł okraść, obrabować! Żeby mógł choćby pomyśleć o tym! – zawołała Dunia, zrywając się z krzesła. – Przecież



pan go zna, widział go pan? Czyż on może być złodziejem?

Zapomniała o swoim strachu i wprost jakby błagała Swidrygajłowa.

– Awdotio Romanowno, tu są tysiące, miliony kombinacji i wariantów. Złodziej kradnie, ale wie, że jest łotrem; tymczasem sam słyszałem o pewnym porządnym człowieku, który obrabował pocztę. Kto wie, może on naprawdę myślał, że dobrze robi! Oczywiście gdybym to słyszał od kogoś innego, to może bym nie uwierzył, tak jak pani. Ale wierzę własnym uszom. On tłumaczył Sofii Siemionownie również powody swego czynu i ona z początku długo nie chciała wierzyć własnym uszom. A przecież on sam jej to mówił.

– Jakież... to były powody?

– To długa historia, proszę pani. To jest, jakby tu pani powiedzieć, swojego rodzaju teoria, coś w tym rodzaju, że ja, na przykład, uważam, iż jednostka może popełnić zbrodnię, o ile prowadzi ona do godnego celu. Jedna zbrodnia i sto dobrych uczynków! Niby to prawda, że młodego człowieka, bardzo zdolnego i nad miarę ambitnego, może boleć i drażnić świadomość, że jakieś trzy tysiące stanowią o całej jego karierze i przyszłości, a brak mu właśnie tych trzech tysięcy. Niech pani doda do tego zdenerwowanie wskutek głodu, z powodu złego mieszkania, dotkliwej świadomości uroków pozycji społecznej własnej oraz siostry i matki. Przede wszystkim zaś próżność, duma i próżność. Kto go tam wie, zresztą może przy dobrych skłonnościach... Ja go przecież nie winię, niech pani nie myśli, zresztą to nie moja rzecz. On miał również swoją teorię, taka sobie teoria, która dzieli ludzi, widzi pani, na materiał i na ludzi właściwych, to jest takich, których z racji ich wysokiego usytuowania nie tylko prawo nie obowiązuje, ale którzy układają je dla pozostałych, dla tego materiału, tych śmieci. Nic szczególnego: *une théorie comme une autre*<sup>[163]</sup>. Ogromnie się interesuje Napoleonem, to jest, właściwie interesuje go to, że wielu genialnych ludzi zupełnie nie obchodziło zło indywidualne i przechodzili ponad nim bez wahania. Zdaje się, że wyobraził sobie, iż on także jest geniuszem, przynajmniej przez czas jakiś był tego pewien. Bardzo cierpiał i cierpi na myśl, że potrafił stworzyć teorię, a nie umiał przejść ponad złem bez wahania, bo stąd wniosek, że nie jest geniuszem. No, a to jest świadomość poniżająca dla próżnego młodego człowieka, zwłaszcza w naszych czasach...

– A wyrzuty sumienia? Zatem pan zupełnie odmawia mu poczucia moralnego? Czy on jest taki?

– Ach, Awdotio Romanowno, teraz wszystko jest na opak. Zresztą nigdy nie było w specjalnym porządku. Rosjanie to w ogóle szerokie natury, szerokie, Awdotio Romanowno, jak ich kraj. I nadzwyczaj skłonni są do wszystkiego, co jest fantastyczne, bezładne. Ale szeroka natura bez geniuszu daje złe rezultaty. Pamięta pani, ile to razy na podobne tematy rozmawialiśmy wieczorami po kolacji, siedząc na tarasie w ogrodzie. Wyrzucała mi pani ustawicznie tę właśnie szeroką naturę. Kto wie, może akurat w tym czasie, gdy pani rozprawiała, on tu sobie leżał i całą rzecz obmyślał. Przecież w naszej sferze, sferze ludzi wykształconych, nie ma żadnych tradycji. Czasami ktoś stworzy je sobie na podstawie książek... czy zaczerpnie ze

starych kronik. Ale to są zwykle ludzie uczeni, a przy tym, jak pani wie, w pewnym sensie fanatycy, co u człowieka światowego byłoby wprost nieprzyzwoitością. Zresztą zna pani moje poglądy. Nie mam zwyczaju winić kogokolwiek. Ja sam jestem utracjuszem i trzymam się tego. Mówiliśmy o tym nieraz. Miałem nawet szczęście zainteresować panią swymi zasadami... Pani jest bardzo blada, Awdotio Romanowno.

– Ja znam tę jego teorię. Czytałam w gazecie jego artykuł o ludziach, którym wszystko wolno... Razumichin mi pokazywał.

– Pan Razumichin? Artykuł pani brata? W gazecie? Jest taki artykuł? Nie wiedziałem. To musi być naprawdę ciekawe! Dokąd pani idzie, Awdotio Romanowno?

– Chciałabym zobaczyć się z Sofią Siemionowną – powiedziała słabym głosem Dunia. – Jak tu się do niej idzie? Może już wróciła. Chcę koniecznie zaraz się z nią zobaczyć. Niech ona...

Nie mogła dokończyć, dosłownie zabrakło jej tchu.

– Sofia Siemionowna wróci dopiero późno wieczorem. Tak sędzę. Powinna była wrócić zaraz, ale jeśli nie przyszła, to znaczy...

– A więc kłamiesz! Rozumiem... kłamałeś... wszystko skłamałeś!... Nie wierzę ci! Nie wierzę! – krzyczała Dunia jak szalona, zupełnie tracąc głowę.

Osunęła się prawie nieprzytomna na podsunięte przez Swidrygajłowa krzesło.

– Awdotio Romanowno, co się z panią dzieje, niech pani oprzytomnieje! Niech pani napije się wody, proszę...

Spryskał jej twarz wodą. Dunia wzdrygnęła się i oprzytomniała.

– Zrobiło to mocne wrażenie! – mruknął do siebie Swidrygajłow, marszcząc brwi. – Niech się pani uspokoi! Wie pani, że on ma przyjaciół. Uratujemy go, ocalimy. Chce pani, wywiozę go za granicę? Mam pieniądze, w trzy dni będę miał bilet. A że zabił, to robi jeszcze wiele dobrego i to się zrównoważy; proszę się uspokoić. Może jeszcze być wielkim człowiekiem. No, jak? Jak się pani czuje?

– Podły człowieku! Jeszcze pan drwi sobie. Proszę mnie puścić...

– Dokąd pani idzie? Dokąd pani chce iść?

– Do niego. Gdzie on jest? Czy pan wie? Dlaczego te drzwi są zamknięte? Weszliśmy przecież tędy, tymi drzwiami, a teraz są zamknięte na klucz. Kiedy pan zdążył je zamknąć?

– Tego, o czym mówiliśmy, nie można było wykrzykiwać na cały dom. Wcale nie drwię, tylko sprzykrzyło mi się już mówić tym językiem. Dokąd pani pójdzie w takim stanie? Chce go pani wydać? Doprowadzi go pani do szaleństwa i sam się zadenuncjuje. Czy wie pani, że go śledzą, że już są na tropie? Wyda go pani. Niech pani zaczeka: widziałem go i rozmawiałem z nim niedawno. Jeszcze można go uratować. Niech pani zaczeka, usiądzie, pomyślmy razem. Po to właśnie wzywałem panią, żeby pomówić o tym w cztery oczy i dobrze wszystko obmyślić. Niechże pani siada!

– W jaki sposób może go pan uratować? Czyż można go uratować?

Dunia usiadła. Swidrygajłow usiadł obok niej.

– Wszystko zależy od pani, tylko od pani – zaczął prawie szeptem

z błyszczącymi oczami, płacząc się i połykając wyrazy ze zdenerwowania.

Dunia, przestraszona, odsunęła się od niego. Swidrygajłow drżał cały.

– Pani... jedno pani słowo, a on jest uratowany! Ja... ja go uratuję. Mam pieniądze i przyjaciół. Wyślę go natychmiast, a sobie wyrobię paszport, dwa paszporty. Jeden dla niego, drugi dla mnie. Mam przyjaciół, znam urzędników... Chce pani? Wyrobię paszport i dla pani... dla pani matki... po co pani Razumichin? Ja także panią kocham... Kocham panią bezgranicznie. Niech mi pani pozwoli ucałować rąbek swojej sukni, niech pani pozwoli! Niech pani pozwoli! Nie mogę znieść szelestu pani sukni. Zrobię wszystko, co pani każe! Zrobię wszystko! Dokonam rzeczy niemożliwych! Uwierzę w to, w co pani wierzy! Zrobię wszystko, wszystko! Niech pani tak nie patrzy, niech pani tak nie patrzy na mnie! Czy pani wie, że pani mnie zabija...

Zaczął po prostu bredzić. Robił wrażenie człowieka, który nagle oszalał. Dunia zerwała się i rzuciła do drzwi.

– Otwórzcie! Proszę, otwórzcie! – wołała przez drzwi, szarpiąc je i wzywając pomocy. – Otwórzcie! Czy nie ma tam nikogo?

Swidrygajłow oprzytomniał, wstał. Na jego drżących ustach ukazał się uśmiech złośliwy i drwiący.

– Nikogo nie ma w domu – powiedział cicho i dobitnie – gospodyni wyszła, na próżno pani krzyczy i niepotrzebnie się denerwuje.

– Gdzie jest klucz? Otwórz natychmiast drzwi, zaraz, ty łotrze!

– Zgubiłem klucz i nie mogę go znaleźć.

– Ach! To gwałt! – zawołała Dunia i blada jak trup pobiegła w róg pokoju, by zastawić się stojącym tam stolikiem.

Nie krzyczała, utkwiała wzrok w swoim prześladowcy i śledziła każdy jego ruch. Swidrygajłow nie ruszał się z miejsca i stał na wprost niej w drugim końcu pokoju. Opanował się już, przynajmniej na pozór, ale nadal był blady. Nie przestawał się drwiąco uśmiechać.

– Powiedziała pani, Awdotio Romanowno, że to „gwałt”. Skoro gwałt, to rozumie pani chyba, że wszystko odpowiednio przygotowałem. Sofii Siemionowny nie ma w domu, do Kapernaumowów jest bardzo daleko, dzieli nas pięć zamkniętych pokojów. Wreszcie, jestem dwa razy silniejszy od pani i przy tym nie mam się czego obawiać, bo przecież pani potem mnie nie oskarży: chyba nie będzie pani chciała wydać brata? Nikt pani zresztą nie uwierzy: no bo niby z jakiej racji młoda dziewczyna poszłaby sama do mieszkania samotnego mężczyzny? A nawet gdyby pani poświęciła brata, to też nic pani nie wskóra: trudno jest dowieść gwałtu, Awdotio Romanowno.

– Łajdak! – szepnęła Dunia z oburzeniem.

– Jak pani sobie życzy, tylko proszę zważyć, że na razie złożyłem tylko propozycję. Według mnie zaś ma pani słuszność: gwałt to niktzemność. Chodziło mi jedynie o to, by dowieść, że nie będzie pani sobie miała nic do wyrzucenia, nawet gdyby... gdyby zechciała pani dobrowolnie uratować brata w sposób przeze mnie proponowany. Po prostu uległaby pani okolicznościom, no, powiedzmy, sile, jeżeli już bez tego wyrazu nie można się obejść. Niech się pani zastanowi: losy pani brata i matki są w pani ręku. A ja będę pani niewolnikiem... całe życie... będę czekał tutaj...

Swidrygajłow usiadł na otomanie o jakie osiem kroków od Duni. Ta nie wątpiła ani przez chwilę w stanowczość jego decyzji. Znała go dobrze.

Nagle wyjęła z kieszeni rewolwer, odciągnęła kurek i oparła rękę z rewolwerem na stoliku. Swidrygajłow zerwał się z miejsca.

– Aha, to tak! – krzyknął zdumiony, uśmiechając się złośliwie. – No, to już zmienia postać rzeczy! Pani mi nadzwyczajnie ułatwia sytuację. A skąd pani wzięła rewolwer? Czy to nie pan Razumichin? Ba! Przecież to mój rewolwer! Stary znajomy! A ja go kiedyś tak szukałem!... Nasze lekcje strzelania, których miałem zaszczyt udzielać pani na wsi, nie poszły na próżno.

– To nie twój rewolwer, lecz Marfy Pietrowny, którą zabiłeś, łajdaku! Nic nie miałeś własnego w jej mieszkaniu. Wzięłam go, gdy tylko zorientowałam się, do czego jesteś zdolny. Jeśli zrobisz chociaż jeden krok, przysięgam, że cię zabiję!

Dunia wpadła w szal. Rewolwer trzymała w pogotowiu.

– A braciszek? Tak tylko, przez ciekawość się pytam! – powiedział Swidrygajłow, wciąż jeszcze nie ruszając się z miejsca.

– Donieś sobie, jeśli chcesz! Ani kroku! Nie ruszaj się! Strzelę! Otrułeś żonę, wiem, sam jesteś mordercą!

– Pani jest całkiem pewna, że otrułem Marfę Pietrownę?

– Ty! Sam mi dawałeś to do zrozumienia, mówiłeś mi o truciznie... wiem, jeździłeś po nią... miałeś przygotowaną... To ty... Na pewno ty... łajdaku!

– Jeżeli nawet byłaby to prawda, to przez ciebie... jednak ty byłeś powodem.

– Łziesz! Ja cię zawsze nienawidziłam. Zawsze...

– Ejże, Awdotio Romanowno! Zapomniała już pani, jak to w ferworze propagandy miękła pani i już ulegała... Po oczętach widziałem, pamięta pani ten księżycowy wieczór, słowiki śpiewały?

– Łziesz – wściekłość błysnęła w oczach Duni – łziesz, oszczerco!

– Łżę? Niech będzie, że łżę. Skłamałem. Nie należy kobietom przypominać o takich rzeczach. – Uśmiechnął się. – Wiem, że strzelisz, prześliczna bestyjko. No więc strzelaj!

Dunia uniosła rewolwer i trupioblada, z pobielającą, drżącą dolną wargą, błyszczącymi, wielkimi, czarnymi oczami patrzyła na niego i już zdecydowana mierzyła go wzrokiem w oczekiwaniu na pierwszy ruch z jego strony. Nigdy nie wydawała mu się tak piękna. Jej pałające oczy, gdy podnosiła rewolwer, paliły go po prostu, serce ścisnął bolesny skurcz. Posunął się o krok i huknął strzał. Kula musnęła mu włosy i utkwiała w ścianie. Zatrzymał się i roześmiał cicho:

– A, ugryzła osa! Celuje prosto w głowę... Co to? Krew! – Wyjął chusteczkę, żeby otrzeć krew spływającą mu cienkim strumieniem wzdłuż prawej skroni. Prawdopodobnie kula drasnęła skórę na głowie. Dunia opuściła rewolwer i przyglądała się Swidrygajłowowi trochę z lękiem, trochę z niedowierzaniem.

Zdawało się, że straciła świadomość tego, co zrobiła i co się dzieje.

– No i cóż, pudło! Niech pani strzela dalej, czekam – spokojnie odezwał się Swidrygajłow, uśmiechając się ponuro. – No bo tak to zdążę obezwładnić panią, zanim pani pociągnie za spust.

Dunia drgnęła, szybko odciągnęła kurek i wycelowała.

– Niech pan da mi spokój! – odezwała się z rozpaczą w głosie. –

Przysięgam, że będę znowu strzelać... Ja... zabiję...

– No tak... o trzy kroki nie sposób chybić. Ale jak pani nie zabije... to wtedy...

Oczy mu błysnęły i zrobił jeszcze dwa kroki.

Dunia nacisnęła spust, ale tym razem był to niewypał.

– Niestarannie pani załadowała. Nic nie szkodzi! Jeszcze ma pani kapiszon.

Niech pani poprawi, ja zaczekam.

Stał o dwa kroki przed nią, czekał i patrzył na nią z dziką, namiętą determinacją w oczach.

Dunia zrozumiała, że on raczej umrze, niż ją wypuści. „I... oczywiście zabiję go teraz, z dwóch kroków!...”.

Nagle odrzuciła rewolwer.

– Rzuciła! – skonstatował ze zdziwieniem Swidrygajłow i odetchnął głęboko.

Od razu zrobiło mu się lżej na sercu, nie tylko dlatego, że opuścił go lęk przed śmiercią, bo właściwie przed chwilą nie czuł lęku. Pozbył się raczej innego uczucia, ponurego i upokarzającego, którego sam nie mógłby w pełni określić. Podszedł do Duni i łagodnie objął ją wpół. Nie opierała się, lecz drżała jak liść i patrzyła na niego błagalnie. Chciał coś powiedzieć, lecz krzywił tylko usta, a wyrazy uwięzły w ściśniętym gardle.

– Puść mnie! – błagalnym głosem powiedziała Dunia. Swidrygajłow drgnął: tym razem to *ty* zabrzmiało inaczej.

– Więc nie kochasz? – zapytał cicho. Dunia zrobiła przeczący ruch głową.

– I... nie możesz?... Nigdy? – szepnął z rozpaczą.

– Nigdy!

W duszy Swidrygajłowa rozegrała się straszna, milcząca walka. Trudno opisać spojrzenie, którym ją obrzucił. Opuścił ramię, odwrócił się i szybko odszedł do okna.

Upłynęła jeszcze chwila.

– Proszę klucz! – Wyjął go z lewej kieszeni palta i położył na stole, nie odwracając się i nie patrząc na Dunię. – Proszę wziąć. Niech pani zaraz wyjdzie!...

Uparcie patrzył przez okno.

Dunia podeszła do stołu i wzięła klucz.

– Prędejj! Prędejj! – powtarzał Swidrygajłow, ciągle jeszcze nie odwracając się i nie ruszając się z miejsca.

W tym „prędejj” wyraźnie zabrzmiało coś groźnego.

Dunia zrozumiała to, chwyciła klucz, rzuciła się do drzwi, otworzyła je szybko i wybiegła z pokoju. Po kilku chwilach była już na ulicy jak szalona, niepomna siebie i biegła w kierunku mostu.

Swidrygajłow stał jeszcze czas jakiś przy oknie, wreszcie odwrócił się powoli, rozejrzał się, przeciągnął ręką po czole. Żałosny, smutny, słaby uśmiech, uśmiech rozpaczy wykrzywił mu usta. Na dłoni zaschła krew. Spojrzał na nią z nienawiścią, umoczył ręcznik i obmył sobie skroń. Nagle

wpadł mu w oczy rewolwer porzucony przez Dunię, który znalazł się teraz pod drzwiami. Podniósł go i obejrzał. Był to mały, kieszonkowy, trzystrzałowy rewolwer starego typu. Zostały w nim jeszcze dwa naboje i jeden kapiszon. Można było oddać jeszcze jeden strzał. Zastanowił się, włożył rewolwer do kieszeni, wziął kapelusz i wyszedł.

Cały wieczór do godziny dziesiątej Swidrygajłow spędził w różnych traktierniach i spelunkach, przechodząc z jednej do drugiej. Natrafił gdzieś również na Katię, która śpiewała inną piosenkę, o tym, jak jakiś „łotr i tyran”

*Zaczął Katię całować.*

Swidrygajłow poił Katię i kataryniarza, chórzystów, kelnerów oraz dwóch jakichś pisarczyków. Zapoznał się z tymi pisarczykami głównie dlatego, że uderzyło go, iż obaj mieli krzywe nosy: jeden miał zakrzywiony nos w lewą, drugi zaś w prawą stronę. Zaciągnęli go wreszcie do jakiegoś rozrywkowego ogródka, gdzie zapłacił za nich wejście. Ogródek składał się z mizernej trzyletniej jodełki i trzech krzaczków. Prócz tego urządzony był tam „pawilon”, w rzeczywistości zaś szynk, w którym można było napić się również herbaty. Stało też kilka zielonych stolików i krzeseł. Bardzo kiepski chór i jakiś pijany monachijski Niemiec w charakterze arlekina, z czerwonym nosem i nadzwyczajnie ponury, mieli bawić publiczność. Pisarczyki posprzecjali się z jakimiś innymi pisarczykami i omal nie doszło do bójki. Swidrygajłow został powołany na arbitra. Godził ich przez cały kwadrans, ale uczynili taki wrzask, że trudno było cokolwiek zrozumieć. W każdym razie można się było domyślić, że jeden z nich ukradł coś i zdążył nawet sprzedać to z miejsca jakiemuś Żydowi, który się nawinał, sprzedawszy zaś, nie chciał podzielić się ze swym kolegą. Wreszcie okazało się, że skradziono łyżeczkę do herbaty, należącą do „pawilonu”. Kradzież została zauważona i sprawa zaczęła przyjmować nieprzyjemny obrót. Swidrygajłow zapłacił za łyżeczkę, wstał i wyszedł z ogródka. Dochodziła dziesiąta. Swidrygajłow przez cały wieczór nie wypił ani kropli alkoholu, w „pawilonie” kazał sobie podać herbatę, wyłącznie dla przyzwoitości zresztą. Wieczór był duszny i ponury. Około dziesiątej zebrały się wielkie chmury, zagrzmiało i deszcz lunął jak z cebra. Woda lała się z nieba nie kroplami, lecz strumieniami. Błyskało co chwila i tak długo, że można było doliczyć do pięciu podczas trwania każdej błyskawicy. Przyszedł do domu przemoknięty do nitki, zamknął się w pokoju, otworzył biurko, wyjął wszystkie pieniądze, zniszczył kilka papierów. Potem wsunął pieniądze do kieszeni, chciał początkowo zmienić ubranie, ale wyjrawszy przez okno i słysząc deszcz i grzmoty, machnął ręką, wziął kapelusz i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi. Poszedł wprost do Soni. Była w domu.

Nie była sama: dawała herbatę zgromadzonym około niej czworgu dzieciom Kapernaumowów. W milczeniu i z szacunkiem powitała Swidrygajłowa. Ze zdziwieniem patrzyła na jego przemoczone ubranie, lecz nie odezwała się ani słowem. Dzieci w tejże chwili uciekły w nieopisanym popłochu.

Swidrygajłow usiadł przy stole, poprosił Sonię, by usiadła również. Nieśmiało czekała, co jej powie.

– Wyjeżdżam, prawdopodobnie do Ameryki – powiedział Swidrygajłow – i ponieważ widzimy się chyba po raz ostatni, chciałbym załatwić jeszcze pewne sprawy. Widziała się dziś pani z tą damą? Wiem, co pani powiedziała,



może pani nie powtarzać. – Sonia drgnęła i zaczerwieniła się. – Takie mają zwyczaje tego rodzaju typy. Co się tyczy siostrzyczki i braciszków pani, to z nimi sprawa jest naprawdę załatwiona, a pieniądze, które się za nich należały, zostały przeze mnie wpłacone, gdzie należy, w pewne ręce za pokwitowaniem. Zresztą, na wszelki wypadek, niech pani te kwity weźmie i trzyma. Proszę, oto one! No, to już załatwione. Teraz są tu trzy pięcioprocentowe obligacje, ogółem na sumę trzech tysięcy rubli. Niech to pani weźmie dla siebie, dla siebie osobiście, i niech to zostanie między nami, żeby nikt o tym nie wiedział, bez względu na to, co pani usłyszy. Przydadzą się pani, bo nie powinna pani żyć tak podle jak dawniej, zresztą nie ma pani już wcale potrzeby.

– Tyle od pana doznałam dobrodziejstw, sieroty i nieboszczka – powiedziała pospiesznie Sonia – i jeżeli dotychczas tak mało okazałam wdzięczności, to... niech pan nie sądzi...

– Ach, nie ma o czym mówić, niech pani da spokój.

– A te pieniądze... bardzo jestem panu wdzięczna, ale przecież teraz nie są mi potrzebne. Ja na siebie samą zawsze zarobię. Niech pan nie sądzi, że jestem niewdzięczna, ale jeżeli pan jest taki wspaniałomyślny, to te pieniądze...

– Są dla pani, dla pani, Sofio Siemionowno, i proszę bardzo bez długich ceregieli, bo nawet nie mam na to czasu. Przydadzą się pani. Rodion Romanowicz ma dwie drogi do wyboru: kula w łeb albo Sybir. – Sonia spojrzała na niego z przerażeniem i zadrżała. – Niech się pani uspokoi, wiem o wszystkim od niego samego, nie jestem plotkarzem, nie powiem nikomu. Bardzo dobrze mu pani radziła wtedy, żeby się sam przyznał. Tak byłoby znacznie lepiej dla niego. A jak Sybir, to i pani tam za nim pojedzie. Wszak tak? Wszak tak? No, zatem pieniądze się przydadzą. Jemu będą potrzebne, rozumie pani? Dając pani, jakbym jemu dawał. Prócz tego słyszałem przecież, że obiecała pani zapłacić dług Amalii Iwanownie. Dlaczego pani tak nierozważnie ciągle bierze na siebie jakieś kontrakty i zobowiązania? Przecież to Katarzyna Iwanowna była winna tej Niemce, a nie pani, trzeba było plunąć na Niemkę. W ten sposób pani nie da sobie rady w życiu. A poza tym, gdyby ktoś panią jutro czy pojutrze o mnie pytał (a będą panią pytali), to niech pani nie wspomina, że u niej byłem. Pieniędzy, broń Boże, niech pani nie pokazuje i niech pani nie opowiada nikomu, że je pani dałem! A teraz do widzenia. – Wstał z krzesła. – Rodionowi Romanowiczowi proszę się pokłonić. Ale, ale, niech pani da pieniądze tymczasem na przechowanie panu Razumichinowi. Zna pani pana Razumichina? Naturalnie, musi go pani znać. To niezły chłopak. Niech mu pani odniesie jutro lub... kiedy znajdzie pani czas. A tymczasem proszę dobrze schować.

Sonia zerwała się z krzesła i patrzyła na niego przerażona. Miała wielką ochotę coś powiedzieć, o coś zapytać, ale nie śmiała i nie wiedziała, jak zacząć.

– Jak to pan tak... jak pan teraz wyjdzie w taki deszcz?

– No, wybieram się do Ameryki, a deszczu mam się obawiać, che-che! Żegnam panią, moja droga! Życzę zdrowia i długich lat życia, potrzebna jest

pani innym. A prawda... niech pani powie panu Razumichinowi, że przesyłam ukłony. Koniecznie proszę powtórzyć: Arkadiusz Swidrygajłow kazał się panu pokłonić. Bardzo proszę o tym pamiętać.

Wyszedł, zostawiwszy Sonię zdumioną, przerażoną i pełną niewyraźnych, niedobrych przeczuć.

Potem okazało się, że tego samego wieczoru, po godzinie jedenastej, Swidrygajłow złożył jeszcze jedną, bardzo ekscentryczną i niespodziewaną wizytę. Deszcz nie przestał padać. Cały przemoczony, przyszedł dwadzieścia minut po jedenastej do małego mieszkanka rodziców swej narzeczonej na Wyspie Wasiljewskiej, na Trzeciej linii<sup>[164]</sup>, przy prospekcie Małym. Ledwo się dostukał do nich i początkowo wywołał wielki popłoch. Ale Arkadiusz Iwanowicz, kiedy chciał, potrafił być nader ujmujący, tak że pierwotne (zresztą bardzo dowcipne) przypuszczenie rodziców narzeczonej, że urznął się gdzieś solidnie, upadło samo przez się. Sparaliżowanego rodzica wyciągnęła do Swidrygajłowa na fotelu czuła a rozsądna rodzicielka i natychmiast, jak było to w jej zwyczaju, zaczęła wypytywać go ostrożnie i okrężną drogą. (Kobieta ta nigdy nie zadawała bezpośrednich pytań. Zaczynała od uśmieszków, zacierania rąk, a potem, gdy koniecznie chciała dowiedzieć się czegoś na pewno, na przykład, na kiedy Swidrygajłow zamierza wyznaczyć ślub, to zarzucała go pytaniami o Paryż, o tamtejsze stosunki dworskie i dopiero później dochodziła kolejno do Wyspy Wasiljewskiej i prospektu Małego). Zwykle wzbudzało to naturalnie wielki respekt, ale tym razem Swidrygajłow zdradzał jakieś szczególne zniecierpliwienie i kategorycznie zażądał natychmiastowego widzenia się z narzeczoną, jakkolwiek uwiadomiono go na wstępie, że panienka już śpi. Rozumie się, że narzeczonej się zjawiała. Swidrygajłow oświadczył jej wprost, że w pewnej bardzo ważnej sprawie musi na czas dłuższy wyjechać z Petersburga i dlatego przyniósł jej piętnaście tysięcy rubli w różnych papierach wartościowych, dawno już bowiem zamierzał ofiarować jej tę drobnostkę przed ślubem. Wyjaśnienie to nie wykazało wprawdzie szczególnie logicznego związku między wyjazdem i prezentem a koniecznością ofiarowania go o północy, w ulewę, ale zostało przyjęte nader przychylnie. Zwykle w takich razach afektacje i zapytania ograniczyły się do nader umiarkowanych rozmiarów, za to wdzięczność była ogromnie gorąca i poparta łzami czulej a rozsądnej matki. Arkadiusz Iwanowicz wstał, roześmiał się, pocałował narzeczoną i poklepał ją po policzku, powtórzył, że wróci niedługo, a zauważywszy w jej oczach, prócz dziecinnej ciekawości, jakieś bardzo poważne pytanie, zamyślił się i pocałował ją znowu. Był w duszy szczerze zły, że jego podarunek znajdzie się natychmiast pod kluczem najroztropniejszej z matek. Wyszedł, zostawiwszy całą rodzinę w niezwykłym podnieceniu. Czuła mamusia natychmiast szeptem pośpiesznie wyjaśniła pewne istotne kwestie, a mianowicie, że Arkadiusz Iwanowicz to wielki człowiek, ma na głowie ważne sprawy, jest ustosunkowany, bogaty. Bóg wie, jakie ma plany, postanowił sobie i wyjechał, a że dał pieniądze, więc nie ma co wydziwiać. Naturalnie trochę to dziwne, że przyszedł taki przemoczony, ale Anglicy są jeszcze bardziej

ekscentryczni, a zresztą wszyscy ludzie z wyższej sfery nie zwracają uwagi na to, co się o nich mówi, i są bezceremonialni. A może nawet umyślnie tak chodzi, żeby pokazać, że się niczego nie lęka. Najważniejsze zaś, żeby nikomu nic nie mówić, bo Bóg wie, co z tego może jeszcze wyniknąć, a pieniądze trzeba jak najprędzej schować. I bardzo dobrze, że kucharka była cały czas w kuchni, przede wszystkim zaś za nic, za nic, za nic nie wolno pisać słówka tej szelmie Ressler i tak dalej, i tak dalej. Naradzano się i szeptano do drugiej w nocy. Narzeczona zresztą poszła spać znacznie wcześniej, zdumiona tym wszystkim i trochę markotna.

Tymczasem Swidrygajłow równo o północy szedł przez most T-wa w kierunku Strony Petersburskiej. Deszcz nie padał już, lecz dał wiatr. Swidrygajłow miał dreszcze. Przez chwilę intensywnie i jakby pytająco wpatrywał się w czarną toń Małej Newy. Lecz zimno mu było stać nad wodą, odwrócił się więc i poszedł na prospekt B-oj. Szedł tym długim prospektem prawie pół godziny, potykał się raz po raz na drewnianym bruku, lecz nie przestawał czegoś pilnie wypatrywać po prawej stronie prospektu. Kiedyś, przejeżdżając tędy, zauważył tu spory, drewniany hotel, który o ile przypominał sobie, nosił nazwę „Adrianopol”. Nie mylił się: hotel ten był na tym pustkowiu i tak rzucał się w oczy, że trudno go było nie zauważyć nawet w ciemnościach. Był to długi, poczerniały budynek, mimo późnej godziny jeszcze oświetlony; dał się też zauważyć pewien ruch. Swidrygajłow wszedł i zapytał o pokój spotkanego na korytarzu obdartusa. Obdartus obejrzał go i zaprowadził do ciasnego, dusznego pokoju na samym końcu korytarza, w kącie pod schodami. Innego pokoju nie było, wszystkie były zajęte. Obdartus spojrzał pytającym wzrokiem.

– Herbata jest? – zapytał Swidrygajłow.

– Może być.

– Co jeszcze?

– Cielęcina, wódka, przekąski.

– Przynieś cielęcinę i herbatę.

– Nic więcej pan sobie nie życzył? – zapytał ze zdziwieniem obdartus.

– Nie, nic!

Obdartus odszedł, wyraźnie rozczarowany.

„To musi być niezła spelunka – pomyślał Swidrygajłow. – Że też tu dotychczas nie byłem. Zresztą ja też muszę mieć wygląd gościa, który wraca z *café-chantant*<sup>[165]</sup>, a po drodze również miał przygodę. Ciekawe, kto też tu bywa i nocuje?”

Zapalił świecę i obejrzał dokładnie pokój. Była to klitka z jednym oknem, tak mała, że ledwie mógł się w niej poruszać; pościel na łóżku była bardzo brudna; zwyczajny, malowany stół i krzesło zajmowały niemal całą pozostałą przestrzeń. Ściany wyglądały jak zbite z desek, tapeta była tak zniszczona i zakurzona, że można było rozpoznać jedynie dawny kolor (żółty), ale deseń był już zupełnie niewidoczny. Część ściany i sufitu była ścięta na ukos, jak to bywa w mansardach, lecz tutaj nad ukosem znajdowały się schody. Swidrygajłow postawił świecę, usiadł na łóżku i zamyślił się. Dziwny, nieustanny szept w sąsiednim pokoju, przechodzący chwilami w krzyk,

zwrócił wreszcie jego uwagę. Szept ten nie ustawał od chwili, gdy wszedł do pokoju. Zaczął nasłuchiwać: ktoś komuś wymyślał i niemal z płaczem robił wyrzuty, słychać było tylko jeden głos. Swidrygajłow wstał, zasłonił ręką świecę – na ścianie czerniała szpara, podszedł i zajrzał. W pokoju, większym nieco od zajmowanego przez niego, było dwóch gości. Jeden z nich, bez surduta, o bardzo kędzierzawej głowie i czerwonej, rozpalonej twarzy, stał w oratorskiej pozie, szeroko rozstawiwszy nogi dla zachowania równowagi. Bił się pięścią w piersi i patetycznie wyrzucał drugiemu, że tamten jest nędzarzem, bez pracy, że on wyciągnął go z błota i jak zechce, może go wypędzić i że to wszystko widzi oko Opatrzności. Strofowany przyjaciel siedział na krześle i wyglądał jak człowiek, który ma ogromną ochotę kichnąć, ale w żaden sposób mu się to nie udaje. Od czasu do czasu spoglądał na mówcę baranim, mętnym wzrokiem, ale widoczne było, że nie wie, o co chodzi, i prawdopodobnie nawet nie słyszy. Na stole dopalała się świeca, stała prawie opróżniona karafka z wódką, a obok kieliszki, chleb, szklanki, ogórki i czajnik po herbacie. Przyjrząwszy się uważnie temu wszystkiemu, Swidrygajłow odszedł od szpary i obojętnie usiadł na łóżku.

Obdartus przyniósł herbatę i cielęcinę i nie mógł się powstrzymać od zapytania raz jeszcze, czy „nie będzie czegoś jeszcze potrzeba”. Dowiedziawszy się, że nie, odszedł wreszcie. Swidrygajłow rzucił się na herbatę, żeby się rozgrzać, wypił całą szklankę, ale nie mógł przełknąć nawet kęsa mięsa – zupełnie stracił apetyt. Widocznie zaczął gorączkować. Zdjął płaszcz, marynarkę, owinął się kołdrą i położył do łóżka. Zły był na siebie: „W takiej chwili lepiej byłoby, gdybym był zdrow” – pomyślał i uśmiechnął się. W pokoju było duszno, świeca dawała zamglone światło, za oknem szumiał wiatr, gdzieś w kącie chrobotąła mysz, w całym pokoju zresztą czuć było myszami i stęchłą skórą. Swidrygajłow leżał i jakby majaczył, myśli mu się plątały. Czuł wielką ochotę zatrzymania na czymkolwiek swej wyobraźni. „Za oknem musi być jakiś ogród – pomyślał – szumią liście drzew. Nie cierpię szumu liści w nocy, po ciemku, podczas burzy, paskudne wrażenie!”. Przypomniał sobie, jak mijał Park Piotrowski, i pomyślał o nim ze wstrętem, przypomniał sobie również Małą Newę i poczuł chłód jak wtedy, gdy stał nad wodą. „Nigdy w życiu nie lubiłem wody, nawet na pejzażach” – stwierdził i uśmiechnął się do dziwnej myśli: „Komfort i estetyka powinny być mi teraz obojętne, a właśnie teraz zacząłem być wybredny jak zwierzę, które starannie wybiera sobie miejsce... w podobnym wypadku. Powinienem być pójsć właśnie przez Park Piotrowski! Cóż to, zląkłem się ciemności i chłodu, che! che! Zachciało mi się przyjemnych wrażeń!... *A propos*, dlaczego nie zgasilem świecy? – Zdmuchnął świecę. – U sąsiadów już śpią, nie widać światła przez szparę. I cóż, Marfo Pietrowno, może by się pani teraz ukazała: jest ciemno, miejsce odpowiednie i chwila szczególna. Ale teraz właśnie nie przyjdiesz...”.

Nie wiadomo dlaczego przypomniał sobie nagle, jak na godzinę przed spotkaniem z Dunią polecił Raskolnikowowi oddać ją pod opiekę Razumichinowi. „W rzeczy samej powiedziałem to wtedy dla brawury, jak słusznie domyślił się Raskolnikow. To szelma jednak ten Raskolnikow! Ładną

historię ściągnął sobie na głowę. Może zostać z czasem wielkim łotrem, kiedy zmądrzeje, teraz za bardzo jeszcze rwie się do życia! Jeżeli o to chodzi, to wszyscy ci ludzie są dranie. Zresztą niech go diabli wezmą, niech robi, co chce, nic mnie to nie obchodzi”.

Nie mógł zasnąć. Powoli obraz Duni zamajaczył mu przed oczyma, przeszedł go dreszcz. „Nie, z tym trzeba już skończyć – pomyślał, ocknąwszy się – trzeba myśleć o czymś innym. Jakie to dziwne i śmieszne: do nikogo nigdy nie żywiłem szczególnej nienawiści, nawet mścić się nigdy mi się nie chciało, a to zły znak, zły znak, zły znak! Nie lubiłem się również kłócić i nigdy się nie unosiłem, to także zły znak! A ileż ja jej wtedy naobiecowałem, tfu, do diabła! A może jednak udałoby się jej przerobić mnie...”. Zacisnął zęby: znowu zjawiła się przed nim Dunia jak żywa, z tym samym wyrazem twarzy, jaki miała w chwili, gdy wystrzeliwszy po raz pierwszy, złękła się, opuściła rewolwer i zamarła, patrząc na niego. Mógł ją wtedy z łatwością schwytać, nie ruszyłaby nawet ręką w swojej obronie, gdyby sam nie powiedział jej o tym. Przypomniał sobie, że w tamtej chwili zrobiło mu się jej żal, serce mu się ścisnęło... „Ejże, do diabła! Znowu te same myśli, trzeba z tym skończyć, skończyć!...”.

Zasypiał, przestały nim wstrząsać gorączkowe dreszcze. Nagle wydało mu się, że coś przebiegło po nim pod kołdrą, po ręce i nodze. Drgnął: „Tfu, do diabła! To chyba mysz! – pomyślał. – Zostawiłem cielęcinę na stole...”. Strasznie nie chciało mu się odkrywać, wstawać, ziębnać, ale coś znowu szybko przebiegło mu po nodze. Zerwał z siebie kołdrę i zapalił świecę. Drżąc od gorączki, nachylił się i obejrzał pościel – nie znalazł nic. Wstrząsnął kołdrę i nagle na prześcieradło wyskoczyła mysz. Chciał ją złapać, ale mysz biegała zygzakami po łóżku, wymykała mu się z palców, przebiegła po ręce i wśliznęła się pod poduszkę. Zrzucił poduszkę, lecz w tejże chwili poczuł, że coś wskoczyło mu za koszulę i łaskocze po plecach. Wzdrygnął się nerwowo i... obudził się. W pokoju było ciemno, leżał na łóżku, zawinięty w kołdrę. Za oknem wył wiatr. „Co za paskudztwo!” – pomyślał ze złością.

Uniósł się i usiadł na brzegu łóżka, odwrócony plecami do okna. „Lepiej wcale nie spać” – postanowił. Od okna powiało chłodem i wilgocią. Owinał się kołdrą, nie zapalił świecy. Nie myślał o niczym i nawet nie chciał myśleć. Majaki ukazywały mu się jeden po drugim, po głowie błędziły strzępy myśli, bez początku, końca i związku. Zapadał w drzemkę. Nie wiadomo, czy to chłód, ciemności i wilgoć, czy wiatr, wyjący za oknem i kołyszący drzewami, wywołały w nim to uporczywe, fantastyczne nastawienie i pragnienie, ale ciągle ukazywały mu się kwiaty. Przed oczyma stanął mu prześliczny, ukwiecony krajobraz: jasny, ciepły, niemal upalny dzień, dzień świąteczny, Zielone Świątki. Zamożny, wspaniały wiejski *cottage*<sup>[166]</sup> w stylu angielskim, otoczony klombami pachnących kwiatów; ganek opleciony pnącymi roślinami, okolony krzakami róż; jasne, chłodne schody zaślane wspaniałym dywanem, obstawione egzotycznymi kwiatami w chińskich wazach. Zwrócił uwagę zwłaszcza na stojące w wazonach na oknach bukiety z delikatnych białych narcyzów pochylających się na jaskrawozielonych, soczystych, wysmukłych łodygach i rozsiewających silny, aromatyczny zapach. Nie mógł



się od nich oderwać, w końcu jednak wszedł na schody i znalazł się w wysokim, wielkim salonie, w którym również pełno było kwiatów. Stały wszędzie: na oknach, przy otwartych drzwiach na taras i na samym tarasie. Podłogi posypane były świeżo skoszoną, pachnącą trawą, przez otwarte okna przenikał lekki, świeży, chłodny powiew, ptaki świergotały pod oknami, a pośrodku salonu stała trumna na katafalku pokrytym białym ałtarem. Trumna wybita była białą jedwabną materią i obszyta gęstą, białą ruską<sup>[167]</sup>. Girlandy kwiatów spowijały ją ze wszystkich stron. Cała w kwiatach leżała w niej dziewczynka w białej tiulowej sukni, ze złożonymi i przyciśniętymi do piersi rękoma, jakby wytoczonymi z marmuru. Jej rozplecione włosy, włosy jasnej blondynki, były mokre; wianek z róż okalał skronie. Surowy i już stężyły jej profil wyglądał również jak wykuty w marmurze, ale uśmiech na bladych ustach pełen był jakiegoś zupełnie niedzięcego, bezgranicznego smutku i wielkiej skargi. Swidrygajłow znał tę dziewczynkę. Nie było ani krzyża, ani świec zapalonych przy trumnie, nie słyhać było słów modlitwy: ta dziewczynka była samobójczynią, topielicą. Miała dopiero czternaście lat i już złamane serce. Targnęła się na swoje życie przytłoczona krzywdą, która przeraziła i zdumiała jej młodą, dziecięcą główkę, zalała niezastężoną hańbą jej anielsko czystą duszę i wyrwała ostatni krzyk rozpacz. Krzyk, który nie doszedł do nikogo, lecz został haniebnie odtrącony w ciemną noc, stłumiony przez mrok i ziąb, słotę odwilży i wycie wiatru...

Swidrygajłow ocknął się, wstał z łóżka i podszedł do okna, po omacku odnalazł zasuwkę i otworzył je. Wiatr wdarł się do jego ciasnej komórki i jakby mroźnym szronem przysypał mu twarz i pierś okrytą tylko koszulą. Pod oknem rzeczywiście było coś w rodzaju ogrodu. Prawdopodobnie we dnie śpiewali tam śpiewacy i podawano herbatę. Teraz z drzew i krzaków leciały w okno krople deszczu, było ciemno jak w piwnicy, tak że z trudem można było rozróżnić tylko ciemne plamy, zdradzające obecność jakichś przedmiotów. Swidrygajłow, nachylony i oparty łokciami o parapet, przez dobre pięć minut wpatrywał się w mgłę. Wśród mroku nocy rozległ się armatni wystrzał, potem drugi.

„Aha, sygnał! Woda przybiera – pomyślał. – Nad ranem woda zaleje niżej położone miejsca, piwnice i sutereny, potopi szczury piwniczne. Wśród deszczu i wichru przemoczeni ludzie, złorzecząc, zaczną przenosić swe rupiecie na wyższe piętra. A która to może być teraz godzina?”. W chwili gdy to pomyślał, gdzieś blisko, jakby w pośpiechu, zegar ścienny uderzył trzy razy. „O, to za godzinę będzie już dniało! Na co czekam? Wyjdę zaraz, pójdę prosto do Parku Piotrowskiego, wyszukam sobie jakiś wielki krzak zroszony deszczem tak, że wystarczy go dotknąć ramieniem, a miliony kropel spadną na głowę...”. Odszedł od okna, zamknął je, zapalił świecę, włożył kamizelkę, płaszcz, kapelusz i wyszedł ze świecą na korytarz, aby odnaleźć obdartusa, który prawdopodobnie spał tu gdzieś w komórcie pośród kłopotów i ogarków świec. Chciał zapłacić za pokój i wyjść z hotelu. „To najlepsza chwila, lepiej nie można wybrać!”.

Długo chodził po wąskim korytarzu, nie znajdując nikogo, i już chciał

zawołać, gdy nagle w ciemnym kącie, między starą szafą a drzwiami, zauważył jakiś dziwny kształt, jakby coś żywego. Pochylił się i zobaczył dziecko: dziewczynkę, najwyżej pięcioletnią, w przemoczonej jak ścierka sukieneczynie, drżącą i zapłakaną. Nie przestraszyła się Swidrygajłowa, lecz patrzyła na niego z tępym zdziwieniem w wielkich, czarnych oczach, pochlipując z rzadka, jak dzieci, które po długim płaczu zaczynają się już uspokajać, ale nagle przypominają sobie o swoim zmartwieniu. Twarzyczka dziewczynki była blada i zmęczona. „Skąd się tu wzięła? Schowała się tu chyba i nie spała całą noc”. Zaczął ją wypytywać. Dziewczynka ożywiła się i szybko zaszczębiotała coś po dziecinnemu. Było tam coś o „mamusi” i o tym, że „mamusia zbije”, o jakiejś „lifizance”, którą stłukła. Dziewczynka mówiła bez przerwy; z tego opowiadania w końcu udało się coś niecoś wyrozumieć: było to dziecko niekochane, które matka, jakaś wiecznie pijana kucharka, prawdopodobnie z tego hotelu, ciągle biła i straszyla; dziewczynka stłukła mamusi filiżankę i tak się tego złąkla, że jeszcze wieczorem uciekła, ukryła się gdzieś na podwórku, na deszczu, wreszcie zakradła się tutaj, schowała się za szafą i przesiedziała w tym kącie całą noc, płacząc, drżąc z zimna i ze strachu, że za to wszystko czeka ją bicie. Wziął ją na ręce, zaniósł do swego pokoju, posadził na łóżku i zaczął rozbierać. Na bosych nóżkach miała dziurawe trzewiczki tak mokre, jakby przez całą noc leżały w wodzie. Rozebrawszy, Swidrygajłow ułożył małą w łóżku, okrył i otulił z głową w kołdrę. Zasnęła natychmiast. Swidrygajłow znowu pograżył się w ponurej zadumie.

„Że też musiałem się w to wplątać! – pomyślał z nagłą i ciężką złością. – Co za bzdura!”. Wziął świecę, żeby wyjść, poszukać obdartusa i nareszcie opuścić ten hotel. „A niechże cię, dziewucho!” – wściekał się, otwierając już drzwi, lecz zawrócił, by raz jeszcze spojrzeć na dziecko i przekonać się, czy śpi i jak śpi. Ostrożnie odchylił kołdrę. Dziewczynka była pograżona w głębokim, słodkim śnie. Rozgrzała się pod kołdrą i na bladą twarzyczkę wystąpiły rumieńce. Dziwna rzecz jednak, rumieńce te były jaskrawsze i mocniejsze niż zwykłe kolory u dzieci. „To gorączkowy rumieniec – pomyślał Swidrygajłow – wygląda jak wypieki od wina, jakby wypila całą szklanekę”. Pąsowe usteczka płoną, lecz co to? Nagle wydało mu się, że długie, czarne rzęsy dziecka zaczęły drgać, jakby mrugała porozumiewawczo, a spod powiek błysnęło bystre, figlarne spojrzenie zgoła niedziecięcych oczu, jakby dziewczynka nie spała, lecz tylko udawała, że śpi.

Ależ tak, usteczka jej rozchylają się, kąciki warg drżą, jakby hamowała śmiech. Ale oto przestała się powstrzymywać: to już był śmiech, wyraźny śmiech. W tej zupełnie niedziecinnej twarzy błysnęło coś zuchwałego i wyzywającego: to rozpusta, to twarz kokoty, wyuzdana twarz francuskiej kokoty. I oto, nie kryjąc się już zupełnie, otwarła oczy: obrzucają go namiętym i bezwstydnym spojrzeniem, wabia, śmieją się... Było coś nieskończenie szkaradnego i obraźliwego w tym śmiechu, w tych oczach i całej tej ohydzie w twarzy dziecka. „Co? Pięcioletnia! – szepnął z prawdziwym przerażeniem Swidrygajłow. – Cóż to... co to jest?”. A ona zwraca ku niemu pałającą twarzyczką, wyciąga ręce... „Achżeż ty, przeklęta!”



– krzyknął ze zgrozą Swidrygajłow, zamierzając się na nią ręką... i w tej chwili obudził się.

Leżał na łożku, tak samo otulony kołdrą, świeca nie paliła się już, był biały dzień.

„Koszmar przez całą noc!”. Był zły, rozbity, łamały go kości. Gęsta mgła za oknem nie pozwalała nic dojrzeć. Dochodziła piąta. Zasnął! Wstał, włożył wilgotne jeszcze ubranie i płaszcz. Namacał w kieszeni rewolwer, wyjął go, poprawił nabój. Potem usiadł, wyjął z kieszeni notes i na pierwszej stronie napisał kilka wierszy dużymi literami. Przeczytał je, zamyślił się i siedział chwilę z łokciami opartymi o stół. Rewolwer i notes znajdowały się tuż przy łokciu. Zbudzone muchy obsiadły nietkniętą porcję cielęciny. Patrzył na nie długo i wreszcie wolną prawą ręką zaczął łapać jedną z nich. Męczył się długo, lecz nie udawało mu się to w żaden sposób. Wreszcie, przyłapawszy się na tym fascynującym zajęciu, ocknął się, drgnął, wstał i stanowczym krokiem wyszedł z pokoju. Po chwili był już na ulicy.

Była mleczna, gęsta mgła. Swidrygajłow szedł po śliskim, brudnym, drewnianym bruku w stronę Małej Newy. Majaczyły mu się jej wezbrane przez noc wody, Wyspa Piotrowska, mokre ścieżki, wilgotna trawa, mokre drzewa, krzaki i wreszcie ten właściwy krzak... Zniecierpliwiony, chcąc myśleć o czymś innym, zaczął przyglądać się domom. Prospekt, którym szedł, był pusty, ani jednego przechodnia, ani jednej dorożki. Jaskrawożółte, drewniane domki z zamkniętymi okiennicami miały wygląd ponury i niechlujny. Chłód i wilgoć przenikały go do szpiku kości, miał dreszcze. Od czasu do czasu napotykał szyldy, które odczytywał uważnie. Oto skończył się już drewniany bruk. Swidrygajłow doszedł do dużego, murowanego domu. Brudny, zziębnięty psiak z podkulonym ogonem przebiegł mu drogę. Jakiś człowiek w szynelu, śmiertelnie pijany, leżał twarzą w dół w poprzek chodnika. Popatrzył na niego i poszedł dalej. Na lewo mignęła mu wysoka wieża strażacka. „Ba! – pomyślał – to doskonałe miejsce! Po co mi Park Piotrowski? Przynajmniej w obecności urzędowego świadka...”. Omal się nie uśmiechnął do tej nowej myśli i skręcił w ulicę ..ską. Tutaj wznosił się wielki gmach z wieżą. Pod zamkniętą ogromną bramą domu stał i opierał się o nią niewielki człowieczek otulony w szary, żołnierski płaszcz, w mosiężnym achillesowskim<sup>[168]</sup> hełmie na głowie. Sennym spojrzeniem obojętnie obrzucił zbliżającego się Swidrygajłowa. Na twarzy jego malował się ten odwieczny, zrzędlivy smutek, którym zawsze zakwaszone są wszystkie bez wyjątku twarze ludzi z żydowskiego plemienia. Obydwaj, Swidrygajłow i Achilles, przez pewien czas przyglądali się sobie w milczeniu. Wreszcie Achilles uznał, iż nie jest to całkiem w porządku, że człowiek niepijany stoi przed nim o trzy kroki, wpatruje się uporczywie i nie mówi nic.

– Nu, co pan sobie życzył – odezwał się, nie ruszając się z miejsca i nie zmieniając pozycji.

– Ano nic, bracie, jak się masz! – odpowiedział Swidrygajłow.

– Tutaj nie miejsce.

– Ja, bracie, wyjeżdżam w obce kraje.

– W obce kraje?

– Do Ameryki.

– Do Ameryki?

Swidrygajłow wyjął rewolwer i odciągnął kurek. Achilles uniósł brwi.

– Aj, po co takie żarty... tutaj nie miejsce!

– Dlaczego niby tu nie miejsce?

– A temu, że nie.

– No, bracie, wszystko jedno. Doskonałe miejsce. Jak się będą ciebie pytali, to powiedz, że właśnie pojechałem do Ameryki.

Przyłożył lufę rewolweru do prawej skroni.

– Nie, tutaj nie trzeba, tutaj nie miejsce! – zachnął się Achilles, któremu źrenice rozszerzyły się gwałtownie. Swidrygajłow pociągnął za spust.

Tego samego dnia, ale wieczorem, gdzieś koło godziny siódmej, Raskolnikow szedł do matki i siostry, które mieszkały w domu Bakalejewa, tam gdzie umieścił je Razumichin. Na schody wchodziło się wprost z ulicy. Raskolnikow zbliżył się, zwalniając kroku i jakby wahając się jeszcze, czy ma wejść, czy nie. Nie wróciłby jednak za nic, postanowił to sobie o świcie. „One przecież o niczym nie wiedzą – myślał – a przyzwyczajone są do moich dziwactw...”. Ubranie jego było w strasznym stanie: zabłocone, przemoczone, bo całą noc był na deszczu, podarte i zaszargane. Twarz miał zmienioną z bezsenności, zmęczenia fizycznego i prawie dwudziestoczworgodzinnej walki ze sobą. Całą noc spędził sam, Bóg jeden wie gdzie. Ale przynajmniej powziął decyzję.

Zapukał do drzwi, otworzyła mu matka. Duni nie było w domu. Nawet służąca zwykle wychodziła o tej porze. Pulcheria Aleksandrowna oniemiała ze zdumienia i radości. Potem chwyciła go za rękę i wciągnęła do pokoju.

– Nareszcie jesteś! – zaczęła, jękając się z przejęcia. – Nie gniewaj się, Rodia, że cię tak głupio witam, ze łzami, ale ja się śmieję, nie płaczę. Myślisz, że ja płaczę? Nie, ja się cieszę, to tylko takie głupie usposobienie, że mi łzy płyną z oczu. Od śmierci twego ojca płaczę z lada powodu. Siadaj, kochany, widzę, że jesteś zmęczony. Ach, jaki ty jesteś zabłocony.

– Przemokłem wczoraj, mammo... – zaczął Raskolnikow.

– Ach, nie, nie! – przerwała mu Pulcheria Aleksandrowna. – Myślałeś, że zacznę cię wypytywać dawnym, babskim zwyczajem, nie bój się. Ja przecież rozumiem, poznałam tutejsze zwyczaje i widzę naprawdę, że są daleko rozsądniejsze. Doszłam do wniosku, że przecież nie mogę się znać na twoich kalkulacjach i żądać od ciebie, żebyś się tłumaczył. Bóg wie, jakie ty masz plany i sprawy na głowie, jakie myśli cię nurtują i czyż mogę cię ciągle szarpać za poję: o czym ty właściwie myślisz? Właśnie więc... Ach, mój Boże! Ale cóż to ja tak plotę, jak nieprzytomna... Czytałam przecież, Rodia, twój artykuł w gazecie, czytam go już trzeci raz, Dymitr Prokofjicz przyniósł mi. Aż krzyknęłam, jak zobaczyłam. Głupia jestem, pomyślałam, oto czym on się zajmuje, na tym polega cała tajemnica! Uczeni zawsze są tacy. On sobie coś obmyśla, ma w głowie jakieś nowe pomysły, a ja go męczę i zawracam mu głowę. Czytałam, mój drogi, wielu rzeczy oczywiście nie zrozumiałam, ale tak musi być, bo gdzież tam mnie?

– Pokaż go, mammo.

Raskolnikow wziął gazetę i rzucił okiem na swój artykuł. Choć kolidowało to z całą jego sytuacją i nastrojem, miał jednak to dziwne i nader przyjemne uczucie, jakiego doznaje autor, który po raz pierwszy widzi swoje dzieło w druku. Dwadzieścia trzy lata mają swoje prawa. Ale trwało to tylko chwilę. Przeczytawszy kilka wierszy, zasępił się, a straszna rozpacz ścisnęła mu serce. Przypomniał sobie od razu całą walkę wewnętrzną, jaką toczył ze sobą w ciągu ostatnich miesięcy. Ze wstrętem i złością rzucił artykuł na stół.

– Chociaż jestem głupia, Rodia, to jednak zdaję sobie sprawę z tego, że bardzo niedługo będziesz jednym z pierwszych, o ile nie pierwszym,

w świecie naszych uczonych. I o tobie ośmielili się pomyśleć, żezwariowałeś. Ty nie wiesz o tym, ale tak było! Cha-cha-cha! Ach, nędzne robaki, czyż oni potrafią poznać się na prawdziwym rozumie! I Dunia, przecież Dunia omal nie uwierzyła. Dobrze, co? Twój ojciec nieboszczyk dwa razy posyłał do gazet – raz wiersze (chowam cały kajet, pokażę ci kiedyś), a drugi raz – powieść (sama go prosiłam, żeby dał mi ją przepisać). Jakiśmy się obydwójce modlili, żeby przyjęli, ale nie przyjęto! Tydzień temu, Rodia, zamartwiałam się, patrząc na twoje ubranie, na to, jak ty żyjesz, co jesz i w czym chodzisz. Teraz widzę, że też byłam głupia, bo gdy zechcesz, to wszystko od razu zdobędziesz rozumem i talentem. Tylko że ty na razie nie chcesz, bo jesteś zajęty ważniejszymi sprawami.

– Duni nie ma w domu, mamó?

– Nie ma. Bardzo często wychodzi i zostawia mnie samą. Dobrze jeszcze, że Dymitr Prokofjicz przychodzi posiedzieć ze mną i ciągle mówi o tobie. On ciebie lubi i szanuje, mój drogi. Nie mówię, żeby znów Dunia była taka bardzo niedobra dla mnie. Ja się przecież nie skarżę. Ona ma inne usposobienie niż ja. Ma jakieś swoje tajemnice, ja tam nie mieszkam przed wami sekretów. Jestem oczywiście pewna, że Dunia jest mądra i kocha nas... ale doprawdy nie wiem, do czego to wszystko doprowadzi. Tyle mi radości sprawiłeś, Rodia, tym swoim przyjściem, a ona sobie spaceruje. Jak przyjdzie, to jej powiem: był tu twój brat, a ty gdzie się podziewałaś? Nie rozpieszczaj mnie, Rodia, za bardzo. Gdy masz czas, to wpadnij, a jak jesteś zajęty, to trudno, ja poczekam. Przecież wiem, że ty mnie kochasz, i to mi wystarcza. Będę sobie czytała twoje prace, będę od wszystkich słyszała o tobie, a czasami przyjdiesz mnie odwiedzić, czyż może być lepiej? Przecież przyszedłeś teraz pocieszyć matkę, ja to widzę...

Pulcheria Aleksandrowna nagle się rozplakała.

– Znowu zaczynam. Nie zwracaj na mnie, głupia, uwagi! Ach, mój Boże, czemu ja tak siedzę – krzyknęła, zrywając się z miejsca – przecież jest kawa, a ja cię nie częstuję! Ach, co znaczy starczy egoizm. Zaraz, zaraz!

– Zostaw, mamó, zaraz wychodzę, nie po to przyszedłem. Proszę cię, wysłuchaj mnie.

Pulcheria Aleksandrowna podeszła do niego nieśmiało.

– Mamó, cokolwiek się stanie, bez względu na to, co byś o mnie słyszała, co by ci o mnie powiedziano, czy będziesz mnie zawsze kochała tak, jak teraz? – zapytał czule, bez namysłu, nie ważąc słów.

– Rodia, Rodia, co się z tobą dzieje? Jak możesz o coś takiego pytać! Co mi kto może o tobie powiedzieć? Ależ ja nikomu nie uwierzę, żeby nie wiem kto przyszedł, po prostu go wyrzucę.

– Przyszedłem, żeby cię zapewnić, że zawsze cię kochałem, i cieszę się nawet, że jesteśmy sami, że Duni nie ma – ciągnął dalej w serdecznym porywie. – Przyszedłem ci powiedzieć, że chociaż będziesz nieszczęśliwa, ale pamiętaj, że syn twój kocha cię nad życie i że to była nieprawda, gdy myślałaś, że cię nie kocham i że jestem dla ciebie okrutny. Nigdy nie przestanę cię kochać... Ale dosyć, zdawało mi się, że to właśnie powinienem był powiedzieć i od tego zacząć...

Pulcheria Aleksandrowna obejmowała go, tuliła do piersi i cicho płakała.

– Nie wiem, Rodia, co się z tobą dzieje – powiedziała wreszcie. – Cały ten czas myślałam, że po prostu naprzykrzamy ci się, teraz zaś widzę, że czeka cię jakieś wielkie nieszczęście, dlatego jesteś taki zatroskany. Od dawna już to przeczuwałam. Wybacz mi, że zaczęłam o tym mówić, lecz ciągle o tym myślę, nie śpię po nocach. Całą tę noc twoja siostra ciągle majaczyła i mówiła o tobie przez sen. Coś niecoś słyszałam, ale nic nie mogłam zrozumieć. Cały ranek chodziła jak struta, na coś czekała, coś przeczuwała i oto doczekała się! Rodia, Rodia, co z tobą będzie? Wyjeżdżasz gdzieś?

– Wyjeżdżam.

– Tak sobie właśnie myślałam! Jeśli musisz wyjechać, to przecież ja mogę pojechać z tobą. I Dunia też; ona ciebie tak kocha, bardzo cię kocha, a nawet Sofia Siemionowna niech sobie z nami jedzie, jeśli jest to potrzebne; widzisz, ja chętnie przyjmę ją za córkę. Dymitr Prokofjicz pomoże nam wszystkim się wybrać... ale dokąd ty... jedziesz?

– Żegnaj, mamó.

– Jak to, już dzisiaj?! – krzyknęła, jakby traciła go na zawsze.

– Muszę, czas na mnie, bardzo się śpieszę...

– A ja nie mogę z tobą razem?

– Nie. Uklęknij, mamó, i módl się. Może Bóg wysłucha twojej modlitwy.

– Chodź, przeżegnaj cię, pobłogosławię! O tak, tak. O Boże, co się z nami stanie?

Tak, cieszył się, był bardzo zadowolony, że nikogo nie było, że był sam z matką. Po tych wszystkich strasznych przejściach teraz zmiękło mu serce. Padł przed nią na kolana, całował jej nogi. Objąwszy się, oboje płakali. Nie dziwiła się i nie wypytywała go tym razem. Od dawna przeczuwała, że z synem dzieje się coś strasznego, a teraz wiedziała, że nadchodzi najgorsza dla niego chwila.

– Rodia, mój kochany, mój pierworodny – mówiła, łkając – teraz jesteś taki, jak kiedy byłeś mały, tak samo przychodziłeś do mnie, tak samo obejmowałeś i całowałeś. Kiedyśmy jeszcze razem z ojcem żyli i biedowali, pociechą nam było to, że ty z nami jesteś, a gdy pochowałam ojca, ileż to razy, objęci jak teraz, płakaliśmy na jego mogile. A że ja ciągle płaczę, to dlatego, że serce matki przeczuwało nieszczęście. Pierwszy raz, jak cię zobaczyłam tego wieczoru, kiedyśmy przyjechały tutaj, to ze spojrzenia twego wszystko odgadłam. Serce mi się wtedy ścisnęło, a dziś, kiedy ci otworzyłam, spojrzałam, no, myślę sobie, nadeszła fatalna chwila. Rodia, Rodia, ty przecież nie zaraz wyjeżdżasz?

– Nie.

– Przyjdziesz jeszcze?

– Tak... przyjdę.

– Rodia, nie gniewaj się, nie śmiem cię wypytywać. Wiem, że nie powinnam, ale powiedz mi choć dwa słowa, czy ty daleko jedziesz?

– Bardzo daleko.

– Czy będziesz tam pracował, czy to jakaś kariera dla ciebie?

– Jak Bóg da... módl się tylko za mnie...

Raskolnikow skierował się ku drzwiom, lecz ona uchwyciła się go i z rozpaczą patrzyła mu w oczy. Twarz jej wykrzywiło przerażenie.

– Dosyć już, mam – powiedział Raskolnikow, który w tej chwili szczerze żałował, że tu przyszedł.

– Przecież nie na zawsze? Wszak nie na zawsze? Przyjdiesz jeszcze, przyjdiesz jutro?

– Przyjdę, przyjdę, żegnaj.

Wyrwał się jej wreszcie.

Wieczór był pogodny, ciepły i jasny. Od rana już się wypogodziło. Raskolnikow szedł do swego mieszkania, spieszył się. Chciał zakończyć wszystko przed zachodem słońca. Do tego czasu nie miał chęci widzieć się z kimkolwiek. Idąc po schodach, zauważył, że Nastka, podnosząc oczy od samowara, śledzi go i patrzy w ślad za nim. „Czyżby ktoś był u mnie?” – pomyślał i ze wstrętem wyobraził sobie Porfirego. Lecz otworzywszy drzwi do swego pokoju, ujrzał Dunię. Siedziała sama, w głębokim zamyśleniu i chyba od dawna czekała na niego. Raskolnikow zatrzymał się na progu. Dunia z przestraczem podniosła się z kanapy i stała przed nim wyprostowana. Spojrzenie jej wyrażało grozę i niewypowiedziany ból. Po tym jednym spojrzeniu poznał, że ona wie o wszystkim.

– I cóż, mam wejść do ciebie czy odejść? – zapytał nieufnie.

– Cały dzień przesiedziałam u Sofii Siemionowny, czekałyśmy na ciebie. Myślałyśmy, że na pewno tam przyjdiesz.

Raskolnikow wszedł do pokoju i osunął się bezsilnie na krzesło.

– Jestem taki osłabiony, Duniu, jestem bardzo zmęczony, a chciałbym teraz w pełni panować nad sobą.

Spojrzał na nią nieufnie.

– Gdzieś ty był przez całą noc?

– Nie pamiętam dobrze. Widzisz, Duniu, chciałem się już raz na coś zdecydować. Kilkakrotnie wracałem nad Nową, to przypominam sobie. Chciałem skończyć ze sobą, ale... nie mogłem się zdecydować... – szepnął, znowu spoglądając nieufnie na Dunię.

– Dzięki Bogu! Tego właśnie obawiałyśmy się z Sofią Siemionowną. Zatem wierzysz w to, że życie jest jeszcze przed tobą, dzięki Bogu, dzięki Bogu!

Raskolnikow uśmiechnął się gorzko.

– Nie wierzyłem, ale tylko co płakałem razem z matką, w jej objęciach. Jestem niewierzący, ale prosiłem ją, żeby modliła się za mnie. Bóg wie, co się ze mną dzieje, Duniu, ja nic z tego nie rozumiem.

– Byłeś u matki? Powiedziałaś jej? – z przerażeniem zawołała Dunia. – Czyżbyś odważył się jej powiedzieć?

– Nie, nie powiedziałem jej... wyraźnie. Ale ona dużo rozumiała. Słyszała, jak majaczyłaś w nocy. Jestem pewny, że przynajmniej połowy się domyśla. Może źle zrobiłem, że poszedłem do niej. Nawet nie wiem, po co to zrobiłem. Jestem podłym człowiekiem, Duniu.

– Podłym? A przecież gotów jesteś wziąć na siebie cierpienie! Przecież uczynisz to?

– Tak. Zaraz. I właśnie, żeby uniknąć tej hańby, chciałem się utopić. Ale

stojąc nad wodą, pomyślałem sobie, że jeżeli dotychczas uważałem, że jestem silny, to i tej hańby nie powinienem się teraz ulęknąć. Czy to jest duma, Duniu?

– Tak, Rodia, to jest duma.

Jej przygaste oczy rozbłyły na chwilę, jakby sprawiło jej przyjemność, że on ma jeszcze dumę.

– A czy ty nie sądzisz, że po prostu strach mnie obleciał przed wodą? – zapytał, patrząc jej w oczy ze szpetnym uśmiechem.

– Och, Rodia, przestań! – z wyrzutem zawołała Dunia.

Na chwilę zaległo milczenie. Raskolnikow siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę. Dunia stała przy drugim końcu stołu i z udręką przyglądała się bratu. Nagle wstał.

– Już późno, czas na mnie! Zaraz idę się zadenuncjować. Ale nie wiem, dlaczego właściwie to robię.

Wielkie łzy spływały po policzkach Duni.

– Płaczesz, siostrzyczko, a czy możesz podać mi rękę?

– Czyżbyś wąpił?

Mocno go uściskała.

– Czyż biorąc na siebie cierpienie, nie odkupujesz przynajmniej częściowo swojej zbrodni? – dodała w uniesieniu, trzymając go w objęciach i całując.

– Zbrodnia? Jaka zbrodnia! – krzyknął nagle Raskolnikow w przystępie niespodziewanej furii. – Czy to ma być zbrodnią, że zabiłem wstrętą, szkodliwą wesz, starą lichwiarzkę, nikomu niepotrzebną, za której zgładzenie powinny być wszystkie grzechy odpuszczone, która wysysała z biedaków żywą krew? Nie myślę o tym i ani mi się śni odkupywać tę zbrodnię. I czemu wytykają mi ze wszystkich stron: „zbrodnia, zbrodnia!”. Dopiero teraz widzę wyraźnie całą absurdalność mojej małoduszności, teraz, kiedy się już zdecydowałem znieść tę niepotrzebną hańbę! Zdecydowałem się po prostu dlatego, że jestem podły i głupi, no i dlatego jeszcze, że tak będzie dla mnie lepiej, jak to twierdził... ten... Porfiry!...

– Rodionie, Rodia, co ty mówisz! Przecież ty przelałeś krew! – z rozpaczą powiedziała Dunia.

– Którą wszyscy przelewają – podchwycił w zapamiętaniu – która leje się i która zawsze lała się na świecie strumieniami, którą przelewają jak szampan i za którą wieńczą na Kapitolu<sup>[169]</sup> i nadają tytuł dobroczyńcy ludzkości. Zastanów się tylko i przyjrzyj uważnie. Chciałem dobra dla ludzi i spełniłbym setki, tysiące dobrych uczynków zamiast tego jednego głupstwa, a właściwie nawet nie głupstwa, lecz tylko niezręczności, bowiem cały ten pomysł wcale nie był taki głupi, jak się to teraz wydaje, gdy się nie udał... (Wobec niepowodzenia wszystko wydaje się głupie!). Tym głupstwem chciałem tylko zdobyć sobie niezależność, zrobić pierwszy krok, znaleźć środki, a potem wszystko wyrównałoby się przez osiągnięcie niewspółmiernie wielkich korzyści... Ale ja, ja załamałem się już przy pierwszym kroku, bo jestem podły! Na tym polega cała rzecz! Mimo to nie uznaję waszych poglądów: gdyby mi się udało, włożono by mi wieniec, a teraz zakuja w kajdany!



– Ależ nie o to chodzi, zupełnie nie o to! O czym ty, Rodia, właściwie mówisz!?

– Aha! Forma była nieodpowiednia, za mało estetyczna! Absolutnie nie rozumiem, dlaczego walenie w ludzi bombami, wykańczanie regularnym obłęzieniem ma być formą bardziej szacowną? Lęk przed estetyką jest pierwszą oznaką bezsilności!... Nigdy, nigdy w życiu nie zdawałem sobie z tego sprawy lepiej niż w tej chwili i bardziej niż kiedykolwiek nie rozumiem, na czym polegała moja zbrodnia! Nigdy, nigdy nie byłem silniejszy i bardziej pewny siebie!

Krew uderzyła mu do bladej, zmęczonej twarzy. Lecz wykrzykując ostatnie zdanie, spotkał się ze spojrzeniem Duni i tyle bólu było w jej oczach, że mimo woli zreflektował się. Zdał sobie sprawę, że mimo wszystko unieszczęśliwił te dwie biedne kobiety. Mimo wszystko z jego winy...

– Duniu kochana! Jeżeli zawiniłem, to wybac mi (choćby jeśli zawiniłem, to chyba nie można mi wybaczyć). Żegnaj! Nie spierajmy się! Już czas, najwyższy czas. Nie idź za mną, błagam cię, muszę jeszcze gdzieś wstąpić... Idź natychmiast do matki. Zaklinam cię! To jest ostatnia, największa moja prośba do ciebie. I nie odchodź od niej! Zostawiłem ją w takiej trwodze, że wątpię, czy wytrzyma: umrze lub dostanie pomieszania zmysłów. Bądź przy niej! Razumichin was nie opuści, mówiłem mu już... Nie płacz nade mną: postaram się być mężny i uczciwy przez całe życie, choć jestem mordercą. Może kiedyś usłyszysz jeszcze o mnie. Nie będziecie potrzebowały się mnie wstydzić, zobaczysz. Ja jeszcze dowiodę... a tymczasem do widzenia – zakończył pośpiesznie, zauważywszy znowu dziwny wyraz oczu Duni, gdy dawał te obietnice. – Czemu płaczesz? Nie płacz, nie płacz, przecież nie rozstajemy się na zawsze! Ach, prawda! Czekaj, zapomniałem jeszcze!

Podszedł do stołu, wziął grubą, zakurzoną książkę i wyjął włożoną pomiędzy kartki maleńką akwarelę na kości słoniowej. Był to portret córki gospodyni, jego zmarłej narzeczonej, tej dziwnej dziewczyny, która chciała wstąpić do klasztoru. Patrzył przez chwilę na tę wyrazistą, chorowitą twarzyczkę, pocałował portrecik i wręczył go Duni.

– Wiele z nią rozmawiałem, również i o tym, z nią jedną – powiedział zamyślony. – Powierzyłem jej wiele z tego, co się teraz tak potwornie urzeczywistniło. Bądź spokojna – zwrócił się do Duni – nie zgadzała się ze mną, jak i ty. Cieszę się, że tego nie dożyła. Najważniejsze jest to, że teraz wszystko zacznę na nowo, teraz będzie przełom! – krzyknął nagle, wracając do nurtującej go rozpacz. – Ale czy jestem do tego przygotowany? Czy pragnę tego? Powinienem jakoby przejść przez tę próbę! W jakim celu, po co mi te bezmyślne próby? Po co? Czy po dwudziestu latach katorgi, złamany cierpieniem, w starczym otępieniu i niemocy będę miał lepszy pogląd na świat niż teraz? Czy będę jeszcze zdolny do życia? Dlaczego właściwie godzę się na to? O, jak dobrze wiedziałem, co za marny człowiek ze mnie, gdy dziś o świcie stałem nad brzegiem Newy!

Wreszcie wyszli razem. Ciężko było Duni, ale kochała go. Rozstali się. Oddalwszy się o jakieś pięćdziesiąt kroków, Dunia odwróciła się, aby raz jeszcze spojrzeć na brata. Jeszcze było go widać. Doszedłszy do rogu, on

również się odwrócił. Po raz ostatni spotkały się ich spojrzenia, lecz zauważywszy, że ona patrzy na niego, Raskolnikow z niecierpliwością, a nawet ze złością machnął ręką, aby szła dalej, sam zaś szybko skręcił za róg.

„Jestem okrutny, sam to widzę – pomyślał, zawstydzony się po chwili swego gwałtownego gestu wobec Duni. – Ale dlaczego one mnie tak kochają, skoro nie jestem tego wart! Ach, gdybym był sam, przez nikogo nie kochany i gdybym nikogo nie kochał! Nie zdarzyłoby się to wszystko! Ciekawe, czy po tych piętnastu lub dwudziestu latach dusza moja skruszeje do tego stopnia, że będę pokornie skamlał przed ludźmi, nazywając się co drugie słowo mordercą? A właśnie, właśnie! Przecież po to właśnie mnie ześlą, to jest im potrzebne... Oto łążą sobie po ulicach tam i z powrotem, a przecież każdy z nich to z natury łotr i rozbójnik i co gorsza, idiota! Ale gdyby nie skazano mnie na zesłanie, to oni wszyscy uniosą się szlachetnym oburzeniem! O, jakże ich nienawidzę!”

Głęboko zamyślił się nad tym, „jakiż to proces może doprowadzić do tego, że w końcu on, Raskolnikow, bez jakiegokolwiek refleksji ukorzy się przed nimi wszystkimi, ukorzy się z przekonania! A zresztą czemu nie?! Oczywiście, o to przecież chodzi. Czyż dwadzieścia lat nieustannej poniewierki nie może ostatecznie załamać człowieka? Kropla draży kamień. Więc po co, po co wobec tego żyć, w imię czego teraz tam idę, skoro wiem, jakbym czytał to w książce, że wszystko odbędzie się tak właśnie, nie inaczej!”

Po raz setny może zadawał sobie od wczoraj to pytanie, lecz mimo to szedł dalej.

Zmierzch już zapadał, gdy przyszedł do Soni, która przez cały dzień czekała na niego ze strasznym niepokojem. Przez czas jakiś była u niej Dunia. Przyszła rano, przypomniawszy sobie wczorajsze słowa Swidrygajłowa, że Sonia „wie o wszystkim”.

Nie będziemy opisywać szczegółów rozmowy tych dwóch kobiet, prowadzonej wśród łez, ani tego, jak bardzo się do siebie zbliżyły. Dunia ze spotkania z Sonią wyniosła przynajmniej tę pociechę, że brat jej nie będzie sam. Do Soni pierwszej przyszedł ze swoim wyznaniem: w niej szukał człowieka, gdy człowiek był mu potrzebny; ona też pójdzie za nim tam, dokąd rzuci go los. Dunia, nie pytając, wiedziała, że tak będzie. Odnosiła się do Soni nawet z pewnego rodzaju czcią i tak ją tym z początku spłoszyła, że ta omal się nie rozplakała. Bo Sonia ze swej strony uważała się za niegodną nawet oczu podnieść na Dunię. Na zawsze wrył się jej w pamięć obraz Dunii, gdy ta przy pierwszym spotkaniu u Raskolnikowa pożegnała ją tak bardzo uprzejmie i z takim uszanowaniem. To była jedna z piękniejszych i najwznieściejszych chwil w jej życiu.

Wreszcie Dunia nie wytrzymała i zostawiła Sonię, aby czekać na brata w jego mieszkaniu. Miała ciągle wrażenie, że Rodion najpierw tam wstąpi. Gdy Sonia została sama, zaczęła ją dręczyć myśl, że Raskolnikow rzeczywiście gotów jest popełnić samobójstwo. Dunia również się tego obawiała. Ale przez cały dzień pocieszały się wzajemnie różnymi argumentami, że to jest niemożliwe, i póki siedziały razem, Sonia była spokojniejsza. Przypomniła sobie, że Swidrygajłow powiedział jej wczoraj, iż Raskolnikow ma dwie drogi do wyboru: Sybir albo... Poza tym wiedziała przecież, jaki był próżny, wyniosły i samolubny, a przy tym niewierzący. „Czyżby tylko strach przed śmiercią i małoduszność trzymały go przy życiu?” – myślała z rozpaczą. Słońce zachodziło. Smutna stała przy oknie, wypatrując, ale przez jej okno widać było tylko nieotynkowaną szczytową ścianę sąsiedniego domu. Wreszcie, gdy niemal pewna była śmierci nieszczęśnika, Raskolnikow wszedł do jej pokoju.

Okrzyk radości wyrwał się z jej ust, lecz spojrzawszy w jego twarz, pobladła nagle.

– Ano tak! – powiedział z uśmiechem Raskolnikow. – Przyszedłem po twój krzyżyk, Soniu. Sama posyłałaś mnie na plac do ludzi, czyżbyś teraz, gdy przyszło co do czego, straciła odwagę?

Sonia patrzyła na niego zdumiona. Dziwnym wydawał się jej jego ton, zimny dreszcz ją przeszył, lecz po chwili domyśliła się, że i ton, i to, co powiedział, było tylko brawurą. Mówiąc z nią, patrzył gdzieś w kąt, unikał jej wzroku.

– Doszedłem do wniosku, Soniu, że może tak będzie rzeczywiście lepiej. Jest pewna okoliczność... Długo by trzeba o tym mówić, nie warto zresztą. Jedno mnie tylko złości, wiesz co? Wściekły jestem, że te wszystkie głupie, bydlęce gęby obstąpią mnie zaraz dokoła, wytrzeszczą na mnie swoje gały, zaczną zadawać idiotyczne pytania, na które trzeba będzie odpowiadać, będą

mnie pokazywali sobie palcami... Tfu! Wiesz, nie pójdę do Porfirego, znieść go nie mogę. Pójdę lepiej do swego przyjaciela Procha, to go dopiero zadziwię, wywołam swego rodzaju wielki efekt. Należałoby tylko mieć więcej zimnej krwi, za bardzo żółciowy jestem ostatnio. Czy dasz wiarę, że przed chwilą pogroziłem siostrze pięścią za to tylko, że się odwróciła, by spojrzeć na mnie po raz ostatni. To świństwo! W takim stanie jestem, do tego doszedłem! A więc, gdzie ten krzyżyk?

Był jakby nieswój. Nie mógł ani chwili ustać spokojnie, na niczym nie mógł skupić myśli, które przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot. Jąkał się, ręce mu drżały.

Sonia w milczeniu wyjęła z szuflady dwa krzyżyki, cyprysowy i miedziany. Przeżegnała się sama, przeżegnała Raskolnikowa i włożyła mu na szyję cyprysowy krzyżyk.

– A więc to ma być symbol tego, że biorę na siebie krzyż, che! che! Bo do tej pory to niby mało cierpiałem! Cyprysowy, czyli dla prostaczków; miedziany, Lizawiecy, bierzesz dla siebie, pokaż go! Więc ona miała go na sobie...wtedy? Pamiętam podobny srebrny krzyżyk i szkaplerz. Rzuciłem je wtedy starej na piersi. A teraz by się przydały, w sam raz dla mnie... Ale co ja plotę! Zapomnę, po co przyszedłem, jestem jakiś roztargniony!... Widzisz, Soniu, właściwie przyszedłem, żeby cię uprzedzić, żebyś wiedziała... To wszystko... Po to tylko przyszedłem (Hm! Myślałem jednak, że coś więcej ci powiem). Przecież ty sama chciałaś, żebym poszedł, no więc będę siedział w więzieniu i spełni się twoje życzenie. Czemu płaczesz? Ty także? Przestań, nie ma czego. Och, jak mi to wszystko ciąży!

Obudziło się w nim jednak uczucie, serce krajało się, gdy patrzył na nią: „A ta znów czego, czego ta? – myślał. – Kim jestem dla niej? Czemu ona płacze, czemu odprowadza mnie tak, jak matka lub Dunia? Chce być moją niańką!”.

– Pomódl się, przeżegnaj się choć raz – drżącym głosem poprosiła nieśmiało Sonia.

– Proszę cię bardzo, ile tylko zechcesz! Zupełnie szczerze, Soniu, zupełnie szczerze...

Zresztą chciał jej powiedzieć coś innego.

Przeżegnał się kilka razy. Sonia schwyciła swoją chustkę i narzuciła ją na głowę. Była to zielona, kortowa chusta, prawdopodobnie ta sama „rodzinna” chusta, o której wspominał Marmieladow. Raskolnikowowi przyszło to na myśl, lecz nie zapytał o to. Rzeczywiście czuł, że jest nadzwyczaj roztargniony i potwornie zdenerwowany. Przeraził się tym. Wstrząsnęło nim raptem to, że Sonia wybiera się razem z nim.

– Co to? Dokąd? Zostań, zostań! Ja sam! – krzyknął z małoduszną irytacją i prawie ze złością, i skierował się ku drzwiom. – Zbyteczna mi jest cała świta! – mruknął na odchodne.

Sonia została na środku pokoju. Nie pożegnał się z nią nawet, już o niej zapomniał. Nurtowała go dręcząca, buntownicza wątpliwość:

„Czy dobrze robię? Czy tak ma być? – myślał, schodząc ze schodów. – Czy nie można by się wstrzymać, pokierować wszystkim inaczej i... nie pójść?”.

Ale jednak szedł. Nagle poczuł wyraźnie, że nie ma po co zadawać sobie tych pytań. Wyszedłszy na ulicę, przypomniał sobie, że nie pożegnał się z Sonią, że zostawił ją na środku pokoju, z jej zieloną chustą, onieśmiałym jego krzykiem. Przystanął na chwilę. W ciągu tej chwili błysnęła mu myśl, która jakby czekała tylko na to, by go ostatecznie zgnębić.

„W jakim celu, po co przyszedłem do niej teraz? Powiedziałem, że w pewnej sprawie, ale w jakiej sprawie? Nie miałem do niej żadnego interesu! Zawiadomić ją, że idę, więc co z tego? Też mi sprawa! Czy ją kocham? Przecież nie, nie? Wszak odpędziłem ją jak psa. Czyżby naprawdę zachciało mi się jej krzyżyka? Ach, jak ja nisko upadłem! Nie, potrzebny mi był widok jej bólu i cierpienia! Trzeba było się o coś zaczepić, odwlec, popatrzeć na człowieka! I jak ja mogłem tak liczyć na siebie, tak o sobie marzyć, ja, mizerny, marny człowiek, łotr, łotr!”

Szedł brzegiem kanału i było już niedaleko. Doszedłszy do mostu, zatrzymał się, nagle skręcił na most i ruszył na plac Sienny.

Uporczywie rozglądał się na wszystkie strony, wpatrywał się z natężeniem w każdy przedmiot, lecz na niczym nie mógł skupić uwagi. „Za jakiś tydzień czy miesiąc będę jechał w więziennej karetkie przez ten most, jak też wtedy będę patrzył na ten kanał? Trzeba by to zapamiętać! – przemknęło mu przez myśl. – Ten szyld, na przykład, jak ja będę czytał wówczas te litery? O tu napisane: Towarzystwo, trzeba zapamiętać to ż, literę ż, spojrzę na nią za miesiąc, na to samo ż, jak będę patrzył wtedy? Co będę czuł i myślał? Boże, jakże marne wydadzą mi się te wszystkie moje dzisiejsze... troski! Rozumie się, że to musi być ciekawe... w swoim rodzaju... (cha-cha-cha! O czym ja myślę!). Ja dziecinnieję, sam przed sobą pozuję, po co się zawstydzam? Tfu, jak się pchają! Ten grubas, pewno Niemiec, który mnie potrącił, czy on wie, kogo pchnął? Baba z dzieckiem prosi o jałmużnę, ciekawe, że ona uważa mnie za szczęśliwszego od siebie. Cóż, można by jej coś dać dla chęcy. Ba, pięć kopiejek ocalało mi w kieszeni, skąd? Macie, macie... weźcie, matko!

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece! – rozległ się płaczliwy głos żebraczki.

Wszedł na plac Sienny. Przykra mu była ta ciżba, lecz szedł właśnie tam, gdzie gromadziło się najwięcej ludzi. Dałby wszystko, żeby się znaleźć sam, lecz czuł zarazem, że sam nie wytrzymałby ani chwili. W tłumie awanturował się jakiś pijak, chciał tańczyć, ale zataczał się tylko. Raskolnikow przecisnął się przez otaczającą pijaka gromadę ludzi, popatrzył na niego przez kilka minut i nagle roześmiał się krótko i urywanie. Po chwili zapomniał już o nim, nie widział go nawet, choć patrzył w dalszym ciągu. Odszedł wreszcie, nie pamiętając, gdzie się znajduje, lecz gdy doszedł do środka targowiska, nowe uczucie owładnęło nim, opanowało jego myśli i ciało.

Przypomniał sobie nagle słowa Soni: „Idź na rozdroże, złóż pokłon, ucałuj ziemię, boś ją splugawił, i powiedz na cały głos wszystkim: «Zabiłem!»”. Zadrżał, przypomniawszy to sobie. Tak dalece zgnębiła go beznadziejna rozpacz i trwoga, zwłaszcza w tych ostatnich paru godzinach, że kurczowo uchwycił się tego nowego, silnego i niepodzielnego uczucia. Było to niczym atak, w duszy zatliła mu się jedna iskra i nagle cały jakby stanął

w płomieniach. Od razu zmiękło mu serce, polały się łzy. W miejscu, na którym stał, padł na kolana...

Kłęknął pośrodku placu, pokłonił się, pocałował brudną ziemię z upojeniem i radością. Wstał, pokłonił się raz jeszcze.

– Ale się urznął! – zauważył obok niego jakiś chłopak. Rozległ się śmiech.

– Ludziska kochani, on idzie do Jerozolimy, żegna się z dziećmi i z ojczyzną, całemu światu się kłania, stołeczne miasto Sankt-Petersburg i jego grunt całuje! – dorzucił jakiś pijaniuteński mieszczanin.

– Jeszcze całkiem młody – wtrącił ktoś trzeci.

– Ze szlachty! – zawyrokował ktoś inny poważnym głosem.

– A bo to dziś można wiedzieć, kto ze szlachty, a kto nie.

Wszystkie te okrzyki i rozmowy powstrzymały Raskolnikowa i słowo „zabiłem”, które już drżało mu na ustach, zamarło. Spokojnie jednak zniósł te okrzyki i nie oglądając się, poszedł przez zaułek prosto do kancelarii policji. Pewna postać mignęła mu po drodze, lecz nie zdziwił się, przeczuwał, że tak być powinno. Gdy podnosił się z klęczek, w odległości pięćdziesięciu kroków od siebie na lewo ujrzał Sonię. Chowiała się przed nim za drewnianym barakiem, a więc szła za nim w jego drodze przez mękę! Raskolnikow poczuł i zrozumiał w tej chwili, że Sonia jest z nim na zawsze i pójdzie za nim choćby na kraj świata, dokądkolwiek rzuci go los. Serce mu się ścisnęło... ale oto już doszedł do fatalnego miejsca...

Dosyć pewnym krokiem wszedł na podwórze. Trzeba było wejść na drugie piętro. „Zanim dojdę...” – pomyślał. W ogóle wydawało mu się, że od fatalnego momentu dzieli go jeszcze sporo czasu i o wielu rzeczach jeszcze będzie mógł pomyśleć.

Te same zaśmiecone, kręte schody, te same drzwi mieszkań otwarte na oścież, te same kuchnie, z których dolatywał swąd i fetor. Raskolnikow nie był tu od tamtego czasu. Nogi się pod nim uginały, ale szedł. Zatrzymał się na chwilę, żeby odetchnąć, zebrać się w sobie i wejść jak *człowiek*. „Po co? Dlaczego? – pomyślał, zastanowiwszy się nad tą swoją decyzją. – Jeśli już mam wychylić tę czarę, to czy nie wszystko jedno? Im gorzej, tym lepiej. – Wyobraził sobie w tej chwili postać Ilji Pietrowicza Procha. – Czy należało iść akurat do niego? A może do kogoś innego? Zawrócić zaraz i iść do mieszkania samego naczelnika? Przynajmniej odbędzie się wszystko po domowemu... Nie, nie! Do Procha! Do Procha! Jak pić, to pić do dna...”

Zmartwiały i ledwo przytomny otworzył drzwi do kancelarii. Tym razem było bardzo mało osób: jakiś stróż i jeszcze ktoś z gminu. Wartownik nie wyjrzał nawet zza przepierzenia. Raskolnikow przeszedł do następnego pokoju. „A może będzie można jeszcze nie powiedzieć” – błysnęła mu myśl. Tutaj jakiś osobnik w cywilnej marynarce zabierał się do pisania. W kącie sadowił się jakiś inny pisarz. Zamietowa nie było. Naczelnika, naturalnie, również.

– Nie ma nikogo? – zapytał Raskolnikow, zwracając się do osobnika przy biurku.

– A kogo pan potrzebuje?

– A-a-a! Kopę lat, ani widu, ani słyhu... M-mmoje u-uszanowanie! –

zawołał znajomy głos.

Raskolnikow zadrżał. Przed nim stał Proch, który wyszedł z trzeciego pokoju. „To zrządzenie losu – pomyślał Raskolnikow. – Skąd on się tu wziął?”

– Do nas? Z powodu? – wykrzykiwał Proch (był najwyraźniej w doskonałym humorze i jakby nieco podochocony). – Jeżeli w interesie, to za wcześniej pan się pofatygował. Ja sam tu jestem tylko przypadkiem... A zresztą, czym mogę? Przyznam się, panu, panie... jak? Jak? Bardzo przepraszam...

– Raskolnikow.

– Oczywiście, że Raskolnikow! Czyżby pan przypuszczał, że mogłem zapomnieć! Niech pan, bardzo proszę, nie uważa mnie za takiego... Ro... Ro... Rodionie Rodionowiczu, tak zdaje się?

– Rodion Romanowicz.

– Tak, tak, tak! Rodion Romanowicz Raskolnikow, Rodion Romanowicz Raskolnikow! O to właśnie mi szło. Nawet wielokrotnie się dowiadywałem. Przyznam się panu, że bardzo mi było przykro, żeśmy z panem tak wtedy... potem mi wytłumaczono, dowiedziałem się, że młody literat, a nawet uczony... i że tak powiem, pierwsze kroki... Mój Boże! Który z literatów i uczonych na początku nie popełniał różnych oryginalnych kroków! Ja i moja żona, obydwójce, cenimy literaturę, a żona to aż do szaleństwa!... Literaturę i sztukę! Niech tylko człowiek będzie szlachetny, a całą resztę można zdobyć talentem, wiedzą, rozumem, geniuszem! Kapelusz, na przykład, co to jest kapelusz? Kapelusz to jest nic, mogę go sobie kupić u Zimmermana, ale tego, co pod kapeluszem, tego, co kapelusz przykrywa, tego nie kupię!... Przyznam się panu, że nawet wybierałem się do pana, żeby się wytłumaczyć, ale pomyślałem, że może pan... Ale że też się nie zapytałem, pan rzeczywiście ma jakąś sprawę? Podobno krewni do pana przyjechali?

– Tak, matka i siostra.

– Miałem nawet honor i przyjemność poznać pańską siostrę – wykształcona i urocza osoba. Wyznam panu, iż żałowałem, żeśmy się wtedy z panem tak rozgorączkowali. *Casus!* A że ja pana wtedy z powodu pańskiego omdlenia obrzuciłem takim spojrzeniem, to się potem znakomicie wyjaśniło! Zabobon i fanatyzm! Rozumiem pańskie oburzenie. Może ze względu na przyjazd rodziny zmienia pan mieszkanie?

– N-nie, ja tylko tak... Wstąpiłem zapytać się... myślałem, że zastanę tu Zamietowa.

– Ach, tak! Podobno pan się z nim zaprzyjaźnił, słyszałem. Ale Zamietowa tu nie ma, nie zastał go pan. Tak, straciliśmy Aleksandra Grigoriewicza! Od wczoraj już tu nie pracuje, został przeniesiony... a przedtem pokłócił się ze wszystkimi... to było po prostu niegrzeczne... Lekkomyślny młokos, nic więcej. Był nawet dosyć obiecujący, ale tak to już bywa z tą naszą obiecującą młodzieżą! Ma zdawać jakiś tam egzamin, ale u nas kończy się to na pogawędce i fanfaronadzie. To nie to przecież, co, na przykład, pan albo pański przyjaciel Razumichin. Pan robi karierę na niwie naukowej i żadne niepowodzenia nie mogą w tym przeszkodzić! Wszystkie rozkosze życia to



dla pana, że tak powiem, *nihil est*<sup>[170]</sup>, asceto<sup>[171]</sup>, mnichu, pustelniku!... Księga, pióro za uchem, badania naukowe – oto kraina pańskiego ducha! Ja sam w pewnej mierze... Czy pan czytał pamiętniki Livingstone'a<sup>[172]</sup>?

– Nie.

– A ja czytałem. W dzisiejszych czasach namnożyło się nihilistów co niemiara. Ale to zrozumiałe, co za czasy, niech pan powie! A zresztą ja z panem... pan przecież nie jest nihilistą? Niech pan mi tak szczerze powie, zupełnie szczerze.

– N-nie...

– Nie, niech pan będzie ze mną szczerzy, niech się pan nie krępuje, wie pan, jakby pan był sam na sam ze sobą! Rzecz inna służba, a inna... pan myślał, że powiem: družba, nie, nie zgadł pan! Nie družba, lecz świadomość obywatela i człowieka, uczucie humanitarne oraz umiłowanie Najwyższego. Mogę być osobą urzędową, na stanowisku, ale zawsze powinienem czuć się obywatelem i człowiekiem, i zdawać sobie sprawę... Pan raczył wspomnieć o Zamietowie. Taki Zamietow robi jakiś skandal we francuskim guście w jakimś nieprzyzwoitym zakładzie, przy szklance szampana czy innego wina i to wszystko, co potrafi pański Zamietow! A ja, że tak powiem, płoną oddaniem i szlachetnymi uczuciami, ponadto mam wpływy, rangę, stanowisko! Jestem żonaty i mam dzieci. Wypełniam obowiązki obywatela i człowieka, a on co za jeden, pozwoli pan się zapytać? Zwracam się do pana jako do człowieka uszlachetnionego przez wykształcenie. A tych akuszerok co się teraz namnożyło<sup>[173]</sup>!

Raskolnikow spojrzał na niego pytająco. Słowa Procha, który najwidoczniej niedawno oderwał się od kieliszka, brzęczały i obijały mu się o uszy jak puste dźwięki, lecz coś niecoś rozumiał z tego jednak i nie wiedział, czym się to wszystko skończy.

– Mówię o tych strzyżonych pannicach – ciągnął rozmowny Ilja Pietrowicz – to ja je nazwałem akuszerkami i uważam, że zupełnie trafnie. Che-che! Pchają się do akademii, uczą się anatomii, ale niechże pan powie, czy jak zachoruję, to mogę wezwać taką pannicę, żeby mnie leczyła? Che-che!

Proch śmiał się, zachwycony swymi dowcipami.

– Powiedzmy, że jest to taki niepoohamowany pęd do wiedzy, więc zdobywaj wiedzę, ale daj spokój. Po co zaraz nadużywać? Po co obrażać porządnych ludzi, jak to robi ten łajdak Zamietow? Dlaczego on mnie obraził, pytam się pana? Albo te samobójstwa. Nie może pan sobie wyobrazić, ile się tego namnożyło. Wszyscy oni przepuszczają ostatni grosz i odbierają sobie życie. Dziewczęta, wyrostki, starcy... Nie dalej jak dziś rano zawiadomiono nas o pewnym jegomościu, który niedawno przyjechał. Nile Pawłowiczu, Nile Pawłowiczu! Jak się nazywał ten dżentelmen, o którym mamy doniesienie, że się dzisiaj zastrzelił na Stronie Petersburskiej?

– Swidrygajłow – ochryplym, obojętnym głosem odpowiedział ktoś z drugiego pokoju. Raskolnikow drgnął.

– Swidrygajłow, Swidrygajłow się zastrzelił! – krzyknął.

– Co? Pan zna Swidrygajłowa?

– Tak... Znam... Niedawno przyjechał...

– Zgadza się, niedawno przyjechał. Stracił żonę, straszny hulaka, a tu nagle wziął się i zastrzelił i to tak skandalicznie, że wprost trudno sobie wyobrazić... Zostawił w swoim notesie kilka słów, że odbiera sobie życie w pełni władz umysłowych i prosi, żeby nikogo nie winić za jego śmierć. Ten podobno miał pieniądze. A skąd pan go znał, jeśli wolno zapytać?

– Znałem go... moja siostra była u nich guwernantką...

– Ba-ba-ba... Zatem może nam pan o nim coś niecoś powiedzieć. Czy pan nic nie podejrzewał?

– Wczoraj się z nim widziałem... on... pił wino... nic nie wiedziałem.

Raskolnikow miał wrażenie, że coś spadło na niego i przytłacza go.

– Pan znów jakby pobladł. Tak tu duszno u nas...

– No, czas na mnie – bąknął Raskolnikow – przepraszam, że zabrałem panu czas...

– Ależ proszę bardzo, ile pan tylko zechce! Bardzo mi było miło, bardzo się cieszę...

Proch wyciągnął rękę.

– Chciałem tylko... ja do Zamietowa...

– Rozumiem, rozumiem, bardzo mi było miło.

– Ja... bardzo się cieszę... do widzenia... – Raskolnikow uśmiechnął się.

Wyszedł, chwiejąc się na nogach. Miał zawroty głowy. Zaczął schodzić po schodach, opierając się prawą ręką o ścianę. Zdawało mu się, że jakiś stróż, idący z książką na górę do kancelarii, potrącił go, że jakiś psiak jazgotliwie ujada gdzieś na niższym piętrze, że jakaś kobieta krzyknęła i rzuciła w psiaka wałkiem. Zszedł na podwórze. Na podwórzu tuż koło bramy stała blada, zmartwiała Sonia i patrzyła na niego z przerażeniem. Stał przed nią. Ból, rozpacz i męka malowały się na jej twarzy. Załamała ręce. Żałosny, błyśnięcie uśmiechu ukazał się na jego ustach. Postąpił, uśmiechnął się raz jeszcze i wrócił na górę.

Proch siedział i grzebał się w jakichś papierach. Przed nim stał ten sam stróż, który przed chwilą potrącił Raskolnikowa, wchodząc po schodach.

– A-a-a! Pan znowu! Zapomniał pan coś?... Ale co panu jest?

Raskolnikow ze zbiegającymi ustami, z nieruchomym spojrzeniem wolno podszedł do niego, do samego biurka, oparł się o nie ręką, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Tylko bełkotliwe dźwięki wychodziły mu z gardła.

– Panu jest słabo, krzesło! Niech pan siada, proszę krzesło, niech pan siada! Wody!

Raskolnikow osunął się na krzesło, lecz nie spuszczał oczu z bardzo nieprzyjemnie zaskoczonego Procha. Patrzyli przez chwilę na siebie i czekali. Przyniesiono wodę.

– To ja... – zaczął Raskolnikow.

– Niech pan napije się wody.

Raskolnikow odsunął szklanekę i cicho, z przerwami, ale wyraźnie powiedział:

– To ja zabiłem wtedy siekierą i obrabowałem starą lichwiarę i jej siostrę.

Proch otworzył szeroko usta. Ze wszystkich stron zbiegli się ludzie.

Raskolnikow powtórzył swoje zeznanie...

# Epilog

## I

Syberia. Nad brzegiem szerokiej, pustynnej rzeki leży miasto, jeden z administracyjnych ośrodków w Rosji. W mieście tym jest twierdza, a w twierdzy więzienie. W więzieniu od dziewięciu miesięcy przebywa katorżnik drugiej kategorii<sup>[174]</sup>, Rodion Raskolnikow. Od dnia, w którym popełnił zbrodnię, upłynęło prawie półtora roku.

Sprawa jego odbyła się bez większych trudności. Przestępca zdecydowanie i dokładnie potwierdził swoje zeznania. Nie wikłał okoliczności, nie przeinaczał ich na swoją korzyść, nie przekręcał faktów, nie zapominał o najdrobniejszych szczegółach. Opowiedział z największą dokładnością cały przebieg zabójstwa, wyjaśnił tajemnicę zagadkowego zastawu (drewnianej deseczki z metalową płytką) znalezionej w ręku zabitej staruszki. Opowiedział, jak zabrał zamordowanej klucze, opisał, jak te klucze wyglądały, opisał kufer i jego zawartość, wymienił nawet niektóre znajdujące się tam przedmioty, wytłumaczył zagadkę zabójstwa Lizawiety, opowiedział, jak przyszedł i dobijał się Koch, a po nim student, powtórzył, o czym ze sobą mówili, jak on, zabójca, zbiegł potem ze schodów i słyszał wrzaski Mikołki i Mitki, jak ukrył się w pustym mieszkaniu, jak dotarł do domu, i wreszcie wskazał głąz na prospekcje Wozniesieńskim, przy bramie, gdzie znaleziono rzeczy i sakiewkę. Jednym słowem, wszystko było jasne. Prowadzący śledztwo i sędziowie dziwili się bardzo, że ukrył pod głązem rzeczy i sakiewkę, nie skorzystał z nich, zwłaszcza zaś, że nie tylko nie pamiętał, jakie rzeczy zrabował, lecz pomylił się nawet co do ich ilości. W szczególności okoliczność, że ani razu nie zajrzał do sakiewki i nie wiedział, ile tam było pieniędzy, wydawała się nawet nieprawdopodobna. (W sakiewce było trzysta siedemnaście rubli srebrem i sześćdziesiąt kopiejek. Od długiego leżenia pod głązem niektóre najbardziej wartościowe banknoty, leżące na wierzchu, uległy poważnemu zniszczeniu). Długo usiłowano dociec, dlaczego podsądny przy tej właśnie okoliczności kłamał, podczas gdy szczerze i dobrowolnie przyznaje się do wszystkiego. Wreszcie niektórzy (zwłaszcza spośród psychologów) doszli do wniosku, że być może on rzeczywiście nie zaglądał do sakiewki, a więc nie wiedział, co w niej było, i nie wiedząc, ukrył ją pod kamieniem. Z tego wyciągnięto też wniosek, że całe to przestępstwo mogło mieć miejsce tylko wskutek pewnego rodzaju czasowego zamroczenia umysłowego, tak zwanej chorobliwej monomanii zabójstwa i rabunku bez celu i widoków na zysk. Tutaj, jak na zawołanie, przyszła z pomocą najnowsza, modna teoria czasowego pomieszania zmysłów, którą dziś tak często próbuje się stosować do niektórych przestępców. Przy tym liczni świadkowie – doktor Zosimow, dawni koledzy, gospodyni, służąca – z całą pewnością stwierdzili, że Raskolnikow od dawna był hipochondrykiem. Wszystko to bardzo sprzyjało wyrobieniu przekonania, że Raskolnikow nie jest pospolitym mordercą, rozbójnikiem i rabusem, lecz

że tkwi tutaj coś innego. Ku wielkiemu niezadowoleniu rzeczników tej tezy sam przestępca prawie nie próbował się bronić. Na ostateczne pytania, co właściwie skłoniło go do popełnienia morderstwa i rabunku, odpowiedział zupełnie jasno, z brutalną dokładnością, że powodem było jego złe położenie materialne, nędza i bezradność oraz chęć zabezpieczenia sobie pierwszych kroków kariery za pomocą trzech co najmniej tysięcy rubli, bo liczył, że tyle znajdzie u zabitej. Zdecydował się na zabójstwo wskutek swej małoduszności i lekkomyślności oraz rozjątrzenia wywołanego przez niedostatek i niepowodzenia. Na pytanie zaś, co skłoniło go do zgłoszenia się z samooskarżeniem, odpowiedział po prostu, że szczerą skrucha. Wszystko to było niemal wulgarne...

Wyrok jednak zapadł łagodniejszy, niż można się było spodziewać przy tego rodzaju przestępstwie, być może dlatego właśnie, że oskarżony nie tylko nie próbował się usprawiedliwiać, ale nawet zdradzał skłonność do jeszcze mocniejszego oskarżenia siebie. Wszystkie dziwne i szczególne okoliczności sprawy były wzięte pod uwagę. Chorobliwy stan oskarżonego i jego nędza przed popełnieniem przestępstwa nie ulegały najmniejszej wątpliwości. To, że nie skorzystał z rzeczy zrabowanych, tłumaczono częściowo wyrzutami sumienia, częściowo zaś nienormalnym stanem umysłu w czasie dokonania przestępstwa. Okoliczności towarzyszące morderstwu Lizawiety posłużyły nawet jako dowód potwierdzający to ostatecznie twierdzenie: człowiek dokonuje podwójnego zabójstwa, a jednocześnie zapomina, że drzwi stoją otworem! Wreszcie dobrowolne przyznanie się do winy w chwili, kiedy sprawa niezwykle się zagmatwała wskutek fałszywego samooskarżenia się upadłego na duchu fanatyka (Mikołaja), a przeciwko właściwemu sprawcy nie było nie tylko dowodów, lecz nawet podejrzeń (Porfiry dotrzymał słowa w zupełności) – wszystko to ostatecznie przyczyniło się do złagodzenia losu oskarżonego.

Zupełnie niespodziewanie ujawniły się również inne jeszcze okoliczności, bardzo korzystne dla podsądnego. Były student Razumichin wy dostał skądś i przedstawił dowody, że oskarżony Raskolnikow podczas swych studiów na uniwersytecie dzielił się ostatnim groszem z pewnym ubogim kolegą, suchotnikiem, i prawie utrzymywał go przez pół roku. Gdy zaś ten umarł, pielęgnował sparaliżowanego, starego ojca zmarłego kolegi (który niemal od trzynastego roku życia z własnej pracy utrzymywał ojca), umieścił wreszcie tego starca w szpitalu, a po jego śmierci urządził mu pogrzeb. Wszystkie te informacje miały określony wpływ na wyrok. Dawna gospodyni Raskolnikowa, matka jego zmarłej narzeczonej, wdowa Zarnicyna, zeznała również, że gdy mieszkali jeszcze w innym domu, przy Pięciu Rogach, Raskolnikow w czasie pożaru w nocy wyniósł z płonącego mieszkania dwoje małych dzieci i poparzył się przy tym. Fakt ten był należycie zbadany i dostatecznie potwierdzony zeznaniami licznych świadków. Jednym słowem, skończyło się na tym, że przestępcę skazano na ciężkie roboty drugiej kategorii, i to tylko na osiem lat, z uwagi na jego dobrowolne przyznanie się do winy oraz różne okoliczności łagodzące.

Już na początku procesu matka Raskolnikowa rozchorowała się. Dunia i Razumichin zdołali wywieźć ją z Petersburga na cały czas rozprawy.

Razumichin wybrał miasto przy kolei żelaznej w pobliżu Petersburga, żeby mógł śledzić przebieg procesu, a zarazem jak najczęściej widywać się z Dunią. Choroba Pulcherii Aleksandrowny miała dziwny przebieg: połączona była z czymś w rodzaju częściowego pomieszania zmysłów. Dunia, wróciwszy po ostatnim widzeniu się z bratem, zastała matkę już chorą, mającą w gorączce. Tego samego wieczoru Dunia umówiła się z Razumichinem, co ma odpowiadać matce, gdy zapyta o brata. Na użytek matki ułożyli razem historię o wyjeździe Raskolnikowa na prywatne zlecenie gdzieś daleko za granicę w sprawach, które przyniosą mu pieniądze i sławę. Uderzyło ich jednak, że Pulcheria Aleksandrowna sama nigdy o nic nie pytała. Przeciwnie, okazało się, że ma ona swój własny pogląd na przyczyny nagłego wyjazdu syna. Ze łzami w oczach opowiadała o pożegnaniu z synem, robiła przy tym aluzje, że ona jedna zna pewne bardzo ważne i tajemnicze okoliczności, że Rodia ma wielu niebezpiecznych wrogów, tak że musi się nawet ukrywać. Co zaś się tyczy jego przyszłości, to również była przekonana, że na pewno zrobi on wspaniałą karierę, gdy tylko zmienią się owe nieprzychylnie okoliczności. Zapewniała Razumichina, że z czasem syn jej będzie nawet mężem stanu, czego dowodzi jego artykuł i wielki talent literacki. Artykuł Raskolnikowa czytywała ciągle, czasami nawet na głos, niemal z nim spała, lecz mimo to prawie nigdy nie pytała, gdzie mianowicie jest teraz Rodia, jakkolwiek sam fakt, że unikano przy niej rozmów na ten temat, powinien był wzbudzić jej podejrzenia. Wreszcie to dziwne jej milczenie stało się niepokojące. Na przykład, nigdy nie pytała, dlaczego Rodia nie pisze, podczas gdy poprzednio, kiedy mieszkała na prowincji, po prostu żyła nadzieją i oczekiwaniem na list od ukochanego syna. Fakt ten szczególnie niepokoił Dunię. Przychodziło jej na myśl, że może matka przeczuwa straszny los syna i boi się pytać, żeby się nie dowiedzieć czegoś jeszcze bardziej okropnego. W każdym razie Dunia zdawała sobie sprawę, że matka nie jest przy zdrowych zmysłach.

Raz i drugi zresztą zdarzyło się, że Pulcheria Aleksandrowna tak pokierowała rozmową, by odpowiadając jej, nie można było nie wspomnieć, gdzie jest teraz Rodia. A kiedy otrzymywała niewystarczające, podejrzone odpowiedzi, zapadała na bardzo długo w ponure, posępne milczenie. Dunia, widząc, jak trudno jest kłamać i zmyślać, doszła do wniosku, że pewne kwestie lepiej będzie pomijać milczeniem. Oczywiście stawało się jednak, że nieszczęsna matka domyśla się czegoś strasznego. Dunia przypominała sobie również słowa brata, że matka przysłuchiwała się jej majaczeniom w nocy poprzedzającej ów feralny dzień, po scenie ze Swidrygajłowem: może coś wtedy usłyszała? Często po kilku dniach, a nawet tygodniach ponurego, posępnego milczenia i cichych łez chora nagle wpadała w histeryczne podniecenie i zaczynała mówić głośno, niemal bez przerwy o swoim synu, o swoich nadziejach, o przyszłości... Fantazje jej były nieraz bardzo dziwaczne. Pocieszano ją, potakiwano, może nawet widziała, że w ten sposób uspokajano ją tylko, lecz mimo to mówiła dalej.

Wyrok zapadł po pięciu miesiącach od dnia przyznania się Raskolnikowa. Razumichin i Sonia odwiedzali go w więzieniu najczęściej, jak było to

możliwe. Wreszcie przyszła chwila rozstania. Dunia przysięgała bratu, że nie rozstają się na zawsze. Razumichin również. W młodej, gorącej głowie Razumichina powstał projekt, żeby w ciągu dwóch czy trzech najbliższych lat stworzyć przynajmniej podwaliny przyszłej fortuny, zgromadzić trochę grosiwa i przenieść się na Syberię, gdzie pod każdym względem warunki są znakomite, brak natomiast ludzi z głową i kapitałów. Tam zamieszkają w tym samym mieście, gdzie będzie Rodia i... wszyscy razem rozpoczną nowe życie. Żegnając się, wszyscy płakali. Raskolnikow w ciągu ostatnich dni był bardzo zamyślony i ciągle wypytywał o matkę, był o nią bardzo niespokojny. Wiadomość o jej chorobie przygnębiła go nadzwyczajnie, tak że Dunia zaczęła się lękać o niego. Dziwnie mało rozmawiał z Sonią, która dzięki pieniądzom Swidrygajłowa była już zupełnie gotowa do wyruszenia w ślad za partią aresztantów, w której on będzie. Nigdy o tym nie było mowy między nią a Raskolnikowem, lecz oboje wiedzieli, że tak się stanie. Podczas ostatecznego pożegnania Raskolnikow uśmiechał się dziwnie, słuchając gorących zapewnień siostry i Razumichina na temat szczęśliwej przyszłości po odbyciu przez niego katorgi, i przepowiedział, że choroba matki skończy się katastrofą. Wreszcie wyruszył, a Sonia za nim.

Dwa miesiące później Dunia wyszła za mąż za Razumichina. Ślub był cichy i smutny. Wśród zaproszonych gości byli również Porfiry i Zosimow. Ostatnio Razumichin robił wrażenie człowieka zdecydowanego na przeprowadzenie swojego zamierzenia. Dunia ślepo wierzyła w niego, bo trudno było nie wierzyć: tyle było w tym człowieku żelaznej woli. Zaczął znowu chodzić na wykłady, żeby skończyć uniwersytet. Bez przerwy snuli plany na przyszłość. Byli pewni, że za pięć lat będą mogli przenieść się na Syberię. Do tego czasu liczyli tam na Sonię.

Pulcheria Aleksandrowna z radością pobłogosławiła związek córki z Razumichinem, lecz po ślubie była jakby jeszcze bardziej smutna i przygnębiona. Żeby zrobić jej przyjemność, Razumichin opowiedział jej między innymi o studencie i jego schorzałym ojcu, o tym, że Rodia uległ poparzeniu, ratując w zeszłym roku dwoje małych dzieci z płomieni. Obie te historie doprowadziły umysł Pulcherii Aleksandrowny, i tak już rozstrojony, do stanu niemal euforii. Bez przerwy mówiła o tym. Nawiązywała rozmowy na ulicy (choć Dunia zawsze jej towarzyszyła). W omnibusach, w sklepach chwyciła ludzi i opowiadała im o swoim synu, o jego artykule, o tym, jak pomagał studentowi, poparzył się podczas pożaru i tak dalej. Dunia sama już nie wiedziała, jak ją powstrzymać. Poza niebezpieczeństwem, jakim groził stan takiego chorobliwego podniecenia, istniała również obawa, że ktoś mógł sobie przypomnieć nazwisko Raskolnikowa w związku z głośnym procesem i zacząć o tym mówić. Pulcheria Aleksandrowna dowiedziała się nawet, gdzie mieszka matka tych dwojga ocalonych z płomieni dzieci, i koniecznie chciała pójść do niej. Wreszcie niepokój jej doszedł do ostatecznych granic. Zaczynała nagle płakać, często chorowała i majaczyła w gorączce. Razu pewnego oświadczyła stanowczo, że według jej obliczeń Rodia powinien niedługo powrócić i że przypomina sobie, jak on, żegnając się z nią, powiedział, iż powinna go oczekiwać po dziewięciu miesiącach. Zaczęła



porządkować mieszkanie na jego przyjęcie. Odświeżała pokój dla niego (swoj własny), czyściła meble, prała, zawieszała nowe firanki i tak dalej. Dunia zaniepokoiła się, lecz nic nie mówiła i pomagała jej nawet w urządzaniu pokoju dla brata. Po całym dniu gorączkowej krzątaniny, spędzonym wśród radosnych marzeń i łez, zachorowała w nocy, nad ranem miała już gorączkę i bredziła. Po dwóch tygodniach zmarła. W malignie wyrwały się jej słowa, z których można było wywnioskować, że wiedziała o strasznym losie syna o wiele więcej, niż można się było spodziewać.

Raskolnikow długi czas nie wiedział o śmierci matki, chociaż korespondencja z Petersburgiem nawiązała się zaraz na początku jego pobytu na Syberii. Zajął się tym Sonia, która regularnie co miesiąc pisała na adres Razumichina i regularnie otrzymywała odpowiedzi. Listy Soni początkowo robiły na Duni i Razumichinie wrażenie oschłych i zdawkowych, lecz później doszli do wniosku, że inaczej nie można było pisać, a jednak dawały one dokładne wyobrażenie o losie ich nieszczęsnego brata. Listy te pełne były codziennej rzeczywistości, opisywały w sposób prosty i jasny warunki katorżniczego życia Raskolnikowa. Nie było w nich nic z jej osobistych marzeń, uczuć, nadziei na przyszłość. Zamiast prób wyjaśnienia jego nastroju i w ogóle jego życia duchowego podawała tylko same fakty, to znaczy jego własne słowa, szczegóły o stanie jego zdrowia, informacje o tym, czego sobie życzył podczas widzenia z nią, o co ją prosił, co jej polecał i tak dalej. Wszystko to było wymieniane nadzwyczaj skrupulatnie. Wizerunek nieszczęsnego brata rysował się sam przez się, wyraźnie i dokładnie. Nie mogło być nieporozumień, bo były to wiarygodne fakty.

Niewiele jednak pocieszającego dowiadywała się Dunia z mężem z tych listów, zwłaszcza na początku. Sonia stale pisała, że Raskolnikow jest ciągle ponury, milczący i nawet nie interesuje się wiadomościami z ich listów, które ona mu powtarza. Czasami pytał o matkę, a kiedy widząc, że zaczyna domyślać się prawdy, powiedziała mu o jej śmierci, wiadomość ta ku jej wielkiemu zdziwieniu nie zrobiła na nim, przynajmniej pozornie, szczególnie silnego wrażenia. Donosiła również między innymi, że choć z pozoru jest zamknięty w sobie i jakby odgrodził się od wszystkich, do swego nowego życia odnosi się po prostu i naturalnie. Doskonale rozumie swoje położenie, nie oczekuje rychłej zmiany na lepsze, nie żywi żadnych lekkomyślnych nadziei (co byłoby tak naturalne w jego sytuacji) i w zasadzie niczemu się nie dziwi w swoim nowym otoczeniu, tak zupełnie różnym od wszystkiego, co znał poprzednio. Stan jego zdrowia był zadowalający. Chodził na roboty, od których się nie uchylał i na które się nie napraszał. Do jedzenia odnosi się obojętnie, lecz z wyjątkiem niedziel i świąt jest ono tak złe, że w końcu chętnie przyjął od Soni trochę pieniędzy, by mógł mieć na codzienną herbatę. O resztę prosił, by się Sonia nie troszczyła, bo to ciągle zajmowanie się nim drażni go. W więzieniu, pisała Sonia, Rodion przebywa we wspólnym pomieszczeniu; wprawdzie nie widziała wnętrza tych koszar, ale sądzi, że są ciasne, obskurne i niezdrowe; śpi na pryczy, podkładając sobie wołok, ale nic innego nie chce tam mieć. Żyje tak nędznie i marnie nie na skutek jakiegoś z góry powziętego planu, lecz po prostu dlatego, że nie zwraca na

to uwagi i z widoczną obojętnością odnosi się do swego losu. Sonia pisała szczerze, że zwłaszcza na początku nie tylko nie interesował się jej odwiedzinami, lecz nawet bywał zły na nią, milczący, a czasem ordynarny. Później jednak jej odwiedziny weszły mu w przyzwyczajenie, a nawet stały się potrzebą, tak że tęsknił, gdy przez kilka dni była chora i nie mogła go odwiedzać. Widuje się z nim w dni świąteczne przy bramie więziennej lub w kordegardzie<sup>[175]</sup>, dokąd przyprowadzają go na kilka minut, w powszednie dni zaś na robotach, gdzie przychodzi do niego – w warsztatach, cegielniach lub szopach nad brzegiem Irtysza. O sobie donosiła, że udało się jej zawrzeć w mieście pewne znajomości, a nawet wyrobić protekcję. Zajmuje się szyciem, a ponieważ w mieście prawie nie było szwaczek, więc w wielu domach stała się niemal niezbędną. Nie wspomniała tylko o tym, że dzięki niej również Raskolnikow cieszył się względami władz, wyznaczano mu lżejsze prace i tak dalej. Wreszcie przyszła wiadomość (Dunia już przedtem zwróciła uwagę na to, że w ostatnich listach przebijał pewien niepokój), że Raskolnikow stroni od wszystkich, że w więzieniu go nie lubią, że milczy po całych dniach i jest bardzo blady. W ostatnim liście Sonia donosiła, że poważnie zachorował i leży w szpitalu, na oddziale dla aresztantów...

Dawno już był chory. Ale bynajmniej nie złamały go okropności życia na katordze, roboty, ogolona głowa, wstrętne jado i łachmany: och! cóż go obchodziły te wszystkie męczarnie i katusze! Przeciwnie, rad był nawet, gdy się na robotach zmęczył fizycznie, bo dawało mu to przynajmniej kilka godzin spokojnego snu. I co znaczyło dla niego jedzenie, ta cienka lura z karaluchami? W czasach studenckich często i tego nie miał. Odzież jego była ciepła i przystosowana do trybu życia. Kajdan nawet nie czuł na sobie. Miał się wstydzić swej ogolonej głowy i pasiastej kurtki? Przed kim? Przed Sonią? Sonia bała się go, czyżby więc miał się jej wstydzić?

A jednak! Wstydził się nawet Soni i dręczył ją za to, traktując pogardliwie i brutalnie. Wstydził się nieogolonej głowy i kajdan: był bardzo urażony w swej dumie i ta poniżona duma doprowadziła go do choroby. O, jakże czułby się szczęśliwy, gdyby sam mógł się uznać za winnego! Wtedy zniósłby wszystko, nawet wstyd i hańbę. Ale choć sądził się surowo, jego zatwardziałe sumienie nie znajdowało w jego przeszłości żadnej szczególnej winy prócz zwykłego błędu, co może się zdarzyć każdemu. Wstydził się właśnie tego, że on, Raskolnikow, zaprzepaścił się tak beznadziejnie, głupio, z woli ślepego losu, a teraz musi się poddać i ukorzyć przed „nonsensem” jakiegoś tam wyroku, jeśli chce znaleźć choć trochę spokoju dla siebie.

Bezczelowa i bezprzedmiotowa udręka teraz, a w przyszłości bezustanna ofiara, przez którą się nic nie osiągnie – oto co go czekało na świecie. I cóż z tego, że za osiem lat będzie miał dopiero trzydzieści dwa lata i będzie mógł zacząć życie od nowa! Po co ma żyć? Do czego dążyć? Żyć tylko po to, żeby istnieć? Przecież on i dawniej gotów był tysiąc razy oddać swe istnienie za jakąś ideę, nadzieję lub choćby nawet fantazję. Samo istnienie nigdy mu nie wystarczało, zawsze pragnął czegoś więcej. Być może ta właśnie siła jego pragnień sprawiła, że uznał się wtedy za człowieka, któremu wolno więcej niż innym.

I gdyby chociaż los zesłał mu skrucę, gorącą skrucę, która łamie serce, spędza sen z powiek, taką skrucę, której straszliwe męczarnie nasuwają myśl o pętli i topieli! O jakże byłby wtedy rad! Męka i łzy to przecież też jest życie. Ale on nie czuł skruchy z powodu swej zbrodni.

Mógłby przynajmniej wściekać się na swoją głupotę, tak jak poprzednio wściekał się, gdy popełniał czyny głupie, bez sensu, które zaprowadziły go do więzienia. Ale teraz w więzieniu, na wolności, powtórnie osądził i przemyślał wszystkie swoje czyny i doszedł do wniosku, że wcale nie były tak głupie i bezsensowne, jak uważał wtedy, w tych fatalnych dla siebie chwilach.

„W czym, w czym – dociekał – moja myśl była głupsza od innych myśli i teorii, które roją się i zderzają na świecie od początku jego istnienia? Wystarczy tylko mieć na sprawę pogląd zupełnie niezależny, szeroki, wolny od utartych schematów, a wtedy oczywiście myśl moja wcale nie wyda się tak bardzo... dziwna. O, groszowi wywrotowcy i mędracy, dlaczego zatrzymujecie się w pół drogi?

Dlaczego właściwie mój czyn wydaje im się tak potworny? – zadawał sobie pytanie. – Dlatego, że jest zbrodnią? Co znaczy słowo «zbrodnia»? Sumienie mam spokojne. Popełniłem przestępstwo kryminalne, to prawda, naruszyłem literę prawa i przelałem krew. No więc weźcie sobie moją głowę za tę literę prawa... i basta! Oczywiście, w takim razie nawet wielcy dobroczyńcy ludzkości, którzy nie odziedziczyli władzy, lecz sami ją sobie zagarnęli, powinni być straceni już przy pierwszych swoich krokach. Ale ci ludzie nie ugięli się w swych poczynaniach i dlatego mają rację, a ja się ugiąłem, a zatem nie miałem prawa pozwolić sobie na ten krok”.

Za przestępstwo uważał więc jedynie to, że się ugiął i sam się przyznał do winy.

Męczyła go również myśl, dlaczego nie odebrał sobie wtedy życia. Dlaczego, stojąc wtedy nad wodą, wolał samooskarżenie? Czyżby chęć życia miała tak wielką siłę i tak trudno ją przewyciężyć? A jednak przewyciężył ją Swidrygajłow, który bał się śmierci.

Dręczyło go to pytanie i nie mógł zrozumieć tego, że już wtedy, kiedy stał nad rzeką, prawdopodobnie przeczuwał głęboki fałsz tkwiący w nim i w jego przekonaniach. Nie rozumiał, że to przeczucie mogło być zwiastunem przyszłego przełomu w jego życiu, przyszłego odrodzenia, przyszłego nowego poglądu na życie.

Dopuszczał tu raczej działanie ślepego instynktu, którego nie mógł opanować i któremu musiał jednak ulec (bo był słaby i marny). Przyglądał się więźniom, swoim współtowarzyszom, i nie mógł wyjść z podziwu: jak ci ludzie kochali życie i jak je cenili! Wydawało mu się, że właśnie w więzieniu cenią je i kochają bardziej niż na wolności. Jakież męczarnie i katusze przeżywali niektórzy z nich, na przykład włóczędzy! Czyżby naprawdę aż takie znaczenie miał dla nich promień słońca, gęsty las, chłodne źródło w przepastnej gęstwinie, oglądane gdzieś przed trzema laty, o którym włóczęga marzy jak o kochance, widzi je we śnie, a wokół niego zieloną trawę, ptaszka śpiewającego w krzakach? Obserwując dalej, napotykał przypadki jeszcze bardziej niezrozumiałe.

W więzieniu, w otaczającym go środowisku, oczywiście sporo rzeczy uchodziło jego uwagi, zresztą nie chciał ich zauważać. Początkowo żył jakby ze spuszczonej oczami, ze wstrętu i obrzydzenia nie chciał patrzeć. W końcu jednak wiele rzeczy zainteresowało go i mimo woli rzucało mu się w oczy to, czego istnienia dotychczas nawet nie podejrzewał. Szczególnie zastanawiała go wielka i niepokonana przepaść, jaka dzieliła go od wszystkich tych ludzi. Zdawało się, że należeli do różnych narodów. Patrzyli na siebie niechętnie i nieufnie. Znał i rozumiał ogólne przyczyny tego rozbratu, ale nie przypuszczał, że może być tak wielki i głęboki. W więzieniu byli również zesłańcy Polacy, przestępcy polityczni. Ci po prostu uważali wszystkich tych ludzi za ciemnotę i chamów i traktowali ich z góry, pogardliwie. Raskolnikow nie mógł podzielać takiego poglądu: zdawał sobie sprawę, że ci ciemni ludzie byli pod wieloma względami znacznie rozumniejsi od tych Polaków.

Byli również Rosjanie, którzy zbyt pogardzali tym ludem – były oficer oraz

dwóch studentów. Raskolnikow wiedział, że się mylili.

Jego samego zaś nikt nie lubił i wszyscy go unikali.

W końcu zaczęli go nawet nienawidzić. Dlaczego? Nie wiedział. Gardzili nim, wyśmiewali się z niego, szydzili z jego przestępstwa ci, którzy mieli na sumieniu o wiele cięższe zbrodnie.

– Te, jaśnie panie! – mówiono mu. – Toś ty musiał z siekierą chodzić? Nie pańskie zajęcie.

W drugim tygodniu Wielkiego Postu przypadła na jego oddział kolej na rekolekcje. Chodził do cerkwi i modlił się wraz z innymi. Z jakiegoś powodu, sam nie wie dlaczego, wynikła pewnego razu sprzeczka. Wszyscy z wściekłością rzucili się na niego.

– Ty bezbożniku! W Boga nie wierzysz! – krzyczeli. – Ukatrupić cię trzeba!

Nigdy nie mówił z nimi o Bogu i wierze, a oni go chcieli zabić jako bezbożnika. Milczał i nie zaprzeczał. Któryś z katorżników rzucił się na niego z furią. Raskolnikow czekał spokojnie i w milczeniu: żaden mięsień nie drgnął mu na twarzy. Strażnik zdążył w porę stanąć między nimi – inaczej polałaby się krew.

Jeszcze jedna rzecz była dla niego zagadką: dlaczego oni wszyscy tak pokochali Sonię? Nie zabiegała o ich względy, widywali ją rzadko, czasami tylko na robotach, gdy przychodziła na chwilę, żeby się zobaczyć z Raskolnikowem. A mimo to wszyscy ją znali, wiedzieli, że przyjechała za nim, wiedzieli, jak żyje, gdzie mieszka. Nie dawała im pieniędzy, nie wyświadczała specjalnych przysług. Raz tylko na Boże Narodzenie przyniosła dla całego więzienia na poczęstunek pieróg i kołacze. Lecz stopniowo zawiązały się pomiędzy nimi bliższe stosunki, pisała im listy do rodziny i wysyłała je. Ich krewni i krewnie, przyjeżdżając do miasta, zostawiali dla nich u Soni różne rzeczy, a nawet pieniądze. Ich żony i kochanki znały ją i odwiedzały. Gdy pojawiała się na miejscu robót lub mijała partię aresztantów idących do pracy, wszyscy zdejmowali czapki i kłaniali się. „Sofio Siemionowno, opiekunko nasza, kochana, najmilejsza!” – zwracali się ci brudni, napiętnowani ludzie do tego małego, drobnego stworzenia. Odpowiadała na ich ukłony z uśmiechem i wszyscy lubili jej uśmiech. Lubili nawet jej chód, odwracali się, by spojrzeć, jak idzie, i chwalili ją, chwalili nawet za to, że jest taka drobna, nie wiedząc już, za co mają ją chwalić. Chodzili nawet leczyć się do niej.

Raskolnikow przeleżał w szpitalu koniec postu i całe święta. Już jako rekonwalescent przypominał sobie swoje gorączkowe majaczenia. Majaczyło mu się w gorączce, że cały świat ma paść ofiarą jakiejś strasznej, niesłychanej i niewidzialnej morowej zarazy idącej na Europę z głębi Azji. Wszyscy, prócz nielicznych wybrańców, mieli zginąć. Pojawiły się jakieś nowe bakcyle, mikroskopijne istoty zagnieżdżające się w ciele ludzkim. Były to duchy obdarzone wolą i rozumem. Ludzie, przez nie zarażeni, natychmiast wpadali w obłąd i szaleństwo. Ale nigdy, przenigdy ludzie nie uważali się za tak mądrych i nieomylnych, jak ci zarażeni. Wierzyli w niewzruszoność swoich sądów, swoich wywodów naukowych, swoich zasad moralnych i wierzeń religijnych. Zarażały się całe wsie, miasta i narody oraz wpadały

w obłąd. Wszyscy byli przerażeni i nie rozumieli się nawzajem, każdy myślał, że tylko on posiadał prawdę, i cierpiał, patrząc na innych, bił się w piersi, płakał i załamywał ręce. Nie wiedziano, kogo i jak osądzić, nie można było ustalić, co jest dobrem, a co złem. Nie wiedziano, kogo uniewinnić, a kogo potępić. Ludzie w beznadziejnej złości mordowali się wzajemnie. Tworzyli przeciwko sobie całe armie, lecz armie te, zanim jeszcze doszło do starcia, nagle wszczywały walkę wewnętrzną. Szeregi rozpraszały się, wojownicy rzucali się na siebie, bili się i mordowali, gryźli i pożerali się wzajemnie. W miastach przez cały dzień dzwony były na alarm: zwoływano wszystkich, ale nikt nie wiedział, kto i po co zwołuje, i wszyscy byli w trwodze. Zaniedbano najzwyczajniejsze rzemiosła, bo każdy proponował zmiany i poprawki, a nie można było osiągnąć zgody. Ustała uprawa ziemi. Gdzieniegdzie ludzie zbierali się w gromadki, zgadzali się wspólnie na coś, przysięgali, że się nie rozstaną, ale natychmiast zaczęli robić coś zupełnie innego niż to, co przed chwilą sami postanowili, oskarżali się wzajemnie, wszczywali bójkę i rzezie. Wybuchwały pożary, zaczął się głód. Wszystko i wszyscy ginęli. Zaraza rozszerzała się coraz bardziej. Na całym świecie ocaleć miało tylko niewielu ludzi, czystych i wybranych, przeznaczonych do poczęcia nowego rodzaju ludzkiego i nowego życia na odrodzonej ziemi, lecz nikt nigdzie nie widział tych ludzi, nikt nie słyszał ich mowy i głosu.

Raskolnikowa męczyło to, że owo bezmyślne majaczenie pozostawiło tak smutne i przykre wspomnienia i że tak długo nie może uwolnić się spod wpływu tych gorączkowych wizji. Był to już drugi tydzień po Wielkanocy. Nastaly ciepłe, jasne, wiosenne dni. W aresztanckich koszarach otwarto okna (zakratowane, pod którymi chodziła warta). W czasie choroby Sonia tylko dwa razy była u niego, trzeba było bowiem za każdym razem uzyskiwać pozwolenie, co było dosyć trudne. Często jednak, głównie pod wieczór, przychodziła na podwórze szpitalne po to tylko, aby choć przez chwilę popatrzeć na okna. Kiedyś wieczorem Raskolnikow, prawie już zupełnie zdrowy, zasnął. Obudziwszy się, poszedł do okna i nagle ujrzał z daleka Sonię. Stała pod szpitalną bramą i jakby czekała na coś. Nagły ból przeszył mu serce, drgnął i odszedł od okna. Nazajutrz Sonia nie przyszła, następnego dnia również. Zauważył, że czeka na nią z niecierpliwością. Wreszcie wypisano go ze szpitala. Po powrocie dowiedział się od aresztantów, że Sonia zachorowała i nie wychodzi z domu.

Był bardzo niespokojny. Dowiadywał się o nią. Choroba jej nie była niebezpieczna. Sonia, dowiedziawszy się, że Raskolnikow tęskni i martwi się o nią, przysłała mu kartkę z zawiadomieniem, że już się ma znacznie lepiej, że było to tylko zwykłe przeziębienie i że bardzo niedługo przyjdzie na roboty, żeby się z nim zobaczyć. Przy czytaniu tej kartki serce mu było mocno i boleśnie.

Dzień znów był jasny i ciepły. Wczesnym rankiem, gdzieś koło godziny szóstej, Raskolnikow udał się na roboty nad brzeg rzeki, gdzie w szopie znajdował się piec do wypalania alabastru, tam też kruszono alabaster. Udało się tam tylko trzech robotników. Jeden z aresztantów poszedł ze strażnikiem do twierdzy po jakieś narzędzia, drugi narąbał drew i ładował je do pieca.

Raskolnikow wyszedł z szopy na brzeg rzeki, usiadł na złożonych tam kłocach drewna i patrzył na szeroką i pustynną rzekę. Z wysokiego brzegu widać było całą okolicę. Z drugiego brzegu cicho dolatywała pieśń. Tam, na zalanym słońcem bezkresnym stepie, czerniały jurty koczowników. Tam była wolność i żyli zupełnie inni ludzie, tam czas zatrzymał się, jakby nie minął jeszcze wiek Abrahama<sup>[176]</sup> i jego stad. Raskolnikow siedział nieruchomo i patrzył, nie odrywając wzroku. Pograżył się w marzeniach i kontemplacji, o niczym właściwie nie myślał, dręczyła go jednak jakaś wielka tęsknota.

Nagle obok niego znalazła się Sonia. Podeszła po cichu i usiadła obok. Było jeszcze bardzo wcześnie i chłód poranny nie ustąpił. Miała na sobie stary, ubogi płaszczyk i zieloną chustę. Twarz jej, nosząca jeszcze ślady choroby, była wymizerowana i blada. Serdecznie i radośnie uśmiechnęła się do niego i nieśmiało wyciągnęła rękę.

Zawsze wyciągała do niego rękę nieśmiało, czasami nawet nie podawała mu jej wcale, jakby w obawie, że ją odtrąci. Raskolnikow ujmował jej rękę, jakby z obrzydzeniem, witał ją zawsze jakby ze złością, nieraz uporczywie milczał przez cały czas jej odwiedzin. Bywało, że odchodziła, drżąc, głęboko zasmucona. Tym razem dłonie ich nie rozłączyły się. Raskolnikow spojrzał na nią przelotnie, nie odezwał się ani słowem i wbił wzrok w ziemię. Byli sami, nikt ich nie widział. Strażnik stał odwrócony. Sam nie wiedział, jak się to stało, lecz nagle znalazł się u jej stóp, płakał i obejmował jej kolana. W pierwszej chwili Sonia przeraziła się. Zerwała się z miejsca i drżąc, patrzyła na niego. W tej samej chwili jednak naraz pojęła wszystko. W oczach jej zabłysło bezgraniczne szczęście, wiedziała i nie miała już wątpliwości, że on ją kocha, kocha bezgranicznie i że nadeszła wreszcie ta chwila...

Chcieli coś powiedzieć, lecz słowa więzły im w gardle. Łzy stanęły im w oczach. Obydwoje byli bladzi i wychudli, ale w ich chorych i bladych twarzach jaśniała już zorza nowej przyszłości, zmartwychwstania ku nowemu życiu. Wskrzesała ich miłość, ich serca kryły niewyczerpane źródła życia dla nich obojga.

Postanowili cierpliwie czekać. Mieli przed sobą jeszcze siedem lat niewysłowionej męki i bezgranicznego szczęścia! Ale on zmartwychwstał i wiedział o tym, czuł to całym swym odnowionym jestestwem, a ona – ona żyła przecież tylko jego życiem!

Wieczorem tego dnia, gdy już zamknięto koszary, Raskolnikow, leżąc na pryczy, myślał o Soni. Zdawało mu się, że tego dnia wszyscy katorżnicy, dawni jego wrogowie, odnoszą się do niego inaczej. Zaczynał nawet sam rozmawiać z nimi, a oni przyjaźnie mu odpowiadali. Przypomniawszy sobie teraz o tym, ale przecież tak być musiało: wszak wszystko powinno się teraz zmienić.

Myślał o niej. Przypominał sobie, jak bardzo ją dręczył i szarpał jej serce. Myślał o jej bladej, wymizerowanej twarzyczce, ale nie bolało go to wspomnienie: wiedział, jak bezgraniczną miłością okupi teraz wszystkie jej cierpienia.

I cóż znaczyły te wszystkie, wszystkie dawne męki! Wszystko, jego



zbrodnia, wyrok i zesłanie wydały mu się teraz faktem postronnym, dziwnym, który jakby nawet nie jego dotyczył. Zresztą nie mógł tego wieczoru długo myśleć o czymś jednym, skupić się, nie potrafiłby też niczego rozstrzygnąć świadomie, czuł tylko. Zamiast dialektyki zjawiało się życie i cała jego świadomość musiała ulec odmianie.

Pod jego poduszką leżała ewangelia. Wziął ją machinalnie do ręki. To była jej książka, ta sama, z której czytała mu o zmartwychwstaniu Łazarza. Na początku katorgi sądził, że Sonia zanudzi go religią, będzie wciąż mówiła o ewangelii, narzucała mu książki. Ku jego wielkiemu zdziwieniu ani razu nie wspomniała o tym, ani razu nie zaproponowała mu ewangelii. Sam poprosił o nią na krótko przed swoją chorobą, a ona bez słowa przyniosła mu tę książkę. Dotychczas nawet jej nie otwierał.

Nie otworzył jej i teraz, lecz błysnęła mu pewna myśl: „Czyż jej przekonania mogą teraz nie być moimi przekonaniem? A przynajmniej jej uczucia, dążenia...”.

Sonia również tego dnia była bardzo poruszona, w nocy nawet gorączkowała. Była tak bardzo szczęśliwa, tak niespodzianie szczęśliwa, że prawie lękała się swego szczęścia. Siedem lat, tylko siedem lat! W porywie radości w pewnych chwilach obydwójce skłonni byli traktować te siedem lat jak siedem dni. Raskolnikow jeszcze nie zdawał sobie sprawy z tego, że to nowe życie nie jest darem, że musi je okupić, zapłacić za nie w przyszłości wielkim czynem...

Tu jednak zaczyna się już nowa historia, historia stopniowego odradzania się człowieka, stopniowego przechodzenia z jednego świata do drugiego, poznawania nowej, nieznannej dotychczas rzeczywistości. To mogłoby stanowić temat nowego opowiadania, bo niniejsze opowiadanie na tym się kończy.

# Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

## Książka dla Mirosława Ułowska

- [1] Hipochondria – stan silnej depresji, rozstrój nerwowy połączony z nadmierną obawą o własne zdrowie.
- [2] Zimmermanowski – od nazwiska Zimmermana, znanego producenta kapeluszy i właściciela modnego magazynu na Newskim Prospekcie w Petersburgu.
- [3] Wiorsta – dawna rosyjska miara długości, równa 1,065 km.
- [4] Nankinowa – z nankinu, tkaniny bawełnianej z połyskiem.
- [5] Radca tytularny – stopień dziewiąty według wprowadzonej przez Piotra I w 1722 r. *Tabeli rang*, czyli stopni w służbie państwowej, zarówno cywilnej, jak i wojskowej. Najniższy był stopień czternasty – pisarza kolegialnego.
- [6] Żółta książka – dokument tożsamości wydawany w Rosji przez policję prostytutkom.
- [7] Parafraza wersetu z ewangelii św. Mateusza (Mt 10, 26).
- [8] *Ecce homo!* (łac.) – Oto człowiek! Słowa Poncjusza Piłata, prokuratora Judei, o Jezusie według Ewangelii św. Jana (J 19, 5).
- [9] Cyrus II Starszy (?-529 p.n.e.) – twórca monarchii perskiej, uchodzący za wzór sprawiedliwego i tolerancyjnego władcy.
- [10] Chodzi o *Fizjologię życia codziennego* angielskiego pozytywisty George'a Lewesa (1817-1878).
- [11] *Chutorek* – popularna piosenka do wiersza Aleksieja Kolcowa (1809-1842).
- [12] Parafraza wersetów z ewangelii św. Łukasza (Łk 7,47-48).
- [13] Łut – dawna jednostka wagi, wynosząca od 12,5 do 17,5 g.
- [14] „Pod wpływem Bachusa” – po spożyciu alkoholu; Bachus – w mitologii rzymskiej – bóg wina i plonów.
- [15] Radca dworu – stopień siódmy według *Tabeli rang*. Por. przypis na s. 17.
- [16] Senat – najwyższy sąd kasacyjny w Rosji.
- [17] Schillerowscy marzyciele – od nazwiska romantycznego poety niemieckiego Friedricha Schillera (1759-1805).
- [18] Chodzi o Order Św. Anny, wprowadzony w Rosji przez cara Pawła I w 1797 r.
- [19] Jedna z wielu w powieści aluzji do bieżących wydarzeń politycznych. Za premierostwa Ottona Bismarcka księstwo Szlezwik-Holsztyn, będące przedmiotem zadawnionego sporu, weszło w skład Prus po ich zwycięskiej wojnie z Danią (1864) i Austrią (1866).
- [20] Postępowa opinia publiczna w Rosji pilnie obserwowała przebieg i wyniki wojny secesyjnej (1861-1865) w Stanach Zjednoczonych Ameryki.
- [21] W latach sześćdziesiątych XIX wieku prasa rosyjska sporo pisała o brutalnym traktowaniu Łotyszów przez Prusaków w guberniach nadbałtyckich.
- [22] Swidrygajłow – przewijające się wówczas w prasie nazwisko hochsztaplera grasującego na prowincji. Zbieżność z nazwiskiem bohatera *Zbrodni i kary* niby przypadkowa, ale znacząca.
- [23] Aluzja do fatalistycznych prognoz społecznych Lamberta Quételeta (1796-1874) – belgijskiego matematyka, astronoma i statystyka, zajmującego się m.in. statystyką przestępczości.
- [24] Wyspy (ros. *Ostrowa*) – dzielnica Petersburga, położona na wyspach w delcie Newy.
- [25] Kutia (ukr.) – tradycyjna potrawa obrzędowa, zwłaszcza na Rusi i na Litwie, przyrządzana z gotowanej pszenicy, kaszy lub ryżu z dodatkiem maku, miodu i bakalii.
- [26] Armiak – wierzchnie ubranie chłopskie z taniego materiału, rodzaj siermięgi.
- [27] Werszek – dawna rosyjska miara długości, wynosząca 4,45 cm. Wzrost człowieka ponad dwa arszyny określano w werszkach. Por. przypis na s. 87.

- [28] Reminiscencja autobiograficzna z miejsca kaźni (22 grudnia 1849), a także nawiązanie do opowiadania Wiktora Hugo *Ostatni dzień skazańca*, które Dostojewski przełożył na rosyjski.
- [29] Arszyn – dawna rosyjska miara długości, wahająca się w granicach 71,12-81,5 cm.
- [30] *Ich danke* (niem.) – dziękuję.
- [31] Jowiszowe spojrzenie – spojrzenie władcze i groźne; Jowisz – w mitologii rzymskiej bóg błyskawic, piorunów i wszelkich zjawisk przyrody.
- [32] Asesor kolegialny – ósmy stopień według *Tabeli rang*. Por. przypis na s. 17.
- [33] *Capitaine* (fr.) – kapitan.
- [34] *Ganz* (niem.) – cały.
- [35] *Sein Rock* (niem.) – jego surdut.
- [36] *Man muß* (niem.) – trzeba.
- [37] Lawiza – porucznik przekręca imię Luizy Iwanowny, ironicznie naśladując jej mowę.
- [38] *Hunger* (niem.) – głód; tu: areszt.
- [39] Radca stanu – piąty stopień według *Tabeli rang*. Por. przypis na s. 17.
- [40] Pud – dawna rosyjska jednostka ciężaru, równa 16,38 kg.
- [41] Arkusz – tu: jednostka miary, służąca do obliczania objętości tekstu dzieła.
- [42] Chodzi o *Wyznania* Jeana-Jacques’a Rousseau (1712-1778), francuskiego pisarza i myśliciela doby Oświecenia.
- [43] Aleksander Radiszczew (1749-1802) – rosyjski pisarz i myśliciel; za opublikowanie swego dzieła *Podróż z Petersburga do Moskwy* skazany na karę śmierci, zamienioną na zesłanie.
- [44] *Schwach* (niem.) – słaby.
- [45] Ówczesna prasa rosyjska donosiła o powtarzających się przypadkach rzucania się nędzarzy pod koła powozów dla uzyskania wspomnienia za doznane obrażenia.
- [46] Chodzi o kopułę soboru Isakijewskiego.
- [47] Wrazumichin – jak często u Dostojewskiego nazwisko znaczące (od ros. *wrazumit’* – doprowadzić do rozumu). Zmiana na obiegowe „Razumichin” oraz tryb życia tego bohatera sugerują związek z Rachmietowem, postacią z powieści *Co robić?* Nikołaja Czernyszewskiego, opublikowaną w 1862 r. i żywo dyskutowaną.
- [48] Pięć Rogów (ros. *Piat’ Ugłow*) – obiegowa nazwa skrzyżowania prospektu Zagorodnego z ulicami Łomonosowa, Rubinsteina i Rozjazdową.
- [49] *Avenante* (fr.) – miła, przyjemna.
- [50] W intencji Razumichina dowcipna aluzja do przywidzenia i obłędu Hermana, hazardzisty i mordercy z noweli Aleksandra Puszkina *Dama pikowa*.
- [51] Żartobliwe określenie sfatygowanego kapelusza przez kontrast. Wicehrabia Henry J.T. Palmerston (1784-1865) – angielski mąż stanu.
- [52] I. Charmeur – modny wówczas krawiec w Petersburgu.
- [53] „Palais de Cristal” (fr.) – „Pałac Kryształowy” – hotel z restauracją, a zarazem ironiczna aluzja do symbolicznej wizji socjalistycznej przyszłości w powieści *Co robić?* Nikołaja Czernyszewskiego.
- [54] Piaski – wówczas peryferyjna dzielnica Petersburga.
- [55] Clavier Jouvin – francuski producent rękawiczek.
- [56] „od dwustu lat...” – od czasów Piotra I, którego reformy zmierzające do przyśpieszonej europeizacji Rosji spowodowały, według Dostojewskiego, m.in. fatalne w skutkach oderwanie się inteligencji od ludu.
- [57] Łokieć – dawna miara długości, od stawu łokciowego do końca środkowego palca.
- [58] Iwan Izler – właściciel popularnej pijalni wód mineralnych na Wyspach.
- [59] Bartola i Maximo – para karłów, których pokazywano w 1865 r. w Petersburgu

jako potomków Azteków, przybyłych w XII w. z Północy do Meksyku.

[60] Strona Petersburska (od 1914 r. Piotrogradzka) – dzielnica Petersburga, oddzielona od centrum miasta Newą.

[61] W latach 1862-1865 wiele miast Rosji nawiedziły pożary, które przypisywano rewolucyjnej studenterii i spiskującym Polakom.

[62] *Assez causé!* (fr.) – Dosyć gadania!

[63] Ględy i fanfarony – gaduły i samochwały.

[64] Bekiesza – krótki, wełniany płaszcz, podbity futrem, wcięty w talii i szamerowany.

[65] Mantyla – szal lub krótka pelerynka, robione zwykle z cienkiej tkaniny i obszyte falbankami, wstążkami itp.

[66] Monomania – chorobliwe opanowanie umysłu przez jedną natrętną myśl.

[67] Antoni Rubinstein (1829-1894) – rosyjski kompozytor i pianista wirtuoz.

[68] Pruska Izba Panów – wyższa izba w parlamencie Prus.

[69] Kwintesencja – istota, sedno rzeczy.

[70] Chodzi o królową Francji, Marię Antoninę (1755-1793), żonę Ludwika XVI, uwięzioną po wybuchu powstania w Paryżu w 1792 r. i ściętą z wyroku Trybunału Rewolucyjnego.

[71] *Crevez chiens...* (fr.) – Zdychajcie psy, jeśli jesteście niezadowoleni.

[72] Cmentarz Mitrofanijewski – założony podczas epidemii cholery w 1831 r., przeznaczony był dla niezamożnej ludności.

[73] Śpiewka o Łazarzu – żebracza pieśń o ewangelicznym Łazarzu (J 11, 1-44); tu w przenośni: uskarżanie się na swój los.

[74] Por. przypis na s. 72.

[75] Falanster – osiedle spółdzielcze w idealnym ustroju według Charles'a Fouriera (1772-1837), francuskiego socjalisty utopijnego.

[76] Sążen – dawna miara długości, równa odległości od siebie końców środkowych palców rozkrzyżowanych rąk, tj. około 178 cm.

[77] Johannes Kepler (1571-1630) – niemiecki astronom, współtwórca współczesnej astronomii.

[78] Isaak Newton (1642-1727) – angielski fizyk i matematyk, odkrywca m.in. prawa powszechnego ciężenia, współtwórca rachunku różniczkowego i całkowego.

[79] Likurg (ok. IX w. p.n.e.) – półlegendarny król Sparty, uchodzący za jej pierwszego prawodawcę.

[80] Solon (ok. 635-560 p.n.e.) – prawodawca ateński, przeprowadził doniosłe reformy gospodarcze i ustrojowe.

[81] Mahomet (ok. 570-632) – twórca i prorok islamu, organizator teokratycznego państwa arabskiego.

[82] *Vive la guerre éternelle* (fr.) – Niech żyje wiekuista wojna.

[83] Nowa Jerozolima – zstępujące z nieba święte miasto w Objawieniu św. Jana (Obj. 21, 1-4).

[84] René Antoine Réaumur (1683-1757) – francuski fizyk i przyrodnik; w 1730 r. skonstruował termometr alkoholowy.

[85] Tulon – miasto na południu Francji, miejsce zwycięskiej bitwy armii republikańskiej (1793), a zarazem początek kariery Napoleona: za wyróżnienie się w tej bitwie awansował do stopnia generała brygady.

[86] Krwawe stłumienie przez Napoleona rojalistycznych zamieszek w Paryżu miało miejsce w październiku 1795 r.

[87] W 1798 r. Napoleon przedsięwziął wyprawę do Egiptu i Syrii, aby przeciąć Anglii drogi handlowe do Indii, zwyciężył Mameluków pod Piramidami (21 VII), ale jego flotę zniszczył pod Abukirem (I VIII) admirał Horatio Nelson. Napoleon porzucił armię, potajemnie powrócił do Francji, dokonał zamachu stanu, obalając Dyrektoriat, i objął

władzę jako pierwszy konsul.

[88] W 1812 r. Napoleon wyruszył na Rosję na czele 650-tysięcznej armii; na obszar Rosji wkroczyło 400-450 tysięcy, z czego 4/5 żołnierzy zginęło w walce i podczas katastrofального odwrotu.

[89] „Od wzniosłości do śmieszności tylko jeden krok” – miał powiedzieć Napoleon w Wilnie podczas odwrotu resztek jego armii z Rosji.

[90] Waterloo – miejscowość w Belgii, gdzie 18 VI 1815 r. Napoleon został ostatecznie rozбитo przez wojska koalicji pod wodzą feldmarszałka Arthura Wellingtona oraz armię pruską pod wodzą feldmarszałka Gebharda Blüchera. Wzięty przez Anglików do niewoli, Napoleon abdykował i do końca życia internowany był na Wyspie Św. Heleny.

[91] Tak właśnie ujmuje posłuszeństwo wobec Allacha Aleksander Puszkina w wierszu *Naśladowanie Koranu* (1824).

[92] Postać śmiejącej się staruchy nieboszczki koresponduje z postacią hrabiny w *Damie pikowej* Puszkina. Por. przypis na s. 134.

[93] *Et nihil humanum...* (łac.) – I nic, co ludzkie (nie jest mi obce). Por. Terencjusz, *Samodręć*, I, I, 25.

[94] *Bonne guerre* (fr.) – uczciwa wojna.

[95] Chodzi o głośny artykuł Michaiła Michajłowa, opublikowany pod tym właśnie tytułem w marcu 1861 r. na łamach gazety „Sankt-Pietierburskije wiadomości”, a będący repliką na niewybredny antyfeministyczny felieton w tygodniku „Wiek”, wyszydzający publicznie pewną damę, która na wieczorze artystycznym w Fermie odczytała fragment *Nocy egipskich* Puszkina.

[96] Chodzi o reformę włościańską z 1861 r.

[97] Dussot – właściciel eleganckiej restauracji w Sankt-Petersburgu.

[98] *J'ai le vin mauvais* (fr.) – upijam się na ponuro.

[99] Berg – organizator imprez rozrywkowych w Sankt-Petersburgu.

[100] *Pour vous plaire* (fr.) – żeby zrobić panu przyjemność.

[101] Chodzi o *Madonnę Sykstyńską* Rafaela (1483-1520), ulubiony obraz Dostojewskiego.

[102] Mistyfikować – wprowadzać w błąd.

[103] Tu i dalej według Ewangelii św. Jana (J 11, 1-45).

[104] Mt 19, 14.

[105] *Tout court* (fr.) – po prostu.

[106] Gumelastyka – elastyczna substancja podobna do smoły.

[107] *C'est de rigueur* (fr.) – to jest konieczne.

[108] Tj. dostojnicy piątego, czwartego i trzeciego stopnia. Por. przypis na s. 17.

[109] Reformę sądownictwa w Rosji zapoczątkowała ustawa z 1864 r., w myśl której sądy traciły charakter stanowy, rozprawy stawały się jawne, a sędziowie – przynajmniej formalnie – niezależni; wprowadzono też adwokaturę i na określonych szczeblach włączono czynnik społeczny (sądy przysięgłych). Jednocześnie uproszczono strukturę sądownictwa. (Kary cielesne z wyroku sądów cywilnych i wojskowych oraz piętnowanie zniesiono w Rosji w 1863 r., zachowując jednak w pewnych wypadkach różgi).

[110] Po przegranej przez Rosjan bitwie nad rzeką Almą 8 IX 1854 r. oblężenie Sewastopola przez wojska angielskie i francuskie trwało 11 miesięcy.

[111] Postura – wygląd zewnętrzny, prezencja.

[112] Trefniś – żartowniś, błazen.

[113] Hofkriegsrat (niem.) – Nadworna Rada Wojskowa, najwyższa władza wojskowa w Austrii.

[114] Chodzi o bitwę pod Ulm na Dunaju w 1805 r. Otoczony przez wojska Napoleona austriacki feldmarszałek Karl Mack poddał się z całą 20-tysięczną armią, za co stanął



przed sądem wojennym; został zdegradowany oraz pozbawiony wszystkich odznaczeń.

[115] *Incognito* (łac.) – pod przybranym nazwiskiem; tu: ktoś.

[116] Halucynacja – przywidzenie, spostrzeganie czegoś nieistniejącego.

[117] Melancholia – głęboka depresja psychiczna objawiająca się niechęcią do życia, a nawet manią samobójczą.

[118] Knop – właściciel sklepu galanteryjnego na Newskim Prospekcie.

[119] Nihilści (od łac. *nihil* – nic) – osoby negujące wszelkie przyjęte w danym społeczeństwie normy i wartości natury społecznej, religijnej, moralnej itd., bądź też skrajnie je relatywizujące. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX w. w Rosji była to urągliwa nazwa nadawana demokratom rewolucyjnym i radykalnej studenterii przez publicystykę zachowawczą. Z czasem stała się nazwą obiegową.

[120] Charles Fourier (1772-1837) – myśliciel francuski, twórca jednej z głównych odmian socjalizmu utopijnego.

[121] Charles Darwin (1809-1882) – biolog angielski, twórca teorii ewolucji organizmów, w której czynnikiem sprawczym doboru naturalnego jest walka o byt, eliminująca osobniki słabsze, gorzej przystosowane.

[122] *Distinguons* (fr.) – rozróżnijmy.

[123] „My więcej negujemy!” – chępliwa licytacja w radykalizmie programów społecznych tego niezbyt rozgarniętego bohatera z demokratami rewolucyjnymi, których zwalczał Dostojewski.

[124] Nikołaj Dobrolubow (1836-1861) – rosyjski publicysta, krytyk literacki, demokrata rewolucyjny.

[125] Wissarion Bieliński (1811-1848) – rosyjski filozof, krytyk literacki (główny teoretyk tzw. szkoły naturalnej), demokrata rewolucyjny.

[126] *Lorgnon* (fr.) – binokle osadzone na długiej rączce.

[127] Efemeryczna – krótkotrwała.

[128] Wywody Lebieziatnikowa stanowią strywializowany, a w istocie sparodiowany wykład koncepcji małżeństwa w powieści *Co robić?* Nikołaja Czernyszewskiego.

[129] Chodzi o określenie „majestatyczny rogacz” w *Eugeniuszu Onieginie* (I, XII) Aleksandra Puszkina.

[130] Paroksyzm – nagłe wystąpienie lub nasilenie się objawów choroby, atak.

[131] Obu malców – odtąd bowiem zamiast małej córeczki Lidy pojawia się synek Kola (oczywiste niedopatrzenie autora).

[132] *Vater aus Berlin* (niem.) – ojciec z Berlina.

[133] *En toutes lettres* (fr.) – tu: czarno na białym.

[134] *Geld* (niem.) – pieniądze.

[135] Fińczucha (pogardliwe) – Finka.

[136] *Bürgermeister* (niem.) – burmistrz.

[137] *Mademoiselle* (fr.) – panna.

[138] *Got der Barmherzige* (niem.) – Boże miłosierny.

[139] Wydany w 1866 r. po rosyjsku tom *Ogólny zarys metody pozytywnej* zawierał m.in. prace niemieckiego ekonomisty Adolfa Wagnera, niemieckiego fizjologa M. Piderita i Lamberta Quételeta (por. przypis na s. 58). Autorzy ci traktowali prawa rządzące społeczeństwem na wzór praw przyrodniczych. Stąd ich fatalistyczno-mechanistyczna wizja przyszłości jako nieuchronnie aktualizującej się konieczności, rzekomo założonej w naturze człowieka, z pominięciem roli czynnika subiektywnego w historii – wolności i odpowiedzialności człowieka.

[140] *Tenez-vous droite!* (fr.) – Trzymaj się prosto!

[141] *Parlez-moi français* (fr.) – mów ze mną po francusku.

[142] *Huzar...* – popularna piosenka do słów poety Konstantego Batuszkowa (1787-1855).

[143] *Cinq sous* (fr.) – Pięć sous (sou – dawna drobna moneta francuska).

[144] *Marlborough...* (fr.) – Marlborough wyrusza na wojnę, nie wie, kiedy wróci...

[145] Pięć groszy, pięć groszy na urządzenie naszego gospodarstwa...

[146] *Glisséz* (fr.) – posuwiście; *pas de basque* – figura taneczna.

[147] *Du hast...* (niem.) – Ty masz brylanty i perły... – Romans austriackiego kompozytora Franza Petera Schuberta (1797-1828) do słów poety niemieckiego Heinricha Heinego (1791-1856).

[148] *Du hast...* (niem.) – Masz najpiękniejsze oczy, / Dziewczyno, czegoż ty jeszcze chcesz?

[149] Romans do słów wiersza *Sen* Michaiła Lermontowa (1814-1841).

[150] *Umsonst* (niem.) – nadaremnie.

[151] Raskolnicy (od ros. *raskoł* – rozłam) – uczestnicy ruchu religijno-społecznego powstałego w opozycji do cerkiewnych reform patriarchy Nikona, przeprowadzanych w latach 1653-1660. Inne nazwy: starowiercy, staroobrzędowcy.

[152] Bieguni (od ros. *bieg* – bieg, ucieczka) – skrajny nurt raskolnictwa, zdecydowanie odcinający się od tego „świata Antychrysta”. Stąd ucieczka i krycie się przed szatanem w utajnionych wspólnotach, uchylanie się od powinności obywatelskich, a nawet od posiadania dokumentów jako widomych znaków Antychrysta. Obecna nazwa: Prawdziwie Prawosławni Chrześcijanie.

[153] Starzec (od ros. *stariiec*) – świątobliwy mentor, wobec którego nowicjusz (ros. *posłusznik*) zobowiązany jest do absolutnego posłuszeństwa. Ten typ przewodnictwa duchowego zrodził się w Egipcie z początkiem IV w. Głośnym ośrodkiem ruchu starców w XIX w. w Rosji była Pustelnia Optyńska pod Kozielskiem.

[154] Na tradycyjnych wiejskich piecach w Rosji znajdowało się obszerne legowisko do spania.

[155] *Oraison funèbre* (fr.) – mowa pogrzebowa.

[156] Prokonsul – zarządca prowincji w starożytnym Rzymie.

[157] *Cher ami* (fr.) – drogi przyjacielu.

[158] *La nature et la vérité* (fr.) – natura i prawda.

[159] *Vis-à-vis* (fr.) – naprzeciw.

[160] *Où va-t-elle...* (fr.) – Gdzie też się cnota nie gnieździ?

[161] *Adieu, mon plaisir* (fr.) – żegnaj, moja radości.

[162] *Casus* (łac.) – przypadek.

[163] *Une théorie...* (fr.) – teoria jak każda inna.

[164] Linie – równoległe ulice przecinające Wyspę Wasiljewską w Sankt-Petersburgu z południa na północ.

[165] *Café-chantant* (fr.) – kawiarnia z występami wokalnymi.

[166] *Cottage* (ang.) – domek wiejski, willa.

[167] Riusza – mocno przymarszczona naszywka tiulowa.

[168] Achilles – główny bohater *Iliady* Homera, wzór męskiej odwagi i urody.

[169] Kapitol – jedno z siedmiu wzgórz starożytnego Rzymu, twierdza i sanktuarium.

[170] *Nihil est* (łac.) – nic nie znaczą.

[171] Asceta – człowiek dobrowolnie wyrzekający się wszelkich uciech życiowych.

[172] David Livingstone (1813-1873) – szkocki badacz Afryki, odkrył m.in. Wodospad Wiktorii.

[173] W latach sześćdziesiątych XIX w. w Rosji kobiety mogły się kształcić tylko w dwóch zawodach: akuszerki i nauczycielki. Zawód akuszerki zdobywały w petersburskiej Akademii Medyczno-Chirurgicznej.

[174] Na mocy ustawy o zesłańcach, wydanej w 1822 r. przez Aleksandra I, katorga dzieliła się na dwie kategorie: bezterminową i o czasie ograniczonym (do lat 20).

[175] Kordegarda – budynek przy bramie (w zespole pałacowym, twierdzy), przeznaczony na wartownię.



[176] Abraham – patriarcha biblijny, legendarny przodek Izraelitów.